Templariusze - Honor Rycerza

Whyte Jack

calibre 0.9.27

pierwszy tom trylogii

Rycerze czerni i bieli

JACK WHYTE

HONOR

RYCERZA

Każdy Frank czuje, że kiedy odbijemy wybrzeże [Syrii], zedrzemy i zniszczymy woal ich honoru, kraj ten wyśliźnie się spod ich władzy, a nasza ręka sięgnie w kierunku ich własnych krain.

Abu Szama, arabski historyk, 1203-1267

Wojownik Chrystusa zabija spokojnie, a umiera jeszcze spokojniej. Umierając, wyświadcza przysługę sobie, a zabijając - Chrystusowi!

św. Bernard z Clairvaux, 1090-1153

Przedmowa

Gdzie leży Francja? Gdyby ktoś zadał wam od niechcenia to pytanie, zapewne zaczęlibyście się dziwić oczywistej ignorancji mówiącego. Widzieliście ją przecież tysiące razy na różnych mapach i znajduje się ona na swoim miejscu od zawsze, a co najmniej od czasu, kiedy jakieś dziesięć tysięcy lat temu zakończyła się ostatnia epoka lodowcowa. Otóż jako autora literatury historycznej pytanie to dręczyło mnie od chwili, kiedy zacząłem się nad nim zastanawiać, ponieważ czuję się zobowiązany utrzymywać w swoich książkach pewien poziom dokładności. Gdybym jednak miał się wiernie trzymać źródeł historycznych przy pisaniu o średniowiecznej Francji, Anglii i Europie, na pewno utrudniłbym lekturę moim czytelnikom, którzy, jak sądzę, chcą przyjemnie spędzić czas, a może nawet - mam nadzieję -przez kilka

godzin z fascynacją śledzić opowieść o tym, jak wyglądało życie w innych czasach, dawno temu.

Na przykład, pisząc powieści arturiańskie, musiałem wykazać, że francuski rycerz Lancelot du Lac nie mógł być Francuzem w piątym wieku, w Europie, w której niedawno zakończył się okres rzymski. Na pewno nie mógł też nazywać się Lancelot du Lac (Lancelot z Jeziora), ponieważ kraj ten nazywano wtedy Galią, a francuski, język Franków, był prymitywną mową migrujących plemion, które pewnego dnia — setki lat potem - miały nadać swoją nazwę podbitym terenom.

Miałem ten sam problem, choć trzeba przyznać, że na mniejszą skalę, pisząc tę książkę. Mimo że kraj - lub dokładniej mówiąc, terytorium geograficzne - zwany Francją istniał już w dwunastym wieku, był bardzo niepodobny do Francji, jaką znamy dzisiaj. Panował wówczas ród Kapetyngów, lecz w jego posiadaniu były wciąż niewielkie tereny; w czasie, kiedy toczy się akcja książki, tron zajmował Filip II August. Królestwo Filipa miało swój ośrodek w Paryżu i ciągnęło się na zachód, docierając bardzo wąskim pasem do kanału La Manche. Dopiero zaczęło się rozwijać w państwo, którym miało zostać w ciągu następnych stu pięćdziesięciu lat. Na początku dwunastego wieku wciąż było maleńkie, otoczone przez potężne księstwa i hrabstwa, takie jak Burgundia, Andegawenia, Normandia, Poitou, Akwitania, Flandria, Bretania, Gaskonia oraz region zwany Vexin, który graniczył z Francją od północy i wkrótce miał się stać częs'cią królestwa Francji.

Mieszkańcy wszystkich tych terytoriów mówili wspólnym językiem,

który potem zyskał nazwę francuskiego, lecz tylko mieszkańcy samego królestwa nazywali siebie Francuzami. Innych napawało ogromną dumą, że są Andegaweńczykami, mieszkańcami Poitou, Normanami, Gaskończykami, Bretonami i Burgundczykami. (Ryszard z rodu Plan-tagenetów, książę Akwitanii i Andegawenii, był zamożniejszy i bardziej potężny niż król Francji. Po śmierci ojca, króla Henryka II, Ryszard został królem Anglii, pierwszym tego imienia, paladynem znanym jako Ryszard Lwie Serce, i rządził imperium zbudowanym przez ojca i matkę, Eleonorę Akwitańską, które było o wiele większe niż tereny króla Filipa).

Dzisiaj, dla nas, wszyscy oni są Francuzami, lecz wtedy tak nie było. Konieczność wytłumaczenia tego współczesnym czytelnikom, pokazania, że te różnice istniały i miały czasami wielkie znaczenie dla zainteresowanych, była głównym powodem, dla którego często wracam do pytania zadanego na początku: gdzie leży Francja?

Za czasów Ryszarda Lwie Serce i trzeciej krucjaty - wojny przeciwko Saracenom dowodzonym przez sułtana Saladyna - templariusze nie osiągnęli jeszcze tych szczytów bogactwa, władzy i rzekomego ze-psucia, które miały potem tak rozsierdzić im współczesnych, rodząc zazdrość, złą wolę oraz chciwość. A jednak poczynili już niewiarygodne postępy od chwili, kiedy zaledwie osiemdziesiąt lat wcześniej ich szeregi liczyły tylko dziewięciu mało znanych rycerzy bez grosza przy duszy, którzy mieszkali i pracowali w tunelach pod Wzgórzem Świątynnym w Jerozolimie. Od czasów założenia Zakonu stali się ramieniem zbrojnym

chrześcijaństwa w Zamorzu. Ich reputacja, jeśli chodzi o honor, prawość i niezachwianą lojalność względem Kościoła katolickiego, była nieskalana. Nowo powstały Zakon nagle zyskał sławę i powszechną akceptację, a także - głównie dzięki entuzjastycznemu wsparciu świętego Bernarda z Cłairvaux, największego duchownego

swoich czasów- niemożliwe do oszacowania bogactwo, zarówno w naturze, jak i w dobrach materialnych.

Jednak od początku Zakon był tajną organizacją: jego obrządki i ceremonie owiane były tajemnicą i odprawiane w ciemnościach, z dala od oczu i uszu niewtajemniczonych. Bez względu na to, jak uzasadniona mogła być przyczyna takiego postępowania - szybko i chyba nieuchronnie doprowadziło ono do poczucia elitaryzmu i arogancji, które ostatecznie zraziły resztę świata i w dużym stopniu przyczyniły się do upadku Zakonu.

Podejrzewam, że gdyby zapytać kogoś o wyjaśnienie pojęcia “honor", byłby z tym problem. Ci, którzy odpowiedzą, zapewne podadzą synonimy, szukając w pamięci innych rzadko używanych dzisiaj słów, takich jak prawość, uczciwość, moralność, może jeszcze sumienie, lecz nikt dotąd nie scharakteryzował honoru w sposób absolutny, ponieważ każdy mierzy go inną miarką. W naszym postmodernistycznym świecie rzadko o nim mówimy. To anachronizm, staroświecki, nieco zabawny koncept z minionej epoki, a ci, którzy o nim mówią i myślą, otrzymują dobrotliwą i protekcjonalną etykietkę ekscen-tryków. Lecz w każdej epoce - być może poza naszą - honor był w wielkiej cenie i zawsze należał do tych nieuchwytnych cech, o których wszyscy sądzą, że posiadają je od urodzenia i w wielkiej obfitości. Od zarania dziejów powiewano sztandarami bojowymi, będącymi symbolami honoru i dzielności ich właścicieli. Lecz dla mężczyzn i kobiet dobrej woli miara

honoru zawsze była indywidualna, zazdrośnie strzeżona, głęboko

osobista i niezależna od tego, co inni myślą, mówią czy robią.

JackWhyte Kelowna, Kolumbia Brytyjska,

Kanada

lipiec 2007

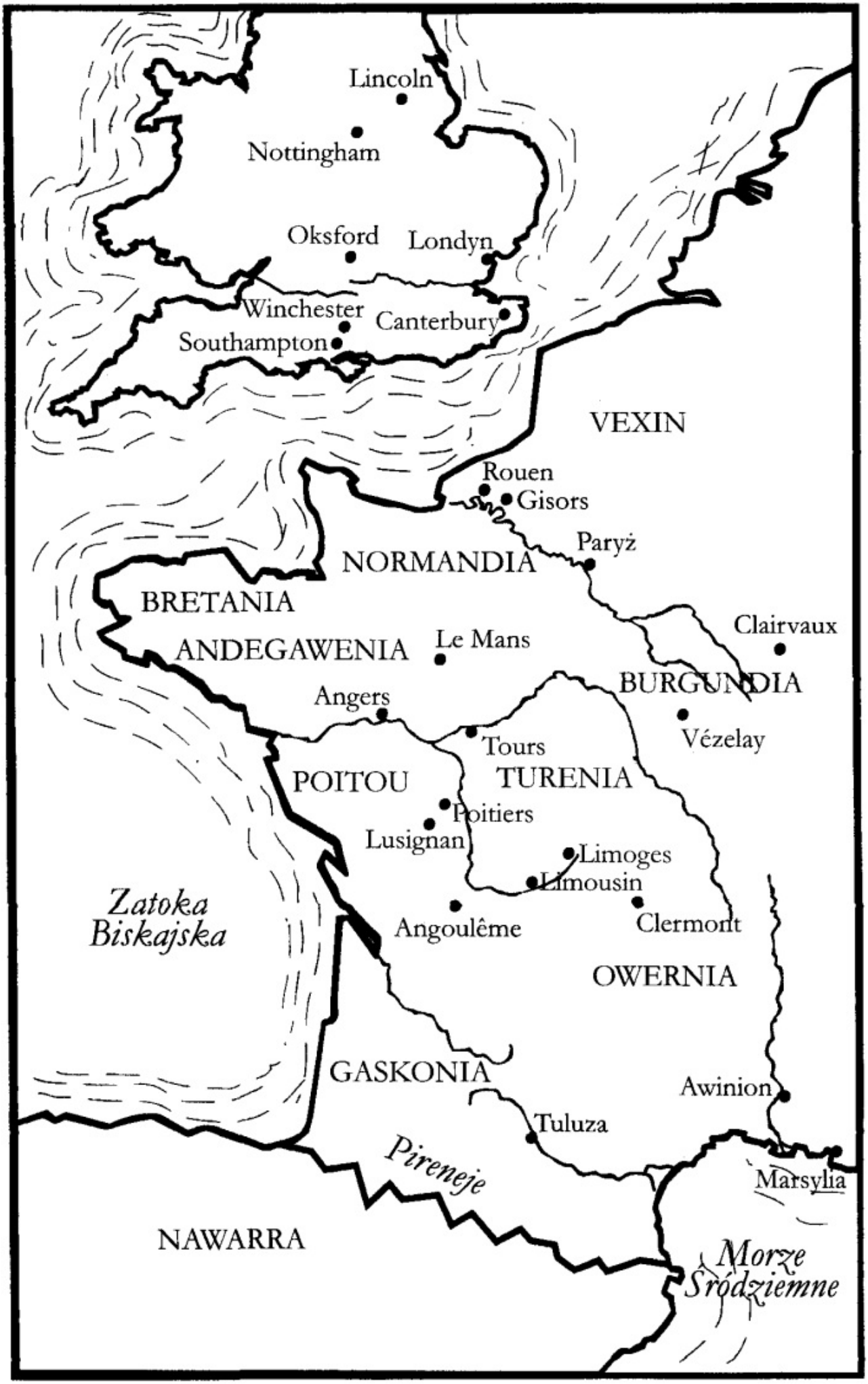
Lincoln
Nottingham
Oksford
Londyn
Winchester
Canterbury
Southampton
VEXIN
Rouen
Gisors
Paryż
NORMANDIA
BRETANIA
ANDEGAWENIA
Le Mans
Clairvaux
BURGUNDIA
Angers
Vézelay
Tours
POITOU
TURENIA
Poitiers
Lusignan
Limoges
Limousin
Zatoka Biskajska
Angoulême
Clermont
OWERNIA
GASKONIA
Awinion
Tuluza
Pireneje
Marsylia
NAWARRA
Morze Śródziemne

Ziemie należące do Plantagenetów

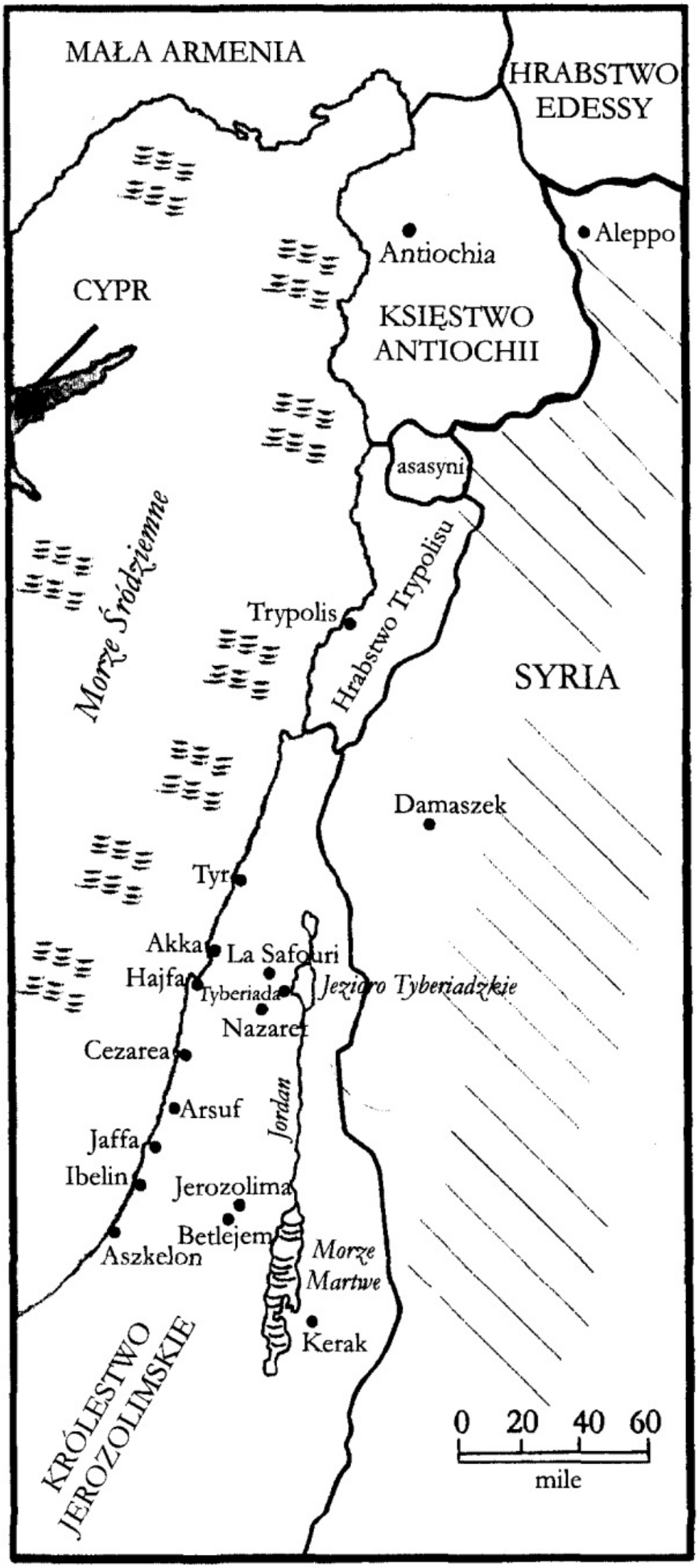

Zamorze, Ziemia Święta w 1191 r.

CZĘŚĆ 1

ROGI HATTINU

1187

1

Nie powinniśmy opuszczać La Safouri. Na Boga, nawet ślepiec by to zauważył.

- Doprawdy? Dlaczegóż zatem żaden ślepiec nie przemówił, zanim wymaszerowaliśmy? Jestem pewien, że de Ridefort wysłuchałby i wziął to pod uwagę, zwłaszcza jeśli radziłby ślepiec.

- Możesz sobie wsadzić ten sarkazm, Belin, mówię poważnie. Co my tu robimy?

- Czekamy na rozkazy. Czekamy na śmierć. Czyż nie od tego są żołnierze?

Templariusz Aleksander Sinclair słuchał cichej, lecz zajadłej kłótni, która toczyła się za nim, udając, że nie zwraca na nią uwagi, ponieważ - choć po części zgadzał się z gorzkimi narzekaniami sir Antoine'a de Lavisse - nie chciał, żeby ktoś to zauważył. Mogłoby to zaszkodzić dyscyplinie. Szczelniej owinął twarz szalem i wstał w strzemionach, aby się rozejrzeć po otaczającym ich ciemnym obozie. Słyszał dochodzące zewsząd stłumione odgłosy niewidzialnych poruszeń i jeszcze jeden: arabski głos w oddali, część całonocnej litanii, krzyczący *Al-lah akbar,* "Bóg jest wielki". Za jego plecami Lavisse wciąż mamrotał z niezadowoleniem:

- Dlaczego ktokolwiek przy zdrowych zmysłach miałby opuścić silną, bezpieczną pozycję, z kamiennymi murami i słodką wodą dla jego armii, aby wymaszerować na pustynię w pełni lata? I to przeciwko wrogowi, który żyje na niej, roi się tam jak szarańcza i jest odporny na

upał? Powiedz mi, proszę, Belin. Chcę wiedzieć. Muszę znać odpowiedź na to pytanie.

- Nie do mnie z nim. - Głos Belina był pełen oburzenia i frustracji. - Idź i spytaj Rideforta, na Boga. To on namówił do tego króla idiotę i nie wątpię, że chętnie powie ci dlaczego. A potem prawdo-

podobnie przywiąże cię do siodła, zawiąże oczy i wyśle samego jako zabawkę dla Saracenów.

Sinclair wciągnął ostro powietrze. Zrzucanie całej winy za ich obecne trudne położenie na Gerarda de Rideforta było niesprawiedliwe. Wielki mistrz Zakonu był zbyt łatwym i widocznym celem. Poza tym Gwidon de Lusignan, król jerozolimski, potrzebował bodźca, jeżeli miał kiedykolwiek coś osiągnąć. Był królem jedynie z nazwy, ukoronowanym tylko dzięki kochającej żonie, Sybilli, siostrze byłego króla i obecnie prawowitej królowej Jerozolimy. Zawsze słaby i niezdecydowany Gwidon był wręcz nieudolny w sprawowaniu władzy. Jednak tych, którzy kłócili się za plecami Sinclaira, nie interesowały wyważone sądy. Narzekali dla samego narzekania.

- Cśś! Uwaga, idzie Moray.

Sinclair lekko odwrócił głowę, aby móc zobaczyć, jak nadjeżdża konno jego przyjaciel, sir Lachlan de Moray, gotowy na to, co miał przynieść świt, choć czekała ich jeszcze co najmniej godzina nocy.

Sinclair nie był zaskoczony, ponieważ podczas tej okropnie nerwowej nocy nikt nie mógł spać. Zewsząd dochodził kaszel, ostre szczekanie

ludzi o zdartych gardłach, spragnionych świeżego powietrza i krztuszących się dymem. Rojący się dookoła nich i ponad nimi pod osłoną nocy Saraceni podpalili rosnące na wzgórzach zarośla i smród tlących się, żywicznych krzaków z każdą minutą stawał się silniejszy. Sinclair poczuł groźne łaskotanie we własnym gardle i zmusił się do płytkich oddechów. Przyszło mu do głowy, że dziesięć lat wcześniej - kiedy po raz pierwszy przybył do Ziemi Świętej — nie słyszał o takim stworzeniu jak Saracen. Teraz było to słowo, które padało na tych terenach najczęściej; dotyczyło wiernych, gorliwych wojowników proroka Mahometa - a ściślej sułtana Saladyna kurdyjskiego pochodzenia - niezależnie od ich rasy. Imperium Saladyna było ogromne, ponieważ połączył dwa wielkie muzułmańskie terytoria, Syrię i Egipt, a jego armia składała się z najróżniejszych grup niewiernych, począwszy od ciemnoskórych Beduinów z Azji Mniejszej, a skończywszy na Mulatach i hebanowych Nubijczykach z Egiptu. Wszyscy oni mówili jednak po arabsku i byli teraz Saracenami.

- Widzę, że nie tylko ja spałem głęboko i bez snów.

Moray zatrzymał się przy nim i ustawił konia tak, aby on i Sinclair siedzieli obok siebie. Podążając za wzrokiem templariusza, uniósł oczy

i spojrzał w ciemność, tam gdzie wznosił się bliższy z dwóch niewidocznych teraz szczytów zwanych Rogami Hattinu.

- Jak sądzisz, ile życia nam zostało?

- Pewnie niewiele, Lachlan. W południe wszyscy możemy już być martwi.

- Ty też tak uważasz? Chciałem, żebyś' powiedział mi coś innego, przyjacielu. - Moray westchnął. - Nigdy bym nie uwierzył, że tylu ludzi może zginąć przez szaleństwo jednego aroganckiego fanfarona... Szaleństwo jednego pomniejszego tyrana i tchórzostwo króla.

Tyberiada oraz jezioro, nad którym leżała - mogli tam dotrzeć poprzedniego wieczora - znajdowała się niecałe dziesięć kilometrów dalej, lecz rządcą miasta był Rajmund III hrabia Trypolisu, a Gerard de Ridefort, mistrz Świątyni, kilka miesięcy temu uznał, że nienawidzi hrabiego Rajmunda, nazywając go muzułmańskim zdrajcą i niegodnym zaufania przyjacielem Saladyna.

Wbrew logice, która nakazywałaby dotrzeć do bezpiecznego miejsca i chronić armię, Ridefort zdecydował poprzedniego popołudnia, że nie będzie się spieszył z przybyciem do Tyberiady. Ta decyzja nie miała nic wspólnego z niechęcią do ponownego spotkania z Rajmundem, ponieważ znajdował się on wraz ze swoją armią w obozie, a podczas jego nieobecności warowni wTyberiadzie broniła jego żona, hrabina Eschiva. Nikt nie śmiał się sprzeciwić Ridefortowi, ponieważ w większości rycerze tej armii byli templariuszami. Mistrz zawiadomił

swoich komturów, że w pobliskiej wiosce o nazwie Marescalcia jest studnia, mogli więc przenocować tam, gdzie byli, i rankiem podążyć w kierunku Jeziora Tyberiadzkiego.

Oczywiście Gwidon, jako król Jerozolimy, mógł natychmiast zawetować decyzję Rideforta, lecz - jak było do przewidzenia z powodu jego chwiejności - przystał na żądania mistrza Zakonu, poduszczany przez Renalda de Chatillon, innego budzącego grozę templariusza i byłego sojusznika Rideforta. Jeszcze bardziej arogancki i samowładny Chatillon, dowódca najpotężniejszej na świecie warowni Kerak, zwanej Zamkiem Kruka, bezwzględnie stał ponad prawem. Wyróżniał się także tym, że to jego najbardziej z całej frankońskiej armii nienawidził Saladyn.

Tak więc dano sygnał i wojsko Jerozolimy - największa armia zebrana w osiemdziesięcioletniej historii królestwa - zatrzymało się i roz-

biło obóz w niedogodnym miejscu. Tymczasem oddziały ogromnej armii Saladyna (sama jazda dziesięciokrotnie przewyższała liczbę Franków) otoczyły ją całkowicie. Osaczona z każdej strony jeszcze przed zapadnięciem nocy frankońska armia, licząca tysiąc dwustu rycerzy wspieranych przez dziesięć tysięcy piechurów i około dwóch tysięcy lekkiej jazdy, była skonsternowana i zbulwersowana błyskawicznie roznoszącą się — lecz spóźnioną - wieścią, że studnia, przy której postanowili się zatrzymać ich dowódcy, jest sucha. Nikomu nie przyszło do głowy, aby zawczasu ją sprawdzić.

Kiedy o zmroku zerwał się lekki wietrzyk, żołnierze byli wdzięczni za chłód, który przyniósł, lecz w ciągu godziny mieli zacząć przeklinać go za całonocne nawiewanie piasku i dymu.

Teraz niebo bledło wraz z pierwszym światłem dnia i Sinclair czuł w trzewiach, że szansa, aby on lub jego towarzysze przeżyli kolejne godziny, jest w najlepszym razie nikła.

Templariusze, których motto brzmiało: “Pierwsi w natarciu, ostatni w odwrocie", uwielbiali się przechwalać, że jeden chrześcijański miecz może rozgromić stu wrogów. To aroganckie przeświadczenie doprowadziło miesiąc wcześniej do potwornej rzezi wielkiego oddziału templariuszy i szpitalników u źródła Cresson. Poległ cały oddział chrześcijański poza mistrzem de Ridefortem i trzema bezimiennymi rannymi rycerzami. Lecz armia otaczająca ich tego dnia miała szybko i prawdopodobnie raz na zawsze zadać kłam tym bzdurnym przechwałkom. Obecne zastępy Saladyna składały się prawie w całości z wszechstronnej, wytrzymałej lekkiej jazdy, której jeźdźcy byli świetnymi łucznikami. Wojownicy ci, dosiadający w lekkich zbrojach niezwykle zwinnych koni z Jemenu, posługiwali się bronią ze stali damasceńskiej i lekkimi, śmiercionośnymi kopiami o trzcinowych drzewcach. Świetnie wytrenowani w taktyce szybkiego ataku i odwrotu, działali w małych, zwrotnych oddziałach i byli dobrze zorganizowani, świetnie prowadzeni i zdyscyplinowani. Były ich tysiące i wszyscy mówili po arabsku, co dawało im ogromną przewagę nad Frankami, ponieważ wielu z nich nie znało języka walczących obok nich

chrześcijan.

Sinclair wiedział od miesięcy, że w skład armii, którą Saladyn zgro-

madził na tę świętą wojnę - hufce, które otaczały teraz Franków

-wchodzą kontyngenty z Azji Mniejszej, Egiptu, Syrii i Mezopotamii

i że dowództwo nad oddziałami powierzono okrutnym kurdyjskim sojusznikom Saladyna, jego elitarnym jednostkom. Plotki głosiły, że sama jazda liczyła jakieś piętnaście tysięcy. Sinclair na własne oczy widział, że towarzysząca im armia była tak wielka, że zbliżając się do frankońskiego obozu, wypełniała horyzont. Sinclair słyszał, jak w jego własnych szeregach wspominano o osiemdziesięciu tysiącach mieczy. Sam uważał, że chodzi raczej o pięćdziesiąt tysięcy, lecz to mu nie poprawiało nastroju.

- Ridefort ponosi winę za tę katastrofę. Obaj to wiemy, więc dla czego tego nie przyznasz?

Sinclair westchnął i otarł oczy skrajem rękawa.

- Nie mogę tego zrobić, Lachie. Jestem rycerzem Zakonu, a on moim mistrzem. Wiążą mnie śluby posłuszeństwa. Jeśli powiem wię cej, będę nielojalny.

Lachlan de Moray odchrząknął i splunął na oślep.

- No cóż, ale nie jest moim panem, więc mogę mówić, co mi się podoba, i uważam, że jest szalony... On i jemu podobni: król i mistrz Zakonu są warci siebie nawzajem, a ten bydlak de Chatillon jest gor szy niż oni dwaj razem wzięci. To, że utknęliśmy tu w takim położe niu, jest upokarzające. Chcę wrócić do domu.

Kącik ust Sinclaira wykrzywił się w uśmiechu.

- Do Inverness daleko, Lachlan, i dziś tam chyba nie dotrzesz. Le piej zostań tutaj i trzymaj się mnie.

-Jeśli ci barbarzyńcy zabiją mnie dzisiaj, będę tam, zanim słońce zajdzie nad Ben Wyvis. - Moray zawahał się, po czym spojrzał z ukosa na przyjaciela. - Trzymać się ciebie, mówisz? Nawet gdybym chciał, jak mam to zrobić? Jestem w innym oddziale, ty jesteś w straży tylnej.

- To prawda - Sinclair patrzył na szybko jaśniejące na wschodzie niebo - lecz mam przeczucie, że zanim słońce przejdzie połowę drogi po niebie, będzie nam wszystko jedno, obok kogo jedziemy, czy to templariusz czy nie. Trzymaj się mnie, przyjacielu, a jeśli nasze kości mają wrócić do domu, do Szkocji, wróćmy razem, tak jak ją opuściliśmy, aby tu przybyć. - Spojrzał w kierunku światła, które zaczęło rozjaśniać wielki cień królewskiego namiotu. - Król wstał.

- Szkoda - mruknął Moray. - Szczególnie dziś powinien zostać w łożu. Dzięki temu mielibyśmy szansę przeżyć.

Sinclair rzucił mu szybki uśmiech.

21

- Nie licz na to, Lachie. Jeśli przeżyjemy ten dzień, trafimy do niewoli, a potem na targ niewolników. Lepiej zginąć prostą, szybką śmiercią... - Przerwał mu ryk trąby, a jego dłonie bezwiednie opadły na broń przywieszoną u pasa. — Czas na zbiórkę. Pamiętaj, trzymaj się mnie. Przy pierwszej okazji... obiecuję, nie potrwa to długo... zawróć między nasze szeregi. Łatwo nas znajdziesz.

Moray klepnął templariusza w ramię.

- Spróbuję, żebym nie musiał opuszczać przyjaciół w niebezpieczeństwie. Bądź zdrów.

- Postaram się, ale wszyscy jesteśmy dziś w opałach, i to większych niż kiedykolwiek. Jedyne, co możemy zrobić, to drogo sprzedać nasze życie. Choćby dlatego, że wszyscy moi bracia to templariusze, będziesz miał większą szansę powalczyć niż ja, gdybym przyłączył się do twoich towarzyszy, choć są dzielni. Zegnaj.

Zawrócili i podążyli na swoje przydzielone pozycje: Sinclair pomiędzy stojących na tyłach pagórka za królewskimi namiotami rycerzy Zakonu, a Moray do pospiesznie zebranej załogi chrześcijańskich rycerzy i awanturników, którzy odpowiedzieli na wystosowane przez Gwidona po jego koronacji wezwanie do walki. Teraz ludzie ci otaczali króla i cenną relikwię Świętego Krzyża.

Sinclair zadrżał mimo woli, kiedy zobaczył jasną, nową gwiazdę migoczącą na różowiejącym niebie. W odróżnieniu od większości swoich towarzyszy nie był przesądny, lecz ledwo udało mu się tłumić

wzbierający w nim ostatnio niepokój. Gwiazda ta pojawiła się zaledwie dziesięć dni wcześniej, trzy tygodnie po rzezi templariuszy u źródła Cresson, i wzbudziła wśród Franków grozę, ponieważ był to kolejny z wielu dziwnych widoków, które ukazały im się ostatnio na niebie. Od poprzedniego roku zdarzały się zaćmienia Słońca i Księżyca. Dla większości ludzi było to osiem jasnych znaków, że Bóg nie jest zadowolony z tego, co dzieje się w Jego Ziemi Świętej. Potem pojawił się ten blask na niebie: gwiazda tak jasna, że było ją widać za dnia. Niektórzy mówili - a księża ich nie powstrzymywali — że oto ponownie pojawiła się gwiazda betlejemska, że płonie na niebie, aby przypomnieć frankońskim wojownikom o ich obowiązku wobec Boga i Jego ukochanego Syna.

Sinclair był bardziej skłonny uwierzyć w to, co mówili znajomi francuskojęzyczni Arabowie. Wierzyli, że gwiazdy poruszają się nie-

zależnie od siebie, i tłumaczyli pojawienie się nowej gwiazdy tym, że wiele najjaśniejszych gwiazd firmamentu nałożyło się na siebie i połączyło swe światło, aby stworzyć ten płonący sygnał, tak jasny, że w pewne dni widać go było nawet w południe.

Kiedy templariusz dotarł do własnego oddziału, wcisnął płaski, stalowy hełm głębiej na czoło i przyjrzał się swoim ludziom. Wszyscy byli czujni i poważni; tego ranka nie było przekomarzań i śmiechu... przyszło mu do głowy, że wśród rycerzy Zakonu właściwie nigdy nie było zbyt dużo śmiechu. Oficjalnie zniechęcano do niego, ponieważ był frywolny i nie sprzyjał pobożnemu zachowaniu. Poszukał Louisa Chisholma obozowego, który od dzieciństwa pełnił rolę jego osobistego służącego. Kiedy Sinclair dołączył do bractwa rycerzy Zakonu i otworzyła się przed nim perspektywa życia wolnego człowieka, Chisholm postanowił pozostać blisko człowieka, którego znał najlepiej na świecie, i zgłosił się na stanowisko brata sierżanta Zakonu. Teraz obrócił się w siodle i spojrzał przez snujący się dym w górę, na szczyty Rogów Hattinu.

- Mówią, że to tam Jezus wygłosił Kazanie na Górze - powiedział. - Zastanawiam się, czy cokolwiek, co powiedziałby temu tłumowi dzisiaj, odmieniłoby bieg rzeczy. - Odwrócił się i spojrzał Sinclairowi w oczy, po czym odezwał się z silnym szkockim akcentem: - Daleko nam było z Edynburga, sir Alec, i obaj się trochę zmieniliśmy, odkąd wyruszyliśmy... ale to okropnie ponure miejsce na śmierć.

- Nie mieliśmy wyboru, Louis - odparł cicho Sinclair, wymawiając imię dawnego służącego na szkocki sposób, “Lewis". -To nie nasza robota.

Usta Chisholma wykrzywił grymas.

- No, już ty wiesz, co ja o tym myślę. - Znów się rozejrzał. - Jużeśmy prawie gotowi. Szpitalnicy ustawiają się tam, po prawej, w szyku. Wkrótce ruszą, więc lepiej, żebyśmy byli gotowi. Widziałeś, ilu jest przeciw nam? - Splunął, przesunął językiem po zębach, wysysając ziarna piasku, i znów splunął. — Myślę, że to będzie krótka bitwa, ale postaramy się, aby była dobra. Powodzenia, sir Alec. Będę zaraz za tobą, pilnując twojego tyłka.

Sinclair uśmiechnął się i chwycił go za rękę.

- Niech Bóg cię ma w swojej opiece, Louis. I ja będę miał na ciebie oko. Ale skąd to opóźnienie?

23

Właśnie odc/.wała się pierwsza trąbka, której natychmiast odpowiedziały następne, gdy armia zaczęła formować szyki bojowe, począwszy od szpitalników, którzy stanowili awangardę. Zajmujący środkową pozycję oddział króla, nad którym powiewał jego sztandar, przesunął się do przodu i za szpitalników, choć - jako że byli otoczeni - nie było jasno określonego frontu, któremu mogliby stawić czoło. Mimo to rycerze z królewskiej straży przybocznej stanęli za plecami króla, a razem z nimi chrześcijańscy dostojnicy kościelni i księża, którzy nieśli wielki, kunsztowny relikwiarz. Miał on kształt wielkiego krzyża z macicy perłowej, inkrustowanego klejnotami oraz kamieniami szlachetnymi, i stanowił bardzo widoczny punkt zborny nie tylko dla jego obrońców, ale też dla napastników.

Kłębiące się i falujące ogromne siły Saladyna czasami przesłaniał snujący się dym i pył wzbijany przez ich własne szeregi. W prawie całkowitym milczeniu czekali cierpliwie na ruch ze strony chrześcijan. Sinclair poluzował miecz w pochwie i pochylił się w stronę Chis-holma.

- Pozostań blisko mnie, Louis. To będzie ponura, podła bitwa.

Ledwie skończył mówić, odezwało się kilka konkurujących sygnałów trąb. Gdy otaczająca go armia ruszyła przed siebie, Sinclair zastanawiał się przelotnie, kto mógł podjąć tak idiotyczną decyzję, ponieważ każdy ruch prowadził ich prosto na masy jazdy wroga. Ta myśl była jego ostatnim spójnym wspomnieniem; potem był już tylko

chaos, ponieważ zamieszanie w tylnych szeregach templariuszy sygnalizowało ciężki atak saraceńskiej kawalerii, która nadeszła pod osłoną dymu z wciąż ciemnego zachodu.

Sinclair i jego towarzysze ze straży tylnej - od początku na gorszej pozycji i mniej liczebni - walczyli zawzięcie z tą elitarną jazdą Saladyna. Przeprowadzali jeden nieskuteczny atak za drugim, a wróg cofał się tylko po to, aby się przegrupować i otoczyć sfrustrowanych ciężkozbrojnych rycerzy. Templariusze rozwścieczeni perfidią muzułmanów, którzy skupiali się na zabijaniu ich koni i dobijaniu jeźdźców na ziemi, cofali się nieubłaganie w kierunku własnych sił, gdzie odkryli, że król rozkazał postawić barierę z namiotów między sobą a nadciągającym z tyłu wrogiem. Choć była ona licha i bezskuteczna, wywołała zamieszanie wśród templariuszy i zmusiła ich do złamania osłabionych szyków, gdy wykonywali desperackie uniki, aby

wjechać między bezużyteczne namioty, gonieni przez jazdę. Nawet kiedy przedarli się już poza płócienne ściany, nie czekała ich pomoc ani wsparcie, ponieważ rycerze w środku kotłowali się bezradnie dookoła króla i krzyża, przeszkadzając jeden drugiemu i nie dając sobie nawzajem miejsca do walki.

Sinclair instynktownie skręcił gwałtownie w prawo i ominął z własnym szwadronem miotających się ludzi i konie, po czym nawrócił ostro w lewo ciasnym łukiem, wiedząc, że tym samym wystawia na strzały wroga prawe, nieosłonięte boki rycerzy. Zobaczył, że Louis Chisholm pada, ugodzony co najmniej dwiema strzałami, lecz w tym momencie pojawił się wojownik na silnym, zwinnym koniu. Zanim Sinclair odparł atak jego śmigającego bułata i wysadził go z siodła krótkim, wściekłym ciosem w szyję, Louis leżał daleko w tyle i templariusz nie zdołał się już obejrzeć za nim.

Co stało się z ich dwunastotysięczną piechotą? Sinclair nie widział śladu po niej, do tego momentu jednak jego świat zdążył się skurczyć do małej, zadeptanej areny pełnej dymu, pyłu, chaosu oraz piekielnych krzyków okaleczanych i zabijanych ludzi i koni. Rzeczywistość docierała do niego w formie strzępów widoków i myśli, o których zapominał w obliczu palącej konieczności kolejnego mrugnięcia, kolejnego starcia z dziką twarzą o obnażonych zębach, kolejnego zamachnięcia się tarczą lub mieczem. Poczuł na plecach mocne uderzenie i nie spadł z konia tylko dzięki temu, że zahaczył łokieć o tylny łęk siodła. Kosztowało go

to jego tarczę, lecz wiedział, że jeśli otrzyma kolejny cios lub spadnie, i tak jest trupem. Udało mu się usiąść prosto, szarpiąc za cugle, aby koń odsunął się od zagrożenia. Na ułamek sekundy znalazł się na obrzeżach potyczki, patrząc w dół wzgórza na to, jak ustawiona w szyku klinowym jazda wroga jednym sprawnym manewrem otacza szpitalników ze straży przedniej i odcina ich od reszty armii.

Nie miał czasu zobaczyć więcej, ponieważ zauważono, że został sam. Tym razem dwóch ludzi zbliżało się do niego z obydwu stron. Wybrał tego z prawej, niższego, i spiął ostrogami zmęczonego konia, aby ruszył wprost na napastnika, trzymając miecz wysoko aż do ostatniej chwili, kiedy opuścił go poziomo i pozwolił wrogowi nadziać się na klingę; prędkość, z jaką go minął, omal nie wyszarpnęła mu broni z ręki.

Dysząc, zawrócił konia lewą ręką, szukając drugiego wroga, który był teraz tuż za nim; zwierzę stanęło dęba i spłoszyło się,

zaskoczone cieniem pędzącym w jego stronę. Sinclair wykonał ruch ćwiczony niezliczoną ilość razy: stając w strzemionach, pochylił się w siodle, rzucił cugle na szyję wierzgającego w powietrzu konia i wyciągnął sztylet. Prosty cios mieczem odbił przygotowaną do ciosu klingę wroga; kiedy ich ciała były dostatecznie blisko, Sinclair dźgnął desperacko trzymanym w lewej dłoni jednosiecznym sztyletem. Ostrze odbiło się od metalowego guza na przeszywanicy okrywającej klatkę piersiową jego wroga i pogrążyło w miękkim ciele pod podbródkiem, a wstrząs uderzenia sprawił, że napastnik runął w tył z siodła z piętami w powietrzu. Sinclair instynktownie chwycił mocniej rękojeść, zapierając się w siodle, żeby nie porwał go spadający ciężar trupa, lecz krótkie ostrze sztyletu wysunęło się z łatwością i mógł usiąść prosto, chwiejąc się przez chwilę bezradnie, zanim spostrzegł, że znów jest sam i że otacza go względny spokój.

Metal lśnił w świetle poranka; kiedy Sinclair podniósł wzrok, ujrzał w oddali kolejną potyczkę, toczącą się wysoko na zboczach góry Hattin. Wyglądało na to, że formacje piechoty — z pewnością chrześcijańskiej — porzucają pozycje na grzbiecie wysokiego wzgórza i zmierzają w dół, na wschód, w kierunku Tyberiady. Usłyszawszy, że ktoś go woła, templariusz się odwrócił i zobaczył nadciągającą zwartą grupę towarzyszy broni. Spiął konia ostrogami i dołączył do nich, zdając sobie niejasno sprawę, że strzały wypełniają powietrze jak rozzłoszczone osy. Razem podążyli z powrotem na wzgórze w kierunku namiotu króla, aby chronić

jego i krzyż. Kiedy już tam dotarli, mieli chwilę wytchnienia, gdyż wróg się przegrupowywał. Patrząc wraz z towarzyszami w kierunku odległych wzgórz, Sinclair ujrzał rozgrywającą się tam tragedię.

Nie wiadomo było, kto wydał piechocie rozkaz wspięcia się na zbocze góry Hattin; gdy już prawie dotarła do szczytu, zatrzymały ją kolejne oddziały niezliczonej jazdy Saladyna. Cały dziesięcioty-sięczny oddział piechoty, wspierany przez dwa tysiące lekkiej jazdy — wystraszony i najwyraźniej doprowadzony na skraj szaleństwa przez pragnienie i dym unoszący się znad wzgórza, które zdawało się całe płonąć - zawrócił i desperacko ruszył w dół. Było jasne, że mieli zamiar przedrzeć się przez szeregi wroga i dostać w pobliże Jeziora Tyberiadzkiego, lecz Sinclair dobrze wiedział, co się wydarzy. Nie mógł nic zrobić, a on i jego towarzysze musieli sobie radzić z własnymi problemami, nie miał więc wiele czasu, aby się przyglądać

rzezi, która teraz nastąpiła. Saraceńska jazda wycofała się po prostu z drogi szarży i pozostawiła wybicie nacierającej piechoty dosiadającym koni łucznikom. W ciągu godziny było po wszystkim, a z pagórka, na którym stał namiot króla, rozpościerał się wyraźny widok na całą tę scenę. Nikt nie przeżył i rycerze z szeregów otaczających króla byli świadomi, że tam, w dole, bezsensownie zginęło dwanaście tysięcy ich ludzi, którym w żaden sposób nie można było pomóc.

Saraceni przypuścili teraz szalony atak na konne oddziały stacjonujące na pagórku. Nacierali ze wszystkich stron, atakując i wycofując

się falami, z zamiarem rozbicia jazdy w puch samą swą przewagą liczebną. Sinclair się potem dowiedział, że Saladyn obmyśliwał ten atak od miesięcy i postanowił, że jego konni łucznicy będą największym atutem w walce z ciężkozbrojnymi chrześcijanami. Każdy łucznik ruszył na bitwę z pełnym kołczanem, a siedemdziesiąt wielbłądów z karawany niosło dodatkowe zapasy strzał. Frankońscy rycerze padali jak muchy pod gradem pocisków wypuszczanych w ich kierunku ze wszystkich stron.

2

.Lachlan de Moray zobaczył, że Aleksander Sinclair pada, lecz nie wiedział, czy jego przyjaciel jest ranny, ponieważ widział tylko, jak przewraca się jego koń, cały najeżony strzałami. Zaledwie przez mgnienie oka widział białą opończę Sinclaira, kiedy ten runął głową do przodu i zniknął między skałami za cielskiem stającego dęba konia, podczas gdy jego towarzysze usiłowali okiełznać swoje przerażone wierzchowce i walczyć z nieuchwytnym wrogiem.

Sam de Moray był już zdezorientowany, ponieważ nagle się okazało, że on jeden tylko ocalał z grupy sześciu rycerzy zmierzających w kierunku króla Gwidona i jego straży przybocznej. Byli odizolowani od wycofującej się drużyny króla przez strome, skaliste zbocze i zanim mogli dołączyć do reszty, namierzyli ich łucznicy wroga. Moray nigdy wczes'niej nie widział niczego podobnego; powietrze pociemniało i stało się niemal nieprzezroczyste, a śmiercionośne pociski osiadały na nich jak rój szarańczy. Zanim pojął, co się dzieje, okazało się, że jest sam, a jego towarzysze zostali zmieceni z siodeł w objęcia śmierci. Jakimś cudem - choć przez jakiś czas nie myślał o tym w taki sposób - on i jego koń uniknęli ran. Jedyna strzała, która go trafiła, odbiła się od zbroi na ramieniu, co pchnęło go w tył siodła, lecz nie wyrządziło krzywdy.

De Moray był sam, wystawiony na atak, i wiedział, że zginie, zanim uda mu się nakłonić konia do wspięcia się na stromy stok. Wtedy, przypomniawszy sobie słowa Sinclaira, spojrzał w dół, szukając go wzrokiem, w samą porę, aby rozpoznać przyjaciela i zauważyć, jak pada.

Klnąc, szkocki rycerz spiął konia mocno ostrogami i - na próżno rozglądając się za wrogiem, którego mógłby zaatakować - popędził w dół zbocza. Żaden wojownik wroga nie pojawił się jednak w zasięgu jego miecza, Moray więc zeskoczył z siodła obok martwego

konia Sinclaira, nie próbując nawet uwiązać własnego wierzchowca, i zauważył, że rycerze zakonu, którzy tłoczyli się w tym miejscu chwilę wcześniej, zniknęli.

Rzucił się w stronę pierwszego poległego rycerza, jakiego zobaczył, i kucnął przy nim, chroniąc się za ciałem martwego konia. Jednak nie były to zwłoki Aleca Sinclaira, ani też leżące za nimi następne, o rozrzuconych kończynach w zbroi. Jeszcze dalej leżało dwóch kolejnych, przebitych wieloma strzałami mężczyzn, lecz wiedział, że znajdują się zbyt daleko, aby któryś z nich mógł być jego przyjacielem. Po Sinclairze nie było śladu. Tymczasem jego nieuwiązany koń oddalił się susami, spłoszony zapachem krwi. Moray chciał się puścić za nim w pościg, myśląc, że Sinclair musiał jakimś cudem uciec o własnych siłach, ale szybko stłumił ten odruch, ponieważ koń bez jeźdźca nie przedstawiał interesującego celu, natomiast biegnący człowiek tak. Dlatego też pozwolił zwierzęciu uciec, żywiąc nadzieję, że niedługo wierzchowiec się zatrzyma i poczeka na niego.

Podniósł się i rozejrzał. Na razie sytuacja wyglądała na bezpieczną. W pobliskich skałach zauważył szczelinę, ocienione pęknięcie pomiędzy najbliższym głazem a następnym. Podszedł do niego szybko i zobaczył wystającą z rozpadliny uzbrojoną nogę. Gdy przykucnął i zajrzał do ukrytego zakamarka, ujrzał leżące na plecach ciało: był to Sinclair. Moray z ulgą zauważył, że jego przyjaciel wygląda na całego, na nim ani dookoła niego nie było widać krwi. Był jednak nieprzytomny, więc

Moray szybko wczołgał się do szczeliny i pochylił nad nim. Lewe ramię rannego było nienaturalnie wygięte, a kończyna wykręcona za plecami. Moray zaciągnął go w głąb rozpadliny i położył na płaskiej powierzchni niewielkiego schronienia uformowanego przez trzy spore, wysmagane wiatrem kamienne płyty, z których jedna tworzyła nachylony dach nad pozostałymi.

Po lewej stronie płaskiego stalowego hełmu Sinclaira widać było zarysowania pasujące do głębokich rys widocznych na skale, o którą musiał uderzyć głową podczas upadku. Nie słysząc odgłosów zagrożenia z zewnątrz, Moray ułożył ciało mężczyzny na wznak, po czym spróbował nastawić wykręcone ramię. Poruszyło się, lecz nie wróciło do właściwej pozycji - Moray wiedział już, że przyjaciel zwichnął bark podczas upadku. Nie miał jednak pojęcia, czy samo ramię było złamane, usiadł więc i oparł się plecami o ścianę ich schronienia; położywszy

swój czysty, nieużywany miecz obok siebie, zaparł się nogami o ciało Sinclaira i brutalnie pociągnął zranioną rękę, wykręcając ją mocno do momentu, kiedy poczuł, jak przemieszcza się i wskakuje na miejsce. Gdyby Sinclair był przytomny, ból byłby nie do wytrzymania. Moray odsunął się wykończony.

Gdy się rozejrzał, stwierdził, że są doskonale ukryci - widział jedynie bezmiar nieba nad szczeliną, przez którą wszedł. Zaczął uważnie nasłuchiwać. Odgłosy bitwy, krzyki umierających ludzi i zwierząt dochodziły z daleka, Moray podejrzewał, że ze zbocza nad nimi. Rzucił

okiem na nieprzytomnego Sinclaira i poczołgał się znów do wejścia. Kryjąc głowę w cieniu zwisającego nad nim głazu, powoli się podniósł i rozejrzał po okolicy.

Nie było widać żywego ducha, płynnym ruchem więc uniósł się, aż mógł ogarnąć wzrokiem zbocze leżące za wielkim kamieniem znajdującym się na wprost. Hałas zdecydowanie dochodził z tamtej strony, a cisza otaczająca ich azyl robiła w porównaniu z nim wrażenie upiornej.

Ośmielony Moray wysunął się powoli z kryjówki, trzymając nisko głowę i skradając się pomiędzy ogromnymi kamieniami, aż znalazł punkt, który pozwalał mu z ukrycia obserwować otoczenie.

Teraz wszędzie, gdzie spojrzał, widział samych Saracenów, wspinających się szybko na grzbiet, na którym skupiły się siły chroniące króla Gwidona. Kiedy w końcu jego pole widzenia objęło samo wzgórze, okazało się, że roi się tam od jazdy. Dostrzegł wysoko nad falującym tłumem krzyż we wspaniałej, inkrustowanej klejnotami osłonie z kości słoniowej i wznoszący się za nim namiot króla Gwidona, oznaczający serce sił chrześcijańskich. Jednak właśnie wtedy krzyż zachwiał się niepokojąco, na chwilę się wyprostował i w końcu przewrócił, i zniknął mu z oczu. Moray zadrżał z przerażenia, widząc, jak wali się królewski namiot, którego odciągi ewidentnie zostały przecięte. Natychmiastowy skowyt triumfu dochodzący ze wzgórz nad nim oznaczał, że zwycięstwo pod Hattinem odnieśli wyznawcy proroka Mahometa.

Oniemiały i pełen obrzydzenia sir Lachlan Moray - nie dowierzając, jak szybko zniszczono armię chrześcijańską, nie mogąc nawet wy-

obrazić sobie, co nastąpi po takim pogromie - odwrócił się i spojrzał w dół, poniżej skał, które dostarczyły mu schronienia. Wszędzie leżały zwłoki ludzi i koni; niewielu martwych miało na sobie pustynne szaty wojowników Saladyna. W oddali - tam, gdzie frankońska piecho-

ta przypuściła daremny atak - od miejsca, gdzie rozpoczęli przeklęte natarcie, do punktu, w którym padli ostatni z dwunastu tysięcy, rozciągał się długi, gruby, przypominający gąsienicę szlak śmierci, uformowany przez zachodzące na siebie stosy zwłok. Moray potrząsnął z niedowierzaniem głową: dziesięć tysięcy poległych w jednym miejscu. Uderzyła go myśl, że nie miał prawa przeżyć; przez moment zastanawiał się, dlaczego go oszczędzono. Teraz jednak wiedział, iż odnalezienie i zabicie jego oraz Sinclaira było jedynie kwestią czasu, ponieważ wyglądało na to, że wyznawcy Proroka nie biorą jeńców. Gardło wyschło mu na wiór, przełknął z trudnością i przykucnął w kryjówce na czatach.

Sępy już lądowały przy zwłokach, by ucztować. Kiedy Moray przyglądał się, jak coraz więcej ptaków opada spiralą na ziemię, stracił poczucie czasu, a także — na chwilę - świadomość, kim i gdzie jest. Natychmiast jednak się wyprostował zszokowany, kiedy głośny skowyt cierpienia dał mu znać, że jego przyjaciel Sinclair oprzytomniał nieco. Moray rzucił się pospiesznie z powrotem w stronę ich skalistej kryjówki, pochylając głowę i niemal skomląc ze strachu na myśl, że wróg może usłyszeć hałas, jaki robił Sinclair, zanim on sam dotrze do niego i uciszy jego krzyki. Jednak te nagle umilkły i cisza, która po nich nastąpiła, przerwana jedynie łoskotem jego własnych butów na skałach, zdała mu się błogosławieństwem.

Kiedy Moray przycupnął u wejścia ich schronienia, przyglądając się

Sinclairowi, serce wciąż łomotało mu ze strachu. Z ulgą zauważył, że jego przyjaciel wciąż żyje; zaczął w to wątpić, gdy jęki Sinclaira nagle ucichły. Zanim Moray zdążył się zbliżyć, ranny gwałtownie wyrzucił ramię w bok i znów zaczął zawodzić, rzucając głową. Moray dotarł do niego jednym susem i zatkał mu usta ręką; w tej samej chwili Sinclair otworzył oczy, trzeźwo i świadomie, więc ostrożnie odsunął dłoń. Templariusz leżał chwilę bez ruchu, wciąż patrząc na przyjaciela, po czym spojrzał w górę na zwietrzały głaz tworzący dach ich kryjówki.

- Gdzie jesteśmy, Lachie? Co się stało? Jak długo tu jesteśmy?

Moray usiadł ciężko na piętach i mruknął z ulgą.

-Trzy pytania. To znaczy, że twoja głowa nadal działa. Domyślam się, że chcesz jednej odpowiedzi?

— Moim ostatnim wspomnieniem - zaczął z wysiłkiem Sinclair - jest to, że zebrałem grupę moich rycerzy i poprowadziłem ich pod

górę, w stronę innych. Przedtem widzieliśmy rzeź naszej piechoty.

-Zakaszlał. Moray patrzył, jak blednie, dręczony bólem, lecz Sinclair, zacisnąwszy zęby, ciągnął: - Gdybyśmy zwyciężyli, otaczaliby nas teraz przyjaciele. Skoro tak nie jest, szukałeś mnie, jak ci kazałem, tak? Gdzie Louis?

- Nie mam pojęcia, Alec. Nie widziałem go, od kiedy to wszystko się zaczęło. Może wspiął się z innymi na grzbiet wzgórza... Ale tam nie było bezpiecznie.

Sinclair patrzył nań z niedowierzaniem.

- Co mówisz? Straciliśmy wyżynę?

Moray zacisnął usta, kręcąc głową.

- Nie tylko ją, Alec - rzekł. - Straciliśmy wszystko. Widziałem, jak muzułmanie przechwytują Święty Krzyż, jak zaledwie kilka chwil potem pada namiot króla, i słyszałem ryk zwycięstwa. Przegraliśmy tę potyczkę, Alec... i obawiam się, że być może samo królestwo.

Sinclair zaniemówił oszołomiony i spróbował usiąść, lecz się zachłysnął. Pobladł jak chusta, oczy uciekły mu w głąb czaszki, ciało wygięło się i znowu zemdlał.

Moray nie był w stanie mu pomóc, nie wiedząc, co sprawia przyjacielowi ból. Tym razem Sinclair szybko doszedł do siebie. Choć twarz miał wciąż poszarzałą i wymizerowaną, myślał jasno.

- Coś jest złamane. Ramię albo bark. Pomóż mi usiąść i oprzeć się o tę skałę. Może łatwiej znajdziemy źródło bólu. Ale bądź ostrożny. Nie zabij mnie tylko dlatego, że nie czujesz tego bólu.

Wisielczy humor przyjaciela nie przeszkodził Morayowi skoncentrować się na wygodnym usadowieniu go, ale podczas swoich zabiegów odkrył, że ramię rannego zwisa bezwładnie. Górna kość ramienia była złamana tuż nad łokciem. Podparł przyjaciela własnym ciałem i zdjąwszy pas otaczający talię rannego, unieruchomił nim złamaną kończynę, przypasując ją mocno do torsu Sinclaira na wysokości żeber.

Dopiero kiedy skończył, uzmysłowił sobie, że nie *siyszy* już dźwięków dochodzących ze wzgórza nad nimi; nie pamiętał też, by cichły.

Obejrzał się i napotkał wzrok templariusza.

- Powiedz mi więc, co się stało.

Sinclair wysłuchał relacji przyjaciela z rosnącym napięciem.

- Niech ich wszystkich diabli - rzekł w końcu. - Sami to na siebie ściągnęli tymi wybuchami zawiści i kłótniami. Czułem to w trzewiach,

kiedy wczoraj tak głupio postanowili przerwać marsz do Tyberiady. Przeszliśmy już prawie dwanaście mil w potwornym upale, zostało mniej niż sześć. Gdybyśmy tylko trzymali się razem i kontynuowali marsz, moglibyśmy przed zmrokiem być bezpieczni. Decyzja o postoju była podyktowana szaleństwem.

- Szaleństwem i złością. I arogancją. Mistrz twojego zakonu, Ride fort, chciał zrobić na złość hrabiemu Trypolisu. Renald de Chatillon poparł go, używając swojego wpływu na króla i terroryzując Gwido na, aby zmienił zdanie.

Sinclair stęknął z bólu i chwycił złamane ramię drugą ręką.

- Nie mogę mówić w imieniu Chatillona — rzekł przez zaciśnięte zęby. - Nie mam z nim nic wspólnego, nigdy nie miałem. To dzikus, który przynosi wstyd zakonowi i wszystkim jego wartościom. Ridefort jest jednak człowiekiem z zasadami i naprawdę wierzy, że Rajmund z Trypolisu zdradził nasze idee. Jego brak zaufania jest uzasadniony.

- Być może, lecz Rajmund jako jedyny z naszych dowódców mówił rozsądnie. Uprzedzał, że szaleństwem byłoby opuszczanie pewnej bazy w La Safouri, gdy siły Saladyna się przemieszczają... i miał rację.

-Tak jest, miał, ale wcześniej zawarł przymierze z Saladynem, którego warunków nie dotrzymał... lub chce, żebyśmy tak myśleli. W zeszłym miesiącu pod Cresson przymierze to kosztowało nas stu trzydziestu templariuszy i szpitalników. Ridefort miał rację, nie ufając mu.

- To Ridefort stracił tych ludzi, Alec. Poprowadził ich wszystkich do ataku w dół zbocza przeciwko czternastu tysiącom jeźdźców. To jego arogancja i porywczość zawiniły. Rajmunda z Trypolisu nawet nie było w pobliżu.

- Nie, lecz gdyby Rajmund z Trypolisu nie przyznał armii Saladyna prawa do przekroczenia jego terytorium tego dnia, nie byłoby tam tych czternastu tysięcy ludzi i nie sprowokowaliby oni Rideforta. Mistrz zakonu był może godzien potępienia, lecz to hrabia Trypolisu ponosi winę.

Moray wzruszył ramionami.

- Cóż, być może masz rację, lecz kiedy rozmawialiśmy o opuszcze niu azylu La Safouri, żona Rajmunda była w oblężonej Tyberiadzie, a mimo to powiedział, że woli ją stracić, niż narazić całą naszą armię na niebezpieczeństwo. Dla mnie to nie trąci zdradą.

33

—Niech będzie. Nie ma sensu kłócić się o to teraz, straty są nie-odwracalne. Musimy się teraz dowiedzieć, co się dzieje na wzgórzu. Możesz to zrobić niezauważenie?

—Tak. Jest takie miejsce wśród skał. Pójdę zobaczyć.

Wrócił już po chwili, zmykając bokiem niczym krab, aby nikt nie zauważył jego głowy ze zbocza.

— Ruszają się - syknął, popychając Sinclaira delikatnie, aby się po-łożył. - Schodzą. Wzgórze roi się od nich i wygląda na to, że idą w tę stronę. Za pięć minut, kiedy nas otoczą, będzie cudem, jeśli nas nie zauważą i nie wywleką stąd, więc zmów pacierze, Alec. Módl się tak, jak jeszcze nigdy się nie modliłeś... ale po cichu.

Niedaleko dało się słyszeć ciche rżenie koni. Kopyta zastukały na kamieniach jakby dokładnie nad miejscem, w którym dwaj mężczyźni leżeli nieruchomo, po czym koń się oddalił. Przez kolejną godzinę leżeli bez ruchu, ledwie oddychając; przy każdym uderzeniu serca spodziewali się, że zostaną znalezieni i pojmani. Nadszedł jednak moment, kiedy — choć pilnie nasłuchiwali - nie było już słychać żadnych ruchów ani głosów, więc Moray w końcu wyczołgał się z kryjówki i rozejrzał.

—Odeszli — oznajmił z wylotu jaskini. - Wygląda na to, że nie zostawili nikogo na wzgórzach. Zdaje się, że całe siły zmierzają teraz w kierunku Tyberiady.

—Tak, tam pójdą najpierw. Teraz, kiedy zniszczono armię, twierdza się podda. Co jeszcze widziałeś?

—Kłęby pyłu ciągnące się z grzbietu w kierunku leżącego na wschód od Tyberiady obozu Saladyna. Jest większy niż miasto. Nie widziałem, kto schodzi, ale ktokolwiek *to* jest, wzbija chmury pyłu, więc grupa jest liczna.

—Prawdopodobne jeńcy wzięci dla okupu i ich eskorta.

—Jeńcy? - Sir Lachlan Moray zastanawiał się chwilę. - Myślisz, że mogą być wśród nich templariusze?

— Dlaczego miałoby być inaczej?

Moray potrząsnął lekko głową.

—Myślałem, że templariuszom nie wolno się poddawać, że muszą walczyć na śmierć i życie.

—Nie można się poddawać w obliczu przewagi liczebnej mniejszej niż pięć do jednego. W wypadku większej masz wybór, a dzisiaj prze-

waga była przygniatająca. Lepiej przeżyć, zostać wykupionym i móc znów walczyć, niż zostać zaszlachtowanym na próżno. Mamy jednak własne obowiązki. Musimy zanieść wieści o tym, co się zdarzyło, do La Safouri, a stamtąd do Jerozolimy, lepiej więc zacznijmy już planować naszą trasę. Jeśli siły Saladyna są rozbite na dwie części, na południe i na wschód od nas, będziemy musieli wrócić tą samą drogą, którą przyszliśmy, i liczyć na to, że uda nam się nie spotkać jego patroli, ponieważ będą one oczyszczać całą okolicę z takich niedobitków jak my. Pomóż mi usiąść.

Kiedy tylko Moray objął go w pasie i zaczął ostrożnie podnosić, Sinclair zazgrzytał zębami z bólu i zbladł, gwałtownie wyprężając się w prawo, byle dalej od złamanego ramienia. Dopiero w ostatniej chwili Moray się odchylił, aby pozwolić rannemu zwymiotować.

Gdy Sinclair leżał, dygocząc i z trudem łapiąc oddech, Moray siedział przy nim, załamując ręce, ponieważ nie przychodziło mu do głowy, jak pomóc przyjacielowi.

W miarę upływu czasu ciężki oddech rannego przychodził coraz lżej. Nagle otworzył oczy.

- Łubki - powiedział słabym głosem. - Musimy nastawić ramię i unieruchomić je w łubkach. Rozejrzyj się za czymś.

Moray ponownie wyczołgał się z kryjówki i zniknął. Kiedy Sinclair znów otworzył oczy, przyjaciel kucał nad nim zatroskany.

- Znalazłeś łubki?

Moray potrząsnął głową.

- Nie, nic, co mogłoby się nadać. Kilka drzewc strzał, ale są zbyt lekkie i nie dość sztywne.

- Włócznie. Potrzebujemy drzewc włóczni.

- Wiem, ale wygląda na to, że Saraceni zabrali po drodze całą broń, jaką znaleźli. Oczywiście zabrali też konie. Będę musiał poszukać wyżej, na wzgórzu.

- Pójdę z tobą, ale po zmroku. Nie możemy tu zostać, a zbyt niebezpiecznie byłoby się rozdzielić. Potniemy moją opończę w pasy i przywiążemy ramię do piersi, aby się nie ruszało, potem oprę się na tobie jak na kuli. Na szczęście w razie potrzeby mogę używać mojego miecza.

Moray kilkakrotnie wychodził na zewnątrz w poszukiwaniu strzał,

którymi usztywnili ramię i owinęli je ciasno; w końcu udało im się zabezpieczyć kończynę tak, że wisiała wygodnie i prawie nie sprawiała bólu. Tymczasem zapadł zmrok i kiedy uznali, że jest dość ciemno, aby wyjść, a zarazem dość jasno, by cokolwiek widzieć, ruszyli w kierunku grzbietu. Wspinaczka była powolna i męcząca - mimo że ramię Sinclaira było skrępowane, nieustanne wstrząsy spowodowane poruszaniem się po nierównym terenie wkrótce dały mu się we znaki. Po pierwszych kilku godzinach wędrówki stracił ochotę na rozmowę; patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem, usta wykrzywiał mu grymas bólu, a jego zdrowa ręka mocno ściskała lewy łokieć Moraya.

Podczas tych pierwszych godzin Lachlan odkrył, że jego przypuszczenie, iż wszyscy Saraceni zeszli z góry, jest błędne. Wybuch niepohamowanego śmiechu ostrzegł go, że on i Sinclair nie są sami. Zostawił towarzysza opartego o stertę głazów i sam poszedł zobaczyć, co się dzieje na szczycie Hattin. Gdy zobaczył grupę kilku sporych namiotów, których pilnowało wielu saraceńskich strażników w świetnych humorach, wrócił i poprowadził przyjaciela w zupełnie innym kierunku, na północny zachód, z dala od Saracenów i wprost do oazy La Safouri. Pierwszej nocy szli od zmierzchu do świtu, nie udało im się jednak pokonać nawet części odległości, do jakiej byli przyzwyczajeni. Pozbawieni koni poruszali się w tempie piechurów, i choć po zejściu ze wzgórza szli szybciej do odległego o dwanaście mil La Safouri, Mo-ray szacował, że po siedmiu godzinach marszu nie pokonali połowy tej

odległości. Mimo to kwaśny smród zwęglonego podszycia osłabł, kiedy tylko oddalili się od pola bitwy. Ciemności pochmurnej nocy miłosiernie osłoniły samo miejsce walki. Tylko dwa razy potknęli się o leżące ciała. Jedno z nich należało do konia - między jego sztywnymi nogami leżał bukłak pełen wody, mogli więc ugasić pragnienie i nabrać energii do dalszego marszu.

Świt przyszedł zbyt szybko, stawiając Moraya w obliczu decyzji, co robić dalej - jego towarzysz o szklanym wzroku ewidentnie nie był zdolny jej podjąć. Znajdowali się wśród wielkich wydm i sir Lachlan wiedział, że będą się prażyć w słońcu niezależnie od tego, co zrobią.

Zdecydował się iść dalej, szukając schronienia i odpoczynku, mimo że Sinclair zataczał się już przy każdym kroku.

Kiedy wyszli spomiędzy wydm, krajobraz był zupełnie inny, usiany skąpą pustynną roślinnością i ostrymi kamieniami. Szybko znaleźli suche koryto strumienia, nazywane przez miejscowych “wadi". Tam Moray usadowił niedomagającego przyjaciela w cieniu niewielkiego nawisu. Napoił go i zostawił w nędznym schronieniu, głęboko śpiącego. Sam, zabrawszy kuszę i kilka bełtów, które uratował z pola bitwy pod Hattinem, poszedł zapolować na cokolwiek, co się ruszało i nadawało do jedzenia. Pustynia to śmiertelnie nieprzyjazne środowisko, Moray wiedział jednak, że jest ona też domem dla zadziwiającej liczby zwierząt. Życie Aleca Sinclaira zależało od niego i jego talentu myśliwskiego, nie myślał więc o własnym zmęczeniu, które przechodziło

już w wyczerpanie. Poruszając się wolno i ostrożnie, aby nie spłoszyć jakiegoś pustynnego stworzenia, które mogło go obserwować, Moray załadował kuszę. Jego oczy i uszy były wyczulone na widok bądź odgłos ruchu.

Najpierw przyciągnął jego uwagę kłąb pyłu; na jego widok Moray się ucieszył, ponieważ oznaczało to, że nadciągają jeźdźcy. Kłąb zbliżał się do niego z kierunku La Safouri, oazy, do której zmierzali wraz z Sinclairem, i przez chwilę sir Lachlan stał na widoku, przyglądając się, jak obłok pyłu rośnie. Raptem - zanim jeźdźcy podjechali na tyle blisko, by móc go widzieć - światło słońca odbiło się w oddali od okrągłej tarczy i zamigotało. Jej kształt widać było wyraźnie. Na ten widok Moray opadł na kolana, a potem na siedzenie i przywarł plecami do najbliższego głazu. Frankowie nie znali okrągłych tarcz, używali ich jedynie muzułmanie. Choć były lekkie i wyglądały na liche, były bez zarzutu.

Siedząc pod kamieniem, ujrzał kolejny tuman pyłu nadciągający z południa na spotkanie z tym z La Safouri i zaklął, ponieważ ocenił, że ich drogi spotkają się właśnie tam, gdzie siedział. Obie grupy poruszały się szybko i Moray wiedział, że ma zaledwie kilka chwil na znalezienie kryjówki.

Zauważył grupę głazów, która nie wyglądała na solidne schronienie, nie miał jednak wyboru. Widząc, że nie ukryje tam kuszy, szybko wykopał płytkie zagłębienie i zasypał w nim broń piaskiem, żywiąc nadzieję, że przykrywa ją na tyle dokładnie, aby zamaskować jej kształt, lecz nie na tyle, aby nie móc jej potem znaleźć. Padł na ziemie

i zaczął się czołgać w stronę głazów, wznosząc do Boga szybką, pełną niepokoju prośbę, aby Sinclair wciąż był nieprzytomny.

Grupa skał składała się z pięciu wielkich kamieni i choć nie było nad nimi nic nawet zbliżonego do dającego ochronę dachu, Moray wśliznął się pomiędzy nie tak, że jego ciało leżało skulone pomiędzy nimi. Kryjówka ta nie była idealna, ale wmówił sobie, że widać go tylko przy bliższym przyjrzeniu się, a poza tym nie był w stanie zrobić nic więcej, ponieważ dudnienie kopyt zmiotło wszystko inne w otchłań. Zgadywał, że w każdej grupie musi być po czterdziestu, może nawet sześćdziesięciu mężczyzn; gwar głosów, który zastąpił tętent kopyt, potwierdził jego przypuszczenie. Był pewien, że słyszy setkę ludzi w świetnych humorach, wymieniających pozdrowienia i wiadomości.

Moray nie mówił po arabsku, lecz był w Zamorzu na tyle długo, aby zaznajomić się z dźwiękami oraz rytmem tego języka, i nie bał się go już tak jak niegdyś. Potrafił też wyłapać pewne kombinacje wymawianych słów, wyrazy i zwroty takie jak “Allah akbar" — “Bóg jest wielki" — być może najczęściej używane przez muzułmanów wyrażenie. Teraz pojedyncze słowo, “Suffiriyya", padało wielokrotnie z obu stron. Wiedział, że *to* arabska nazwa La Safouri, zinterpretował więc otaczające go podniecenie jako znak, że armia Saladyna prawdopodobnie zdobyła oazę, gdy chrześcijanie ruszyli w stronę Tyberiady. Żałował, że nie ma z nim Sinclaira, ponieważ jego przyjaciel świetnie znał arabski i zrozumiałby każde słowo ze strumienia bełkotu płynącego

nad głową Moraya.

Kiedy jedna z hałaśliwych grup zbliżyła się do jego kryjówki, spiął się, oczekując, że zaraz usłyszy skowyt ogłaszający fakt, iż został odkryty. Usłyszał, że zatrzymali się bardzo blisko, i wiedział, że muszą stać dokładnie nad nim, niemal w zasięgu ręki. Po serii pomruków i niezrozumiałych odgłosów ruchu potoczyła się rozmowa w obcym języku pomiędzy trzema lub może czterema głosami. Słuchając ich, wstrzymując oddech i starając się być niewidzialny, Moray poczuł przypływ rozpaczy, kiedy mięśnie jego nóg zaczęły tężeć - wiedział, że skurcze będą straszliwe.

Rzeczywiście: po chwili nastąpiło być może najdłuższe pięć minut w jego życiu, które spędził, leżąc w męczarniach, nie mogąc się ruszyć ani wydać dźwięku, podczas gdy jego udręczone kończyny protestowały przeciwko nienaturalnej pozycji, w jakiej się znajdowały. Mimo

:w

to milczał, koncentrując się na tym, aby rozluźnić mięśnie nóg; w końcu przyprawiający o szaleństwo ból zaczął stopniowo słabnąć. Chwilę później, właśnie kiedy zaczynał się przyzwyczajać do tego, że skurcze ustąpiły, Saraceni także odeszli w odpowiedzi na serię rozkazów wydanych przez donośny, lecz odległy głos, w którym słychać było autorytet. Jedynie odgłos cichnących kroków zwiastował ich odejście.

Coraz cichsze pożegnalne okrzyki pozwoliły Morayowi z łatwością wywnioskować, że pierwsza grupa znów zmierza na południowy wschód, w kierunku Tyberiady, a druga - na rozciągające się na północy

pustkowie. Moray dał im pod dostatkiem czasu na odjazd i kiedy wyłonił się z kryjówki, serce stanęło mu na chwilę - zobaczył, że nie jest sam. Na piasku w pobliżu głazów leżał samotny, najwyraźniej śpiący Saracen. Moray stał jak wryty przez dłuższą chwilę z ręką na oddzielającym ich głazie, zanim zauważył plamy krwi na piasku, na którym leżał mężczyzna.

Ostrożnie, nie ważąc się wydać żadnego odgłosu, posuwał się powoli do przodu, aż usłyszał — a potem zobaczył - chmarę much rojących się nad leżącym. Człowiek ten nie żył, jego tors przebity był bełtem z kuszy, w kolczudze zakrzepła krew, a pod opaleniznę na twarzy kryła się ziemista bladość. Leżał pomiędzy dwiema długimi włóczniami, starannie złożono go na wieczny spoczynek: ramiona miał skrzyżowane na piersi, jego łuk i kołczan leżały obok niego. Gdy Moray mu się przyglądał, stało się dlań jasne, że człowiek ten był wśród swoich dość wpływowy. Jego ubrania i jakość leżących obok inkrustowanego łuku i kołczana świadczyły zarówno o bogactwie, jak i o wysokiej pozycji; jednak jego suta zielona peleryna poczerniała od krwi, a lśniąca koszulka kolcza o drobnych kółkach nie ochroniła go przed zabójczą siłą stalowego bełtu, który wbił metalową siatkę w głąb rany.

Moray początkowo nie rozumiał przeznaczenia dwóch włóczni ułożonych po obu stronach ciała, lecz kiedy się dokładniej przyjrzał, zrozumiał, że tworzą one rodzaj mar. Ich ostre końce oddzielała krótka poprzeczka, zrobiona z ułamanego drzewca innej włóczni, ciasno przywiązanego niegarbowaną skórą, którą namoczono na miejscu i

zostawiono, by wyschła w słońcu. Do tego połączenia przywiązanych było kilka długich, ciasno splecionych warkoczy ze skóry — leżały na stercie na ziemi. Człowiek ten, kimkolwiek był, najwyraźniej został przytroczony do mar ciągniętych potem przez konia, o czym świad-

czyły głębokie ślady wyryte w ziemi przez końce włóczni. Nietrudno było Morayowi wywnioskować, że zmarły musiał być podtrzymywany na noszach przeplatającymi się skórzanymi pasami owiniętymi dookoła dwóch drzewców. Zapewne umarł na krótko, zanim jego eskorta dotarła na miejsce, a ponieważ towarzysze przygotowali jego ciało z taką troską, bez wątpienia mieli zamiar wrócić po nie.

Moray wyszedł zza głazów i tym razem rozejrzał się uważnie - nigdzie nie było widać ani śladu ruchu. Mimo że słońce zaczęło opadać na zachód, horyzont wciąż był daleko, światło więc nieznośnie paliło, tak że głazy - a nawet sam piasek — lśniły i migotały, a ich powierzchnie były zniekształcone zauważalnymi falami gorąca. Szybko przeszukał zwłoki, czepiając się nadziei, że znajdzie bukłak wody, poza łukiem i kołczanem pełnym strzał nie znalazł jednak nic cennego. Zmarły nie miał przy sobie miecza ani sztyletu - najprawdopodobniej jego towarzysze zabrali je na przechowanie.

Moray podniósł inkrustowany łuk, zarzucił kołczan na ramię i wyruszył na poszukiwanie przyjaciela. Kiedy wrócił, twarz wciąż nieprzytomnego Sinclaira poryta była głębokimi zmarszczkami, a jego czoło rozpalone gorączką. Sir Lachlan niepokoił się coraz bardziej, ponieważ

wiedział, że chcąc zapewnić przyjacielowi pomoc, będzie musiał albo bezpiecznie i szybko zaprowadzić Sinclaira pomiędzy swoich, albo oddać ich obu na łaskę Saracenów. Ta druga możliwość była nie do pomyślenia, zdecydował więc, że przez resztę dnia będą odpoczywać, po czym wraz z zapadnięciem nocy podejmą marsz. Dokąd jednak mieli pójść, teraz, gdy La Safouri było dla nich niedostępne? Jedynym rozwiązaniem, które przyszło mu do głowy, był powrót w stronę Nazaretu. Obraz ten był ostatnim, jaki pojawił się w umyśle Moraya tego popołudnia, zanim zasnął skulony obok Aleksandra Sinclaira.

3

Ki edy Moray obudził się jakiś czas później, z wielką ulgą zauważył, że Sinclair jest przytomny i wygląda lepiej, lecz jego optymizm uleciał po pierwszych słowach, które padły z ust przyjaciela, wypowiedzianych słabym szeptem. Twarz templariusza była wymizerowana, jego błyszczące od gorączki oczy patrzyły niewidząco, a gałki oczne były głęboko zapadnięte. Leżący teraz przed nim Aleksander Sinclair ledwo przypominał pełnego życia człowieka, z którym Moray rozmawiał dzień wcześniej.

Jednak - nie wiedząc nawet, ile z tych wiadomości dociera do pogrążonego w letargu Sinclaira - Moray cierpliwie opowiedział mu o wszystkim, co stało się tego dnia, i wyjaśnił, że będą teraz musieli spróbować podążyć na południowy zachód, w stronę Nazaretu, znów maszerując nocą w celu uniknięcia spotkania z lotnymi patrolami Sa-racenów. Martwił się jedynie o to, że Sinclair może nie podołać całonocnemu marszowi. Przyjaciel uspokoił go, zamykając oczy i przywołując na twarz cień uśmiechu. Powiedział swoim słabym, matowym głosem, że będzie w stanie iść całą noc, pod warunkiem iż Moray będzie go podtrzymywał i wskazywał mu właściwy kierunek.

To proste, dane w tak dzielny i niewinny sposób zapewnienie było biletem do piekła dla Lachlana Moraya, albowiem po godzinie od jego złożenia Aleksander Sinclair zaczął tracić zmysły. Przez cały ten czas był czujny i wyglądał na przytomnego, lecz kiedy Moray ostrożnie podniósł go na nogi, podtrzymując cały jego ciężar ramieniem, którym

obejmował jego plecy, siły natychmiast opuściły Sinclaira i opadł bezwładnie, mdlejąc. W okamgnieniu zamienił się z łatwego do utrzymania brzemienia w martwy ciężar i niemal pociągnął Moraya za sobą. Dyszący bezużyteczne słowa zachęty sir Lachlan zdołał położyć go znów na ziemi, nie upuszczając go na złamane ramię,

potem ukląkł nad przyjacielem, przyglądając się z konsternacją jego trawionej bólem twarzy i czując przypływ rozpaczy spowodowanej beznadziejnością sytuacji.

Kiedy klęczał nad Sinclairem, patrząc w pozbawioną wyrazu twarz rannego, jego umysł nagle podsunął mu skojarzenie z innym starym przyjacielem, krewniakiem i byłym dowódcą Lachlana, lordem Geor-ge'em Morayem, który dwa lata wcześniej odniósł ciężkie rany i spodziewano się, że umrze.

To, że szkocki szlachcic nie zmarł i wrócił do zdrowia, zawdzięczał wysiłkom jednego człowieka, syryjskiego medyka o nazwisku Imad Al-Aszraf. Lachlan Moray bardzo wyraźnie pamiętał Imada Al-Aszra-fa, ponieważ uratował on lordowi Jerzemu życie za pomocą magicznego białego proszku, który uśmierzył ból jego lordowskiej mości i zesłał na niego sen na tak długo, że jego poranione ciało zdążyło wyzdrowieć.

Moray sięgnął do sakwy wiszącej u jego pasa, wsadził do środka palec wskazujący i kciuk, po czym chwycił nimi mały woreczek z miękkiej koźlęcej skóry, wszyty na spodniej stronie klapy. Zanim lord

Jerzy zupełnie wyzdrowiał, Al-Aszraf został wezwany do jakiegoś nagłego przypadku, oświadczył jednak, że najgorsze już minęło i jego lordowska mość będzie od tej pory zdrowiał bez pomocy medyka, pod warunkiem że nie zrobi nic niedorzecznego, co mogłoby narazić go na niebezpieczeństwo. Lachlan, który prawie nie opuszczał lorda od czasu wypadku, zapewnił syryjskiego medyka, że osobiście dopilnuje, aby nic takiego się nie stało. Al-Aszraf skłonił głowę z szacunkiem i uznaniem dla tej przysięgi, a przed wyjazdem wręczył Morayowi paczuszkę zawierającą osiem starannie odmierzonych dawek magicznego białego proszku, który nazwał opiatem. Ostrzegł Moraya przed zagrożeniami płynącymi z podawania specyfiku nieuważnie lub zbyt często, po czym poinstruował rycerza co do objawów, których powinien szukać przed podaniem lekarstwa rannemu. Kiedy Moray wykazał dość zabobonny szacunek dla tych informacji, Al-Aszraf nauczył go, jak mieszać i podawać lek, który zarówno usuwał ból — lub choćby jego świadomość - jak i usypiał przyjmującego.

Moray podawał cztery z ośmiu dawek lordowi Jerzemu w późniejszych stadiach powrotu do zdrowia. Za każdym razem zdumiewało go, z jaką szybkością pod wpływem podanej mikstury chory

tracił przytomność, najwyraźniej nawet nie mając siły wiercić się we śnie.

Od tamtej pory Moray nosił przy sobie cztery pozostałe dawki, żywiąc irracjonalne, lecz głębokie przekonanie, że pewnego dnia może potrzebować ich magicznej mocy.

Zacisnął teraz palce na woreczku, lecz wahał się, czy go wyciągnąć. Nawet jeśli biały proszek pomógłby Sinclairowi, wykluczyłby wyruszenie tego dnia, ponieważ pogrążyłby rannego w głębokim, wielogodzinnym śnie. Lecz Sinclair najwyraźniej cierpiał katusze.

Moray w końcu się przełamał, powoli wyciągnął woreczek i z narastającą ekscytacją otworzył małą, starannie zapakowaną w cienki, biały muślin dawkę, wsypał ją do swojego kubka i wymieszał z wodą. Podtrzymując głowę Sinclaira, pomógł mu wypić zawartość kubka, aby nie uronił ani kropli.

Potem znów położył wygodnie przyjaciela na ziemi. Sinclar usnął głęboko, a jego oddech uspokoił się i wzmocnił. Moray poczuł przypływ wdzięczności i zaczął się zastanawiać, co się z nimi stanie: byli bowiem bezradni, nie mogli się ruszyć i kończyła im się woda, a Moray wiedział, że co najmniej jeden muzułmański patrol powróci w to miejsce, aby odebrać zmarłego towarzysza.

Wtedy przypomniał sobie przyrząd, za pomocą którego przez tyle mil ciągnięto zmarłego za koniem. Sam ten pomysł dodał mu sił i Moray pospieszył na zewnątrz, w światło późnego popołudnia. Poruszał się

schylony; ostrożnie wychylił głowę nad brzeg chroniącego ich wadi, nie wykonując żadnych ruchów, które mogłyby zdradzić jego obecność, aż się upewnił, że jest sam.

Moray szybko pokonał ćwierć mili między wyschniętym korytem a grupą głazów. Spróbował zepchnąć martwego muzułmanina z prowizorycznych mar, lecz odkrył, że ciało już zesztywniało i trudno było nim teraz manipulować. Wkrótce jednak się udało i Moray pozbierał konstrukcję. Rama z powiązanych włóczni wyglądała na solidną, lecz zaskoczyła go waga zwojów skórzanych warkoczy, które zarzucił sobie na ramiona: trudno mu było nawet pochylić się i podnieść kuszę i bełty. W ciągu półgodziny wrócił do wadi, ciągnąc za sobą konstrukcję.

Gdy się nachylił nad przyjacielem, aby dotknąć jego czoła, zauważył, że oddycha on głęboko i regularnie i że chrapliwe, ostre rzężenie do-

biegające z jego gardła ucichło. Moray miał już dokładny plan działania, który uważał za wykonalny, pod warunkiem że udałoby mu się najpierw ująć w łubki złamane ramię Sinclaira.

Miał do dyspozycji dwa rodzaje broni: kuszę wraz z szes'cioma stalowymi bełtami długości stopy oraz inkrustowany łuk o dwóch wygięciach z kołczanem ponad dwudziestu pięknie upierzonych strzał. Wybrał bełty. Wstał, ze znużeniem zdjął płócienną opończę, kolczugę i nogawice, rzucił je niedbale na piasek i schylił się, aby przeciąć paski podtrzymujące ciężki pancerz kolczy przyjaciela. Z niego także zdjął kolczugę i nogawice - ponad dwadzieścia dwa kilogramy stalowych ogniw - wiedząc, że zbroja nie przyda im się na nic, jeśli Saraceni ich schwytają. Odłożył stertę kolczug na bok, a kiedy cierpliwie wmanewrował złamane ramię Sinclaira we własny skórzany kaftan bez rękawów, był w stanie ostrożnie owinąć nim rannego i już bez większych problemów przełożyć jego drugie ramię przez otwór. Potem zacisnął pas Sinclaira dookoła jego talii i zmęczony opadł na kolana przy przyjacielu, myśląc o czekającym go zadaniu: nastawieniu złamanego ramienia towarzysza.

Nie czuł się swobodnie, mając w perspektywie tę czynność. Klęcząc na piaszczystej ziemi, powtarzał w myślach, co musi zrobić, przeklinając samego siebie, że nie uważał bardziej, kiedy widział, jak inni wykonują taki zabieg. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że być może któregoś dnia to on będzie musiał go wykonać. “Słodki Jezu, Alec

-pomyślał - nie obudź się, dopóki nie skończę".

Nabrał głęboko powietrza, pochylił się i ostrożnie odciął liche łubki zrobione ze strzał, które założył poprzedniego dnia. Zacisnąwszy zęby, pociągnął złamane ramię, czując tarcie luźnych kości. Kiedy upewnił się, że ramię znajduje się w pozycji w miarę zbliżonej do naturalnej, uciął kilka długości skórzanej liny, którą środek transportu martwego muzułmanina przywiązany był do konia. Podarł resztki białej opończy Sinclaira w pasy, czterema z nich okręcił złamaną kończynę w okolicach łokcia, troskliwie je zawiązując, po czym ostrożnie wsunął sześć stalowych bełtów na przemian pod i nad materiał w taki sposób, że każdy był podtrzymywany przez co najmniej dwa pasy. Kiedy się upewnił, że znajdują się na właściwym miejscu, obwiązał je po raz kolejny, tym razem ciasno, aż otoczyły złamaną kończynę stalową klatką rozciągającą się od nadgarstka do bicepsa. Potem użył

dwóch dłuższych kawałków liny, aby przywiązać ramię Sinclaira do jego ciała.

Zaciągnął wciąż nieprzytomnego przyjaciela do noszy. Zmagał się z jego bezwładnym ciężarem, przemieszczając go i ciągnąc, aż wyglądało na to, że jest rozłożony równomiernie na pasach wiążących włócznie, po czym przez jakiś czas skracał i dopasowywał uprząż wcześniej zakładaną koniowi, z mozołem wiązał na niej węzły, tak że wyszła mu prymitywna uprząż z siatki. Choć przypominała nieco sieci, którymi jako chłopiec łowił w Szkocji łososie, miała rozłożyć ciężar na jego klatce piersiowej i ramionach. Gdy już nie miał nic innego do zrobienia, wypił odrobinę wody i położył się, aby przespać ostatnią godzinę dnia.

Moray obudził się wkrótce po zmroku i dalej wyglądało na to, że Sinclair się nie poruszył i oddychał miarowo, wciąż powalony działaniem cudownego proszku Syryjczyka. Sir Lachlan napił się znów wody z bukłaka, umieścił worek bezpiecznie na marach obok Sinclaira i przywiązał go do pasów obok łuku oraz kołczana Sarace-na. W końcu bez większych trudności włożył ramiona w uprząż i zacisnął więzy na piersi, po czym ruszył w drogę. Uprząż dobrze spełniała swoje zadanie i Moray zaparł się w niej jak koń pociągowy w zaprzęgu. Jego wielkie mięśnie stosunkowo łatwo radziły sobie z ciągnięciem ciężkiego ładunku. Czuł się o wiele swobodniej bez kolczugi i był wdzięczny za jasne światło księżyca. Słyszał tylko odgłos własnego stąpania po ubitym, smaganym wiatrem piasku i chrzęst wydawany nieprzerwanie

przez końce włóczni żłobiące za nim równoległe ślady.

Zdążył stracić poczucie czasu i przestrzeni, kiedy Sinclair stęknął i poruszył się gwałtownie, zakłócając rytm jego ciężkich kroków, tak że niemal stracił równowagę. Moray zatrzymał się z ulgą, zdjął uprząż i obracając się, spróbował ostrożnie obniżyć bliższy sobie koniec noszy, aby nie sprawić bólu rannemu.

- Gdzie, na Boga, jesteśmy?

Moray zauważył, że głos Sinclaira jest wyraźnie mocniejszy. Wspiął się na palce i przeciągnął z całej siły, wymachując ramionami, aby rozluźnić stawy barkowe.

-1 dlaczego nie mogę się ruszyć? Do czego jestem przywiązany?

Moray zmierzwił przyjacielowi włosy.

- I ciebie niech Bóg błogosławi, Alec. Czuję się świetnie, dzięku
ję, przecież tylko przeciągnąłem ogromny ciężar twojego wielkiego,
nieszczęsnego tyłka przez pół pustyni. Lecz co za ulga słuchać twoich
narzekań i wnioskować z nich, że i ty czujesz się dobrze. — Ton jego
głosu spoważniał. - Nie możesz się ruszać, ponieważ jesteś związany
jak świńska tusza, a jesteś związany, bo tylko tak mogłem powstrzy
mać cię przed wywijaniem ramieniem. Jest poważnie złamane, z bólu
dostałeś gorączki, przewracałeś się z boku na bok i bredziłeś. Zrobiłem
ci łubki z bełtów do kuszy. Przywiązałem cię do jedynego dostępnego
środka transportu w nadziei, że dotrzemy do jakiegoś bezpiecznego
miejsca. Wszędzie pełno Saracenów. Gdzie jesteśmy? Nie mam poję
cia. Gdzieś na pustyni, zmierzamy na południowy zachód, w stronę
Nazaretu, ponieważ nie przyszło mi do głowy żadne inne miejsce.
Podsłuchałem rozmowę dwóch saraceńskich patroli. Saladyn przejął
kontrolę nad La Safouri, więc tam nie znajdziemy azylu. Pożyczyłem
to, na czym leżysz, od zwłok, które zostawili Saraceni. Od tamtej pory
wlekę cię przez Zamorze.

Sinclair zmarszczył brwi.

- Wleczesz mnie? Jak?

- Za pomocą lin i skórzanej uprzęży.

- Jak koń?

Moray uśmiechnął się szeroko i sięgnął po bukłak z wodą.

- Tak, to samo i mnie przyszło do głowy. Jak koń pociągowy. Widzisz, do czego mnie doprowadziłeś?

- Mówiłeś, że wszędzie jest pełno Saracenów. Dlaczego?

- Nie wiem. Być może szukają uchodźców takich jak my, ludzi, który uciekli spod Rogów Hattinu. Bogu niech będą dzięki, wyglądasz już lepiej. Napij się.

Ukląkł i podsunął Sinclairowi bukłak, a kiedy ranny skończył pić, rozejrzał się po oświetlonym światłem księżyca pustkowiu.

- Nie masz pojęcia, gdzie jesteśmy?

- Na południe i zachód od Hattinu i Tyberiady. Pokonaliśmy cztery staje, może pięć. Ciągnąc cię, musiałem przejść co najmniej pięć mil, a całą wczorajszą noc maszerowaliśmy. Pamiętasz?

Sinclair wyglądał na urażonego.

- Oczywiście, że to pamiętam. - Zawahał się. - Choć niewiele więcej.

- Podałem ci lekarstwo, które noszę w sakwie, i spałeś godzinami. Bardzo cię boli?

Sinclair wykonał ruch podobny do wzruszenia ramionami.

- Niezbyt. Czuję ból, ale jakby odległy.

- Tak, to właśnie działanie leku. Później podam ci kolejną dawkę.

- Bądź przeklęty, jeśli to zrobisz. Nie potrzebuję lekarstw.

Moray wzruszył ramionami.

- Nie teraz, to jasne. Ale kiedy znów ogarnie cię gorączka, to ja

zdecyduję. - Po chwili zerknął w niebo, jakby spodziewając się ujrzeć chmury. - Musimy iść dalej. Księżyc jest wysoko, więc jeszcze przez godzinę, dwie będzie widno, lecz potem droga może być trudna dla nas obu.

-Więc rozglądaj się za kolejnym miejscem, w którym jutro moglibyśmy się schronić. Strata godziny czy dwóch w ciemnościach nie zrobi dużej różnicy w naszej podróży, jeśli nie wiemy, gdzie jesteśmy ani dokąd idziemy. Co z wodą... mamy dość?

- Mamy tyle, ile jest w tym bukłaku. Potem jesteśmy na łasce Boga.

- Jesteśmy na piaskach Boga, Lachlan, i pewnie tu umrzemy, jeśli On nam nie pomoże.

- Cóż, jutro się okaże. Na razie ja będę szedł, ty odpoczywaj. -Moray odłożył bukłak na miejsce i dokładnie go przywiązał, po czym znów wciągnął uprząż i ruszył.

Nie rozmawiali już ze sobą, ponieważ wiedzieli, jak daleko mogą się nieść dźwięki podczas nocy na pustyni, a nie mieli ochoty zwrócić uwagi niepożądanego towarzystwa. Moray szybko wpadł w rytm ciężkich kroków, którymi poruszał się od kilku godzin, lecz już narastało w nim zmęczenie. Zacisnął zęby, zmusił się, by nie czuć rwącego bólu w łydkach i udach, i skupił się wyłącznie na nieprzerwanym rytmie kolejnych kroków.

Jakiś czas później pełen bólu jęk Sinclaira sprawił, że Moray ocknął się i zatrzymał. Z zaskoczeniem ujrzał, że otaczający go krajobraz całkowicie się zmienił - przeszedł z jednej strefy pustyni w inną, nie

zdając sobie z tego sprawy.

- Alec? Jesteś przytomny?

Sinclair nie odpowiedział. Moray omal nie zdjął uprzęży; miał teraz poczucie, że wpija się ona w jego ciało. Wyprostował się z trudem i rozejrzał uważnie. Księżyc widniał nisko na niebie, lecz w jego wciąż dość intensywnym świetle rycerz mógł dostrzec otoczenie na tyle wyraźnie, aby widok terenu rozciągającego się przed nim wprawił go w zdumienie. Ziemia pod jego stopami była teraz twarda, wychłosta-na wiatrem do podłoża skalnego. Moray stał na skraju czegoś, co wyglądało na wielką, nachyloną nieckę. Był to rozległy, niemal okrągły płat równiny o średnicy ponad pół mili, upstrzony wielkimi głazami, z każdej strony - poza miejscem, gdzie stał Moray - otoczony niebotycznymi, gładkimi ścianami piasku. Światło księżyca i cienie malowały na srebrno i czarno ogromne zbocza tych przypominających góry wydm, które piętrzyły się po obu stronach, zasłaniając Morayowi horyzont, przyćmiewając gwiazdy. Kiedy tak stał, słysząc jedynie walenie własnego serca, uświadomił sobie ciszę nocy: otaczał go bezruch, nawet najcichszy dźwięk nie zakłócał całkowitego spokoju.

- Alec, słyszysz mnie? - Wciąż nie było odpowiedzi, lecz Moray szybko znów przemówił, jakby ją usłyszał. - Jesteśmy w innym miej scu, ale jeśli chodzi o znalezienie schronienia, wygląda ono obiecu jąco. Niedaleko przed nami leżą głazy i znajdziemy tam kryjówkę, w której słońce nas jutro nie usmaży. Jest późno, księżyc prawie za szedł, a ja jestem zbyt zmęczony, by iść dalej, więc tam się zatrzyma my. Potem będę spał, być może cały dzień. Ale najpierw podam ci

więcej tego lekarstwa, którego nie chcesz zażywać, jeśli będę w stanie znów zmusić moje stopy, by się poruszyły. Poczekaj, spróbuję.
Pochylił się w uprzęży i po kilku pierwszych chwiejnych krokach wpadł w miarowy rytm, który pozwolił mu godzinami maszerować przed siebie. Po kwadransie był już blisko największej sterty głazów i zobaczył, że jest tam mnóstwo szczelin i pęknięć dość dużych, aby z łatwością pomieścić ich obu. Położył mary Sinclaira na ziemi, z ogromnym bólem wyplątał się z zatopionej w udręczonym ciele sieci pasów oraz postronków. Kiedy pochylił się, by sprawdzić oddech przyjaciela, Sinclair otworzył oczy.
- Lachlan. To ty. Śniłem. Gdzie jesteśmy?
- Zgadnij. Masz taką samą szansę, aby zgadnąć prawidłowo, jak ja. - Moray masował prawe ramię, zataczając łokciem koła i wykrzywiając twarz z bólu. — Niech to diabli, Sinclair, ciężki z ciebie ładunek.

Czuję się tak, jakbym od urodzenia wlókł za sobą zdechłego konia.
-Machnął ręką, widząc przepraszającą minę. — Zrobiłbyś dla mnie to samo. Ale nie mogę się doczekać, kiedy znów będziesz mógł stanąć o własnych siłach i iść. Wtedy będziesz mógł mnie pociągnąć. - Stęk-nął i zajął się drugim barkiem. - Chyba znalazłem miejsce, w którym będziemy mogli jutro odpocząć i schronić się od słońca. Zostawię cię tu i pójdę sprawdzić. Tymczasem powinieneś się pomodlić i podziękować Bogu, że byłem dość sprytny, aby się pozbyć naszych zbroi, zanim wyruszyliśmy na tę małą wycieczkę. Zaraz będę.

Wrócił po chwili z dziwnym wyrazem twarzy, więc Sinclair, odchrząknąwszy, zapytał:

- O co chodzi? Nie znalazłeś dla nas miejsca?

Moray potrząsnął głową.

- Modliłeś się? Na pewno tak. Miałem nadzieję, że znajdę szczelinę między głazami, która nas ochroni. Zamiast tego znalazłem jaskinię... do niedawna ktoś w niej mieszkał. Znalazłem zapas czerstwego, ale zdatnego do jedzenia chleba oraz wodę, daktyle, suszone mięso i torbę suszonego nawozu wielbłądziego i końskiego na opał. Gdyby nie to, że tak długo jestem w tej przeklętej Ziemi Świętej, uznałbym to za cud. W tej sytuacji jednak jest to łut szczęścia, który takiemu cynikowi jak ja ledwie mieści się w głowie.

- Któż mógłby tu mieszkać?

- Jakiś nomada. Jest ich tu całkiem sporo. Któż inny wpadłby na to, by gromadzić wysuszony nawóz?

- Ale... sądzisz, że wciąż może gdzieś tu być?

Moray zgarbił się i podniósł mary za krótki, poprzeczny pas uwiązany u ich zwieńczenia, rzucając kłąb pasów na nogi Sinclaira.

-Wątpię - rzekł, stękając z wysiłku. - Kimkolwiek był, teraz jest pewnie w La Safouri lub w Tyberiadzie, świętując naszą porażkę. Ponieważ wygląda na to, że modlisz się skutecznie, módl się, bym miał rację. Tak czy owak, niedługo się dowiemy. Teraz połóż się, to nieda-leko.

Sinclair obudził się wraz ze światłem świtu. Paliło go ramię, ból wy-

dawał mu się żywą istotą, którą czuł gdzieś w przełyku. Od razu wie-
dział, że ma złamane ramię, lecz na początku nie był świadom, gdzie

się znajduje ani jak tu trafił. Usłyszawszy cichy odgłos, odwrócił głowę i ujrzał sylwetkę Moraya rysującą się w porannym blasku na tle wyjścia z jaskini; przypomniał sobie wszystko. Usiłował go zawołać, lecz gdy przy pierwszej próbie mu się nie udało, zwilżył suche usta językiem i zachrypiał:

- Lachlan.

Moray stał nieruchomo, opierając się ręką o skraj szczeliny skalnej. Coś przykuło jego uwagę w oddali.

- Lachlan, o co chodzi? Co widzisz?

Moray wyprostował się i rozluźnił. Odwrócił się i podszedł do Sinclaira zdecydowanym krokiem.

- Sępy - powiedział, jakby słowo to wyjaśniało wszystko. - Zoba czyłem, jak krążą, kiedy wyszedłem się wysikać, i obserwowałem je, aż ostatni z nich odleciał.

Sinclair miał wrażenie, że coś zupełnie oczywistego uszło jego uwagi.

- Nie rozumiem. Tu, na niebie pustyni, zawsze są sępy. Zawsze co najmniej jeden...

- Tak jest, dopóki coś nie zdechnie, bo wtedy gromadzą się całymi stadami jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Nikt nie ma pojęcia, skąd one to wiedzą, ale zawsze tak się dzieje.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Były ich dziesiątki, Alec, a teraz nie ma ani jednego. Wylądowały i żerują... jestem pewien, że na martwych ludziach, ponieważ tylko duże zwłoki przyciągnęłyby ich aż tyle. Nie są też zbyt daleko stąd.

- Wciąż nie rozumiem.

- Słuchaj, jesteśmy tutaj w wielkich tarapatach. Dzięki naszemu nieobecnemu, samotnemu gospodarzowi mamy trochę jedzenia, lecz zjedliśmy większość wczoraj wieczorem. Zapasów wody jest niewiele więcej. Jeśli tam, na piasku, w naszym zasięgu, leżą ciała, być może są przy nich zapasy i woda, które możemy wziąć. Muszę tam pójść i sprawdzić, najlepiej od razu, ponieważ nie podoba mi się odcień nieba. Powietrze jest śmiertelnie nieruchome i parne, być może czekają nas burze. Oprę twoje nosze o ten niski występ skalny, żebyś nie leżał na ziemi i żeby było ci wygodnie, a potem zostawię cię tutaj na cały ranek. Nie powinno zająć mi to więcej czasu. Oszacowałem odległość na podstawie rozmiaru ptaków. Sądzę, że dotarcie tam potrwa godzi-

nę, może nieco więcej, powrót tyle samo, więc powinienem wrócić przed południem.

- Czego użyjesz, aby je odganiać?

Moray uśmiechnął się.

- Odganiać sępy czy zwłoki? Wezmę ze sobą łuk muzułmanina. Jak twoje ramię?

- Sprawia wrażenie, jakby się paliło. Parzy, ale prawie nie boli, chyba że o coś nim uderzam.

- Tak myślałem. Mam kolejną paczuszkę proszku, który podałem ci wcześniej, i sprawisz mi przyjemność, zażywając go bez skarg. Pierwsza dawka świetnie ci zrobiła, więc kolejna powinna zadziałać jeszcze lepiej. Jeśli w ciągu dnia twój stan poprawi się tak jak wczoraj, będziesz w stanie iść o własnych siłach i nie będę już musiał łamać sobie grzbietu.

Zajął się mieszaniem proszku z wodą, a kiedy skończył, Sinclair połknął posłusznie miksturę.

- Alec, nie powinno mi to zająć zbyt dużo czasu, ale jesteśmy na pustyni, więc rozsądnie jest przygotować się na wypadek, gdyby mój powrót się opóźnił. Mogę się zgubić, mogę nawet spotkać wiernych Allaha. Nie jesteś dość silny, aby mnie szukać. Zostawię ci tę torbę jedzenia. Zawieszę ją nad tobą, na kołku, razem z nią bukłak z wodą. Wezmę ze sobą trochę jedzenia i mniejszy bukłak, bo jest lżejszy.

Pochylił głowę, uśmiechając się do walczącego z wpływem silnego opiatu Sinclaira, którego spojrzenie spod trzepoczących rzęs było teraz

senne i tępe.

- Alec? Słyszysz mnie? Zamykasz oczy. Czy będziesz pamię...

4

Kiedy Sinclair się obudził, jaskinia pełna była wirującego piasku i upiornego wycia wiatru. Usta i nozdrza miał zatkane, tak suche, że nie był w stanie nawet splunąć, aby je oczyścić. Czuł przygniatające przerażenie. Usiłował się ruszyć, lecz uniemożliwiało mu to związane ramię. Kilka razy próbował dosięgnąć bukłaka, lecz wiatr udaremnił jego wysiłki. Przez otchłań kłębów dymu słabo sączyło się światło, co oznaczało, że na zewnątrz wciąż jest trochę widno, choć wydawało się, że to raczej światło zmierzchu. Moray okrył wcześniej jego ramiona ostatnim kawałkiem jego podartej opończy. Sinclair owinął nim teraz głowę drżącą ręką, jak najszczelniej zakrywając twarz. Martwił się, że nie będzie w stanie oddychać, lecz bardziej obawiał się burzy piaskowej. Następnie, po zmaganiach z ciasno podwiązaną ręką, udało mu się odwrócić na prawy bok. Był zwrócony plecami do wyjścia jaskini. Ogłuszający hałas szalejącego wiatru nie ustawał, lecz kiedy Sinclair leżał na boku, zdrową ręką przytrzymując fałdy materiału na twarzy, było mu łatwiej oddychać.

Następną świadomą myślą Sinclaira było to, że obudziła go cisza, grobowa w porównaniu ze zgiełkiem potwornych snów, które — bezkształtne, lecz wypełnione przeraźliwym hałasem - pokutowały w zakamarkach jego pamięci. Przez pewien czas leżał nieruchomo z zamkniętymi oczami, koncentrując się na całkowitym bezruchu, który go otaczał; dopiero kiedy w końcu spróbował unieść powieki, zorientował się, że coś jest bardzo nie w porządku, ponieważ choć drgały posłusznie,

coś uniemożliwiało ich ruch. Ogarnięty paniką Sinclair wciągnął szybko powietrze i sięgnął gwałtownie twarzy obiema rękami. Zapomniał, że jego lewe ramię jest ciasno przywiązane, lecz prawa ręka zerwała się wystarczająco szybko i wylądowała ciężko na czymś, co przypominało w dotyku materiał, przykryty piaskiem i spowijający

jego twarz. Sinclair, wciąż przerażony, chwycił go kurczowo, usiłując zerwać z siebie, odkrył jednak, że materiał jest owinięty dookoła jego głowy. Wciąż ściskał palcami spowijające go więzy, po czym powoli rozluźnił mięśnie i opadł na pasy mar. Nagle uświadomił sobie, że jego koszmary były prawdziwe. Śnił o pełnym zamętu hałasie, o obłąkanych wrzaskach mnóstwa skazanych na potępienie dusz oraz kłębach drażniącego dymu, które groziły tym, że zduszą w nim życie i cisną go do piekieł. Lecz nie był to sen.

Co takiego powiedział Lachlan? “Powietrze jest śmiertelnie nieruchome i parne, być może czekają nas burze". Miał więc rację. Gdzie jest teraz? Nie było go w snach.

- Lachlan? Jesteś tu?

Odpowiedziała mu cisza, Sinclair jednak nie był zaskoczony. Lachlan Moray musiał być na zewnątrz, kiedy rozpętał się ten kataklizm, i niewielka była szansa, by odnalazł ich jaskinię w takich warunkach.

Sinclair pochylił się do przodu i ostrożnie uwolnił głowę od resztek białej opończy.

W śmiertelnej ciszy próbował w miarę możliwości ocenić swój stan.

Jeśli miał przeżyć, wiedział, że musi dokonać tego o własnych siłach. Zgiął palce lewej ręki i poczuł, jak się ruszają, nieznacznie, lecz na szczęście bezboleśnie. Ból zniknął - lub zelżał - a Sinclair czuł się przytomny i zdrowy. Musiał teraz wstać. Doświadczenie podpowiadało mu, że nie będzie to łatwe z lewym ramieniem przywiązanym sztywno wzdłuż boku. Spróbował przerzucić nogi na prawo, a kiedy się nie ruszyły, w piersi Sinclaira znów eksplodowało przerażenie. Zastanawiał się, co tym razem jest nie tak. Otworzył oczy, czując wielką ulgę, że nie sprawia mu to bólu, po czym podparł się na łokciu, aż mógł spojrzeć w dół, opierając podbródek na piersi. Olśniewający blask po jego lewej oznaczał, że na zewnątrz panuje dzień, lecz kobierzec piasku, który leżał dookoła i przykrywał Sinclaira do połowy, sprawiał, że wnętrze jaskini wyglądało na przytłumione i zgaszone.

Dziękował Bogu, że Lachlanowi przyszło do głowy, aby oprzeć górny koniec jego mar o występ skalny. Gdyby nie to, piasek przykryłby go całkowicie i udusił podczas jego wywołanego narkotykiem snu. Uspokoiwszy się, skupił się na poruszaniu najpierw jedną nogą, potem drugą, kopał i zginał z wielką trudnością kolana do chwili, kiedy obie nogi wyzwoliły się spod piasku. Potem wykręcił ciało powoli

w prawo, mocno chwycił leżący po tej stronie drążek i podciągając się na nim, postawił stopy na piasku pokrywającym podłoże jaskini, aż w końcu usiadł na noszach.

Przy trzeciej próbie zdołał chwiejnie stanąć na nogach, kurczowo

trzymając się drążka, który podniósł się wraz z nim. Na sterczącym ze ściany kołku wciąż wisiała torba jedzenia i bukłak oraz pas z jed-nosiecznym sztyletem w pochwie. Sinclair umieścił pochwę między swoim ciałem a związanym ramieniem i wyciągnął z niej ostrze długości stopy. Trzy cięcia uwolniły usztywnione łubkami ramię, lecz jego waga — zwiększona o ciężar bełtów z litej stali - natychmiast dała się we znaki jego barkowi, przywołując echa bólu odczuwanego poprzedniego dnia. Upuścił sztylet na ziemię, sięgnął po wiotki bukłak i kiedy tylko poczuł jego ciężar, wiedział, że utrzymanie go jedną ręką nie będzie łatwe. Przypomniał sobie, że jest tam też kubek Lachlana, i to niedaleko, gdzieś pod piaskiem.

Rozejrzał się za najwygodniejszym siedziskiem, po czym powoli usiadł na występie, o który oparte były jego nosze. Oparł bukłak na kolanie, przegrzebał piasek palcami, aż znalazł kubek i ścisnął go mocno między kolanami. Wyciągnął korek bukłaka zębami i bardzo wolno, nieznośnie ostrożnymi ruchami przemieścił nieporęczne, chwiejące się naczynie tak, że leżało wzdłuż jego przedramienia. Pochylając ciało w przód i na bok, z uwagą akrobaty balansującego na linie, zbliżył odblokowaną szyjkę do brzegu kubka i powoli nalewał do niego cenny płyn, aż wypełnił kubek do połowy. Rozlał ledwie kroplę wody, lecz musiał znów usiąść prosto i zatkać bukłak, zanim mógł go odłożyć i zająć się kubkiem.

Dokładnie wypłukał usta; przy drugim łyku poczuł w ustach więcej wody niż piasku. Potem pił wodę małymi łykami, przyglądając się

zmarszczkom na powierzchni płynu spowodowanym drżeniem jego ręki i myśląc o tym, że nigdy wcześniej nie zaznał tak słodkiego, czystego smaku. Czuł, jak znów budzi się w nim życie.

Rozejrzał się po obszernej jaskini. Po Lachlanie Morayu nie było nawet śladu. Odsuwając myśl, co to może oznaczać, Sinclair otworzył torbę z jedzeniem i znalazł kilka płaskich, twardych krążków przaśne-go chleba, garść zaskakująco świeżych daktyli zawiniętych w materiał, twardą bryłę - jak zgadywał - koziego sera oraz kilka kawałków su-szonego mięsa. Nie czuł głodu, lecz gdy przeżuł kęs mięsa, pojawił się

silny, przypominający dziczyznę smak, a wraz z nim apetyt Sinclaira, który odkrył, że jest wygłodniały, i musiał się powstrzymać przed zje-dzeniem całej zawartości torby.

Kiedy zapakował resztki jedzenia, usiadł wygodniej i zacisnął zęby, aby zwalczyć narastający letarg, który bardzo przypominał użalanie się nad sobą. Zastanawiał się, czy uczucie to może być spowodowane medykamentem Moraya. Powiedział sobie z determinacją, że może jest ranny, lecz nie martwy ani umierający i nie ma zamiaru po prostu poddać się tylko dlatego, że został sam. Wyprostował plecy i rozejrzał się, poszukując inspiracji wśród skąpych zasobów, które miał do dyspozycji. Zauważył, że nosze, na których leżał, zrobione były z dwóch po-wiązanych włóczni oraz krótkiej poprzeczki podpierającej jego głowę i nieco usztywniającej lichą z wyglądu konstrukcję. Szybko uwinął się z odcinaniem wiązań i plecionki z pasów, która podtrzymywała jego ciało.

Jako że posługiwał się tylko jednym ramieniem, dwie włócznie były dla niego bezużyteczne, lecz jedna mogłaby mu dobrze posłużyć jako laska oraz broń, ponieważ nie miał pojęcia, co się stało z jego mieczem. I tak nie potrafiłby się nim teraz skutecznie posługiwać.

Ponieważ jego bezużyteczne ramię było usztywnione łubkami, nie mógł go w ogóle zginać. Zrobił temblak z najdłuższego pasa tworzącego nosze, pracując zdrową ręką i zębami. Wiążąc węzły i dopasowując długość, zrobił w końcu prymitywną uprząż, która działała całkiem skutecznie: większa pętla opasywała jego szyję, mniejsza była solidnie zahaczona o końce dwóch bełtów. Temblak nie był wygodny, pas wrzynał się w szyję i mięśnie barku, lecz dzięki niemu sztywna koń-

czyna nie zwisała prosto z barku niczym martwy ciężar.

Sinclair nie mógł uwierzyć, jak trudno wykonać nawet najdrob-

niejszą czynność jedną ręką. Zdjęcie obciążonego sztyletem w pochwie pasa z kołka i zaciśnięcie go dookoła talii wymagało ośmiu prób oraz różnorodnych dziwacznych akrobacji. Udało się tylko dzięki temu, że umieściwszy pas we właściwym miejscu, chwycił go zębami, po czym bardzo ostrożnie przepychał drugi koniec przez sprzączkę. Podczas przenoszenia ciężaru trzy razy wypuścił pas i musiał zaczynać od nowa. Kiedy siedział już opasany, bezskutecznie próbował przecisnąć masywne ramiona przez pętlę pasa, lecz musiał się w końcu zadowolić

“tym, że pas wisiał ukośnie na jego piersi. Musiał jeszcze rozwiązać temblak, który tak starannie przyszykował chwilę wcześniej, aby móc

wygodnie przewiesić przez pierś torbę z jedzeniem i bukłak, tak że znajdowały się pod jego lewym ramieniem.

Po raz ostatni rozejrzał się po jaskini, podniósł kostur z włóczni i ostrożnie zbliżył się do wylotu. Wiatr naniósł tyle piasku, że zmniejszył się o dwie trzecie, więc Sinclair musiał się coraz bardziej schylać. Poza jaskinią jednak kryła się niespodzianka. Sinclair stanął, mrużąc oczy w ostrym blasku słońca, i usiłował zrozumieć to, co ujrzał.

Przybyli do jaskini w ciemnościach, lecz księżyc dawał dość światła, aby widać było spaloną ziemię usłanej głazami niecki, gdzie schronili się w cieniu gigantycznych wydm; to, co widział wtedy, w niczym nie przypominało krajobrazu, który leżał przed nim teraz. Długo stał, przyglądając się otoczeniu, czując, jak obawa ściska go za gardło, ponieważ niczego nie rozpoznawał. Panowała absolutna cisza, a na leżącej przed nim ogromnej połaci świeżo naniesionego piasku nie widać było śladów żywej istoty. Słońce pokonało już pół drogi do zenitu, lecz równie dobrze, pomyślał, mogło być w połowie drogi do zachodu, ponieważ nie miał możliwości określenia kierunku. Zamiast jednak poddać się przerażeniu, obsztorcował się w myśli. “Żyjesz, przed chwilą jadłeś i piłeś, i masz jeszcze zapasy. Nie jesteś bardziej obolały niż przy bólu zęba. Masz nawet broń, na Boga, której możesz też używać jako kostura, więc przestań marudzić jak zagubiony chłopiec i w drogę!" Nie miał jednak pojęcia, w którym kierunku ruszyć, więc bezradnie stał w miejscu.

Najgorsza w tej bezradności była niewiedza, gdzie może być

La-chlan, który tyle dla niego zrobił. Było mu wszystko jedno, czy ktoś jeszcze może usłyszeć jego krzyk; przyłożył zdrową dłoń do ust i na cały głos zawołał Lachlana po imieniu, po czym uważnie nasłuchiwał odpowiedzi cichego ogromu pustyni. Próbował czterokrotnie, za każdym razem zwracając się w innym kierunku, w końcu jednak uznał to za bezcelowe. Nabrał głęboko powietrza, zacisnął zęby i nie oglądając się za siebie, ruszył zdecydowanie do przodu. Brodził w piasku po kostki świadom, że zostawia za sobą głęboki, niemożliwy do pomylenia z innym ślad. Pocieszył się, niemal wmawiając sobie, że Lachlan Moray może się natknąć na jego ślad i podążyć za nim.

56

Gdy Sinclair szedł przed siebie, bardzo uważnie stawiając stopy, słońce pięło się coraz wyżej, w końcu zawisając wprost nad nim. Kierował się w stronę niskiego piaskowego wzniesienia leżącego po prawej. Wkrótce - choć nie zauważył nachylenia terenu — zwiększony wysiłek mięśni nóg podpowiedział mu, że zaczął się wspinać, i jakiś czas później dotarł na szczyt długiego, niskiego grzbietu. Stanął, aby rozciągnąć mięśnie i rozmasować skurcze bioder oraz barków.

Kiedy się wyprostował i przyjrzał odległemu horyzontowi, kątem prawego oka zauważył mgnienie ruchu. Obrócił się szybko w tę stronę i długo przeszukiwał zmrużonymi oczyma każdy kawałek wznoszącego się terenu; kiedy miał się już odwrócić, po raz drugi zauważył wyraźne poruszenie, nisko nad ziemią. Chwycił mocniej drzewce włóczni i ruszył zdecydowanym krokiem wzdłuż niskiego grzbietu.

Kilka chwil później znów coś się poruszyło - był to koniuszek ucha konia ukrytego za szczytem grzbietu. Teraz dało się dostrzec całą głowę zwierzęcia, która miała niezwykły, bladozłoty kolor, niemal identyczny z odcieniem piasku. Kiedy Sinclair zrozumiał, na co patrzy, koń pochylił głowę i znów nie było go widać.

Templariusz natychmiast zamarł w przysiadzie, podnosząc obronnym gestem włócznię i walcząc z napięciem, które wypełniło mu klatkę piersiową, wiedział bowiem, że tam, gdzie tak daleko od jakichkolwiek śladów życia jest koń, tam musi być i jeździec. Upłynęło kilka chwil, zanim zdecydował, że nie grozi mu natychmiastowy atak, i powoli wychylił głowę ponad skraj piaszczystego grzbietu i spojrzał w dół. Koń odbiegł, kiedy tylko go zobaczył, lecz Sinclair nie zwracał na niego uwagi, całkowicie skupiony na nierówności w wygładzonym wiatrem piasku poniżej grzbietu oraz leżącym na jej skraju małym trójkącie zielono-białego materiału. Podniósł się ostrożnie i zbadał wzrokiem teren w poszukiwaniu odcisków stóp, lecz jedyne ślady należały do konia. Ruszył więc w dół stromego zbocza, odchylając się daleko do tyłu i mocno podpierając drzewcem włóczni.

Kiedy dotarł do podnóża wzniesienia, twarz wykrzywiał mu grymas bólu, lecz gdy tylko jego stopy dotknęły równego piasku, stanął, chwiejąc się i zaciskając szczęki, aż ból zelżał. Sinclair rozejrzał się, podszedł do trójkąta materiału, chwycił go i pociągnął. Obciążona piaskiem materia ustąpiła zaledwie odrobinę, lecz fragment odkryty

przez Sinclaira wystarczył, aby potwierdzić jego przypuszczenia. Wielokrotnie widział, jak zamieszkujący pustynię nomadowie robili z dużych, kwadratowych kawałków materiału prowizoryczne osłony przed słońcem i wiatrem: obciążali tylną krawędź piaskiem, a przednią podpierali solidnym patykiem lub dwoma, wznosząc małe, prymitywne, jednoosobowe namioty. Człowiek, który wzniósł ten namiot, prawdopodobnie leżał pod nim martwy, lecz Sinclair ledwie o tym myślał. Człowiek ten był niewiernym - być może nawet Saracenem - a obecnie jedyną rzeczą, o jaką troszczył się Sinclair, był jego własny byt. Może przy zmarłym znajdzie jedzenie lub wodę?

Zwrócił uwagę na kąt prosty rogu materiału i krawędzie trójkąta, po czym prawą piętą wyrył w piasku jej przybliżony kształt oraz rozmiar, wyznaczając z pamięci długość boków. Kiedy kontur był gotowy, Sinclair klęknął powoli, uważając, by nie stracić równowagi, i zaczął kopać dziury na swoje kolana, odrzucając usunięty piasek na lewo. Kiedy uznał, że otwory są dość głębokie, u jego boku znajdowała się piramida, na której szczycie prawą ręką umieścił swoje bezużyteczne lewe ramię, przenosząc ciężar sztywnej kończyny ze swojego stawu barkowego na mały kopiec piasku. Dopiero kiedy leżała pewnie oparta, pochylił się znów do przodu i używając zdrowej ręki jako szufli, zaczął zawzięcie usuwać piasek z zasypanego materiału, którego nie próbował jednak unosić.

Zanim wykonał połowę zadania, poczuł zarys ciała i wyobraził sobie

martwego człowieka, leżącego na lewym boku z wyciągniętymi sztywno nogami i prawą stopą wycelowaną jak podczas kopnięcia. Lecz były też tam inne kształty i kiedy wraz z ciężką pracą rosło pragnienie Sinclaira, modlił się, aby znalazły się tam naczynia z wodą.

Ostatecznie, kiedy materiał w zielono-białe pasy był już prawie całkiem odkryty, a sylwetka martwego nomady rysowała się pod nim wyraźnie, Sinclair wyprostował plecy, chwycił róg materiału, policzył do trzech i mocnym, gwałtownym ruchem odciągnął go, przygotowany na to, że zwłoki będą w stanie rozkładu. Nie znalazł nic takiego: nie było cuchnącego powietrza ani rojów much czy owadów, więc znów zaczął oddychać swobodnie.

Człowiek leżący z twarzą na piasku zmarł niedawno, lecz jego kosztowne szaty i piękna zbroja jasno mówiły o tym, że nie był pospolitym pustynnym nomadą, którego dopadła burza. Przy jego plecach leżał

kłąb białej bawełny, w którym Sinclair rozpoznał kufiję, wielką, kwadratową chustę używaną przez koczownicze ludy arabskie do ochrony głowy przed słońcem pustyni. Na niej misternie wykonany saraceński hełm, którego czubek zwężał się w wysoki szpikulec. Jego krawędź wykończono lekką, kunsztowną przyłbicą i sięgającą ramion kolczugą o drobniutkich ogniwach. Obok leżał długi, zakrzywiony bułat o kościanej rękojeści wygładzonej wiekiem i pochwie porysowanej przez lata użytkowania. Kimkolwiek był ten człowiek, wykrwawił się na śmierć. Dolna połowa jego ciała była poczerniała i przykryta pozornie litą

skorupą piasku sklejonego zakrzepłą krwią. Pod wyciągniętą stopą leżał patyk podpierający schronienie. Sinclair bez trudności wyobraził sobie, co się stało. Ostatni konwulsyjny kopniak umierającego sprawił, że namiot zawalił się na niego i zakończył jego życie.

Poruszony tragedią takiej samotnej śmierci Sinclair zorientował się, że szuka słów, które mógłby wypowiedzieć nad ciałem, ale przyszło mu do głowy, iż każde z nich poszłoby na marne. Człowiek ten był muzułmańskim wojownikiem, niewiernym, który nie podziękowałby nikomu za polecenie jego duszy chrześcijańskiemu bogu wroga. Mimo to Sinclair pochylił głowę, patrząc na zwłoki, i wymamrotał:

- Kimkolwiek jesteś, spoczywaj w pokoju. Nawet twój Allah nie sprzeciwiłby się temu, bym ci tego życzył.

Odwrócił głowę i zobaczył ciężki bukłak pełen wody. Niedaleko, ułożone w pozycji, która sugerowała, że mężczyzna używał go jako poduszki, leżało piękne skórzane siodło, pokryte zaschniętą krwią. Było jej więcej po lewej stronie, jakby jeździec został zraniony w pachwinę. Obok leżały starannie zwinięte lejce i uzda, a za nimi - w zasięgu ręki leżącego - bukłak i solidnie wypakowane juki.

Troskliwie podtrzymując zranione ramię, Sinclair trącił stopą ciężkie worki, pchając je i przysuwając do największej sterty, na którą zgarnął piasek, po czym usiadł na małej piramidzie. Zdjął z ramienia własny bukłak, i, jak w jaskini, wykonał skomplikowane zabiegi, by się z niego napić. Wydawało mu się, że trwa to całymi godzinami, miał spieczone i obolałe usta, lecz w końcu mu się udało.

Choć posługiwał się tylko jedną ręką, w mgnieniu oka juki były otwarte. Torba po prawej zawierała jedzenie i przybory do przygotowywania go: pokaźny worek mąki, małą torebkę mielonej soli i kilka kawałków suszonego, mocno przyprawionego mięsa, które Sinclair

uznał za kozie. Były też daktyle, świeże i suszone, oraz garść oliwek, szczelnie owiniętych kawałkiem muślinu. Kolejny duży kwadrat materiału krył trójnóg do gotowania na zawiasach i miękką, naoliwioną torbę ze skóry antylopy, którą można było zawiesić na nim i gotować w niej jedzenie, a także małą miskę i talerz z lśniącego metalu. Kolejne małe zawiniątko zawierało dwie łyżki - rogową i drewnianą -oraz ostry nóż.

W drugiej torbie znalazł worek zboża i złożoną torbę na obrok dla konia oraz dwie paczki owinięte w ten sam zielono-biały pasiasty materiał, który pełnił rolę namiotu. Większa i cięższa zawierała tunikę kolczą, jakiej jeszcze nie widział. Skraje kwadratowego wycięcia na szyję i rękawy utkane były ze spłaszczonego srebrnego metalu, zbyt twardego jak na prawdziwe srebro, płaskie ogniwa zaś z najświetniejszej, najlżejszej stalowej sieci, jaką kiedykolwiek miał w rękach. Całość była podszyta miękkim, lecz niezwykle mocnym zielonym materiałem, na którym nie było ani jednej zmarszczki czy zagniecenia. Sinclair odłożył tunikę na bok i otworzył drugą paczkę, która ukazała niezwykle zdobny sztylet o zakrzywionej klindze wraz z pochwą. Rękojeść i ostrze wygrawerowane były srebrnym filigranem oraz wysadzane

wypolerowanymi czerwonymi, zielonymi i błękitnymi klejnotami.
Sinclair uniósł broń, świadom, że nigdy jeszcze nie trzymał tak cennego przedmiotu, i zważył ją w dłoni, rzucając spojrzenie martwemu człowiekowi leżącemu obok.
- Cóż, niewierny - mruknął. - Nijak nie mogę się dowiedzieć, kim byłeś, lecz szczyciłeś się swoim dobytkiem, więc obiecuję ci, że będę się o niego bardzo troszczył i używał z wdzięcznością, jeśli kiedykolwiek uda mi *się* stąd uciec.
Ponownie zapakował juki, wstał, złożył przykrywający dotychczas zmarłego namiot, aż mógł go podnieść i położyć obok siodła oraz juków; wiedział, że będzie go potrzebował bardziej niż jego były właściciel. Zabrał dwa podtrzymujące namiot patyki, umieścił je między fałdami materiału, po czym w miarę możliwości pogrzebał Saracena, owinąwszy ciało zakrwawioną peleryną i umieściwszy hełm przy głowie, a bułat u jego boku. Zgarnął piasek na miejsce stopą i uformował z niego kurhan nad płytkim grobem. Wiedział, że po kilku dniach ślady kopania znikną i że grób pozostanie nienaruszony, a zwłokom nie będą groziły sępy. Pozostawała jedynie możliwość, że jakieś wędrujące

dzikie zwierzę wyczuje rozkładające się mięso i wygrzebie je. Wreszcie mógł się zająć sobą: owinął kufiję zmarłego dookoła głowy i wyszorował piaskiem siodło. Pozostawało tylko schwytać konia.
Przed upływem godziny znów szedł piechotą, prowadząc zwierzę za uzdę. Osiodłanie go jedną ręką niemal wyczerpało Sinclaira. Na

szczęście, kiedy już schwytał konia, ten stał cierpliwie, gdy templariusz usiłował podnieść ciężkie siodło, umieścić je we właściwym miejscu, a także zacisnąć popręgi i wydłużyć pasy strzemion, ponieważ nogi poprzedniego jeźdźca były o dłoń krótsze niż jego. Sinclair napoił i nakarmił zwierzę garścią zboża, mocno przytroczył do siodła namiot, juki oraz bukłaki, po czym ruszył w drogę ze wzrokiem utkwionym w dali. Owinął lejce wokół zdrowego ramienia i niósł tylko długą, ciężką włócznię.

Przed upływem półgodziny znalazł to, czego szukał: samotny głaz w osłonie górującej nad nim wydmy. Poprowadził konia prosto do owego wypiętrzenia i wspiął się na szczyt, po czym - używając długiej włóczni jako przeciwwagi - wgramolił się niezgrabnie na siodło, opierając się lewym ramieniem o łopatki konia. Kiedy już bezpiecznie siedział ze stopami w strzemionach, poczuł się o wiele lepiej i po raz pierwszy od samotnego ocknięcia się w jaskini pozwolił sobie na myśl — a nawet nadzieję — że być może przeżyje tę gehennę. Jedynie strzyżenie końskich uszu zdradzało, że zwierzę jest świadome nowego, rosłego jeźdźca na swoim grzbiecie. Na twarzy Sinclaira pojawił się grymas. Co będzie, jeśli koń się zbuntuje, kiedy każe mu ruszyć z miejsca? Jedno solidne wierzgnięcie i będzie leżał plackiem na ziemi.

I co zrobić teraz z włócznią? Stała się bezużyteczna jak jego stary miecz, ponieważ nie mógł trzymać jej i jednocześnie manipulować lejcami. Przyjrzał się z żalem solidnej broni, po czym wbił jej ostrze w piasek. Otworzył torbę po lewej; wyciągnął zdobiony klejnotami sztylet

i wsunął go za pazuchę kaftana. Zacisnąwszy zęby, chwycił mocno lejce i wbił pięty w boki konia, żałując, że nie sprawdził, czy jego poprzedni właściciel nie miał przy sobie ostróg. Zwierzę stęknęło i zaczęło iść statecznym krokiem, a Sinclair posłał milczącą modlitwę dziękczynną do bóstwa — kimkolwiek było - odpowiedzialnego za to. Łagodne tempo bardzo mu się podobało, ponieważ nie miał ochoty na pochopne czyny, dopóki nie pozna konia na tyle, by wiedzieć,

który z nich jest odważniejszy. I tak poruszał się teraz przynajmniej trzykrotnie szybciej.

Z wdzięcznością, zachęcająco poklepał szyję konia.

- Dobra robota, zwierzaku — wyszeptał. - Wygląda na to, że odtąd będzie nas dwóch, ty i ja.

5

Uk ołysany jednostajnym rytmem chodu konia Sinclair nie miał zamiaru zasypiać w siodle, lecz kiedy zwierzę zatrzymało się nagle z cichym rżeniem, rycerz ocknął się, czując w piersi przypływ pod-ekscytowania i strachu. Natychmiast zrozumiał, że zasnął, i już za-stanawiał się, na co skazało go jego szaleństwo. Nie dostrzegł jednak żadnego źródła zagrożenia. Nie więcej niż piętnaście kroków przed nim wznosiła się skalista, czterokrotnie wyższa od niego skarpa. Sinclair, bardziej przytomny teraz niż w ciągu ostatnich kilku dni, patrzył przed siebie na skałę, ukośną czarną linię zwróconej w jego stronę szczeliny oraz wbitą przed nią w piasek włócznię, całkiem podobną do tej, którą wcześniej porzucił. Wiedział, że jeśli jest ona podobnej długości, musi być zakopana do połowy. Wiedział też, jak prawdopodobne jest to, że wewnątrz jaskini ktoś czeka, aby go zaatakować, zapewne uzbrojony w łuk; stanie w miejscu było prowokowaniem ataku.

Właśnie kiedy miał już zawrócić, jego wzrok padł ponownie na pionowe drzewce włóczni.

Lachlan Moray znalazł nosze zrobione z dwóch włóczni; jednej z nich Sinclair użył jako kostura, drugą zostawił w jaskini, w której chronił się przed burzą. A jeśli istniała też trzecia włócznia - głowił się teraz - którą Lachlan zabrał ze sobą? Mało prawdopodobne, lecz nie niemożliwe. Przez większość czasu, kiedy Lachlan ciągnął go na noszach, był nieprzytomny, ponadto cały czas znajdował się za nim. Może to być ta właśnie włócznia, wbita w ziemię jako sygnał. W jaskini

mógł leżeć śpiący lub ranny Moray.

Sinclair ostrożnie zsiadł z konia. Wyciągnął swój długi sztylet i ruszył do przodu. Kiedy spojrzał w stronę czarnego wylotu jaskini, dostrzegł, że nie patrzy na otwór w skale, lecz na cień. Z nawierzchni wystawało w jego stronę przypominające klingę wypiętrzenie, a bar-

wa jego fasady o ostrych krawędziach idealnie wtapiała się w kolor ściany skalnej leżącej za nim. Występ krył osłonięty zakątek, a jego pionowy skraj rzucał ostry, ciemny cień, który rycerz mylnie uznał za wejście do jaskini. Sinclair - zły na siebie, że zszedł z konia na próżno - wyprostował się i właśnie się odwracał, kiedy coś, jakiś podszept ciekawości, skłonił go do podejścia bliżej i upewnienia się, czy osłonięty zakamarek faktycznie jest pusty.

Nie był. Pod cienką warstwą piasku wyraźnie widać było głowę i górną część torsu zgarbionego mężczyzny, wciśniętego w pozycji siedzącej w róg wąskiej szczeliny. Natychmiastową reakcją Sinclaira była euforia, że Moray znalazł schronienie i przeżył. Szybko podszedł, padł na kolana i zmiótł piasek z owiniętej materiałem głowy. Gdy okrycie opadło, odkrywając część twarzy, Sinclair w mgnieniu oka znów był na nogach. To nie był Moray. Lachie miał blond, niemal złotorude włosy i jasne policzki, których skóra ciągle była poparzona, łuszczyła się i nigdy się nie opalała w pustynnym słońcu. Ktokolwiek leżał teraz przed Sinclairem, nie był przyjacielem. Skóra tej twarzy miała głęboki, orzechowy kolor, a zarost dookoła ust był czarny i sztywny. Ze

sztyletem wciąż gotowym do ciosu Sinclair cofnął się o krok. Wiedział, że nic mu nie grozi, ponieważ leżący w rogu mężczyzna był zakopany nawet głębiej niż on sam, a pamiętał, jak trudno było mu się wydostać na wolność. Nie zdejmując oczu ze znajdującej się przed nim, wciąż ukrytej głowy, Sinclair schował sztylet do pochwy, schylił się i zbadał dłonią wystający kształt w naniesionym wiatrem całunie z piasku, który przykrywał mężczyznę. Była to rękojeść miecza.

Wyprostował się powoli, ciągnąc broń, i po chwili trzymał saraceń-ski bułat, którego zakrzywiona, lśniąca klinga była kunsztownie ozdobiona na syryjską modłę techniką zwaną damaskinażem. Wojownik z tak wspaniałym mieczem był podwójnie niebezpieczny, Sinclair wie-dział jednak, że nie musi go zabijać. Wystarczyło, aby odszedł, dosiadł znów konia i odjechał, pozostawiając niewiernego jego losowi. Lecz kiedy tylko przyszło mu to do głowy, wiedział, że nie zrobi tego. On także był wojownikiem i kierował się kodeksem wojowników. Nigdy nie zabił nikogo, kto nie próbował jego pozbawić życia. Wymyślając sobie samemu od głupców, wbił miecz ostrzem w dół w piasek, blisko pod ręką, po czym klęknął przy zgarbionej postaci. Kiedy znowu chwycił zawinięty materiał, zasypany piaskiem człowiek poruszył się

gwałtownie, lecz Sinclair tylko przytrzymał go, odwijając kolejne pętle materiału, i odsunął się, aby spojrzeć na to, co kryło się pod nimi.

Jak podejrzewał, twarz niewątpliwie należała do Saracena: szczupła, zwieńczona wysokim czołem, o orlim nosie i mocno napiętej skórze na

wystających kościach policzkowych, nad którymi leżały głęboko osadzone, wąskie oczy, tak ciemne, że sprawiały wrażenie jednolicie czarnych. Skórę nad wargami i na brodzie pokrywał sztywny, czarny, lśniący zarost, który wyglądał, jakby każdy włos był z osobna pokryty drobnym piaskiem. Białka oczu były przebarwione i zaognione — jak podejrzewał Sinclair, nieznośnie podrażnione tym samym pyłem -lecz sama twarz wydawała się templariuszowi... stoicka.

Nie mogąc się poruszyć, Saracen patrzył na niego bez wyrazu, wyraźnie oczekując jego kolejnego kroku; obaj mężczyźni zamarli bez ruchu i dźwięku.

W końcu Sinclair nabrał powietrza.

- Dobra, chłopaku - powiedział w ojczystym szkockim. - Wyciągnijmy cię stąd.

Podniósł palec do ust w geście ostrzeżenia, wyciągnął sztylet z pochwy, uniósł go, aby Saracen mógł się mu przyjrzeć, i wbił go obok swojego prawego kolana. Potem bez słowa schylił się i zaczął odgarniać piasek; najpierw uprzątnął go spod podbródka mężczyzny, potem odsłonił barki i zabrał się do uwalniania lewego ramienia, aż ukazała się wspaniała koszulka kolcza podobna do tej, którą znalazł przy zmarłym.

Od tej chwili Saracen dołączył się do pracy, odrzucając nagromadzony piasek ze swojego ciała. Sinclair dwukrotnie zmienił pozycję, za pierwszym razem odrzuciwszy bułat daleko za siebie, lecz (r/.ymał sztylet blisko przy sobie, poza zasięgiem mężczyzny.

Kiedy Sinclair w końcu chciał wybrać ramieniem piasek spomiędzy

zakopanych nóg Saracena, ten stęknął i gwałtownie uniósł rękę, prosząc tym gestem o ostrożność. Sinclair usiadł prosto i zamrugał, zastanawiając się, co zrobił źle, lecz Saracen pochylił się do przodu, wskazując miejsce, gdzie musiała leżeć jego lewa noga, i zaczął energicznie naśladować ruchy kopania, wyraźnie nakłaniając Sinclaira, aby nie przestawał. Frankoński rycerz wrócił do pracy, lecz w tej samej chwili zauważył, z jaką ostrożnością Saracen uwalnia prawą nogę, najpewniej zranioną. Zauważył też, jak mizernie wygląda, wrócił więc do konia i wydobył z juków pełniejszy bukłak; w drodze powrotnej

usłyszał, jak Saracen pluje piaskiem. Kiedy rycerz wyłonił się zza ostrej krawędzi skały, zobaczył, że Czarnobrody wlepia w niego takie samo stoickie spojrzenie jak wcześniej, a jego twarz jest bez wyrazu. Sinclair oparł się o ścianę klifu i rzucił ciężki bukłak Arabowi, który złapał go obiema rękami. Na jego twarzy po raz pierwszy pojawiło się zaskoczenie.

- Naści, chłopaku. Pij.

Kiwnął głową, na co wojownik, którego twarz znów straciła wszelki wyraz, odpowiedział tym samym gestem, po czym zabrał się do wyjmowania korka. Sinclair przyglądał mu się ironicznie.

-Wspaniale jest mieć dwie ręce, kiedy chce się pić z bukłaka, prawda?

Saracen zamarł, zanim bukłak dotarł do jego ust, patrząc na Sinclaira z wyrazem niezrozumienia na twarzy. Rycerz właśnie miał powtórzyć

to, co powiedział, po arabsku, kiedy powstrzymał się i ciągnął w swoim ojczystym języku:

- No dalej, pij, ale nalej trochę dla mnie.

Wyciągnął zza pazuchy swój metalowy kubek, postukał nim o łubki obramowujące jego bezużyteczne ramię i postąpił naprzód z wyciągniętą ręką. Saracen zerknął na ramię, skinął głową, dając znać, że zrozumiał, i napełnił kubek. Sinclair upił łyczek, wypłukał usta, splunął i dopiero wtedy napił się naprawdę, po czym znów oparł się o ścianę. Saracen zrobił to samo. Spojrzał znów na Sinclaira pytająco. Kiedy ten skinął głową, Arab powtórzył cały proces i pociągnął trzeci łyk z widoczną przyjemnością. Obrócił go w ustach, lecz tym razem połknął.

- Śmiało, napij się jeszcze. I obmyj oczy, bo wiem doskonale, jak się czujesz.

Sinclair podniósł chustę Saracena, chwycił jej skraj, otrzepał go z piasku, udał, że moczy go i przemywa oczy, po czym podał ją Arabowi, który spojrzawszy na niego nieufnie, zrobił to, co mu sugerowano. W końcu zręcznie wetknął korek z powrotem i położył bukłak u swojego boku. Rycerz podszedł, wyciągnął sztylet z piasku i stanął nad rannym.

- Mam pytanie, panie Czarnobrody: czy ty jesteś moim jeńcem, czy ja twoim? Mam sztylet i twój miecz, lecz nie jestem pewien, czy na coś mi się przydadzą w walce. Myślę sobie, że to będzie zależało od

tej twojej nogi, bo jeśli jest w lepszym stanie niż moje ramię, być może dostanę za swoje. - Urwał, zastanawiając się nad najlepszym wyjściem z

sytuacji, świadom jednak, że będzie musiał dokończyć to, co zaczął. -
No dobrze - powiedział, wzruszając ramionami. - Zobaczmy.
Po kilku minutach Sinclair odkopał już lewą stopę i usunął z niej resztki piasku, lecz sam Saracen wciąż bardzo ostrożnie obchodził się z prawą, delikatnie zmiatał piasek, najwyraźniej niespokojny, co leży pod nim. Solidnie zabandażowana noga była w łubkach; opatrzył ją ktoś, kto znał się na rzeczy. Sinclair zaśmiał się głośno, choć w jego śmiechu nie było radości.
- Świetna z nas para, prawda? Razem mamy sześć zdrowych koń
czyn, a obaj jesteśmy tak beznadziejni, że nawet nie możemy ze sobą pogadać, co dopiero walczyć.
Kiedy podniósł ramię i postukał ostrzem sztyletu o łubki ze sta-
lowych bełtów, w kąciku ust drugiego mężczyzny po raz pierwszy na moment pojawiło się coś, co mogło być uśmiechem.
- No cóż, równie dobrze możemy się jeszcze napić, bo nie mam pojęcia co teraz. Nie wydaje mi się, żebym z tym przeklętym ramie
niem mógł się znów wspiąć na konia bez podnóżka, a nawet gdyby mi się udało, nie mógłbyś usiąść za mną. - Podniósł znów bukłak i podał go Saracenowi. - Masz, nalewasz lepiej niż ja, więc do dzieła.
Chwilę później Sinclair odsunął się z pełnym kubkiem w garści, usiadł ostrożnie na stercie piasku i kiedy schylił się, aby postawić na-
czynie ostrożnie u swoich stóp, spomiędzy fałd jego kaftana wyślizgnęła się zdobiona klejnotami rękojeść sztyletu. Zanim udało mu się wepchnąć ją z powrotem, usłyszał, jak Saracen gwałtownie nabiera

(iowietrza, i zobaczył dziwny wyraz jego szeroko otwartych oczu.

- O co chodzi? O to?

Wyciągnął sztylet i podniósł go. Kiedy Saracen spojrzał na niego, Sinclair zauważył jakąś zmianę w jego oczach, a potem jego twarz stała się nieruchoma jak wcześniej.

- Skąd masz ten sztylet? — Pytanie było zadane po arabsku, lecz Sinclair spodziewał się go i zachował neutralny wyraz twarzy, potrząsając głową i wzruszając ramionami, jakby nie zrozumiał ani słowa. (lliociaż nie umiałby wyjaśnić, dlaczego udawał, że nie rozumie, in stynkt podpowiadał mu, że to właściwy sposób postępowania.

Saracen zmarszczył brwi i podjął kolejną próbę.

- Skąd to masz?

Tym razem pytanie było po francusku; zaskoczony Sinclair wybałuszył oczy, lecz odpowiedział natychmiast w tym samym języku, szczerze zadowolony, że może porozumiewać się z rym człowiekiem, nie zdradzając się ze znajomością arabskiego.

- Znalazłem go dziś rano. Przy martwym człowieku. Kilka mil stąd.

Po długiej chwili ciszy Saracen zapytał:

- Zabiłeś go?

Sinclair usłyszał w tym pytaniu ból i potrząsnął głową, po czym podniósł swoje sztywne ramię tak, że leżało na uniesionym kolanie.

- Nie — powiedział, układając ramię w jak najwygodniejszej pozy

cji. - Mówiłem ci, kiedy go znalazłem, był martwy, pogrzebany jak ty.

Kim był? Znałeś go, to oczywiste.

Saracen milczał przez chwilę, lecz w końcu schylił głowę na znak potwierdzenia.

- Miał na imię Aruf. Był najmłodszym bratem mej żony. Kiedy stąd odszedł, był ciężko ranny. Krwawienie było wtedy od wielu godzin zatamowane, a rana została opatrzona i mocno zabandażowana, lecz musiała się znów otworzyć, kiedy jechał konno.

- Wziął twojego konia i zostawił cię tutaj?

- Nie było innego wyboru. Było nas trzech i dwa konie. Arouf pojechał po pomoc na północ, a Said na wschód. Zostawili mnie w bezpiecznym miejscu, w cieniu. Żaden z nas nie wiedział, że nadejdzie burza.

- Więc ten trzeci człowiek, ten Said, być może wciąż żyje?

- Tak, jeśli taka jest wola Allaha. Jeśli tak *jest* napisane w boskiej księdze. Jeśli nie, być może jest tam napisane, że ty i ja umrzemy tutaj razem. — Rozejrzał się. - Lecz teraz śmierć nas jeszcze nie czeka. Ja też mam wodę i torbę jedzenia, które wiatr zakopał gdzieś tutaj.

Sinclair nie zwrócił na to uwagi.

- Co się stało z twoją nogą? Czyja to robota? — Machnął ręką w stronę ujętej w łubki kończyny.

- Said uratował nas obydwu. Jest uczony w sztuce uzdrawiania.

- Jest medykiem?

- Nie, wojownikiem, lecz w młodości uczył się od swojego ojca,

który był słynnym medykiem. Choć Said nigdy nie uprawiał tego zawodu, pamiętał nauki ojca o tym, jak opatrywać rany.

- I pojechał na wschód?

Skinienie głową.

- Rzekłem.

- Kogo szukał? Jak tu trafiłeś? Czy byłeś pod Rogami Hattinu?

- Rogami Hattinu? Ach, mówisz o Hittinie... - Saracen zmarszczył czoło, lecz najwyraźniej oparł się chęci zapytania o to, co ma na myśli. - Nie, nie byłem tam. Kiedy zdarzyło się nam nieszczęście, podążaliśmy do Tyberiady na wezwanie sułtana.

Sinclair znów podał bukłak Saracenowi.

- Ponieważ nie mamy nic lepszego do roboty, opowiedz mi o tym, a potem znajdziemy twoje jedzenie i wodę. Co ci się przytrafiło?

Ciemnoskóry mężczyzna zastanawiał się chwilę, po czym zaczął mówić.

Powiedział, że ma na imię Ibn al-Faruch i że przebywał z oddziałem zwiadowczym w okolicach nadmorskiego miasta Ibelin, kiedy przybył posłaniec, aby wezwać ich do odległej o osiemdziesiąt mil Tyberiady. Wyruszyli natychmiast po otrzymaniu rozkazu, a po drodze spotkali rannego, który zaledwie kilka godzin wcześniej uciekł z pobliskiej wioski, zaatakowanej przez rozbójników. Uciekinier powiedział im, że napastników było mniej niż dwudziestu, lecz wieśniacy, wśród których nie było mężczyzn w sile wieku, nie byli w stanie dać im odporu. Nazwa

wioski - nieznana Sinclairowi - natychmiast przykuła uwagę al-Farucha, ponieważ żył tam jego wiekowy wuj, brat jego matki. Rozwścieczony myślą, że jego wuj, który był zawsze dobry dla niego i jego rodziny, został napadnięty, a może nawet zabity przez bezbożnych bandytów, al-Faruch wyprawił swoich ludzi w drogę, lecz sam podążył wraz ze starannie wybraną dziesiątką towarzyszy wymierzyć sprawiedliwość najeźdźcom.

Niestety — powiedział po dłuższej przerwie — ogarnięty gniewem i oburzeniem nie docenił swych przeciwników, nie tylko ich siły, ale też liczby, biorąc za dobrą monetę słowa uciekiniera. On i jego drużyna wjechali w sprytnie zastawioną zasadzkę w wadi o stromych brzegach i zanim zdążył zebrać myśli, siedmiu z jego ludzi padło od

strzał ukrytych łuczników. Jedynie Saidowi, Arufowi, jemu samemu i jeszcze jednemu człowiekowi udało się uwolnić z zasadzki; rany odniosło trzech z nich oraz dwa wierzchowce. Czwarty z nich wkrótce po ucieczce zmarł wskutek odniesionych ran, ten sam los spotkał jego konia, a jakiś czas potem Said podciął gardło koniowi Arufa, kiedy głęboka rana w jego brzuchu w końcu rozdarła się i rozszerzyła, co sprawiło, że wnętrzności zwierzęcia zaczęły zaplątywać się między jego kopytami. Przyciskając chustę do krwawiącej rany w pachwinie, Aruf wsiadł na konia za Saidem i we trzech jechali dalej, aż znaleźli to miejsce, gdzie zatrzymali się na noc. Said, jedyny, który nie był ranny, najpierw zatamował krwawienie z pachwiny Arufa, posypując ranę

proszkiem *powstrzymującym* upływ krwi, po czym ciasno ją obandażował. Potem zajął się nogą al-Farucha - jej mniejsza kość została złamana bełtem kuszy. Oczyścił ranę, nastawił kość, na ile mógł, oraz obandażował i ujął w łubki kończynę, która, jak się spodziewał, mogła się całkowicie zrosnąć.

Spędziwszy w tym miejscu noc, świtem następnego dnia omówili kolejny krok. Ich towarzysze na pewno byli już daleko przed nimi, być może nawet zatrzymali się, chcąc na nich poczekać, lub zawrócili, szukając ich, lecz wszyscy trzej wiedzieli, że szansa, aby ktoś ich znalazł bez pomocy, jest minimalna. Tak więc al-Faruch zdecydował, że Said powinien się udać na poszukiwanie reszty. Aruf nie chciał o tym słyszeć, przysięgając, że jego stan pozwala mu jechać konno, ponieważ jego rana przestała krwawić. Chciał wyjechać z Saidem, po raz pierwszy w ciągu wielu lat ich znajomości sprzeciwiając się życzeniom brata, i obrać trasę na północ. Said miał szukać dalej na wschód. Al-Faruch, któremu ujęta w łubki noga uniemożliwiała wejście na grzbiet konia, miał pozostać na miejscu. Zostawiono mu zapas jedzenia i wody na siedem do ośmiu dni - do tego czasu jeden lub obaj jego towarzysze zdążyliby wrócić z posiłkami. Tymczasem odjechali, zostawiając punkt orientacyjny na drogę powrotną w postaci okrągłej tarczy al-Farucha zawieszonej na jego ustawionej pionowo włóczni.

- Teraz wiesz tyle, ile ja, *ferenghi* - zakończył al-Faruch, używając arabskiego słowa oznaczającego Franka, po czym umilkł.

Sinclair siedział w milczeniu, przetrawiając nowe wiadomości. Jeśli

Said przeżył burzę i znalazł swoich ziomków, wróci tu z nimi, co ozna-

czałoby koniec dla niego. Wiedział, że wciąż może odjechać konno; teraz, kiedy znał już łagodne usposobienie konia, jakoś by go dosiadł nawet bez podnóżka. Pomyślał o ponownym wyjściu na zewnątrz, aby sprawdzić, czy koń wciąż jest niedaleko, pochylił się jednak i przemówił do Saracena.

- Jakim sposobem mówisz w naszym języku?

- Jednym z twoich języków - brzmiała oschła odpowiedź. - Kiedy na początku odezwałeś się w pierwszym języku, dźwięczał mi w uszach jak bełkotanie dżinnów. Cóż to był za hałas?

Sinclair uśmiechnął się szeroko po raz pierwszy od wielu dni. -To był gaelicki, język ludzi mieszkających w Szkocji, gdzie się urodziłem.

- Nie jesteś więc Frankiem?

- Nie, jestem jednym z tych, których nazywają Szkotami, lecz moja rodzina przyjechała tam z Francji sto lat temu. Kiedy wojownicy otrzymali wezwanie do przybycia tutaj, przyłączyłem się do krzyżowców.

- Jesteś więc rycerzem? Nie widzę twoich dystynkcji.

- Odrzuciłem je wraz ze zbroją, kiedy się okazało, że jestem pieszo na pustyni. Można tu spotkać śmierć, nawet nie będąc na tyle głupim, aby szukać jej obciążonym przez bezużyteczną stal i ciężkie ubrania.

- Ach, rozumiem. Najwyraźniej jesteś tu wystarczająco długo, aby nauczyć się odrobiny mądrości Allaha, niech błogosławione będzie Jego imię... Lecz przybyłeś tu, aby zabijać Saracenów, czyż nie?

- Nie, nie do końca. Przybyłem, ponieważ wezwał mnie tu, do

Zamorza, mój obowiązek jako rycerza. Zabijać czy zostać zabitym to jedynie część rycerskiego kodeksu.

- Jesteś więc rycerzem Świątyni?

W tym prostym pytaniu była jakaś niemożliwa do zidentyfikowali ia odrobina groźby, co sprawiło, że Sinclair wycofał się z odpowiedzi twierdzącej, która cisnęła mu się na usta, lecz udało mu się ukryć to bez kłamstw ani - jak sądził - zdradzenia się.

- Jestem rycerzem - powiedział przeciągle - ze Szkocji, odległej o(.l Francji o wiele dni żeglugi. Nie wszyscy rycerze w Zamorzu to templariusze lub szpitalnicy.

- Nie, lecz dżinny ze Świątyni są najbardziej niebezpieczne ze wszystkich.

Sinclair puścił to stwierdzenie mimo uszu.

- Nie odpowiedziałeś, jak to się stało, że mówisz językiem Franków?

- Nauczyłem się go za młodu w Ibelinie, gdzie dorastałem. Pewien frankoński możny zbudował tam fortecę po tym, jak zdobyto Jerozolimę, na długo przed moim urodzeniem. Przyjął nazwę miasta za swoje nazwisko. Będąc chłopcem, pracowałem tam w stajniach. Bawiłem się z jego synem, moim rówieśnikiem. Nauczyłem się mówić w ich języku, jak i on nauczył się mojego.

Sinclair zmarszczył brwi.

- Ibelin... Masz na myśli sir Baliana z Ibelinu? Znam go. Towarzyszyłem mu w drodze z Nazaretu do... - Urwał, świadom, że być może powiedział więcej, niż powinien, lecz al-Faruch kiwał już głową.

- To na pewno on. W naszym języku jego imię brzmi Balian ibn Barzan i jest teraz wpływowym człowiekiem *wstódferenghi*... to rycerz, lecz nie rycerz Świątyni.

- Nadal więc jesteście przyjaciółmi?

Saracen wzruszył ramionami.

- Który muzułmanin może przyjaźnić się z chrześcijaninem w czasie świętej wojny, dżihadu? Nie spotkaliśmy się od lat, od czasu, kiedy byliśmy chłopcami. Moglibyśmy minąć się na suku i nie wiedzieć o tym.

Sinclair uderzył zdrową dłonią o udo.

- Powinniśmy coś zjeść. Wszyscy ludzie czują tę potrzebę, nawet podczas dżihadu, nieprawdaż? Kiedy ostatnio jadłeś?

Al-Faruch potrząsnął głową z zaciśniętymi ustami.

- Nie pamiętam, lecz było to dawno temu.

Sinclair wstał.

- Zostawiłem mojego konia... twojego konia... na słońcu, osiodłanego, na pewno cierpi. Jeśli przyprowadzę go tu do ciebie, czy pomożesz mi go rozsiodłać? Trudno poluzować ciasny popręg jedną ręką.

- Pomogę ci, jeśli możesz przyprowadzić go na tyle blisko, abym mógł go dosięgnąć.

Chwilę później, kiedy zadbali już o konia i zdjęli juki z jego grzbietu, Sinclair położył siodło na ziemi w ich małym schronieniu i usiadł na nim, grzebiąc w torbie z jedzeniem. Wyciągnął wielki kawał su-

szonego mięsa oraz mały, ostry nożyk. Rzucił zaskoczonemu muzułmaninowi najpierw mięso, potem nóż, który ten złapał bez trudu za rękojeść.

- Masz dwie ręce i potrafisz lepiej ciąć niż ja. Utnij nam po porcji, ja zajmę się resztą. — Wyciągnął z juków suszone figi, daktyle i chleb dla nich obu.

Jedli w uprzejmej, dziwnie przyjaznej ciszy - każdy zatopiony we własnych myślach. Sinclair rozmyślał nad nieprawdopodobnym ciągiem okoliczności, jaki doprowadził go do tej sytuacji: spokojnego dzielenia się posiłkiem z wrogiem, którego w innych okolicznościach natychmiast próbowałby zabić. Zastanawiał się, czy jego milczącemu towarzyszowi to samo chodzi po głowie, lecz potem wrócił myślą do zawoalowanej groźby, którą wyczuł w pytaniu Saracena dotyczącym templariuszy, i zaczął je poważnie rozważać.

Sinclair nie mógł wiedzieć, czy jego ostrożna odpowiedź była ważniejsza niż decyzja, by ukryć swą znajomość arabskiego, lecz był zadowolony, że odwrócił uwagę al-Farucha. Zaiste, należał do Zakonu Świątyni; spodziewał się, że Saracen raczej nie pochwalałby tego. Lecz sir Aleksander Sinclair był kimś więcej niż tylko templariuszem i miał powody, by nie ujawniać swojej tożsamości.

Zajmował wysoką pozycję w Bractwie Syjonu, tajnym stowarzyszeniu funkcjonującym w ramach Świątyni, które na przełomie wieku założyło dla własnych celów Zakon i wciąż nadzorowało jego politykę.

Bractwo było tajne do tego stopnia, że szeregowi rycerze Zakonu nie mieli pojęcia nawet o jego istnieniu, a co dopiero o jego działaniach, i choć wielu najważniejszych rycerzy Świątyni należało do bractwa, wielu innych — o równorzędnym stopniu - nigdy się o nim nie dowiedziało. W tej drugiej grupie przodował Gerard de Ridefort, obecny mistrz Zakonu, który - choć ceniony za śmiałość, talent wojenny oraz wzniosłe zasady moralne — z powodu swej pychy i porywczej arogancji został uznany za nieodpowiedniego kandydata na wstąpienie do bractwa.

Członkostwa w Bractwie Syjonu nie nadawano lekką ręką. Tworzyło je niewielu ludzi, zobowiązanych przysięgą i lojalnością do całkowitego milczenia oraz dyskrecji, którzy rzadko spotykali się na zjazdach. Kiedy jednak je zwoływano, działo się to pod pretekstem tradycyjnych uroczystości nazywanych Zgromadzeniami, które za-

wsze odbywały się w bezpiecznych, prywatnych posiadłościach wysokich rangą braci z Rady. Tam zbierało się bractwo w towarzystwie bliższych i dalszych członków rodziny oraz przyjaciół. Podczas gdy u góry, w dostępnych dla publiki pomieszczeniach domu gospodarzy świętowano i bawiono się, na niższych poziomach zamku wybranego na lokalizację spotkania potajemnie zbierali się członkowie bractwa, aby celebrować własne sekretne sprawy związane z inicjacjami, naukami oraz awansami.

Poszczególnych członków organizacji dało się rozpoznać tylko w jeden sposób i choć cecha ta była niewidoczna dla kogokolwiek, kto nie był wtajemniczony, nawet tej wiedzy pilnie strzeżono. Kandydaci wybierani byli ze związku arystokratycznych rodów, tak zwanych zaprzyjaźnionych rodzin, które mieszkały na południu Francji, w Langwedocji. Nazwa regionu pochodziła stąd, że miał on własny, prastary język, i dosłownie oznaczała “język Oc". Związek rodzin powstał ponad tysiąc lat wcześniej, w pierwszym wieku po Chrystusie, kiedy założyciele każdego z rodów osiedlili się razem w południowej Galii po długiej ucieczce drogą lądową przed zniszczeniem Jerozolimy przez Rzymian w 79 roku.

Ich wspólne żydowskie korzenie były największą tajemnicą bractwa, ponieważ ich rodziny bez kłopotów zasymilowały się z miejscowym społeczeństwem szybko po przybyciu. Teraz byli od tysiąca lat chrześcijanami, nieświadomymi swojego semickiego pochodzenia.

Jedynie wtajemniczeni prastarego Bractwa Zakonu Odrodzenia w Syjonie znali prawdę, przekazywaną w tajemnicy kolejnym pokoleniom przez ten tysiąc lat, i oni sami przyjmowali na siebie wielką odpowiedzialność związaną z tą wiedzą. To wyjątkowe uprawnienie chronione było i wzmocnione edyktem stanowiącym nieugięcie, że tylko jeden mężczyzna w każdym pokoleniu każdej rodziny może dostąpić inicjacji. Wybrany spośród siedmiu synów rodziny, która nie wydała ani jednej córki, sir Aleksander Sinclair został dopuszczony do bractwa podczas dwudziestych urodzin. Jego bracia - wszyscy pełnoletni, wśród nich dwóch templariuszy i jeden szpitalnik - nigdy nie podejrzewali, że ich brat Alec w tajemnicy zajmuje o wiele wyższą pozycję niż którykolwiek z nich. Obowiązki nakładane na niego przez bractwo niemal uniemożliwiły mu normalne kontakty z braćmi w ich codzien-

nym życiu, wypełnionym synowskimi i rodzinnymi zobowiązaniami, chrześcijańskim poświęceniem i feudalnym oddaniem. Uznali więc, że ich brat Alec jest niewdzięcznikiem winnym zaniedbania rodzinnych obowiązków. Nie mógł on zrobić nic innego, jak tylko wzruszyć ramionami i udać, że przyjmuje ich potępienie.

I tak zagłębił się w sekretny świat bractwa, gdzie Rada - oceniwszy wszystkie jego cechy oraz umiejętności - zaczęła kształcić go dla własnych celów. Aleksander Sinclair, rycerz Świątyni, był szpiegiem bractwa.

- Zamyśliłeś się, *ferenghi*. - Francuszczyzna al-Farucha była płyn na pomimo gardłowego arabskiego akcentu.

Sinclair uśmiechnął się krzywo i podrapał w głowę.

- Zastanawiałem się nad swoją sytuacją. Powinienem znów wspiąć się na twojego konia i uciec, zanim przybędą twoi przyjaciele.

- Jeśli przybędą. Nie ma nic pewnego poza tym, co zostało napisane, i być może jest wolą Allaha, niech błogosławione będzie Jego imię, bym tu pozostał i umarł.

Sinclair zamyślił się i pokiwał głową.

- Sądzę, że być może Allah niechętnie pozbyłby się tak silnej bro ni, jaką, jak podejrzewam, jesteś dla niego. Myślałem też o tym... choć może ci się to wydać dziwne... że nie podoba mi się pomysł, aby po prostu odjechać i zostawić cię tu samego na łasce losu.

Saracen zmrużył oczy.

- To więcej niż dziwne. To zakrawa na szaleństwo. Dlaczego miał byś dbać o to, co mi się tu przytrafi, skoro każdy spędzony tutaj mo ment zwiększa zagrożenie, że zostaniesz pojmany, jeśli nadjadą moi ludzie?

Na ustach Sinclaira pojawił się ponury uśmiech.

- Nazwijmy to rodzinną słabością, której nabrałem wraz z wycho- waniem. Żaden człowiek honoru nie powinien zostawiać innego na pastwę losu, jeśli może go uratować lub pomóc mu.

- Honor. To... - Saracen urwał, szukając słowa. - To abstrakcja, czyż nie? Niematerialny byt. Wyraża się dla niego wiele... powierzchownego uznania... lecz niewielu naprawdę go rozumie.

- Nawet wśród wiernych Allaha?

- Niestety tak, i jestem pewien, że tak samo jest wśród twojego ludu.

-Tak, prawda to... - Sinclair nieświadomie przeszedł na szkocki, lecz mimo to widział, że siedzący naprzeciwko mężczyzna zrozumiał jego ton.

- Jak masz na imię, *ferenghP. Znasz* już moje.

- Lachlan Moray. - Kłamstwo przyszło naturalnie, samo z siebie.

- Lachlan... To brzmi niemal jak arabskie nazwisko. Lach-lan Murr-ay.

- Być może dla twoich uszu, lecz jest szkockie.

- I prawie nie masz brody. Myślałem, że wszyscy frankońscy rycerze

noszą brodę.

Sinclair smętnie podrapał pokryty szczeciną podbródek.

- To prawda. Gdybym był wśród templariuszy, nikt nie wziąłby mnie za jednego z nich. Lecz jeśli zostanę tu dłużej, urośnie mi broda i pożałuję. Nawet w oczach moich towarzyszy cierpię na pewną przy padłość, mianowicie na mojej twarzy rośnie niewiele włosów, a moja skóra jest... czy znasz słowo “delikatna"?

Saracen potrząsnął głową, a Sinclair wzruszył ramionami.

- No cóż, kiedy rośnie mi broda, skóra łuszczy się i swędzi boleśnie, więc aby nie stracić zmysłów i nie drapać się do krwi, postanowiłem gładko się golić. Niewielu z moich frankońskich towarzyszy jest w stanie to zrozumieć. — Nie wspomniał o tym, że gładka twarz umożliwiała mu noszenie od czasu do czasu sztucznej brody o najróż-niejszych kształtach, kiedy wymagała tego jego praca.

- Opowiedz mi o Hittinie... lub Hattinie, jak je nazywasz.

Prośba ta - prosta, lecz sformułowana w postaci łagodnego rozkazu — zaskoczyła Sinclaira, który mrugając, nie zdołał wymyślić żadnej odpowiedzi.

Saracen wyprostował się, napinając ramiona.

- Wkrótce po przybyciu zapytałeś mnie, czy byłem pod Hattinem, i ton, jakim zadałeś to pytanie, zwrócił moją uwagę. Jak już wiesz, nie było mnie tam, lecz Hattin leży blisko miejsca, które nazywasz Tyberiadą, a sułtan... niech Allah będzie dla niego łaskawy... wezwał nas, abyśmy się tam zebrali. Czy stoczono tam bitwę? Dlatego jesteś

tutaj sam?

Sinclair przeklął w duszy swą nieuwagę, lecz kłamstwa nie miały już sensu. Westchnął.

- Tak, była tam bitwa.

Rozumiem. Czy została... rozstrzygnięta?

- Ponieśliśmy porażkę... twoja strona zwyciężyła.

- Chwała niech będzie Allahowi. Co się wydarzyło?

- Co się wydarzyło? Ty mnie o to pytasz? Czy kiedykolwiek brałeś udział w dużej bitwie, w której uczestniczyły tysiące ludzi?

- Kilkakrotnie.

- Czy kiedykolwiek byłeś głównodowodzącym w takiej bitwie?

Saracen zmarszczył brwi.

- Nie, zawiadywałem własnymi ludźmi, lecz żaden ze mnie wódz.

- Ze mnie też nie. Wiesz zatem równie dobrze jak ja, że biorący udział w bitwie wojownik ma niewielkie pojęcie o tym, co dzieje się dookoła. Dowiaduje się o porażce lub zwycięstwie, dopiero widząc zakończenie potyczki, a w jej trakcie usiłuje chronić siebie i swoich ludzi i przeżyć. Bitwa pod Hattinem była decydująca. Mieliśmy najsilniejszą armię, jaką kiedykolwiek zebrano jedynie w królestwie... blisko trzydzieści tysięcy mieczy. Rycerze, nasi sprzymierzeńcy Turkopole i piechota. Twój sułtan, Saladyn, dowodził co najmniej dwukrotnie większą armią i zostaliśmy pokonani. Widziałem główną potyczkę zaledwie przelotnie, z oddali. Szybko zostałem ranny i spadłem z konia,

łamiąc ramię, pozostawiono mnie z tyłu w wirze walki. Był ze mną przyjaciel i po zmroku uciekliśmy razem. Postanowiliśmy wrócić do La Safouri, lecz dopadła nas burza.

- Gdzie teraz jest twój przyjaciel? - zapytał Saracen.

- Przepadł. Gdzieś na piaskach. Ciągnął mnie za sobą przez dwie lub trzy noce... szalałem z gorączki spowodowanej ranami... a potem poszedł szukać wody, zostawiając mnie śpiącego w jaskini, którą znalazł. Kiedy się obudziłem, trwała już burza. Nie widziałem go od tamtej pory. Może być gdziekolwiek. Modlę się, aby żył, lecz obawiam się, że tak nie jest.

- Co więc zamierzasz? Gdzie się udasz?

- Nie mam pojęcia. Być może nie mam dokąd pójść - mruknął Sinclair ze smętnym uśmiechem. - Może dlatego nie mam ochoty nawet próbować.

Al-Faruch uniósł dłoń stanowczym gestem, przechylając nagle głowę, jakby nasłuchiwał. Sinclair usiłował dosłyszeć, co też zwróciło jego uwagę, lecz jedynym dźwiękiem była cisza pustyni. W końcu Saracen opuścił dłoń i potrząsnął głową.

- Wydawało mi się, że słyszę nadciągające konie. - Spojrzał bacznie na Sinclaira. — Jeśli rozważasz ucieczkę, sądzę, że powinieneś odejść już teraz.

- Myślałem o tym. Muszę rozstrzygnąć dylemat. Jeśli aby uniknąć pojmania, odjadę teraz na oślep na pustynię, nie wiedząc, dokąd zmierzam, czy zachowam się honorowo, ponieważ moim obowiązkiem jest wywalczyć wolność, czy będę winien zaniedbania obowiązku, zachowując się niemądrze i niepotrzebnie narażając własne życie? Rozumiesz, o czym mówię, panie Saracenie? Czy lepiej wypełnię obowiązek, odjeżdżając teraz w ciemność, być może po to, aby umrzeć, czy zostając tutaj i ryzykując?

Przez chwilę obaj milczeli, po czym Sinclair ciągnął:

- Poza tym, jak już mówiłem, nie podoba mi się myśl o zostawieniu cię tutaj samego... Postanowiłem więc zostać tutaj do świtu. Jeśli nie będzie śladu po twoich ludziach, pomogę ci się wygodnie usadowić, odjadę dość daleko, aby uniknąć schwytania, i będę czekał. Jeśli nie pojawią się twoi wybawcy, wrócę i posilę się z tobą, ponieważ wciąż nie będę wiedział, dokąd pójść.

Al-Faruch przesunął środkowym palcem wzdłuż nosa i przycisnął opuszek do zaciśniętych ust.

- Dlaczego mówisz, że nie wiesz, dokąd pójść? Czy wasze straty pod Hattinem były tak wielkie?

Sinclair podszedł do skraju skalistej ściany tworzącej ich małe

schronienie, aby się o nią oprzeć, i spojrzał na nadciągającą noc. Odpowiedział, nie odwracając głowy:

-Tutaj, na pustyni, szybko zapada noc. W Szkocji, gdzie dorastałem, o tej porze roku zmierzch trwa czasem godzinami po zachodzie słońca. Nie znam na to żadnego słowa po francusku, ale my nazywamy ten czas powolnej przemiany dnia w noc szarą godziną... Przegrana pod Hattinem martwi mnie bardziej niż nasze straty. Porażka, a nie straty w ludziach, choć Bóg jeden raczy wiedzieć, jak były straszliwe. Z tego, co wiem o twoim sułtanie, nie zignorowałby szansy zesłanej przez Boga... a tak w jego oczach będzie wyglądało zwycięstwo pod Hattinem. Podejrzewam, że Tyberiada zdążyła mu się już poddać z powodu rozgromienia armii, i wiem, że jego ludzie zajęli La Safouri, a prawdopodobnie też Nazaret. Gdybym był na jego miejscu, wspierała mnie zwycięska armia i wiedziałbym, że frankońskie oddziały są

w nieładzie, jeśli nie całkowicie zniszczone, natychmiast pomaszerowałbym na Jerozolimę. - Wyprostował się i odwrócił do Saracena. -Dlatego jest tak niewiele miejsc, do których mógłbym uciec... Kiedy ostatnio się modliłeś?

- Jakiś czas temu, o zwykłej porze. - odparł zaskoczony Al-Faruch. - Byłeś tutaj, po prostu nie zauważyłeś.

- Czy nie powinieneś się zwrócić na wschód?

Saracen się uśmiechnął.

- Allah wymaga od nas modlitw, lecz będąc litościwy, nie nalega, abyśmy się zamęczali, kiedy jesteśmy unieruchomieni. Pomodlę się we właściwy sposób, kiedy będę w stanie.

- Dobrze więc, kiedy ostatnio się wypróżniłeś?

Saracen zrobił wielkie oczy i wzruszył ramionami.

- Rankiem tego dnia, kiedy odeszli moi przyjaciele, lecz od tamtej pory nie jadłem wiele, więc nie odczuwałem naglącej potrzeby.

- Lecz jadłeś niedawno. Czy będziesz mógł w ogóle stąpać tą nogą, jeśli cię podtrzymam?

- Sądzę, że tak.

- Dobrze. Czy twoi przyjaciele wykopali latrynę?

- Tak, dość blisko, lecz na tyle daleko, aby była nieszkodliwa. Jest o dziesięć kroków na prawo od wejścia.

- Jeśli pomogę ci tam dotrzeć, czy będziesz w stanie załatwić własne potrzeby?

-Tak.

- Dobrze. A jeśli pomogę ci wstać i iść, czy będziesz próbował mnie zabić?

W oczach Saracena pojawił się cień uśmiechu.

- Nie, dopóki nie przyprowadzisz mnie z powrotem tutaj, choć przysięgłem przy każdej okazji zabijać wszystkich niewiernych.

Sinclair mruknął coś, po czym podszedł do niego, wyciągając zdrową rękę.

- Niech będzie, zobaczmy, czy damy radę podnieść cię na nogi. Uważaj na moje drugie ramię. Jest złamane tak poważnie jak twoja noga, ale nie tak dobrze zabandażowane.

Kiedy wrócili z latryny, noc zapadła już całkowicie; siedzieli razem w swoim ciemnym schronieniu. Przez jakiś czas rozmawiali o drobnych, nieważnych sprawach, lecz noc była zupełnie spokojna,

a oni zmęczeni, więc szybko zasnęli, ułożeni jeden za drugim w wąskiej przestrzeni. Tuż przed zaśnięciem Sinclair pomyślał, że będzie musiał wstać i odjechać przed świtem.

Ocknął się, kiedy pokryta pęcherzami dłoń zatkała mu usta, lecz jego protesty ucichły natychmiast, gdy usłyszał głębokie, gardłowe warknięcie i poczuł zimne ostrze noża na szyi. Leżał nieruchomo i czekał na śmierć. Choć świt jeszcze nie nadszedł, wszędzie dookoła panował ruch i Sinclair wiedział, że powinien przewidzieć taki rozwój wypadków.

- Kim jest ten przeklęty *ferenghP.* Mam mu poderżnąć gardło? -Głos rozbrzmiewał dokładnie nad nim i Sinclair poczuł, jak nacisk ostrza na jego gardle wzrasta. Jednak kiedy zaczynał już napinać mięśnie, przygotowując się na cios, dźwięczący absolutną władzą głos al--Farucha powstrzymał dłoń mężczyzny.

- Nie! Nie krzywdź go, Sabit. Dzielił się ze mną chlebem i solą, jestem jego dłużnikiem.

Sabit mruknął coś niechętnie, odchylił się i usiadł w kucki. Odjął dłoń od twarzy Sinclaira, lecz wciąż przyciskał nóż do jego gardła -choć teraz płazem broni.

- Amir, jak możesz być dłużnikiem *ferenghP.* - Jego głos ociekał wstrętem. —To niewierny, więc w kontaktach z nim nie musisz być związany naszymi świętymi prawami. Sam ten pomysł jest śmiechu wart.

- Czy uznałbyś za stosowne śmiać się z mojego współczucia, Sabit?

-Ostry ton szybkiej riposty al-Farucha wystarczył, aby mężczyzna przestał przyciskać nóż do szyi Sinclaira.

- Nie, wcale nie, Amir. Ja tylko...

- Tylko kwestionowałeś moją decyzję, jak sądzę.

- Nigdy. - Sabit klęknął z wyprostowanymi plecami i obrócił się, aby spojrzeć na swojego zwierzchnika. - Myślałem po prostu...

- To dziwne, Sabit. Nigdy wcześniej nie zauważyłem, żebyś myślał. Nie wymagam od ciebie myślenia, jedynie posłuszeństwa i lojalności. Rozumiemy się?

- Co rozkażesz, Amir.

Sinclair nie musiał widzieć mężczyzny, aby wiedzieć, że zmar-kotniał.

- Świetnie. Teraz podziękuj Allanowi za Jego błogosławieństwa i mój dobry humor, potem wyprowadź *ferenghi* na zewnątrz i zatrzymaj go tam, gdzie nie podsłucha naszej rozmowy. Twierdzi, że nie rozumie naszej mowy, lecz możemy mieć tu dużo do omówienia i rozsądnie jest zachować ostrożność.

- Allah Akbar. Jestem ci posłuszny, jak zawsze.

Kiedy Sabit wstał gwałtownie, al-Faruch zaczął mówić po francusku, przeciągle i z mocnym akcentem.

- Powinieneś był odjechać wczoraj wieczorem, Lach-Lann, ponieważ teraz jesteś moim więźniem. Mój wojownik Sabit to dobry człowiek, lecz ma silne, czasem błędne ideały. Już miał podciąć ci gardło.

- Zauważyłem. - Sinclair robił wszystko, aby jego głos był spokojny.

- Dziękuję ci za darowanie mi życia. - Zawahał się. - Słyszałem, że zwraca się do ciebie imieniem Amir. Czy nie mówiłeś, że twoje imię to Ibn?

- Nie dla nich - powiedział Saracen. - Jestem dla nich emirem, rozumiesz? Mieszkamy daleko od innych, którzy mówią w naszym języku. Beduini mówią Emir, lecz tam, gdzie my żyjemy, wymawiamy to inaczej, Amir. Idź teraz z Sabitem. Zajmie się tobą, kiedy ja będę się naradzał z moimi dowódcami, ponieważ przybyło sporo moich ludzi. Powiadomią mnie o wszystkim, co się stało w ciągu ostatniego tygodnia. Tymczasem Sabit zabierze cię w oddalone od nas miejsce i tam cię

zatrzyma, aż zdecyduję, co z tobą zrobić. Idź z nim i dziękuj Allahowi, że udało mi się zatrzymać jego dłoń, zanim mógł cię zranić. Teraz będziesz bezpieczny w jego rękach.

- Dziękuję ci jeszcze raz. Najwyraźniej jesteś bardziej potężny, niż podejrzewałem. Pójdę z twoim człowiekiem.

- Pomóż mu wstać, Sabit - rozkazał po arabsku al-Faruch.

Kiedy Sabit się poruszył, aby wypełnić rozkaz, Sinclair przyjrzał się mu w narastającym świetle dnia. Był to rosły mężczyzna z dwiema głębokimi bruzdami między wiecznie zmarszczonymi, krzaczastymi brwiami oraz haczykowatym, kościstym nosem. Na głowie miał zakończony szpikulcem hełm luźno owinięty białą, złożoną kufiją. Każdy jej koniec zarzucony był za przeciwległe ramię, tak że fałdy zakrywały mu dolną połowę twarzy. Prawe oko przesłaniała czarna przepaska. Spod niej ciągnęła się sina, widoczna nawet w słabym świe-

..v KULILI, i aicaiui lewej dlom pieścił rękojeść dlu^ie^o, zakrzywionego miecza wiszącego u jego pasa. Patrząc wściekłym wzrokiem spode łba, wyciągnął drugą rękę i Sinclair stanął z jego pomocą na nogach, chwiejąc się przez chwilę, po czym ruszył w kierunku wyjścia. Saracen szedł o krok za nim, położywszy rękę na jego ramieniu ostrzegawczym gestem.

Kiedy Sinclair wyszedł na otwartą przestrzeń, zapadła cisza, a on rozejrzał się ciekawie. Ponad stu mężczyzn, większość na koniach, przyglądało mu się w świetle świtu. Żaden nie przemówił ani się nie odezwał, gdy Sabit łagodnie szturchnął Sinclaira palcem, lecz każdy odprowadził Franka wzrokiem, kiedy przeszedł jakieś trzydzieści kroków wzdłuż podnóża klifu, aż eskortujący go człowiek znów chwycił go za ramię.

Olbrzym wskazał na ziemię, a drugą ręką o płasko ułożonej dłoni poklepał powietrze wymownym gestem. Sinclaira nie trzeba było nakłaniać: usiadł, opierając się plecami o skalną ścianę, i przyglądał się, jak dwóch ludzi al-Farucha wynosi go z wnęki na splecionych w krzesełko dłoniach. Zatrzymali się przed towarzyszami, a oni powitali swojego dowódcę rykiem, który nie pozostawiał wątpliwości co do ich przywiązania i szacunku. Powitanie zrobiło na Sinclairze wrażenie, lecz nie zaskoczyło go, ponieważ zdążył już wyrobić sobie opinię o charakterze i temperamencie al-Farucha. Był jednak zaskoczony, kiedy tłum dosiadających koni ludzi się rozstąpił i ukazała się para białych

wierzchowców zaprzężonych w pojazd, którego Sinclair nigdy wcześniej nie widział, choć domyślił się jego przeznaczenia. Był to lekki rydwan bojowy składający się prawie wyłącznie z otoczonej plecionką platformy wzniesionej na dwóch wysokich, smukłych kołach, lecz Sinclair natychmiast zauważył, że wyposażono go w siedzisko, które pozwalało jeźdźcowi siedzieć wygodnie i kierować pojazdem mimo złamanej nogi. Bogato ubrany wojownik podprowadził konie, a służący al-Farucha ostrożnie podnieśli go na tyle wysoko, by mógł wciągnąć się na siedzenie. Pozdrowił stamtąd dłonią swoich ludzi, co przyniosło kolejną falę wiwatów.

Chwilę potem na jego cichy rozkaz zgromadzenie się rozproszyło - większość ludzi zeszła z koni i spontanicznie podzieliła się na grupki, a dowódcy podążyli za rydwanem al-Farucha, który odprowadził ich dalej od reszty, aby mogli swobodnie porozmawiać. Sin-

clair zrezygnował z wszelkich prób podsłuchiwania, zakrył twarz fałdami kufiji, którą olbrzym rzucił mu chwilę wcześniej, skrzyżował ramiona na piersi i pochylił głowę jak do snu.

Nie spodziewał się, że zaśnie, był więc zaskoczony, kiedy poczuł, że Sabit trąca go stopą. Podniósł szeroko otwarte oczy i zobaczył, że Arab znów wyciąga do niego prawą rękę. Chwycił ją i podniósł się na nogi, poprawił temblak na ramieniu i podążył za olbrzymem. Al-Faruch czekał na niego w swoim rydwanie. Po drodze Sinclair czuł, że każdy obecny tam człowiek przygląda mu się uważnie.

Al-Faruch kiwnął mu poważnie głową, pogładził koniec brody kciukiem oraz palcem wskazującym i powiedział po francusku:

- Cóż, Lach-Lann, wygląda na to, że miałeś rację, martwiąc się o to, dokąd uciec... jestem pod wrażeniem precyzji twoich przepowiedni. Tyberiada poddała się sułtanowi, kiedy tylko usłyszała o naszym zwycięstwie pod Hattinem. Jak zawsze wykazał miłosierdzie i pozwolił obrońcom odejść cało. Jak przewidziałeś, Suffirija i Nazaret również wpadły w nasze ręce, a sułtan... niech Allah wciąż zsyła na niego swoje światło... oblega Jerozolimę. Spodziewamy się, że przejmie kontrolę nad miastem i przepędzi jego obrońców nad morze, zanim tam dotrzemy. Palestyna, chrześcijańskie królestwo, jest znów nasze, wyzwolone spod frankońskiego jarzma, a na inne tereny, nazywane przez was Antiochią, Edessą i Trypolisem, niedługo spadnie to samo błogosławieństwo. Nasze ziemie zostaną zjednoczone na chwałę

Allaha od Północnej Syrii po Egipt.

Podczas tej przemowy Sinclair zachował kamienny wyraz twarzy, po czym kiwnął.

- A co z bitwą, panie? Czy wiesz, jakie ponieśliśmy straty?

- Tak. - W zachowaniu al-Farucha nie było ani śladu żartów czy przechwałek. - Piechota Turkopoli towarzysząca waszym rycerzom została zniszczona, nikt nie przeżył. Zginął ponad tysiąc z dwunastu tysięcy waszych rycerzy. Kruk z Keraku... ten podły bydlak de Cha-tillon... nie żyje, uśmiercony osobiście przez Saladyna, który poprzysiągł, że to uczyni. - Al-Faruch przerwał, w jego oczach pojawił się nowy, nieodgadniony wyraz. Sinclair wyostrzył czujność, lecz usłyszał coś zupełnie niespodziewanego.

- Na wyraźny rozkaz sułtana zabito też, jak się dowiaduję, ponad stu rycerzy Świątyni. Pojmano ich podczas bitwy, a potem stracono.

— Stracono jeńców? Nie wierzę. Imię Saladyna na zawsze byłoby splamione takim okrucieństwem.

Prawa brew al-Farucha drgnęła.

— Imię Saladyna? Mówisz o jego reputacji wśród Franków? Imię Saladyna jest czczone przez wyznawców Allaha, wojowników islamu. Dla żadnego z wiernych zdanie giaurów o jego imieniu czy reputacji nie ma znaczenia. To człowiek, który złożył najświętszą z przysiąg, aby oczyścić islam z kalających go Franków, i nakazał egzekucję rycerzy Świątyni, ponieważ uważa, że są najgroźniejszymi ludźmi na świe cie. Dlatego też wydał dekret, aby żaden templariusz nie mógł odtąd odejść wolno, aby walczyć z nami w przyszłości.

Sinclairowi nie przyszła do głowy żadna właściwa odpowiedź, skinął tylko głową.

— Co więc zrobisz teraz ze mną? Czy i ja mam umrzeć?

Al-Faruch wydał z siebie krótki, przypominający szczeknięcie śmiech.

—Umrzeć? Nie, nie masz umrzeć. Jestem ci winien życie. Lecz będziesz moim więźniem, aż ktoś zapłaci za ciebie okup. Nie niepokój się - dodał szybko, widząc, że Sinclair sztywnieje - jeśli nie będziesz sprawiał kłopotów, będziesz dobrze traktowany. Podczas twojego pobytu wśród nas nauczymy cię naszego języka, będziesz miał kontakt ze słowami Allaha i Jego świętego proroka Mahometa, niech będzie błogosławione jego imię. Być może nauczymy cię nawet kąpać się i ubierać w

cywilizowany sposób, lecz to będzie zależało od tego, jak długo zostaniesz między nami. Tymczasem przekazałem pieczę nad tobą Sabitowi. Przekonasz się, że szybko wymierza kary, lecz naprawdę nie jest bardzo wymagający, jeśli się go nie sprowokuje. W normalnych okolicznościach to, że jesteś Frankiem, poważnie by go sprowokowało, lecz ostrzegłem go, aby nie pozwalał sobie na tę przyjemność. Zanim pójdziesz, wysłuchaj pierwszej lekcji arabskiego. *Salam alejkum.* To pozdrowienie, powitanie, oznacza też “do widzenia" i “żegnaj". Tak więc mówię ci, do naszego następnego spotkania, *alejkum salam.*

— *Salam alejkum* - odpowiedział Sinclair, zastanawiając się, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczy swój dom, ponieważ ludzie ci myśleli, że ma na imię Lachlan Moray, a nikt nie będzie wpłacał okupu za szkockiego rycerza sir Lachlana Moraya, niezwiązanego z żadną

znaczącą grupą. Templariusz o takim nazwisku nie istniał i nikt, nawet członkowie bractwa, nie był w stanie odgadnąć, co się naprawdę wydarzyło.

Sabit zrobił krok do przodu i zacisnął dłoń na jego ramieniu. Alec Sinclair poruszył się posłusznie w odpowiedzi, po raz pierwszy naprawdę wstępując w niewolę, zmierzając pod strażą do konia - należącego do al-Farucha - który czekał na niego w środku szyku Sara-cenów.

CZĘŚĆ 2

HRABSTWO

POITOU

1189-1190

1

Aanim jeszcze Ector potrząsnął go za ramię, Henryk Saint Clair wiedział, że śnił, zatopiony w tym niepewnym stanie zawieszenia pomiędzy snem a jawą, który odwiedzał regularnie od czasu, kiedy - rok wcześniej - zmarła jego żona. Odgłosy wypełniające jego sen niepokoiły go i przerażały, a choć odległe, były ogłuszające i groźne - mimo to nie był jednak w stanie nic zrobić, nie potrafił wykonać stanowczego ruchu ani podnieść głosu. Potem jakieś dłonie chwytały go za ramiona, krępowały ręce i obudził się ze stłumionym krzykiem, aby ujrzeć stojącego nad nim Ectora, który wyglądał dziwnie niebezpiecznie w świetle migoczącej u wezgłowia świecy.

- Panie! Henryku, obudź się, panie.

Henryk napiął mięśnie i rozluźnił je, rozpoznając zarówno swojego sługę, jak i własną sypialnię, podczas gdy ostatnie strzępy koszmaru sennego skurczyły się i zniknęły. Przetarł oczy i podniósł się na łokciu.

- Ector? O co chodzi? Która godzina?

- Długo po północy, panie, lecz masz gości. Musisz się odziać, i to szybko.

- Goście? W środku nocy? - Już odrzucał okrycia, lecz przerwał w pół gestu. - Czy to znowu ci po trzykroć przeklęci księża? Jeśli tak, wszyscy mogą iść do diabła, a ja uproszę go, aby wykopał dla nich głębsze doły wśród węgli. Ich świętoszkowata arogancja jest...

- Nie, mój panie, to nie księża. To król. Wydał rozkaz, abyś jak najszybciej do niego dołączył.

- Król. - Bezbarwny głos Henryka zdradzał jego oszołomienie. -Król Francji? Kapet? Filip Drugi August jest tutaj, w Poitou?

- Nie, panie, mam na myśli księcia. Króla angielskiego Ryszarda. Twojego suzerena.

89

— Ryszarda z Akwitanii. - Głos Henryka zmatowiał jeszcze bar dziej. — Śmiesz nazywać go królem w moim domu? Mój ojciec kazał by nas obydwu wypatroszyć za samą tę myśl, a co dopiero słowa.

Ector zwiesił głowę zawstydzony.

-Wybacz mi, panie. Moje myśli źle pokierowały mym językiem.

Henryk podniósł dłoń.

— Dość! Już wkrótce będzie królem Anglii, lecz Henryk wciąż żyje,

a tymczasem jego syn stoi u mych drzwi. - Kiedy Ector ponownie otworzył usta, Saint Clair uniósł ostrzegawczo dłoń. - Nie! Milcz i pozwól mi się zastanowić. Ty tymczasem pomódl się, aby niebiosa ochroniły nas przed niesprzyjającymi wiatrami, ponieważ żadna po myślna bryza nie prowadzi nikogo do cudzych drzwi o tej porze, nie mówiąc już o Ryszardzie z Akwitanii. Dlaczego wcześniej nie powie działeś, że to on?

Sir Henryk - wciąż ubrany w tunikę i getry, które miał na sobie poprzedniego dnia - wstał z łóżka tak szybko, jak tylko pozwoliło mu na to starzejące się ciało, i podszedł do stojącej na stoliku nocnym misy. Opryskał twarz wodą i przemył oczy. Ector zaoferował, że przyniesie

podgrzaną wodę, lecz Henryk mruknął tylko i sięgnął po ręcznik, każąc mu przynieść zamiast tego czystą opończę i pelerynę. Kiedy Ector wyciągał ubrania z szafy, Henryk doprowadził do porządku to, co miał już na sobie, i wsunął stopy w solidne, miękko wyścielane buty.

—Hu ma ze sobą ludzi? Drużynę wojenną?

—Nie, panie. Jest praktycznie sam. Jeden wysoko urodzony towarzysz i co najwyżej dziesięciu strażników. Chyba długo już jadą i czeka ich dalsza droga.

Henryk wciągnął na siebie pierwszą część garderoby, jaką podał mu Ector: białą, długą do kostek opończę bez rękawów i herbu. Owinął się w talii obydwiema połami i zacisnął na nich skórzany pas.

—Jaki ma wyraz twarzy, nastrój? Czy wygląda na gniewnego?

—Nie, panie. Wygląda na... podekscytowanego, pełnego entuzjazmu.

— Na pewno tak *jest*. - Henryk uniósł wysoko świecę i pochylił się, aby zerknąć w zwierciadło z wypolerowanego metalu. Zanurzył drugą dłoń w misie, spryskał wodą włosy oraz brodę, wtarł ją i przeczesał włosy oraz zarost rozpostartymi palcami. - Zastanawiam się jednak,

co teraz wzbudza jego entuzjazm? Jego pasje zmieniają się z tygodnia na tydzień. Ciekawe, dokąd zmierza, że mija po drodze nasze drzwi. Czy mówił coś o tym?

- Nie, panie. Nie mnie.

- Oczywiście, że nie. To nie w jego stylu. No cóż, będę musiał pójść i go zapytać.

Saint Clair obnażył zęby i kiwnął do swojego odbicia w lustrze, po czym odwrócił się do Ectora, wziął rycerską opończę z jego rąk i zarzucił ją zamaszystym gestem, tak że sute fałdy ułożyły się idealnie na jego ramionach, a po lewej stronie klatki piersiowej wyraźnie było widać rodowy herb. Zapiął na piersi haczyk, dzięki któremu ciężka peleryna utrzymywała się na jego barkach, ponownie skinął głową i ruszył w stronę drzwi. Zszedł po szerokich, płytkich schodach z kamienia, prowadzących do rzęsiście oświetlonego głównego holu. Służba krzątała się już w wielkim przedsionku, do którego Ector za-prowadził gości.

- Mam nadzieję, że postawiłeś przed nim jedzenie i napitek, zanim przyszedłeś po mnie?

- Oczywiście, panie, i zaraz po jego przyjeździe dołożyłem do ognia.

- Przygotowałeś dla nich komnaty?

- Służki właśnie je przygotowują, rozpalając ogień i wietrząc oraz grzejąc pościel. Jego świta została już zakwaterowana w stajniach i stryszkach na siano.

- Dobra robota. - Saint Clair zatrzymał się przed drzwiami do przedsionka, rozchylił ramiona, aby opończa leżała wygodniej, i nabrał głęboko powietrza. - No dobrze, zobaczmy, czego teraz pragnie nasz pan i władca.

Henryku, leń z ciebie! Na nogi Boga, nie spieszyłeś się, aby nas powitać!

Kiedy Henryk wszedł, Ryszard Plantagenet wstał, upuszczając poleć mięsa, które właśnie zajadał, i wytarł zatłuszczone dłonie w poły mocno poplamionego skórzanego kaftana. Pomimo pozornie surowego napomnienia oraz podniesionego głosu z widoczną radością podszedł do gospodarza, rozkładając ramiona i witając go mocnym

uściskiem. Saint Clair ledwie zdążył zauważyć, jak jeszcze jeden mężczyzna *wstaje* od stołu, zanim niedźwiedzi uścisk Ryszarda uniósł go w powietrze - nie pozostało mu nic innego, jak tylko starać się zachować resztki godności. Jednakże trzymający go rosły mężczyzna obrócił się dookoła własnej osi tylko raz, potem wypuścił go i odsunął na odległość ramienia, wlepiając w niego przenikliwe spojrzenie błękitnych oczu.

- Wyglądasz wspaniale, stary przyjacielu, tak, jak miałem nadzieję. To najmilszy moim oczom widok od wielu tygodni. Ileż to już lat? Siedem, osiem?

- Pięć, panie - wymamrotał Henryk, uśmiechając się na myśl, że Ryszard Plantagenet na pewno pamięta co do dnia, kiedy spotkali się ostatnio. - Lecz nie przerywaj posiłku z mojego powodu. Na pewno

przyjeżdżasz z daleka i jesteś głodny.

Zerknął w prawo i ujrzał dwie mokre, zaplamione błotem peleryny do jazdy konnej przerzucone przez oparcie wysokiego krzesła oraz ułożone w poprzek jego podłokietników dwa długie miecze. Kwiecień był długim miesiącem, w którym często się powtarzały ciężkie opady deszczu oraz wichury; wyglądało na to, że odległy o zaledwie kilka dni maj będzie jeszcze bardziej ponury i nietypowo jak na tę porę roku nieprzyjazny.

- Masz rację, stary druhu, jestem wygłodzony. - Ryszard obró cił się na pięcie, wrócił do stołu, podniósł porzuconą sztukę drobiu, machnął nią w kierunku swojego towarzysza i zatopił w niej zęby. Oderwał kęs, przeżuł go kilka razy i odezwał się z pełnymi ustami: - Sądzę, że poznałeś de Sablego?

Rycerz o nazwisku de Sabie wciąż stał i skłonił się kurtuazyjnie Saint Clairowi, który potrząsnął głową uprzejmie i postąpił do przodu z wyciągniętą ręką.

- Nie znam tego jegomościa, lecz jest tu jak najmilej widziany, jak i *ty,* panie.

Ściskając rękę gościowi, Saint Clair zmierzył go krótkim spojrze- niem — żeby spojrzeć w jego bystre oczy, musiał podnieść wzrok — a on skłonił w odpowiedzi głowę z lekkim uśmiechem i uściskiem dłoni.

- Robert de Sabie, sir Henryku - powiedział. - Rycerz andega weński i, jak ty, wasal księcia Ryszarda. Wybacz nam późną godzinę.

- Nonsens - mruknął Ryszard i czknął cicho. - Wybaczyć nam? Co ma nam wybaczyć, przypominanie mu o jego obowiązku? Jak powiedziałeś, Henryk jest moim wasalem, tak jak ty zobowiązanym, aby prowadzić taki tryb życia jak ja, i jeśli ja przez całą noc jestem na nogach, moi wasale muszą się pogodzić z koniecznością dostosowania się do mnie, choćby raz na pięć lat. Czyż nie tak, Henryku?

- Tak jest, panie.

- Mój panie, mój panie. Kiedyś mówiłeś mi po imieniu i biłeś mnie, jeśli nie spełniłem każdej twojej zachcianki.

- To prawda, panie. - Saint Clair pozwolił sobie na mały uśmiech.

-Lecz to było wiele lat temu, kiedy byłeś chłopcem i twój charakter wymagał ukształtowania. Teraz jesteś hrabią Poitou i Andegawenii, księciem Normandii i Akwitanii, diukiem Bretanii, Maine i Gasko-nii. Wyobrażam sobie, że dziś niewielu ludzi śmiałoby zwrócić się do ciebie po imieniu.

- Ha! - Oczy Ryszarda lśniły z zachwytu. - Niewielu śmiałoby powiedzieć nawet to, co powiedziałeś przed chwilą. Cieszę się, że nie straciłeś jaj. - Odwrócił się do Sablego. - Ten oto człowiek, Robercie, nauczył mnie wszystkiego, co wiem o broni i wojnie. Nauczył mnie podstaw używania miecza, lancy, topora i kuszy na długo, zanim w moim życiu pojawił się William Marshall z Anglii. Nauczył mnie dążyć każdego dnia do perfekcji, podnosić i ciskać ciężary, wyrabiać mięśnie. Stoi przed tobą we własnej osobie człowiek, który sprawił, że jestem tym, kim jestem.

W głowie Henryka pojawiła się spontanicznie myśl: “Uchowaj Boże!" Choć komplementy pochlebiały mu, wiele z tego, kim był Ryszard Plantagenet, do głębi bulwersowało starszego rycerza. Nauczył chłopca brać udział w turniejach i walczyć, to z pewnością było prawdą. Od ósmych do czternastych urodzin chłopca wbijał mu do głowy s/tukę posługiwania się bronią i żołnierską dyscyplinę z surową, nakierowaną na jeden cel wytrwałością zrodzoną nie z miłości ani nawet /. podziwu, lecz z poczucia obowiązku. W tych czasach Henryk pełnił bowiem rolę marszałka dworu matki chłopca, Eleonory Akwitańskiej, która była królową Francji, potem rozwiodła się z mężem i poślubiła króla Anglii, Henryka II, aby stać się królową jego kraju, zachowując przy tym księstwo Akwitanii, największe i najpotężniejsze lenno we I ;ranej i. Nazwano ją kiedyś najsilniejszą kobietą świata chrześcijań-

skiego, iejcz jej siła zawiodła jej synów, z których trzecim - i podobno ulubionym - był Ryszard. Nawet w latach chłopięcych - mimo że wkrótce zdobył sławę jako szermierz i wojownik, który nie miał sobie równych wśród chłopców w swoim wieku - przejawiał cechy, które zarazem mroziły krew Henryka Saint Claira, jak i budziły jego wstręt. Teraz, widząc swojego pana lennego po raz pierwszy od wielu lat, przekonał się, że nie ma najmniejszej ochoty być postrzegany, choćby przez pomyłkę, jako człowiek, dzięki któremu Ryszard Plantagenet jest tym, kim jest.

- Siadaj, człowieku, siadaj sobie. To twój własny dom i jestem

w nim zaledwie gościem. Siadaj, dołącz do nas i opowiedz nam, co porabiałeś, skrywając się tutaj przez wszystkie te lata.

Ector podszedł bez słowa i odsunął krzesło od stołu dla swojego pana, a Henryk usiadł, starannie układając fałdy opończy tak, aby nie krępowały jego ruchów.

- Poczęstuj się kapłonem — warknął Ryszard, popychając półmisek w stronę gospodarza, zanim ten zdążył się odezwać. - Służbę kuchen ną masz *w* porządku. Moje mięso nigdy nie smakuje tak dobrze. Przy prawy *czy* coś... - Ryszard znów brutalnie zaatakował swoją sztukę mięsa, a jego krótka ruda broda lśniła od tłuszczu.

De S łbie jadł bardziej wytwornie, drobnymi kęsami, zamiast roz- rywać mięso zębami. Saint Clair skorzystał z okazji, aby przyjrzeć mu się dokładniej. Andegaweński rycerz wyglądał na starszego może o pięć lat od swojego suzerena, miał twarz o szlachetnych rysach i brązowe oczy bystro patrzące nad długim, prostym nosem oraz żuchwą, k;órej kwadratowy zarys było wyraźnie widać pod ciemnobrązową bradą przyciętą w kształt łopaty. Była to surowa twarz, lecz, jak sądził Henryk, zdolna jednak do wyrażania rozbawienia lub współczucia; zastanawiał się przez chwilę, kim jest ten człowiek i dlaczego tutaj trafił, towarzysząc samotnie Ryszardowi Plantagenetowi, jednemu z najpotężniejszych i najbardziej nieprzewidywalnych ludzi w świecie chrześcijańskim. Henryk przysunął do siebie drewnianą tacę i poczęstował się zimnym skrzydełkiem z kapłona. Było na nim niewiele mięsa, lecz Henryk nie czuł głodu. Jego umysł spekulował gorączkowo

na temat powodów i konsekwencji tej niespodziewanej wizyty. Podniósł skrzydełko i znów je odłożył, nie kosztując go nawet.

94

- Zasmuciły mnie niedawno wieści, że wciąż nie możesz dojść do porozumienia z ojcem w kwestii sukcesji. Miałem nadzieję, że ten konflikt już dawno został rozwiązany.

- Tak jak my wszyscy. I szczerze mówiąc, tak było, dopóki ten stary knur znów nie zmienił zdania. Jak na kogoś, kto uważa się za lwa, jest starą, upartą świnią. Jednak ja się z nim jeszcze uporam, Bóg mi świadkiem. Poczekajcie tylko chwilę, a zobaczycie, wraz z całą resztą świata. Przed śmiercią uczyni mnie następcą tronu Anglii, a długo już nie pociągnie, daj Boże.

Choć Henryk Saint Clair wiedział, że ojciec i syn nie przepadają za sobą, i słyszał, że stary król zauważalnie i szybko podupada na zdrowiu, był oburzony, że syn tak bezdusznie mówi o zbliżającej się nieuchronnie śmierci ojca. Nim przyszła mu do głowy jakakolwiek odpowiedź, Ryszard ciągnął:

- Przyznam jednak, że stary knur dobrze się ustawił w życiu...

1 mnie także, kiedy się nad tym zastanowię. Zbudował mi imperium, czyż nie? Nie cierpiałem go całe życie, nienawidziłem go nawet czasa mi, a jednak i ja mogę nad nim czasem zapłakać. Może i jest godnym pogardy tyranem, lecz na Boga, to człowiek i król, z którym trzeba się liczyć. Przysięgam, nie mam pojęcia, jak on i matka przeżyli ze sobą lyle lat, nie zabijając się.

- Być może dlatego, że od kilku lat trzyma ją w więzieniu.
Ryszard poderwał głowę i spojrzał na swojego "starego nauczyciela wstrząśnięty, lecz po chwili uśmiechnął się szeroko i wydał z siebie głośny rechot.
- Na Boga, masz rację. To zapewne miało dużo wspólnego z tym, że oboje przeżyli.
- Jak teraz ma się twoja matka?
- Z tego, co mówią mi moi ludzie w Anglii, wspaniale, lecz któregoś pięknego dnia odzyska wolność i wtedy prawdopodobnie stanie się bardziej niebezpieczna i nieprzewidywalna niż kiedykolwiek wcześniej! Eleonora nigdy nie przestanie dążyć do osiągnięcia własnych celów.
Saint Clair skłonił głowę.
- Nie mogę nic powiedzieć na ten temat, panie, ponieważ prowa dzimy tu spokojne życie i rzadko dowiadujemy się, co dzieje się za naszymi bramami. Ostatnio nieczęsto przyjmujemy gości, a od czasu,

kiedy ponad rok temu zmarła moja żona Amanda, rzadko szukam kontaktu ze światem poza moimi murami.
Odpowiedź Ryszarda była natychmiastowa, stanowcza i zupełnie nie przystawała do tego, co Saint Clair chciał usłyszeć:
- Musisz więc częściej stąd wyjeżdżać i ruszać się po świecie, dla tego właśnie tu jestem. - Wypowiedziawszy to złowieszcze zdanie, książę zamilkł, tocząc między palcami kulkę chleba. Kiedy patrzył w kierunku huczącego w wielkim palenisku ognia, jego twarz była za

myślona, a następne słowa zaskoczyły gospodarza. - Nic nie słyszałem o śmierci twojej żony, a wiem, ile dla ciebie znaczyła... Musiał to być dla ciebie wielki cios, przyjacielu, i całkowicie tłumaczy twą niewiedzę na temat życia za twymi bramami, jak mówisz, więc nie będziemy już o tym rozmawiać.

Wstał, zdjął skórzany kaftan i rzucił go za siebie, na krzesło, na którym leżały poplamione opończe. Sir Henryk przywołał Ectora palcem i wskazał ubrania, które sługa natychmiast pozbierał.

- Twoje komnaty powinny być niedługo gotowe, panie, będzie ci w nich ciepło i wygodnie. Tymczasem wasze peleryny zostaną osuszone i oczyszczone, abyście mogli je włożyć rankiem.

Ryszard przyglądał się leniwie, jak Ector wynosi z przedsionka dwie ciężkie peleryny i jego kaftan. Kiedy za sługą zamknęły się drzwi, przyciągnął krzesło w pobliże buzującego ognia i usiadłszy, wyciągnął nogi w stronę płomieni. Pokryty złotym zarostem podbródek opierał się niemal o jego pierś, a książę z zamyśloną miną muskał palcami lewą połę tuniki w miejscu, gdzie widniał jego herb. Na krwistoczerwonym tle w kształcie tarczy wyhaftowano złotą nicią zwróconego w lewo, stojącego na tylnych łapach lwa. Cisza się przedłużała, Saint Clair odchrząknął delikatnie, tłumiąc narastającą w piersi obawę, i pośród trzasków ognia rozległ się jego głos:

- Zacząłeś mówić o tym, co cię tu dzisiaj sprowadza, panie. Czy wolno mi zapytać, co miałeś na myśli?

Ryszard otworzył gwałtownie oczy i odwrócił się w stronę Saint

Claira, siedzącego przy stole naprzeciw de Sablego.

- Tak, wolno. Potrzebuję cię, przyjacielu. Chcę, abyś stanął u mo

jego boku.

Henryk walczył z konsternacją. Z brakiem zrozumienia na twarzy

zapytał:

-Tutaj, panie, w Andegawenii?

- Niech to diabli, nie! W Zamorzu, w Ziemi Świętej. - Książę

spojrzał na wasala piorunującym wzrokiem i, najwyraźniej przypo

mniawszy sobie o jego obojętności wobec spraw zewnętrznych, do

dał: - Od kilku miesięcy utrzymuję bliskie kontakty z nowym papie

żem, Klemensem. Wygląda na to, że mieliśmy wielu papieży w ciągu

ostatniego roku, czyż nie? Urban Trzeci, który zmarł w październi

ku poprzedniego roku, potem kolejny, Grzegorz Ósmy, przez dwa

krótkie miesiące do ubiegłego grudnia, i teraz Klemens Trzeci, który

zaledwie rok na stanowisku, nie może się doczekać, aby kontynuować

tę nową wojnę... Słyszałeś pewnie, że w ubiegłym roku, w styczniu,

mój ojciec zobowiązał się, że odzyska Królestwo Jerozolimskie i Świę

ty Krzyż dla Grzegorza?

Saint Clair potrząsnął głową, wytrzeszczając oczy.

- Nie, panie. Wieści te nie dotarły do mnie, pogrążonego w ża

łobie. Moja żona zmarła zaledwie kilka tygodni po śmierci papieża

Urbana.

Ryszard spojrzał surowo na gospodarza, po czym skinął zdawkowo

głową.

- Tak, cóż, Henryk złożył papieżowi Grzegorzowi przysięgę w Gisors i jakiś miesiąc później dowiedzieliśmy się o śmierci Grzegorza, która nastąpiła tuż po odejściu Urbana. Prawdę mówiąc, pod nie obecność Grzegorza złożył przyrzeczenie arcybiskupowi Josiasowi z Tym, jedynego chrześcijańskiego arcybiskupstwa, które ostało się w całym Zamorzu. W każdym razie stary poświęcił nas wszystkich wojnie, szczególnie mnie i Filipa, nawet mimo że nie było mnie tam... lecz nie powinieneś być zaskoczony. Stary lew uznał, że moja nieobecność nie jest przeszkodą, aby po ojcowsku podporządkować mój los papieskiej idei.

Choć Saint Clair udawał zainteresowanie tą informacją, czuł, że jego uporczywa ignorancja irytuje Ryszarda, który odkaszlnął głośno I ciągnął:

- Cóż, wygląda na to, że wszystko już jest zaplanowane. Francuscy rycerze mają mieć czerwone krzyże na białych opończach, angielscy białe na czerwonych, a flamandzcy zielone, zapewne na białym tle. Wszystko to jest bardzo kolorowe i na pewno ma jakieś znaczenie. Poitstnowiono, że wyruszymy w przyszłym roku, lecz ojciec oczywiście

nie mi zamiaru iść z nami. To jego fortel, aby pozbyć się mnie i zająć własnymi planami osadzenia na tronie Anglii mojego beznadziejnego brata, Jana. Kiedy nadejdzie czas wymarszu, będzie się tłumaczył niedołęstwem, chorobą i podeszłym wiekiem, zobaczysz. Lecz ten trzeci

papież, Klemens, nie jest głupi, to dla mnie więcej niż jasne. Wyraźnie widzi, co się szykuje... dzięki zwiadom i śledztwom prowadzonym przez jego biskupów tutaj oraz w Anglii... i wie, że nie ustąpię potulnie mojemu głupkowatemu bratu. Wyraził więc zrozumienie dla moich trosk, ponieważ potrzebuje mnie. Chce, żebym chwycił za broń w imieniu Kościoła, w Jerozolimie, jako przywódca jego nowej frankońskiej armii zbawienia, która odbierze niewiernym Królestwo Jerozolimskie. Gdyby to było jedyne życzenie *II Papa,* nie zrobiłoby na mnie wrażenia, ponieważ i tak miałem zamiar poprowadzić armię, kiedy tylko o tym usłyszałem. Lecz cesarz niemiecki, Barbarossa, pokrzyżował plany Grzegorza przed śmiercią starego papieża, przysięgając, że stworzy ponaddwustutysięczną teutońską armię. To oczywiście sprawiło, że cały Rzym, Klemens i *wszyscy* jego kardynałowie trzęsą się ze strachu, ponieważ ostatnią rzeczą, jakiej potrzebują czy chcą, jest to, aby Święty Kościół Apostolski był cokolwiek dłużny Niemcowi Barbarossie i jego Świętemu Cesarstwu Rzymskiemu, nie wspominając już o jego bynajmniej nie świętej rzymskiej armii. Gdyby nie zareagowali, mogliby utracić wpływy na świecie, więc jestem dla nich jedyną nadzieją na uratowanie ich Imperium Dusz.

Książę urwał, skubiąc dolną wargę i patrząc na Henryka zmrużonymi, niewidzącymi oczyma.

- Klemens zabiega o moje względy, uwodzi mnie, abym przewodził siłom frankońskim, które zrównoważą obecność Barbarossy w Zamorzu i sprawią, że bilans władzy będzie się utrzymywał po stronie papieża.

Nasze siły nie będą nawet w połowie tak liczne jak siły niemieckie, ponieważ Barbarossa ma do dyspozycji prawie trzykrotnie więcej ludzi niż my, lecz jest niemal tak stary jak mój ojciec i zamierzam to wykorzystać. Nasi Frankowie spiszą się lepiej od jego powściągliwych teutońskich rycerzy. W zamian za zapewnienie mu tej przewagi papież zaoferował mi gwarancję... lecz zważ, jeszcze nie na piśmie... odziedziczenia prawa do tronu Anglii po śmierci mojego ojca.

^aint Clair zmarszczył nos.

- Rozumiem. Czy ufasz temu papieżowi, panie?

— Czy mu ufam? Papieżowi? Uważasz mnie za szaleńca, Henryku?

—

Na twarzy Ryszarda pojawił się szeroki uśmiech. - Ufam, że będę wiedział, co jest najlepsze dla mnie i mojego ludu, i że zrobię to... oto, czemu ufam. Przystałem więc na jego prośbę. Będę przewodził armii, jeśli on pomoże mi ją zebrać. Oczywiście Filip będzie zaangażowany w tę ekspedycję. Właściwie już jest zaangażowany, od czasu pierwot nej umowy pod Gisors. Od tamtej pory oczywiście zraził do siebie ojca na zawsze, kiedy w sierpniu ściął ulubiony wiąz starego... tak zwany Wiąz z Gisors... pod którym król podpisał tyle traktatów, mię dzy innymi ten ze stycznia. Z powodu tego incydentu doszło niemal do otwartej wojny i byłem zmuszony znów stanąć po stronie Filipa, aby ochronić własne lenna we Francji, gdzie on jest moim panem lennym. Wyobraź sobie, jak zawrzało z tego powodu, groźba nowej,

wewnętrznej wojny w świecie chrześcijańskim w czasie, kiedy głów
ne zagrożenie dla władzy papieskiej tkwi w Zamorzu! Wzbudziło to
panikę w Państwie Kościelnym i tłumek papieskich posłów apelował
do każdego z nas z osobna. Filip dał się namówić do powrotu na łono
wspólnoty i ponowił swoją przysięgę w kwestii świętej wojny. Aby
dopełnić przyrzeczenia i wesprzeć nas, poprowadzi ze sobą na woj
nę najpotężniejszych wasali w królestwie: Filipa Alzackiego, hrabiego
Flandrii oraz Henryka Drugiego z Szampanii. Henryk jest zarówno
moim krewnym, jak i Filipa, wiedziałeś o tym? Moja matka jest jego
babką dzięki swojemu pierwszemu małżeństwu we Francji. Na pewno
będzie tam też Stefan hrabia Sancerre. Lecz to ja będę dowodził. Tak
przysiągł nowy papież, Klemens, chociaż nie jestem jeszcze królem,
a Filip już od dziesięciu lat nosi koronę. Nasz Filip jest organizato
rem, niezrównanym zarządcą, ale to ja jestem wojownikiem. Jeśli mój
ojciec dożyje zebrania armii, będzie napomykał o chęci dowodzenia
nią, lecz jak powiedziałem, zrobi to jedynie na pokaz. W każdym razie
kiedy armia zostanie zebrana, natychmiast pożeglujemy do Palestyny,
a kiedy wrócimy już jako zwycięzcy, Anglia bezsprzecznie będzie moja,
l poparciem oraz błogosławieństwem papieża i całego jego dworu.
Ryszard wstał i oparł się ramieniem o gzyms nad paleniskiem, pa-
trząc w ogień. Saint Clair po chwili powiedział:
- Wspominałeś coś o stu tysiącach ludzi, panie. Wybacz, że pytam,
lecz... Kto za to zapłaci? - Ciągnął pospiesznie, zanim Ryszard

mógł zareagować: -To znaczy wiem, że powiedziałeś, że to twój ojciec złożył pod Gisors przysięgę wzięcia udziału w tym przedsięwzięciu, i tak powinno być, lecz czy teraz, po wydarzeniach sierpniowych, dotrzyma obietnicy, wiedząc, że przyczyni się w ten sposób do twego sukcesu?

— Tak, dotrzyma. — Ryszard, niespeszony pytaniem, mówił przez ramię, nie patrząc wprost na gospodarza, lecz mimo to zwracając się do niego: - Dotrzyma, ponieważ nic nie wie i nie dowie się o mojej umowie z Klemensem. Zanim zapytasz mnie, jak mogę być tego pe wien, odpowiedź brzmi: Klemens potrzebuje dziś mojej dobrej woli o wiele bardziej, niż kiedykolwiek będzie potrzebował życzliwości mojego ojca. Aby się o tym w dwójnasób upewnić, jasno dałem pa pieżowi do zrozumienia, że moi osobiści szpiedzy będą się uważnie wszystkiemu przyglądać. Jeśli nabiorę najlżejszych podejrzeń, że Oj ciec Święty mógł się kontaktować z moim ojcem, odejdę z armii, na tychmiast opuszczę Ziemię Świętą wraz z moimi ludźmi i zostawię go, aby sam dogadał się z Barbarossą i jego Niemcami w kwestii własnego losu oraz losu Świętego Kościoła Apostolskiego.

Odepchnął się od kominka i zaciągnął swoje krzesło z powrotem do stołu, stanął za nim i oparł ręce o podgłówek.

— Jeśli chodzi o finansowanie przedsięwzięcia, mówiłem ci, że Ko

ściół jest gotów ofiarować złoto zgodnie z warunkami mojej niedaw nej umowy z Klemensem. Są też inne źródła zasobów. Tym też zajęto

się pod Gisors. Ustanowiliśmy wtedy nowy podatek we Francji oraz na terytoriach Plantagenetów w Anglii i gdzie indziej. Nosi on na zwę podatku Saladyna, to dobra nazwa, nie uważasz? - Książę mówił o tym niemal z uśmiechem na twarzy. - To ja go wymyśliłem i na zwałem. Będzie bardzo użyteczny, kiedy wprowadzę go w całej Anglii. Każdy człowiek w królestwie, nie wyłączając księży, będzie przez trzy lata płacił dziesiątą część swojego dochodu. Słyszałem, że niektórzy uważają, iż jest on zbyt uciążliwy, lecz to nie moja sprawa. Anglia jest najcenniejszym klejnotem w koronie Plantagenetów. Może pozwolić sobie na to, aby zapłacić cenę, jakiej od niej zażądam, aby wspomóc tak szlachetny cel. Poza tym sprzedałbym sam Londyn, żeby zebrać tę armię, gdybym tylko znalazł wystarczająco bogatego kupca. - Wydął dolną wargę. - Jest to bowiem szlachetny cel, Henryku, poza całą wiążącą się z nim polityką. — Kiedy książę wygłosił tę opinię, wy-

glądało na to, że przypomniał sobie o swoim oficjalnym wizerunku, wyszedł z poważną miną zza krzesła, usiadł na nim i mówił dalej: -Ten niewierny parweniusz z Palestyny, ten pies, który nazywa siebie Saladynem, podniósł swą paskudną głowę na tyle wysoko ponad piasek, że prosi się, aby ją zdeptać. Odebrał nam Jerozolimę i Akkę, choć nie zatrzyma ich na długo, a skutkiem jego zdrady było rozgromienie chrześcijańskiej armii w Ziemi Świętej oraz śmierć setek naszych naj-świetniejszych rycerzy, między innymi wielu templariuszy i szpital-ników, nie wspominając nawet o stracie Świętego Krzyża,

odkrytego siedemset lat temu przez błogosławioną cesarzową Helenę. Zasłużył swymi występkami na to, aby zetrzeć go w proch, i przygotowania są już w toku. Za rok o tej porze będziemy w Zamorzu, a ty będziesz u mojego boku.

-Tak... Rozumiem... - Henryk musiał się bardzo starać, aby jego twarz i głos nie zdradziły śladów konsternacji i paniki. Policzył powoli do dziesięciu i spokojnie dokończył: - W jakiej roli, panie?

Ryszard zmarszczył czoło. Jego skromne zapasy cierpliwości wyraźnie się wyczerpywały.

- Roli? Oczywiście będziesz moim marszałkiem polnym. Jakiej innej roli mogłeś się spodziewać?

- Marszałkiem? - Niespodziewana deklaracja sprawiła, że Saint Clair zaczął się plątać.

- Dlaczego nie? Uważasz, że nie jesteś do tego zdolny?

- Nie - odpowiedział Henryk, urażony tonem pytania. - Być może jednak już się do tego nie nadaję, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć. Jestem już stary, panie, zbyt długo nie byłem na polu bitwy. W przyszłym roku o tej porze wejdę w piątą dekadę życia i od lat nie dzierżyłem miecza. Prawdę mówiąc, od czasu śmierci mojej żony nie siedziałem nawet na koniu. Na pewno masz do dyspozycji młodszych ludzi, bardziej odpowiednich do zadania.

- Skończ z tymi bzdurami o swojej starości! Mój ojciec ma pięćdziesiąt dziewięć lat i zaledwie kilka miesięcy temu siedział w siodle, walcząc ze mną zaciekle w Normandii. Poza tym nie potrzebuję twoich

mięśni, Henryku. Potrzebuję twojego intelektu, umiejętności i doświadczenia, znajomości ludzi i rzemiosła wojennego, a przede wszystkim twojej lojalności. Z całkowitą pewnością mogę ci zaufać, ii niewielu jest ludzi, o których mogę to powiedzieć.

101

- Lecz...

- Żadnego lecz, człowieku. Nie dotarło do ciebie, co powiedziałem? Większość ludzi, zarówno tu, jak i w moim przyszłym królestwie, uważa, że powinienem wziąć Williama Marshalla z Anglii. To prawda, jest najlepszym wojem naszych czasów poza mną samym. Lecz William Marshall zawsze był człowiekiem mojego ojca, całkowicie mu oddanym, więc nigdy nie będzie mógł być mi wierny. Podziela sposób myślenia i uprzedzenia mojego ojca. Nie lubi mnie i nie ufa mi, zawsze tak było. Widzi we mnie naturalnego dziedzica swojego pana, lecz zazdrości mi tego. Nie pozwolę mu tak bardzo zbliżyć się do moich planów, ponieważ mam do niego jeszcze mniej zaufania niż on do mnie. Czy to jest dla ciebie dość jasne?

-Tak, panie... Jednak chciałbym prosić o przywilej zastanowienia się nad tym przez jakiś czas.

- Zastanawiaj się nad tym tak długo, jak sobie życzysz, Henry ku, lecz nawet nie myśl o ignorowaniu moich życzeń. Będzie tak, jak chcę, i odmówisz mi, swojemu panu lennemu, na własne ryzyko. - Ryszard zamilkł, nie dbając o reakcję Saint Claira na swoje słowa, i usiadł sztywno, na wpół odwracając się do drzwi za plecami. - Gdzie

jest twój syn, młody Andrzej? — Zwrócił się znów twarzą do swojego gospodarza. - Wciąż szuka panny o tak późnej porze? Lepiej, żeby tak było, bo inaczej nie będę zachwycony tym, jak mnie lekcewa ży. - Przerwał na widok wyrazu twarzy gospodarza. - Co się stało, Henryku? Coś jest nie tak, widzę to w twoich oczach. Gdzież jest młodzieniec?

W tym momencie otworzyły się drzwi, wszedł służący z pochyloną głową i pomknął w stronę kominka, by dołożyć do ognia. Henryk podniósł dłoń i głos i odprawił go natychmiast, po czym wstał i zdjął ciężką pelerynę. Przewiesił ją ostrożnie przez oparcie krzesła i sam podszedł do kominka, aby w milczeniu zająć się wybieraniem bierwion i ostrożnym układaniem ich w płomieniach, wdzięczny za okazję do zebrania myśli. Zapomniał, jak niepokojącą intuicję przejawiał czasami Ryszard Plantagenet. Kiedy kładł drewno na miejsce i wpychał je obutą stopą głębiej między płomienie, przeklinał samego siebie za brak ostrożności w tej sprawie.

Ryszard jednak nie miał zamiaru puścić mu tego płazem.

- Henryku, czekam. Gdzie jest młody Andrzej?

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, panie, ponieważ naprawdę nie wiem.

- Co to ma znaczyć? Nie wiesz, gdzie jest dzisiaj, czy w ogóle nie wiesz, gdzie jest?

- Nie znam miejsca jego pobytu.

Ryszard usiadł prosto i wytrzeszczył oczy z teatralnym zdziwieniem.

-Nie znasz miejsca..-? - Odwrócił się, rzucając niedowierzające spojrzenie milczącemu de Sablemu. -Ten człowiek ma tylko jednego syna, Robercie, i widziałem, jak w ciągu jednego dnia spędza z nim więcej czasu, niż mój stary lew spędził ze mną i wszystkimi moimi braćmi przez całe życie. A teraz nie zna miejsca jego pobytu? - Odwrócił się znów do wasala, a jego głos stracił jakiekolwiek ślady żartobliwego tonu. - Kiedy więc widziałeś go po raz ostatni?

Saint Clair wzruszył ramionami.

- Ostatnią noc spędził pod tym dachem ponad dwa miesiące temu.

- Pod czyim dachem śpi więc tej nocy? I zanim odpowiesz na to pytanie, wiedz, że zauważyłem, w jaki sposób uniknąłeś poprzedniego. Czy ma kochankę?

- Nie, panie, o ile wiem, nie ma.

- Kiedy ostatnio kontaktowałeś się z nim? Uważaj, Henryku.

Saint Clair nabrał głęboko powietrza, wiedząc, że w żaden sposób nie może wykręcić się od odpowiedzi.

- Dwa dni temu, panie. Kontakt ten jednak nastąpił przez pośred-nika. Wysłałem mu pożywienie i ubrania.

- Pożywienie i ubrania? Czy jest uciekinierem?

- Tak, panie.

- Przed kim ucieka i dlaczego?

Indagowany nie był już w stanie patrzeć księciu w oczy, odwrócił się więc w stronę ognia.

- Zabił księdza.

- Księdza? Na święty tyłek Boga, to wymaga więcej wina. Nalej nam trochę, usiądź i opowiedz nam swoją historię, ponieważ wygląda na to, że jest warta wysłuchania. I nie rób takiej nieszczęśliwej miny, przyjacielu. Pamiętaj o nazwisku i pozycji słuchacza. Od czasu, kiedy mój ojciec poradził sobie z tym Anglikiem, Becketem, nie spotka-

lis'my księdza, który śmiałby spojrzeć na nas buntowniczo. Szybko, człowieku, nalewaj i mów.

Pomimo jego własnego pesymizmu widoczna pogarda księcia wobec kleru i to, że mógłby on wywrzeć wpływ, gdyby zechciał, pokrzepiły Saint Claira. Podszedł do stołu i wypełnił trzy puchary po brzegi winem, a de Sabie wstał i ustawił swoje krzesło w pobliżu kominka, obok Ryszarda. Gospodarz obsłużył gości, usiadł w zamyśleniu i sączył powoli wino, zastanawiając się, jak przedstawić swoją opowieść. Cierpliwość Ryszarda wkrótce się wyczerpała i to on — jak zwykle — przerwał ciszę:

- Zabił więc księdza. Jak i dlaczego?

- Przypadkiem - odparł Saint Clair. — Choć zrobił to z pełną świadomością, a człowiek ten zasłużył na śmierć. Gwałcił kobietę.

- Gwałcił kobietę... Ten ksiądz?

- Tak, i było ich czterech, sami księża. Andrzej nakrył ich przypadkiem, lecz oddzielała ich od niego wartka rzeka. Krzyknął, aby dać im znać, że zostali zauważeni, po czym strzelił w ich stronę z kuszy i

pogalopował w kierunku jedynego mostu, odległego o pół mili w dół rzeki... za daleko. Kiedy dotarł do miejsca, w którym widział księży, zdążyli oni już zabić kobietę i zniknąć, pozostawiwszy za sobą jednego z nich, martwego. Bełt z kuszy Andrzeja, wystrzelony na oślep, znalazł cel. Spadając z nieba, przebił czaszkę jednego z nich.

- I ten człowiek był księdzem?

- Miał kwadratową tonsurę benedyktyna. Jego przyjaciele zabrali jednak szaty jego i kobiety, więc Andrzej nie mógł nic więcej wywnioskować.

- Skoro Andrzej nie mógł się do nich zbliżyć, a wszyscy byli nadzy, skąd wiedział, że byli księżmi?

- Zza rzeki rozpoznał innego z tej czwórki, ponieważ spotkał go już wcześniej, mieli ostrą wymianę zdań. Był to ksiądz de Blois, ziemie jego rodziny przylegają do naszych. Resztę wywnioskował. Jeśli dwaj z tych czterech byli księżmi, zamieszanymi w działalność kryminalną, zapewne dwaj pozostali też byli księżmi. Lecz ten argument jest już nieistotny, ponieważ wiemy, kim są pozostali.

- Skąd? Czy zostali aresztowani?

- Nie, panie. Andrzej pognał za nimi, ale nie znalazł ich od razu i poszukał pomocy. Przybył prosto do domu i powiedział mi, co się

stało... było to na naszej ziemi... więc wysłałem kapitana straży wraz z grupą ludzi, aby zabrali ciała i przywieźli je do zamku. Lecz kiedy przybyli na miejsce, ciał tam nie było. Znaleźli krew oraz ślady świad-

czące o tym, że odciągnięto stamtąd coś ciężkiego, ale nic poza tym.

- Rozumiem, że ciała stamtąd odciągnięto?

- Tak, panie. Niedaleko znajduje się wielka dziura, pionowa rozpadlina, którą miejscowi zwą Jamą Szatana. Opada prosto w głąb ziemi i wydaje się, że nie ma dna. Miejscowa legenda mówi, że pewnej nocy po prostu pojawiła się tam, za czasów moich pradziadów. Mój kapitan stwierdził, że wrzucono tam ciała i że nie da się ich odzyskać.

- Czy tak się stało?

- Na pewno z jednym ciałem, kobiety. A także z głową księdza.

- Głową księdza... - Ryszard zmarszczył czoło. — A co z resztą jego ciała? I kim była ta kobieta?

- Nikt nie wie, kim była, panie. Nikt o nią nie pytał ani jej nie szukał, a żadna z naszych miejscowych kobiet nie zaginęła. Wszystkie kobiety w promieniu dwudziestu mil zostały policzone. Zdaje się, że możemy być pewni, iż nie pochodziła stąd.

- Z jednaką pewnością możemy powiedzieć, że być może w ogóle nie istniała poza umysłem jej stworzyciela, sir Andrzeja Saint Claira... -Książę uprzedził protesty Henryka gwałtownym ruchem ręki. - Nie mówię, że tak jest, Henryku, lecz gdybyśmy byli sędziami szukającymi prawdy, nie mielibyśmy innego wyboru, musielibyśmy rozważyć tę możliwość. Nie mamy poszlak jej śmierci ani jakiegokolwiek pojęcia o jej tożsamości, nie ma więc żadnego dowodu poza słowem twojego syna, że w ogóle istniała. Nawet gdyby była obca w tych stronach, musiała przybyć tutaj w odwiedziny, a jej zniknięcie spowodowałoby pytania. Wrócimy więc

do tej kwestii. Opowiedz mi teraz o bezgłowym ciele księdza.

- Przedstawiono je jako dowód, że ten nieszczęsny człowiek został zamordowany przez mojego syna.

- Wytłumacz to.

Henryk kiwnął głową.

- Z tego, co byłem w stanie odtworzyć, panie, ci trzej łajdacy ukra dli ciała, odcięli głowę ich towarzysza i wrzucili ją do Jamy Szatana wraz z ciałem kobiety. Potem zabrali ze sobą ciało, ponieważ miał on zdeformowaną dłoń, która ponad wszelką wątpliwość umożliwiała

jego identyfikację jako niejakiego ojca Gasparda de Leona, wizytatora z Arles. Opowiedzieli potem, jak w drodze na spotkanie z ich nieżyjącym już bratem byli świadkami tego, jak zatrzymuje grzesznika, który właśnie popełniał akt sodomii z młodym chłopcem...

- Przepraszam... - zaczął de Sabie, lecz Ryszard uciszył go gestem.

- Mów dalej, Henryku. Czy miałeś właśnie powiedzieć, że oskarżyli młodego Andrzeja o sodomię z chłopcem?

- Tak, panie.

- Ciągnij więc.

- Podobno widzieli, jak zgorszony ksiądz rzuca wyzwanie pedera-ście i usiłuje uratować chłopca, lecz sodomita odesłał chłopca, chwycił miecz i zabił ojca de Leona, rozłupując mu czaszkę. Potem odciął księdzu głowę, owinął ją w jego szaty i zabrał ze sobą, zostawiając nagie, niemożliwe do zidentyfikowania ciało. Twierdzili, że

nie widział ich, ponieważ oddzielała ich wezbrana rzeka. Kiedy tylko odjechał, przeszli przez most i wrócili na miejsce mordu, po czym podążyli za śladami konia mordercy w dół wzgórza, do Jamy Szatana. Przybyli w samą porę, aby zobaczyć, jak wrzuca odciętą głowę do rozpadliny. Bojąc się o własne życie, ukryli się i zaczekali, aż morderca odjedzie, po czym udali się prosto do zamku swojego pana lennego, barona Reynaulda de Fourriere i pod przysięgą zeznali jemu oraz swemu zwierzchnikowi, opatowi Tomaszowi, co widzieli. Powiedzieli też, że jeden z nich, ksiądz de Blois, rozpoznał w mordercy miejscowego rycerza o nazwisku Andrzej Saint Clair.

Gospodarz spojrzał na słuchających go mężczyzn, którzy siedzieli z kamiennymi twarzami, podjął więc wątek:

- Dowiedziałem się o wszystkim następnego ranka, kiedy oddział ludzi barona de Fourriere'a załomotał do moich drzwi, żądając, abym wydał im syna, który ma odpowiedzieć na stawiane mu zarzuty so domii i morderstwa. Na szczęście Andrzej odjechał, zanim przybyli, i wysłałem za nim gońca z ostrzeżeniem, aby się nie zbliżał.

- Sodomii. - Głos księcia był twardy i bezbarwny. - Oskarżyli Andrzeja o sodomię?

- Tak, panie.

- I nic nie zrobiłeś? Trudno mi w to uwierzyć.

- Co mogłem zrobić? I jeśli już o tym rozmawiamy, co oni mogli zrobić? Andrzej był wtedy poza ich zasięgiem, i nie mogłem dopu-

ścić do jego powrotu, nie widziałem bowiem szansy na sprawiedliwy wyrok Kościoła. Zastanawiałem się, jaki człowiek dobrej woli i przy zdrowych zmysłach publicznie rozważyłby możliwość, że trzech obłąkanych księży mogło odciąć głowę swemu towarzyszowi i pozbyć się jej, aby chronić samych siebie, lub to, że oskarżony w tej sprawie, który nie wypiera się zabicia ofiary, może mówić prawdę, potępiając trzech księży za gwałt na niewinnej dziewczynie i jej morderstwo? Tak więc od tamtej pory nie widziałem mojego syna ani nie rozmawiałem z nim.

- Ani razu? Dlaczego nie?

- Ponieważ nie śmiem, panie. Jestem nieustannie obserwowany i... z bardzo nielicznymi wyjątkami... nie wiem, komu ufać. Za głowę mojego syna wyznaczono dostatecznie wysoką cenę, aby skusić każdego do przekazania go Kościołowi i jego wizji sprawiedliwości.

Robert de Sabie zerknął na Ryszarda.

- Czy mogę coś rzec, panie?

- Oczywiście, mów.

- Niepokoi mnie, że nikt nie zidentyfikował tej kobiety ani nie zgłosił się po nią i że nie zgłoszono nawet zaginięcia. Nie tylko trudno mi w to uwierzyć, ale też bardzo mnie to martwi, ponieważ wiele z tego odbiera sens obydwu wersjom tej smutnej opowieści. - Spojrzał prosto na Saint Claira. - Czy w ogóle rozmawiałeś o tym ze swoim synem?

Saint Clair potrząsnął głową.

- Nie. Kiedy opowiedział mi o tym za pierwszym razem, wyda wało mi się, że jej tożsamość nie ma wielkiego znaczenia. W tamtej

chwili najpilniejszą dla mnie sprawą było natychmiastowe odzyskanie jej ciała oraz ciała jej napastnika. Potem powinniśmy mieć dość czasu, aby ustalić, kim była. Lecz wtedy ciała zniknęły, co bardzo utrudniło całą sprawę.

- Lecz na pewno...

- Na pewno powinniśmy omówić to później, czy to chciałeś powiedzieć? Niezawodnie tak by było, gdyby nie to, że ludzie de Fourriere'a przybyli wkrótce po świcie następnego dnia, a Andrzeja wtedy już nie było.

- Hmm... - De Sabie spojrzał na swoje dłonie, a potem znów na gospodarza. - Nie chcę podawać w wątpliwość tego, co nam powie-

działeś, sir Henryku, lecz z tego, *co* widzę, duża część tej sprawy związana jest ze zniknięciem ciała kobiety i tym, że nikt nie zgłosił zaginięcia. Zdajesz sobie sprawę, że to silnie przemawia na rzecz oskarżycieli twojego syna. Muszę zadać ci więc pytanie, ponieważ oskarżyciele twego syna przedstawią *to* jako argument: czy jest choćby cień możliwości, że nigdy nie było żadnej kobiety i że księża mówią prawdę? Czy twój syn, nakryty podczas grzesznego i zakazanego aktu, nie mógł wpaść w panikę i popełnić morderstwa, aby chronić samego siebie? I czy nie mógł potem odciąć księdzu głowy w celu ukrycia prawdziwej natury jego śmiertelnych ran? Jeśli tak było, z łatwością mógł skłamać na temat rzekomej kobiety, aby ukryć własną winę i uratować życie.

Ryszard przerwał swojemu poważnemu wasalowi wybuchem śmie-

chu; kiedy oczy de Sablego otworzyły się szeroko ze zdumienia, książę podniósł się szybko i przeszedł po komnacie.

— Gdzie zatem znajduje się ów biedny chłopiec, Robercie? Czy myślisz, że grupka zażenowanych księży nie przewróciłaby hrabstwa Poitou... a w razie potrzeby również Andegawenii i Akwitanii... do góry nogami w poszukiwaniu tego bachora jedynie po to, aby ponad wszelką wątpliwość udowodnić, że mówią prawdę? - Uśmiechnął się szeroko. - Poza tym jasne jest dla mnie, że nie wiesz zupełnie nic o młodym Andrzeju. Ja natomiast wiem dużo. Trzy lata temu sam pasowałem go na rycerza, był najlepszym ze wszystkich kandydatów tego roku... prawdę mówiąc, najlepszym od wielu lat. Przekonałem się, że jest szczery, uczciwy, aż do przesady odważny oraz pod każdym względem męski. Przysięgam ci, Robercie, nigdy nie spotkałem... i ty nie mógłbyś spotkać... mniej prawdopodobnego kandydata na pede-rastę. Andrzejowi nie brakuje czaru i umiejętności uwodzenia, lecz są one zarezerwowane wyłącznie dla kobiet, których nigdy mu nie brakowało. Skończmy więc z tymi bzdurami. Księża kłamią i jestem pewien, że Bóg w niebiosach zupełnie nie jest tym zaskoczony. Jeśli zaś chodzi o zaginioną głowę, gdyby okazano ją jako dowód, przebitą od czubka do podbródka bełtem, który ewidentnie w nią trafił, mogłoby to rzucić cień wątpliwości na księżą wersję wydarzeń, zgodzicie się ze mną? - Spojrzał najpierw na jednego mężczyznę, potem na drugiego. - O wiele bardziej interesuje mnie, skąd Andrzej tak dokładnie wiedział, jak wycelować tamten strzał? Zapewne nie był to przypadek, ponieważ... choć los może

odegrać pewną rolę w tym,

gdzie padnie wycelowana strzała... samo nadanie jej doskonałego toru wymaga wprawy i niezachwianej pewności. Wątpię, czy potrafiłbym dokonać tego, co on zrobił, tak gładko i nieomylnie. Będę musiał z nim o tym porozmawiać przy najbliższej okazji.

Argumenty księcia przekonały obu rycerzy, że Andrzej Saint Clair nie dopuścił się aktu homoseksualnego, a przez to i innych zarzucanych mu czynów. Nie można było bowiem wątpić we wstawiennictwo króla w sprawie młodzieńca, ponieważ wiadomo było - choć rzadko otwarcie o tym rozmawiano - że Ryszard unikał towarzystwa kobiet i otaczał się urodziwymi, młodymi mężczyznami i chłopcami podzielającymi jego orientację. To ta strona charakteru Ryszarda najbardziej odstręczała statecznego Saint Claira, któremu nigdy przez myśl nie przeszło, że jeszcze będzie czuł z tego powodu wdzięczność.

Teraz jednak książę pochylał się w jego kierunku, marszcząc czoło i podnosząc ostrzegawczo palec.

- A zatem - powiedział tonem o wiele łagodniejszym niż wyraz jego twarzy — zgadzamy się, że opowieść księży to nonsens, i to morderczy nonsens, lecz zanim zdecyduję, co mam teraz zrobić, muszę poprosić cię o jeszcze jedną rzecz, gdyż Robert ma rację. I mnie niepokoi sprawa tej kobiety. Sprowadź tu swojego syna, Henryku, i zrób to dzisiejszej nocy. Muszę z nim porozmawiać, a nikt nie odważy się nękać go tutaj, w mojej obecności. - Podszedł do krzesła, na którym leżały dwa miecze, rzucił de

Sablemu jego broń i chwycił własną jak kostur. - Jest późno, a Robert i ja będziemy potrzebowali snu, zanim podejmiemy tak poważną decyzję, więc wskaż nam miejsce do spania, przyjacielu, a potem poślij po chłopca. Porozmawiamy z nim po śniadaniu.

2

JNastępnego ranka Henryk znalazł swojego syna śpiącego na ławce w wielkiej sali. Przez długą chwilę przyglądał mu się, zauważając zły stan jego ubrań, zaniedbane włosy i krótką brodę, odór jego niemytego ciała i zmarszczki znaczące jego wymizerowaną twarz po dwóch miesiącach samotnego ukrywania się. Nie wiedział, od jak dawna jego syn śpi w tym miejscu, lecz wysłał po niego Jonąuarda — stajennego - po drugiej nad ranem, a teraz nie było jeszcze siódmej, więc ci dwaj nie mogli wrócić wcześniej niż przed godziną. Henryk postanowił pozwolić chłopcu spać jeszcze co najmniej godzinę, ponieważ sądził, że jego goście nie wstaną wcześniej. Potem udał się prosto do kuchni i kazał kucharzowi przygotować gorącą wodę na pełną kąpiel. Pomywacze mieli ją wnieść na górę, do jego komnaty, rozpalić ogień w kominku i wezwać go, gdy wszystko będzie gotowe. Kucharz nie okazał zdziwienia tymi rozkazami, choć Henryk od śmierci żony nie używał drewnianej wanny stojącej w jego komnacie, lecz kąpał się w kuchni, jak wszyscy inni domownicy, ostatnio zaledwie dwa miesiące temu.

Potem Henryk wspiął się na wieżę przy głównej bramie i obserwował krajobraz rozciągający się za murami, szukając jakichkolwiek oznak, że on i jego dom są pod obserwacją. Około pół godziny później znalazł go służący, który przynosił wieści, że kąpiel jest gotowa. Henryk poszedł obudzić syna.

Kiedy tylko ojciec dotknął go, Andrzej natychmiast szeroko otworzył oczy, spięty, i rozglądał się przez chwilę, jakby się zastanawiał, gdzie

jest.
- Obawiam się, że nie odpocząłeś za bardzo - westchnął Henryk.
Andrzej zamrugał szybko, odganiając resztki snu.
— Wystarczy, ojcze. Zanim przybył Jonąuard z twoim wezwaniem,

spałem prawie siedem godzin, więc jestem wypoczęty. Położyłem się tutaj po prostu dlatego, że dom był cichy, kiedy przybyłem, i musiałem zasnąć. Co się stało? Dlaczego po mnie posłałeś?
- Jest tu książę Ryszard. Przybył wczoraj późną nocą, w towarzystwie tylko jednego rycerza, i opowiedziałem mu twoją historię. Za dał mi wiele pytań, lecz wierzy w twoją opowieść, choć zanim będzie mógł cokolwiek zrobić, potrzebuje więcej informacji, niż mogę mu dostarczyć. Rozkazał mi, abym cię wezwał. - Uśmiechnął się do sy na. — Ale nie możesz się spotkać z księciem i przyszłym królem w ta kim stanie. Przygotowano dla ciebie gorącą kąpiel w mojej komnacie. Doprowadź się do porządku. Ubierz się we własny strój, żebyś wy glądał jak rycerz, a nie jak żebrak. Masz czas. Nie musisz się zbytnio spieszyć, Ryszard jeszcze nie wstał. Kiedy zejdzie, zjem z nim śniada nie, a potem porozmawia z tobą, więc nie zaśnij w wannie, choćby cię bardzo kusiło. Poślę po ciebie we właściwym czasie.
Na twarzy Andrzeja odbiła się ulga, którą ojciec w dużej mierze sam podzielał.
Wkrótce potem pojawił się książę w towarzystwie de Sablego. Obaj kordialnie przywitali gospodarza, a Ryszard natychmiast zapytał, czy

Andrzej zdążył się pojawić. Henryk rzekł, że chłopiec dołączy do nich, kiedy zostanie wezwany, po czym zaprowadził ich do przedsionka, gdzie Ector - zaskakująco świeży jak na kogoś, kto był na nogach przez pół poprzedniej nocy - czekał na nich z solidnym śniadaniem. Ugotował je osobiście na ruszcie ustawionym nad głównym paleniskiem, z którego uprzątnięto już popiół z zeszłej nocy. Kiedy tylko byli gotowi, podał im świeże kacze jaja, które roztrzepał w płaskim rondlu z kozim mlekiem, masłem i solą i ściął, po czym ułożył na świeżych grzybach oraz cebuli wraz z lekkimi, puszystymi bułkami prosto z pieca. Po posiłku Ryszard zwrócił się do Henryka:

- Wprowadź młodego Andrzeja i posłuchajmy, co ma nam do po wiedzenia. Ostrzegam cię jednak, że jeśli moje podejrzenia okażą się słuszne, możesz usłyszeć rzeczy, na które nie jesteś przygotowany. Jeśli tak będzie, chcę, żebyś nic nie mówił, czy to jasne?

Saint Clair kiwnął głową. Nie był nawet ciekaw, na co, według Ryszarda, miałby być nieprzygotowany. Według niego nic nie mogłoby przeważyć ulgi, jaką poczułby, gdyby oczyszczono imię jego syna.

- Tak, panie.

-Witaj, sir Andrzeju Saint Clair. Wyglądasz na starszego... bardziej dojrzałego, niż kiedy widzieliśmy się ostatnio, ale też jesteś... co najmniej dwa lata starszy, jak my wszyscy. Spocznij.

Młody rycerz rozluźnił sztywną postawę, ceremonialnie witając swojego pana lennego, z pięścią zaciśniętą na piersi. Rozstawił wy-

godniej stopy i chwycił jedną dłonią nadgarstek drugiej za plecami, choć dalej patrzył z szacunkiem w punkt leżący nieco ponad głową księcia.

- Twój ojciec opowiedział nam o twoich ostatnich nieszczęściach i przyznaję, że jestem zaskoczony, iż wyglądasz tak zdrowo po dwóch miesiącach życia w ukryciu. Prezentujesz się nadzwyczaj dobrze.

“Niezwykle dobrze - pomyślał Henryk, prawie nie dowierzając, jak wielka zmiana zaszła w wyglądzie jego syna. - Powinieneś był go widzieć ledwie godzinę temu".

Andrzej dobrze wykorzystał solidną wannę ojca i najwyraźniej użył nożyc oraz metalowego lustra Henryka, aby przyciąć włosy i brodę w napływającym przez okno świetle poranka. Teraz stał przed nimi jako rycerz z prawdziwego zdarzenia, ubrany od stóp do głów w miękką kolczugę, na którą nałożył opończę taką samą jak opończa ojca, z herbem rodu Saint Clair pięknie wyhaftowanym na lewej pole. Nie miał jednak przy sobie broni, ponieważ jako oskarżony o zbrodnię nie miał do niej prawa, szczególnie w obecności księcia. Nie włożył też kaptura kolczego, miał więc gołą głowę.

- Nadzwyczaj dobrze - powtórzył Ryszard zamyślonym tonem. - I nader niewinnie, jak na kogoś oskarżonego o zamordowanie księdza.

Andrzej Saint Clair nawet nie mrugnął, a Ryszard, który odepchnął swoje krzesło od stołu, machnął ręką w stronę towarzysza.

- To sir Robert de Sabie, który jedzie ze mną do Paryża na spo tkanie z królem Filipem. Mimo młodego wyglądu jest człowiekiem wielkiej mądrości oraz rozsądku i również zna twoją sytuację z wy

jaśnień twojego ojca... Choć nie wiem, czy jest przekonany o twojej niewinności w tej sprawie. Możesz go powitać.

Młody rycerz zwrócił głowę w stronę de Sablego i ukłonił mu się z szacunkiem. Tamten odwzajemnił skinienie z kamienną twarzą.

Ryszard założył jedną długą nogę na drugą, zaplótł dłonie pod znajdującym się wyżej kolanem, pochylił się do przodu i przemówił cichym głosem do młodzieńca...

-To nie jest oficjalny sąd, sir Andrzeju, lecz dochodzenie w sprawie szczegółów twojej opowieści, jako że jesteś moim wasalem. Muszę tu i teraz powiedzieć ci, że niezależnie od moich własnych przekonań, moje główne zmartwienie dotyczące tej sprawy wiąże się z zaginioną kobietą. Gdybyś miał jej zwłoki, które mogłyby potwierdzić twoją wersję wydarzeń, twoich zarzutów wobec księży nie dałoby się zakwestionować. Lecz ponieważ brakuje ci choćby jej imienia czy opisu, nie możesz dostarczyć nawet najdrobniejszego dowodu, że kiedykolwiek istniała. Nie zgłoszono nam zaginięcia żadnej kobiety; nie wiemy, kim była ani skąd pochodziła; wygląda na to, że nie mamy też możliwości, aby w jakiś cudowny sposób dowiedzieć się tych rzeczy. Spójrz mi w oczy.

Dwaj mężczyźni długo spoglądali na siebie, po czym Ryszard rzekł:

- To wzmianka o sodomii przekonała mnie, że twoja historia chyba bardziej odpowiada temu, co się naprawdę wydarzyło. Lecz ta druga sprawa, brak dowodów na to, że twoje stwierdzenia są prawdziwe, może

stanowić trudność nie do pokonania. To wystarczy byś zawisł... Chyba że jakimś cudem potrafisz wyczarować imię tej kobiety.

- Eloise de Chamberg, panie.

- Eloise de Chamberg... I skąd też pochodziła ta widmowa Eloise?

- Z Lusigny, panie. To prawie trzydzieści mil na południe od Poitiers.

- Wiem, gdzie to jest, człowieku. To moje włości. Ale dlaczego nie powiedziałeś nikomu o tym, że wiesz, kim była?

Saint Clair wzruszył ramionami.

- Nie mogłem, panie. Od miesięcy trudno było mi z kimkolwiek zamienić choć słowo. Jonquard, który wiedział, gdzie jest moja kryjówka, i pokazał mi ją pierwszego dnia, nigdy potem nie zbliżył się już do niej, bojąc się, że jest śledzony. Co kilka dni przejeżdżał obok i zostawiał dla mnie zapasy w kępie krzaków rosnącej pod pobliskim dębem. Odbierałem je po jego odjeździe. Dopiero w drodze tutaj, poprzedniej nocy, opowiedział mi wszystko, co się tu działo. Może ci się to wydać dziwne... upłynęło tyle czasu... lecz taka jest prawda.

Ryszard zerwał się na równe nogi i zaczął krążyć po pokoju z niepohamowaną energią, jaką Henryk pamiętał z lat chłopięcych księcia.

Już wtedy Ryszard Plantagenet nie był w stanie usiedzieć bez ruchu dłużej niż kilka minut, a chodząc, zacierał i wykręcał ręce, mocno wciskając jedną dłoń w drugą, tak że - kiedy był najbardziej skoncentrowany - wyraźnie było słychać, jak nagniotki, stwardniałe od ściskania

broni, ocierają się o siebie.

- Może to i dziwne - warknął w końcu - lecz nie dziwniejsze niż to, jakim sposobem ty, rycerz z Poitou, poznałeś kobietę o imieniu Eloise de Chamberg z Lusigny?

Odpowiedzi Andrzeja towarzyszyło leciutkie wzruszenie ramion.

- Przez przypadek, panie. Spotkałem ją przez zupełny przypadek, kiedy dwa lata temu brałem udział w turnieju w Poitiers.

- I zakochałeś się, co? Lecz dlaczego w takiej tajemnicy?

Twarz młodego rycerza po raz pierwszy zabarwił lekki rumieniec.

- Nie miałem wyboru, panie. Na początku rzadko się z nią widywałem, ponieważ moje obowiązki trzymały mnie z dala od Poitiers, więc nigdy nikomu o niej nie wspomniałem.

Książę zatrzymał się niemal w pół kroku i spojrzał Andrzejowi prosto w oczy.

- A potem?

Rumieniec rozlał się aż na skronie młodzieńca.

- A potem mówienie o niej stało się niemożliwe.

- Rozumiem i chyba potrafię zgadnąć dlaczego. Ona pochodzi z Lusigny, a jednak spotkałeś ją w Poitiers i to tam później ją odwiedzałeś. Dlaczego?

- Mieszkała wtedy w Poitiers, z rodzicami. Lecz piętnaście miesięcy temu... wzięła ślub, zgodnie z życzeniem ojca.

- Ach, tak! Dla większości mężczyzn oznaczałoby *to finis*.

Andrzej przytaknął.

- To prawda, panie. Lecz w jej małżeństwie od początku nie było miłości, a jej mąż, który mieszka w Lusigny, jest prawie trzykrotnie starszy od niej. Małżeństwo zawarto na życzenie jej ojca, nie jej samej... była posłuszną córką.
- Widać jednak nie była posłuszną małżonką. Dalej spotykałeś się z nią.
- Tak, panie, choć wtedy spotykaliśmy się o wiele rzadziej.
-Jak to się stało, że była tutaj, w Poitou, kiedy przydarzyło jej się to... nieszczęście? Czy muszę przypominać ci, że dama ta... zamężna

czy nie... już nie żyje i jest poza zasięgiem kłapiących języków, podczas gdy ty jak najbardziej żyjesz i potrzebujesz jej? Mów więc.
Zanim młody Saint Clair odpowiedział, rzucił ojcu pełne zażenowania spojrzenie, lecz potem uniósł podbródek i spojrzał prosto na księcia.
- Prawie trzy miesiące temu otrzymałem od niej wiadomość, że jej mąż wkrótce ma wyjechać na południowy wschód od Lusigny, aby spędzić miesiąc z wiekowym, chorym bratem w Clermont. Od mie sięcy obmyślała plan, który pozwoliłby nam na spotkanie. Wysłałem więc po nią eskortę, która miała towarzyszyć jej w umówionej wcze śniej wizycie u dalekiej, niedawno owdowiałej kuzynki. Mieszka ona niedaleko stąd, na obrzeżach naszych ziem.
Znów zerknął na ojca, którego twarz nie zdradzała żadnych myśli.
- Pod pewnymi względami było to skomplikowane, lecz pod inny

mi niezwykle proste, ponieważ nikt jej tu nie znał, a kuzynka nie wie
działa nic o mnie ani o naszym związku. - Znów prawie niezauważal
nie wzruszył ramionami. - Plan był prosty i dobrze zadziałał. Owdo
wiała kuzynka pożegnała Eloise rankiem tego dnia, kiedy ją zabito,
wierząc, że wyprawia ją bezpiecznie w drogę powrotną do Lusigny
w eskorcie ludzi jej męża. Jednak to ja im płaciłem, zatrudniwszy ich
dzięki pośrednictwu przyjaciela z Poitiers, a oni zawieźli ją w miejsce,
gdzie mieliśmy spotkać się po raz ostatni, ponieważ zdecydowaliśmy,
że ciągnięcie tej farsy jest najczystszym szaleństwem, którego żadne
z nas nie mogło znieść. Usadowili ją tam bezpiecznie, aby na mnie
poczekała, po czym zgodnie z rozkazami odjechali, aby poczekać na
moje późniejsze wezwanie... Mogę jedynie przypuszczać, że kiedy po
tem nie mieli już ode mnie żadnych wiadomości, w końcu wrócili
do Poitiers. Zapłacono im sowicie, z góry, i wiedzieli, że nasze spotkanie
jest schadzką, więc być może... na pewno... założyli, że dama postanowi
ła zostać tu ze mną. Przerwał na chwilę, marszcząc w zamyśleniu czoło.
-Tak czy inaczej, księża znaleźli ją, zanim przyjechałem. Resztę
wiesz, panie, poza tym że kiedy Eloise nie wróciła do domu w Lusigny,
nikomu nie mogło przyjść do głowy, gdzie jej szukać, ponieważ
powiedziała własnej służbie, iż jedzie na północny zachód, w kierunku
Angers, aby odwiedzić jeszcze jedną kuzynkę, której mąż wysłał po nią
eskortę. To, że nikt nie przybył tutaj, aby jej szukać, nie jest więc
zaskakujące.

- Hmm... — Ryszard przemierzył pokój i stanął za swoim krzesłem, chwytając gałki zdobiące jego wysokie oparcie. - Wyjaśnij, jeśli łaska, dlaczego nie powiedziałeś ojcu, że znałeś tę kobietę? Zaoszczędziłoby to wszystkim dużo zmartwień i frustracji.

Zanim Ryszard skończył mówić, twarz Andrzeja pokrywał wściekły rumieniec i chłopak pokiwał głową ponuro.

-Teraz wiem, jak głupia i nierozważna była ta decyzja, lecz zrozumiałem to dopiero dzisiaj. Wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Kiedy tamtego dnia wróciłem do domu, byłem zrozpaczony i wtedy wydawało się to słuszne... chronić jej imię i reputację.

- A gdzie byłeś następnego ranka, kiedy ludzie barona przybyli cię aresztować?

Andrzej uniósł brwi, jakby nie dowierzał, że ktoś może zadać mu takie pytanie.

- Przy Jamie Szatana, szukając jej ciała. Nie spałem całą noc i nie mogłem uwierzyć, że dwa ciała mogą zniknąć bez śladu. Znalazłem ślady, o których mówił człowiek ojca, i podążyłem za nimi do skraju jamy. Potem spróbowałem zejść w głąb dziury, lecz to okazało się nie możliwe. Dwadzieścia kroków poniżej jedynego dostępnego punktu na obrzeżu jamy dotarłem do miejsca, skąd zejście groziłoby upad kiem i śmiercią, a kiedy spróbowałem zawrócić, niemal straciłem nadzieję, że uda mi się wygramolić. Powrót na powierzchnię zajął mi ponad godzinę i nawet wtedy nie udałoby mi się, gdyby pod ko niec nie pomógł mi Jonąuard, wysłany przez ojca z ostrzeżeniem,

abym nie zbliżał się do domu. Znalazł mnie i wyciągnął.

Książę Ryszard obszedł krzesło i ponownie usiadł, patrząc w milczeniu na młodego rycerza, po czym zwrócił się do Roberta de Sabie.

- Co myślisz?

De Sabie nabrał głęboko powietrza, a Henryk - widząc jego spłaszczone nozdrza, zmarszczone brwi oraz nieubłaganie zaciśnięte usta — przygotował się na słowa potępienia. Lecz de Sabie niespeszony spojrzeniem księcia potrząsnął lekko głową i uniósł dłoń, prosząc o cierpliwość oraz czas na podjęcie decyzji. Andrzej zaś stał bez ruchu, nie patrząc na nikogo.

Kiedy de Sabie słuchał opowieści młodego rycerza, wierzył mu bez zastrzeżeń. Teraz z wielkim wysiłkiem starał się opanować oburzenie. Nikt nie mógłby oskarżyć Roberta de Sabie o naiwność; był

w pełni świadom korupcji szerzącej się wśród kleru na każdym poziomie hierarchii kościelnej. Lecz jego wiedza i krytyczna przenikliwość były wyostrzone dzięki okoliczności bardziej fundamentalnej niż te, które oddziaływały na znaczną większość ludzi. Robert de Sabie był członkiem sekretnego Bractwa Syjonu. Został przyjęty do Zakonu w swoje osiemnaste urodziny i od tamtej pory wiele go nauczono - a jeszcze więcej sam się nauczył - o zasadach Zakonu, dokładności przekazywanej przez niego wiedzy oraz archiwalnych źródłach dotyczących błędów i niefortunnej polityki Kościoła katolickiego z ostatniego tysiąca lat. Zepsucie Kościoła było oczywiście zatopione w doczesności i cyniczne,

a także prosiło się o karę. Lecz morderstwo i gwałt, do których doszło tym razem, wykraczały poza jego doświadczenie. Wyprostował się.

— Mój książę — powiedział, nie kryjąc frustracji - nie wiem, co powiedzieć poza tym, że jestem przekonany, iż usłyszeliśmy prawdę. Lecz mówiąc to, muszę też wyrazić ulgę, że ciężar odpowiedzialności spoczywa na tobie, nie na mnie. Jesteś księciem Akwitanii, sprawa ta leży całkowicie w twojej gestii, lecz obawiam się, iż nie mogę w żaden sposób doradzić ci, jak masz teraz postąpić.

Ryszard znów wstał i na nowo zaczął krążyć po komnacie, bezustannie zacierając ręce, a jego oczy lśniły zapałem, który Henryk rozpoznał zarówno z przyjemnością, jak i obawą.

Podczas lat, które spędził, kształtując, trenując i szkoląc chłopca, nauczył się czytać w Ryszardzie Plantagenecie jak w otwartej księdze, i teraz patrzył na księcia spokojnie, zgadując - nawet zanim ten otworzył usta - co powie. Kiedy trzeba było szybkich, bezprecedensowych osądów i decyzji, Ryszard z oszałamiającą konsekwencją dowodził, że żaden człowiek w świecie chrześcijańskim - nawet jego budzący grozę ojciec — nie może się z nim równać pod względem bezwzględnej i precyzyjnej stanowczości. Ryszard był błyskotliwy, cyniczny, nieobliczalny, niezwykle ambitny, wciąż knuł i w każdym calu był księciem--wojownikiem. Henryk wiedział, że cokolwiek zaproponuje Ryszard, decyzja ta będzie prosta, radykalna i drastyczna. Wnioskował teraz z wyrazu twarzy księcia, że zapadnie ona wkrótce. Mimo to szybkość, z jaką Ryszard udzielił odpowiedzi, zaskoczyła go, jasno

pokazując Henrykowi, że i tym razem jego były protegowany podjął decyzję z wyprzedzeniem oraz że zasięganie rady u de Sablego było jedynie formalną grzecznością.

117

- Niech tak będzie - powiedział Ryszard. - Zgadzam się. To na mnie, księciu Akwitanii, spoczywa zadanie i odpowiedzialność podję cia decyzji, co zrobić w tej sprawie. Kiedy stąd dzisiaj wyjedziemy, Ro bercie, odwiedzimy razem tego mściwego głupca, barona de la Four- riere, i jeśli zdoła uciec przed moim gniewem, zachowując tytuł, będę bardziej zdziwiony niż on. Mam aż nazbyt wiele niecierpiących zwłoki problemów nawet bez wymierzania kopniaków aroganckim tyłkom moich pomniejszych wasali. Jeśli mówimy już o arogancji, za nim ruszymy, wyślę kapitana wraz z czterema ludźmi, aby aresztowali bezbożnego opata Sainte Merę... Jak było mu na imię? Tomasz? - Rzu cił to pytanie Henrykowi, który skinął tylko głową. - No cóż, straci wszelkie wątpliwości, tak jak jego wątpiący imiennik, apostoł, kiedy się zorientuje, że jest prowadzony w łańcuchach na spotkanie ze mną.

De Sabie rozłożył dłonie.

- A potem, panie?

- A potem obydwaj się przekonają, że zagrażam im czterokrotnie, sądząc ich jako hrabia Poitou, w których to włościach sprawują swoją władzę, jako hrabia Andegawenii, książę Akwitanii, a nade wszystko jako przyszły król Anglii, spłodzony przez ojca, który od dawna okazuje brak cierpliwości względem kłopotliwych baronów i wścibskich księży.

Zgodnie z moim dekretem natychmiast zgodzą się wycofać ten absurdalny zarzut morderstwa, jak i śmiechu warte, lecz nikczemne zamieszanie sir Andrzeja w rzekomą pederastię. - Splótł palce. - Krnąbrni księża-mordercy zostaną aresztowani, osądzeni i powieszeni. Gdyby któryś z ich niegdysiejszych patronów, baron lub opat, stawiał opór, porachuję się z nimi i ich zbrodniczym pomiotem tak, jak mój ojciec, stary lew, porachował się z Becketem. Tak mi dopomóż Bóg! - Jego głos był przerażająco poważny.

- Możesz się odmeldować, Andrzeju - ciągnął, nie rzucając nawet okiem na młodego rycerza. - Jesteś ułaskawiony, a sprawa ta zakończona, poza drobnostkami.

Zanim Ryszard odwrócił się, aby na niego spojrzeć, Henryk już zdążył pomyśleć, że na pewno czeka go rewanż. Ryszard Plantagenet nie robił niczego bezinteresownie, a tym razem od początku było wiadomo, jakiej rekompensaty oczekuje.

- Mój panie - wymamrotał, a wznoszący się ton głosu zmienił ten tytuł w pytanie.

- Tak, Henryku, jak mówisz, twój panie. - Usta księcia wykrzywił sardoniczny uśmieszek. - Przybyłem tutaj, szukając ciebie, lecz teraz chcę, abyście obaj przyłączyli się do mnie w zbliżającym się przedsięwzięciu w Zamorzu, ponieważ tylko w ten sposób ukrócimy zakusy na życie Andrzeja. Kiedy wyjadę, Andrzej nie będzie bezpieczny we Francji. Jestem pewien, że to dostrzegasz i ty, Andrzeju? - Obydwaj

skinęli głowami, a Ryszard się uśmiechnął. — Zatem postanowione. Pójdziemy razem na wojnę, ponieważ niezależnie od tego, jak potężny mogę być, kiedy jestem tutaj, mam tendencję do robienia sobie potężnych wrogów, a te kościelne łotry na pewno znalazłyby sposób na to, aby znów cię oskarżyć i zabić po cichu, kiedy tylko uznałyby, że odwróciłem się plecami. A zatem! Henryku, będziesz moim marszałkiem. A ty, sir Andrzeju, wstąpisz do Świątyni.

- Do Świątyni, panie? - Andrzej wytrzeszczył oczy. -Jak to możliwe? Nie jestem mnichem ani nie nadaję się do tej roli.

Ryszard zaśmiał się krótkim, ponurym śmiechem.

- Być może nie teraz. Dość jasno to pokazałeś. Lecz te rzeczy da się załatwić, a ty możesz przekonać się do tego pomysłu. Czy nadajesz się na mnicha czy nie, mimo to jesteś rycerzem... własnoręcznie cię na niego pasowałem... i pochodzisz z rodu Saint Clair, tak jak jeden z dziewięciu założycieli Zakonu Świątyni. Bóg na pewno wie, że Zakon cię potrzebuje, i z zadowoleniem przyjmie cię pod jego czarno-biały sztandar. - Przeniósł wzrok z ojca na syna. - Słuchajcie mnie te raz uważnie. Dwa lata temu... nie, półtora... dwustu trzydziestu rycerzy Świątyni zginęło jednego dnia w miejscu zwanym Hattin; to o tej bitwie mówiłem ci wczoraj, Henryku. Lecz ponad setka z nich została zabita po bitwie, jako jeńcy, na osobisty rozkaz Saladyna. Pomyślcie o tym, przyjaciele. Ten człowiek nazywa siebie sułtanem, wzniosłym władcą, lecz sama ta okropność skazuje tego psa na śmierć. Dwustu trzydziestu rycerzy Świątyni jednego dnia, i prawie połowa z nich za

bita natychmiast po bitwie. Zaraz potem zabił kolejne setki, kiedy w kolejnym miesiącu opanował Jerozolimę. Jaki podał powód tej rzezi? Taki, że rycerze Świątyni są najgroźniejszymi ludźmi na świecie. - Powiódł wzrokiem po słuchaczach. - Cóż, może i byli najgroźniejszymi ludźmi na świecie przed Hattinem, lecz teraz sprawił, że w przyszłości będą jeszcze bardziej niebezpieczni dla niego i jego pobratymców. - Znów zatarł ręce. - Jednak bez względu na początki tej rzezi, jej rzeczywistość postawiła nas w obliczu faktu, któremu musimy stawić czoło, przyjaciele: templariuszy gorzej niż zdziesiątkowano, ponieważ zabito pięciu na dziesięciu ludzi. Może i są najpotężniejszymi i najbardziej znamienitymi wojownikami na świecie, stałą armią broniącą chrześcijaństwa w Zamorzu, lecz nawet oni nie mogą przetrwać, ponosząc straty na taką skalę jak w ciągu ostatnich dwóch lat. Od czasów Juliusza Cezara uważa się, że żadna siła wojskowa nie może skutecznie funkcjonować, jeśli zmniejszy się jej liczbę o ponad jedną trzecią. - Znów urwał, dając tym słowom czas na dotarcie do jego słuchaczy, po czym ciągnął: - W całej Ziemi Świętej nigdy nie było więcej niż tysiąc templariuszy naraz. Fakt ten nie jest szeroko znany, ponieważ większość ludzi uważa dziś Zakon za wszechobecny i niezwyciężony. Lecz jego niedawne straty wyniosły łącznie ponad pięciuset ludzi, co oznacza, że został mu zaledwie fragment poprzedniej siły. Zakon potrzebuje więc wykwalifikowanych nowicjuszy. - Spojrzał wprost na Andrzeja. - Poszukują młodych, prawych rycerzy bez

doczesnych zobowiązań, zdrowych na ciele i umyśle. Czy myślisz, że ten opis może się odnosić do ciebie, mój młody przyjacielu?

Andrzej wzruszył ramionami i wyglądało na to, że czuje się niezręcznie.

- Być może, panie, gdyby nie cień wiszący nad moją głową.

- Ten cień został odegnany. Zapomnij, że kiedykolwiek istniał.

- Chciałbym móc to zrobić, panie. Lecz nawet gdyby mnie udało się o nim zapomnieć, inni będą podsycać jego życie i opowiadać o nim, być może nawet w Zamorzu, a Świątynia prowadzi wyjątkowo surowe i bezkompromisowe obserwacje nowicjuszy. Słyszałem pogłoski... jeśli wybaczysz mi tak obcesowe słowa... że nawet królowie czy książęta nie mogą narzucić swojej woli Zakonowi.

Henryk Saint Clair zesztywniał, słysząc słowa syna, pewien, że rozwścieczą Ryszarda, lecz ku jego zdumieniu książę jedynie się uśmiechnął.

-To absolutna prawda, więc w zwykłych okolicznościach moje wpływy na niewiele by ci się nie zdały w zdobywaniu miejsca. Lecz spójrz ponownie, jeśli łaska, na mojego przyjaciela Roberta de Sabie, i uwierz mi, kiedy powiem, że jest kimś więcej, niż na to wygląda. Pod pewnymi względami Robert ma wpływy, których ja nigdy nie mógł-

bym zdobyć. Po pierwsze, jest jednym z najświetniejszych żeglarzy w całym świecie chrześcijańskim, choć twierdzi, że obecnie nie ma to wielkiego znaczenia w jego życiu.

Uniósł pytająco brew w stronę de Sablego, na co rycerz kiwnął

głową, najwyraźniej zgadzając się w odpowiedzi na jakąś niewypowiedzianą prośbę. Ryszard wyszczerzył zęby, odwrócił się do pozostałych, wyciągnął zza pasa długi sztylet i zaczął podrzucać go w powietrze, łapiąc broń z łatwością, gdy spadała. Złapał go jeszcze dwa razy, gdy reszta patrzyła na niego, zastanawiając się, co nastąpi.

- Mogę podzielić się z wami dwoma pewnym sekretem, który zna niewielu ludzi. Sir Robert... jak i ty, Andrzeju... nie jest członkiem Zakonu.

Obrócił się nagle i cisnął sztylet w kierunku jednego z drewnianych filarów, które podtrzymywały widniejący wysoko nad nimi dach. Tnąc przestrzeń, broń wyglądała jak wirująca smuga, a potem wbiła się w belkę o gęstym słoju. W ciszy, jaka nastąpiła, Ryszard podszedł powoli i wyciągnął ostrze, przyglądając się krytycznie szpicowi, po czym znów schował sztylet.

- Lecz sir Robert został zaproszony przez Radę templariuszy, aby wstąpił do Zakonu... nie tylko jako rycerz, lecz jako nowo desygno wany mistrz Zakonu w zastępstwie Gerarda de Rideforta, obecnego mistrza, którego kolejne zaginięcie niedawno zgłoszono. Uważa się, że został pojmany w bitwie i najprawdopodobniej nie żyje.

Uśmiechnął się znów z satysfakcją na widok rozdziawionych z wrażenia ust obu Saint Clairów.

- Powtórzę to - ciągnął - sir Robert został zaproszony przez Radę Zakonu Świątyni, aby dołączył do jego szeregów. Nigdy wcześniej nie wystosowano takiego zaproszenia. Jest ono bezprecedensowe, po

nieważ Zakon zawsze zazdrośnie strzegł swych tajemnic i pozwalał je poznać jedynie niewielu. Lecz tutaj ma ono nawet głębsze znaczenie, szczególnie dla ciebie, Andrzeju, ponieważ jest możliwe... a nawet prawdopodobne, biorąc pod uwagę przekonanie sir Roberta o twojej niewinności... że możesz zostać przyjęty do Zakonu jako nowicjusz bez oficjalnych ślubów przed naszym wyjazdem z Francji. Tak oto obydwaj moglibyście podróżować razem w mojej świcie, każdy z was przygotowywałby się do czekającego go zadania, tak że kiedy dotar libyśmy do Ziemi Świętej, ty, Andrzeju, mógłbyś wstąpić do Zakonu

Świątyni jako pełnoprawny rycerz, a ty, Henryku, mógłbyś rozpocząć pełnienie swoich obowiązków w moim interesie.

Henryk Saint Clair pochylił nisko głowę.

- Wspaniale — powiedział książę. — Teraz zajmijmy się naszymi sprawami. Najpierw ten zakłamany, świętoszkowaty opat Tomasz. Być może nie ma w sobie zbyt wiele strachu przed Bogiem, lecz na Boga, tego dnia odkryje taki strach przede mną, że będzie wył ze skruchy. Andrzeju, idź znaleźć Godwina, kapitana mojej straży. To ogromny Anglik, lecz mówi w naszym języku. Nie można go nie rozpoznać. Każ mu wziąć czterech ludzi, pojechać do opactwa Sainte Merę, za-aresztować opata Tomasza i zaprowadzić go w łańcuchach do zamku de Fourriere'a, gdzie będę. Pamiętaj, w łańcuchach i na piechotę. Ma sprawić, żeby opat szedł pieszo! Chcę, żeby ten świętoszkowaty prostak i hipokryta cierpiał ból oraz strach, jakich jeszcze nigdy wcześniej nie

doświadczył. Wyślij też z nimi jednego ze swoich ludzi, aby wskazał im drogę. Idź. Nie, czekaj. - Strzelił palcami. - Kiedy już tam będziesz, powiedz Pierre'owi, podwładnemu Godwina, żeby przygotował nasze konie i w ciągu pół godziny zaprowadził je do wejścia. Zapamiętałeś?

Andrzej kiwnął głową, mruknął “panie" i wyszedł z pokoju. Henryk patrzył za nim, podziwiając wyprostowaną posturę syna, wciąż odrobinę zaskoczony tym, z jaką łatwością zgodził się na to, co się tu dokonało. Niemal od początku wizyty Ryszarda wiedział, co z niej wyniknie, i od czasu, kiedy poprzedniej nocy po raz pierwszy usłyszał żądania Plantageneta, kipiała w nim usilnie tłumiona uraza oraz gorzkie rozgoryczenie. Lecz teraz, jak za dotknięciem magicznej różdżki, zniknęły wszelkie ślady urazy, zastąpione mimo wszystko podziwem dla tego człowieka, który kontrolował losy ich wszystkich.

Henryk nie wątpił w to, że bez książęcego poparcia Ryszarda życie jego syna we Francji byłoby nie do pozazdroszczenia. Aby uniknąć ewentualnego pozwania przed sąd i egzekucji, a nawet zabójstwa, po wyjeździe Plantageneta - i jego, Henryka - Andrzej nie miałby innego wyboru, jak tylko dołączyć do zbierającej się armii anonimowo i bez herbu, jako wolny strzelec. Teraz jednak, dzięki interesowności Ryszarda zarówno on, jak i jego syn otrzymali zadowalającą alternatywę. Przystając na propozycję księcia, Saint Clair połączył obowiązek z korzyścią, wykorzystując okazję, aby utrzymać swojego syna przy życiu

i dzielić z nim przyszłość. Teraz - biorąc wszystko pod uwagę - miał

tylko niejasne złe przeczucie, którego nie mógł się pozbyć. Henryk wiedział, że będzie musiał je zaakceptować i żyć z nim, ponieważ jego przyczyna leżała głęboko w ciemnej stronie tego skomplikowanego i nieprzewidywalnego człowieka.

Uświadomił sobie, że Ryszard przygląda mu się uważnie, i wyprostował się, podświadomie wciągając brzuch.

- Będzie trzeba cię zahartować, Henryku. Zmiękłeś.

- Mówiłem ci to, panie. Od czasu...

-To nie potrwa długo. Sprawimy, że w ciągu miesiąca będziesz znów w formie. - Książę uśmiechnął się szeroko. - Być może wpędzi cię to do grobu, lecz jeśli tak, umrzesz zdrowszy, niż jesteś teraz.

Henryk uśmiechnął się.

- Nie zabije mnie to, panie. Spodoba mi się, kiedy już zacznę.

- No cóż, młody Andrzej nie będzie miał tego problemu. Każę Robertowi natychmiast zagnać go do roboty, aby nauczył się podstawowej, ogólnej wiedzy o Zakonie, przynajmniej tych elementów, które są powszechnie znane i dostępne. - Uniósł brew w kierunku de Sablego. - Jak myślisz, Robercie? Czy będzie miał w sobie to, czego oczekuje się od templariusza?

- Już to ma, panie. Z tego, co widzę, będzie musiał się tylko przyzwyczaić do... kilku rzeczy.

-Tak, do modlitw rankiem, w południe, po południu i wieczorem, a także trzy lub cztery razy w ciągu nocy. Cholernie dziwne życie jak na wojujących rycerzy.

De Sabie uśmiechnął się łagodnie, zbywając Ryszarda ruchem ręki.

- Taka jest reguła Zakonu, panie. Muszą jej przestrzegać wszyscy członkowie, niezależnie od rangi.

- Tak, dlatego właśnie nigdy nie mógłbym do niego wstąpić. Dziwię się, że świętym wojownikom Boga starczy jeszcze kolan do stania prosto i walki.

De Sabie uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Wygląda na to, że radzą sobie świetnie, panie, jak sam przyznałeś chwilę temu. Poza tym wiem z pewnego źródła, że najbardziej surowe zasady reguły przestają obowiązywać w czasie wojny, a nad wypełnia

nie wymagań dotyczących modlitwy przedkłada się sprawność fizycz-

ną i gotowość do walki. - Zwrócił się do Saint Claira: - Jak uważasz, panie, czy twój syn da się zaprząc w uprząż?

- Z wielką ochotą, sir Robercie, ponieważ jego bohater służy już z rycerzami Świątyni w Zamorzu i jestem pewien, że będzie pracował z wielkim zapałem, aby do niego dołączyć, jeśli człowiek ten nadal żyje.

- Bohater? Kto to taki? - W głosie de Sablego brzmiała nutka czujności.

- Kuzyn z angielskiej gałęzi rodu, choć od trzydziestu lat ziemie jego rodziny znajdują się w Szkocji, na północy. Nazywa się sir Aleksander Saint Clair, choć ponieważ od urodzenia mieszka wśród tych ciemnych wyspiarzy, wymawia swoje nazwisko podług ich nieokrzesanej mowy.

De Sabie zmarszczył czoło.

- Jak to? Nie rozumiem. Powiedziałeś, że nazywa się Saint Clair?

- Tak, lecz wymawia to “Sink—lur", a nie “Sann Clerr", jak my.

- Sing-klur? To rzeczywiście brzmi dziwnie... A dlaczego jest bo-

haterem twego syna?

Henryk wzruszył ramionami z uśmiechem.

- Ponieważ jest taki, jaki jest. Z jakiegoż innego powodu? Alec,

jak sam siebie nazywa, jest... heroiczny. To wojownik o wielkiej sławie

i weteran Świątyni. Zaraz po swoim wstąpieniu do Zakonu mieszkał

z nami przez dwa lata, kiedy Andrzej był ledwie żółtodziobem. -

Henryk zawahał się, widząc wyraz twarzy de Sablego. — O co chodzi,

sir Robercie? Czy słyszałeś o Alecu Saint Clairze?

De Sabie przybrał obojętną minę.

- Nie wiem. Lecz wydaje mi się, że coś sobie przypominam. To

nazwisko ma niezwykłe brzmienie.

- Tak, i należy do niezwykłego człowieka.

- A dlaczego spędził tutaj dwa lata po wstąpieniu do Świątyni?

- Jego musisz zapytać, sir Robercie, jeśli go kiedyś spotkasz, ponie-

waż ja nigdy nie wiedziałem nic ponad to, że w jakiś sposób zajmował

się sprawami Zakonu. A te oczywiście są tajemnicą dla tych, którzy do

niego nie należą.

Drzwi otworzyły się i wszedł sir Andrzej, oznajmiając, że instrukcje

księcia zostały dostarczone i właśnie są wypełniane. Książę ruszył

niecierpliwie w stronę drzwi, wzywając Henryka, aby do niego dołą-

czył, oraz wołając przez ramię do de Sablego, że będzie czekał na niego przy głównej bramie za kwadrans.

De Sabie i Andrzej Saint Clair stali, patrząc na siebie; młodzieniec najwyraźniej nie czuł się swobodnie pozostawiony sam na sam ze swoim nowym przełożonym. De Sabie spoglądał na niego przez chwilę, po czym uprzejmie skłonił głowę.

- Twój ojciec mówił mi o przyjaźni łączącej cię z twym kuzynem, sir Aleksandrem Sinclairem.

Andrzej Saint Clair pochylił głowę z lekkim uśmiechem.

- Nie mógłbym nazwać tego przyjaźnią, panie. Lubiliśmy się, lecz byłem wtedy młokosem, a Alec był o całe dziesięć lat starszy i już należał do Zakonu. Nie widzieliśmy się co najmniej od ośmiu lat. Lecz jeśli sir Alec żyje i wciąż jest w Zamorzu, będę zaszczycony, mogąc znów go spotkać i może nawet walczyć u jego boku.

- Spodziewasz się więc, że podróż na Wschód spełni twoje oczekiwania?

Saint Clair wiedział, że pytanie to, choć brzmi niewinnie, może mieć wiele znaczeń oraz konsekwencji, i zawahał się.

- Podejdź.

Andrzej zbliżył się niemal niechętnie, a kiedy hrabia wyciągnął dłoń, już chciał klękać, gdy ten rzekł:

- Nie, chwyć ją.

Andrzej Saint Clair już bez wahania chwycił wyciągniętą dłoń, a kiedy poczuł charakterystyczny kształt i siłę uścisku, odpowiedział

podobnym, bezgłośnie potwierdzając ich przynależność do bractwa. De Sabie puścił jego dłoń.

- Miałem przeczucie, lecz powinienem był mieć je już wcześniej — powiedział zamyślony. — Podejrzewałem, że twój ojciec może należeć do bractwa, lecz nie odpowiedział na mój uścisk.

- Nie, sir Robercie, mój ojciec nie należy. Lecz sir Alec tak.

- Jak się o tym dowiedziałeś?

- Po własnej inicjacji, oczywiście. Wkrótce zacząłem żywić podejrzenia, wywołane tym, czego się uczyłem, i przypomniałem sobie rzeczy, których nie rozumiałem w nim i jego zachowaniu jako chłopiec. Zapytałem mojego mentora, a on to potwierdził.

- Czy później, nawet po wtajemniczeniu do naszego prastarego Zakonu, nie myślałeś o tym, aby zostać templariuszem?

Uśmiech młodzieńca był teraz otwarty i szeroki.

- Nie, panie, i jak podejrzewam, ty też nie. Jestem i pozostanę lojalny wobec bractwa i, jak powiedziałem wcześniej, nie nadaję się... nie nadawałem się... na mnicha.

- No cóż, niedługo nim będziesz, choć związany ślubami z bractwem, a nie z Kościołem. Wiesz, oczywiście, co chcę przez to powiedzieć? Andrzej wymamrotał odpowiedź twierdzącą.

- Nie wątpię w to, że bractwo wyznaczy ci jakieś zadania do wy pełnienia podczas pobytu w Ziemi Świętej - ciągnął de Sabie. - Oby dwaj musimy niedługo skontaktować się z Radą i poinformować

o naszym spotkaniu i jego przyczynach.

Andrzej kiwnął głową w odpowiedzi, myśląc o aluzji sir Roberta dotyczącej ślubów. Po wyniesieniu do pozycji wtajemniczonego każdy członek Bractwa Zakonu Syjonu musiał złożyć dwa śluby, powiązane z duchownymi ślubami ubóstwa i posłuszeństwa, lecz różniące się od nich zasadniczo. W brewiarzu Zakonu przysięgali, że nie będą mieć niczego na własność - czyli osobiste ubóstwo - lecz dzielić się wszystkim z braćmi. Ślub posłuszeństwa składali wielkiemu mistrzowi ich prastarego Zakonu, nie papieżowi, a w żadnym wypadku mistrzowi Zakonu Świątyni. Trzecia kanoniczna przysięga, ślub czystości, pozostawała niewypowiedziana w Zakonie Syjonu, ponieważ osobista czystość była integralną częścią życia braci. W Zakonie Świątyni nalegano na złożenie tego ślubu i nie sprawiało to problemu tym członkom bractwa, którzy należeli do obu zakonów. Andrzej postanowił mówić bez ogródek.

- Czy mogę zapytać cię o coś w duchu naszego braterstwa, sir Robercie?

- Oczywiście. Pytaj, o co chcesz.

- Książę wygląda na niezwykle zadowolonego, że zostałeś wybrany na mistrza Świątyni, lecz nie rozumiem dlaczego. W chwili twojego wstąpienia do Zakonu straci wpływ nad tobą, ponieważ nikt nie może służyć dwóm panom, a Zakon nie podlega żadnej władzy świeckiej. To niepodobne do księcia Ryszarda... cieszyć się z tego, że traci potężnego wasala.

De Sabie roześmiał się otwarcie.

- Tak, to proste. Jest zadowolony, gdyż jeśli rzeczywiście będę miał zająć tę pozycję, stanie się to w przyszłości.

126

- Wybacz mi, lecz nie rozumiem. Dlaczego miałoby nie nastąpić?

- Och, nastąpi, lecz kiedy to się stanie, zależy od tego, czy obecny mistrz, Gerard de Ridefort, żyje czy nie. Podejrzewamy, że nie żyje, lecz nie wiemy na pewno, ponieważ w Zamorzu panuje teraz chaos. Informacje, które do nas docierają, nie zawsze są dokładne, a czasami nie są nawet prawdziwe. Jeśli więc de Ridefort wciąż żyje, będę czekał, aż moje usługi będą potrzebne. Tymczasem książę Ryszard jest bardzo zadowolony, ponieważ ma dla mnie zadanie. Mam być dowódcą jego floty podczas wyprawy do Ziemi Świętej. Zbiera... rzekomo z błogosławieństwem swojego ojca, przynajmniej w tej kwestii... ogromną flotę, być może największą, jaką widział świat, aby przewieźć swoją armię, żywy inwentarz, prowiant i machiny oblężnicze drogą wodną, a nie lądową. Pomyśl o tym, chłopcze. Należę do bractwa i do niedawna moim wyznaczonym przez Radę zadaniem było dbanie o przedsięwzięcia handlowe domu założonego przez pewne zaprzyjaźnione rodziny. - Sformułowanie to było wymijające, lecz Andrzej Saint Clair dokładnie wiedział, o co chodzi. -Aby więc wypełnić moje braterskie obowiązki, przez całe lata uczyłem się wszystkiego na temat transportu morskiego i załadunku, w tym umiejętności nawigacyjnych i matematycznych potrzebnych do dowodzenia flotą na morzu. Ryszard potrzebuje przy tym mojej pomocy, a ja, w imieniu bractwa, potrzebuję

jego, aby zapewnić sobie szybkie i bezpieczne dotarcie do Zamorza. Otoczony wielką flotą mam na to o wiele większą szansę, a ryzyko, że Świątynia pozostanie bez mistrza, spada prawie do zera.

Saint Clair skinął głową.

- Dziękuję za wyjaśnienie. Sir Robercie, czegokolwiek ode mnie oczekujesz, mogę zacząć natychmiast. Mój ojciec zadba o to, aby ze brać grupę ludzi, którzy będą się zajmować tymi dobrami pod naszą nieobecność. Jak sądzisz, ile mamy czasu?

-Według mnie co najmniej miesiąc. Ryszard pali się, aby dotrzeć do Anglii, gdyż chce się zabrać do zbierania swoich armii i floty, lecz w tej kwestii, jak i we wszystkich innych, jest uzależniony od dobrej woli i współpracy swojego ojca. Ta perspektywa nie napawa naszego pana radością, choć wierzę, iż Henryk dołoży wszelkich starań, aby przy tej okazji zrobić wrażenie łagodnego, ponieważ chce usunąć Ryszarda z Anglii i wysłać go do Zamorza. Lecz pozostaje też jeszcze sprawa urażonej z powodu Vexin dumy Filipa oraz wyimaginowane

zniewagi znoszone przez Adelę. Te sprawy także muszą zostać załatwione w sposób zadowalający obie strony, zanim będzie można znów się zająć tym przedsięwzięciem.

Adela z Kapetyngów, siostra króla Filipa Augusta, od dzieciństwa była zaręczona z Ryszardem Plantagenetem, a w wieku ośmiu lat wysłano ją do Anglii pod opiekę króla Henryka i Eleonory. Jednak jako piętnastolatkę uwiódł ją ojciec jej narzeczonego, który nawet wtedy był

dość stary, aby móc być jej dziadkiem, i od tamtej pory była jego kochanką. Niemniej jednak był to krótkotrwały skandal, ponieważ królowa Eleonora była już wtedy zamknięta w więzieniu, gdzie miała pozostać ponad piętnaście lat, i nikt, a już na pewno nie przyszły mąż, któremu Adela przyprawiła rogi, nie dbał tak naprawdę o to, co dzieje się z francuską księżniczką.

Prawdziwą łyżką dziegciu w beczce dynastycznego miodu przymierza pomiędzy Anglią i Francją - o wiele bardziej gorszącą niż związek lubieżnego starego króla i głupiej, przedwcześnie rozwiniętej dziewczyny - był płomienny romans brata Adeli, Filipa, z jej narzeczonym, Ryszardem. Fakt, że ci dwaj od dawna dzielą łoże, był szeroko znany, lecz rzadko go omawiano. Sprzeczali się ze sobą od lat, często przy innych, jak niedopasowane małżeństwo, w którym Filip August pełnił rolę kłótliwej, zazdrosnej żony, i żaden z nich nawet nie myślał o sytuacji pomiędzy królem Henrykiem i Adelą. Teraz, kiedy Filip czynnie przygotowywał się do wyjazdu z Francji i podróży wraz z armią do Ziemi Świętej, cała sprawa posagu Adeli znów pojawiła się między dwoma mężczyznami, i tym razem odroczenie jej nie przy-szłoby łatwo.

Posagiem Adeli i przyczyną trwającego ponad dziesięć lat tarcia pomiędzy dwoma rodami królewskimi była bogata i potężna francuska prowincja Vexin. Ród Kapetyngów podarował ją Koronie angielskiej jako zachętę do małżeństwa i symbol dobrej woli, kiedy mała Adela przybyła do Anglii, aby zamieszkać z rodziną narzeczonego. Choć pierwotnie zamierzano wydać ją za starszego syna króla, księcia Henryka,

po jego przedwczesnej śmierci zaręczono ją z młodszym, Ryszardem. Lecz bez względu na to, że po niemal dwudziestu latach małżeństwo nie zostało jeszcze zawarte, strategicznym powodem urazy i wrogości związanej z kwestią spornego terytorium było to, że granice Vexin leżały mniej niż dzień intensywnego marszu od stolicy Francji, Pary-

ża. Sprawiło to, że po przyjeździe Adeli do Anglii Henryk pochwycił jej wiano i od tego czasu strzegł go zazdrośnie, co ostatnio robił też Ryszard.

Filip chciał, aby zwrócono Vexin Francji, twierdząc - całkiem słusznie - że skoro małżeństwo nie zostało skonsumowane, posag przepadł i należy się Francji. Henryk i Ryszard, którzy zdążyli tymczasem zbudować w Vexin, na samej granicy z Francją, solidną bazę dla operacji wojskowych, oczywiście wyrazili zdecydowany sprzeciw. Niemal przegrali jednak ten spór podczas narady we francuskim mieście Gisors w styczniu 1188 roku: Filipowi udało się z pomocą papieża sprawić, iż Vexin znalazło się u niego w depozycie do chwili, kiedy Ryszard dopełni umowy i ożeni się z księżniczką Adelą.

- To może zająć kilka dni - podjął po chwili de Sabie - a może też zająć tygodnie, w zależności od tego, w jakiej mierze uda im się rozstrzygnąć spór i dojść do przyjacielskiego porozumienia, że będą dzielić się przywództwem w tej kampanii.

- Czy będą wspólnie dowodzić?

- Być może. Lecz Ryszard jest wojownikiem, Filip zaś negocjatorem,

który zdecydowanie przedkłada organizowanie nad wojaczkę. Z pozoru powinno to podziałać na korzyść sojuszu, lecz mówiąc między nami, braćmi, żaden z nich nie zadowoli się niczym mniej niż rola głównodowodzącego. Przynajmniej na razie Filip jest jedynym królem biorącym udział w tym przedsięwzięciu i fakt, że wszyscy to uznają, chroni jego pychę. Lecz sytuacja się zmieni, kiedy tylko Ryszard zostanie królem Anglii, i tak naprawdę będzie wolał zginąć, niż zrezygnować z chwały, jaką dawałaby mu rola wodza tej ekspedycji. Prędzej czy później pójdą o to iskry i prawdopodobnie rozniecą pożar tam, gdzie nikt się go nie spodziewa. Jednak ani ty, ani ja się nie oparzymy. Bądź więc gotów wyruszyć do Anglii w ciągu miesiąca, lecz zanim skończy się ten tydzień, jedź do Tours lub Poitiers, znajdź bractwo i zdaj sprawę z tego, co się tu stało. Od tego momentu będziesz otrzymywał konieczne instrukcje. Być może będę wracał tędy z Paryża, będzie to zależało od spraw Ryszarda, lecz zostaniesz wezwany niezależnie od tego, jaką drogą wrócimy do Anglii, więc bądź gotów. Muszę już iść, książę nie lubi czekać. Wkrótce znów się zobaczymy.

3

Minął maj, potem czerwiec, a do Saint Clairów nie dotarła żadna wiadomość od Ryszarda, lecz Henryk ledwie zauważał upływ czasu. Był zbyt zajęty odzyskiwaniem kondycji, którą stracił od czasu, kiedy owdowiał. Zresztą jeszcze przed śmiercią żony oddał się wygodnemu, leniwemu życiu, z zadowoleniem i po cichu korzystając z przywileju starszego człowieka, który dobrze przysłużył się interesom swojego pana — a wcześniej pani. Teraz, zbyt późno przekonawszy się, że to folgowanie sobie było przedwczesne i nierozważne, czuł na sobie ciężar lat, walcząc o odzyskanie choć części dawnej siły i związanych z nią umiejętności, które wcześniej były jego chlebem powszednim.

Zaczął od ponownej nauki jeździectwa, znosząc potępieńcze bóle, gdy jego ciało buntowało się przeciwko ćwiczeniom, o których zapomniały jego mięśnie. Oczywiście nie zapomniał, jak *się* jeździ, lecz nie był już tak wytrzymały.

Pierwszego dnia swojej nowej odysei jeździł przez pięć godzin i kiedy w końcu wrócił do zamku i zszedł niezdarnie z siodła, niemal przewracając się, gdy jego stopy dotknęły ziemi, obolałe mięśnie domagały się odpoczynku. Zmusił się jednak, aby pójść na podwórzec, gdzie szkolono rycerzy, i chwycić swój miecz. Stanął samotnie twarzą w twarz z grubym na stopę pionowym balem z litej dębiny i okładał pal mieczem dobrą godzinę, skrupulatnie trzymając się podstawowych ćwiczeń, aż nie miał już siły, aby podnieść ramiona. Wtedy poszedł chwiejnym krokiem do swojej komnaty i padł na łoże jak nieżywy na

długo przed zachodem słońca.

Obudził się późno, w biały dzień, i ledwie miał siłę wstać. Każdy mięsień sprawiał wrażenie sztywnego, skurczonego i powykręcanego jak sękate drewno, a pośladki i wewnętrzne strony ud były posiniaczone, jakby ktoś obił je stalowym prętem. Poszedł, zataczając się,

do studni na podwórcu, powoli odzyskując zdolność poruszania się, i wylał na siebie strumień lodowatej wody, klnąc siarczyście. Wytarł się kawałkiem płótna workowego, zdumiony, że - choć niechętnie -współczuje tym młodym początkującym rycerzom, których przez tyle lat gnębił tym samym morderczym reżimem, nie myśląc o ich bólu.

Trochę odświeżony udał się wciąż chwiejnym krokiem do kuchni.

Nikt, nawet jego wierny Ector, nie śmiał odezwać się do niego. Kiedy zjadł, podążył do stajni i zażądał swojego konia, nie był jednak w stanie go dosiąść. Zawołał drażliwym tonem krzepkiego stajennego, aby mu pomógł, po czym musiał znieść kolejne upokorzenie, ponieważ trzeba było też umieścić jego stopy w strzemionach. Kiedy przemierzał ze stukotem kopyt brukowany podwórzec i bramy, cała służba zamku wstrzymywała oddech, czekając, aż wybuchnie jak dawniej, lecz zniknął bez słowa.

Minęły całe dwa tygodnie, zanim ciało Saint Claira zaczęło się przyzwyczajać do wymagań, jakie stawiał mu po tak długim okresie lenistwa. Przez całe życie bezlitośnie trenował innych, wbijając niedojrzałym uczniom do głów dyscyplinę, posłuszeństwo i akceptację,

teraz więc obchodził się ze sobą tak surowo jak z nimi. Nie miał wyboru, ponieważ widział własną słabość i umarłby ze wstydu, gdyby Ryszard Plantagenet wrócił i ujrzał, że jest niegotowy.

Wreszcie nadszedł dzień, kiedy wciąganie się na siodło sprawiło mu mniej bólu, jego uchwyt na rękojeści miecza późnym popołudniem wydawał się mocniejszy, a łuk, jaki zataczało ostrze, bardziej energiczny i zdecydowany. Potem, pracując codziennie ciężej niż poprzedniego dnia, radził sobie coraz lepiej pod każdym względem: siły, wytrzymałości, zręczności i jazdy konnej. Twarz i dłonie pociemniały mu od codziennej jazdy w każdych warunkach i choć mięśnie nie sprawiały wrażenia masywniej szych czy twardszych, czuł, że są coraz mocniejsze. Potrafił teraz godzinami okładać mieczem pal ćwiczebny, odłupując kawałki ciężkiego drewna i odpoczywając jedynie chwilę pomiędzy kolejnymi atakami. Radował się tym, jak wiele przyjemności sprawia mu ta prosta umiejętność, ponieważ był to niezaprzeczalny dowód, że jest coraz bardziej zahartowany. Miał nawet wrażenie, że jego zbroja stała się ostatnio lżejsza: ledwie zdawał sobie sprawę z jej wagi i zawsze jeździł całkowicie uzbrojony.

Na początku czerwca dzielił stół z przejeżdżającym francuskim

rycerzem, który poprosił o gościnę na noc. Przy kolacji gość poinformował go, że wybuchła wojna pomiędzy dwoma królami, Filipem i Henrykiem, i że książę Ryszard, po raz kolejny zlekceważony przez ojca w sprawie wstąpienia na tron Anglii, otwarcie wziął stronę Filipa, łącząc

siły z francuskim królem i osaczając własnego ojca w Le Mans, miejscu urodzenia Henryka, które ten podobno kochał najbardziej na świecie. Rycerz, który nazywał się de Plessey, powiedział Henrykowi, że opuścił oblężone Le Mans dwa dni wcześniej, z osobistego polecenia Filipa niosąc meldunki na południe, przez Tours i Poitiers, do Angouleme. Pomimo nagabywań gospodarza nie mógł nic powiedzieć ani o Andrzeju Saint Clair, ani o sir Robercie de Sabie, z którym Andrzej podróżował nieprzerwanie od czasu kwietniowej wizyty Ryszarda, Henryk więc nie wiedział, czy jego syn znajduje się wśród oddziałów księcia w Le Mans.

Zaledwie kilka tygodni później, pięknym letnim popołudniem szóstego lipca, Andrzej wrócił sam do domu, w świetnej kondycji, zadowolony z powrotu na własne włości, choć wizyta miała trwać tylko kilka dni. Okazało się, że on też podróżował do Angouleme, aby dostarczyć oficjalne dokumenty z Orleanu, od sir Roberta de Sabie, seneszalowi znajdującej się tam komturii Zakonu.

Przybycie Andrzeja sprawiło, że całe domostwo rzuciło się w wir świętowania, ponieważ wszyscy przepadali za młodzieńcem i nie widzieli go od miesięcy. Ojciec pogodnie zaakceptował ogólne podniecenie i dostosował się do niego, hojnie dzieląc się z innymi towarzystwem swojego syna podczas pierwszej doby jego niespodziewanego powrotu i nie próbując zajmować go niczym ważniejszym niż zwykłe ogólniki, które inni wymieniali przy kolacji. Dopiero kiedy wszyscy poszli spać i nawet Ectora posłano do łóżka, ojciec z synem mogli usiąść i porozmawiać nad dzbankiem ulubionego, bladożółtego wina Henryka,

kupowanego niezawodnie co roku w winnicy leżącej w sąsiedniej prowincji, Burgundii, mniej niż sto mil na wschód.

Wiele czczej gadaniny w ciągu dnia dotyczyło niedawnego reżimu ćwiczeń Henryka, ponieważ każdy chciał zdać Andrzejowi relację z tego, jak nadzwyczajnie poprawił się wygląd oraz ogólny stan zdrowia jego ojca, i teraz, kiedy jego syn spróbował po raz kolejny poruszyć ten temat, Henryk zbył jego komentarze machnięciem dłoni.

— Dość już rozmawialiśmy o mnie i o tym, co robiłem. O wiele

bardziej interesuje mnie, co ty porabiałeś. Zakładałem, że jesteś z armią Ryszarda, ponieważ wygląda na to, że chce trzymać sir Roberta de Sabie blisko siebie, a wnioskuję z tego jednego listu, który wysłałeś mi w ubiegłym miesiącu, że gdzie idzie teraz sir Robert, ty idziesz z nim.

Andrzej pochylił głowę i wykrzywił usta.

- Nie zawsze, ojcze, lecz przyznaję, że sir Robert bardzo zainteresował się moim losem i od dnia, w którym postanowił uwierzyć w moją opowieść, daje z siebie wszystko w moim interesie. - Uśmiechnął się szerzej, a jego głos stał się mniej oficjalny. - Jeśli templariusze mnie nie zechcą, nie będzie to wina sir Roberta. Uznał, że jestem odpowiednio wykwalifikowany, aby być templariuszem, i kusi mnie teraz, aby się z nim zgodzić, kiedy przemyślałem, z czym to się wiąże. Czy byłbyś niezadowolony lub rozczarowany, ojcze, gdybym został pełnoprawnym członkiem Zakonu?

- Rycerzem-mnichem? - Pytanie to zaskoczyło Henryka. Nigdy nie

przyszło mu do głowy, że jego syn może podjąć ciężar wstąpienia do stanu zakonnego. Przez jakiś czas siedział ze zmarszczonym czołem, podkręcając wąsa. — Naprawdę nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, Andrzeju. Czy byłbym niezadowolony? Na pierwszy rzut oka nie widzę powodu. A jednak już teraz w mojej głowie wirują inne myśli na ten temat. Czy byłbym rozczarowany? Hmm... Dwa lata temu, kiedy żyła twoja matka, być może byłbym, ponieważ ona zawsze marzyła o wnukach, lecz teraz, kiedy nie ma jej już wśród nas... Panie, świeć nad jej duszą... ten żal także nie jest już tak dojmujący. Jesteś moim jedynym synem i ostatnim z naszej linii. Jeśli umrzesz, nie spłodziwszy synów, nasz ród się skończy. - W kąciku jego ust pojawił się lekki uśmiech. —Jestem pewien, że niektórzy nie uznaliby tego za wielką stratę. Mamy dość kuzynów, lecz żaden z nich nie jest naprawdę bliski, a ten, którego podziwiałeś najbardziej, już jest templariuszem, a więc i mnichem. Gdybyś więc zdecydował się od razu wstąpić do Zakonu, byłbyś w świetnym, szlachetnym towarzystwie. -Przez chwilę się zastanawiał, po czym zakończył: - Nie, Andrzeju, nie byłbym ani niezadowolony, ani rozczarowany, gdyby taka rzeczywiście była twoja wola. Pod warunkiem że będę mógł spędzić z tobą trochę czasu w Zamorzu, zanim przyjmiesz ostatnie śluby, nie będę miał zastrzeżeń.

- Wiesz, że to oznaczałoby, iż po twojej śmierci musiałbym oddać Zakonowi ten zamek i wszystko, co posiadam?

- Rozumiem, ale jakie to ma znaczenie? Kiedy umrę, a ty zostaniesz

mnichem, nikt inny nie będzie miał praw do tego miejsca. Chyba lepiej przekazać go Zakonowi, dla którego być może będzie użyteczny, niż zostawić go, aby po twojej śmierci wykłócali się o niego pazerni krewni. Jeśli takie jest twoje życzenie, niech tak będzie. - Klasnął w dłonie. - A teraz opowiedz mi o świecie na zewnątrz. Co dzieje się poza moimi bramami, o czym powinienem wiedzieć? Ostatnie wieści, jakie słyszałem, były takie, że Ryszard i Filip oblegają króla Henryka w Le Mans. Czy ten impas nadal trwa?

- Nie. Miasto poddało się po ledwie kilku tygodniach, pod koniec czerwca. Ryszard wypędził ludność i dziesięć dni temu spalił to miejsce. Król Henryk uciekł tuż przed kapitulacją na południe, w kierunku Chinon, i Ryszard podążył za nim, depcząc mu po piętach, kiedy tylko wydał rozkaz podpalenia. Zeszłej nocy byłem w komturii Zakonu w Tours i usłyszałem kilka opowieści o tym, co działo się później, lecz nie jestem w stanie potwierdzić prawdziwości ani jednej z nich. Jest tyle doniesień z tylu źródeł, że szaleństwem byłoby usiłować oddzielić prawdę od fałszu.

- Powiedz mi choć część z tego, co słyszałeś.

Andrzej potrząsnął głową z odrazą.

- Niektórzy mówią, że stary król poważnie zachorował, jest na łożu śmierci, że duch załamał się w nim w końcu z powodu bezmyślnego zniszczenia jego rodzinnego miasta. Słyszałem też, że kiedy zachorował, okradła go jego własna świta... służący i nadskakujący mu pieczeniarze, którzy zawsze tłoczyli się dookoła niego... i nic mu nie zostało.

- To niegodziwe. Ale przecież, jak powiedziałeś, Ryszard ruszył za nim w pogoń. Dogonił go pewnie, gdy król legł złożony chorobą, jeśli nie wcześniej. Czy w takim razie nie zrobił nic, aby zapobiec kradzieży, o której mówisz?

- Wątpię, aby o niej wiedział, ojcze. Ryszard miał inne sprawy na głowie i, o ile wiem, egzekwował je bezlitośnie.

- Inne sprawy? Jakie?

- Dziwi mnie, że nawet musisz o to pytać. Przede wszystkim Ve-xin. Stojąc w obliczu śmierci, Henryk zrobił to, czego nigdy nie zro-

biłby za życia. Oficjalnie wyznaczył Ryszarda na dziedzica tronu Anglii. Zgodnie z tym, co słyszałem wczoraj, stało się to trzy dni temu, czwartego lipca. Zarządził też, aby uwolnić jego żonę, Eleonorę, z wieży zamku w Winchester, w Anglii. Oficjalnie zrzekł się też jakichkolwiek praw do Vexin, zgadzając się na przekazanie księżniczki Adeli w ręce Filipa Augusta i Ryszarda, aby ten drugi mógł ożenić się z nią i raz na zawsze rozstrzygnąć sprawę posagu, a wraz z nim całą kwestię angielsko-francuskiej zgody na świętą wojnę.

Henryk siedział w milczeniu przez dłuższą chwilę, po czym mruknął:

- Stary król musi rzeczywiście być bardzo chory, skoro zrzekł się tylu rzeczy... A Ryszard musiał bardzo nalegać.

- Tak, ojcze, nawet bardziej. Henryk był zmuszony poddać swoje zamki i majątki ziemskie, a także scedować na Ryszarda posiadłości, które nigdy nie były sporne. Mówią, że syn nie zostawił mu nic, nawet

jego godności. Ponadto słyszałem, że kiedy król oddał już wszystko, modlił się głośno o tak długie życie, aby móc się zemścić na swoim niewdzięcznym synu, lecz zaraz potem zmarł, a Bóg, którego zbyt często lekceważył, odmówił mu nawet tej satysfakcji. Nie mogę jednak zaświadczyć, że to prawda. Mam na myśli plotki o jego śmierci. Inni zakwestionowali je. Pamiętaj, że donoszę jedynie z drugiej ręki. - W głosie Andrzeja zabrzmiała nuta goryczy. - Słyszałem też jednak, że Ryszard zaczął szlochać i modlić się za duszę swojego ojca na kilka godzin przed śmiercią starego króla, kiedy tylko wyrwał mu wszystko, czego chciał.

- Kto mógł powiedzieć ci coś takiego? - Zmarszczka na czole Henryka pogłębiła się. - Kto śmiał rzec takie słowa? Kimkolwiek był, nie należał do przyjaciół Ryszarda Plantageneta.

Andrzej nawet nie próbował odpowiedzieć, a jego ojciec ciągnął:

- Mówiłeś, że byłeś w komturii Zakonu w Tours, czyż nie? To tam słyszałeś, jak otwarcie rozmawia się o takich sprawach z obcymi? Trud no mi dać temu wiarę. Wśród samych rycerzy, w prywatnych kwate rach, tak. Jestem w stanie przyznać, że mogą omawiać takie rzeczy na osobności. Lecz nie jesteś templariuszem, więc musiałeś znajdować się wśród tłumu w miejscu publicznym, aby usłyszeć takie opowieści.

- Nie, ojcze, niezupełnie. - Andrzej wzruszył łagodnie ramiona mi. - Miałem przywilej być w towarzystwie dwóch rycerzy Świątyni,

których dobrze poznałem w ciągu tych ostatnich kilku miesięcy. Cały

czas blisko współpracują z de Sablem, jako kurierzy Zakonu między nim, księciem Ryszardem i królem Francji. Jako ich gość mogłem tyle podsłuchać.

-Tak, Andrzeju, lecz mimo to, jeśli ostatnio nie zaszły jakieś drastyczne zmiany, osobiste przyjaźnie nie mają znaczenia w takich sprawach jak przysięgi i tajemnice. Nie należysz do Zakonu. Nie jesteś jednym z nich, więc trzeba cię odpowiednio nieufnie traktować. Poza tym mierzi mnie *ten* brak lojalności, związany choćby z rozmawianiem o takich rzeczach.

- Brak lojalności? Jak to, ojcze? Mówimy b rycerzach Świątyni. Winni są lojalność jedynie papieżowi. Żaden świecki władca, czy jest cesarzem, królem czy księciem, nie może domagać się lojalności Za konu.

-Wiem, Andrzeju, tak samo jak o tym, że jeszcze nie jesteś jednym z nich... Chyba że nie powiedziałeś mi czegoś na temat swojej obecnej sytuacji. Czy chcesz przez to powiedzieć, że wyniesiono cię już do szeregu wybranych?

Podniesiony jak na przesłuchaniu ton ojca był sceptyczny, co nie zdziwiło Andrzeja, który już dawno zrozumiał, że pewnych rzeczy na temat siebie samego i swojego życia nigdy nie będzie w stanie wyjawić ojcu. Machnął ręką i potrząsnąwszy głową, wstali podszedł do wielkiego żelaznego rusztu ustawionego na palenisku. Ustawił na gzymsie puchar z winem i kucnął, aby dorzucić do dogasającego ognia kilka polan drewna, leżących na stercie obok kominka. Zyskał czas, aby pozbyć się

poczucia winy, które zawsze doskwierało mu w takich momentach, choć przecież doskonale wiedział, że jego sekret nie ma nic wspólnego z synowską miłością i szacunkiem do ojca. Jednak jego milczenie nie pozostało niezauważone, ponieważ jego ojciec zapytał stanowczym tonem:

- O czym tam tak marzysz?

Andrzej wstał płynnym ruchem.

- O templariuszach - odparł swobodnie, kłamiąc bez wysiłku, jak zawsze, kiedy w grę wchodziła ochrona tajemnic bractwa. - Patrzyłem na płomienie liżące drewno i myślałem o tym, że w Zamorzu nie uświadczymy dużo drewna. W każdym razie nie na opał. Podobno tam ludzie palą wielbłądzi nawóz. To przypomina mi opowieść

o dowódcy templariuszy, którego głównym obowiązkiem przez kilka lat było zaganianie jego ludzi do zbierania całego nawozu, jaki mogli znaleźć na ulicach Jerozolimy, na opał.

-To wygląda na wart zachodu sposób służenia swojemu Bogu...

Andrzej zignorował sarkazm ojca.

- Najwyraźniej Hugon de Payns tak myślał, ponieważ to jemu przypadł ten obowiązek.

- Hugon de Payns? Czy nie był on...?

- Pierwszym mistrzem Świątyni, założycielem Zakonu. Tak, ojcze, to on.

- Hmm. - Saint Clair przyglądał się swojemu synowi. - Naprawdę

myślisz, że dołączysz do nich, Andrzeju, składając śluby i tak dalej?

Przelotny uśmiech jego syna uspokoił Henryka.

- Och, myślę, że nie, panie - powiedział przeciągle Andrzej. - To pomysł, który od czasu do czasu przemyka mi przez myśl, nic więcej. W Zamorzu będę walczył jako jeden z nich, to pewne, lecz wątpię, abym miał złożyć oficjalne, wiążące śluby.

- Dlaczego więc tyle się z nimi zadajesz, z tym człowiekiem, de Sabie?

- Nie zadaję się. - Andrzej wytrzeszczył oczy, kiedy ojciec zadał mu to pytanie. - To znaczy, nie z rycerzami. Z de Sablem tak, lecz on jeszcze nie jest templariuszem. Obydwaj pracujemy dla Ryszarda, i to ciężko.

- Co robicie?

Usta Andrzeja na moment wykrzywił uśmiech.

- No cóż, sir Robert organizuje flotę, która być może okaże się największa w historii, a ja uczę ludzi, jak używa się nowej kuszy, ar-balety.

- Co w niej nowego? W tej... jak ją nazwałeś?

- Arbaleta, panie. To najnowszy model tej broni. Jak wiesz, uwielbiam kuszę od chwili, kiedy byłem na tyle silny, aby móc ją załadować, i oczywiście Ryszard podziela tę miłość. Otóż on i ja zaczęliśmy rozmawiać, kiedy wraz z sir Robertem odwiedził nas tamtego dnia, i chciał dowiedzieć się czegoś na temat strzału... jak go oszacowałem, jak wycelowałem i tak dalej... którym zabiłem księdza, tego robaka de Blois. Od słowa do słowa, ostateczny rezultat był taki, że powierzył mi zadanie

zorganizowania ćwiczeń dla nowych oddziałów kuszników.

137

Nie żebym ich trenował, oczywiście, lecz mam wyszkolić innych na nauczycieli i szczególną uwagę poświęcić treningowi z nową bronią. Jest jej wielkim entuzjastą, a ja rozumiem dlaczego.

—Czy spędzałeś z nim dużo czasu, od kiedy opuściłeś dom?

—Z Ryszardem? - Andrzej potrząsnął głową. — Nie, prawie wcale. Pół godziny tu i tam i może trzy godziny tego dnia, kiedy wyznaczył mi zadanie szkolenia innych, ponieważ chciał się upewnić, czy rozumiem jego wymagania. Poza tym widziałem go od tamtej pory ledwie kilkakrotnie, za każdym razem z oddali, kiedy przejeżdżał.

- Dobrze. To być może pomyślna okoliczność. Andrzeju, zaufaj mi, jestem twoim ojcem. Uważaj na Ryszarda. Jeśli zaczniesz spędzać z nim więcej czasu, okaże się, iż ma on pewne cechy charakteru, któ re prawdopodobnie zgorszą cię. Nie powiem nic więcej, ponieważ jesteś dość dorosły i bystry aby samemu już zauważać takie rzeczy i wyciągać własne wnioski, lecz jeśli rzeczywiście okaże się, że kiedyś wzbierze w tobie wstręt, na Boga, nie pozwól, aby on dostrzegł two je niezadowolenie. Ryszard nie lubi być potępiany, tak samo jak nie lubi sprzeciwu. Nie znosił tego jako chłopiec i wątpię, aby z tego wy rósł. - Henryk przyglądał się, jak twarz jego syna ciemnieje z cieka wości, lecz pogroził wyprostowanym palcem, kończąc ten temat. - Powiedz mi zatem, skąd tyle zapału dla tego nowego urządzenia? Czym różni się od jakiejkolwiek innej kuszy?

Oczy Andrzeja rozjarzyły się entuzjazmem.

- Mocą - powiedział. - Po prostu niewiarygodną mocą, a także precyzją. Jej nazwa pochodzi od starej rzymskiej broni, arkabalisty. Wiesz, czym była arkabalista?

Jego ojciec poderwał głowę jak ugryziony.

- Czy wiem...? Na Boga, chłopcze, naprawdę uważasz mnie za ta kiego ignoranta? Byłem oboźnym jeszcze przed twoimi narodzinami! Była to broń artyleryjska wzorowana na greckiej katapulcie, prymi tywnej kuszy. Arkabalisty były ogromnymi, dwuramiennymi machi nami miotającymi z drewna, napędzanymi skręconymi linami, któ re nawijano na koła zapadkowe. Potrafiły przewidywalnie i dokład nie cisnąć kamień, a czasem ciężką włócznię na odległość pół mili i więcej.

— Tak, z drewna, jak mówisz. - Andrzejowi wciąż błyszczały oczy. - Natomiast arbaleta zrobiona jest ze sprężynującej stali złożonej z kil-

ku warstw. Jest o wiele potężniejsza niż jakakolwiek zrobiona wcześniej drewniana kusza, a w przeciwieństwie do arkabalisty jest przenośna, choć nieporęczna. Może nosić ją i obsługiwać jeden człowiek. Wprawny, wyszkolony w jej obsłudze wojownik może z ogromną mocą i dokładnością wystrzelić bełt, zabijając uzbrojonych ludzi z odległości pięciuset kroków. Mam taką. Chciałbyś ją zobaczyć?

- Naturalnie.

- Dobrze, w takim razie, jeśli rano będziesz w stanie wytaszczyć

swoje wiekowe kości z łoża, być może zaszczycę cię demonstracją. Są-
dzę, że będziesz zdumiony.
Henryk się uśmiechnął.
- Będę zdumiony, jeśli uda ci się podnieść swój zmęczony tyłek
z pościeli, zanim ja się ubiorę i złamię post. Zobaczymy, kto jutro
o świcie będzie się czuł bardziej wiekowy.
- Tak, zobaczymy. - Andrzej roześmiał się. - Spij dobrze, ojcze.
Opuścił ojca, ciesząc się tym echem ich dawnych żartów, lecz
w drodze do łoża uzmysłowił sobie bolesny dystans, jaki dzielił ich
teraz, dystans wynikający z wiedzy i tajemnicy.
Sir Henryk uważał templariuszy za wybranych i choć niewyklu-
czone, że w pewnej mierze tak było, Andrzej wiedział, że jego ojciec się
myli i że nie byłby w stanie wyobrazić sobie, iż jego syn już jest jednym
z naprawdę wybranych: wtajemniczonym bratem prastarego i tajemnego
Zakonu, którego istnienia Henryk, jako osoba postronna, nie mógł się
nawet domyślać.
Andrzejowi z początku trudno się było z tym pogodzić. Sytuację
łagodziła jedynie świadomość, że tego samego doświadczył każdy wta-
jemniczony prastarego bractwa, do którego został wprowadzony, lub
“wyniesiony" - tak jego bracia nazywali inicjację - w wieku osiemnastu
lat, nawet zanim książę Ryszard pasował go na rycerza.
Bractwo prowadziło swoje sprawy za zasłoną nienaruszalnej tajem-
nicy i miało prosty cel: chronić oraz badać niewyobrażalnie cenny
sekret, jedyną przyczynę jego istnienia. Jako wtajemniczony - od mo-

mentu wyniesienia do osiągnięcia rangi pełnoprawnego brata - Andrzej był coraz bardziej zafascynowany wszystkim, co się wiązało z tą tajemnicą.

Z górą tysiąc lat, od końca pierwszego wieku ery chrześcijańskiej, organizacja ta - bractwo — znana była kolejnym pokoleniom wta-

jemniczonych jako Zakon Odrodzenia w Syjonie. Przez cały ten czas jego członkowie badali ogromny zbiór wiedzy leżącej u podstaw jego założenia, podczas gdy nikomu spoza ich szeregów nawet nie śniło się o istnieniu organizacji. Sekret, którego strzegli tak zazdrośnie i żarliwie, był tak stary, tak obcy ich zwykłemu światu, że wręcz trudno było w niego uwierzyć, być może teraz nawet jeszcze trudniej. Andrzejowi na pewno nie było łatwo, kiedy po raz pierwszy się o nim dowiedział, a teraz bez zastrzeżeń wierzył w to, że od niepamiętnych czasów tajemnica ta wywiera taki sam wpływ na życie każdego z jego braci, ponieważ jest tak nieziemska. Jej sedno było niewyobrażalne, a świadomość samego jego istnienia wzbudzała mdłości, głęboką bo-jaźń oraz przerażenie na myśl o wiecznym potępieniu, nieodwracalnej zgubie nieśmiertelnej duszy i utracie nadziei na zbawienie po śmierci czy przed nią.

Wtajemniczeni żywiołowo kwestionowali więc tajemnicę i podważali jej wiarygodność na wszystkie sposoby — każdą odrobiną logiki, intelektu oraz instynktownego przerażenia i wstrętu - kiedy tylko uraz związany z poznaniem jej zaczynał ustępować. Każdy wtajemniczony, który walczył z sekretem, w końcu uświadamiał sobie, że absolutnie każdy z

jego braci w ciągu ostatniego tysiąca lat przebył tę samą odyseję i pod jej koniec trafił do portu, spokojny w obliczu bezmiaru tego, co, jak się nauczył, było absolutną prawdą. Całe więc bractwo postanowiło poświęcić resztę życia na udowadnianie tej prawdy - poprzez udowadnianie prawdy leżącej u podstaw tajemnej wiedzy Zakonu.
W 1127 roku Zakon zmienił nazwę, usuwając z niej słowo “Od-rodzenie" i nazywając się po prostu Zakonem Syjonu. Jedynie sami bracia wiedzieli o tej zmianie i uśmiechali się z dumą na myśl o niej, ponieważ po tysiącu lat odrodzenie zostało osiągnięte, kiedy - pod dowództwem Hugona de Payns — mała grupa dziewięciu rycerzy z regionu Langwedocji, członków Zakonu, kopała pod fundamentami Wzgórza Świątynnego w Jerozolimie i po skrupulatnych, tajemnych, trwających osiem lat poszukiwaniach znalazła właśnie to, co według tajemnej wiedzy Zakonu miało znajdować się dokładnie w tym miejscu.
Myśląc o tym wszystkim, Andrzej ułożył tego wieczora głowę do snu, po raz pierwszy w życiu czując się obco w domu własnego ojca.

140

Następnego ranka obaj stali na podwórcu ćwiczebnym leżącym po-między zamkiem a jego zewnętrznymi murami, czekając na wschód słońca. Żaden z nich nie był zachwycony, że tu jest, ani nie spieszyło mu się, aby zareagować na obecność drugiego. Henryk stał w tyle z ciężką arbaletą w ramionach, a Andrzej, stojący bliżej przedniej części muru otaczającego podwórzec, pochylił się - z ramienia zwisał mu kołczan ciężkich bełtów do kuszy— i uważnie obejrzał stary, zniszczony bal z

dębiny, którego używano do ćwiczenia szermierki.

- To na razie wystarczy - powiedział, wracając zamaszystym krokiem do ojca. - Będę strzelał stamtąd, z drugiej strony. Światło niedługo będzie wystarczające na nasze potrzeby. - Zaprowadził Henryka na odległość pięćdziesięciu kroków od pala, wziął od ojca ciężką broń i zaczął ją ładować. Henryk widział, jak pewnie jego syn się nią posługuje: wcisnął przednią jej część w ziemię, włożył stopę w strzemię znajdujące się na końcu, pochylił się, oparł kolbę o brzuch i obiema rękami nakręcił parę kół zapadkowych, które napięły cięciwę z ciasno zaplecionej skóry, przeciwstawiając się oporowi stalowego łuczyska, aż zahaczyła się o karbowany czubek spustu, wystający z łoża kuszy. Znajdował się on na końcu wyżłobionej bruzdy, w której miał spocząć upierzony bełt. Była to ciężka robota i Henryk podziwiał, z jaką łatwością i mistrzowską wprawą młodzieniec wykonywał zadanie.

- To najtrudniejsza część - powiedział Andrzej, prostując się i ocierając wierzchem dłoni strużkę potu z brwi. - Teraz po prostu ładujemy bełt i patrzymy, co zrobi.

- Czy to to samo urządzenie, o którym mówiłeś, że wystrzeli pocisk na odległość pięciuset kroków?

- Tak. Dlaczego pytasz?

- Ponieważ stąd do pala, do którego celujesz, jest mniej niż pięćdziesiąt. Co chcesz osiągnąć, aby zrobić na mnie wrażenie?

- Po prostu patrz. Podaj mi jeden z tych bełtów.

Henryk wyciągnął bełt z leżącego na ziemi kołczana i wyprosto-

wawszy się powoli, z uniesioną brwią podał pocisk synowi, który wziął go i ułożył we właściwej pozycji.

- Tak - powiedział Andrzej. - Cięższy, niż się spodziewałeś, prawda? I tak powinno być. To lita stal. A teraz patrz.

Uniósł broń do ramienia, szybko wycelował, zamykając jedno oko, i nacisnął dźwignię obsługującą spust. Rozległ się głośny, ostry trzask

i Henryk zobaczył, jak przód broni wyskakuje wysoko w powietrze. Wyszczerzył zęby, odwzajemniając spojrzenie syna.

- Co za pech. Siła tego odrzutu na pewno zniweczyła twój cel, prawda?

- Nie, ojcze. - Andrzej zdecydowanie potrząsnął głową. - W grę wchodzi zbyt duża siła. Bełt opus'cił łoże na długo, zanim czubek kuszy zaczął się podnosić. Spójrz. - Wskazał na pal, lecz choć Henryk wytężał wzrok, nie potrafił dostrzec ani śladu bełtu.

- Chybiłeś - powiedział.

- Nie, panie. Przyjrzyj się dobrze.

Henryk podszedł do pala i stanął, nie wierząc własnym oczom. Stalowy bełt, prawie czterdziestocentymetrowy i gruby jak jego palec, niemal całkowicie wbił się w pal, aż w podniszczonym drewnie pojawiła się pionowa szczelina. Widać było jedynie lotki bełtu, wystające poza pal na dobre kilka centymetrów. Henryk wyciągnął dłoń, aby dotknąć ich, po czym odwrócił się do syna.

- Ten pal to lity dąb.

Andrzej kiwnął głową z uśmiechem.

- Wiem, ojcze. Lity, wiekowy, zasuszony i zbyt zniszczony teraz, aby móc znieść więcej krzywd. Być może pamiętasz, że jakieś dwanaście lat temu pomogłem wybrać go i ustawić tutaj.

- Ile takich maszyn ma Ryszard?

- Nawet w przybliżeniu nie tyle, ile trzeba. W tym sęk. Ma bardzo niewiele prawdziwych arbalet... to znaczy tego rodzaju, ze stalowym łuczyskiem. Poza włościami Ryszarda w Anglii i Akwitanii nie ma ani jednej. Pamiętaj, że nikt nie używał tej broni od pięćdziesięciu lat, więc nawet sztuka jej wyrabiania nie jest znana wielu płatnerzom. Człowiek, który zrobił tę, której używam, jest kowalem o niewiarygodnych zdolnościach. Robi je bardzo dobrze, lecz wygląda na to, że jedynie on to potrafi. Nie może wyrabiać ich w wielkich ilościach ani szybko. Tylko on zna sekret sprawiania, że metalowe łuczyska stają się miękkie. Uczy teraz czeladników, lecz to trwa. - Przerwał na chwilę, myśląc. - Łatwiej zdobyć zwykłe kusze, z łuczyskami z drewna, rogu i ścięgien, lecz nawet one są teraz rzadkie i cenne, każda z nich jest warta tyle, ile waży w srebrze, a może nawet w złocie. No i oczywiście angielscy rycerze Ryszarda mają cisowe łuki angielskie, a ich zbrojmi-strze wyrabiają je tak jak zawsze.

Henryk skinął głową, przyjmując słowa syna bez sprzeciwu. Pięćdziesiąt lat wcześniej papież Innocenty II, używając władzy, jaką dawała mu jego godność, zakazał broni miotającej - łuków i kusz. Zakaz ten,

choć wprowadzony przez papieża, odniósł zaskakujący sukces: co niewiarygodne, przestrzegali go niemal wszyscy w świecie chrześcijańskim. Nieuchronnym i, jak się teraz okazywało, nieszczęśliwym skutkiem tego sukcesu było to, że wytwórcy łuków i strzał wszędzie - poza Anglią i Akwitania - pozbawieni klientów, zajęli się innymi rzemiosłami, a broń miotająca wyszła z użycia. Nieczęsto ją teraz widywano, a egzemplarze, które przetrwały, były przestarzałe i zużyte, ledwie zdolne zabić zająca czy sarnę.

Oficjalne wyjaśnienie papieskiego zakazu było takie, że sam Bóg uważa tę broń za ohydną i niechrześcijańską. Od tej chwili używanie ich przeciwko chrześcijańskim wojownikom było zabronione, a ponadto groziło karą ekskomuniki oraz wiecznym potępieniem. Lecz rzeczywista przyczyna zarówno samej propozycji, jak i zgody wyrażonej w odpowiedzi na nią przez stan rycerski była taka, że rosnąca moc tych rodzajów broni pozwalała niewyszkolonemu, obdartemu zbrojnemu, a nawet chłopu pańszczyźnianemu zastrzelić w pełni uzbrojonego, świetnie wyszkolonego rycerza z odległości tak dużej, aby zabójca czuł się bezkarny.

Kiedy wydano zakaz, wśród monarchów świata chrześcijańskiego tylko młody Henryk Plantagenet, wtedy hrabia Andegawenii, lecz w przyszłości król Anglii Henryk II, był na tyle przenikliwy i zuchwale buntowniczy, aby ignorować papieski dekret, i wciąż używał tej broni w swoich włościach — choć rzekomo do polowań i nauki. Wiedział, że to najpotężniejsze i najbardziej śmiercionośne machiny do zabijania, jakie

kiedykolwiek wymyślono, aby pojedynczy ludzie mogli bezosobowo zadawać śmierć z dużej odległości. Nie dał sobie odebrać korzyści, które oferowały mu jako wojownikowi i dowódcy armii. Później, za przykładem ojca, jego trzeci syn, Ryszard hrabia Poitou, a potem książę Akwitanii, przejawiał dla nich jeszcze większy entuzjazm.

Ta właśnie niewyjaśniona anomalia w jego zachowaniu - Ryszard rzadko naśladował lub pochwalał czyny swojego ojca - sprawiła, że Henryk zapytał teraz syna:

- Dlaczego więc, skoro ma ich tak niewiele, uczynił cię odpowie-

dzialnym za ćwiczenie ludzi mających uczyć innych obsługi tej broni? Wygląda mi to na marnotrawstwo.

- Nie jest tak, panie. Ciągle wytwarzamy kolejne. Nie w oszała-miającym tempie, to prawda, lecz będziemy potrzebowali wyszkolo-nych ludzi do ich obsługi. Lecz samo wyobrażenie o tej broni, jej możliwość szerzenia podziwu i strachu, ekscytuje Ryszarda. Jego ludzie jako jedyni w całej frankońskiej armii będą posiadać arbalety, a to da mu przewagę nad wszystkimi jego sprzymierzeńcami.

- Poczekaj! Pomyśl o tym, co mówisz, chłopcze. Czy naprawdę wierzysz, że Niemiec, Rudobrody, nie będzie miał tego oręża?

- Barbarossa? - Andrzej wzruszył ramionami. — Być może... Teraz, kiedy o tym myślę, sądzę, że zapewne tak, ponieważ lekceważy dekret papieża tak samo jak Ryszard. Lecz to jedynie dowodzi, że Ryszard ma rację. Czy możesz sobie wyobrazić, jak wielką przewagę mieliby

Niemcy, jak traktowaliby nas z góry, gdyby książę nie miał tego oręża?

- Hmm. — Wyraźny brak zainteresowania w pomruku Henryka wskazywał, że myśli już o czymś zupełnie innym. — Tak więc, poza tym, skoro Barbarossę tak łatwo zlekceważyć, czy chcesz mi powiedzieć, że Ryszard jest jedynie zainteresowany pozorną przewagą nad jego własnymi sprzymierzeńcami tutaj?

-Wybacz mi, panie, lecz co oznacza: tutaj? Chyba nie zrozumiałem twego pytania.

- Tutaj znaczy tutaj - warknął jego ojciec - w świecie chrześcijańskim. Oto moje pytanie: *co* Ryszard ma na myśli, używając *tej* broni w Zamorzu... jeśli ma cokolwiek na myśli?

- No cóż... -Andrzej był wyraźnie zdumiony. — Będzie używał jej, z całą pewnością...

Henryk przerwał mu, powstrzymując nagłe, wściekłe zniecierpliwienie. Jego głos był napięty.

- Mam nadzieję, że będzie, ponieważ nie wolno używać ich jedynie w walce z chrześcijanami. Wrogowie, z którymi będziemy walczyć w Zamorzu, z całą pewnością nie są chrześcijanami i wiem z kilku źródeł, iż oni sami używali właśnie takiej broni... a na pewno łuków... do nękania i niszczenia poprzedniej frankońskiej i chrześcijańskiej armii, jaką wystawiliśmy do walki z nimi. Modlę się, aby twój książę to miał na myśli. Jeśli nie... zadbam, aby uświadomił *w* sobie.

Kilka dni później Andrzej wyjechał, aby dołączyć do sir Roberta de

Sabie, obiecując, że wróci pod koniec miesiąca. Kolejne trzy tygodnie minęły szybko. Porankiem ostatniego dnia miesiąca Henryk -w hełmie i pełnej kolczudze wraz z nogawicami oraz tarczą — udał się na objazd swoich ziem, czerpiąc niekłamaną przyjemność z pozorów młodości, które odzyskał dzięki kilku miesiącom ciężkiej, pełnej determinacji pracy. Nie musiał już się w sobie zbierać przed bólem związanym z treningiem - czy na placu musztry, czy poza nim. Tego konkretnego dnia niósł lancę do pojedynków w prawej ręce i prostą, niezdobioną tarczę w lewej. U pasa, luźno zaciśniętego dookoła zwykłej, czarnej, sięgającej kolan opończy, wisiał jego miecz. Na wierzch Saint Clair zarzucił wojskowy płaszcz z rodzinnym herbem na plecach i lewej piersi.
Tego ranka przejechał wzdłuż całego, liczącego ponad piętnaście mil obwodu swoich włości. Kiedy spinał ostrogami rumaka w drodze na ostatnie wzgórze, z którego widziałby już swój dom i główną drogę, był pełen radości, ponieważ siedział już w siodle od ośmiu godzin i czuł się tak, jakby kolejne osiem nie sprawiło mu żadnych problemów. Czuł się świetnie i najbardziej beztrosko od wielu lat i z przyjemnością wyczekiwał przyjazdu Andrzeja, który spędził te kilka tygodni w Angouleme, wypełniając tam jakieś zadanie powierzone mu przez rycerza de Sabie. Henryk spodziewał się syna tego samego dnia.
Ściągnął lejce w miejscu, gdzie ziemia znów zaczynała opadać po drugiej stronie. Pół mili dalej po lewej - na skalistym pagórku porośniętym ogromnymi bukami, które kryły okalającą całość rzekę - leżała jego rodzinna warownia. Jej wysoki, kwadratowy, stuletni donżon

wystawał z nagiego grzbietu skalnego; opasywały ją wysokie, grube mury zwieńczone blankami, wewnątrz których jego wasale mogli znaleźć solidne schronienie w razie niebezpieczeństwa. Głęboki wąwóz rzeki przecinał most zwodzony, który można było podnieść, aby zabezpieczyć donżon przed atakiem, choć obecność wielkich buków świadczyła, że nikt nie przypuścił na to miejsce groźnego ataku od chwili, kiedy je posadzono - niemal wiek wcześniej. Ubita, szeroka droga prowadziła od bram zamku do odległej o milę głównej drogi, która stanowiła wschodnią granicę jego ziem. Zerknął leniwie w stronę punktu, gdzie droga z północy przecinała odległy grzbiet, po czym

wstał w strzemionach, ujrzawszy oznaki ruchu - narastającego ruchu - tam, gdzie się tego nie spodziewał.

Trzej konni - w tym dwóch rycerzy, których można było poznać po tarczach i ozdobionych piórami hełmach - przekroczyli już szczyt grzbietu i zjeżdżali ze wzgórza, podążając w jego kierunku. Za rycerzami trzeci człowiek, ubrany mniej bogato, najwyraźniej dowódca, jechał na czele silnego oddziału mężczyzn maszerujących szóstkami, który dopiero wyłaniał się zza wzgórza, a jego szeregi znikały za szczytem. Henryk wiedział, że nie mogli go jeszcze zauważyć, ponieważ stał wysoko na zboczu, więc nie ruszał się z miejsca i przyglądał się ich nadejściu. Dziesiąty, ostatni szereg oddziału zbrojnych pokonał szczyt - w grotach ich pik odbijało się słońce - a zaraz za nimi ukazała się wysoka buda powozu zbliżającego się do najwyższego punktu drogi. Za nim

jechał kolejny, a potem trzeci; po obu stronach każdego powozu jechała konno para rycerzy, obnoszących się z barwami swoich rodów jak pawie. Trzy kolejne pojazdy, ciężkie, zaprzęgnięte w muły wozy o płaskich dnach, załadowane były po brzegi przykrytym i przywiązanym ładunkiem, a pochód zamykała druga formacja piechoty, tak samo liczna jak pierwsza, wraz z kolejną parą rycerzy i dowodzącym. Kiedy ostatni ludzie wyłonili się zza wzgórza, ich dowódcy byli już prawie pół mili dalej.

Henryk był zaintrygowany, lecz nie zaniepokojony, ponieważ mimo swojej siły cały ten orszak ewidentnie nie był nastawiony wojowniczo. Wielka droga, którą podążali, została zbudowana setki lat wcześniej przez Rzymian. Biegła prosto na południowy zachód w kierunku Marsylii i, prawie jak kamienna rzeka, zbierała dopływy prowadzące z wszystkich miast na północy Francji, z Bretanii i Normandii, Artois i samego Paryża, siedziby króla Filipa Augusta. Jasne było, że podróżnicy ci są bogaci i wpływowi, wnioskując z liczby pojazdów oraz wielkości ich eskorty, i Henryk się zastanawiał, kto może potrzebować stu dwudziestu zbrojnych wraz z dowódcami oraz aż dziesięciu rycerzy w pełnej zbroi. Najpierw przyszło mu do głowy, że to wysoko postawiony dostojnik kościelny wraz ze świtą - może kardynał lub arcybiskup - lub, być może, żona potężnego barona lub księcia i jej domownicy.

Delikatnie spiął konia ostrogami i skierował go w dół wzgórza, aż znalazł się w zasięgu głosu od kawalkady, po czym ściągnął lejce

na skraju zagajnika, w odległości dwudziestu kroków od drogi, i się ukrył. Był we własnych włościach i w pełnej zbroi, nie bał się więc pokazać, lecz dziwił się, że nie dostrzeżono go wcześniej, co oznaczało, że straż przednia nie jest zbyt czujna. Gdyby pojawił się nagle, mogłoby to sprowokować przesadną reakcję spowodowaną poczuciem winy i zaskoczeniem.

Chwilę później jego oczom ukazał się pierwszy z dwóch przewodzących rycerzy, wspaniale prezentujący się na koniu z ozdobnym, czarno-żółtym rzędem. Henryk wyprostował się ze zdumienia i uśmiechnął się. Nie widział tego człowieka od lat, lecz szkolił go jako młodzieńca i piętnaście lat wcześniej awansował go na przybocznego.

- Sir Franciszku! - krzyknął na cały głos. - Co zrobiłbyś teraz, gdyby to był oddział łuczników, a nie zaledwie jeden, przyglądający się starzec?

Efekt, jaki odniósł jego krzyk, był pożyteczny, ponieważ ludzie maszerujący za dwoma rycerzami natychmiast się zatrzymali, a na rozkaz jadącego konno dowódcy pierwsze cztery szeregi rozproszyły się wzdłuż drogi. Dwunastu uklękło, mierząc w kierunku, z którego dobiegł głos Henryka, z błyskawicznie naładowanych kusz, a kolejnych dwunastu, stojących za nimi, celowało nad ich głowami. Prowadzący rycerz, którego zawołał Henryk, musiał właśnie zasypiać, ponieważ pociągnął ostro lejce, na co jego koń stanął dęba i okręcił się wokół własnej osi, a kiedy przednie kopyta zwierzęcia znów dotknęły ziemi, rycerz trzymał w dłoni obnażony miecz. Jego towarzysz również się

obrócił i siedział teraz na koniu z opuszczoną do ataku włócznią.

- Kto idzie? Pokaż się!

- Z przyjemnością, Franciszku, jeśli powiesz swoim ludziom, żeby nie zamordowali mnie, kiedy się tylko pokażę.

Rycerz nazywany Franciszkiem zmarszczył brwi, lecz uniósł miecz i zatrzymał swoich ludzi gestem, każąc im czekać, po czym znów zawołał, aby Henryk wyszedł z ukrycia. Saint Clair powoli ruszył do przodu, z przyjemnością obserwując zaskoczenie na twarzy Franciszka de Neuville'a, kiedy rycerz go rozpoznał.

- Sir Henryk? Sir Henryk Saint Clair? Czy to ty?

- Oczywiście. Czy sądziłeś, że jestem widmem? W biały dzień?

Obaj ześlizgnęli się z siodeł i objęli na środku drogi.

- Na wszystkich świętych w niebiosach, dobrze cię widzieć, Hen-

ryku. Ileż to się nie widzieliśmy, dziesięć lat? Co robisz na tym odludziu?

- Dwanaście lat, Franciszku, i objeżdżam moje włości. Mieszkam tutaj. Mój zamek jest niedaleko, za tym wzgórzem. — Machnął ręką w tamtym kierunku, po czym wskazał nieruchomą procesję rozciągającą się w kierunku szczytu wzgórza. - A co ty ostatnio porabiasz, eskortujesz duchownych?

- Duchownych? — Sir Franciszek znów wyglądał na zmieszanego. - Dlaczego tak myślisz? Nie ma tu żadnych duchownych. - Rzucił okiem na towarzyszącego mu rycerza. - Williamie, mówiłem ci o sir Henryku

Saint Clairze, marszałku polnym Akwitanii w czasach mojego chłopięctwa? Oto i on. — Henryk i sir William skinęli sobie głowami, a Franciszek mówił dalej. - Mieszkasz więc niedaleko? Nie wiem, czemu myślałem, że raczej gdzieś na północy, w stronę Bur-gundii.

Przerwał im tętent kopyt, kiedy ze szczytu zbocza zjechali trzej mężczyźni, aby sprawdzić, co spowodowało opóźnienie. Jeden z nich, ciemnobrewy olbrzym dosiadający ogromnego konia, spojrzał wilkiem na Henryka, po czym wyładował swoją złość na Franciszku de Neuville, pytając opryskliwym, nieuprzejmym tonem, dlaczego cała kolumna stoi nieruchomo.

Rycerz spojrzał na pytającego i Henrykowi wydało się, że mimo pełnej zbroi odpowiedział charakterystycznym galijskim wzruszeniem ramion.

- Zatrzymałem się, aby porozmawiać ze starym przyjacielem - powiedział. - Prowadź ich dalej, jeśli chcesz. Odsuniemy się i dogonię was, kiedy będę gotów.

- Powinieneś tak zrobić, nie czekając na rozkaz.

- A skąd miałbyś wiedzieć, Mandeville? Wątpię, byś miał w życiu przyjaciela, dla którego mógłbyś się zatrzymać. — Rycerz podszedł do swojego konia, chwycił lejce i przywołał Saint Claira ruchem głowy. - Chodź, Henryku, możemy porozmawiać tutaj, kiedy oni będą przechodzić.

- Kim jest ten człowiek? - Henryk odezwał się pierwszy, odprowadzając wzrokiem odjeżdżającego olbrzyma.

- Mandeville. Sir Humphrey Mandeville. Pajac. Jest Normanem i jak większość z nich, gburem. Jest ciemny i brakuje mu podstaw

uprzejmości. Urodził się w Anglii, oczywiście. Przyjechał tu niecałe trzy miesiące temu, a uważa się za zwierzchnika nas wszystkich.

- Jest twoim zwierzchnikiem?

Sir Franciszek zaśmiał się krótko.

- Pod żadnym względem, choć jestem pewien, że marzy o tym. Lecz co z tobą, zakopanym tutaj na odludziu? Jak długo tu jesteś? Dobrze wyglądasz.

- Teraz tak. Kwitnę, Franciszku. Kto jest w powozach?

Rycerz uśmiechnął się. Nie musiał odpowiadać, ponieważ pierwszy powóz zrównał się z nimi, kiedy rozmawiali, a teraz odsunięto jego skórzane zasłony i z wnętrza rozległ się władczy głos, wznoszący się ponad stukot kopyt i turkot żelaznych kół.

- Henryk? Henryku Saint Clair, czy to ty?

- Wielki Boże w niebiosach! - Słowa padły, zanim Henryk mógł je powstrzymać, lecz przeszły niezauważone, ponieważ zjawa siedząca w powozie już wychylała się z okna, krzycząc do woźnicy, aby się zatrzymał, więc kawalkada znów stanęła.

- A więc, panie? Nie powitasz mnie? Czy oniemiałeś?

- Pani... Wybacz mi, pani. Byłem zmieszany. Twój widok oślepił mnie... Nie miałem pojęcia... Myślałem, że jesteś w Anglii.

- Ha! Chciałeś powiedzieć: w więzieniu. No cóż, przez lata tak było.

Lecz teraz jestem tutaj, w domu. No już, złóż mi hołd, jak należy, i jedź ze mną. Wy dwie, wynocha. Znajdźcie miejsca w innych powozach. De Neuville, weź konia Henryka. Ty, panie, chodź tutaj, złóż mi wyrazy szacunku, jak przystało na prawdziwego rycerza w obliczu jego pani, a potem powiedz mi, co robiłeś przez te wszystkie lata, kiedy się nie widzieliśmy.

Kiedy dwie posłuszne służki wypadły pospiesznie z powozu, Henryk Saint Clair podszedł wciąż onieśmielony, nagłym spotkaniem twarzą w twarz z kobietą, która kiedyś była największą potęgą w świecie chrześcijańskim: Eleonorą, księżną Akwitanii, byłą królową Francji, a potem Anglii. Posłusznie wspiął się do powozu i usiadł, w milczeniu przyglądając się siedzącej naprzeciw niego kobiecie, jak zawsze pełen podziwu dla jej szczerości i bezkompromisowej otwartości, jaką zawsze wnosiła do rozmowy.

- O, proszę - powiedziała, kiedy już siedział. - Tak jest o wie
le lepiej. Henryku, mamy wiele do omówienia i chcę, żebyś wysilił

całą swą inteligencję... Jeśli już o tym mowa, wyglądasz niezwykle korzystnie, jak na starego człowieka. Wtedy byłeś podobny do mojego Henryka. Dzisiaj wyglądasz niemal tak samo. Śmiem twierdzić, że to wpływ zdrowego trybu życia, ponieważ wątpię, żebyś zmienił nawyki. Pamiętam, że jako młody człowiek byłeś nadzwyczaj apetyczny, choć sztywny, nieustępliwy i wyjątkowo staromodny w poglądach na wier-
ność. Właśnie, jak się miewa Amanda? Saint Clair w końcu odzyskał

mowę.

- Zmarła, pani, prawie dwa lata temu.

- Ach, widzę to w twojej twarzy. Wciąż za nią tęsknisz.

- Tak, pani. Czasami tęsknota jest nieznośna, lecz ostatnio słabsza niż wcześniej.

- Wiem. Henryka dopiero co złożono w grobie, a jednak i ja opłakuję jego śmierć, i to z wielkim bólem, choć tak długo nienawidziłam go. Ten stary knur trzymał mnie pod kluczem w wieży przez szesnaście lat, czy potrafisz w to uwierzyć? - Jej prychnięcie przypominało nieco śmiech. — Och, nazywają to zamkiem, i miejsce to jest dość wystawnie urządzone, aby uznać je za luksusowe, lecz więzienie to więzienie. - Zawahała się, a potem uśmiechnęła szeroko. - Jednak prawdę mówiąc, nie pozostawiłam mu wyboru. Naprawdę będzie mi go brakowało. Bez niego nie będę miała na kogo pomstować.

- A zatem naprawdę nie żyje, pani? Słyszeliśmy sprzeczne pogłoski, nie wiedzieliśmy, w co wierzyć.

- Och, tak, nie żyje. Zmarł w Chinon, szóstego lipca, i niektórzy twierdzą, że Ryszard zamęczył go na śmierć. To wierutna bzdura. Ryszard nie jest aniołem i zawsze panowała między nimi niezgoda, ale mój syn... królobójcą i ojcobójcą? To po prostu niemożliwe. Wierz mi jako jego matce.

- Wierzę, pani.

- Nie wątpiłam w to. Na Boga, Henryku, dobrze widzieć twoją szczerą twarz. Marszczysz brwi. Dlaczego? Mów. Przedtem zawsze tak

robiłeś, nie dbając o to, co sobie pomyślę.

Ośmielony Saint Clair potrząsnął głową.

- Myślę o moich ludziach, pani, tylko tyle. Wyjechałem na objazd przed świtem, więc będą się martwić, jeśli nie wrócę. Przyszło mi do głowy, że powinienem wysłać im wieści, zawiadomić, gdzie jestem. Czy mogę zapytać, jak daleko jedziemy?

- Niedaleko, lecz jak zwykle masz rację. Wyjrzyj przez okno i za wołaj de Neuville'a.

Saint Clair, nie tracąc czasu, odciągnął skórzane zasłony i wychylił się. De Neuville podążał za powozem i podjechał bliżej kłusem, kiedy Henryk spojrzał na niego. Przyglądająca się Eleonora pochyliła się do przodu.

- Franciszku, jak daleko jeszcze?

- Mniej niż dziesięć mil, pani. Straż przednia powinna być już na miejscu i rozbijać obóz.

- Zawiadom ludzi Henryka, że coś go zatrzymało, lecz wkrótce wróci. Możesz powołać się na mnie. — Kiedy rycerz zasalutował i zawrócił konia, Eleonora rozsiadła się wygodnie. - Uspokoiło cię to?

- Tak, pani... Dziękuję. Lecz gdybym wiedział, że będziesz w tych stronach, mogłabyś się zatrzymać w moich włościach.

Uśmiechnęła się figlarnie.

-1 doprowadzić cię do bankructwa? Bądź wdzięczny, że nic nie wiedziałeś, stary przyjacielu. Moja świta liczy ponad dwieście osób.

Miałbyś z tego same kłopoty... Choć szczerze mówiąc, gdybym pamiętała, gdzie mieszkasz, wykorzystałabym cię bezwstydnie. Królowe i monarchowie robią to cały czas. - Przerwała, patrząc na niego oczami nie mniej wspaniałymi niż, jak pamiętał, niemal trzydzieści lat wcześniej. — Cóż, powiedziałam ci, jak dobrze wyglądasz, teraz twoja kolej. Jak, według ciebie, obszedł się ze mną mój podeszły wiek? Uważaj.

Okazało się, że zaskakująco łatwo było Henrykowi uśmiechnąć się do tej kobiety, która dziesiątki lat wcześniej wychowała na swoim imponującym, akwitańskim dworze trubadurów rojących się teraz w całym kraju. Śpiewali oni pieśni o dworskiej miłości i krzewili jej osobiste przekonania o obowiązkach szlachetnych mężczyzn oraz dominacji kobiet, związanej z uczeniem ich owych obowiązków.

- Zanim cię dziś ujrzałem, pani, nie uwierzyłbym, iż możliwe jest, abyś mogła być piękniejsza niż wtedy, kiedy cię poznałem... Lecz jesteś.

Spojrzała na niego surowo i pociągnęła nosem.

- Rozczarowujesz mnie, Henryku. Jestem starą kobietą i to najbardziej prostackie pochlebstwa. Henryk Saint Clair, jakiego znałam, nie zniżyłby się do pochlebstw.

-Ten, którego znasz dzisiaj, też nie. Mówię szczerą prawdę.

- Mówisz ją zatem po raz pierwszy. Nigdy nie miałam pojęcia, że uważasz mnie za piękną.

Henryk uśmiechnął się szerzej.

- No cóż, twój mąż, Henryk, jak pamiętasz, był niezwykle zazdrosny. Gdyby podejrzewał, że patrzę na ciebie w jakikolwiek inny sposób niż jak na moją panią lenną, podałby mi moje własne jądra zaszyte w ich worku.

- Ha! — Śmiech Eleonory był zaskakujący, gromki i pełen rubasznej radości. - Musiałby rywalizować z twoją Amandą. Każdemu z nich przypadłoby jedno jądro.

-Tak, to prawda... - Jego śmiech zamilkł. - Lecz to było dawno temu, kiedy świat był młody...

- Ile masz teraz lat, Henryku?

- W przyszłym roku będę miał pięćdziesiąt, pani.

- Ależ, człowieku, dziecko z ciebie. Ja mam sześćdziesiąt i siedem, a mój Henryk zmarł w wieku pięćdziesięciu sześciu. - Po chwili dodała: — Ryszard ma być koronowany, wiedziałeś o tym?

-Tak, pani, wiem. Widziałem się z nim niedawno. Odwiedził mnie w drodze do Paryża, ledwie dwa miesiące temu.

- Naprawdę? - Twarz Eleonory przybrała zacięty wyraz. - A niby dlaczego?

Henryk wzruszył lekko ramionami z twarzą pozbawioną wyrazu.

- Powiedział, że mnie potrzebuje. Mam popłynąć z nim do Zamo-rza jako jego marszałek polny.

- Marszałek... - Pohamowała się. - No cóż, mimo swoich wad nie jest bezmyślny. Nierozważny, to pewne, lecz nie bezmyślny. - Wlepiła w

niego wzrok nie mniej hipnotyzujący niż dziesiątki lat wcześniej, kiedy potrafiła oczarować nawet papieża. - A ty, jak głupiec, masz zamiar jechać. Widzę to. Jedziesz z nim. Dlaczego, na wszystko, co rozsądne? Ziemia Święta to miejsce tylko dla młodych mężczyzn, Henryku... męskich, muskularnych głupców pełnych dzikiej pasji właściwej młodości i niewyczerpanego pragnienia odwagi i chwały... głupców oraz zagubionych dusz. Nie ma tam życia dla kobiet, a tym bardziej dla starszych ludzi, którzy nie mają berła ani mitry. Wierz mi, byłam tam i widziałam to na własne oczy. Dlaczego, na Boga, nawet zastanawiasz się nad tak szaleńczym czynem w twoim wieku?

- Nie mam wyboru, pani. To mój obowiązek, do którego wypełnienia wezwał mnie twój syn.

- Bzdury, Henryku. Na miłość boską, człowieku, przez całe życie nie dawałeś nam nic poza najświetniejszą służbą... mnie, Henrykowi i samemu Ryszardowi. Dość. Zasłużyłeś na to, aby umrzeć w domu, w swoim łożu. Mogłeś odmówić, zachowując honor. Nawet Ryszard nie byłby tak... - Przerwała nagle, mrużąc swoje ogromne oczy. - Nie, chodzi o coś więcej. Mój syn manipulował tobą w jakiś sposób. Zmusił cię. To jego sposób działania... Lecz jakiego użył środka nacisku? W jaki sposób wpłynął na ciebie, że doprowadził cię do tego? Powiedz mi. Był to stanowczy rozkaz, którego nie dało się obejść. Henryk westchnął i odwrócił wzrok, przyglądając się widocznemu między zasłonami, przesuwającemu się powoli krajobrazowi. Patrzył, jak pył kładzie

się grubą, ciężką warstwą na trybuli rosnącej wzdłuż drogi.

- Mam syna, pani.

-Wiem. Pamiętam go jako dziecko. Nazywa się... Andrzej, prawda?

Znów spojrzał jej w oczy, po raz kolejny podziwiając jej zdolność zapamiętywania takich szczegółów.

-Tak, pani, Andrzej.

-To już dorosły mężczyzna... i może być bronią przeciwko tobie. Czyż nie tak? Mów.

Opowiedział jej całą historię, włącznie z interwencją Ryszarda i sposobem, w jaki rozwiązał sytuację. Podczas tej godziny Eleonora siedziała w milczeniu, cały czas patrząc mu w oczy, chłonąc każdy niuans oraz modulację jego głosu. Kiedy w końcu umilkł, kiwnęła głową i zacisnęła wąskie usta. Mina ta podkreśliła jej zapadnięte policzki oraz wystające kości policzkowe, które zawsze charakteryzowały jej zadziwiającą, nadal widoczną urodę. Czekał, patrząc, jak jej oczy przybierają łagodniejszy wyraz.

-To oczywiście wyjaśnia, dlaczego wyglądasz tak wyzywająco zdrowo. Trenowałeś od tych dwóch miesięcy, aby odzyskać utraconą młodość. No cóż, przysłużyło ci się to, stary przyjacielu. Co więc stało się z tymi przeklętymi księżmi? Czy Ryszard ich powiesił?

- Osądził ich arcybiskup Tours, a ich wina została potwierdzona ponad wszelką wątpliwość, choć bez władzy i uporu twojego syna w kwestii oskarżenia ich mogło nie dojść do tego tak łatwo. Potem

Kościół wyrzekł się ich i nakazano stawić im się przed świeckim sądem księstwa Akwitanii na egzekucję.

- A tymczasem ty i twój syn związaliście się z Ryszardem nieroze rwalnymi więzami wdzięczności i wierności...

Henryk Saint Clair zauważył ironię w jej głosie.

- Tak, pani. Nawet bardziej z poczucia wdzięczności niż wierności, jeśli to możliwe.

- Hmm... - Eleonora odciągnęła zasłonę po lewej i przemówiła, patrząc na długie, ukośne cienie rzucane przez drzewa na wzgórzu.

-Powinniśmy się niedługo zatrzymać, lecz wtedy może być za późno, abyś sam wracał do domu, przyjacielu. Musisz zjeść z nami kolację i wrócić jutro rano. Tymczasem rozważ, co ci powiem, Henryku. Nigdy nie było takiej więzi, której nie można byłoby zerwać, jeśli miałoby się dość chęci i władzy. - Spojrzała znów na niego. - Rozgrzesz się z dręczącego cię poczucia winy, nawet jeśli zrodzone jest z wdzięczności. Porozmawiam o tym z Ryszardem. Nie zniosę zmuszania cię, abyś płynął do Zamorza. To bzdury. Poza tym znasz mojego syna niemal tak dobrze jak ja. Przez lata kształtowałeś jego charakter. To człowiek wielkiej pasji i entuzjazmu, i wygląda na to, że jest trudny do opano-wania i nieobliczalny dla wszystkich poza mną.

Sir Henryk rozłożył przepraszająco dłonie.

-Jestem ci wdzięczny za troskę, pani, lecz jeśli pozwolisz... nie chcę być zwolniony z tego obowiązku. O wiele bardziej wolę udać się z moim synem do Zamorza, niż pozostać tutaj i martwić się o niego. Tylko on

został mi z całej rodziny i teraz, kiedy się starzeję, życie bez niego nie ma wiele sensu. Mogę być głupcem, lecz wolę być starym głupcem blisko mego syna niż samotnym, starym odludkiem czekającym tu na śmierć bez niego.

Eleonora przyglądała mu się przez długą chwilę, po czym skinęła głową.

- Niech tak będzie, panie. Nie powiem nic więcej na ten temat. Oboje jesteśmy za starzy na kłótnie o tym, jak umrzemy. Kostucha nas znajdzie, gdziekolwiek będziemy... - Zaczęła skubać górną wargę zębami. Był to tik, o którym Henryk dawno zapomniał. - Wiesz, dla czego Ryszard był tak zdecydowany, abyś dołączył do niego, prawda?

Henryk pokręcił głową, ponieważ naprawdę nie miał pojęcia.

- No cóż, powinieneś wiedzieć. W Anglii odbywają się manewry,

których celem jest doprowadzenie do tego, aby Ryszard wcielił do swojej świty Williama Marshalla, w roli marszałka polnego, lecz Ryszard nie chce o tym słyszeć - i byłabym zaskoczona, gdyby było inaczej. Marshall to zagorzały stronnik Henryka, zajadły i lojalny do śmierci jak pies gończy. Z punktu widzenia Ryszarda Marshall zawsze będzie reprezentował jego ojca. Prawdę mówiąc, nie mam serca, aby winić za to mojego syna. - Przerwała na chwilę. - Poza tym dla Marshalla liczy się tylko i wyłącznie Anglia. Ryszard natomiast ma więcej na głowie. Anglia jest zaledwie bękartem jego imperium, na dodatek zacofanym. Na Boga, on ledwie mówi w języku, w którym warczą jej mieszkańcy. -

Znów przerwała, rozmyślając nad kolejnymi słowami. - Domyślam się, że wiesz o Adeli? — Wyczytała odpowiedź w jego twarzy i mruknęła: - No tak, oczywiście, że wiesz. Musiałbyś być ślepy i głuchy, żeby nie wiedzieć. Biorąc wszystko pod uwagę, ten rozwój wypadków był nieunikniony, a jednak współczuję tej biednej gąsce, ponieważ na nic nie miała wpływu. Wykorzystywano ją i krzywdzono przez całe życie, a ona nigdy nie miała dość siły, aby się temu sprzeciwić. Ja już dawno zabiłabym kogokolwiek, kto chciałby mi zrobić połowę tego, co uczyniono jej. Okryta hańbą wróciła do domu, do Francji, i niełatwo będzie jej znaleźć szybko innego męża... O co chodzi?

- W jakiej sprawie, pani?

- Co chodzi ci po głowie? Widzę to po twojej bezmyślnej minie, wyduś więc z siebie, co o tym myślisz.

Henryk wykonał łagodny ruch ręką.

- Jestem jedynie zaskoczony, pani. W tym, co o niej mówisz, nie słyszę nawet odrobiny nienawiści czy goryczy.

Eleonora wykrzywiła kącik ust w suchym uśmiechu. -1 nic dziwnego. Jest we mnie wiele goryczy, Henryku, możesz być tego pewien, lecz nie marnuję jej na Adelę.

- Ale... Ona ukradła ci męża.

- Ukradła? Ukradła Henryka Plantagenta? - Eleonora uśmiechnęła się szerzej, lecz nie cieplej. - Zastanów się, panie Saint Clair, i przypomnij sobie człowieka, o którym mówimy. Nie narodziła się jeszcze kobieta, która potrafiłaby ukraść Henryka Plantageneta lub nagiąć go do

swojej woli na dłużej, niż zajęło mu wychędożenie jej, włącznie ze mną. W kwestiach cielesnych Henryk był osobą, która zwykła

przyjmować. Widział, pragnął, brał. Och, przez wiele lat byłam dobrą partią, lecz kiedy tylko zaczęłam się zmieniać i starzeć, zaczął szukać gdzie indziej. A ten stary cap był lubieżny aż do samej śmierci. Nie, Adela z Kapetyngów nie ukradła mi męża. Co to, to nie. Była zaledwie jednym z wielu instrumentów służących jego wygodzie, zużywanych i odrzucanych, kiedy następny z rzędu pojawiał się i przykuwał jego uwagę. Henryk trzymał jednak Adelę bliżej niż inne, a to ze względu na Vexin. Odrzucenie jej oznaczałoby utratę jej wiana, a przynajmniej długą i zajadłą wojnę o jego utrzymanie. Koniec końców przed śmiercią i tak je stracił. Lecz Adela nie była złodziejką. Poza tym Henryk odsunął mnie, zanim po raz pierwszy wziął ją w objęcia. Wtedy już od lat siedziałam pod kluczem, ponieważ stwierdził, że jeśli będę na wolności, nie będzie pewien, czy nie zacznę podżegać moich synów do knucia przeciw niemu. Miał rację, teraz to dostrzegam. Lecz darzyć nienawiścią Adelę? Równie dobrze można nienawidzić wiatru północnego za to, że przynosi śnieg, jak winić tę dziewczynę za to, co jej się przytrafiło. Adela raczej nie mogła zostać żoną Ryszarda w sytuacji, w której cały świat wiedział, że spędziła większość swojego narzeczeństwa, śpiąc z jego ojcem. Kościół angielski otwarcie wyrażał swoje oburzenie i pod karą ekskomuniki zabronił Ryszardowi zawrzeć to małżeństwo. Tak więc mój syn nie miał wyboru. Odesłał ją do domu, do jej brata Filipa,

jak należało się spodziewać.

- Być może należało, pani, lecz jej rodzina na pewno nie przyjęła tego gestu z radością. Król Filip z pewnością wyszedł z siebie, kiedy się o tym dowiedział.

- Bzdury. Jedyna rzecz, z której Filip mógł wyjść w dniu, kiedy otrzymał tę wiadomość, było łoże, w którym leżał z kochankiem. Filip nie dba o Adelę, Henryku, od dnia jej narodzin. W jego uczuciach nie ma miejsca dla kobiet. Zależało mu jedynie na odzyskaniu Vexin i teraz, kiedy je przejął, będzie używał swojej pokrzywdzonej siostry jako broni przeciw Ryszardowi w celu uzyskania nad nim jakiejkolwiek przewagi. Ona liczy się dla niego jedynie jako narzędzie w negocjacjach.

—To... niepojęte. - Jego głos przycichł z niedowierzania przy wymawianiu ostatniego słowa.

—Wcale nie. Być może jest to nienaturalne, ale też Filipa z Kapetyngów raczej nie można nazwać wzorem doskonałości natury.

- No tak, zapewne to prawda. Lecz co z tobą, pani? Czy byłaś w Paryżu?

- Na Boga, nie! Zajmowałam się w Rouen własnymi sprawami, a teraz jadę do domu, po raz pierwszy od zbyt wielu lat. Zostanę tam przez jakiś czas, przynajmniej do koronacji Ryszarda w Anglii.

- Wybacz mi, pani, lecz czy nie pojedziesz do Anglii, aby uczestniczyć w triumfie twojego syna?

Obdarzyła go lodowatym uśmiechem.

- Absolutnie nie. Ryszard świetnie poradzi sobie sam, a ostatnie, czego potrzebuję, to uczestniczyć w tej ceremonii. Wszystko potoczy się wspaniale i w naturalny sposób, a ja tymczasem pojadę na południe, do Nawarry. - Zauważyła brak zrozumienia w jego oczach i dodała: - Do Nawarry, Henryku... Królestwa w północnej Iberii. Chcę tam znaleźć królową Anglii.

- Królową, pani?

Zaśmiała się otwarcie.

- Mój syn ma być królem Anglii i potrzebuje królowej. Anglia również. Znalazłam ją w królestwie Nawarry. Prawdę mówiąc, Ryszard sam ją znalazł trzy lata temu. Spotkał ją na dworze jej ojca i napisał mi o niej. Nazywa się Berengaria, jest córką króla Sancha Szóstego i teraz, kiedy Ryszard nie jest już zaręczony, mam zamiar zeswatać małżeństwo. Sądzę, że Sancho okaże się oddanym sprzymierzeńcem w nadchodzącej wojnie, ponieważ jest przyzwyczajony do walk z Maurami, którzy

zagrażają mu w tej jego iberyjskiej dziczy, i jestem pewna, że da się namówić na obdarzenie swojej córki, przyszłej królowej, hojnym posagiem. Mogę ci zagwarantować, że Ryszard i Anglia dobrze wykorzystają to, w co zaopatrzy ich na świętą wojnę... cokolwiek to będzie.

- Berengaria. To piękne imię. Lecz król Sancho? Słyszałem, jak mi się wydaje, o księciu Sancho...

Eleonora spojrzała na niego uważnie.

- Książę jest bratem Berengarii. Kiedy jego ojciec umrze, stanie się siódmym królem o tym imieniu. Jak na razie jest nikim, lecz wiążę wielkie nadzieje z jego siostrą. Nie poznałam jej jeszcze, lecz według wszystkich, w tym mojego syna, jest ona łagodną, potulną istotą - być może nie jest wielką pięknością w naszym pojęciu, lecz mimo to wy-

gląda królewsko. Jeśli więc uda mi się ich zeswatać, przywiozę ją Ryszardowi, zanim wyjedzie do Zamorza.

Powóz zatrzymał się; zewsząd słychać było wykrzykiwane rozkazy i instrukcje. Saint Clair odsunął zasłony i wyjrzał w gęstniejący mrok.

- Oczywiście jesteśmy na miejscu.

Kiedy tylko Eleonora wyrzekła te słowa, podjechał de Neuville i pochylił się w siodle.

- Za chwilę będziesz mogła wysiąść, pani. Wygląda na to, że wszyst ko gotowe, a wnioskując z zapachu, kucharze dobrze się spisali. Od pocznij jeszcze chwilę, jeśli łaska, aż powóz będzie mógł bezpiecznie

podjechać do twojego namiotu. Sto kroków, nawet mniej, i będziesz na miejscu. - Zerknął na Saint Claira. - Sir Henryku, zaopiekowaliśmy się twoim wierzchowcem. Mój koniuszy oporządzi go dzisiaj wieczorem wraz z moim.

Złożył ukłon Eleonorze i zawrócił konia, a księżna uśmiechnęła się do Saint Claira.

- No cóż, mój stary przyjacielu, zbliża się koniec naszego spotkania, a przynajmniej jego najprzyjemniejszej części... Kiedy otworzą się te drzwi, będę musiała znów stać się Eleonorą Akwitańską, a to będzie się wiązało z wszystkimi tymi ceregielami towarzyszącymi powrotowi księżnej na jej włości. - Wyciągnęła spontanicznie rękę i chwyciła go za nadgarstek. - Tak wspaniale było cię zobaczyć, Henryku, i spędzić z tobą ten czas. Ostatnio bardzo niewielu jest w moim życiu mężczyzn twojego pokroju. Niech Bóg... jeśli w ogóle jest tam w górze... błogosławi ciebie i twojego syna podczas czekających was przygód, i niech wybaczy mi to, co teraz powiem. Nie pokładaj wiary w książętach. Nie wiem, kto powiedział to pierwszy, lecz mówiąc to, miał rację. Uważaj na mojego syna. Kocham go pomimo różnych cech jego charakteru, lecz ostrzegam cię jako stara, zaufana przyjaciółka: zrób dla niego wszystko, co możesz, ale nie bądź zbyt ufny, ponieważ powodują nim czynniki, nad którymi nie masz kontroli, a prowadzą go światła, których nigdy nie chciałbyś ujrzeć ani zrozumieć. - Odchyliła głowę, mrużąc oczy. Wciąż mocno ściskała jego nadgarstek. — Mówię ci to z miłości, Henryku... miłość kobiety do godnego podziwu mężczyzn

czyzny zwycięża tu miłość matki do kapryśnego syna... lecz jeśli kie
dykolwiek wspomnisz o tym komuś, wyprę się tych słów i w zamian
za to oficjalnie zemszczę się na tobie. Słyszysz, co mówię?
158
- Tak, pani, i będę miał wzgląd na twoje ostrzeżenie, choć nie wy
powiedziałaś go głośno.
Powóz znów ruszył i kołysząc się, zjechał z drogi na zatłoczoną łąkę,
na której postawiono namioty. Eleonora zaczęła zbierać swoje spódnice
jedną ręką, a drugą trzymała się kurczowo uchwytu z jedwabnego sznura
umieszczonego na ścianie blisko drzwi, zapierając się, aż powóz znów
się zatrzymał.
- Na Boga, życzę ci wszystkiego dobrego, przyjacielu. No dobrze,
kiedy zacznie się cały ten rwetes, uciekaj stąd i znajdź Brodona, moje
go gospodarza. Powiedz mu, że to ja cię przysyłam i że ma cię solidnie
nakarmić oraz znaleźć ci miejsce do spania. Być może nie będę miała
czasu znów z tobą porozmawiać i wiem, że nie będziesz miał ochoty
tracić czasu pomiędzy nadskakującymi, beczącymi owcami, które tło
czą się dookoła mnie wszędzie, dokąd idę. Zjedz do syta, śpij dobrze,
a rano jedź wcześnie do domu i przygotowuj się dalej do wypełnienia
swojego obowiązku wobec mojego syna. Żegnaj zatem.
Drzwi powozu otworzyły się. Henryk pierwszy wszedł pomiędzy
zbierający się tłum ludzi i odwrócił się, aby pomóc księżnej zejść bez-
piecznie. Ucałował jej dłoń z szacunkiem, a księżna uśmiechnęła się i
postukała go w czubek głowy palcem drugiej ręki, po czym minęła go i

wchłonął ją tłum wielbicieli.

4

Oenryk Saint Clair szybko odkrył, jak bardzo musi się pos'więcić dla swojego pełnego temperamentu pana lennego, Ryszarda Plantageneta. W ciągu kilku dni od spotkania z księżną Eleonorą zaczęto zasypywać go nowymi obowiązkami, zadaniami oraz czynnościami związanymi z pozycją marszałka polnego, i wkrótce ledwie zauważał, jak prędko mijają dni i tygodnie. Kulminacja nastąpiła miesiąc później, kiedy otrzymał wezwanie, aby natychmiast dołączyć do Ryszarda w Anglii: od tamtej chwili przestał być panem własnego losu.

- Jak szybko oznacza: natychmiast? - Henryk ledwie zerknął na pismo pokrywające zwój, który rozwinął chwilę wcześniej, lecz ten rzut oka wystarczył mu, aby przyswoić naglący rozkaz.

Szpitalnik, który dostarczył wezwanie, wzruszył bez słowa szerokimi ramionami.

- Rozumiem. Wszystko jest tutaj, tak? No cóż, lepiej, żebyś usiadł, kiedy będę go czytać. Jadłeś dzisiaj? Nie, pewnie nie... — Henryk zwrócił się w stronę stojącego przy drzwiach Ectora, który czekał na polecenia. - Przynieś jadło i napitek dla... - Odwrócił się znów do rycerza. - Masz imię, panie szpitalniku, czy jesteś jedynie ponurą, widmową postacią? Mów, panie.

- Nazywam się Gautier, sir Henryku. Gautier de Montdidier.

- Montdidier, mówisz? W takim razie powinniśmy się znać. -Henryk usiadł na krześle przy ogniu, gestem zapraszając rycerza, by spoczął naprzeciwko. - Nasi przodkowie należeli do założycieli Zakonu

Świątyni. Wiedziałeś o tym?

-Tak.

- Dlaczego więc nosisz czarną opończę szpitalnika, a nie białą tem

plariusza?

Montdidier wykrzywił usta w uśmiechu i przechylił nieco głowę.

160

- Być może tak wolę? Naprawdę jednak od chłopięctwa prze

strzegam reguły benedyktyńskiej. Moja matka zmarła przy porodzie

i wychowano mnie w angielskim klasztorze, więc kiedy byłem na tyle

dorosły, żeby móc zostać rycerzem... tak jak mój ojciec, który zginął

w bitwie przed moimi narodzinami... wydawało mi się naturalne, że

powinienem dołączyć do szpitalników.

-Tak, domyślam się, że tak... Ectorze, jadło i napitek dla sir Gau-tiera

de Montdidier, i zadbaj o to, aby nakarmiono także jego ludzi. Ilu

przywiozłeś ze sobą, panie, i gdzie są teraz?

- Sześciu. Wszyscy czekają na dziedzińcu.

- No cóż, mogą zostać tu na noc, lecz to będzie zależało od tego, jak

szybko mam wyjechać.

Prawdę mówiąc, Henryk był gotów od wielu tygodni. O majątek i

ziemie pod jego nieobecność miał dbać zaufany człowiek, najstarszy

brat jego zmarłej żony. Instrukcje w liście Ryszarda były zwięzłe i

konkretne. Henryk miał jak najszybciej wyruszyć do Anglii w towa-

rzystwie sir Gautiera de Montdidier, aby podjąć swoje obowiązki jako

marszałek polny Akwitanii.

Ta interesująca różnica nie umknęła jego uwagi. Podczas pierwszego spotkania z Ryszardem nikt nie wspomniał o Akwitanii. Była za to mowa o stanowisku marszałka polnego Ryszarda. Ta drobna kwestia nie miała większego znaczenia, ponieważ Ryszard, jako książę, był Akwitania, lecz Henryk uznał jej obecność w liście księcia za zabawną. Domniemywał, że sytuacja polityczna w Anglii zmieniła się od czasu powrotu Ryszarda - prawdopodobnie radykalnie. Lecz nie był niezadowolony z tego. Czułby się o wiele swobodniej jako marszałek polny Akwitanii - była to funkcja, którą z przyjemnością pełnił przez wiele lat w służbie księżnej - niż jako marszałek polny Anglików o języku przypominającym gardłowy bełkot.

W liście nie było wzmianki o Andrzeju, lecz Henryk spodziewał się lego. Od czasu poznania rycerza de Sabie Andrzej rzadko przebywał w domu i wyglądało na to, że z pełnym entuzjazmem rzucił się w wir przygotowań do wstąpienia w szeregi templariuszy. Henryk wiedział, *ic* znów spotka syna w Anglii, zanim ruszą w drogę, i zadowalał się tym, wiedząc, że młodzieniec jest bezpieczny i zdrowy. Puścił koniec pergaminu, pozwalając mu znów zwinąć się w cylindryczny kształt, I spojrzał na de Montdidiera.

- Dlaczego ty, sir Gautierze? Dlaczego właśnie tobie, w towarzystwie zaledwie sześciu ludzi, Ryszard kazał sprowadzić mnie do Anglii? Czy sądził, że nie jestem w stanie podróżować sam?

- Wątpię, sir Henryku. Przypuszczam, że król chciał, abyśmy spę-

dzili nieco czasu razem i mogli po drodze porozmawiać.

- O czym? Nie chcę cię poniżyć czy obrazić, panie Montdidier, lecz nie sądzę, żebyśmy mieli ze sobą cokolwiek wspólnego. Choćby ze względu na różnicę wieku.

- Być może dlatego, że sądzi, iż możesz nauczyć się czegoś z tych rozmów. Niedawno przybyłem z Zamorza, zostałem ranny pod Hat-tinem. Wiem, że król wyznaczył ci zadanie znalezienia nowych sposobów zmierzenia się z armią Saladyna i pokonania jej. Jego zdaniem mogę ci w tym pomóc.

Henryk spojrzał teraz na szpitalnika ze znacznie większym szacunkiem.

- Rzeczywiście, możesz. Bóg jeden wie, że potrzebuję pomocy z każdego źródła, z którego zechce mi ją zesłać. Lecz jakim sposobem przeżyłeś Hattin? Mówiono mi, że po bitwie Saladyn zamordował każdego schwytanego członka zakonów rycerskich, zarówno templariuszy, jak i szpitalników.

- Tak było. Patrzyłem, jak umierają, i spodziewałem się własnej śmierci, ponieważ byłem ciężko ranny. Jednak przeżyłem ten dzień, leżąc wśród zmarłych. Nikt mnie nie nakrył i udało mi się odczołgać i ukryć przed zapadnięciem nocy. W mojej pachwinie tkwiła strzała, byłem zbyt poważnie ranny, aby mieć nadzieję na ucieczkę, więc zdjąłem opończę, nie chcąc, aby rozpoznano we mnie szpitalnika, i zdołałem włożyć zwykłą brązową, którą ściągnąłem z jakichś zwłok. Następnego ranka poddałem się. Pojmali mnie, opatrzyli moją ranę,

traktowali po ludzku i w końcu zaoferowali mnie oraz czterem innym rycerzom, z których żaden nie należał do zakonów, wolność w zamian za okup. Miałem szczęście.

Otworzyły się drzwi i wszedł Ector, a za nim dwaj służący z tacami pełnymi jedzenia i wina. Saint Clair spojrzał na jedzenie, a potem na gościa.

- No cóż, panie de Montdidier, król miał rację. Rzeczywiście chęt nie z tobą porozmawiam, i to szczegółowo. Nie spotkałem przed tobą nikogo, kto faktycznie był tego dnia pod Hattinem. - Wstał i mach-

nął ręką w kierunku stołu. - Jedz, a kiedy skończysz, Ector zaprowadzi cię do komnaty, gdzie będziesz mógł odpocząć przez kilka godzin. Odprawię twoich ludzi do stajni i zobaczę się z tobą później, lecz teraz muszę załatwić kilka spraw. Wyjedziemy pojutrze o świcie. Tymczasem mój dom jest twoim domem. - Pozdrowił rycerza skinieniem głowy i wyszedł, zamykając za sobą drzwi i zostawiając szpitalnika, aby jadł i pił. Po chwili wrócił. - Jak tu przybyłeś, sir Gautierze? Którą drogą?

Rycerz przełknął kęs jedzenia.

- Z zachodu. Wylądowaliśmy w La Rochelle i podążyliśmy przez Niort i Poitiers tutaj.

Saint Clair kiwnął głową.

- To najlepsza droga. O wiele krótsza niż do Nantes i Saint-Na-zare. Jak długo trwała podróż?

- Z La Rochelle tutaj? Pięć dni... dziś jest szósty. Jadąc od świtu do

zachodu słońca, codziennie pokonywaliśmy dwadzieścia mil.
- Hmm. W drodze powrotnej będziemy potrzebowali więcej czasu. Biorę ze sobą czterech ludzi i wóz na dobytek. Będziemy mieć szczęście, jeśli pokonamy piętnaście mil dziennie.
- W takim razie siedem dni.
- Tak, lecz nie więcej. Jak sądzisz, jak długo będziemy musieli czekać na statek?
- Ani chwili. Statek już na nas czeka... ten, którym tu przypłynąłem. Pozostanie w La Rochelle jeszcze przez czternaście dni, a potem odpłynie bez nas, jeśli nie zdążymy. Do tej pory zostaniemy uznani za martwych.
- Rozumiem. Lepiej więc, żebyśmy się pospieszyli i zrobili wszystko, aby nie zginąć. — Saint Clair kiwnął głową i wyszedł.
Wiatr ucichł nagle pół godziny wcześniej i teraz Henryk Saint Clair stał na rufie statku, którym wraz ze swoją drużyną płynął z La Rochelle do Anglii, wychylając się przez reling na sterburcie i patrząc w wodę. Prawe ramię zahaczył o linę, która rozciągała się w kierunku kłębów olinowania nad jego głową. Kołysanie pokładu nie niepokoiło go; pochylał się zafascynowany, wyciągając szyję i patrząc na mknące lale. Czasami miał wrażenie, że są tak blisko, iż może wyciągnąć

rękę i dotknąć ich powierzchni, a potem w mgnieniu oka oddalały się i opadały, obnażając całą burtę statku, aż rufa całkowicie wyłaniała się z wody. Unosiła się tak przez długą chwilę, po czym statek pochylał się i

opadał po zboczu kolejnej fali, prując dziobem dolinę fali leżącą dalej, co sprawiało, że ogromne tafle wody zamiatały pokład. Wiedział, że w śródokręciu załoga pracuje jak szalona, usiłując opróżniać ładownię z uwięzionej w niej wody morskiej szybciej, niż napływała, lecz panujące teraz warunki nie były nawet w części tak groźne, jak choćby godzinę wcześniej. Wtedy, kiedy wyła dookoła nich wichura, chłoszcząc pył wodny i pianę z powierzchni wody, tak że powstała nieprzenikniona mgła, nie mógłby stać tam, gdzie stał teraz. Fale - choć wciąż ogromne - były gładkie, a ich grzbiety znaczyły plamy piany, które wznosiły się i opadały spokojnie wraz z ruchem wzbierającego pod nimi morza.

- Uspokaja się. Przez chwilę myślałem, że jesteśmy zgubieni.

De Montdidier stanął obok Henryka. Balansując wraz z ruchem statku, wyciągnął rękę» aby chwycić się naprężonej liny. Henryk za-uważył, że za nim widoczność znacznie się poprawiła, lecz niskie, oło-wiane chmury w oddali wciąż maskowały horyzont: linia oddzielająca niebo od morza ginęła w odległej, ponurej mgle.

- Tak, wygląda na to, że już po wszystkim, a było ciężko. Przyzna ję, że przez chwilę i ja myślałem, że wszyscy zginiemy. - Rozejrzał się po pokładzie z pełnym napięcia, nieznacznym uśmiechem. - Musia łem jednak wyjść tutaj, na pokład, aby chronić żołądek. Hałas i smród wymiocin panujący pod pokładem był nie do zniesienia. Teraz zda je się, że jesteśmy jedynymi z naszej drużyny, którzy nie wymiotują i nie pragną śmierci. — Puścił linę i usiadłszy, oparł się plecami o burtę statku. - Usiądź obok mnie. Mokro tu i nieprzyjemnie, lecz teraz cały

świat taki jest. Sztorm przerwał naszą ostatnią rozmowę właśnie wte dy, kiedy robiła się interesująca.

De Montdidier usiadł ostrożnie ramię w ramię z Saint Clairem, a ten usadowił się wygodniej.

-Ach — wymamrotał — tak jest... o wiele lepiej. Tym moim starym kościom brakuje ostatnio wyściółki. Ten dyskomfort to jednak niewielka cena za to, ze mogę siedzieć na świeżym powietrzu i nie wymiotować jak wszyscy inni. Czy myślisz, że dalej jesteśmy na kursie? Nie widziałem ani śladu lądu.

16<1

- Nie, ja też nie, ale porozmawiałem z kapitanem. Powiedział mi, że zniosło nas na zachód, na Atlantyk, lecz teraz, jako że wiatr ustał, popłyniemy na wiosłach prosto na północ i niedługo znów ujrzymy ziemię. Potem pożeglujemy na północny zachód, aż opłyniemy przy- lądek Bretanii, a potem na północ i wschód, aż dotrzemy do Cherbourga. Stamtąd być może ujrzymy na północy wybrzeże Anglii. Zapytałem, ile to potrwa, lecz wzruszył tylko ramionami. Powiedział, że to zależy od wiatru i pogody, więc może zająć od siedmiu do dwudziestu jeden dni. Po drodze zatrzymamy się w Breście po świeże zapasy, a potem podążymy do Cherbourga, który dzieli od Anglii ledwie dzień żeglugi.

- Innymi słowy, musimy się pogodzić z losem i być cierpliwi. -Saint Clair zadrżał i owinął się szczelniej mokrą peleryną. - No cóż, to chyba szczęście, że jest tyle do omówienia. — Znów wstrząsnął nim dreszcz i nagle zaczął trząść się jak w gorączce. Otaczający go mężczyźni mogli

lekceważyć chłód i fizyczne trudy, lecz on był za stary, aby znosić takie katusze. Z trudem podciągnął się do pozycji stojącej, już czując sztywność w kościach i opierając się o ramię de Montdidiera.

- To szaleństwo - rzekł. - Pod pokładem mam czyste, suche ubrania. Muszę zdjąć te przemoczone szmaty i włożyć coś świeżego i ciepłego. Powinieneś zrobić to samo. Chwyć mnie za rękę.

Szpitalnik wstał z łatwością.

- Zgadzam się. Mam wrażenie, jakbym od urodzenia był przemoczony i zmarznięty. - Przerwał. - Lecz gdybyśmy mieli się poznać lepiej, przypominaj mi regularnie, jeśli łaska, że to żadna przyjemność spędzić noc w pogrążonej w ciemnościach ładowni statku podczas wielkiego sztormu. Spotkam się tu z tobą za pół godziny.

Saint Clair w końcu wychynął na pokład prawie godzinę później. Szpitalnik już na niego czekał. Ciężkie chmury rozstąpiły się i przez poszerzającą się szczelinę świeciło słońce, a załoga siadła do wioseł. Nikt nie zwrócił uwagi na dwóch rycerzy, kiedy minęli krzepkiego majtka stojącego przy rumplu z oczami skierowanymi w stronę dziobu. Usiedli na dwóch wielkich kłębach sieci, na tyle daleko od sternika, aby móc swobodnie rozmawiać. Przez chwilę rozmawiali o trywialnych sprawach, lecz Henryk niecierpliwił się i szybko przeszedł do sedna.

- Wczoraj, zanim rozpętał się sztorm i musieliśmy szukać schro-

nienia, mówiłeś, że królowie prowadzący nas do Ziemi Świętej powinni przyjąć do wiadomości fakty, które staną im ością w gardle. Od tamtej

pory zastanawiam się nad tym. Co miałeś na myśli? Twarz de Montdidiera przybrała poważny wyraz.

- Właśnie to, co powiedziałem. Armia zbierana teraz w Anglii i Francji to zbieranina fakcji i koterii, a dowódcy ich wszystkich mają własne plany i ambicje... przedkładają swoją korzyść nad wspólną. Lecz wszystkich ich, królów, książąt, hrabiów i całą resztę, wszystkich ich trzeba jakoś przekonać... siłą, jeśli będzie to konieczne... aby zrozumieli, dokąd jadą i co ich tam czeka. Rozmawiałem z wieloma z nich. Powiedziałem im, co myślę, co wiem i co widziałem na własne oczy, lecz jedynie Ryszard Plantagenet zechciał wziąć moje słowa pod uwagę. Inni nie chcieli słuchać. Mają własne opinie, swoje błędne przekonania.

- Jakie to przekonania? Chyba mogę zgadnąć, lecz mimo to powiedz mi. W co oni wierzą?

- W głupoty. — Szpitalnik sięgnął do pasa i wyciągnąwszy sztylet o długim, wąskim ostrzu, zaczął wyskrobywać czubkiem brud spod paznokci.

- Tak? Co to za głupoty?

De Montdidier spojrzał spode łba, lecz nagle wyprostował się, wciągnął wielki haust powietrza i wypuścił je głośno, pozbywając się gniewu tak łatwo, jak ktoś inny mógłby zrzucić pelerynę.

- Czy możesz mi wytłumaczyć, dlaczego jestem wściekły na ciebie? Nie masz z tym nic wspólnego... W każdym razie jeszcze nie. Ale tak będzie, wierz mi. - Wsunął nóż z powrotem do pochwy i skrzyżował ramiona na piersi. — Oni wszyscy wierzą, że tę nową wojnę, podobnie

jak inne znane im konflikty, wygrają dosiadający koni rycerze.

- A ty chciałbyś, żeby wierzyli w co innego.

- Oczywiście, że tak, ponieważ chcę, żeby zniszczyli muzułmańskie siły i przeżyli. Trzeba zmusić ich, aby dostrzegli, jak bardzo się mylą, aby zmienili nie tylko swoje poglądy, ale też metody i taktykę wojenną. Jeśli tak się nie stanie, wszyscy zginą szybko i na próżno, ponieważ wszystko się zmieniło. Wszystkie tak zwane wojny, o których mówią, toczono tutaj, w świecie chrześcijańskim, i były to błahe, nieistotne bitewki, drobne, zaściankowe sprzeczki pomiędzy za-

chłannymi baronami. - Odwrócił się i spojrzał Saint Clairowi prosto w oczy. - Nigdy nie było jeszcze takiej wojny jak ta, która dziś toczy się w Palestynie przeciwko muzułmanom, przeciwko Saladynowi. Uwierz mi, sir Henryku. Ta wojna toczy się w innym świecie, daleko od wszystkiego, co swojskie, a wszystkie zasady rzemiosła wojennego, których nauczyliśmy się i które znamy, się zmieniły. Nigdy nie byłeś w Zamorzu, prawda?

- Nie. Moje obowiązki względem księżnej Eleonory zatrzymały mnie na miejscu, kiedy mogłem pojechać, a potem nie miałem kolej nej okazji.

-Tak właśnie myślałem... No cóż, możesz mi wierzyć. Zamorze jest całkiem niepodobne do świata, który znasz. Przez chwilę nazwałeś je Ziemią Świętą, lecz Bóg jeden wie, że to miejsce nie ma w sobie nic świętego. To świat, jakiego ci, którzy dziś uważają się za przywódców,

nigdy nie zrozumieją i nie będą w stanie nawet sobie wyobrazić. Wszyscy oni są zbyt młodzi, aby pamiętać lekcje, których nauczyliśmy się podczas pierwszej i drugiej wyprawy, oraz zbyt ciemni, aby się przejmować realiami krain i klimatu, w których przyjdzie im walczyć. Większość tych terenów to pustynia, tak wroga i brutalna jak zamieszkujący ją ludzie, i niewyobrażalnie niebezpieczna dla przybyszów. To przeklęte miejsce, gdzie burze piaskowe mogą rozpętać się bez uprzedzenia i pogrzebać całe wioski, a czasem całe armie, burze tak gwałtowne, że niesiony wiatrem piasek potrafi zedrzeć nieosłonięte ciało z kości żywego człowieka. Lecz co gorsza, to miejsce pełne fanatyków: zajadłych, nie znających przebaczenia wojowników, którzy żyją i oddychają wiarą w ich własnego boga i jego proroka, Mahometa, i którzy chętnie składają swoje życie na jego ołtarzu. Ci muzułmańscy wojownicy... Saraceni, muzułmanie, Arabowie, Beduini, nazywaj ich jak chcesz... potrafią pokonać naszych najlepszych, Henryku, choć bardzo nie chcemy tego przyznać. Jest ich dość wielu, aby stawić czoło frankońskiej armii liczącej trzy tysiące mieczy, wystawiając dziesięciu ludzi na każdego z naszych, i zniszczyć ją, zostawiając przy życiu ledwie jednego na dwudziestu.

Zapadła długa cisza, kiedy Saint Clair myślał o tym, co powiedział szpitalnik, po czym uniósł prosząco dłoń.

- Nie mam powodu, aby ci nie wierzyć, ponieważ słyszałem podobne doniesienia od innych. Lecz mimo to trudno uwierzyć w liczby,

które podajesz. Dziewiętnastu na dwudziestu zabitych? W jaki sposób jakakolwiek armia mogłaby dokonać takiej rzezi?

- Pociskami. - Rycerz wypowiedział to słowo tak szorstko, że Saint Clair nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

- Chyba nie dosłyszałem. Czy powiedziałeś... pociskami?

De Montdidier znów spojrzał na niego bystrym, przekonującym wzrokiem.

- Tak, to właśnie powiedziałem. Pociskami... strzałami, jeśli mam być ścisły.

- Ach, strzałami. Strzałami wystrzeliwanymi z łuków.

Twarz de Montdidiera stężała z gniewu.

- Tak, zgadza się. Strzałami... pociskami wystrzeliwanymi z łuków. Wyrżnęli nas strzałami. Sprawili, że padały one na nas jak grad, nie-przerwanie i z każdej strony naraz. Potem, w nocy, zabili nasze konie, wiedząc, że uzbrojony rycerz jest bezradny, kiedy musi walczyć pieszo na piasku. Strzały, panie Saint Clair. Użyli ich, aby wprowadzić chaos, aby nas przestraszyć i ostatecznie zniszczyć, zmuszając nas do wy-konania desperackich posunięć, których nie podjęlibyśmy w innych okolicznościach. Byliśmy wobec nich bezradni.

- Wiem, i nie kpię z ciebie. Słyszałem już o tym. Myślałem jedynie po raz kolejny o szaleństwie, jakim jest papieski zakaz używania łuków w świecie chrześcijańskim. Drogo nas to kosztowało pod Hattinem. A jednak... strzała z pewnością przepada, kiedy już się ją wystrzeli? Nie można użyć jej po raz kolejny. Mówisz jednak o kolosalnej liczbie strzał.

Musi być w tym jakaś przesada.

- Tak musiałoby się zdawać każdemu, kogo tam nie było. Nie jesteś pierwszym, kto tak sądzi. Lecz widziałem to na własne oczy.

Szpitalnik podszedł do burty statku i patrzył w wodę, aż Saint Clair pomyślał, że zapewne powiedział wszystko, co miał do powiedzenia. Wiatr osłabł i poruszał się teraz niemal łagodnie, a nad ich głowami prawie nie było chmur. Słońce chyliło się już ku horyzontowi, widocznemu teraz wyraźnie za plecami de Montdidiera. Rycerz odwrócił się znów do Saint Claira.

- Widziałeś kiedyś wielbłąda, sir Henryku?

Henryk kiwnął głową.

- Tak, z jednym garbem i dwoma, i to kilka razy. Pewien człowiek co roku przywozi do Poitiers zbiór dziwnych, dzikich zwierząt na jar-

mark świętojański. Ludzie przychodzą tłumnie i dobrze płacą, aby dziwować się tym stworzeniom.

- Wiesz zatem, że wielbłąd to bardzo duże zwierzę juczne o ogrom nej sile, zdolne do niesienia wielkich ciężarów przez długi czas, podczas gdy strzała praktycznie nic nie waży. Nawet kołczan pełen dwudziestu lub więcej strzał jest niezwykle lekki w porównaniu z mieczem lub to porem. Jak zatem sądzisz, ile starannie zapakowanych i powiązanych w pęki strzał może unieść w pełni obciążony wielbłąd?

Saint Clair sapnął.

- Nie mam pojęcia, lecz domyślam się, że liczba jest zapewne więk-

sza niż jakakolwiek, którą mógłbym podać.

- O wiele większa. Jedyne, co ograniczałoby taki ładunek, to rozmiar pęków strzał. Wyobraź sobie teraz dużą ich liczbę, schludnie powiązanych, a w każdym z nich dwadzieścia pięć strzał. Każdy pęk miałby grubość mniej więcej dwóch pięści. - Pokazał przyciśnięte do siebie kciukami dwie zwinięte pięści. - Teraz wyobraź sobie skrzynie z listew i drutu. Każda z nich ma szerokość równą długości strzały i jest na tyle długa i głęboka, aby pomieścić dziesięć leżących obok siebie pęków, ułożonych w czterech warstwach. Każda skrzynia... lekka, lecz mocna klatka... mieściłaby tysiąc strzał i przywiązanie sześciu takich skrzyń u każdego boku wielbłąda nie stanowiłoby wielkiego problemu. To oznacza dwanaście tysięcy strzał niesionych na grzbiecie zaledwie jednego zwierzęcia.

Saint Clair wzruszył ramionami z uśmiechem, rozkładając ręce.

- Przyznam, że to interesujące założenie - powiedział cicho. - Tylko skąd wziąć dwanaście tysięcy strzał?

- Wziąć je? Sir Henryku, armia, która pokonała nas pod Hattinem, składała się niemal wyłącznie z łuczników, dosiadających wierzchowców o wiele mniejszych niż nasze, żylastych i drobnych, szybszych i znacznie zwinniejszych. Każdy łucznik miał ze sobą co najmniej trzy lub cztery kołczany strzał. Lecz Saladyn już myślał na większą skalę i zrozumiał, co musi zrobić. Na wiele miesięcy, zanim zebrał swoją armię, wzywając wojowników z Egiptu i Syrii, Azji Mniejszej i wszystkich innych lenn, którymi zawiaduje, rozkazał, aby wykonano strzały w

liczbie, jakiej nikt jeszcze nie widział, i aby wszystkie wysłano w miejsca, gdzie miały się zebrać poszczególne kontyngenty jego armii.

169

-1 załadował je wszystkie na wielbłąda, czy to chciałeś powiedzieć?

- Nie, sir Henryku. To równałoby się jedynie dwunastu tysiącom strzał. Kiedy Saladyn ruszył przeciw nam, aby przystąpić do oblężenia Tyberiady, miał w swojej karawanie siedemdziesiąt... siedemdziesiąt!... załadowanych dodatkowymi strzałami wielbłądów. Nie wiem, ile ogółem mieli strzał, lecz kiedy skończyła się rzeź pod Hattinem, muzułmanie przechwalali się między sobą, że przerobili niewierne świnie z rycerzy na jeże. Nigdy nie widziałem nic, co mogłoby się równać z tą nawałnicą strzał, którą ostrzelano nas tego dnia.

- Siedemdziesiąt wielbłądów... Skąd to wiesz?

- Byłem ich więźniem i znam ich mowę. Słyszałem, jak potem o tym rozmawiali, a także o trudnościach, jakich nastręczyło im zbieranie strzał po bitwie.

Saint Clair poczuł się zdecydowanie nieswojo.

- Poczekaj chwilę... To oznacza, że armia chrześcijan została znisz-czona pod Hattinem z odległości, a nie w bezpośredniej walce? Jeśli tak, przeczy to wszystkiemu, co słyszałem o tej bitwie. Co z wyczynami poszczególnych rycerzy i atakiem templariuszy?

- Jakim atakiem? - zapytał kpiąco de Montdidier. — Templariusze nie dokonali pod Hattinem żadnego bohaterskiego ataku. Próby starcia z wrogiem były jak próby schwytania dymu. Mieli ogromną przewagę

liczebną, okrążali nas, a za każdym razem, kiedy usiłowaliśmy zaatakować i zetrzeć się z nimi, ich formacje rozpadały się i rozpraszały, kiedy się zbliżaliśmy. Oddalali się na bezpieczną odległość, odcinając nas od naszych własnych sił i wystawiając nasze boki ich łucznikom. Templariusze tworzyli straż tylną. Po kilku próbach doprowadzenia do starcia dostrzegli, co się dzieje, i... co dobrze o nich świadczy... wycofali się, aby wzmocnić obóz króla na wzgórzu. Ludzie króla wznieśli jednak namioty pomiędzy jego głównym oddziałem a templariuszami, więc rycerze musieli lawirować między nimi. Strzelano do nich zza pleców, kiedy potrącali się nawzajem i usiłowali znaleźć drogę między tysiącami lin i odciągów, które dezorientowały ich konie. Tamtego dnia żaden większy oddział naszej armii nawet nie zbliżył się do bezpośredniego starcia z wrogiem. Udało się to pojedynczym rycerzom, lecz stawiali czoło licznym hordom i szybko ich wymordowano. Muzułmanie pozwolili naszej prawie dwunasto-

tysięcznej piechocie w całos'ci przemaszerować przez swoje szeregi. Była to ta sama technika: po prostu odsunęli się i pozwolili naszym ludziom przejść bez walki, po czym podążyli za nimi i wybili ich stopniowo z obydwu stron, kiedy ci schodzili w kierunku jeziora. Nikt nie przeżył. I to praktycznie cała historia Hattinu. Siedzieliśmy bezradnie na koniach i daliśmy się pozabijać. Przechytrzyli nas, przewyższali liczebnie i mieli lepszą taktykę, a nasi dowódcy byli bezsilni w obliczu ponadprzeciętnych umiejętności wroga. Nie był to chwalebny dzień dla

świata chrześcijańskiego. - Odwrócił twarz, chrząknął i splunął, a oburzenie i niesmak wręcz z niego promieniowały. - Dowódcy... Ha! Niech Bóg mi wybaczy, ale widziałem lepszych dowódców w stadzie szczurów niż tego dnia pod Hattinem. Arogancji, głupoty, niewiedzy i dumnych przechwałek było mnóstwo, lecz umiejętności dowódczych lub porywającego zachowania? Niech Bóg ma nas w opiece następnym razem, jeśli będziemy na tyle głupi, żeby w ogóle ruszyć do walki.

- Czy sugerujesz, że następnym razem może wydarzyć się to samo?

De Montdidier spojrzał na Saint Claira ponuro.

- Wątpisz w to? Co się zmieniło od tamtego dnia? Nie ma już aro ganckich starych weteranów, takich jak de Ridefort, lecz zastąpiliśmy ich głupcami jeszcze mniejszego formatu. Przysięgam ci, panie Saint Clair, że jeśli przystąpimy do tej wojny w taki sam sposób, butnie wie rząc w swoją wyższość, Saladyn powita nas tą samą taktyką i osiągnie ten sam efekt. Dlatego właśnie trzeba zmusić królów, by zdali sobie sprawę z konieczności zmian.

Saint Clair otworzył usta, aby przemówić, lecz się zawahał.

Szpi-talnik czekał.

- Czy...? - Henryk odkaszlnął. - Muszę zadać ci jedno pytanie, wyłącznie dla własnego spokoju ducha. Czy... jest jakakolwiek szansa, że porażka pod Hattinem była jedynie przypadkiem? Czy wynik mógł być inny, gdyby armie spotkały się w innym miejscu, innego dnia?

Rycerz potrząsnął krótko i zdecydowanie głową.

- Wątpię. Przebieg bitwy mógłby być nieco inny, lecz rezultat był by taki sam. Następnego dnia po bitwie, piątego lipca, kiedy saraceńscy medycy opatrywali moje rany, oblężona Tyberiada poddała się... można powiedzieć, że nie było to zaskoczeniem, ponieważ poprzed-

niego dnia mieszkańcy oglądali rzeź z murów miasta... lecz pięć dni później padła Akka. Następnie armie Saladyna szybko przejęły władzę kolejno nad Naulusem, Jafą, Toronem, Sydonem, Bejrutem i Aszke-lonem. Wszystko to mocno ufortyfikowane miasta. Potem w rękach chrześcijan zostało jedynie miasto portowe Tyr, Jerozolima oraz kilka rozproszonych w odizolowanych miejscach zamków, które wciąż się broniły. Jerozolima dostała się w ręce Saladyna we wrześniu. Żadne z tych wydarzeń nie było przypadkowe.

- Tak... - Saint Clair wstał i potarł oczy dłońmi.

Sir Gautier po prostu czekał, dając mu czas na zastanowienie. W końcu Henryk rzekł:

- Żaden ze mnie król, lecz mimo to będę odtąd popierał twoje poglądy. — Przeszedł przez pokład i stanął przy relingu rufowym, patrząc w milczeniu na odległy horyzont.

Szpitalnik po chwili odszedł.

- Na Boga, Henryku, mów otwarcie! Gdybym chciał zawoalowanych aluzji i tajemnic, zawołałbym księdza. Jesteś moim marszałkiem polnym, więc oczekuję od ciebie bezpośredniej mowy. Widziałeś dziś rano, jak zamierzamy przewieźć naszą armię do Zamorza, lecz nie

powiedziałeś ani słowa o tym, jak mamy się zachować, kiedy w końcu tam dotrzemy i stawimy czoło Saladynowi i jego muzułmanom. Jak mamy podjąć się tego zadania i zaatakować ich po raz kolejny, nie dzieląc losu Gwidona de Lusignan i jego armii Królestwa Jerozolimskiego? Niech to diabli, człowieku, potrzebuję porady w tej kwestii, zanim porozmawiam z innymi. Filip, król Francji, będzie krzyczeć o skandalu, jeśli zacznie podejrzewać, że nie znalazłem jeszcze odpowiedzi na to pytanie.

Ryszard miał oczywiście rację. Jako książę Akwitanii, król Anglii i jeden z głównodowodzących nowej ekspedycji, której celem było odzyskanie Ziemi Świętej, chciał dokładnie wiedzieć, jaką oryginalną i nowatorską strategię opracował Saint Clair, aby dać jego armii jakąś nadzieję na zwycięstwo nad hordami Saladyna. Henryk jeździł z księciem od trzech dni, czekając na możliwość przedstawienia swoich wniosków i propozycji tak, aby nikt im nie przerywał. Ryszard był coraz bardziej zajęty wstępnymi logistycznymi przygotowaniami

do podróży morskiej. Wielka flotylla miała zacząć się zbierać dopiero za osiem tygodni, lecz jej dowódca, Robert de Sabie, już od miesięcy obmyślał plany wraz ze swoimi kwatermistrzami i podwładnymi; statki i zapasy gromadzono w ponad dwudziestu ważnych portach. Ryszard złożył de Sablemu kilka praktycznych propozycji dotyczących rozmieszczenia na pokładach statków koni, wyrobów siodlarskich i broni, w tym wielkich machin oblężniczych, które rozebrano, aby

przewieźć je w częściach.

Tego ranka Henryk i Ryszard poddawali inspekcji armię i przeglądali plany.

- A zatem...? Masz dla mnie odpowiedź?

-Tak, panie. Lecz będę potrzebował co najmniej godziny twego czasu, aby wyjaśnić ci mój pogląd na tę sprawę, a potem ty sam zapewne zechcesz spędzić dzień czy dwa, rozważając ten pomysł.

Właśnie opuścili Plymouth, miasto na południowym wybrzeżu Anglii, jeden z głównych portów zbiorczych dla królewskiej floty. Jechali konno przez rozległą łąkę, nad którą górowały pojedyncze drzewa, rozłożyste dęby, wiązy i buki. Między nimi wił się szeroki, ładny strumień. Ryszard rozejrzał się i ściągnął lejce.

- A zatem chodź, siądziemy na brzegu strumienia i porozmawiamy. - Obejrzał się przez ramię na swojego przybocznego i towarzysza, małomównego, lecz niezwykle lojalnego andegaweńskiego rycerza Baldwina z Bethune, który jechał na swoim zwykłym miejscu, o cztery długości konia za księciem. - Baldwinie, czy mamy jadło i napitek?

- Tak, panie.

- Dobrze, zatrzymamy się zatem tutaj i zjemy przy strumieniu, kiedy będziesz gotów.

Ryszard Plantagenet jadł w taki sam sposób, w jaki robił wszystko inne: całkowicie skoncentrowany, niecierpliwie i szybko. Potrzeba jedzenia nie miała dlań nic wspólnego z przyjemnością. Kiedy Ryszard w końcu zjadł, wrzucił resztki ptasiej tuszy do strumienia i wytarł tłuste

palce garścią trawy, Henryk odstawił spokojnie własny niedo-jcdzony posiłek.

- Wiem od Montdidiera - zaczął książę bez wstępów - że długo rozmawialiście i że pojąłeś znaczenie jego poglądów szybciej niż inni, oczywiście poza mną. Co zatem masz mi do powiedzenia?

- Nic ponad to, co sam na pewno już ustaliłeś, panie: musimy radykalnie zmienić sposób postępowania podczas zbliżającej się kampanii, i to natychmiast. Prawdę mówiąc, powinniśmy zacząć wiele miesięcy temu, kiedy tylko przybył szpitalnik i zaczął mówić prawdę o tym, co stało się pod Hattinem. Lecz najwyraźniej wtedy niewielu wierzyło mu. Przyznaję, że mnie samemu było na początku trudno uwierzyć w to, że on jedyny głosi wieści pełne przestróg i niezadowolenia po powrocie z Zamorza.

- Ach, w tym leży różnica. Montdidier to człowiek z zasadami, nie boi się mówić prawdy. Nie dba o to, co myślą o nim inni. Niewielu jest takich jak on. Jeśli chodzi o tych, którzy wrócili, mówiąc co innego, nie wątpię, że niektórzy zrobili tak, aby uniknąć kary za własne tchórzostwo. Inni zapewne chcieli, aby ich czyny i to, że przeżyli, wyglądały na bardziej bohaterskie. Księża oczywiście tłumaczą wszystko po swojemu. Chcą utwierdzić nas wszystkich w poczuciu winy, abyśmy wrócili jak najszybciej, odkupili swoje grzechy i odpokutowali. Mówią nam o naszych widach i grzechach, lecz są księżmi, więc nie mogą powiedzieć nam nic o tym, jak walczyć i wygrać wojnę. - Ryszard przerwał na

moment. - Jak więc sądzisz, co powinienem zrobić? O jakich zmianach w naszej linii bojowej myślisz?

- Należy ją ustabilizować i wzmocnić. - Jak zawsze, kiedy byli sami i rozmawiali o taktyce, Saint Clair bezwiednie zwracał się do Ryszarda bez tytułów.

- Wytłumacz to.

- Armia zniszczona pod Hattinem była za mało zwarta i nadzwyczaj podatna na taktykę, jakiej użył wobec niej Saladyn. Doszedłem do wniosku, że we frankońskich szeregach brakowało dyscypliny... armia składała się ze zbyt wielu części, a każdy z nich pracował przeciwko reszcie. Rycerze króla Gwidona byli zazdrośni o templariuszy i mimo że łączyła ich wspólna sprawa, templariusze i szpitalnicy nie darzyli się specjalnym uczuciem. Ponadto sam król Gwidon bał się z powodu własnej słabości, że de Rldefort i de Chatillon publicznie go zastraszą, co zdarzyło się już kilkakrotnie. Rajmund, hrabia Trypolisu, stanowił wraz ze swymi poplecznikami głos rozsądku, lecz lekceważono ich z powodu układu zawartego przez Rajmunda z Saladynem. Każdy sięgał po osobistą chwałę, przeprowadzając niezorganizowane wypady, aby wiązać siły nieprzyjaciela. Działali na korzyść Saładyna, który

robił wszystko, aby ich zachęcić, po czym unikał ataków i wybijał ich z daleka. Czy Montdidier powiedział ci o dodatkowych strzałach?

- Siedemdziesiąt załadowanych wielbłądów, tak, mówił mi. Nie jestem pewien, czy w to wierzę. Zbyt duży margines na przesadę.

Saint Clair podniósł rękę na znak sprzeciwu.

- Uwierz w to i wyciągnij wnioski. Od czasu, kiedy się o tym dowiedziałem, nie myślę prawie o niczym innym i jestem przekonany, że szpitalnik mówi prawdę. Daje nam to niezwykły wgląd w taktykę wroga nawet przed spotkaniem z nim, a także pokazuje, jak pomysłowy jest ten sułtan i jak perspektywicznie myśli. Planował to na lata wprzód i specjalnie kazał swoim ludziom zrobić te strzały. Mówi mi to, że bardzo wierzy w siebie i swoich ludzi, a także, że niewielkie ma o nas, Frankach, mniemanie jako wojownikach. Zrobił te strzały właśnie dlatego, że wiedział, jak przewidywalni okażą się Frankowie, kiedy w końcu dojdzie do bitwy, i dzięki temu ich zniszczył.

- Musimy więc stać się nieprzewidywalni.

- Nie, to byłoby samobójstwo. Jedynie mniej przewidywalni. Musimy sprawić, że Saladyn i jego emirowie... tak chyba nazywa swoich dowódców... dostrzegą i uwierzą, iż nie damy się już wmanewrować w dziką pogoń za jego oddziałami. Tym razem to oni będą musieli przyjść do nas, a kiedy to zrobią, będziemy gotowi.

Ryszard kiwnął głową i odparł zamyślony:

- Zdaje się, że to ma sens. Lecz prawdę mówiąc, Henryku, w jakiej mierze możemy być gotowi w obliczu takich zastępów? Pamiętaj, że tym razem będziemy przewyższać liczebnie siły, które Gwidon i jego nieszczęsna drużyna byli w stanie wystawić pod Hattinem. Ich nie było nawet trzydzieści tysięcy, a kiedy dołączy do nas Barbarossa, nasze połączone armie będą liczyć może nawet trzysta tysięcy mie

czy. Lecz i walczących z nami niewiernych może być więcej, ponieważ ziemie Saladyna są ogromne. Czas pokaże. Lecz jeśli powtórzą swój wyczyn z gradem strzał, nasi ludzie będą bezbronni. Powystrzelają nas całymi grupami.

- Być może, lecz tylko jeśli pozwolimy wrogowi podejść tak blisko, aby jego strzały nas dosięgły.

Ryszard podniósł głowę i zmrużył oczy.

- Bardzo dobrze, powiedz mi więc, jak utrzymamy ich w bezpiecznej odległości?

- Prześcigając ich w strzelaniu. Twoje łuki angielskie i andegaweńskie arbalety z łatwością wystrzelą strzały na większą odległość niż łuki używane przez Saracenów. W porównaniu z twoim orężem łuki wroga są żałosne. Nauczymy ich bać się naszych arbalet.

- I tak być powinno. Powinni się ich bać. Lecz mamy o wiele za mało nawet zwykłych kusz, nie mówiąc już o arbaletach. Te, które mam, są jedynym, w całym świecie chrześcijańskim, więc nie możemy spodziewać się pomocy od żadnego z naszych sprzymierzeńców.

Niewzruszony Saint Clair jedynie skinął głową.

- Nie potrzebujemy pomocy. Pozwoliłem sobie przyjąć, że się zgodzisz, i złożyć zamówienie na nowe dostawy u twoich zbrojmistrzów, zarówno tu, jak i w domu.

- Naprawdę, na świętą głowę Boga? - Ryszard uniósł brew rozbawiony tupetem Saint Claira. - Kiedy je zamówiłeś i ile?

- Tyle, ile uda się zrobić, zanim wypłyniemy. Poprosiłem o pięćset na początek i więcej, jeśli czas pozwoli. Tydzień temu wysłałem wiadomość do Poitiers szybkim statkiem, ponieważ jest to jedyne miejsce, w którym można dziś wytwarzać arbalety. Oczywiście nie wszystkie będą miały stalowe łuczyska... jak rozumiem, wykonanie ich jest bardzo trudne... więc zażądałem tych, które są niemal tak samo mocne, ciężkich kusz z wielu warstw drewna i rogu. Wysłałem też zamówienie do drugorzędnych rzemieślników w Tours na pięćset słabszych kusz z drewna i ścięgien. Rozkazałem także twoim angielskim wytwórcom łuków zwiększyć tempo produkcji, lecz zawiadomiono mnie, że nie są już w stanie pracować ciężej.

Ryszard nabrał głęboko powietrza.

- Niech tak będzie - powiedział. - Dobrze się spisałeś. No dobrze, a jak nauczymy naszych ludzi obsługi tej broni, zanim ją otrzymamy? Nie będzie to proste, Henryku, ponieważ żaden z nowicjuszy nie będzie zaznajomiony z tym orężem.

- To prawda, lecz wyznaczyłeś mojemu synowi zadanie wyszkolenia instruktorów i ludzie, których już wytrenował, mogą uczyć nowo przybyłych. Ilu arbaletników masz pod komendą w Akwitanii?

- W Akwitanii? Niewielu. Jest ich więcej w Andegawenii i trochę w Poitou... - Ryszard zacisnął usta, licząc. - Zostało być może pięciuset Akwitańczyków, może sześciuset. Dwustu przywiozłem ze sobą tutaj, do Anglii... dwadzieścia dziesięcioosobowych oddziałów.

- A co ze słabszym orężem, innymi kuszami?

- Także tylu, jak sądzę, jeśli dalej mówisz o Akwitanii. Być może stu lub dwustu więcej... powiedzmy około tysiąca. Lecz i w tym wypadku jest ich więcej w Andegawenii i Poitou. Wśród moich szeregów jest tysiąc ludzi posługujących się łukami angielskimi, a będzie ich co najmniej jeszcze tysiąc, zanim opuścimy Anglię.

Ryszard oparł się plecami o drzewo i patrzył w dal. W sumie liczby, które podał, stanowiły niewielki odsetek stutysięcznej armii, którą wraz z francuskim królem i innymi, pomniejszymi sprzymierzeńcami zbierał na bój z Saladynem, lecz zdał sobie sprawę, że jedynie dzięki niemu, i - gwoli prawdy - jego ojcu, mają choć tylu. Jego szpiedzy przynosili pogłoski, że Fryderyk Barbarossa, cesarz Świętego Cesarstwa Rzymskiego, zbiera na swoich niemieckich terytoriach armię liczącą dwieście pięćdziesiąt tysięcy jako swój przyczynek do nowej wojny papieża, lecz Ryszard, zagnawszy szpiegów do pracy, nie sądził, aby wśród hufców niemieckiego cesarza znajdowało się wielu łuczników.

Ryszard spojrzał na Saint Claira skupionym znów wzrokiem.

- Czy zastanowiłeś się w ogóle nad tym, jak powinniśmy rozmieścić te nowe siły?

- Tak. Strategię tę dość łatwo wyjaśnić, ale nie dopracowałem jeszcze szczegółów taktycznych. Teraz, kiedy wiem, że zgadzasz się ze mną w kwestii potrzeby kontynuowania działań, poświęcę temu więcej czasu.

- I to miałeś na myśli, mówiąc o zwarciu i wzmocnieniu?

-Tak. Wiem już, że musimy użyć nowego oręża w taktycznych

blokach, które mogłyby się przemieszczać, lecz potrafiłyby też stać w miejscu i odeprzeć silny atak. Musimy użyć ich jako wsparcia dla naszych rycerzy.

- A co z piechotą?

- Ją też ustawimy — na sposób starożytnych — w blokach, w któ rych każdy będzie polegał na wsparciu i sile sąsiada.

Ryszard pokiwał powoli głową z namysłem.

- Starożytni... Masz na myśli legiony rzymskie?

- Właśnie tak. Zwarte, nieustępliwe, bezkompromisowe, samo- dzielne, zdyscyplinowane i praktycznie niezniszczalne.

- Rozumiem. To nie najgorsza lista przymiotów.

-W dodatku możliwa do osiągnięcia. A nawet konieczna, jeśli mamy się zmierzyć z zastępami, które wystawi przeciw nam Saladyn. Może nam się udać, lecz nie mamy czasu do stracenia.

- Co zrobimy w sprawie tego gradu strzał?

Saint Clair wzruszył ramionami.

- Jeśli zajdzie potrzeba, przypomnimy sobie rzymską formację żół wia i przykryjemy naszych żołnierzy skorupą tarcz z litej stali.

Ryszard przez długą chwilę przyglądał się Henrykowi i kiwnął głową.

- Świetnie, zrób to. Coś jeszcze?

- Tak. Saraceni przejęli wszystkie frankońskie fortyfikacje i miasta w Zamorzu, co oznacza, że będziemy je musieli odzyskać przez oblężenie.

Chciałem poinformować cię, że będziemy do tego potrzebowali machin oblężniczych, lecz omówiliśmy to dziś rano i wygląda na to, że sprawa jest już załatwiona.

- Zgadza się. Tak naprawdę potrzebujemy szkoleń i szkolących, zarówno dla piechoty, jak i dla łuczników. Oto, co zrobimy. Spędzisz tę noc ze mną i opracujemy założenia i logistykę tych twoich nowych pomysłów. Potem sam zadbam o resztę i dopilnuję, aby wybrano właściwych ludzi do wcielenia tych zasad w życie. Tymczasem ty jak najszybciej wrócisz do domu i rozpoczniesz ćwiczenia nowego, znacznie powiększonego oddziału ludzi, którzy będą obsługiwać wszystkie rodzaje kusz. Na początku weź ochotników, najprawdopodobniej będą się najszybciej uczyć, lecz w miarę potrzeby zaciągaj kolejnych, z jakiegokolwiek źródła. Daję ci w tej sprawie wolną rękę. Podejrzewam, że nasi francuscy sprzymierzeńcy, a może nawet inni zechcą wysłać ci część swoich ludzi na szkolenie, teraz, kiedy możemy otwarcie używać tej broni przeciwko muzułmanom. Lecz najpierw powinni wysłać swoich najlepszych kowali do naszych zbrojowni w Andegawenii i Akwitanii, aby nauczyli się wytwarzać arbalety. - Pohamował się widząc wyraz twarzy wasala Claira. - O co chodzi?

Sir Henryk wyglądał na zdumionego.

-Wybacz, ale czy chcesz, abym wrócił do domu przed twoją koronacją czy po niej?

- Oszalałeś, Henryku? Przed nią, oczywiście. Ta nowa potrzeba jest zbyt ważna, aby odkładać ją o cały miesiąc, tym bardziej z po

wodu religijnych przebieranek. W ciągu tygodnia ma cię tu nie być.

178

Opowiem ci o koronacji, kiedy się ponownie spotkamy. A teraz jedźmy, chcę zacząć dziś wieczorem pracę nad tymi planami. - Ryszard wyciągnął rękę do Henryka i pomógł mu się podnieść. - Dobrze się spisałeś, Henryku... Nie zawiodłeś mnie. Obyś nigdy nie przestał myśleć w taki sposób. A teraz na koń.

5

bir Henryk Saint Clair siedział na koniu prosto, jakby kij połknął, spoglądając z platformy widokowej umieszczonej na szczycie wysokiej, nachylonej rampy. Przed nim rozciągał się w obie strony ogromny plac musztry, którego krańce ginęły w oddali. Za plecami Henryka górowały wysokie ściany oddzielonego od niego obronną fosą zamku w Baudelaire, które rzucały długie cienie na niego i tereny leżące przed nim. Obszar po prawej pełen był koni i jeźdźców, grupy rycerzy i formacje konnicy pogrążone były w ćwiczeniach. Henryka znacznie bardziej interesowało to, co dzieje się na lewej połowie pola, gdzie pozornie nieskończone rzędy kuszników - najbliższy z nich stał niemal bezpośrednio pod platformą - kierowały salwy pocisków w stronę ustawionych daleko przed nimi w rzędzie tarcz strzelniczych. Henryk wiedział, że dalej, za skupiskami łuczników, żołnierze Ryszarda ćwiczą ze swoimi śmiercionośnymi łukami angielskimi, lecz znajdowali się tak daleko, że Saint Clair ledwo ich widział. Tak jak konni, przykuli jego uwagę tylko na chwilę, ponieważ koncentrował się na kusznikach, jedynej przyczynie jego niespodziewanego powrotu do Akwitanii w połowie sierpnia poprzedniego roku. Teraz była połowa czerwca Roku Pańskiego 1190, a te dziesięć miesięcy minęło mu jak gwałtowny sen. Zadanie, które czekało na niego po powrocie do Poitiers, było ogromne, i Henryk nie wiedział, jak się do niego zabrać. Podczas pierwszego tygodnia po przyjeździe wysłał jednak grupy werbujących z Poitiers do każdego wasala Ryszarda w Akwitanii, Poitou i

Andegawenii, aby zorganizowały pokazy potęgi ich broni. Rekrutujący wystąpili w Tours, Angers, Nantes, Nevers, Bourges, Angouleme i Limoges, a także stu innych wioskach i osadach rozsianych między tymi miastami, a po każdej demonstracji ogłaszali, że książę Ryszard

szuka ochotników do swojego nowego, elitarnego korpusu artyleryjskiego. W ciągu pierwszego miesiąca tej kampanii do Poitiers przybył ponad tysiąc mężczyzn, a Henryk natychmiast zaprzągł do pracy swoich wytrenowanych andegaweńskich arbaletników, aby szkolili nowo przybyłych. Wtedy również rzemieślnicy w Poitiers i Tours zaczęli przysyłać pierwsze dostawy oręża: ci pierwsi dostarczali arbalety, a drudzy proste, lekkie i uniwersalne kusze. Tempo wytwarzania broni systematycznie rosło.

Teraz, po dziesięciu miesiącach ciężkiej pracy, Henryk miał tysiąc dwustu nowych, w pełni wyszkolonych kuszników — trzystu posługiwało się arbaletami - oraz ponad dwa tysiące nowych żołnierzy na różnych etapach szkolenia. Ponad czterystu z tej ostatniej grupy przysłał król Francji, Filip August, niezwykle uprzejmie prosząc, aby Henryk zechciał wyszkolić w imieniu Filipa zespół ludzi, którzy będą mogli po powrocie do Francji wyćwiczyć kolejnych.

Biorąc wszystko pod uwagę, Henryk miał poczucie, że jego wysiłki zdecydowanie się opłaciły. Tego ranka otrzymał wiadomos'ć, że Ryszard przybył do Francji tydzień wcześniej i że należy się spodziewać, iż książę, teraz koronowany król Anglii, przybędzie do Baudelaire po

południu tego dnia. Wieść ta skłoniła Saint Claira do zorganizowania rego masowego zgromadzenia jego nowych wojsk.

Henryk wiedział, że właśnie za sprawą tego wspaniałego placu musztry zaledwie dwa tygodnie wcześniej książę wykorzystał gościnność oraz obowiązek właściciela zamku, hrabiego okolicznych terenów, Edwarda de Balieula, i umieścił tu całą swoją armię. Saint Clair, który zaniósł hrabiemu wieść o tym, prowadząc za sobą armię króla, doskonale wiedział, że de Balieul nie pała za to do nich wdzięcznością. Jednak w promieniu stu mil nie było innego miejsca mogącego równać się z Baudelaire, które odpowiadało całkowicie celom Ryszarda, obfitowało w wodę pitną dla jego armii oraz pastwiska dla bydła i koni. Usytuowane na brzegu Loary, w pobliżu miasteczka Pouilly w Burgundii, które co roku dostarczało Henrykowi jego ukochanego złotego wina, Baudelaire leżało także o czterdzieści mil — trzy dni marszu - od Vezelay, miejsca zbiórki dla wszystkich kontyngentów, które ruszały w podróż do Ziemi Świętej.

Upewniwszy się, że wszystko jest tak, jak być powinno, Henryk /wrócił konia w lewo, gdzie mała, gęsto rozstawiona grupka ludzi

o zawziętych twarzach ćwiczyła z najcięższymi arbaletami, koncentrując się na załadowaniu nieporęcznej broni. Każdy z nich, wsadziwszy stopę w strzemię znajdujące się z przodu broni, trzymał ją mocno w pozycji pionowej i obiema rękami obsługiwał umieszczoną z tyłu korbę, która maksymalnie naciągała ciężką cięciwę. Czynność tę utrudniał ogromny

opór stalowego łuczyska. Saint Clair przyglądał się im, aż musztrujący ich mężczyzna zobaczył go i podszedł.

- Marszałku - powiedział niskim, głębokim głosem, zupełnie in nym od agresywnego wrzasku, którym poganiał i karcił uczniów - mam nadzieję, że jesteś zadowolony z tego, co dziś zobaczyłeś.

Henryk kiwnął głową.

- Dość zadowolony, Rogerze. A ty? Czy twoi francuscy uczniowie robią postępy?

- To zależy, co się przez to rozumie... - Uniósł dłoń i podniósł głos do swojego zwykłego napastliwego tonu. -Ty tam, Bermond! Przyłóż się, człowieku. Nie można tracić z nimi czasu. Jeśli będziesz zbyt powolny, zginiesz, zanim znów ją uniesiesz. Masz wystrzelić dwa bełty co minutę, a nie jeden co dwie!

Mężczyzna, na którego krzyczał, zaczął pracować dwukrotnie ciężej, a jego ramiona pracowały zajadle przy rączkach korby. Sir Roger de Bohen wrócił do przerwanej rozmowy.

- Między innymi z tym muszę sobie radzić. Myślą, że poniża się ich dlatego, że są Francuzami, i ciągle mamroczą, że Andegaweńczycy niesprawiedliwie mają przewagę, ponieważ używają tej broni od lat, mimo że ci ludzie są tak samo niedoświadczeni w kwestii tego oręża jak Francuzi.

- No, Rogerze, to nie do końca prawda. Andegaweńczycy są z kuszą trochę zaznajomieni. Francuzi zaś nie widzieli kuszy na oczy.

Roger de Bohen i Henryk Saint Clair znali się i szanowali od dwu-

dziestu lat, więc rozmawiali jak przyjaciele.

- Dzielisz włos na czworo, Henryku, i mylisz się - powiedział de Bohen cicho, aby nikt ich nie podsłuchał. - Ci Francuzi mają wrażenie, że źle się ich traktuje, ponieważ mimo że wszyscy zaczynają od zera i żadna strona nie ma przewagi, nie są nawet w części tak dobrzy jak Andegaweńczycy i w tym tempie wykształcenie u nich jakiejkolwiek gotowości bojowej potrwa miesiące.

- Ale nauczą się, prawda?

- Pytanie brzmi: czy dość szybko?

Saint Clair odprowadził de Bohena wzrokiem, spiął konia kolanami i skierował się w lewo. Tam formacje angielskich łuczników Ryszarda wystrzeliwały zmasowane salwy strzał, które spadały na wyznaczoną strefę jak ściany targanego wiatrem deszczu.

Łuki angielskie potrafiły szyć strzałami z dużych odległości, lecz Saint Clair oczekiwał od swoich kuszników średniej mocy rażenia wzmacniającej działanie łuków: krótsze, lecz nie mniej śmiercionośne salwy, wystrzeliwane na wprost po niskich trajektoriach. Już od miesięcy pracował nad trenowaniem zwartych, skoordynowanych formacji kusz o krótkim i średnim zasięgu, które działałyby wspólnie z mniejszymi, lecz o wiele mocniejszymi drużynami arbaletników. Oddziały te mogłyby wytworzyć dostatecznie śmiercionośną blokadę, aby uniemożliwić ciągły atak słynnym oddziałom lekkich sara-ceńskich łuczników, co zwiększyłoby szanse chrześcijańskiej piechoty i rycerzy.

Taka przynajmniej była teoria Henryka i zdawał sobie sprawę, że od jej powodzenia zależy jego reputacja.

Z daleka po lewej dał się słyszeć odgłos wiwatów. Saint Clair usłyszał, jak stojący niedaleko angielski żołnierz wykrzykuje imię króla, podprowadził więc konia do miejsca, skąd było widać nadejście Ryszarda. Po raz kolejny w ciągu kilku ostatnich miesięcy naszła go refleksja o pewności siebie i majestacie promieniujących z tego monarchy, który, choć spędził w Anglii znaczną część dzieciństwa, zawsze żywił do niego pogardę i prawie nie mówił w języku swoich poddanych, u jednak porwał wszystkich wojowników tego walecznego narodu, pobudzając ich do spontanicznych wiwatów, kiedy tylko przejeżdżał.

Dzisiaj, jak miał w zwyczaju, kiedy spotykał się z własnymi żołnierzami, król jechał bez oficjalnej eskorty. Towarzyszyli mu tym razem jedynie dwaj rycerze i dwaj giermkowie. Jeden z nich niósł królewski miecz ze złotą rękojeścią i pochwą lśniącą od kamieni szlachetnych, a drugi - płaski, stalowy hełm króla, którego wypolerowaną krawędź otaczał złoty diadem. Ryszard ściągnął kaptur kolczy i jego długie, ałotorude włosy powiewały na wietrze. Miał na sobie przepyszną pelerynę z karmazynowego jedwabiu przetykanego złotą nicią o połach Wrzuconych przy tej okazji na ramiona, co ukazywało białą opoń-£££ę z czerwonym krzyżem wojownika świętej wojny, a nie sztandarem świętego Jerzego zdobiącym zazwyczaj pierś jego tuniki: trzema

złotymi lwami o wydłużonych sylwetkach z podniesionymi prawymi

łapami na polu o kolorze jaskrawego szkarłatu. Pod opończą nosił pełną, lśniącą kolczugę, a jego lewe ramię przykrywała tarcza bojowa, na której jaskrawoczerwonym polu widniał czarny lew stojący na tylnych łapach i zwrócony w lewo.

Dla jego ludzi i reszty świata Ryszard Plantagenet był w każdym calu królem-wojownikiem, lecz Henryk przestał zwracać na niego uwagę po badawczym spojrzeniu szacującym nastrój monarchy; uznał, że jest on zadowolony. Potem zatrzymał wzrok na rycerzu jadącym po prawicy króla, jego własnym synu, Andrzeju Saint Clairze. Spodziewał się powrotu Andrzeja, ponieważ pracował on teraz na stałe jako pośrednik między dowódcą floty, de Sablem, a królem. Henryk nie widział go od wielu miesięcy i z ulgą zauważył, że młodzieniec wygląda na starszego i bardziej dojrzałego oraz pełnego szczęśliwej beztroski. Zauważył też, że jego syn wciąż ma na sobie własną rycerską opończę z herbem rodu Saint Clair, co oznaczało, że czymkolwiek jeszcze się zajmował, nie zdążył wstąpić do Zakonu Świątyni. Przez chwilę Saint Clair czuł ogromną dumę z syna, wyczekując prostej przyjemności siedzenia u jego boku, przysłuchiwania się jego głosowi i temu, co mówi, ale się opanował i dźgnął konia ostrogami.

Ryszard zauważył, jak nadjeżdża, i przywitał go okrzykiem *z* oddali. Choć Henryk nie mógł dosłyszeć słów króla, z szerokiego gestu, jaki Ryszard wykonał w kierunku Andrzeja, wywnioskował, że król pokazuje mu, jak bardzo jest troskliwy, przywożąc ze sobą jego syna. Henryk zszedł z konia i poczekał, aż drużyna króla zrówna się z nim.

Postąpił do przodu i podniósł zaciśniętą pięść do serca, pozdrawiając swojego pana lennego. Ryszard spojrzał w dół i uśmiechnął się do niego.
- Henryku Saint Clair, stary przyjacielu. Siedzimy w siodłach cały dzień i potrzebujemy odpoczynku... a także pobudzenia. - Wyprostował ramię dzierżące tarczę, a drugą ręką manipulował przy zapięciu peleryny. - Tomkin! Weź to, szybko. - Kiedy jeden z młodych giermków wziął tarczę i pelerynę monarchy, Ryszard mówił dalej. - Wyglądasz krzepko i zdrowo, Henryku, i zewsząd słyszę opowieści, że twoja praca tutaj jest najwyższej próby. No! - Wstał w strzemionach, rozprostowując ramiona i napinając mięśnie pleców. - Przypominam sobie, że obiecałem opowiedzieć ci o koronacji, kiedy ponownie się

spotkamy... Bez wątpienia dyszysz z ciekawości, żeby się wszystkiego dowiedzieć.
Przyjrzał się twarzom otaczających go ludzi i wybuchł śmiechem.
- Cóż, przyjacielu. Miałeś szczęście, że przy tej okazji byłeś da leko. Była ona nużąca, Henryku, nużąca. Nieprawdaż, sir Andrzeju? Oczywiście poza chwilą, kiedy poczułem, że korona spoczywa pew nie na mojej głowie. Dzięki temu jednemu momentowi cała ta spra wa była warta zachodu. Lecz reszta *tej* imprezy była niewiarygodnie nudna, pełna pomruków po łacinie i uroczystych pieśni śpiewanych w śmierdzących kłębach kadzidła. - Spojrzał w dal zmrużonymi z za interesowania oczami. - Niech mnie diabli, to Brian. — Rzucił po nownie okiem na Henryka z wyraźną niecierpliwością. - Przyjacielu,

muszę pomówić z moim angielskim dowódcą, Brianem z Yorku. To nie powinno długo potrwać.

Dźgnął konia ostrogami, a Henryk spojrzał na swego syna, który przyglądał mu się wyczekująco.

- Jak sądzisz? Dołączymy do króla? - zwrócił się do młodzieńca.

Andrzej uśmiechnął się i wzruszył ramionami. Przez moment Henrykowi się wydawało, że widzi w oczach syna niuans czegoś niespodziewanego, niemal goryczy, lecz kiedy przyjrzał się uważniej, niczego nie dostrzegł.

-Jeśli, jak podejrzewam, ma zamiar walczyć pieszo z angielskimi żołnierzami - mówił Andrzej - nie powinniśmy przegapić tego widowiska, ponieważ słyszałem, że robi to dość dobrze. — Pochylił się w siodle, wyciągając dłoń do Henryka, który uścisnął ją serdecznie. -1)zień dobry, ojcze. Pozwól, że przedstawię ci sir Bernarda de Tremelay, który dołączył do nas w Orleanie.

Sir Henryk skinął kordialnie przybyszowi.

- De Tremelay z Orleanu, powiadasz? Czy nie było kiedyś mistrza Zakonu o tym nazwisku, który pochodził z Burgundii?

- Sir Bernard de Tremelay. - Nieznajomy przytaknął z uśmiechem. - Masz świetną pamięć, sir Henryku. To było ponad trzydzieści lat temu, a zajmował on pozycję mistrza zaledwie przez rok. Był starszym bratem mojego dziada. Za młodu wiele o nim słyszałem, ponieważ bardzo go szanowano, lecz nigdy go nie spotkałem. Czy dołączymy do króla?

Trzech mężczyzn pobędziło wierzchowce w stronę miejsca, gdzie król wraz z dwoma giermkami zeszli z siodeł przed małą grupką klęczących angielskich żołnierzy. Kiedy przybyli, Ryszard podnosił ich właśnie z klęczek, ze śipiechem poklepując ich niewygodne ochraniacze.

- ...na nogi - mówił. - Wojownik nie musi przed nikim klękać. Kolano ugięte od czasu *do* czasu może oznaczać przysięgę składaną podczas hołdu lennego, lecz kolano, które ugięte jest cały czas, oznacza poddaństwo, i nie zniosę tego u ludzi, którzy są moimi przyjaciółmi. Brian! - zawołał do instruktora, jedynego spośród Anglików, który nie był w ochraniaczach. - Wybierz mi trzech najlepszych z tej grupy. Nie, czekaj. To byłoby... nierozważne. Sam wybiorę i zaryzykuję. Będziesz nadzorował walkę. — Przyjrzał się badawczo dwunastu zdumionym mężczyznom i uniósł rękę. - Słuchajcie wszyscy. Wybiorę trzech z was i będziemy walczyć. Trzy pojedynki do pierwszego upadku lub solidnego ciosu. Brian będzie sędziował. - Obdarzył wszystkich promiennym uśmiechem. - Lecz uważajcie: ktokolwiek będzie na tyle głupi, aby się powstrzymywać, chcąc oszczędzić mój królewski majestat i godność, będzie przez kolejne dwa tygodnie kopał latryny. Czy to jasne? Lepiej, żeby tak było. Chcę pokonać wszystkich trzech w sprawiedliwej, uczciwej walce, ponieważ jestem lepszym wojownikiem. A jeśli będziecie umieli pobić mnie, pokonać, przewrócić mnie na tyłek w błoto, lepiej, żebyście to zrobili, ponieważ nie podziękuję wam, jeśli będziecie obrażać mnie, powstrzymując ciosy. Poza tym mam złotą monetę dla

każdego, kto mnie pobije... a nawet trzy, jeśli będzie trzeba. - Potoczył wzrokiem po wszystkich, patrząc każdemu w oczy, po czym wybrał przeciwników trzema ruchami palca wskazującego. -Ty, ty, i ty, walczmy. Niech ktoś pożyczy mi pałkę i do dzieła.

Wieść rozeszła się szybko, ponieważ sposób zachowania króla względem jego żołnierzy był ogólnie znany, i nawet zanim on i jego przeciwnik stanęli twarzą w twarz przed pierwszym pojedynkiem, tłum otoczył ich tak ciasnym kręgiem, że pozostałych dziewięciu żołnierzy z grupy Briana musiało zająć się tworzeniem kordonu ochronnego, odpierającego napór tłumu, aby walczący mieli miejsce na swobodne poruszanie się. Lecz dziewięciu nie poradziło sobie z utrzymaniem w ryzach falującego tłumu. Walcząc o lepsze miejsce, ci, którzy stali z tyłu, popychali ludzi stojących przed nimi do przodu,

i wkrótce sir Henryk sam musiał zwerbować kolejnych “ochotników" do powstrzymywania tłumu.

Pierwszy pojedynek zaczął się niewinnie: obydwaj mężczyźni ruszyli po okręgu w lewo, balansując z łatwością na palcach, z pałkami gotowymi do ciosu i oczami wlepionymi w siebie nawzajem. Wypatrywali najmniejszej oznaki zbliżającego się ataku, oceniając i interpretując każdą zmianę pozycji i wyrazu twarzy. Żołnierz, wysoki, barczysty młodzian o imieniu Will, który - Saint Clair mógłby przysiąc - nie miał nawet dwudziestu lat, cechował się masywnymi ramionami i nadgarstkami człowieka posługującego się łukiem angielskim i

wyglądało na to, że stawanie z jego własnym królem oko w oko w pojedynku nie robi na nim wrażenia. Był opanowany, spokojny i nie okazywał cienia przestrachu, kiedy poruszał się swobodnie i płynnie w harmonii z Ryszardem, na lekko ugiętych, gotowych do skoku kolanach. Henryk nie był zaskoczony, że to król wykonał pierwszy ruch, rzucając się do przodu i w prawo. Gwałtowne ruchy trzymanej przez niego pałki przeobraziły ją nagle w wirującą smugę zadającą z trzaskiem bezlitosne ciosy, których siła mogłaby złamać kość, gdyby napotykały cokolwiek poza bronią przeciwnika. Na pewno zmusiłyby większość ludzi do cofnięcia się i poddania, lecz młody żołnierz nie ustępował. Zdecydowanie stawił czoło atakowi, z łatwością, pozornie bez wysiłku odparowując i amortyzując grad ciosów, tak że Ryszard wkrótce zatrzymał się w pół wymachu, a potem skończył starcie, odskakując i lądując lekko na palcach. Młodszy mężczyzna natychmiast zaatakował go, nie dając mu chwili wytchnienia, i przez chwilę wypełnioną młóceniem pałkami zadającymi szybkie ciosy oraz stłumionymi stęk-nięciami Ryszard był w defensywie, a nawet cofnął się pod nieubłaganą siłą natarcia młodego Willa. Odzyskał jednak przewagę, zmyślnie pozorując atak i niemal rozbrajając przeciwnika ciosem, który zmusił łucznika do zwinnego obrotu w prawo. Obrót ten, dzięki któremu cudem uniknął nieprzewidzianego ciosu, mógł zakończyć potyczkę, ponieważ pechowo wystawił plecy łucznika na straszliwe uderzenie, które nastąpiło, kiedy król wykonał pełny piruet i przedłużył trajektorię swojego ciosu zza głowy w potężny, imponujący zamach. Jednak dzięki

pewnemu i szybkiemu unikowi młody łucznik znalazł się poza zasięgiem Ryszarda, więc zamiast uderzyć go prosto między ramiona,

czubek pałki krpla jedynie musnął środek ciężkiego ochraniacza kryjącego plecy Willa, ześlizgnął się z niego i mocno uderzył o ziemię, co dało młodzieńcowi okazję, aby dojść do siebie i odzyskać równowagę. Potem żaden nie chciał ryzykować i przez chwilę raz jeden, raz drugi brał górę i próbował przejmować inicjatywę, lecz ten stan rzeczy nie mógł trwać długo. Ryszard Plantagenet wykonał zwód w prawo i skoczył w lewo, znów kierując cios w dół w nadziei, że zaskoczy przeciwnika. Łucznik zmierzył się z nim i wytrącił mu pałkę z rąk, wzbudzając u przyglądającego się tłumu stęknięcie zaskoczenia, po którym zaraz nastąpił ryk aprobaty.

Mimo że bezbronny i wstrząśnięty, Ryszard nie dał przeciwnikowi ani chwili na pogłębienie przewagi, lecz rzucił się do przodu, wykonując przewrót w kierunku leżącej na ziemi pałki i niemal zahaczając po drodze o nogi Willa. Żołnierz zmuszony był odstąpić na bok, kiedy król przemknął wprost pod jego ramionami i zrywając się na nogi, chwycił swoją pałkę. Był to spontaniczny, nieprzewidywalny, genialny wyczyn, dzięki któremu żołnierze wszystkich rang tak uwielbiali króla, ruch tak niespodziewany, lecz pełen pewności, że ponownie uzbrojony król znów zaatakował, zanim ktokolwiek, włącznie z jego przeciwnikiem, otrząsnął się z zaskoczenia. Powalił młodego Willa potężnym ciosem w udo, który zmiażdżył jego ochraniacz i sparaliżował nogę, co spowodowało, że

łucznik padł bokiem na kolana, oparł się dłońmi o ziemię i zwiesił głowę. Kiedy Ryszard przycisnął czubek pałki do jego karku, nie mógł zrobić nic innego, jak tylko się poddać.

Przyglądający się żołnierze oszaleli z entuzjazmu, kiedy Ryszard uśmiechnął się szeroko i z galanterią pomógł wstać swojemu sponiewieranemu, pokonanemu przeciwnikowi, udając, że ledwie dyszy i prawie nie ma już sił. Jednak już wyprowadzając młodego Willa z miejsca potyczki, wzywał drugiego człowieka, aby stanął z nim w szranki.

Następny pojedynek był krótszy i mniej porywający, być może dlatego że Ryszard promieniał radością ze zwycięstwa i entuzjazmem, być może dlatego ż|e drugi żołnierz był strwożony tym, co już zobaczył. Jakikolwiek był powód, zaledwie chwilę po rozpoczęciu przeciwnik legł ciężko na wznak, bez tchu i zmysłów: nie przewidział i nie odparował żadnego z trzech ciosów, które spadły na niego w okamgnieniu i sprawiły, że stracił przytomność.

Trzeci człowiek postąpił do przodu wolno i rozsądnie. Jego sylwetka była wyprostowana z wyjątkiem lekko ugiętych kolan, które sprawiały wrażenie, jakby odrobinę przykucał. Trzymał pałkę obiema rękami w poprzek klatki piersiowej i patrzył na Ryszarda głęboko osadzonymi, zmrużonymi oczami. Ryszard, który stał naprzeciw niego w swobodnej pozie, odwzajemnił spokojnie jego spojrzenie, trzymając pałkę luźno jedną ręką i opierając ją o ramię. Henryk wiedział już, że trzeci przeciwnik nosi imię Sokole Oko - usłyszał, jak wykrzykują je jego

przyjaciele - i patrząc teraz na jego twarz, rozumiał, skąd wzięło się przezwisko. W tym człowieku było coś z ptaka drapieżnego: niska linia włosów formowała trójkąt pośrodku jego czoła, miał wielki, wąski orli nos, a pod prostymi brwiami widać było rozszerzone, czarne źrenice.

Ci dwaj nie szukali pozycji. Stali na wprost siebie, oddychając głęboko, i żaden z nich nie podejmował próby rozpoczęcia turnieju, zadowalając się na razie mierzeniem przeciwnika wzrokiem. W miarę upływu chwil nad tłumem gapiów zapadła cisza. Nagle obaj zerwali się do akcji, pokonując susami dzielącą ich przestrzeń. Od tego momentu powietrze wypełniało twarde staccato drewna uderzającego o drewno, kiedy walczący okładali się mocno i szybko, szukając luk w szczelnej linii obrony przeciwnika. Potem, między jednym ciosem a kolejnym, Sokole Oko odskoczył od starcia, lądując w przysiadzie, po czym natychmiast rzucił się znów do przodu, zaskakując przeciwnika w momencie, kiedy ten miał ruszyć za nim w pogoń. Henryk niemal poczuł wstrząs wywołany zderzeniem ich ciał, lecz Sokole Oko miał przewagę impetu i zaskoczenia i Ryszard zatoczył się do tyłu. Uderzył niezgrabnie piętą o wystający z nierównej ziemi kamień i nie mogąc odzyskać równowagi, upadł ciężko na plecy. Rozrzucił ramiona, a ciężka pałka wypadła z jego uścisku.

To oznaczało zwycięstwo jego przeciwnika i nikt z przyglądających się nie wątpił w to, a jednak gdy Sokole Oko zdał sobie z tego sprawę, zawahał się. Trwało to chwilę, zaledwie okamgnienie, lecz Henryk, a wraz z nim każdy inny obecny tam człowiek, dostrzegł je wyraźnie. Na

najkrótszą chwilę człowiek nazywany Sokolim Okiem przypomniał sobie o tożsamości przeciwnika, którego miał właśnie pokonać, po czym zebrał myśli i rzucił się, aby zadać ostateczny cios. Lecz było już za późno. W tej decydującej sekundzie Ryszard — niewyobrażal-

nie wyćwiczony w robieniu rzeczy niemożliwych - podciągnął kolana do klatki piersiowej, odchylił się daleko, po czym płynnym ruchem wyrzucił silne nogi do góry, odbił się od ziemi i wypychając tułów do góry z wyprostowanymi ramionami, jak akrobata, zmusił swoje ciało do ponownego zajęcia pozycji stojącej. Był to fantastyczny wyczyn sprawności fizycznej, lecz nie ukończył go, ponieważ zanim mógł odzyskać równowagę, jego ciało zderzyło się z ciałem Sokolego Oka, który uniósł ramiona do zadania ostatecznego ciosu. Ryszard, natychmiast akceptując przeszkodę, chwycił obiema rękami zbroję Sokolego Oka przy szyi, uniósł stopę, wpakował ją ponad krocze przeciwnika i rzucił się do tyłu i w dół, ciągnąc ze sobą żołnierza, po czym cisnął nim dalej mocnym pchnięciem zgiętej nogi, przerzucając go wysoko nad głową. Sokole Oko wylądował ciężko, obrócił się na brzuch i przestał się ruszać. Wśród tłumu otaczającego pole walki zapanowała cisza i bezruch. Jedyne odgłosy wydawał sam Ryszard, gdy stanął chwiejnie na nogach i wyprostował się, patrząc na nieruchome ciało Sokolego Oka. W końcu machnął ręką w stronę pokonanego przeciwnika.

- No, na gardło Boga, zaniemówiliście wszyscy? Żyje czy go zabi

łem?

Jego słowa odczyniły urok, który ogarnął zgromadzonych, i po chwili ludzie stłoczyli się dookoła leżącego na ziemi mężczyzny.

- Oddycha! - krzyknął ktoś. - Żyje! Uważajcie. Odsuńcie się, niech ma trochę świeżego powietrza.

Kiedy Sokole Oko uniósł powieki, znajdował się w środku kręgu sympatyków, a u jego boku klęczał sam Ryszard, król Anglii, który uśmiechnął się do niego i przemówił. Sokole Oko nie był jednak jeszcze całkiem przytomny i nie pojął nic z tego, co mówił monarcha. Ryszard nagrodził go trzema złotymi monetami — było to największe bogactwo, jakie Sokole Oko kiedykolwiek trzymał w dłoni i jakie dane mu było w życiu widzieć. Król jednak posunął się jeszcze dalej, w akcie niespotykanej wielkoduszności ofiarowując dwóm pozostałym wojownikom po srebrnej monecie, jak powiedział, na znak wdzięczności za ich lojalność i przyjaźń.

Henryk Saint Clair znał cały ten rytuał od wielu lat i “nieprze-widziane" okoliczności dawno już przestały robić na nim wrażenie. Lecz gdy spojrzał na syna, ujrzał zmarszczone lekko czoło. Grymas

był ledwo widoczny, rozpoznawalny tylko dla człowieka, który przez całe życie z czułością przyglądał się twarzy swojego jedynego dziecka. Co on oznaczał? Pogardę, podejrzenie, dezaprobatę, otwartą antypatię? Henryk uznał, że może to być każda z tych emocji. Od niechcenia zawrócił konia, opierając się pokusie ponownego spojrzenia na syna. Postanowił jednak przy najbliższej okazji dowiedzieć się, co tak

zmieniło opinię Andrzeja o jego obrońcy i wybawicielu, królu, który jeszcze niedawno był jego bohaterem.

Komnata przydzielona Henrykowi Saint Clairowi była wygodnie wyposażona, jak przystało na kwaterę marszałka polnego. Była dość przytulna i zabezpieczona przed przeciągami. Jej podłogę, obsypaną świeżym tatarakiem z wyjątkiem okolic kominka, tworzyły starannie dopasowane kamienie. Na wysokich, nagich ścianach wisiały ciężkie gobeliny, meble były solidnie i dobrze zbudowane, a dębowe łoże stało wysoko nad podłogą. Kiedy Sir Henryk otworzył drzwi z zewnątrz i przytrzymał je, aby Andrzej wszedł do pokoju przed nim, zastał już w środku Ectora, swojego ochmistrza. Nadzorował on służącego dokładającego do ognia w palenisku i rzucał strofujące spojrzenia dwóm innym, którzy stawiali na stole jadło i napitek. Kiedy w końcu zamknęły się za nimi drzwi, Ector skłonił się Henrykowi.

- Czy coś jeszcze, panie?

Henryk pokręcił głową i odprawił go ruchem ręki.

- Idź spać, Ectorze. Nie będę cię już dziś potrzebował.

Tymczasem Andrzej, zdjąwszy opończę i odpasawszy miecz, położył je na brzegu zastawionego stołu i ignorując jedzenie, delektował się bukietem ulubionego wina ojca nalanego do srebrnego dzbana o długiej szyjce. Henryk również się rozdział i usiadł na krześle przy ogniu.

- Powiedz mi więc - powiedział bez wstępów - co poróżniło cię z naszym panem lennym, Ryszardem? I nie próbuj nawet udawać, że nie wiesz, o czym mówię.

Andrzej Saint Clair przestał nalewać wino do dwóch cynowych kielichów i odstawił dzban. Powoli się wyprostował i splótł ręce pod brodą.

Henryk czekał cierpliwie. Andrzej przypatrywał się ojcu przez dłu-

gą chwilę, po czym przechylił lekko głowę w bok i wrócił do nalewania wina, po czym bez słowa podał ojcu jeden kielich, zajął drugie krzesło i spojrzał w płomienie buzujące w palenisku.

- Teraz, kiedy zaznałem już angielskich chłodów i deszczu, dziwi mnie, że podczas letniej nocy w środku Francji trzeba ognia.

-Tak, lecz nie jesteśmy w środku Francji, tylko starego kamiennego zamku w zachodniej Burgundii. Jest ciemny, wilgotny, pełen przeciągów i schowany przed słońcem. Tutaj zawsze jest zimno. A ty unikasz mojego pytania.

- Nie, ojcze, nie unikam. - Andrzej podniósł oczy na ojca. - Po prostu nie znalazłem jeszcze słów, aby poprawnie na nie odpowiedzieć.

- Jak to? Czy to takie trudne? Jesteśmy tu sami, więc bez względu na to, co powiesz, nie ryzykujesz, że ktoś postawi ci zarzuty nieposłuszeństwa czy braku lojalności. Coś poróżniło cię z królem... tyle wiem po prostu dlatego, że ci się przyglądam. Lecz Ryszard był dla ciebie uprzejmy, kiedy spotkaliśmy się dzisiaj, więc cokolwiek między wami zaszło, nie mogło być poważne. W innym wypadku byłbyś zapewne za kratami i w niełasce.

-Tak, lub nawet stracony... To prawda, ojcze. Lecz pamiętaj, że sam

mnie ostrzegałeś, abym ukrywał dezaprobatę, gdybym kiedykolwiek napotkał coś, co mogłoby ją wywołać. - Wzruszył ramionami. — I tak się stało. Było to coś... niesmacznego. Coś, czego nie szukałem ani czego nie spodziewałem się znaleźć.

- Coś niesmacznego. Nic więcej?

- Nic, chyba że zacznę o tym rozmyślać, a staram się tego nie robić, ponieważ wtedy mój niesmak urasta do antypatii.

- Hmm. Powiedz mi więc o tym niesmacznym epizodzie.

Twarz Andrzeja stężała.

- Nie był to epizod, ojcze, lecz coś o wiele więcej. Okazało się, że bezustannie odczuwam niesmak w związku z tym człowiekiem. Ma rys... wadę, do której tolerowania nie mogę się zmusić.

Patrząc na syna i widząc zimną, surową niechęć na jego twarzy, Henryk poczuł, jak mu się włos jeży na karku, kiedy wyobrażał sobie mroczne, groźne widmo notorycznego homoseksualizmu Ryszarda, majaczące za głową Andrzeja i obscenicznie gestykulujące.

- Czy czujesz nienawiść do Żydów, ojcze?

- Co? - Pytanie to było tak zupełnie odmienne od tego, czego spodziewał się Henryk, że niezgodność ta wytrąciła go z równowagi. — Czy...? Nie, nie czuję nienawiści do Żydów. — Zawahał się i wypalił: - Co cię to obchodzi? Dlaczego pytasz mnie o coś takiego?

- Wybacz mi. Okazuje się, że większość ludzi ich nienawidzi. Nazywają ich mordercami Chrystusa. - Zmarszczył brwi, a kiedy odezwał się

ponownie, jego głos był cichszy. - Ryszard... Ryszard nie lubi Żydów.
Henryk poczuł, jak gdzieś głęboko ulga rozwija się w nim jak płatki kwiatu.
- Rozumiem. I to budzi twój niesmak? - Pokiwał poważnie głową, nie spodziewając się, że Andrzej odpowie. — No cóż, nie jest to rzadka opinia, prawda? Lecz mimo to, biorąc pod uwagę twoją wygórowaną opinię o tym człowieku, zrozumiałe jest, że możesz być rozczarowany, szczególnie jeśli nie ukrywa swojej niechęci. Lecz nienawiść do Żydów wszędzie jest czymś w rodzaju towarzyskiej rozrywki, nie tylko tutaj, w Andegawenii czy Akwitanii, lecz w całym świecie chrześcijańskim. Sam Kościół zezwala na to, a nawet podżega do tego. - Przerwał zamyślony. - Muszę więc zapytać cię o to: czy rozrywka ta wydaje ci się tak samo niesmaczna wszędzie, gdzie ją napotykasz, czy tylko u Ryszarda?
- On jest królem, ojcze. Daje przykład wszystkim poddanym. A w Anglii wielu z nich jest Żydami.
- No, no! - Henryk uniósł rękę. - Powściągnij się. Wielu ludzi sprzeciwiłoby się temu. Znajdziesz wielu ludzi gotowych głośno powiedzieć, że Żydzi są Żydami, niczym więcej i niczym mniej, niezależnie od tego, gdzie są. Zamykają się w granicach swojej dziwnej religii i prowadzą skryte życie, kierując się własnymi celami, unikają lowarzystwa nie-Żydów, lecz prosperują dzięki lichwiarskim interesom z chrześcijanami, nie są winni posłuszeństwa nikomu ani niczemu związanemu z chrześcijaństwem. Z tych powodów angielscy Żydzi zawsze pozostaną Żydami i nigdy nie będą Anglikami, tak jak ich

mieszkający tutaj współwyznawcy nigdy nie będą Andegaweńczykami czy Akwitańczykami, ani nawet Francuzami.

Kiedy Henryk mówił, Andrzej wlepiał w niego zmrużone oczy, po czym kiwnął głową.

- Można by tego dowodzić... ale czy zrobiłbyś to, ojcze? Czy wierzysz w to?

Henryk zbył pytanie ruchem ręki.

- To nie ma znaczenia, choć w istocie nie wierzę w to od lat. Zajmujemy się teraz tobą i twoimi poglądami, ponieważ wygląda na to, że nie pasują one do poglądów króla. Zajmijmy się więc tym.

Andrzej nie patrzył ojcu w oczy, kiedy uniósł kielich i wypił niemal połowę jego zawartości.

- Zajmijmy się tym, powiadasz. Lecz zdaje się, że nie jestem w stanie zająć się tym rozsądnie, przynajmniej na razie.

Teraz Henryk odwrócił się i spojrzał w płomienie, zbierając myśli, zanim mógł poddać je pod rozwagę synowi.

- Czy opowiadałem ci kiedykolwiek o Karelu?

- Kareł z Dalmacji, Madziar, twój nauczyciel z lat chłopięcych.

-Andrzej uśmiechnął się. - Tak, wielokrotnie, lecz nie wspominałeś o nim od lat, od czasu kiedy byłem mały. Pamiętam, że często mawiałeś, iż Kareł jest kimś o wiele więcej, niż pozwala domyślać się ludziom.

- Większość ludzi, patrząc na niego, widziała cudzoziemca: dziwnie wyglądającego człowieka o bujnych włosach, wąskich oczach i beł-

kotliwym sposobie mówienia. Nigdy nie przyszło im do głowy, aby spojrzeć poza pozory, które podtrzymywał. To było wszystko: fasada, maska kryjąca prawdziwego Karela przed ludźmi, których uważał za głupców.

Andrzej przechylił głowę z łagodnym rozbawieniem w oczach.

- Domyślam się zatem, że uważał większość ludzi za głupców?

- Tak. Wedle jego kryteriów miał rację, ponieważ Kareł utożsamiał głupotę z frywolnością, a większość ludzi woli ją od ciągłej powagi. Wiesz, na długo przedtem, nim choćby pomyślał o tym, by zostać żołnierzem, był prawnikiem. Pochodził z bogatej i wpływowej w jego kraju rodziny. Jakiś biskup zauważył go, rozpoznając jego talent już w latach chłopięcych, i wysłał go do Rzymu, aby odebrał wykształcenie na dworze papieskim. Okazało się, że ma głowę do kwestii prawnych, i szybko wyrobił sobie imię, osiągając wysokie stanowisko w bardzo młodym wieku, jak sam przyznawał wiele lat później... — Urwał, wahając się, lecz wciąż uśmiechał się tym samym dziwnym uśmiechem.

-Podejrzewam teraz, choć jest to zaledwie podejrzenie, niepoparte żadnym dowodem, że kiedy zakończył karierę, mógł być księdzem lub nawet biskupem, i nie zdziwiłbym się, gdyby powiedziano mi,

że zajmował jeszcze wyższe stanowisko. W każdym razie stało się coś bardzo złego. Coś, czego dowiedział się lub doświadczył w Rzymie, i wzbudziło to w nim obrzydzenie. Odszedł, zostawił za sobą to miasto oraz wszystko, co ono dla niego znaczyło, i ukrył się w absolutnych

ciemnościach, w ostatnim miejscu, gdzie komukolwiek przyszłoby do głowy szukać kleryka lub prawnika... lub, jeśli o to chodzi, biskupa. Został żołnierzem zaciężnym. Było to w Niemczech, w roku tysiąc sto trzydziestym trzecim. Zawarł kontrakt, na mocy którego miał walczyć w imieniu niemieckiego możnowładcy, Konrada Hohenstaufa, który potem został królem Konradem Trzecim. Kareł służył w armii Konrada przez dwanaście lat, po czym odszedł z nieznanych mi powodów. Wstąpił do służby Konrada jako prawnik-uciekinier, a odszedł z niej dwanaście lat później jako wielce szanowany dowódca. Wtedy pojawił się w moim życiu. Mój ojciec poznał go wiele lat wcześniej, gdzieś w Niemczech, i zaprzyjaźnili się, Bóg jeden wie jak i dlaczego. W każdym razie kiedy zrezygnował ze stanowiska u króla niemieckiego, odszukał mojego ojca i został jego rycerzem zaciężnym, którego zadaniem było szkolenie zbrojnych rodu Saint Clair w używaniu nowoczesnego oręża. Przez kolejne dziesięć lat szkolił mnie, na swój wyjątkowy i niepowtarzalny sposób. Andrzej słuchał uważnie.

- Masz na myśli, że dał ci wykształcenie czy że nauczył cię wal

czyć?

Jego ojciec wzruszył ramieniem.

-Jedno i drugie, nie ma różnicy. Kareł nie tworzył podziałów w tym, co robił. Nie widział różnicy między nauką walki a nauką pisania. Mawiał, że narzędzia, których używamy do tych zadań, mogą wydawać się odmienne, lecz wszystkie kontrolujemy naszym umysłem, i to użytek, jaki robimy z tego, co mówi nam nasz umysł, sprawia, że każdy

z nas jest inny, że jednostka jest lepsza niż tłum, że w każdej grupie jeden bije wszystkich na głowę, nieważne czym się zajmują.

Oczy Andrzeja były szeroko otwarte.

- Wygląda na to, że twój Kareł był wspaniałą postacią.

- Wątpię, czy mógłbym mieć lepszego mentora lub świetniejsze-go instruktora. Gdybyście się kiedykolwiek spotkali, polubiłbyś go. Zmarł jednak przed twoimi narodzinami.

- Nigdy wcześniej nie mówiłeś mi o tym. - W tonie Andrzeja była nuta smutku.

- Kiedy byłeś chłopcem, miałeś własnych nauczycieli, a Kareł już nie żył. Dlaczego miałbym zanudzać cię opowieściami o zmarłym człowieku? Od czasu do czasu karmiłem cię kąskami jego mądrości, drobiazgami, które, jak sądziłem, mogły cię zainteresować. — Henryk znów przerwał na chwilę, patrząc w dal niewidzącym wzrokiem. - Musisz zrozumieć, że nikt nigdy nie kwestionował nauk Ka-rela, nigdy nie pytano, czego uczę się na lekcjach. Rozumiem teraz, że nikt o to nie dbał, ponieważ mój ojciec nie potrafił pisać ani czytać, lecz widział, jak codziennie ćwiczę na placu musztry, i na pierwszy rzut oka dostrzegał, że dobrze się rozwijam i świetnie sobie radzę. To mu wystarczyło. Moja matka natomiast już wtedy była chora, więc nie miała ani siły, ani ochoty kontrolować moich postępów. Nie było nikogo innego, kto mógłby o to dbać. Na szczęście jednak nigdy nie byłem szczęśliwszy, niż kiedy mogłem siedzieć u stóp Karela i uczyć się o różnych cudach. Kiedy

dorastałem, rozmawiał ze mną coraz bardziej otwarcie o tym, w co wierzy, oraz o tym, że sądzi, iż obowiązki człowieka... każdego człowieka... wyznacza Bóg. Rozumiał i omawiał wiele aspektów Boga, pobożności i prawości... rzeczy, których zwykli ludzie, w tym większość znanych mi księży, nigdy nie byliby w stanie sobie wyobrazić, a co dopiero się nauczyć. Miał też bardzo ortodoksyjne przekonania i surowe poglądy dotyczące Boga, ludzi i wzajemnych stosunków.

- Jak umarł?

- Z powodu zarazy, która tamtego roku zdawała się być wszędzie. Jego śmierć pozostawiła w moim życiu ogromną pustkę, która nie wypełniła się aż do chwili, gdy poznałem twoją matkę i ją poślubiłem. Lecz wyraźnie pamiętam, że przy ostatniej okazji, kiedy widziałem go zdrowego, rozmawialiśmy o tej właśnie sprawie Żydów, o tym, jak są wszędzie znienawidzeni.

- Naprawdę, ojcze? — Ton Andrzeja był lekko sceptyczny. - Było to dawno temu, a twoja pamięć może płatać ci figle. Wiem, że mnie się to czasem zdarza.

Jego ojciec zerknął na niego z ukosa, unosząc z rozbawieniem brew.

- Tak uważasz? No cóż, mogłoby tak być, gdybym był tak stary, jak

ci się zdaje. Lecz w tym wypadku wiem, że pamięć mnie nie zwodzi, gdyż ta ostatnia rozmowa nabrała dla mnie wyjątkowego znaczenia. Przypominałem ją sobie raz po raz, rozpamiętując każde jej słowo, ponieważ była to ostatnia okazja, kiedy rozmawialiśmy. Kareł nigdy nie

pogodził się z wszechobecną nienawiścią wobec Żydów, ponieważ sądził, iż kłóci się ona ze wszystkim, w co uwierzył jako chłopiec. Zapytał mnie, dlaczego, według mnie, obwinia się Żydów o wszystko, co przytrafiło się Zbawicielowi. - Henryk uśmiechnął się łagodnie pod nosem. - Zanim mogłem wymyślić choć jeden powód, zwrócił uwagę na to, że jeśli zgodzimy się i ustalimy, iż Jezus narodził się na tym świecie po to, aby swoją śmiercią odpokutować nasze grzechy, zgodnie z logiką powinniśmy też uwierzyć, że wszystko, co dotyczyło tych wydarzeń, było częścią boskiego planu, i ponieważ Bóg jest ze swej natury wszechwiedzący, każda ewentualność tego planu była przewidziana i miała swoją przyczynę. Dlaczego zatem, zapytał mnie znów tamtego ostatniego popołudnia, tylko Żydów oczerniano za to, co zrobili? Mieliśmy tego samego Boga. Czyżby opuścił ich, aby dbać o nas? Czy mieliśmy też uwierzyć, że Żydzi byli jedynymi grzesznikami pośród rodzaju ludzkiego, samotnie i ponad wszelką wątpliwość winnymi stworzenia konieczności ofiary Zbawiciela? Jeśli tak było, czy dopiero później inne ludy... w tym aroganccy Rzymianie... zostały przemienione w grzeszników, skażonych zachowaniem Żydów?

Henryk potrząsnął głową, jakby był zakłopotany.

- Musiałem mieć wtedy dwanaście lat i pamiętam, że nawet w tak młodym wieku potrafiłem przejrzeć głupotę będącą źródłem tych pytań. Pamiętam też, że zaparłem się i powiedziałem Karelowi, co myślę, i że byłem zdumiony, kiedy zgodził się ze mną. “Oczywiście, że to bzdury" - powiedział i pchnął lekko moją głowę, jak zwykł robić, kiedy był ze

mnie zadowolony. “To obraza dla każdego, kto ma zdolność logicznego wyciągania wniosków krok po kroku. Gdyby Żydzi byli jedynymi grzesznikami na świecie, nie byłoby powodu dla powstania chrześcijaństwa. Żydzi wierzyli, że już są narodem wybranym, więc czekali jedynie na żydowskiego Mesjasza, który zstąpiłby na ziemię i zrobił cokolwiek, czego wymagało żydowskie prawo. Lecz stało się coś innego. Wieść rozeszła się z Izraela do wszystkich innych krain świata, który później miał stać się światem chrześcijańskim. Nikt tenm nie przeczy, prawda? Powiedz mi więc, młody Henryku Saint

Clair, jak sądzisz... co naprawdę jest powodem wszystkich tych bzdur dotyczących Żydów?"

- Czy odpowiedziałeś mu coś?

- Czy ty odpowiedziałbyś w swoim wieku?

Andrzej uśmiechnął się i skłonił głowę, pozornie zgadzając się z uwagą ojca, choć naprawdę myślał o tym, że w istocie byłby w stanie udzielić na to pytanie wyczerpującej odpowiedzi, która całkowicie zadowoliłaby Karela. Skinął jedynie głową i zapytał:

- Co więc powiedział potem?

- Dokładnie pamiętam, co powiedział. Stwierdził, że to księża...

Kareł lubił obwiniać za wiele rzeczy księży i Kościół w ogóle... zasiali nienawiść do Żydów, aby przysłużyło się to ich celom. Zrobili to w najwcześniejszych dniach Kościoła w jakiejś dramatycznej sytuacji, kiedy potrzebowali kozła ofiarnego, aby odwrócić uwagę ludzi od tego,

co sami knuli. Kareł wierzył w to niewzruszenie. Powiedział, że Żydzi okazali się łatwym celem, a Kościół zauważył to i napiętnował, więc skojarzone z tym poczucie winy nigdy nie zniknęło.

Po chwili ciszy Andrzej zapytał swobodnie:

- Co sądzisz, ojcze, o tym wytłumaczeniu? Czy podpisujesz się pod tym poglądem?

- Myślę, że zawsze podpisywałem się pod nim. - Henryk napił się wina i wykrzywił twarz. - Fuj! Moje wino jest gorące... zbyt blisko ognia. - Wstał i wyciągnął rękę po kielich Andrzeja. - Daj mi go. Dzban powinien być wciąż zimny. Ostatniego przed snem, co?

Zanim wrócił z pełnymi kielichami, Andrzej dorzucił świeżych polan do ognia i przyglądał się liżącym je płomieniom. Przyjął trunek, nie podnosząc głowy, a Henryk zajął znów swoje miejsce i podjął wątek:

- Nie wątpię, że zrobiono z Żydów kozły ofiarne, lecz nie mogę powiedzieć ci, dlaczego ani kiedy to się stało. Mogę natomiast rzec, że nie zawsze tak było. Żydzi z Judei zawsze byli kłótliwym ludem, wal czyli między sobą, na długo zanim na tym świecie pojawił się Jezus, i zawsze wykazywali surową, arogancką nietolerancję względem tych, którzy nie podzielali ich wiary i nie czcili ich ponurego, nieubłagane go Boga. Wiadomo, że Rzymianie nienawidzili ich za wszystkie kon flikty i zamieszki, jakie powodowali. Rzymska prowincja Judea była przecież maleńka w porównaniu z całym imperium, lecz wzniecała

społeczne, religijne i wojskowe niepokoje, które powinny były znacznie

przekroczyć jej możliwości. Kiedy zaś jej waleczny lud w końcu zbuntował się do tego stopnia, że wypowiedział Rzymianom wojnę, władze imperium zdecydowały, że sytuacja w Judei jest nie do przyjęcia, i zniszczyły całe ich siedlisko. Wysłano tam legiony, które zrównały z ziemią samą Jerozolimę i wykorzeniły wszelkie ślady sprzeciwu, jak to tylko Rzymianie potrafili. Zaczęli oblegać górskie warownie zajmowane przez żydowskich powstańców i zniszczyli je wszystkie, jedną po drugiej. A ponieważ u źródeł ich niezadowolenia leżała religia tych ludzi, Rzymianie zniszczyli jej serce: zrujnowali świątynię i wycięli w pień kapłanów. Byli nieubłagani i bezlitośni, ponieważ taki był rzymski sposób postępowania. Zabili i wzięli w niewolę tylu mieszkańców, ilu udało im się schwytać, i sprawili, że Judea przestała nadawać się do zamieszkania, aby Żydzi już nigdy nie sprawiali kłopotu Rzymowi. Lecz... - Wyprostował się i podłubał w uchu czubkiem małego palca, który obejrzał potem krytycznie i wytarł o nogę. - Lecz wszystko to było zemstą za grzech buntu przeciwko Rzymowi. Z punktu widzenia Rzymian w pełni zasługiwali na tę karę. Nie było w tym nic z bezmyślnej nienawiści, którą okazują dziś Żydom chrześcijanie.

Upił łyk wina i obrócił go w ustach, delektując się nim przez chwilę, po czym dodał:

- Żydzi dali nam swojego jedynego Boga, Andrzeju. Ludzie mają zwyczaj zapominać o tym. Bóg, którego czcimy, trafił do nas prosto z rąk Żydów. Powinniśmy być im za to wdzięczni, za darowanie nam naszego Boga. Lecz nie: wolimy ich unikać, kiedy nie znęcamy się nad

nimi i nie prześladujemy ich. Kareł powiedział mi kiedyś, że podczas swoich podróży poznał kilka żydowskich rodzin i że sądzi, iż są zwyczajnymi ludźmi podobnymi do chrześcijan, poza tym że mają inne wierzenia co do tego, jakie są oczekiwania ich Boga względem ich zachowania. W końcu Jezus był Żydem. Jak mawiał Kareł, nie można tego pominąć. Gdzie więc nastąpił rozłam? Kiedy? Kiedy stało się do przyjęcia, że Jezus był Żydem przez całe życie i na całą wieczność, że Jego Ojciec jest Bogiem Izraela, że chrześcijanie marzą i mówią o powrocie do Syjonu, czyli Jerozolimy, że mówią pochlebnie i z miłością o biblijnym Izraelu, lecz nienawidzą samych Żydów? Gdzie, pytał... a pytał każdego, kto wykazywał najmniejszy ślad zainteresowania tym, co miał do powiedzenia... gdzie jest w tym logika?

Spojrzał na syna, jakby w nadziei że usłyszy odpowiedź, lecz kiedy stało się jasne, że żadna nie nastąpi, ciągnął, unosząc ręce niemal przepraszająco, aby zaznaczyć, że poglądy te należały do Karela, a niekoniecznie do niego samego.

- W każdym razie jego własna odpowiedź na to retoryczne pytanie była taka, że logika ta należała do księży... on użył słowa “kapłanów"... i dlatego była niewidoczna oraz niezrozumiała dla zwykłych ludzi, ponieważ leżała w skarbnicy, gdzie znajdowała się większość logiki księży na całym świecie: głęboko w mrocznych tunelach ich odbytów. — Sir Henryk zaśmiał się głośno. - Uwielbiałem, kiedy mówił takie rzeczy. Zawsze bałem się, że jakaś horda zgorszonych biskupów wyskoczy

z ukrycia i potępi nas obu za haniebne i niewybaczalne zachowanie.
Mawiał, i to uporczywie, że księża rzadko są bystrzy, a jeszcze rzadziej inteligentni, lecz że większość z nich jest sprytna, a wszyscy dbają o własne interesy. Utrzymywał, że większość księży, tych miernot, których przeznaczeniem było nigdy nie zostać biskupami, prałatami czy dostojnikami kościelnymi, zawdzięczała swoją pozycję temu, że byli młodszymi synami rodziców nie będących w stanie ich utrzymać. Oznaczało to, że w młodości wszyscy oni stawali przed tym samym ograniczonym wyborem: zostać rycerzem lub przywdziać szaty duchownego. Dla nich wszystkich, zapewne z wielu powodów, myśl o brutalnym, ciężkim życiu wojskowego była odrażająca, wybrali więc łatwiejszą drogę, życie niezbyt obfitujące w trudności i wspomagane przez datki innych. Wstąpili do stanu duchownego.

Henryk dopił wino.

- I to właśnie, synu, mogę powiedzieć ci o moich własnych poglądach dotyczących traktowania Żydów — powiedział. — Czy cokolwiek, co powiedziałem, pomogło ci rozstrzygnąć dylemat związany z zachowaniem Ryszarda?

- Nie mam dylematu, ojcze. Mam poczucie wstrętu.

- To mocne słowo - rzekł Henryk.

- I używam go rozmyślnie - odparł Andrzej. - Nie chodzi jedynie o antyżydowskie poglądy Ryszarda, ojcze. Mówię o bezmyślnym, nieludzkim okrucieństwie, zadawanym dla samej przyjemności zadawania go i obserwowania rezultatów.

To zaskoczyło Henryka. Spojrzał uważnie na syna, usiłując wyczytać coś z jego twarzy.

200

- Powiedz mi więc, co masz na myśli, ponieważ to bardzo poważne oskarżenie. Spodziewam się, że usłyszę jakieś haniebne zarzuty na poparcie takiego oświadczenia.

- No dobrze, czy przyjmiesz zatem informację o wysłaniu straży królewskiej na ulicę, aby zaaresztowała jakichkolwiek Żydów i przyprowadziła ich w celu dostarczenia rozrywki gościom króla przy wieczerzy? To samo w sobie może nie kwalifikować się jako haniebne, chyba że weźmiesz pod uwagę, iż rozrywka ta polega na tym, że strażnicy krępują ich i utrzymują w pozycji stojącej, podczas gdy wyrywa im się zęby szczypcami... Wszystkie zęby.

Zaległa pełna napięcia cisza.

- Widziałeś to? Byłeś przy tym?

- Nie, panie. Wygląda na to, że mam szczęście nie bywać przy takich okazjach. Lecz zdarzyło się to niejednokrotnie i za każdym razem mówili mi o tym ludzie, którzy byli przy tym i których słowom wierzę.

- Co to za ludzie?

Andrzej wzruszył ramionami.

- Na przykład rycerz, którego poznałeś dzisiaj, Bernard de Tre-melay.

- Mówisz, że ufasz mu?

- Bezgranicznie, ojcze. Poznałem go osiem miesięcy temu i niemal

od razu stał się moim najbliższym przyjacielem.

Sir Henryk spojrzał bacznie na syna.

- Dziwi mnie to... Nie masz zwyczaju tak szybko zawierać przyjaźni.

- Wiem. Lecz od początku się polubiliśmy, prawdę mówiąc, być może z powodu tego, jak się poznaliśmy. Byliśmy jedynymi młodymi ludźmi w pewnym wyjątkowo dużym i poważnym zgromadzeniu ponurych siwobrodych. To on najbardziej szczegółowo opisał mi znęcanie się nad jednym nieszczęsnym Żydem... Pierwszym, jak myślę, który cierpiał w ten sposób. Nie było mnie wtedy w Londynie, lecz kiedy wróciłem, Bernard opowiedział mi o tym ze wszystkimi krwawymi szczegółami. Czuł obrzydzenie i ja je poczułem.

- I powiadasz, że Ryszard godzi się na takie rzeczy?

Andrzej parsknął ironicznie.

- Codzi się na nie? Powiedz lepiej: powoduje je. Ojcze, oto, jak

Ryszard pojmuje wspaniały sposób dostarczania rozrywki przyjaciołom.

- Odwrócił na chwilę wzrok, po czym znów spojrzał na ojca, który wyglądał jak rażony piorunem. - Z tego, co wiem, przy pierwszej okazji stało się to niemal przypadkiem, było to jedno z tych zdarzeń, które po prostu dzieje się, niezaplanowane. Jeden ze Złotego Klanu powiedział coś o tym, że ma kłopoty z jakimś Żydem, któremu jest winien pieniądze...

- Złoty Klan? Co to znaczy?

Andrzej zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

- Wybacz, ojcze, nie spodziewam się, abyś to wiedział, a na pewno nie pochwalałbyś tego. Ta niedawno ukuta w Anglii nazwa jest pejoratywna, odnosi się do pewnych kompanów króla Ryszarda. Tych nienaturalnych, którzy nie cierpią kobiet. Pierwotnie nazywano ich Złotymi Trzebieńcami, aż ktoś zauważył, że daleko im do trzebień-ców.
- Zaiste. Co więc ten człowiek powiedział o Żydzie?
- Coś o tym, że ten typ zacisnął na nim zęby. Cokolwiek powiedział, była to dla Ryszarda wystarczająca zachęta, aby krzyknąć: “No to wyrwijmy je sukinsynowi!", i wysłać strażników, by zaaresztowali Żyda w jego kantorku oraz przyprowadzili go na dwór królewski w Westminsterze. Tej nocy, podczas uczty, publicznie wyrwano mu zęby, co podobno przyjęto z takim aplauzem, że rozrywkę tę powtarzano jeszcze kilkakrotnie, kiedy tylko król lub którykolwiek z jego gości byli znudzeni. Po prostu wysyła swoich ludzi na poszukiwanie jakiegokolwiek Żyda. Samo jego żydostwo jest wystarczającym przewinieniem, aby usprawiedliwić tę tak zwaną karę.
- Boże w niebiosach! - Sir Henryk rozdziawił usta, sięgnął na oślep po oparcie krzesła i opadł z powrotem na siedzenie. - Toż to... - Zabrakło mu słów. -Toż to haniebne. Czy nikt nie złożył skargi? Co z biskupami? - Kiedy tylko wyrzekł te słowa, zbył je, tnąc dłonią powietrze. - Nie, to byłaby strata czasu i energii. Nie zrobiliby nic, może poza zachęcającym wyciem. Lecz z pewnością część możno-władców złożyła skargę w sprawie tych aktów przemocy.
- Skargę? - Głos Andrzeja Saint Claira brzmiał tak, jakby rycerz miał

zaraz albo się rozpłakać, albo roześmiać. - Komu mieliby złożyć tę skargę, ojcze? Poskarżyć się królowi na jego własne zachowanie? Kto śmiałby to zrobić? - Podniósł dłoń. - Tak, ty prawdopodobnie

s'miałbyś, lecz co byś osiągnął? W najlepszym razie ściągnąłbyś na siebie gniew króla za obrazę jego i jego uczuć. A w najgorszym... kto wie? To Ryszard Plantagenet... Poza tym, gdybyś się sprzeciwił i bronił Żydów w jakikolwiek sposób, wszyscy uznaliby cię za szaleńca. Nikt by ci nie współczuł, niezależnie od tego, co zrobiłby z tobą Ryszard. Byłbyś sam i byłbyś potępiony.

- Jak i ty, gdybyś zaprotestował. - Głos Henryka był wyważony i pełen żalu. - Co zatem masz począć, synu? Jasne, że nie chcesz po zostać w sytuacji, w jakiej jesteś teraz.

Andrzej jednak się sprzeciwił.

- Nie, ojcze, tak nie jest, i to właśnie sprawia, że stoję przed tak trudnym wyborem. W ciągu ostatnich kilku miesięcy narzucono mi mnóstwo obowiązków i niewiele z nich pochodzi od Ryszarda. Prawda jest taka, że z własnej woli oddałem się głównie do dyspozycji Rober towi de Sabie, a on z kolei związany jest z Ryszardem i nie ma pojęcia o tym, o czym dziś rozmawiamy. Być może najbardziej przerażające jest to, że pomimo wszystkiego, co wiem, i tak widzę wiele powo dów, aby podziwiać Ryszarda. Ten człowiek to zjawisko, zarówno pod względem swoich wad, jak i zalet. Jest kłębkiem sprzeczności. Mimo że potrafi być okrutny i haniebnie niesprawiedliwy w kwestii Żydów,

ma też wszystkie cnoty i zalety dowódcy, które podziwiam i do któ
rych dążę. Wygląda też na to, że jego ludzie... wszyscy jego ludzie...
uwielbiają go, przynajmniej z daleka i z zasady, czy są w Normandii,
Anglii, Bretanii, Akwitanii, Andegawenii czy w domu, u nas, w Poi-
tou. Wszyscy jego sprzymierzeńcy w tym zgromadzeniu, nawet Filip
August i hrabia Flandrii, podziwiają go i są dumni z tego, że zaliczają
się do jego zastępów. Wciąż więc nie potrafię zdecydować, co zrobić,
lecz nie wystąpię z armii. Być może wszystko, co mogę zrobić, to uni
kać goszczenia na wieczerzach królewskich. - Wstał i odstawił kielich
na stół. — Już późno. Ogień znów niemal dogasa i choć sam nie je
stem zmęczony, zbyt długo nie pozwalałem ci się położyć. Pójdę zażyć
przez chwilę nocnego powietrza, a ty się wyśpij. O świcie musisz być
na przeglądzie wojsk... Lecz zanim zasnę, mam wiele do przemyśle
nia. - Andrzej uśmiechnął się krzywo i objął ojca serdecznie. - Dzię
kuję ci, ojcze, za wysłuchanie mnie. Spij dobrze.

Henryk rozebrał się powoli i wspiął do łoża, zdmuchując ostatnią
świecę. Zasnął niemal natychmiast.

6

Kiedy Andrzej Saint Clair opuścił tego wieczora swojego ojca, miał wiele spraw na głowie. Wkrótce zatrzymał go strażnik stojący na blankach najwyższej wieży zamku Baudelaire. Podał odzew, przedstawił się i podszedłszy do jednego z otworów strzelniczych, wyjrzał w otaczającą go ciemność. Wiedział, że gdyby pochylił się do przodu, dostrzegłby poniżej dogasające ogniska armii Ryszarda, rzekę żarzących się węgli rozciągającą się w dal wzdłuż krętego koryta Loary. Podniósłszy głowę, ujrzał ciężką pustkę bezgwiezdnego nieba. Przysiadł na progu otworu strzelniczego i krzyżując ramiona na piersi, pozwolił popłynąć myślom. Następnego ranka miał wyruszyć z Ryszardem i całą jego armią do leżącego w Burgundii miasta Vezelay, gdzie - zgodnie z tradycją -dwanaście wieków wcześniej zamknięto w relikwiarzu kości świętej Marii Magdaleny. Miasto leżało o trzy dni marszu na zachód od Baudelaire i było oficjalnym miejscem zbiórki dla armii zachodniej części świata chrześcijańskiego od czasu, kiedy Bernard, kanonizowany opat zakonu cystersów w Clairvaux, wysłał stamtąd rycerzy Chrystusa na pierwszą kampanię, której celem było odzyskanie Ziemi Świętej z rąk muzułmańskich Turków seldżuckich. Teraz, w czerwcu 1190, miały zebrać się tam całe potężne siły frankońskich chrześcijan, aby Święty Kościół Apostolski mógł pobłogosławić je i na nowo poświęcić ich celowi, po czym całe zgromadzenie miało podążyć na południe, do leżącego nad Rodanem Lyonu. Potem król Francji i jego poddani mieli przekroczyć Alpy w Sabaudii, dotrzeć do Turynu, a stamtąd do Genui.

Filip wynajął całą genueńską flotę, aby przewiozła jego armię na wschód. Siły Ryszarda miały maszerować z Lyonu prosto na południe przez jego własne książęce terytoria, podążając wzdłuż Rodanu do Marsylii, gdzie miała czekać na nich angielska flota pod komendą

jej admirała, sir Roberta de Sabie. Andrzej wiedział, że wchodzenie na pokład pójdzie gładko, ponieważ planowano je długo i starannie, biorąc pod uwagę każdą ewentualność.

Saint Clair naprawdę nie miał większych zastrzeżeń wobec myśli o osobistym towarzyszeniu Ryszardowi na wojnie. Młody rycerz, który rok wcześniej wychynął ze swojej kryjówki, któremu groziła śmierć wskutek oskarżeń trzech sprzedaj nych księży, być może wzbraniałby się przed tym, lecz był wtedy innym człowiekiem, młodszym, bardziej naiwnym i być może bardziej skoncentrowanym na sobie niż ten, który siedział teraz na szczycie wieży zamku Baudelaire i rozważał stojące przed nim możliwości.

Jego pierwsze spotkanie z Robertem de Sabie, podczas którego rozpoznali w sobie braci, szybko sprawiło, że z zapałem zajął się sprawami Zakonu Syjonu po długim okresie, kiedy z powodu izolacji i obowiązków związanych z prowadzeniem majątku rodzinnego oddalił się od bractwa. De Sabie zakończył to. Andrzej podróżował teraz bezustannie, rzekomo pomagając de Sablemu w organizacji floty, a faktycznie pełniąc rolę kuriera między sir Robertem a innymi członkami Rady Zakonu, rozrzuconymi po wszystkich prowincjach, które niegdyś

tworzyły rzymską Galię. Przez tysiąc lat prastary związek klanów nazywających się zaprzyjaźnionymi rodzinami rozprzestrzeniał się na tych terenach, począwszy od Pirenejów i Langwedocji, przez Akwitanię, Poitou i Burgundie, oraz na zachód i północ do Bretanii, Normandii i Pikardii, przynosząc ze sobą swoje wpływy, a także tajemne bractwo ich Zakonu. Teraz, pracując wraz z kilkoma innymi członkami bractwa jako łącznik pomiędzy mieszkającymi na uboczu członkami Rady - dzięki tej funkcji poznał Bernarda de Tremelay -Andrzej nie miał już wątpliwości co do swojego dopuszczenia do Zakonu Świątyni. Był to już fakt dokonany, zagwarantowany dzięki dobrej woli Rady Zakonu Odrodzenia, tej małej grupy wpływowych ludzi, którzy od początku kierowali losami Zakonu Świątyni, podczas gdy ogromna większość templariuszy była całkowicie nieświadoma jej istnienia.

Początki Zakonu templariuszy, datujące się zaledwie siedemdziesiąt dwa lata wcześniej, w 1118, już stanowiły legendę. Każdy chłopiec, który był na tyle duży, aby ekscytować się opowieściami o przygodach i wielkich wyczynach, wiedział, że rycerz-weteran, Hugon de Payns,

zebrał małą drużynę rycerzy - włącznie z nim dziewięciu - i wraz z nimi zajął się ochroną chrześcijan pielgrzymujących do Ziemi Świętej przed licznymi hordami arabskich bandytów, którzy od lat czyhali na nich za każdym zakrętem. Nazywając się Ubogimi Rycerzami Chrystusa, de Payns i jego ludzie złożyli mnisie śluby ubóstwa, czystości oraz posłuszeństwa, po czym zamieszkali w opuszczonych stajniach na

Wzgórzu Świątynnym w Jerozolimie. Tam też, mimo pozornie niemożliwych do pokonania trudności, odnieśli ogromny sukces w walce z grasującymi bandytami, sprawiając, że po raz pierwszy od zajęcia Jerozolimy w 1099 roku drogi Królestwa Jerozolimskiego były względnie bezpieczne dla podróżników.

Następnie, w ciągu niecałych dwudziestu lat od powstania nowego zakonu - patronował mu Bernard z Clairvaux, twórca jego reguły -odniesione przez niego sukcesy oraz męstwo mnichów stały się tak szeroko znane, że liczba rekrutów urosła ponad wszelkie pojęcie. Zyskali sławę i byli czczeni w całym świecie chrześcijańskim, najpierw jako Rycerze Wzgórza Świątynnego z Jerozolimy, potem jako Rycerze Świątyni, a ostatecznie po prostu jako Zakon Świątyni, choć ich oficjalna nazwa wciąż brzmiała: “Zakon Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona". Były wtedy też inne zakony rycerskie, między innymi zakon szpitalników i niedawno utworzony przez cesarza Bar-barossę zakon krzyżacki, lecz templariusze byli pierwszymi mnicha-mi-rycerzami i ich chwała miała nigdy nie zgasnąć.

Taka była legenda. W rzeczywistości - znanej jedynie wtajemniczonym Zakonu Syjonu — de Payns i jego ośmiu pierwszych towarzyszy należeli do bractwa, które wysłało ich do Jerozolimy właśnie po to, aby odkopali skarb. Tradycja prastarego Zakonu mówiła, że złożono tam skarb jedenaście wieków wcześniej, kiedy Jerozolimę i jej ludzi zniszczył rzymski wódz Tytus, syn cesarza Wespazjana. Różnie szacowano rozmiary dokonanej tam rzezi, lecz wielu sądziło, że zginęło

ponad sześćset tysięcy Żydów, a wiele źródeł, głównie rzymskich, podawało dwukrotnie większą liczbę. Którakolwiek z nich była prawidłowa, od tamtego czasu Żydzi utracili wpływy we własnej ojczyźnie.

A jednak według wiedzy, którą się kierowali w poszukiwaniach de Payns i jego towarzysze, wielu żydowskich kapłanów - dziedziców pierwszego Zgromadzenia Jerozolimskiego, wspólnoty kościelnej, której swego czasu przewodzili Jezus i jego brat, Jakub Sprawiedli-

wy - przewidziało tę tragedię. Zanim uciekli przed nadciągającym zniszczeniem i rozlewem krwi, zakopali większość rzeczy, których nie byli w stanie wziąć ze sobą, w tym pisemne zapisy dotyczące ich wspólnoty, żeby nie mogli znaleźć ich nawet Rzymianie.

Po ucieczce ze skazanego na zagładę miasta ludzie ci, zwani czasem esseńczykami, podążyli drogą lądową, dla bezpieczeństwa idąc w wielkich, lecz luźno powiązanych grupach. Poszli na południe i zachód, do delty Nilu, Kairu i Aleksandrii, po czym dalej na zachód, latami pokonując bezmiar Afryki, ciągle mając po prawej wielkie Morze Śródziemne, aż dotarli do cieśniny i udało im się przeprawić z Afryki do Iberii. Stamtąd podążyli znów piechotą na północ, przekroczyli Pireneje i dotarli do Galii, gdzie osiedlili się w regionie znanym jako Langwedocja.

Ludzie ci, w wysokim stopniu świadomi tego, kim są i co reprezentują, byli absolutnie zdecydowani wrócić w przyszłości do ojczyzny, odzyskać swoje dziedzictwo i wydobyć spod ziemi skarb, który tam

zakopali. Rzym wydał na nich wyroki śmierci, więc ich bezpieczeństwo i samo przeżycie zależało od tego, jak umiejętnie będą ukrywać swoją tożsamość przed innymi. Stopniowo zrobili więc właśnie to: wtopili się i dokładnie wmieszali w prymitywne ludy, które zaludniały rzymską Galię mniej niż wiek po tym, jak Juliusz Cezar podbił ten teren. Nie mogli wiedzieć, że zanim wrócą, upłynie ponad tysiąc lat, lecz planowali powrót starannie i metodycznie.

Związek składający się pierwotnie z ponad trzydziestu rodów, od początku osiedlenia się w Galii nazywał się “zaprzyjaźnionymi rodzinami". Ustanowiły one spójną wspólnotę, która z łatwością wpisywała się w galijski świat plemienny i która trwała wraz z upływem wieków, kiedy to pierwsze rody rozrosły się w rozgałęzione klany. Ich asymilacja była tak udana, że po upływie czterech pokoleń tylko wybrana garstka z nich wiedziała, że rodziny mają żydowskie korzenie. Absolutnie nikt z zewnątrz nie miał o tym pojęcia.

Kiedy dotarła tam nowa religia, chrześcijaństwo, przyjęli ją wraz /, wszystkimi, lecz w swoim gronie założyli tajemne bractwo nazwane Zakonem Odrodzenia w Syjonie; “Odrodzenie" przewidywało ponowne przyjęcie przez nich wyznawanej niegdyś religii oraz powrót do ich tradycyjnego sposobu życia, co miało nastąpić, kiedy znów będą mieszkać w domu, w Jerozolimie. Patriarchowie rodzin zdecydowali,

że jako jedyni członkowie klanów będą chronili wiedzę o ich żydowskości, odprawiając odpowiednie obrzędy i ceremonie w tajemnicy, bez

świadomości najbliższych, wyłącznie po to, aby ich chronić.

Lata mijały i kiedy upragniony powrót się opóźniał, postanowili przyjąć do bractwa nowych członków, co zapewniłoby bezpieczeństwo ich świętej wiedzy. Jeden, i tylko jeden, mężczyzna każdego pokolenia wydanego przez każdą z rodzin mógłby dostąpić zaszczytu wstąpienia do bractwa, a to, czy się nadaje, mieliby oceniać wszyscy bracia; kryteria były jasno określone. Męskim potomkom kobiety, która poślubiła kogoś spoza rodzin, nie przysługiwało prawo wstąpienia, a ponieważ wiedziało o tym jedynie bractwo, nikt nigdy nie ucierpiał z tego powodu.

Wybrańcy musieli się odznaczać honorem i prawością, inteligencją i poczuciem sprawiedliwości, umiejętnością koncentracji na jednym celu oraz dochowania całkowitej tajemnicy zawsze i w każdych okolicznościach. Już wkrótce uprawnionych kandydatów było pod dostatkiem, ponieważ rodziny się rozrastały, więc jeśli ani jeden członek danego pokolenia jakiejś rodziny nie spełniał wymogów, nie wybierano nikogo. Możliwość kandydowania przechodziła na następne pokolenie, co w żaden sposób nie uwłaczało rodzinie.

System ten, starannie zaplanowany i wprowadzony w życie niezwykle skrupulatnie, od początku działał bez zarzutu. Ponieważ wymagano od każdego kandydata spełnienia najwyższych norm zachowania i działania, obserwacja oraz ocena były powolne, mozolne i prowadzone nieustannie. Nie dopuszczano nikogo przed osiemnastym rokiem życia, lecz czasem przyznawano członkostwo o wiele później, ponieważ każdy syn urodzony w danym pokoleniu musiał mieć szansę być oceniony.

Podczas początkowych etapów inicjacji żaden z kandydatów nie rozumiał, co mu się przydarza. Rozumiał jedynie, że przygotowywany jest do czegoś doniosłego, że jest to tajemnicze, poważne i uroczyste. Dopiero po inicjacji i Wyniesieniu do pozycji pełnoprawnego członka bractwa Zakonu zdawał sobie sprawę, że jako być może jedyny żyjący członek bractwa w całej rodzinie tylko on wie o jego istnieniu. Często ten właśnie element inicjacji najtrudniej było zrozumieć nowemu bratu: był na zawsze odcięty od reszty rodziny przez to, że znał prawdę o sobie i ich korzeniach, którą nie wolno było mu się dzielić.

Myśl ta nieczęsto dręczyła Andrzeja Saint Claira w ciągu ostatnich kilku lat, lecz tego wieczora dotknęła go do żywego, a to, że jego ojciec nie był świadom, o czym naprawdę rozmawiają, tylko pogorszyło sprawę. Sir Henryk Saint Clair, szlachetny Andegaweńczyk, był niezwykle dumny ze swojego dziedzictwa oraz zaszczytnego, długiego rodowodu jego rodziny. Kiedy twierdził, że nie żywi uprzedzeń wobec Żydów, mówił poważnie - jego syn nie miał co do tego cienia wątpliwości. Lecz pomimo prawości i dobrej woli Henryka Andrzej wiedział, że jego ojciec byłby urażony i oburzony, gdyby ktoś usiłował wmówić mu, że w jego żyłach płynie żydowska krew i że jego przodkami byli kapłani z Judei. Ponadto zupełnie nie byłby w stanie pojąć, dlaczego jego syn podziela te wierzenia i dlaczego pod ich dyktando poświęca swoje życie doprowadzeniu do tego, by związane z nimi prastare nauki spełniły się we współczesnym świecie. Realia te byłyby dla

niego zawsze obce i Andrzej nie miał innego wyboru, jak tylko pogodzić się z tym, ponieważ nie mógł zrobić nic, co choć trochę zmieniłoby sytuację.

Odrażająca sprawa wyrywania zębów była prawdziwa, lecz był to względnie drobny przykład łotrostwa, którego Andrzej użył rozmyślnie, aby zaszokować ojca i zmusić go do pojęcia, jak poważne są jego obawy. Wiedział jednak, że prawdziwe okrucieństwo przejawia się w pozornie mniej brutalnych, lecz powszechnych i zabójczych prześladowaniach Żydów, których fala przetaczała się przez całą Anglię w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Wszystko zaczęło się w dniu koronacji Ryszarda — trzeciego września 1189 roku - podczas wieczerzy koronacyjnej, na której panowała wyraźnie, a według niektórych skandalicznie, męska atmosfera. Nazwano ją Ucztą Kawalerów i nie zaproszono na nią żadnej kobiety z wyższych sfer, nawet matki króla. Pod koniec uroczystości, kiedy wszyscy dużo już wypili, przybyła delegacja żydowskich kupców, aby ofiarować nowemu monarsze dary i życzyć pomyślności.

Zatrzymano ich jednak przy bramach dworu, skonfiskowano dary, po czym rozebrano ich, pobito i wyrzucono /. powrotem na ulicę. Tam zaczęła ścigać ich tłuszcza, która zagoniła ich wprost do żydowskiej dzielnicy Londynu i zabrała się do podpalania domów mieszkających tam Żydów.

Nikt nie próbował powstrzymać motłochu do momentu, kiedy ogień zaczął rozprzestrzeniać się na sąsiadującą chrześcijańską dzielni-

cę. Następnego dnia Ryszard nie zrobił nic w sprawie tego okrutnego aktu, poza tym że skazał na śmierć przez powieszenie kilku ludzi, którzy odegrali znaczną rolę w podpalaniu dóbr należących do chrześcijan. Obecny wtedy w mieście arcybiskup Canterbury nie powiedział ani słowa w obronie nieszczęsnych Żydów i zadowolił się jedynie komentarzem, że jeśli postanowili nie być wyznawcami Chrystusa, muszą przygotować się na to, że będą traktowani jak wyznawcy szatana. Niewielu obserwatorów zdziwiło, że wobec takiego przykładu miłosierdzia i wyrozumiałości, jakim świecili król i arcybiskup, mieszkańcy wielkich miast angielskich oddali się w ciągu następnych miesięcy antyżydowskim orgiom. Ich głód krwi “morderców Chrystusa" podżegał ich histeryczną determinację, aby wyrwać Święte Miasto z rąk bezbożnych Saracenów. Kiedy na kilka dni przed Wielkanocą, zaledwie miesiąc przed powrotem Andrzeja do Andegawenii, zdarzył się ostatni wielki akt przemocy, młody rycerz właśnie zmierzał do Yorku, aby złożyć wizytę królewskim oboźnym. Incydent zakończył się przed południem w dniu, kiedy przybył do Yorku, lecz wszyscy wciąż o nim mówili.

Andrzej dowiedział się, że mściwy motłoch zagonił grupę prawie pięciuset przerażonych Żydów - mężczyzn, kobiet i dzieci - do ufortyfikowanej wieży, którą otoczył, wrzeszcząc, aby Żydzi wyszli i stanęli w obliczu ich “kary". Żydowscy patriarchowie, pewni, że czekają ich tortury i przerażająca rzeź, zdecydowali, że zlitują się nad sobą. Pięćset osób popełniło samobójstwo.

Andrzej wiedział w głębi serca, że podobne okrucieństwa zdarzały się w jego własnej ojczyźnie, lecz skala, częstotliwość i żądza krwi cechujące angielskie zamieszki na zawsze zniechęciły go do tego kraju, a milczące przyzwolenie nowo koronowanego króla skutecznie zniweczyło jakikolwiek entuzjazm czy poparcie, jakie mógłby wyrazić względem przyłączenia się do wojennych przedsięwzięć Ryszarda. Jedynie jego ważniejsze zobowiązanie - braterski obowiązek członka Zakonu Syjonu - powstrzymało go przed zupełną rezygnacją z towarzyszenia i służenia królowi angielskiemu, a nawet mimo że wiedział, jak ważne jest to, co robi w imieniu Zakonu, Andrzej dochodził do wniosku, że opanowanie wstrętu i utrzymanie pełnej entuzjazmu maski nie jest łatwe.

Jego myśli przerwał jakiś ruch w pobliżu. Wartownik rozmawiał

z kimś w kącie. Mężczyzna ruszył w jego stronę i Andrzej rozpoznał swojego przyjaciela i towarzysza z Orleanu, Bernarda de Tremelay, który powitał go zaskoczony.

- Saint Clair? Myślałem, że już twardo śpisz. Tyle przejechaliśmy w ciągu ostatnich kilku dni.

- Dlaczego więc ty nie leżysz jeszcze w łożu?

- Nie mogłem zasnąć. Mam chyba za dużo na głowie. Jutrzejszy dzień nadejdzie dostatecznie szybko, lecz pomyślałem, że nie śpiąc, mogę nieco opóźnić jego nadejście. O czym więc rozmyślałeś tu w samotności?

Andrzej zszedł za de Tremelayem po wąskich schodach prowadzących na krużganek pod blankami. Odpowiedział, gdy już znaleźli się poza zasięgiem głosu strażnika.

- O tym, że członkostwo w naszym bractwie czasami wiele kosztuje.

De Tremelay zatrzymał się i odwrócił do niego.

- Znów chodzi o twojego ojca?

Andrzej kiwnął głową.

- No cóż, to prawda, bracie. Lecz kiedy tylko będziesz zaczynał się tym martwić, przypomnij sobie to: właśnie wtedy, kiedy pomyślisz, że cena staje się zbyt wysoka, może być jeszcze gorzej. I niewątpliwie będzie. Wierz mi, rozpacz jest dla nas jedyną drogą. - Bernard wybuchnął donośnym rechotem i zaczął schodzić.

- Bernardzie, powiedz szczerze, czy ktokolwiek powiedział ci kiedyś, jakim jesteś draniem?

-Tak, kilka osób. - Tym razem de Tremelay nie zatrzymał się i rzucił słowa przez ramię. - Lecz jeśli jesteś draniem, ludzie obchodzą cię szerokim łukiem. W to też możesz mi wierzyć. — Kiedy zeszli już ze schodów, zaśmiał się znowu, po czym chwycił Andrzeja za opończę i zaciągnął go łagodnie, lecz stanowczo w zacienione miejsce koło schodów, gdzie nikt nie mógł dostrzec ich ani usłyszeć. - Miej na uwadze to, co ci powiem, chłopcze - rzekł cichym głosem, w którym nie było ani śladu wesołości - i nigdy o tym nie zapomnij. Za kilka dni, kiedy dotrzemy do Vezelay, zostaniesz oficjalnie przyjęty do najniższego

szeregu Zakonu Świątyni, jako postulant. Potem, jeśli będziesz grzecznie pilnował swoich zadań, zostaniesz nowicjuszem, a w końcu, jeśli wszystkiemu sprostasz, pełnoprawnym rycerzem Świątyni, wta-

jemniczonym we wszystkie sekrety i jego tak zwaną świętą wiedzę. Sądzisz, że teraz *jest* ci ciężko, ponieważ masz tajemnice przed swoim szlachetnym ojcem? Cóż, ta trudność wyda ci się niczym już po kilku dniach. Poczekaj, aż wstąpisz do Zakonu i będziesz odcięty od świata wśród ludzi, których każda myśl obca jest wszystkiemu, co wiesz i w co wierzysz. Poczekaj, aż zaczniesz grzęznąć w uporczywej ignorancji i bezmyślnej głupocie, które znajdziesz w czekających na ciebie szeregach. Wszyscy rycerze głęboko wierzą w to, że są wybrańcami Boga i elitą świata... wielu wyżej postawionych podziela tę opinię... i nie będziesz mógł nawet pisnąć o prawdzie, którą znasz: o tym, że ich święty i tajemny Zakon został założony przez bractwo, do którego ty należysz, aby ochraniać święte tajemnice tamtego Zakonu. Cała twoja egzystencja w ich szeregach będzie kłamstwem, co będziesz boleśnie przypominał sobie za każdym razem, kiedy obudzą cię w środku nocy, abyś modlił się i odprawiał rytuał, w którym nie znajdziesz ani ziarna prawdy. Będziesz wiedział więcej niż oni, lecz nie będziesz miał innego wyboru, jak tylko podporządkować się i przestrzegać tych fałszywych obrzędów, bez możliwości protestu czy skargi. I to właśnie może sprawić ci prawdziwy kłopot. I to, a nie drobne sprawy z twoim ojcem, jest prawdziwa cena przynależności do naszego bractwa. Na szczęście twoja izolacja nie

potrwa oczywiście wiecznie. Kiedy tylko przejdziesz wszelkie próby i spełnisz wszelkie kwalifikacje wymagane od pełnoprawnych członków, nałożone na ciebie ograniczenia zostaną rozluźnione i członkowie naszego bractwa należący do szeregów Zakonu Świątyni zadbają o to, abyś otrzymał zadania, do których najlepiej się nadasz.

Znów uśmiechnął się szeroko, ściskając ramiona Saint Claira.

- Lecz zaręczam ci, choć nigdy nie brałem udziału w zgromadzeniu templariuszy, że kilka następnych miesięcy twojego życia będzie przepełnionych nieszczęściem.

- Tak - westchnął Andrzej. -Już mnie ostrzegano. Dzięki, że przypomniałeś mi, co mnie czeka.

- Czeka cię to, Andrzeju, lecz zanim dotrzemy do Zamorza, zapewne będzie już po wszystkim i wrócisz do świata żywych. Teraz połóż się i śpij dobrze. Mówią, że czeka nas deszcz, więc pielgrzymka do Vezelay będzie długa i mokra i bardzo się nacierpimy, zanim znów zaznamy wygody.

212

Poranne słońce zalewało oślepiającym blaskiem zaśnieżone szczyty Alp na wschodzie, oświetlając ogromny proporzec Zakonu Świątyni na szczycie wzgórza nad Vezelay. Proporzec nie łopotał na lekkim wietrze w odróżnieniu od innych, które tłoczyły się u stóp wzgórza; obciążony u dołu zwieszał się sztywno z drzewca umieszczonego na szczycie niezwykle wysokiego masztu, a wyhaftowany na nim równoramienny czerwony krzyż ostro i wyzywająco odcinał się od śnieżnobiałego tła,

ogłaszając prymat Zakonu. Dziesięciu uzbrojonych, odzianych w biel rycerzy trzymało straż, a dookoła rozciągał się obóz sił Zakonu, które pokrywały cały szczyt wzgórza, rozmieszczone w prostokątnych formacjach oddzielonych równymi odstępami. Składały się one z rycerzy i serwientów Świątyni, w większości nowych i niewypróbowanych, zaciągniętych niedawno w celu zapełnienia szeregów osłabionych po tragicznych stratach poniesionych w Zamorzu.

Na zboczu wzgórza, w formacji ulokowanej przed pierwszą linią namiotów, ustawiono ponad tysiąc wojowników, z których mniej niż setka brała kiedykolwiek udział w prawdziwej bitwie. Rycerze - mniej niż sześciu na każdą dwudziestkę ludzi - mieli na sobie gładkie, białe opończe, ozdobione nie czarnym krzyżem Świątyni, lecz jaskrawo-czerwonym, podłużnym krzyżem ich misji, mającej na celu odzyskanie Ziemi Świętej. Pozostali ludzie, serwienci Zakonu, mieli na sobie brązowe opończe z tym samym czerwonym krzyżem, poza garstką starszych serwientów, który nosili charakterystyczne czarne opończe. Poniżej, przed templariuszami, pozostała część armii chrześcijańskiej kłębiła się jak łan zboża targany wiatrem, choć żadne pole, nawet w porze kwitnienia kwiatów, nie obfitowałoby w tyle kolorów. Zastępy całkowicie wypełniały tereny w stronę miasteczka Vezelay, ukrytego w oddali za lasem namiotów. Na prawo od templariuszy stały równe rzędy oddziałów poddanych Ryszarda Plantageneta, konnych i pieszych przemieszane z formacjami łuczników i kuszników, których łatwo było rozpoznać po brunatnym odzieniu i braku zbroi. W ramach tego zastępu

dało się zauważyć wśród zamętu kolory właściwe poszczególnym armiom: sztandary Burgundii o kolorze czerwonego wina stały śmiało obok głębokiego błękitu Akwitanii, a za nimi widać było zieleń i złoto Andegawenii i Maine, a także czerń i karmazyn Poitou wraz z niebieskimi i białymi pasami, bladą zielenią oraz żółcią i czerwienią Bretanii i Normandii. Nad wszystkimi

sztandarami powiewał oczywiście gigantyczny, jedwabny proporzec Anglii ze złotymi lwami świętego Jerzego na karmazynowym polu, podtrzymywany przez arcybiskupa Baldwina z Canterbury, który osobiście zwerbował dla armii Ryszarda trzy tysiące Walijczyków, głównie łuczników.

Naprzeciwko tego zbiorowiska, po lewej stronie templariuszy, stały siły Filipa Augusta i jego sprzymierzeńców. Wyglądało na to, że jak przystało na monarchę Francji, królewski sztandar Filipa-złote lilie na błękitnym polu rodu Kapetyngów - co najmniej dorównywał rozmiarem proporcowi jego angielskiego sojusznika. Zanim tłoczyły się barwy jego własnych znacznych sprzymierzeńców i wasali, kwiatu chrześcijańskiej szlachty. Jak ponad rok wcześniej przewidział Ryszard, wyraźnie widać było tam jaskrawe kolory Stefana, hrabiego Sancerre, a także Filipa, hrabiego Flandrii, oraz Henryka, hrabiego Szampanii, siostrzeńca obydwu monarchów. Towarzyszyła im cała kawalkada pomniejszego francuskiego możnowładztwa. Ludwik, landgraf Turyngii, wykorzystał swoją pozycję na użytek króla Francji i sprowadził wielu rycerzy z

Danii, Węgier oraz Flandrii. Po obydwu stronach tłumu widać było wielu dostojników Kościoła; część tłoczyła się w wielkiej, rozmodlonej grupie stojącej między dwiema armiami, lecz znaczna większość stała w samych szeregach, uzbrojona nad i pod ornatami, wyposażona do walki i głodna krwi każdego Saracena, który będzie na tyle głupi, aby się do nich zbliżyć.

Andrzej Saint Clair patrzył na to widowisko z pagórka na czele formacji templariuszy, stojąc o kilka długości konia przed pierwszym szeregiem. Po lewej miał swojego najbliższego przełożonego, brata Justyna, mistrza nowicjuszy. Justyn był weteranem o ponurej, zachmurzonej twarzy, który śmierdział jak zjełczały kozi ser. Saint Clair stał o dwie długości konia od niego, lecz gryzący zapach, jaki wydzielał starszy mężczyzna, i tak niemal zapierał mu dech w piersiach za każdym razem, kiedy nabierał powietrza. Z lewej strony brata Justyna stał dowódca ich ekspedycji zbrojnej, małomówny Etienne de Troyes, którego srogość oraz całkowity brak cierpliwości dla takich publicznych widowisk były legendarne. De Troyes był kimś, kogo w Zakonie Syjonu nazywano knurem świątyni - *un sanglier Templier.* Ponieważ nie należał on do Zakonu Odrodzenia, nie miał pojęcia o jego istnieniu.

De Troyes, jeden z najwyższych rangą templariuszy na całych frankońskich terytoriach, które wcześniej tworzyły Galię, był - jak i wielu jemu podobnych - całkowicie pozbawiony tolerancji dla wszystkich i wszystkiego, co nie należało do jego świata, a w ograniczonych ramach

tego świata liczyło się tylko i wyłącznie jedno: Zakon Świątyni. Jednak teraz, mimo że bardzo nie lubił takiego ograniczenia swobody, sir Etienne nie mógł pogardliwie zlekceważyć tych ceremonii i nie wziąć w nich udziału. Był mistrzem Zakonu w Poitou, co oznaczało, że jest najwyższym stopniem dostojnikiem obecnym tego dnia w Vezelay, spoczywała więc na nim odpowiedzialność obserwowania wszystkiego, co się działo. Zakon nie był winien posłuszeństwa ani wierności żadnemu świeckiemu władcy. Monopol na jego lojalność posiadał papież, którego reprezentanci byli tam tego dnia jako osobiści emisariusze, chociaż w obliczu wspólnego saraceńskiego wroga dołączyliby do armii obu królów.

Tego ranka brat Justyn mianował Saint Claira gońcem, ponieważ potrzebny był ktoś, kto zanosiłby wiadomości do ludzi stojących poniżej lub zbierałby wśród nich informacje. Wszyscy wiedzieli, jak niezwykła jest ta nominacja, ponieważ Saint Clair był tylko przyjętym ledwie dwa dni wcześniej postulantem Zakonu, lecz Justyn wyraźnie wykorzystywał pokrewieństwo Andrzeja z marszałkiem polnym, co nikogo nie dziwiło.

Za nimi stały w zupełnej ciszy szeregi ograniczonych dyscypliną zakonną templariuszy, a jedyne dobiegające z ich strony odgłosy spowodowane były przez niespokojne ruchy koni, które zbyt długo stały nieruchomo. Tymczasem w armii zgromadzonej przed nimi panował zgiełk. Niskie dudnienie setki tysięcy głosów przerywane było głośniejszymi, czasem przenikliwymi krzykami niezrozumiałych z tej odległości rozkazów oraz nieustannym wyciem trąbek i rogów. Koń

Andrzeja zaczął przebierać kopytami i zarżał cicho, zbliżając się bokiem do konia brata Justyna, stawiając opór, kiedy Andrzej, niemal dławiąc się smrodem, usiłował go zawrócić.

- Gdzie jest twój ojciec? Nie widzę go.

Brat Justyn przemówił szorstko, kątem ust. Andrzej, nie wiedząc, co mu wolno w takiej sytuacji, wychylił się do przodu w siodle i zerkną! w dół zbocza, tam, gdzie sztandar świętego Jerzego falował nad kotłującą się masą jaskrawo odzianych ludzi i koni, w której nie dało się dostrzec jakiegokolwiek porządku.

- Gdzieś tam jest, bracie Justynie. Na pewno jest w samym środku tego tłumu... musi tam być.

Etienne de Troyes zaklął zniecierpliwiony. Ciągnąc brutalnie za wędzidło, zawrócił konia, zatopił ostrogi w jego bokach i pokłusował w górę zbocza. Całe jego ciało emanowało niezadowoleniem zaprawionym wściekłością. Brat Justyn odprowadził go wzrokiem, patrząc kątem oka, po czym wypuścił powietrze i znów się odezwał, tym razem normalnie:

- Marszałek wyraźnie nie jest zadowolony z tego, co dzieje się tam, w dole. I my nie powinniśmy być zadowoleni, jak sądzę. Widzimy wszystko, co można zobaczyć, poza tym, co chcemy zobaczyć... mię dzy innymi manewry... ale czy rozumiemy cokolwiek z tego, co się dzieje? Jedyne, co potrafię rozpoznać, to ta wielka, piekielna gromada obwieszonych klejnotami biskupów, stojąca tam w środku, pomiędzy dwiema armiami, czekająca na to, aby odegrać swoją rolę w tej kome

dii. Jeśli choć połowie tych paplających, żałosnych sukinsynów będzie wolno pomodlić się za nas, umrzemy ze starości, zanim zejdziemy z tego wzgórza.

Saint Clair był zdumiony, że słyszy takie słowa z ust mistrza nowicjuszy, lecz rozsądnie się z tym nie zdradził. Mimo to poczuł potrzebę powiedzenia czegoś.

- Nie obawiaj się, bracie Justynie. Tam rządzi Ryszard Plantage-net. Nie darzy ważnych księży większymi względami niż jego ojciec. Wszyscy ci biskupi pomodlą się razem, kiedy przyjdzie na to czas.

- Tak, pewnie tak. Poprowadzi ich arcybiskup Lyonu, a opat Veze-lay mu pomoże.

Przerwał im tętent kopyt, gdy jeden ze starszych rycerzy, którego imienia Andrzej jeszcze nie znał, podjechał i zatrzymał się u boku brata Justyna, mówiąc do niego tak, jakby Saint Clair nie istniał.

- Co się tam dzieje? De Troyes jest bardziej rozeźlony niż mokry kot.

- Po prostu nie może ścierpieć straty czasu. Święty by się wściekł. Stoi tam sto tysięcy ludzi, którzy mają dziś wyruszyć, ale grzęzną po pachy pośród biskupów, którzy dyszą pragnieniem ponownego pomodlenia się.

Rycerz odchrząknął i splunął.

- Te trzy ostatnie dni były marzeniem biskupa... jedna niekończą-

ca się, męcząca msza z wielką pompą, śpiewami i drażniącymi kłębami kadzidła. Lecz dość już. Czas zwinąć namioty, załadować wozy, ustawić

w szyku żołnierzy i wyruszyć. Zapamiętaj moje słowa. Albo dziś do południa ruszymy w drogę, albo Ryszard Plantagenet zostanie ekskomunikowany. - Jego głos zniżył się do cynicznego pomruku. -A ponieważ Kościół ma nadzieję, że poprowadzi całą tę kampanię, zmiecie Saladyna i jego Saracenów z powierzchni ziemi oraz odzyska Święte Miasto dla Rzymu, ekskomunika raczej mu nie grozi.

- De Chateauroux! — Męski głos rozległ się ze szczytu za nimi jak trzaśniecie bicza, a rycerz u boku brata Justyna wyprostował się gwał townie. - Cholera! Miej oczy szeroko otwarte. Zobacz, czy potrafisz dostrzec jakiś ruch między obozami. Jakikolwiek!

De Chateauroux pociągnął lejce wierzchowca i spiął go ostrogami, zanim kopyta zwierzęcia dotknęły ziemi. Nie chciał zirytować de Troyes'a.

- Zostań tutaj - warknął brat Justyn do Andrzeja - i jeśli zobaczysz jakąkolwiek zmianę na dole, natychmiast po mnie poślij.

Andrzej nie patrzył za nim. Już czuł, że zwraca uwagę z powodu tego, gdzie stoi: był zaledwie postulantem, nawet nie nowicjuszem, a jednak wyraźnie traktowano go wyjątkowo. Nie zauważył wśród swoich towarzyszy ani śladu rozżalenia, lecz jego wnikliwość pozwalała mu przeczuwać, że może się ono kryć gdzieś pod pozorami obojętności, i nie chciał pogarszać stanu rzeczy, sprawiając wrażenie, że się gapi lub pyszni.

Po chwili brat Justyn wrócił.

- De Troyes chce oficjalnie zjechać na dół, aby popędzić tych leni.

Masz tam pojechać, znaleźć swojego ojca i poinformować go, że marszałek Zakonu chce porozmawiać na osobności z obydwoma monar-chami. Myślisz, że potrafisz to załatwić? — Kiedy Andrzej nie zareagował na sarkastyczną uwagę, Justyn mówił dalej. - Widzisz tamten głaz?

- Tak, bracie Justynie. - Trudno go było nie dostrzec: rycerze siedzący na koniach w cieniu tego niezwykłego kamienia o gigantycznych rozmiarach wyglądali jak karzełki.

- Udasz się tam i znajdziesz ojca, lecz pojedziesz z eskortą, jako oficjalny goniec marszałka, pod proporcem templariuszy. - Odwrócił się w siodle, wsadził dwa palce do ust i zagwizdał głośno, przyciągając

uwagę stojącego za nim młodego rycerza, który ściskał kurczowo długą lancę z przywieszoną trójkątną chorągwią jego oddziału. - Chodź no tu! - Krzyknął i czekał z wyciągniętą ręką, aż młody chorąży posłusznie dołączy do niego.

Mniejszy proporzec, który różnił się od wielkiego sztandaru, był flagą bitewną Zakonu. Na jego białym tle widniał czarny równoramienny krzyż, a prawo do niesienia go było ogromnym zaszczytem, o który walczyli zajadle szeregowi bracia z każdego oddziału.

Brat Justyn kiwnął głową w podziękowaniu za uprzejmość chorążego.

- Mam dla ciebie dodatkowe zadanie, bracie. Będziesz eskortował tego gońca. Zostaniesz z nim, dopóki nie załatwi swoich spraw z

marszałkiem polnym armii króla Ryszarda, a potem wrócisz z nim tutaj. Powiadomię dowódcę twego oddziału, gdzie jesteś i czym się zajmujesz. - Odwrócił się do Andrzeja. -Jeśli o ciebie chodzi, kiedy tylko wykonasz zadanie i będziesz wiedział, gdzie królowie spotkają się z marszałkiem Zakonu, wespniesz się na szczyt tego głazu i dasz nam sygnał proporcem. Jeśli w angielskim obozie, trzymaj go w prawej ręce, jeśli we francuskim, w lewej. Jeśli postanowią spotkać się w połowie drogi między armiami, koło biskupów, unieś proporzec nad głowę obiema rękami. Każę wyglądać cię najbystrzejszym oczom, będziesz dobrze widoczny w swoim całunie dziewicy. - Mówił o śnieżnobiałej szacie postulanta, którą miał na sobie Saint Clair. Andrzej kiwnął głową bez słowa. - Masz sam nadać sygnał, rozumiesz? Czerwony krzyż chorążego może przepaść wśród innych czerwonych krzyży tam, w dole. - Spojrzał znów na chorążego. - Rozumiesz? Masz dać mu proporzec i pozwolić mu użyć go do wysłania sygnału. To ważne. Czy wszystko jasne?

- Tak, panie. Mam dać mu proporzec, aby nadał sygnał. Lecz czy mam go potem odebrać?

Brat Justyn odchylił głowę, jakby ktoś go spoliczkował.

- Tak, oczywiście, że tak. To proporzec, na Boga, a nie kostur. - Zawahał się, pociągnął głośno nosem i zwrócił się znów do Andrze ja. - Kiedy tylko wyślesz nam sygnał, wrócisz tutaj i zameldujesz mi się. Jasne? Jedź i nie trać czasu. Marszałek de Troyes będzie niecierpli wie czekał na twoją wiadomość.

Saint Clair skinął głową i podążył za swoją eskortą, podczas gdy

chorąży chwycił mocniej tarczę, zacisnął lejce w lewej ręce, uniósł lancę, oddając honory sztandarowi, i pognał konia w dół wzgórza.

Saint Clair wrócił dwie godziny później. Pod jego nieobecność zwinięto obóz: wszystkie namioty zostały zdemontowane na czas podróży. Zasalutował mistrzowi nowicjuszy, który natychmiast odprawił go pogardliwym ruchem ręki. Andrzej ochoczo i z wdzięcznością dołączył do piętnastu młodzieńców, z którymi miał w dającej się przewidzieć przyszłości dzielić życie, zarówno jako postulant, jak i brat nowicjusz. Między nimi nie było ani jednego przyszłego serwienta: wszyscy byli ze stanu rycerskiego, pasowani już na rycerzy lub na zaawansowanym poziomie ćwiczeń, zajmując co najmniej pozycje giermków. Powiedziano im, że ich oficjalne wcielenie w szeregi nowicjuszy odbędzie się w katedrze w Lyonie, a do tego czasu mieli nosić bezkształtną szatę nazywaną całunem dziewicy. Przed oficjalnym przyjęciem do nowicjatu mieli się zachowywać jak służący Zakonu - tak też ich traktowano. Było to zgodne z zasadami Zakonu i żaden z postulantów nie był niezadowolony ze swojego losu. Lyon leżał zaledwie o pięć dni marszu na południowy wschód od Vezelay, tak więc w ciągu tygodnia mieli się stać rycerzami Świątyni.

Najmłodszym z nich był może szesnastoletni, patykowaty młodzieniec o koślawych nogach; jednym z najstarszych - dorównujący niemal wiekiem Andrzejowi śniady człowiek o poważnej twarzy, z którym Saint Clair odbył ceremonię wstąpienia dwa dni wcześniej.

Potem jednak nie zamienili już ani słowa. Teraz, kiedy Andrzej podszedł bez słowa, aby usiąść obok niego, przemówił cicho kątem ust, zważając na to, aby nie poruszyć głową i nie zwrócić na siebie uwagi.

- O co chodziło? Postulant z eskortą chorążego? Kim jesteś?

- Nazywam się Saint Clair. Andrzej.

- Ach! Teraz wiem, kim jesteś. Wysłali cię do twojego ojca. Andrzej zmarszczył brwi, zastanawiając się, co było przyczyną tonu tego komentarza. Brzmiała w nim gorycz, być może cynizm. Mimo to odpowiedział spokojnie:

- To prawda. Czy nie pochwalasz tego?

- To nie moja sprawa. Byłem po prostu ciekaw. Niech nie urazi cię mój brak manier. Jestem Frankiem.

Saint Clair zaryzykował szybkie zerknięcie w bok, niemal pewien, że usłyszał us'miech w głosie mężczyzny, lecz nie dostrzegł go.

- A ktoś ty?

- Nazywają mnie Euzebiusz, po tym świętym. Moja matka była pobożna. Jestem z Aix. W Prowansji.

- Ach! To wyjaśnia cudzoziemską mowę. Miło cię zatem poznać. Jestem z Poitou.

Zauważył, że mężczyzna prawie niedostrzegalnie kiwnął głową. Potem obaj zamilkli i zesztywnieli, kiedy przejechał sierżant, marszcząc brwi i spoglądając na każdego z nich po kolei. Kiedy odjechał, Euzebiusz uniósł brew i zerknął w dół, na skórzaną torbę przypiętą do

pasa Andrzeja.

- Co jest w tej torbie? - zapytał cicho. - Nie miałeś jej ze sobą, kiedy zjeżdżałeś ze wzgórza.

- Spostrzegawczy jesteś. - Zaintrygowany Andrzej uśmiechnął się pod nosem. Nieznajomy był bystry, elokwentny, inteligentny, być może nawet sympatyczny. — Suszone figi, z wyrazami uszanowania od Tristana Malbeca, markietana wojsk króla Ryszarda.

Tristan Krzywy Nos, jak go nazywano, był starszym obożnym armii Ryszarda, lecz na długo przedtem przez lata pełnił funkcję starszego ochmistrza i obożnego Eleonory Akwitańskiej, aż uwięziono ją w Anglii, kiedy też Malbec zaczął pracować dla Ryszarda.

Euzebiusz także się uśmiechnął.

- Wygląda na to, że znasz markietana nader dobrze.

- Dość dobrze, aby nie prosić go o łaskę. Znam go od najwcześniejszego dzieciństwa, a jako przyjaciel moich rodziców karmił mnie słodyczami i smakołykami nawet wcześniej. Ostrzegł mnie, żebym nie zjadł ich wszystkich naraz, ponieważ mogą upłynąć lata, zanim je znowu zobaczę. Jeśli chcesz, dam ci później jedną.

Euzebiusz patrzył prosto przed siebie, lecz pokiwał głową.

- Dzięki. Zjem ją ze smakiem, od lat nie miałem figi w ustach. Co zatem dzieje się teraz tam w dole? I gdzie jest marszałek?

Zamilkł, kiedy oficer, który zakończył przegląd, znów zmierzał w ich stronę, z wyraźną nadzieją, że znajdzie kogoś, kto da mu powód do odegrania roli tyrana. Mimo że byli nowicjuszami, żaden nie był tak

naiwny, aby dać mu najmniejszy powód do niezadowolenia. Kiedy oficer był w połowie drogi wzdłuż szeregów, ktoś go zawołał,

szybko więc odjechał. Nikt się nie poruszył i jedynie Saint Clair się odezwał, tak cicho, że tylko Euzebiusz słyszał jego głos.

- Tam, w dole, już po wszystkim - powiedział, jakby nie było przerwy w ich rozmowie - dzięki naszemu ponuremu marszałkowi de Troyes. Od chwili, kiedy pozdrowił monarchów, zorganizowanie zwięzłego, uroczystego nabożeństwa końcowego zajęło mniej niż godzinę. Zaśpiewano tylko jedno krótkie *Te Deum* przed ostatnim błogosławieństwem. Potem trąbki zaczęły rozpędzać zgromadzenie. Teraz, mimo że jesteśmy zbyt daleko, żeby to widzieć, armie wyruszają... a do południa jeszcze ponad godzina. Myślę, że to niezwykłe.

- Hmm. - Euzebiusz rzucił okiem na Saint Claira, po czym znów spojrzał przepisowo przed siebie. -Ja uważam za niezwykłe to, że nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz. Co jest niezwykłego w tym, że armie wyruszają?

- Ponieważ przez ostatnie dwa dni wyglądało na to, że nigdy się tak nie stanie. Filip i Ryszard kłócili się, nie byli w stanie się zgodzić w żadnej sprawie. Dwa dni rokowań nie poprawiły sytuacji. Lecz według mojego ojca wczoraj w nocy dużo osiągnięto, przynajmniej z pozoru. Królowie zwołali pod wzmocnioną strażą prywatną naradę, która przeciągnęła się niemal do północy: Ryszard zarzekał się, że bez względu na to, co się stanie, armia ruszy dziś w stronę Lyonu i że nikt nie

położy się spać, zanim biskupi uporają się z całym obrządkiem. I tak się stało.

Na dźwięk trąbki stanęli na baczność, a młodsi sierżanci zaczęli jeździć wzdłuż szeregów, porządkując formacje i przygotowując wszystkich do opuszczenia szczytu wzgórza. Rozmowa urwała się na chwilę, ponieważ uwaga wszystkich skupiona była na przeprowadzeniu zdyscyplinowanego odwrotu. Dopiero kiedy ich oddział zjeżdżał po zboczu, mogli wznowić wymianę zdań. Znów to Euzebiusz za-

początkował dyskusję, rozejrzawszy się dookoła, aby sprawdzić, czy żaden dowódca im się nie przygląda.

- To wczorajsze spotkanie... Jaki był jego rezultat?

- Zgoda - odpowiedział Andrzej cicho, choć hałas maszerującej kolumny, tętent kopyt, szczęk zbroi i oręża oraz skrzypienie skórza

nych siodeł uniemożliwiłyby podsłuchiwanie. - Oficjalny układ o wza

jemnej przyjaźni i zaufaniu, podpisany i opieczętowany w obecno

ści armii księży jako świadków. Uroczyste wstrzymanie działań wo-

jennych. Anglia, a z nią cała Andegawenia, Poitou i Akwitania oraz pozostałe terytoria należące do rodu Plantagenetów zawarły pokój z Francją i jej sprzymierzeńcami, kończąc wszelkie konflikty na czas, kiedy Anglia i Francja będą wspólnie walczyły w służbie Bogu. Gdyby którykolwiek z monarchów został zabity, zanim skończy się wojna, drugi przejmie dowodzenie nad jego siłami i podwoi ich wysiłki na rzecz Chrystusa i Kościoła. Jeśli którykolwiek z monarchów złamie przysięgę,

stanie w obliczu ekskomuniki, a wszyscy biskupi obu królestw potwierdzą sprawiedliwość tej kary.

-Ty tam! Ty, co ruszasz ustami! Mam nadzieję, że zmawiasz modlitwę, gnido, ale nawet jeśli tak, rób to po cichu. Jeśli jeszcze raz zobaczę, że ruszasz ustami, przez kolejny miesiąc będziesz miał dodatkowe obowiązki przy latrynach. Słyszysz mnie?

- Tak jest - powiedział Andrzej z kamienną twarzą.

Żaden z nich nie zauważył zbliżającego się mężczyzny, lecz teraz obaj stali się wzorami posłuszeństwa. Zachowywali się tak przez kolejne cztery godziny, nie próbując rozmawiać, aż dotarli do miejsca, gdzie mieli nocować. Mimo to pojawiło się między nimi poczucie koleżeństwa, które narastało przez resztę dnia.

Tego wieczora, po kolacji - niezwykle chaotycznej, ponieważ była to pierwsza okazja, przy której kuchnia polowa musiała poradzić sobie z gotowaniem dla tysiąca ludzi naraz - siedzieli we dwóch przy ognisku przez godzinę poprzedzającą spoczynek. Mieli za sobą długi, męczący dzień, więc szybko okazało się, że są sami, ponieważ reszta ich towarzyszy poszła spać. Wrócili do wcześniejszego tematu.

- Zatem i Filip, i Ryszard zgodzili się na ustalenia, które opisa łeś? - Euzebiusz nie ukrywał, że jest pod wrażeniem, potrząsając głową z udawanym niedowierzaniem. - Gdybym usłyszał to wczoraj, nie uwierzyłbym. Słyszałem, że od czasu przybycia tutaj sprzeczają się jak zazdrosne, kłótliwe przekupki, drąc się i krążąc dookoła siebie jak dwa drapieżne koty w rui... - Przerwał, spoglądając czujnie na Saint Clai

ra. - Czy jesteś urażony, słysząc takie rzeczy?

Andrzej tylko spojrzał na niego ze spokojnym wyrazem twarzy.

- Dlaczego miałbym czuć się urażony? Dlatego, że zaliczam się do przyjaciół Ryszarda, czy dlatego, że podejrzewasz mnie o nienaturalne upodobania?

Euzebiusz zagapił się na niego niepewny, co odpowiedzieć i jak od-

czytać wyraz twarzy Andrzeja. Młodzieniec pozwolił mu jeszcze kilka chwil balansować na granicy obawy, po czym powiedział:

- Prawdę mówiąc, uważam, że porównanie z drapieżnymi kotami w rui jest celne. Bardzo dobre. Posłuchaj mnie teraz, przyjacielu. Jeśli mamy być przyjaciółmi, a wydaje mi się, że moglibyśmy nimi być, musimy zacząć sobie ufać. Przysięgam ci, że cokolwiek powiesz, nie pobiegnę, aby donieść na ciebie mistrzowi nowicjuszy. Nie zrobię tego, jeśli będziesz mówił, co myślisz. Czy zgadzamy się w tej kwestii?

-Patrzył na Euzebiusza, aż ten kiwnął głową. — Dobrze więc, mów dalej Porównywałeś ich do kotów w rui.

- Świetnie. Niech tak będzie... Miałem na myśli to, że kłócą się zajadle, tak jadowicie, jak potrafią tylko byli kochankowie. Słyszałem, że ku powszechnemu zachwytowi Filip dał pokaz swojej rozkapryszonej natury. Być może dlatego, że ktoś wszedł mu w paradę. - Przerwał, po czym uśmiechnął się. - Zwróć uwagę, że jeśli przemyśli się całą sprawę, trudno mieć mu to za złe. Przez dziesięć lat był jedynym królem na wszystkich tych terenach, a teraz jego były kochanek też ma koronę.

Koronę, a także większą armię, głębszy skarbiec, bardziej atrakcyjną osobowość oraz zasłużoną reputację świetnego wojownika. Nie wspominając nawet o jego większej flocie, silniejszej nawet od genueńskiej, którą Filip musiał wynająć za ogromne pieniądze, aby przewiozła jego armię. Całą tę sytuację tym trudniej mu znieść, że Ryszard jest zbyt chełpliwy i ekstrawagancki, żeby bronić godności Filipa przez umniejszenie własnych dokonań. — Potrząsnął głową. - Na pewno trudno było Filipowi Kapetyngowi naraz przełknąć to wszystko. Musiało stanąć mu w gardle. A jednak mówisz, że przełknął dumę i doszedł z Ryszardem do porozumienia? A co ze sprawą Adeli?

Saint Clair rozłożył ręce i wydął wargi.

- Podobno załatwiona. Ryszard obiecał wziąć z nią ślub.

Euzebiusz wyprostował się zszokowany.

- Po całym tym kapryszeniu, które trwało tyle lat, weźmie z nią ślub? Cóż, wierzę ci na słowo... Choć założę się, że i tak jej nigdy nie dotknie, czy będzie jego żoną czy nie.

- Dlaczego tak twierdzisz? On ma syna, wiesz.

- Chcesz powiedzieć, że podobno ma syna. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś widział tego bachora, a sądzę, że gdyby była to prawda, za-

bierałby go wszędzie ze sobą tylko po to, aby pokazać żołnierzom, że jest tak samo sprawny w łożu jak na polu bitwy.

Saint Clair skinął tylko głową, nie mogąc potwierdzić ani zaprze-czyć, i wkrótce potem odtrąbiono porę wygaszania ognia, więc dwaj

mężczyźni podążyli do namiotów.

Kolejne dwa dni składały się jedynie z powtarzających się sekwencji marszu, jedzenia i snu. Po wyjątkowo długim przemarszu przez rozmoknięte tereny leśne, kiedy Saint Clair, ściskając w ręku kubek gorącego gulaszu z sarniny zdobyty w jednej z kuchni polowych, zmierzał w stronę ogniska, usłyszał, że ktoś go woła. Jego przyjaciel, de Tremelay, niósł pod pachą bochenek chleba, a na ramieniu bukłak z winem. Zjedli razem, a towarzysze Andrzeja byli na tyle uprzejmi, że wkrótce po wieczerzy udali się na spoczynek i zostawili ich samych. Po chwili ciszy de Tremelay zapytał:

- Jak radzisz sobie z trudami przynależności do Zakonu?

- Jak dotąd ledwie je zauważam, za co z pokorą dziękuję. Wydaje się, że z powodu marszu odłożono na później dręczenie nowicjuszy. Nie ma czasu na głupie zabawy. Poznałem też człowieka, którego lubię. Też jest postulantem, ma poczucie humoru i jest inteligentny. Nazywa się Euzebiusz.

- Przynajmniej jedna miła niespodzianka. Bądź za nią wdzięczny. Jak myślisz, czy flota będzie na nas czekać, kiedy przybędziemy?

Saint Clair myślał o Lyonie, gdzie mieli przybyć za dwa dni, i przez chwilę się nie zorientował, o czym mówi de Tremelay.

- Masz na myśli Marsylię? Dlaczego miałoby być inaczej?

De Tremelay rzucił kawałek drewna, który trzymał w ręce, do ognia.

- Potrafię wymyślić kilka powodów. Gdyby były to ptaki, prze leciałyby z Anglii do Marsylii w dwa dni. Lecz mówimy o statkach,

które muszą płynąć naokoło, wzdłuż całego zachodniego wybrzeża, przez Zatokę Biskajską z jej najgroźniejszymi wodami w całym świecie chrześcijańskim, minąć Portugalię i popłynąć na wschód, koło mauretańskiej Iberii, po czym znów na północ wzdłuż wschodniego wybrzeża. Jeden poważny sztorm mógłby zatopić połowę z nich i rozrzucić resztę jak liście po wodach stawu. Mogą też się natknąć na mauretańskie galery kursujące wzdłuż wybrzeża Iberii, a nawet po cieśninach północnej Afryki. Mauretańska flota nie może równać się

z naszą pod względem potęgi, lecz ich galery są szybkie i zabójcze. Nasze plany mogą poważnie ucierpieć z ich powodu.

- Nie sądzę, żeby tak się stało. - Andrzej potrząsnął głową. - Jest już czerwiec i najgorsze wiosenne sztormy już się skończyły. Zatoka Biskajska powinna być spokojna. Tak przynajmniej powiedział mi de Sabie. Poza tym on sam będzie dowodził flotą, która nadaje się do walki. Jego statki... dziesięć największych, najlepszych i najszybszych jednostek angielskich... to po prostu okręty wojenne, zaprojektowane i zbudowane z myślą o żegludze w takich warunkach, w jakich przyjdzie mu pokonywać drogę z Londynu do Marsylii. Nie wątpię, że będą na nas czekać.

- Jestem pewien, że masz całkowitą rację. - Głos de Tremelaya ociekał teraz sarkazmem. - Bez wątpienia zadbają też o to, abyśmy wygodnie zajęli miejsca. Każdy z nas będzie miał gdzieś na pokładzie wygodną małą dziurę, w której będziemy mogli się kulić w cierpieniu

wśród naszych umierających, śmierdzących pobratymców i rzygać całą drogę z Marsylii do jakiegoś portu w Zamorzu. Wiesz, gdzie będziemy lądować?

- Jeśli będziemy mogli wylądować bezpiecznie, stanie się to w Ty-rze, na wybrzeżu. Jest to jedyny otwarty dla nas port, ponieważ Sa-ladyn i jego hordy kontrolują wszystkie inne. Lecz najpierw musimy przemierzyć drogę z Marsylii przez Korsykę i Sardynię na Sycylię, z Sycylii na Cypr, a stamtąd do Tyru.

- Czy to długa podróż?

- Nie. Cały czas będziemy na łasce wiatru i pływów, lecz jeśli wszystko pójdzie gładko, według Roberta nie powinniśmy być na morzu dłużej niż miesiąc.

- Słodki Jezu, to będzie długa choroba. Czy cierpiałeś kiedyś na chorobę morską?

Saint Clair potrząsnął głową.

- Nie, lecz domyślam się, że nie jest to przyjemne. A ty?

-Tak, kilka razy. To bardzo dziwne, ponieważ kiedy chorujesz po raz pierwszy, a twoje wnętrzności wywracają się na nice przy każdym przechyle, myślisz, że umrzesz, i boisz się. Lecz później, kiedy jesteś w samym środku wszystkiego, naprawdę chory, zdajesz sobie sprawę, że piekło nie może być gorsze niż to, co właśnie przechodzisz...

— I najbardziej zaczynasz bać się tego, że być może wcale nie umrzesz! - dokończył za niego Saint Clair.

De Tremelay zrobił drwiącą minę i spojrzał Andrzejowi prosto w oczy.

—Mówią, że po fakcie kobiety nie pamiętają bólów porodu. Wierz mi, przyjacielu, z chorobą morską jest inaczej. Nigdy, przenigdy nie zapomnę, jak to jest, i nie mam ochoty przeżyć tego ponownie, choć wiem, że podczas tej podróży tak się stanie. To powinno wystarczyć, aby zagwarantować mi miejsce w raju, nie sądzisz? Rzucać się z własnej woli do piekieł, aby odzyskać Ziemię Świętą... Idę spać. Pojutrze będziemy w Lyonie. Czy twój ojciec wspomniał, jak długo tam pozostaniemy?

—Tak. Powiedział, że jeśli w ogóle się zatrzymamy, to tylko na noc. Czas naszego przybycia i wymarszu trzeba ustalić z góry, po drodze do miasta. Armia rozdzieli się tam, prawdopodobnie następnego ranka po naszym przybyciu, i siły Filipa podążą na wschód, a my na południe, wzdłuż Rodanu, do Awinionu, Aix i wreszcie do Marsylii. Kiedy dotrzemy do Lyonu, nas, postulantów, powinno być dwudziestu, może więcej. Wiem, że zmierza w naszym kierunku kolejna drużyna rycerzy z komturii w Pommiers, leżącego o kilka mil na północny zachód od Lyonu, i ma być wśród nich co najmniej sześciu nowych postulantów. Nasza inicjacja w Lyonie będzie jedynie ceremonią zakonną, która nie będzie miała nic wspólnego z armią. Pewnie nastąpi podczas naszego pobytu w mieście, w ramach jednej z nocnych modlitw.

—Zapewne masz rację, lecz będzie to tajemnica, więc skąd mam wiedzieć? W każdym razie kiedy już wstąpisz w szeregi, przez jakiś czas

będziesz bardzo rzadko widywał mnie i innych braci. Zakon zbyt cię zaabsorbuje, żebyś miał czas zastanawiać się nad naszymi potrzebami, przynajmniej do czasu, kiedy złożysz pierwsze śluby. — Na odchodnym de Tremelay się zawahał.

—O co chodzi?

—Kiedy mówiłeś o dotarciu do Lyonu, powiedziałeś coś, czego nie zrozumiałem. Coś o tym, że trzeba wszystko zaplanować, aby przybyć na czas... Co miałeś na myśli?

Saint Clair uśmiechnął się i przeciągnął jak kot, po czym pochylił się znów w kierunku ognia, opierając łokieć na kolanie.

— Pomyśl o tym, Bernardzie. Jutro, zamiast jechać na oślep i użalać

się nad sobą, rozejrzyj się podczas naszego marszu i zastanów. Czy widziałeś kiedykolwiek coś podobnego? Pracowałeś dla de Sablego, pomagając mu w organizacji floty Ryszarda, lecz armia jest jeszcze większa. Zdecydowanie większa. Na pierwszy rzut oka nie widać tego tak wyraźnie, jak w wypadku floty i wszystkich jej masztów... tutaj widzisz tylko to, co znajduje się blisko ciebie... lecz stanowimy część otaczającej nas grupy ponad stu tysięcy ludzi, wraz z całym taborem. Naprawdę, pomyśl: jaka była największa grupa, z którą zdarzyło ci się podróżować, oprócz tej właśnie?

De Tremelay zastanawiał się chwilę.

- Stu ludzi - powiedział w końcu. - Jakieś osiem lat temu poje chałem do Nawarry z moim panem lennym i było nas stu dziewięciu,

nie licząc świty.

- A jak sądzisz, ilu ludzi tworzyło świtę?

Bernard wzruszył ramionami.

- Giermkowie, służący, kucharze, kowale... Kto wie? Może dwu-

dziestu? Może nieco więcej.

- Więc

twoja

stuosobowa

grupa

była

raczej

stuczterdziestoosobo-wa. Przypominasz sobie, czy mieliście podczas tej podróży jakiekolwiek kłopoty ze znalezieniem miejsc na rozbicie obozu?

- Tak, każdego dnia. Pamiętam to dobrze, ponieważ musiałem ich szukać i nie znosiłem tego. Każdego dnia musiałem jechać o wiele mil przed resztą, szukając dogodnego obozowiska. Czasem, żeby je znaleźć, musiałem jeździć cały dzień.

Saint Clair wstał i rozejrzał się po obozie pogrążonym we śnie.

- Ten nasz obóz jest ogromny, nieprawdaż? Ponad tysiąc templa

riuszy... jak mówisz, o wiele więcej ludzi, jeśli policzyć służących i po

mocników. Jest ich zapewne około trzystu. Stanowimy jednak tylko jeden obóz. Dookoła musi być co najmniej sto innych obozów takich jak nasz; dwieście, jeśli wszystkie są dwa razy mniejsze niż ten. Czy

naprawdę dziwi cię, dlaczego planowanie naszej trasy pod każdym względem jest ważne? Kiedy wczoraj zaczęliśmy marsz, nie wszyscy podążaliśmy prosto przed siebie. Większość z nas maszerowała po ukośnej linii w lewo bądź w prawo, aż utworzyliśmy poruszający się I ront o szerokości dwóch mil. Jutro zrobimy to samo, poszerzając nasz szyk, aż osiągnie on szerokość czterech mil.

Dlaczego?

- Ponieważ jeśli tego nie zrobimy, przyjacielu, nasze kopyta, koła i maszerujące stopy zniszczą całą ziemię, po jakiej przejdziemy, idąc dwumilowym frontem. W całym tym kraju nie ma drogi, która była by na tyle mocna lub szeroka, aby wytrzymać nasz przemarsz, a pola i tak mogą nie wrócić do życia przez wiele lat po naszym przejściu. Lasy będą w opłakanym stanie. Sto tysięcy ludzi, ich konie i wozy. To cud, że w ogóle możemy się poruszać na taką skalę, lecz kiedy dotrzemy do Lyonu, doprowadzenie kolumn z wszystkich kierunków na miejsce zajmie co najmniej cały dzień, a potem będą one musiały rozbić obozy na polach otaczających miasto. To przerażające przedsięwzięcie. Sama myśl o nim wyczerpała mnie, więc teraz moja kolej, aby powiedzieć ci dobranoc. - Wstał właśnie w chwili, kiedy rozległ się sygnał wygaszania ognisk, i kiwnął głową na pożegnanie przyjacielowi. - Spij dobrze i postaraj się nie rozmyślać nad tym, skąd weźmiemy dość zapasów, aby mieć co jeść po drodze.

- Niech cię szlag, Saint Clair. Teraz w ogóle nie zasnę.

Andrzej odwrócił się z szerokim uśmiechem.

- No, skoro tak, to pilnuj nas dobrze.

7

/Yndrzej Saint Clair ani przez chwilę nie wątpił w to, że wraz *i* oficjalnym zakończeniem ceremonii wstąpienia do Zakonu, która się odbyła w Lyonie, jego życie radykalnie się zmieni. Sztywny harmonogram zakonnego trybu życia, ustalonego na podstawie starej reguły świętego Benedykta i zmodyfikowanej przez świętego Bernarda dla Zakonu Świątyni, przewidywał niezmienny cykl oficjalnych modłów i czytań z Pisma Świętego, które zajmowały mnichom większość dnia i nocy. Ta zmiana najbardziej rzucała się w oczy ze wszystkich, które zaszły w życiu Andrzeja i jego towarzyszy. Czas pomiędzy tymi modlitwami był tak wypełniony pracą, że nowicjusz nie miał ani chwili dla siebie. Wydawało się, że reguła dyktująca teraz ich tryb życia została zaprojektowana tak, aby wytrzebić u wszystkich nowo przybyłych jakiekolwiek wspomnienia wygód, które mogli zachować /. wcześniejszych, spędzonych z rodziną czasów.

Andrzej obserwował przebieg ceremonii na poły z rozbawieniem, na poły z niedowierzaniem, ponieważ rozpoznawał elementy przypominające, a czasem niemal naśladujące fragmenty rytuału, któremu został poddany wiele lat wcześniej, podczas swojego wyniesienia do Zakonu Syjonu. Choć uroczystość odbywała się z wielką pompą, w ogóle nie doświadczył poczucia objawienia, które owładnęło nim przy poprzedniej okazji. Pomyślał, że całość sprawia wrażenie, jakby ceremonię naprędce skleciła grupa ludzi szukających na oślep sposobów nadania temu skądinąd jałowemu wydarzeniu wyjątkowej atmosfery.

Uroczystość wypełniały modły i zaklęcia intonowane przez duchownych i dostojników Zakonu wśród kłębów kadzidła, a także oficjalne, tajemne obrzędy odbywające się w niemal całkowitych ciemnościach, rozświetlonych zaledwie jedną czy dwiema świecami. Dla Saint Claira było jednak rażąco jasne, że w całej tej sprawie nie

ma za grosz doniosłości. Ceremonia włączenia do Zakonu była widowiskiem obliczonym na wywołanie podziwu i bojaźni u jej uczestników, a szczególnie u nowicjuszy. Kiedy mieli już za sobą wszystkie wariacje wymaganego rytuału, byli sparaliżowani wizją wspaniałości własnego poświęcenia i przekonani, że odtąd są skazani na życie w nieustającej, milczącej kontemplacji oraz że nigdy już nie będą mieli czasu na błahe, prywatne rozrywki.

Podczas rozmów odbywanych szeptem w cudem wykradzionych dla siebie chwilach byli postulanci usiłowali udawać, że nie jest tak źle, jak się wydaje, i że każdy mnich Zakonu znosi te same trudy, choć widzieli, że to nieprawda. Nowicjat był okresem celowo zaaranżowanych trudności mających za cel bezlitosną selekcję rekrutów i odsianie tych, którzy nie nadawali się do życia zakonnego.

Andrzej, którego przed tym ostrzegano, był zdecydowany nie dać się zniechęcić. Postanowił stłumić niezadowolenie, aby — mając na oku jeden cel - przebrnąć przez ten przypominający czyściec proces. Wmówiwszy sobie, że jest gotów na wszystko, co mogą wymyślić surowi służbiści Zakonu, błyskawicznie i skrupulatnie zabrał się do

wypełniania każdego rozkazu i instrukcji bez względu na to, jak mu się mogły wydawać poniżające czy odczłowieczające. W mocno ograniczonym wolnym czasie uczył się na pamięć ogromnych fragmentów reguły Zakonu, setek ustępów pełnych rozdziałów i podrozdziałów, w czym bardzo pomagała mu umiejętność czytania. Mimo to czuł niedowierzanie za każdym razem, kiedy dostrzegał, że zasady, z którymi wszyscy oni się zmagali, zostały w znacznym stopniu złagodzone przez wzgląd na wymogi życia w marszu.

Wydostanie się z Lyonu zajęło im w sumie pięć dni. Pierwszego dnia most nad Rodanem zawalił się pod ciężarem przekraczających go ludzi i wozów. Zginęło ponad sto osób. Ryszard był zmuszony spędzić kolejne trzy dni, zbierając łodzie i skify z odległości wielu mil w dół i w górę rzeki, aby móc przewieźć resztę swoich żołnierzy na południowy brzeg. Potem, podróżując z maksymalną prędkością dwunastu mil, sześćdziesięciotysięczny zastęp Ryszarda przez kolejne osiem dni maszerował na południe, frontem o szerokości trzech mil, aż dotarł do Awinionu, gdzie skręcił w stronę Aix, odległego o kolejny dzień marszu. Ku ogólnemu zdziwieniu po drodze wciąż dołączali do nich nowi rekruci.

Ósmej nocy jednak bezceremonialnie aresztowano Andrzeja Saint Claira na oczach jego osłupiałych towarzyszy. Dokonał tego oddział braci serwiantów działających na rozkaz mistrza nowicjuszy. Bez żadnych wyjaśnień - nie miał nawet czasu pozbierać skromnego dobytku -

związano mu ręce z tyłu i odprowadzono.

Kolejne kilka godzin spędził pod ścisłym nadzorem, zamknięty w ruchomym więzieniu, jednym z czterech, jakie towarzyszyły wielkim oddziałom templariuszy. Była to pozbawiona okien, solidnie zbudowana drewniana skrzynia umieszczona na wozie, do której powietrze dostawało się jedynie przez szparę z żelaznymi kratami. Nikt mu nie powiedział, dlaczego i za co został aresztowany, i Andrzej czuł, jak beznadziejna rozpacz ciąży mu w trzewiach niczym ołowiane kule, ponieważ wiedział, że po zaledwie dwóch tygodniach spędzonych w nowicjacie Zakonu nie ma głosu, tożsamości ani autorytetu, dzięki którym mógłby zaprotestować przeciwko tej krzywdzie.

Potem, w środku bezsennej nocy - po nocnym nabożeństwie, a przed jutrznią, kiedy ciemności były wciąż nieprzeniknione - postawiono go przed trybunałem starszych rycerzy zebranych w oświetlonym pochodniami namiocie marszałka. Tam brat Justyn, mistrz nowicjuszy, odczytał akt oskarżenia. Wyczytał pełne nazwisko Saint Claira - tylko jego nazwisko - z pergaminowego zwoju opatrzonego kilkoma ozdobnymi woskowymi pieczęciami o oficjalnym wyglądzie, po czym podniósł głowę i zmierzył więźnia wzrokiem od stóp do głów, nie mówiąc ani słowa. Andrzej stał wyprostowany, z wysoko uniesioną głową, chory z napięcia. Dochodził go smród niemytej świętości Justyna, choć stał cztery kroki od niego. Mistrz nowicjuszy stał zgarbiony, marszcząc czoło; jego dolna warga była obwisła, a wydatny brzuch wypychał poplamioną opończę.

- Andrzeju Saint Clair, jesteś oskarżony o zdradę, o zbrodnie tak wielkie, że unieważniają one jakiekolwiek prawo do bycia członkiem tego wielkiego Zakonu. - Pochylił głowę, przyjrzał się znów zwojowi i ciągnął: - A jednak... wygląda na to, że istnieje jakaś wątpliwość... jakaś drobna wątpliwość... w kwestii szczegółów dotyczących zarzutów. - Opuścił zwój gwałtownie. - Masz się udać pod strażą do komin ri i zakonnej w Aix, aby odpowiedzieć na stawiane ci zarzuty i wykazać, że są one fałszywe, a ty zostałeś oszkalowany i w rzeczywistości

pozostajesz wierny przysięgom, które składałeś, wstępując do tego Zakonu. Niech Bóg ci dopomoże. Odprowadzić go.

Żaden z członków trybunału nie odezwał się słowem, lecz kiedy Saint Clair odwracał się, na tyłach namiotu zauważył znajomą twarz jednego z postulantów, z którym wstępował do Zakonu i który nawet o tej nieprzyzwoitej porze wypełniał jakieś przyziemne obowiązki narzucone mu przez marszałka. Człowiek ten oddalił się pospiesznie z pochyloną głową, lecz Andrzej był przekonany, że nie ominęło go ani jedno słowo. Był zaskoczony, że cechujący się okropnym usposobieniem brat Justyn nie zauważył go i nie rozkazał, żeby natychmiast go wyrzucono. Lecz właśnie wtedy jeden z jego własnych strażników chwycił go za ramię i wyprowadził.

Strażnicy popędzili go do przodu, po czym został uniesiony i wepchnięty w kąt więzienia, do którego wpadł na kolanach. Ciężkie drzwi zatrzasnęły się, a wóz ruszył chwiejnie w drogę. Andrzej był słaby i

roztrzęsiony, jego nogom nagle zabrakło sił i musiał mocno walczyć ze sobą, żeby nie zwymiotować. Spróbował się uspokoić za pomocą nowego nawyku - odmawiania *Pater noster,* części jego codziennych modłów. Wyrzucił z umysłu wszystko poza monotonnym rytmem słów, aż powtórzył modlitwę tyle razy, ile wymagano od niego codziennie: sto czterdzieści osiem. Kiedy skończył, wciąż było ciemno, cela była zbyt wąska, aby mógł się położyć, a wóz huśtał tak bardzo, że o zaśnięciu nie mogło być mowy. Znów usiadł więc prosto i zaczął od nowa odliczać węzły na swoim sznurze, odmawiając modlitwy z następnego dnia. Zanim wóz się zatrzymał, Andrzej zdążył zmówić *Pater noster* tysiąc dwadzieścia sześć razy - o dziesięć mniej, niż musiał zmówić przez cały tydzień. Ku własnemu zaskoczeniu odnalazł w sobie stoicki spokój, z którym czuł się pewnie. Musiał zacisnąć oczy, kiedy drzwi jego celi otworzyły się, a wnętrze zalało oślepiające światło słońca, i pozwolił, aby strażnicy powoli pomogli mu wyjść, aż stanął znów na ziemi. Wiedział, że przyjechali do miasta - zakładał, że do Aix - ponieważ już wcześniej czuł dudnienie kół wozu na kocich łbach, a dźwięku podniesionych głosów dobiegających z ciasnych domów nie dało się pomylić z żadnym innym. Znajdował się na jakimś podwórzu, otoczonym z czterech stron budynkami. Dwaj strażnicy, którzy eskorto-

wali go z obozu templariuszy, nie zwracali teraz na niego uwagi. Na wprost przed nim były szerokie drzwi okolone bladożółtym piaskowcem, do których prowadziły szerokie, płytkie schody z tego samego

kamienia. U szczytu łuku wieńczącego otwór na drzwi wyryto głęboką płaskorzeźbę przedstawiającą tarczę z herbem templariuszy, a pod nią, po obu stronach drzwi, stali dwaj wartownicy w bieli z czerwonymi krzyżami Świątyni wyhaftowanymi na piersi. Jeden z nich przyglądał się bez ciekawości Saint Clairowi, a drugi jego towarzyszom.

Andrzej był pewien, że jest to nowa siedziba Zakonu w komturii w Aix, ponieważ kilka lat wcześniej słyszał, jak opisuje ją z podziwem ktoś, kto przyglądał się jej budowie i zachwycał się kolorem kamienia, wydobytego z pobliskiego kamieniołomu na jego własnych ziemiach.

Strażnicy poprowadzili go łagodnie w stronę wejścia. Wewnątrz było ciemno i chłodno. Zatrzymali się przed szerokim stołem, przy którego krańcach stali kolejni dwaj wartownicy.

Zza stołu wyszedł rycerz o pozbawionej wyrazu twarzy, na co strażnicy Andrzeja stanęli na baczność i zasalutowali. Starszy strażnik wyjaśnił, kim są i dlaczego przyjechali, po czym podał rycerzowi pergamin z nakazem aresztowania. Rycerz wziął go, podziękował im uprzejmie, kiwając każdemu głową, i kazał jednemu ze swoich ludzi odprowadzić ich do refektarza, aby mogli coś zjeść. Kiedy ucichły ich kroki, rycerz odezwał się do wartownika, który wciąż stał przy stole:

- Znajdź brata preceptora i powiedz mu, że przyjechał więzień.

Ten zasalutował żwawo i okręcił się na pięcie, aby odmaszerować.

Rycerz skierował oczy na Saint Claira, który stał wyprostowany, wyzywająco odwzajemniając jego spojrzenie.

- Za mną.

Ruszył stanowczym krokiem człowieka, który nigdy nie wątpił we własną potęgę. Andrzeja kusiło, aby stać w miejscu, ale uznał, że bunt może nie być w jego najlepszym interesie. Rycerz wysforował się już znacznie do przodu i nawet się nie obejrzał, żeby sprawdzić, czy Andrzej idzie za nim.

Gdy doszli do ogromnych drzwi za zakrętem szerokiego korytarza, rycerz otworzył jedno ze skrzydeł i odsunął się, przytrzymując je, aby Saint Clair mógł przejść. Ta niespodziewana uprzejmość sprawiła, że Andrzej się zawahał. Gdy przekroczył próg, trzy kroki dalej drogę zastąpiła mu para identycznych ciężkich odrzwi.

- Mają wytłumić odgłosy - powiedział rycerz, minął Andrzeja i otworzył je.

Jedynym powodem wytłumiania, jaki Andrzej potrafił sobie wyobrazić, była chęć chronienia uszu wrażliwych osób o czystych sumieniach przed wrzaskami torturowanych winowajców. Myśl ta natychmiast zniweczyła stoicki spokój, jaki osiągnął dzięki modlitwom.

Wyglądało na to, że w wielkiej komnacie, do której weszli, nie ma okien, a jednak rozświetlało ją płynące skądś światło. Andrzej uniósł wzrok. Piętrzące się wysokie ściany były wyłożone drewnem i obwieszone bogato tkanymi gobelinami. Przed nim widniała kamienna ściana z wbudowanym ogromnym kominkiem, po obu stronach którego znajdowały się kolejne sięgające sufitu drzwi.

W ogromnym żelaznym koszu buzował ogień. Przed kominkiem

stały trzy ogromne, wygodne sofy ustawione w podkowę, a na podłodze leżała skóra ogromnej bestii, znanej Andrzejowi z malowideł: tygrysa. Stało tutaj mnóstwo ogromnych żelaznych świeczników, z których część miała po kilka ramion mieszczących — jak wydawało się Andrzejowi - setki wspaniałych, płonących jasnym światłem świec. Pod ścianą po lewej ciągnął się długi, ciężki stół, zastawiony kielichami oraz wysokimi, ozdobnymi dzbanami, a także czymś, co wyglądało na wielki wybór przykrytego materiałem jadła. Na sam ten widok młodzieńcowi pociekła ślina i pomyślał z goryczą, że jest mało prawdopodobne, aby mógł w jakikolwiek sposób skorzystać z tej obfitości. Był tutaj więźniem, pogrążonym w niewiedzy na temat własnych przewin, lecz bez złudzeń co do tego, z jaką powagą zapatrywano się na jego występek.

Saint Clair wyraźnie usłyszał, jak drzwi za nim zamykają się cicho, i odwróciwszy się, ujrzał, jak nieznajomy rycerz odpina od pasa pęk kluczy. Ten zbliżył się bez słowa, łagodnie odwrócił młodzieńca, rozpiął skuwające go kajdany i odrzucił je niedbale pod ścianę obok paleniska. Upadły z brzękiem na ziemię. Rozkuty Saint Clair napiął mięśnie i przygotował się na to, co miało nastąpić. Gdyby trafiła się szansa, aby się obronić, nie zawahałby się.

- Podstęp, sir Andrzeju, podstęp... Z konieczności zawiły. Kiedy tylko zjawią się inni, otrzymasz pełne wyjaśnienie. Założę się, że tym czasem z przyjemnością wypijesz kielich wina.

Rycerz podszedł do stołu, nie czekając na odpowiedź, i podniósł

dwa ciężkie dzbany o długich szyjkach. Oszołomiony Andrzej skonstatował tylko, że pałasz wiszący w pochwie u pasa templariusza jest bardzo porysowany i zniszczony.

- Dzięki biskupowi Aix mamy wybór. Jeden z nich zawiera ciemny, krwistoczerwony nektar z Burgundii, a drugi czystą bursztynową magię znad Renu. Co wolisz? Jestem Belneur. Po prostu Jean Belfleur z Carcassonne. Czerwone czy złote?

- Co? O co chodzi? Dlaczego tu jestem? Co...

- Tak jak powiedziałem, wszystko się wyjaśni. Napij się czerwonego. - Belfleur zajął się nalewaniem i podał Andrzejowi pełen po brzegi kielich. — Jednak musimy zaczekać, aż dołączą do nas inni.

- Jacy inni?

- Cierpliwości, przyjacielu, błagam, pohamuj ciekawość. — Machnął ręką w stronę trzech ustawionych przy ogniu sof. - Chodź, spocznij. Nie zapytam cię o podróż, ponieważ nie mogła być przyjemna, lecz powiem ci, że kiedy zakończymy tutaj nasze sprawy, będziesz miał dostęp do wanny pełnej gorącej wody oraz do świeżych ubrań. Otrzymasz też z powrotem własną broń i zbroję.

Saint Clair niechętnie pokiwał głową w podziękowaniu za dobrą wolę mężczyzny. Był dziwnie zawstydzony tym, że czuje urazę. Posłusznie usiadł i w ciągu kolejnego kwadransa stopniowo się rozluźnił, gdy bogate w smaku wino rozprowadzało po jego ciele swoją własną dobrą wolę. Żaden z nich się nie odezwał, lecz panująca między nimi

cisza nie była ani trochę napięta. Obaj z własnych powodów zadowalali się czekaniem na rozwój wydarzeń.

Pod wpływem wina, żaru ognia i długiej, nieprzespanej nocy Andrzej przysnął i gdy usłyszał, że za jego plecami otwierają się drzwi, zerwał się na równe nogi, upuszczając pusty kielich. Do komnaty wkroczyło dziewięciu mężczyzn w różnym wieku, część miała na sobie zbroje. Jeden z nich, templariusz, górował nad wszystkimi o pół głowy; miał rude włosy, rumianą twarz i bystre bladoniebieskie oczy. Natychmiast skojarzył się Saint Clairowi z Ryszardem Plantagenetem: był na wskroś żołnierzem i wojownikiem i promieniował tą samą brawurową pewnością siebie. To on przemówił pierwszy, przechylając głowę lekko na bok i patrząc Andrzejowi prosto w oczy.

- Sir Andrzeju Saint Clair, witaj w naszej siedzibie. Jestem Bene dykt z Roussillon, hrabia Grenoble i preceptor komturii Zakonu w Aix.

Wyciągnął rękę, a Andrzej podszedł, aby się nad nią pochylić, lecz zanim zdążył zgiąć plecy, poczuł niemożliwy do pomylenia z innym uścisk dłoni Roussillona i odwzajemnił go, otwierając szeroko oczy ze zdumienia. Preceptor Zakonu Świątyni w Aix należał do bractwa Zakonu Syjonu.

Lecz hrabia już się odwracał, aby przedstawić innych członków grupy. Pierwszy z nich też był templariuszem.

- Oto Henryk Turcot, kasztelan Grenoble oraz mój najwierniejszy sprzymierzeniec, jak i zastępca preceptora tutejszej komturii. Henryk

dopiero co przyjechał po całonocnej jeździe z Villeneuve-les-Avignon. Przybył z nim ten młody człowiek, Henryk, hrabia Szampanii, brat naszego prastarego Zakonu, lecz z daleka od swego domu.

Młody hrabia uśmiechnął się i skinął głową Saint Clairowi, który w odpowiedzi ukłonił się głęboko. Henryk z Szampanii, którego Andrzej znał ze słyszenia, był siostrzeńcem zarówno Filipa Augusta, jak i Ryszarda.

Kiedy hrabia Benedykt przedstawiał mu resztę grupy - niektórzy byli już sędziwi - młodzieniec czuł coraz większy respekt, w miarę jak narastała w nim świadomość, że ci, których poznaje tu tak swobodnie, są jednymi z najbardziej potężnych i wpływowych ludzi na terytoriach rządzonych przez obu monarchów dowodzących tą trzecią, wielką wyprawą do Ziemi Świętej, i że wszyscy oni są członkami Rady Zakonu Syjonu. Znał ich imiona, ponieważ stanowili oni już legendę w Zakonie i czciło ich całe bractwo. Stawało się jednak dla niego coraz bardziej jasne i niepokojące, że wszyscy oni zebrali się tu, aby spotkać się właśnie z nim.

Zauważywszy zmieszanie Andrzeja, dostojny Germain z Tuluzy, który wyglądał na najstarszego, przywołał resztę do porządku i przypomniał im, że nie poinformowano jeszcze ich gościa o tym, co się dzieje. Już po chwili wszyscy zdjęli wierzchnie okrycia i rozsiedli się wygodnie.

Benedykt z Roussillon na użytek Saint Claira opisał okoliczności związane z tą dziwną sytuacją. Wyjaśnił, że sprowadzono Andrzeja,

ponieważ Rada Zakonu wyznaczyła mu doniosłe zadanie, do którego wyjątkowo się nadawał z wielu powodów, które zostaną mu przedstawione w odpowiednim momencie. Jednak wymaga ono całkowitej dyskrecji. Nikt poza obecnymi dziewięcioma członkami Rady i jesz-

cze jednym człowiekiem, któremu Saint Clair miał zdawać raporty podczas wypełniania misji, nie może się nawet domyślać, co Andrzej będzie naprawdę robił w Zamorzu. De Roussillon powtórzył to i wydawało się, że wbija tę wiadomość do głowy nie tylko Saint Clairowi, ale też wszystkim zebranym: nikt nie może nabrać podejrzeń, że Andrzej ma jakikolwiek cel podczas pobytu w Ziemi Świętej poza pełnieniem swoich obowiązków rycerza Świątyni. Misja ta była tak delikatnej natury, że uznano za konieczne sprowadzenie młodzieńca do komturii, by udzielić mu tam instrukcji.

Sir Benedykt dodał, że komnata, w której siedzą, została zabezpieczona przed wszelkiego rodzaju zakłóceniami spokoju czy infiltracją. Wszelkie dyskusje związane ze sprawą miały odbywać się za zamkniętymi, strzeżonymi drzwiami, a po zobowiązaniu się do osiągnięcia stawianego mu celu Saint Clair miał otrzymać dokładne wyjaśnienie przyczyny jego misji oraz wyraźne, jednoznaczne wskazówki na temat tego, co ma robić.

Na koniec sir Benedykt zapytał Andrzeja, czy wszystko rozumie, a kiedy ten potwierdził, de Roussillon natychmiast zarządził półgodzinną przerwę na posiłek, ponieważ wielu z nich nic jeszcze nie jadło tego

dnia. Wyjaśnił, że potem wszystkie posiłki podawane będą oficjalnie, w zwykłym miejscu, czyli refektarzu siedziby Zakonu, i spożywane w ciszy wraz z innymi templariuszami, czemu towarzyszyło czytanie fragmentów Pisma Świętego na dany dzień. Wspólne jedzenie na osobności przy tej jednej okazji miało pozwolić braciom wymienić wieści z ich okolic.

Podczas posiłku Andrzej Saint Clair rozmawiał uprzejmie z każdym, kto się do niego odezwał, świadom, że być może już nigdy nie będzie miał okazji jeść, pić i odpoczywać w tak znakomitym, szacownym gronie.

Białobrody Germain z Tuluzy rozpoczął obrady, przemawiając ze swojego miejsca pośrodku półokręgu krzeseł, naprzeciwko którego samotnie siedział Andrzej.

- Sir Andrzeju Saint Clair, witaj na tym oficjalnym spotkaniu, zainicjowanym za zgodą Rady naszego Zakonu. Wiemy, w jakich okolicznościach przywieziono cię tutaj, i nie zdziwiłoby nas, gdyby się okazało, że jesteś zdezorientowany i przerażony. Niestety trzeba było usunąć cię pod pretekstem oficjalnego śledztwa. Wydarzenie to

miało mieć też świadków, którzy mogliby złożyć meldunki. Jesteś nowicjuszem w Zakonie Świątyni i gdyby wezwano cię w jakikolwiek inny sposób, mogłoby to zwrócić czyjąś uwagę, czego chcemy uniknąć. Kiedy zakończymy tutaj nasze sprawy, wrócisz jako wolny rycerz o oczyszczonym honorze i nieposzlakowanej reputacji.

Andrzej uniósł rękę, sygnalizując, że chce coś powiedzieć.

- Wybacz mi śmiałość, bracie, lecz myśl o powrocie do brata Justyna, mistrza nowicjuszy, napawa mnie odrobiną przerażenia.

- Ach, brat Justyn. Oczywiście. — Germain z Tuluzy uśmiechnął się.

- Jest straszny, nieprawdaż? Lecz nie musisz się go obawiać. Jego braterska lojalność nie pozostawia wątpliwości.

- Braterska? Jest jednym z nas? - wyrwało się zdumionemu Andrzejowi.

- Oczywiście, i ma dla nas niewyobrażalną wartość, biorąc pod uwagę jego stanowisko oraz wpływy w szeregach Zakonu Świątyni. Nie będzie miał pojęcia, czym zajmujesz się pod jego opieką, lecz na twoją prośbę zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby ci pomóc. Jeśli kiedykolwiek będziesz musiał .wyjechać, to właśnie brat Justyn umożliwi zrobienie tego, co konieczne. Masz krewnego w Zamorzu, który już należy do Zakonu Świątyni, prawda? - zmienił temat templariusz.

-Tak, panie. Jest kuzynem mojego ojca, pochodzi ze Szkocji. Sir Aleksander Sinclair.

- Poznałeś go?

- Tak, choć przelotnie. Mieszkał z nami przez jakiś czas, kiedy byłem chłopcem.

-1 zaprzyjaźniliście się.

Nie było to pytanie, lecz Andrzej zastanowił się przez chwilę, po czym odpowiedział:

- Nie, panie. Sądzę, że się lubiliśmy. Ja na pewno lubiłem jego.

Lecz nie miałem wtedy nawet dwunastu lat, a on już był wyszkolo
nym i oddanym sprawie rycerzem, który złożył śluby Zakonowi. Był
wobec mnie miły i łaskawy, ponieważ rozmawiał ze mną swobodnie
i uprzejmie, i zawsze okazywał mi wielkie względy. Nie przypominam
sobie, żeby choć raz odezwał się do mnie pogardliwie lub żeby mnie
poniżył. Bardzo go podziwiałem, lecz pochlebiałbym sobie, mówiąc,
że byliśmy przyjaciółmi.
238
- Rozumiem. A gdybyś znowu go kiedyś zobaczył, czy myślisz, że
pamiętałby cię?
Andrzej wzruszył barczystymi ramionami.
- Nie wiem, bracie. Chciałbym myśleć, że rozpoznałby mnie, lecz
nie jestem pewien. Minęło tyle czasu.
- Czy ty rozpoznałbyś jego?
- Myślę, że tak, i bardzo chętnie przysiągłbym, że tak, lecz mógł się
zmienić nie do poznania.
- Tak, to prawda... - Starszy człowiek niemal westchnął na te słowa i
przez chwilę siedział w milczeniu, po czym skinął głową, jakby do siebie
samego, i ciągnął: - Prawdę mówiąc, być może nie żyje. -Spojrzał wprost
na Saint Claira, a jego głos nabrał siły i stał się wyraźniejszy. - Po prostu
nie wiemy i nie wie też nikt, z kim byliśmy w stanie się skontaktować w
Zamorzu. Sir Aleksander Sinclair walczył pod Hattinem, a potem
zaginął. Nikt nie widział, jak ginął, nikt nie widział jego ciała na polu
bitwy, kiedy było już po wszystkim. Nie znaleziono go też wśród rycerzy

zamordowanych na rozkaz Saladyna po bitwie. Równie dobrze może gdzieś tam żyć jako więzień jakiegoś arabskiego szejka czy emira, trzymany w niewoli bądź dla okupu, choć upłynęły już ponad dwa lata, prawie trzy. Twoim pierwszym zadaniem po dotarciu do Zamorza będzie odnalezienie go. Znajdź sir Aleksandra Sinclaira lub ustal ponad wszelką wątpliwość, że nie żyje.

Saint Clair przyglądał się twarzom innych braci, kiedy Germain z Tuluzy wyrzekł te słowa, i to, co na nich zobaczył, sprowokowało go do komentarza, którego nawet nie rozważyłby w takim towarzystwie.

- Mówisz tak, jakby był bardzo ważną osobą, panie.

- I tak jest. Twój kuzyn, sir Andrzeju, jest jednym z naszych najcenniejszych agentów w całym Zamorzu. Jego reputacja wśród kompanów jest legendarna, tak jak jego biegłość w rzemiośle wojennym, lecz ma też inne cechy, o których jego towarzyszom rycerzom nawet się nie śniło. Obdarzony talentem do języków brał lekcje u trzech szyickich filozofów z Aleppo, Damaszku i Kairu, którzy z własnych powodów wyszkolili go, aby nie tylko mówił po arabsku płynnie i bez rozpoznawalnego akcentu, ale też pięknie i bez wysiłku pisał w tym języku. Nauczyli go też wszystkiego o islamie oraz różnicach między sektami szyitów i sunnitów, dobitnie podkreślając niekorzystne po-

łożenie, jakie musiała znosić ich mniejszościowa sekta, oraz szykany czynione im przez sunnickich kalifów. Czy wiesz coś o tym?

- Niewiele - powiedział Saint Clair. - Wiem, że wyznawcy isla

mu dzielą się na dwie grupy, sunnitów i szyitów, które nie znoszą się nawzajem. Wiem też, że sunnitów jest o wiele więcej. - Zawahał się, po czym dodał: - Słyszałem także, iż poróżnił ich spór o to, kto powinien być następcą proroka Mahometa po jego śmierci. Kalifowie z sekty sunnitów objęli przywództwo, lecz szyici wierzą, że sam pro rok namaścił na następcę swojego zięcia, a kalifowie zignorowali jego wolę i odebrali władzę prawowitemu dziedzicowi.

Starzec kiwnął głową. Wyraźnie był pod wrażeniem.

- Wiesz więcej niż znakomita większość twoich towarzyszy podró żny, którzy sądzą po prostu, że *wszyscy* Sarąceni są sługusami szatana istniejącymi jedynie po to, aby można było przebić ich mieczem. Po nadto jako chrześcijan nie interesuje ich dowiadywanie się i uczenie nowych rzeczy. Uważają, że cel armii jest prosty i konkretny: jadą do Zamorza, aby wyeliminować wroga z Ziemi Świętej, a jeśli przy okazji przejmą władzę nad ziemiami, które wzbogacą ich królów i dowód ców, podziękują oni... pokornie, jak można się domyślać... Bogu. Dla frankońskiego wojownika istnieje tylko jeden wróg, czyli muzułmań ski niewierny. To, czy jest sunnitą lub szyitą, nie ma znaczenia.

Germain rozejrzał się po zgromadzonych, patrząc każdemu w oczy.

- Oczywiście wśród teologów panuje opinia, że ta różnica, ta schizma, dowodzi fałszywości islamu. Mówią, że tak głęboki rozłam, sięgający samych podstaw religii, jasno pokazuje, iż jej fundamenty są zasadniczo błędne, a to oczywiście potwierdza czystość i jedność chrześcijaństwa, wolnego od porównywalnych różnic w wierzeniach

czy teologii.

Starzec wykrzywił usta w us'miechu i przechylił lekko głowę, aby zasygnalizować, że zwraca się do wszystkich przyjaciół.

- Oczywiście według nich różnice pomiędzy wschodnimi, prawo sławnymi obrzędami Bizancjum a rzymskokatolickim obrządkiem panującym na naszych ziemiach ojczystych wcale nie są różnicami, lecz jedynie niuansami interpretacji. Równie oczywiste jest to, że ci sami teologowie nawet nie domyślają się istnienia Zakonu, więc jak mogą podejrzewać, że w naszej filozofii i wierzeniach jest różnica? Dla ich własnego dobra musimy ich któregoś dnia poduczyć, przyjaciele.

240

Większość obecnych się uśmiechnęła w odpowiedzi na ten żart, a starzec zwrócił się znów do Saint Claira.

- Lecz mówiłem o twoim kuzynie i o tym, jak wielkie ma znaczenie dla naszych spraw w Zamorzu. Podczas pobytu u swoich nauczycieli został przeobrażony w człowieka, który potrafi bez wysiłku uchodzić wśród muzułmanów za jednego z nich. Potem wyjechał do Zamorza i przez kolejne trzy lata żył i pracował jako zwykły kupiec w Kairze. Często wyjeżdżał z miasta, aby zdobywać i dostarczać nam wiadomo ści. Stamtąd przeniósł się do Królestwa Jerozolimskiego, porzucając wizerunek kupca i podejmując obowiązki rycerza Świątyni w jerozo limskim garnizonie. Często podróżował po królestwie, rzekomo jako ważny kurier, lecz faktycznie pełniąc funkcję łącznika między brac twem a pewnymi czynnymi, lecz równie tajemniczymi sektami działa

jącymi w szeroko rozpowszechnionej, choć małej szyickiej społeczno
ści. Wiedział, że działania te nie przysporzyłyby mu sympatii sułtana
Saladyna oraz jego sunnickich stronników, do których na pewno za
liczają się jego obecni towarzysze. Jednym z najbardziej ironicznych
aspektów naszego istnienia jest to, że pomimo ogromnego znaczenia,
jakie mają dla nas Jerozolima i Palestyna, nasz Zakon jest tam niezwy
kle skromnie reprezentowany i jak na razie musi tak pozostać. Gdy
by nas odkryto, gdyby pojawił się choćby cień podejrzenia, Kościół
wykorzeniłby nas i zniszczył jako heretyków. Ta potrzeba zachowania
tajemnicy prawie uniemożliwiła nam działanie w Zamorzu. Znaleźli
śmy się w sytuacji, w której musieliśmy wykorzystać każdą szansę na
poprawienie jej, między innymi zawarcie przymierza ze społecznością
szyitów, która jest w Jerozolimie prawie tak mała i zagrożona jak my,
opierając się na starym założeniu, że wróg mojego wroga jest moim
przyjacielem. Twój kuzyn Aleksander był naszym głównym łączni
kiem w tych sprawach, a szczególnie w naszych kontaktach z grupą,
która działa we wspólnocie szyickiej na bardzo podobnych zasadach,
jak nasz Zakon funkcjonuje w naszej. Nazywają siebie haszyszynami,
asasynami. Widzę, że słyszałeś o nich.
Słysząc tę nazwę, Saint Clair otworzył szeroko oczy i skinął głową
bez słowa.
- No cóż, nie pozwól, aby to, co słyszałeś, uprzedziło cię do nich.
Jak zwykle w takich sprawach, w których niewiele wiadomo, lecz
dużo jest powodów do strachu, to, co się rozpowiada, rzadko jest zbli-

żonę do prawdy. Sunnici użyli swojej przewagi liczebnej oraz złej woli - zarówno politycznej, jak i religijnej - aby oczernić imię asasynów i splamić ich reputację. Lecz to nie ma dla nas znaczenia. Ważne jest to, że asasyni nie stanowią dla nas zagrożenia. Przeciwnie, jesteśmy naturalnymi sprzymierzeńcami i mamy wspólne interesy, między innymi fascynuje nas geometria i tajemna wiedza starożytnych. Tak jak my, asasyni są zamkniętym, tajemnym stowarzyszeniem i posiadają ogromne zasoby wiedzy. Mamy nadzieję, że kiedyś będziemy mieć do niej taki sam dostęp. Przez całe lata podejrzewaliśmy, że tak *jest,* lecz Alec Sinclair ustalił to ponad wszelką wątpliwość... Widzę, że masz pytanie.

- Lecz jak mógł ustalić to ponad wszelką wątpliwość, nie...

- Nie wyjawiając prawdy o naszym Zakonie? - wszedł mu w słowo templariusz. - Od jakiegoś czasu wiemy, że aby zaskarbić sobie zaufanie asasynów, być może sami będziemy musieli okazać zaufanie, ujawniając im prawdę o naszym istnieniu. Sir Aleksander otrzymał prawo, aby według własnego uznania postępować zgodnie z tym założeniem. We właściwym momencie postanowił to zrobić, a jego osąd został sowicie wynagrodzony.

- A gdyby źle ocenił sytuację? Gdyby powierzył tę informację nie-właściwym ludziom, co wtedy?

Germain wzruszył ramionami.

- Co wtedy? Byłoby to jedynie niepoparte dowodami słowo jednego człowieka. Jakąż mogłoby wyrządzić ono krzywdę? Nie, sprawdzono

wszystko nie raz i nie dwa. Nie mogła się wydarzyć żadna nie-
odwracalna krzywda.
- Co w takim razie zrobicie teraz, jeśli nie żyje? Chcecie mi powie-
dzieć, że nie wiecie, co począć?
- Przeciwnie, wiemy, że przed wyruszeniem pod Hattin twój kuzyn
pozostawił nam kompletny i aktualny raport. Wiemy nawet gdzie. Lecz
wszyscy trzej posłańcy, którym polecono odebranie tego raportu i
wysłanie go nam, zginęli w następstwie bitwy pod Hattinem. O ile
wiemy, raport dalej znajduje się tam, gdzie zostawił go sir Aleksander.
Jeśli po dotarciu do Zamorza nie uda ci się odnaleźć kuzyna, będziesz
miał ze sobą wskazówki dotyczące tego miejsca, abyś mógł przynajmniej
znaleźć raport i przesłać go nam.
- A jeśli uda mi się odnaleźć mojego kuzyna?

- Dostarczysz mu komunikaty od Rady i zaczniesz pracować wraz z
nim, pomagając mu w jego przedsięwzięciach.
- Rozumiem. - Saint Clair pokiwał powoli głową, patrząc po kolei na
wszystkich zgromadzonych, choć zwracał się wciąż do Germaina z
Tuluzy. - Czy mogę zadać kolejne pytanie? Być może uznasz je za
bezczelne.
- Oczywiście. Podwójnie narażamy twoje życie, więc pytaj nas o
wszystko, co chcesz wiedzieć.
- Dlaczego jest to ważniejsze teraz, dziś, niż miesiąc temu? Aresz-
towano mnie i przywieziono tutaj w pośpiechu. Można było bez ryzyka

ani kłopotów zawiadomić mnie bardziej delikatnie, wiele tygodni, nawet miesięcy temu. Co najmniej od tak dawna pracuję z członkami Rady na rzecz sir Roberta de Sabie.

Germain zawahał się, po czym skinął głową.

- To prawda. Sprowadzilibyśmy cię tutaj miesiąc temu, gdyby nie to, że mniej więcej wtedy doszło do kilku wydarzeń, które musiały zo stać zweryfikowane i niezwykle dokładnie rozważone pod względem ich... politycznego znaczenia. Angażowanie ciebie, zanim mieliśmy pewność, jaka ma być droga naszego postępowania, byłoby bezcelo we. Teraz jesteśmy pewni i podjęliśmy decyzję. Lecz nie do mnie na leży powiadomienie cię, co pociąga ona za sobą. Mistrzu Bernardzie, czy zechcesz kontynuować?

Germain z Tuluzy odsunął się i usiadł, robiąc miejsce następnemu mówcy, może odrobinę młodszemu. Kiedy uśmiechnął się on do Andrzeja przed rozpoczęciem przemowy, młodzieniec poczuł, że jego serce zaczyna bić żywiej. Dzięki informacjom otrzymanym od de Sablego wiedział, że jest to mistrz Bernard de Montsegur, jeden z trzyosobowego Kolegium Mistrzów nadzorującego sprawy Zakonu Syjonu na trzech prastarych terytoriach jego działania. Langwedocja, pierwszy i najstarszy z tych regionów, rozciągała się na północ od Pirenejów i obejmowała warowne miasta Montsegur i Carcassonne. Kolejne znane były jako Poitou oraz Szampania i razem pokrywały resztę ziem, które kiedyś były rzymską Galią: Szampania na północy, a Poitou w centrum. Każdy z trzech mistrzów, dożywotnio zajmujących

stanowisko, na które zostali wybrani, odpowiadał za sprawy Zakonu w swoim regionie i pełnił funkcję przewodniczącego regionalnej Rady. De Sabie powiedział Andrzejowi, że z tych trzech mistrzów

Bernard de Montsegur ma największe wpływy. To on też zajmował się bezpośrednimi kontaktami Zakonu z Zakonem Świątyni oraz z siatką członków bractwa, którzy w jego interesie funkcjonowali jako templariusze.

-Jak mówi mój brat Germain - powiedział Bernard - w ciągu ostatnich kilku miesięcy wiele się zmieniło i jak zawsze, także tym razem dowiedzieliśmy się o tych zmianach z opóźnieniem. Wszyscy obecni tu bracia wiedzą, o czym mówię, lecz uznaliśmy, że ważne jest, aby i tobie, sir Andrzeju, uświadomić, co się dzieje. Miesiąc temu przypłynął do Marsylii statek z Sycylii, wiozący wieści, które byłyby obiecujące, gdyby nie to, że towarzyszyły im bardziej niepokojące wydarzenia. Czy imię Konrad de Montferrat coś ci mówi?

Saint Clair potrząsnął głową.

- Nie, panie, zupełnie nic.

- Hmm. A czy wiesz o wyprawie Barbarossy?

- Do Ziemi Świętej. Tak, wiem. Jak wszyscy. Dowodzi stutysięczną armią i prowadzi ją drogą lądową z Niemiec. Jego własne siły będą liczniejsze niż połączone armie króla Ryszarda i króla Filipa.

- Właśnie. A czy wiesz, jak ten człowiek się nazywa?

- Barbarossa? - Saint Clair kiwnął głową. - Fryderyk Hohenstauf,

cesarz Świętego Cesarstwa Rzymskiego, nazywany Barbarossa z powodu jego rudej brody. Czy o to ci chodziło?

- Tak. Lecz jako cesarz włada krainą, która nie jest ani święta, ani rzymska. Nie jest też cesarstwem. To wielojęzyczna masa, ciągnąca się bez końca federacja barbarzyńskich i zdecydowanie nieświętych germańskich plemion. Czy wiesz, że arcybiskupstwo w Jerozolimie, na którego czele stoi patriarcha, było zawsze utrzymywane przez Kościół wschodni?

- Tak, panie, wiedziałem o tym. Kiedy po raz pierwszy zajęliśmy Jerozolimę, patriarchą był Warmund z Picąuigny. To on wraz z królem Baldwinem Drugim nadał Hugonowi de Payns przywilej, aby ten mógł kontynuować zakładanie Zakonu. Nie wiadomo mi jednak o żadnych tarciach.

- Znowu masz rację. Nie było ich. Nie wtedy i na pewno nie jawnie. Wtedy Kościół jerozolimski zdominowany był przez obrządek wschodni, lecz wszystkie przebywające tam siły wojskowe były frankońskie, czyli katolickie. W końcu wojna, która je tam sprowa-

dziła, była nazywana wojną papieża Urbana. Lecz, jak powiedziałem, teraz sprawa przedstawia się inaczej. Odzyskawszy Jerozolimę, Sala-dyn wpuścił w zeszłym roku wyznawców prawosławia z powrotem do miasta, bez żadnej kary poza niskim podatkiem, i pozwolił im znów przejąć zarządzanie świętymi miejscami. To oznacza, że wszystkie święte dla chrześcijan miejsca trafiły z powrotem w ręce patriarchy, a

nieuchronne przybycie Barbarossy i jego hord zagrozi całej sytuacji. — Przerwał na chwilę, po czym podjął: - Dlaczego mielibyśmy o to dbać? Zarówno obrządek wschodni, jak i rzymskokatolicki są chrześcijańskie, więc z punktu widzenia naszego Zakonu błędne, czy tak? - Saint Clair kiwnął głową, a Bernard klasnął głośno w dłonie. - Nie, sir Andrzeju. Nie tak. W chwili, kiedy Barbarossa przejmie władzę w Jerozolimie... nawet przez chwilę nie myśl, że tak się nie stanie... jedną z jego pierwszych misji będzie ustanowienie prymatu jego Krzyżaków. Przejmą wszystkie obowiązki zakonów, które są tam teraz: templariuszy i szpitalników. Być może pozwolą zostać na miejscu części szpitalników, którzy zajmują się chorymi i rannymi, lecz usuną na pewno templariuszy. Jeśli chcą wprowadzić dominację zakonu krzyżackiego, nie mają wyboru, muszą się pozbyć templariuszy. A ponieważ Zakon Świątyni działa jako zasłona, maskująca i umożliwiająca naszą obecność w Ziemi Świętej, będzie to oznaczało, że my, Zakon Syjonu, również zostaniemy usunięci. Nasza praca, a wręcz cała nasza misja zostanie przerwana. Czy teraz zaczynasz pojmować, dlaczego twój kuzyn jest dla nas tak ważny?

Na twarzy młodzieńca wyraźnie widać było brak zrozumienia.

- Nie, mistrzu.

Bernard kiwnął głową.

-Jeśli sir Aleksandrowi Sinclairowi powiodło się zawarcie przymierza z szyitami, być może jest w stanie zapewnić naszemu prastaremu Zakonowi obecność w Zamorzu, nawet kiedy Zakon Świątyni zostanie już wysiedlony.

- Wybacz mi. - Saint Clair uniósł prosząco rękę. - Wprost nie możliwe jest wyobrazić sobie wyrzucenie templariuszy z Zamorza. To wymagałoby od Barbarossy otwartego aktu agresji. - Saint Clair rozejrzał się po zebranych, szukając wsparcia, lecz zobaczył tylko poważne twarze. - Zakon Świątyni nie odda potulnie swojej władzy w Zamorzu, aby po prostu odpłynąć... Prawda?

- Nie, nie odda. To powiedzielibyśmy i my jeszcze kilka tygodni temu. Lecz potem do Marsylii przypłynął wspomniany już statek, niosąc wieści, które zmieniły cały nasz stan wiedzy. Człowiek, który przyniósł nam tę informację, był zaznajomiony z tym, o czym mówił, a także dostarczył pisemne świadectwa innych na poparcie swoich słów. Oto, czego się dowiedzieliśmy. - Bernard przygryzł gładko ogoloną górną wargę, szukając właściwych słów. - Z tego, co udało nam się zrozumieć z raportów, wnioskujemy, że Gwidon de Lusignan, król Jerozolimy, jest głupcem i słabeuszem. Do szaleństwa bitwy pod Hattinem popchnęły go sprzeczne rady, wszystkie złe, udzielone mu przez mistrza Zakonu, Gerarda de Rideforta, oraz jego aroganckiego, podłego kamrata, Renalda de Chatillon. Gdyby Gwidon nie był tchórzem, mógłby zignorować ich obu i samemu podejmować decyzje, lecz nie zrobił tego, a jego szaleństwo nie skończyło się pod Hattinem. Został tam pojmany przez Saladyna, który dobrze go traktował i ostatecznie wypuścił, kiedy Gwidon obiecał, że nie będzie już walczył, lecz wróci do Francji. Jednak kiedy tylko odzyskał wolność, zła

mał obietnicę, twierdząc, że przysięga złożona pod przymusem nie wiernemu nie może być wiążąca. Spóźnił się jednak i po raz kolejny zachował nieudolnie, ponieważ w Zamorzu zdążył pojawić się już nowy gracz. Czy wiesz cokolwiek na temat Tyru?

Saint Clair wzruszył ramionami.

- To miasto. Nie wiem nic więcej.

- Miasto na wybrzeżu, wielki port. Był kiedyś wyspą, ale kiedy Aleksander Wielki zdobył go, zbudował groblę, która połączyła go ze stałym lądem. Grobla ta dalej istnieje, tworząc przesmyk, a po obu jej stronach ciągnie się wielki mur obronny, dzięki któremu miasto jest niemal nie do zdobycia od strony lądu. Kilka dni po zwycięstwie pod Hattinem Saladyn zorganizował potężne oblężenie Tyru, a obrońcy byli tak pozbawieni nadziei, że negocjowali już warunki kapitulacji, kiedy do portu wpłynął jakiś statek. Na jego pokładzie znajdował się awanturnik, Konrad de Montferrat. On i jego towarzysze podążali do Jerozolimy i nie mieli pojęcia o wojnie, Saladynie czy Hattinie. Poprzedniego dnia usiłowali wylądować w Akce, lecz otrzymali ostrzeżenie, aby tego nie robić, ponieważ Saraceni zajęli miasto cztery dni wcześniej, więc pożeglowali do Tyru. Kiedy tylko Konrad usłyszał, co się dzieje, wkroczył do akcji. Natychmiast przerwał negocjacje

i przygotował miasto do długiej obrony. Zrozumiawszy, że stoi teraz w obliczu długiego, wyczerpującego oblężenia, a nie łatwej kapitulacji, Saladyn natychmiast opuścił Tyr i pomaszerował ze swoją armią na

południe, aby zająć Jerozolimę i Aszkelon. Wiedział, że Tyr mu nie zagraża, podczas gdy Jerozolima stanowiła łup, który dojrzał już do zdobycia. Konrad, teraz uznany dowódca Tyru, stał się de facto przywódcą Franków, lecz do miasta przybył sam Gwidon, złamawszy swoją przysięgę złożoną Saladynowi, i zażądał, aby uznano go za króla. Konrad zamknął przed nim bramy miasta. Stwierdził, że kwestia korony jest nierozstrzygnięta i powinna poczekać na rozwiązanie do momentu, kiedy frankońscy królowie przybędą do Zamorza. Następnej wiosny Gwidon poprowadził maleńką armię wspomaganą przez kilka statków do ataku na Akkę, leżącą nieco dalej na wybrzeżu.

Stary mistrz przerwał i potrząsnął głową.

- Była to czysta głupota, manifestacja szaleństwa godna Gwidona de Lusignan, któremu nikt, nawet w jego najlepszych chwilach, nigdy nie zarzucił rozsądku czy mądrości. Słyszałem, że sam garnizon w Akce był ponaddwukrotnie większy od całej jego armii, a Saladyn, który odpoczywał w odległości zaledwie krótkiego marszu na południe, mógł w każdej chwili ruszyć i unicestwić zarozumiałego króla oraz jego popleczników tak, jak można pacnąć muchę. Lecz Gwidon nie miał wyboru. Jeśli nie zaatakowałby Akki, wbrew wszystkiemu podejmując ostatnią, szaloną próbę sprowokowania wroga do walki i wygrania jej, groziłaby mu zagłada. Zrobił więc jedyne, co mu pozostało, choć mogło się to wydawać głupie. Być może miał nadzieję, że nastąpi cud; na pewno potrzebował go. I znalazł go sobie. Ponieważ małe oblężenie Gwidona było jedynym konfliktem otwarcie toczonym z muzułmanami

w Zamorzu, zwróciło uwagę. Później tego samego roku pojawiła się flota duńskich i fryzyjskich statków, zaraz po niej kolejna, z Flandrii i północnej Francji, a potem Ludwik, landgraf Turyngii, przybył z Niemiec na czele kolejnej armii. Wszyscy oni udali się prosto do Tyru, do Konrada, lecz wygląda na to, że Konrad w jakiś sposób zraził ich do siebie, więc ostatecznie pomaszerowali i pożeglowali na południe, aby dołączyć do Gwidona pod Akką, gdzie Saladyn w końcu przypuścił atak na maleńką frankońską armię. To właśnie wtedy nasz informator wyjechał, aby dostarczyć nam wieści o rym, co się stało, a ostatnim, co usłyszał przed wyjazdem, było to,

że Konrad w końcu raczył dołączyć do Franków i wesprzeć Gwidona w walce z Saladynem.

Kiedy ucichły słowa mistrza Bernarda, Andrzej miał wizję sceny rozgrywającej się pod wysokimi kamiennymi murami Akki oraz namiotów i sztandarów oblegających ją Franków, lecz nie miał czasu, aby się nad nią zatrzymać, ponieważ jego uwagę przykuł kolejny głos.

- I tak oto przedstawia się obecna sytuacja, przynajmniej na tyle, na ile ją rozumiemy. - Młody hrabia Szampanii podniósł się. - Wy glądała ona na znośną, kiedy jedynym powodem do zmartwienia było nadciągające zagrożenie w postaci Barbarossy, wciąż odległego o pół tysiąca mil. Lecz ten nowy element zmienił wszystko.

Saint Clair poczuł się jak głupiec, jakby przegapił coś oczywistego, i pod wpływem impulsu postanowił przyznać się do swojej ignorancji.

-Wybacz, panie...

- Zwracaj się do mnie jak do brata. Wszyscy tutaj jesteśmy brać mi.

-Tak, wybacz mi. Lecz czegoś nie rozumiem. Co ma oblężenie Akki przez Gwidona do zagrożenia ze strony Barbarossy?

Henryk błysnął zębami w szerokim, czarującym uśmiechu, przechylając głowę.

- Cieszę się, że zadałeś to pytanie. Z pozoru zupełnie nic nie łączy tych dwóch spraw, dopóki się dobrze nad tym nie zastanowisz, bracie. My mieliśmy czas, aby to zrobić. Samo oblężenie Akki nie jest dla nas ważne, lecz zamieszani w nie ludzie tak, a szczególnie nowo przybyli: Ludwik, landgraf Turyngii, oraz sam Konrad de Montferrat. Obaj są szlachetnie urodzonymi Niemcami, arogancko dumnymi. Obydwaj są zaprzysiężonymi wasalami Barbarossy, z urodzenia i feudalnej powinności. Konrad jest jego krewnym. Sama ich obecność w Zamorzu przed jego przyjazdem toruje drogę dla jego podboju i naszego wysiedlenia. - Uniósł szybko rękę, aby uprzedzić pytania, które mógł chcieć zadać Andrzej. - Musisz pamiętać, że templariusze utrzymują linię bojową w Zamorzu w naszym imieniu, lecz nie są już armią jerozolimską,4rtórą byli przez osiemdziesiąt lat. Teraz są jedynie wojownikami walczącymi o zwycięstwo i swoje posiadłości, podobnie jak wszyscy inni na polu bitwy. - Hrabia spojrzał na Saint Claira lekko rozbawiony. —A zatem, skoro masz już podstawowe, choć mgliste pojęcie o tym,

co się dzieje, oto, co nastąpi. Spędzisz kolejne trzy dni, słuchając tego wszystkiego jeszcze raz. Wyjaśnią ci to i opowiedzą o tym z różnych perspektyw inni bracia. Kiedy wyjedziesz... nawet jeśli teraz niechętnie mi wierzysz... będziesz w pełni świadom tego, jaka jest twoja rola i co musisz zrobić po przybyciu do Zamorza. Od momentu, kiedy opuścisz to miejsce, będziesz się kontaktował w sprawie zadania, które ci wyznaczyliśmy, wyłącznie z jednym człowiekiem. Znasz go już, to Robert de Sabie, który będzie twoim łącznikiem z tą Radą. On sam będzie miał dwóch zastępców. Żaden z nich nie będzie znał twojego imienia, chyba że coś przytrafi się de Sablemu... wtedy jeden z nich otworzy swoje pisemne instrukcje i pozna twoją tożsamość. Tymczasem wrócisz do swojego oddziału z dokumentami, które całkowicie oczyszczą cię z wszystkich zarzutów i oficjalnie wyjaśnią, że zostałeś aresztowany dlatego, że wzięto cię za kogoś innego. Potem zgodnie z planem udasz się do Zamorza, a twoje główne zadanie rozpocznie się, kiedy postawisz tam stopę. Wtedy będziesz już pełnoprawnym członkiem Zakonu Świątyni: twoje przyjęcie do jego szeregów zostanie sformalizowane po drodze, najpewniej na Sycylii, gdzie Ryszard zamierza zatrzymać się po zapasy. Lecz będziesz miał też inny obowiązek, o pierwszorzędnym znaczeniu. Kiedy tylko udasz się w podróż do Zamorza... nawet przed opuszczeniem Marsylii... zaczniesz się uczyć mówić i pisać po arabsku. Zostało to już zaplanowane i wiemy też, że masz dobre ucho i talent do języków. - Przerwał i rozejrzał się po twarzach swoich towarzyszy. - Ktoś chce coś dodać czy możemy ustalić rozkład zajęć brata Andrzeja na

kilka kolejnych dni, zanim znów zrobimy przerwę?

Nikt nie miał nic do dodania.

Andrzej Saint Clair otrzymał więc instrukcje i pogrążył się w świecie intensywnych nauk, którego wcześniej nawet sobie nie wyobrażał.

CZĘŚĆ 3

SYCYLIA I CYPR

1190-1191

1

Podróż morska z Marsylii na Sycylię była okropna dla wszystkich, a Andrzej płynął wśród swoich towarzyszy jako nowicjusz Zakonu, członek najniższego z niskich szeregów, przypisany do samych trzewi przedpotopowego, cuchnącego statku, aby spędzić każdy moment swojego odosobnienia w skrusze, brudzie i plugawości. Zezwalano im wyjść na pokład jedynie na godzinę dziennie, aby mogli zażyć świeżego powietrza i ruchu.

Pod pokładem on i jego towarzysze mieli teoretycznie spędzać czas na modlitwie, słuchaniu czytań z Pisma Świętego i reguły Zakonu oraz na recytowaniu i uczeniu się na pamięć paragrafów i ustępów z reguły. Jednak w rzeczywistości wszyscy bracia, którzy mieli prowadzić czytania, cierpieli na chorobę morską, nie byli w stanie usiąść w miejscu i czytać z pochyloną głową w śmierdzącym, kołyszącym się piekle dolnego pokładu. Tak więc większość ludzi spędziła całą podróż, jęcząc, wymiotując i wijąc się w bólach.

Los oszczędził większości tych cierpień Andrzejowi, zanim jednak stanęli na kotwicy w Mesynie, przez kilka tygodni nie miał z kim po-rozmawiać. Kiedy w końcu pozwolono mu zejść na brzeg i udać się do komturii Zakonu, nie miał pojęcia, gdzie może znaleźć ojca. Wiedział jednak, że łącznikiem wyznaczonym mu przez członków Rady w Aix, człowiekiem, który miał kierować nim we wszystkim, co robił w Za-morzu w interesie Zakonu Syjonu^ jest sir Robert de Sabie, dowódca (loty królewskiej, i on powie, gdzie znaleźć sir Henryka. Otrzymawszy

więc pozwolenie od brata Justyna, udał się prosto do niego.
Tego wieczora przyszło mu spożywać posiłek w refektarzu wielkiego budynku, który został zarekwirowany dla ludzi zarządzających armią i flotą, wraz z ojcem i samym królem.
Monarcha był niespokojny: za długo na morzu, powiedział, a od

tamtej pory za dużo czasu spędzonego z królami, książętami i duchownymi. Słysząc to, sir Henryk uśmiechnął się, lecz nic nie powiedział. Ryszard odwrócił się lekko do niego.
- Uśmiechaj się, jeśli chcesz, Henryku, lecz widzę w twoich oczach, że wiesz, o czym mówię. Już na morzu było ciężko, ale teraz mam wrażenie, że się duszę, otoczony przez kwilących księży i beczących biskupów. Przysięgam na uśmiech Chrystusa, zbyt dużo kadzidła potrafi zatkać człowiekowi płuca, sprawić, że będzie ledwo dyszał, nie mogąc złapać powietrza. Po drodze myślałem, że oszaleję, jeśli tłoczylibyśmy się na statku jeszcze jeden dzień. Wszędzie rzygający ludzie i ten zapach, grożący skażeniem każdego kęsa jedzenia. Lecz teraz, dzięki słodkiemu, łaskawemu Jezusowi, wygląda na to, że modlitwy i paplanina skończyły się na chwilę. Muszę już dosiąść konia, pozwolić, aby świeże powietrze wywiało sól z moich włosów i płuc, i zapomnieć na chwilę o bzdurach związanych ze sprawami państwowymi... Och, wiem, że są one potrzebne i ze stu powodów chwalebne, i dają one urzędnikom oraz klerykom powód do życia, lecz są niebywale nużące, Henryku. Moje konie zeszły na ląd kilka dni temu, a koniuszy mówi, że doszły do siebie

po podróży i są gotowe do drogi, więc o świcie jadę na polowanie, aby przynieść nam wszystkim świeże mięso, które nie będzie pachniało rzygami. Dołączycie do nas, co?

Obaj jedynie skinęli głowami, nie patrząc nawet na siebie. Próby sprzeciwu czy brak zgody nie miały sensu, kiedy Ryszard Plantagenet podjął już decyzję.

Polowanie się udało, a cała drużyna - dziesięciu mężczyzn, nie licząc służby — spisała się dobrze. Późnym rankiem Ryszard dał sygnał do odwrotu i poprowadził ich z powrotem do Mesyny. Nie przebyli jednak nawet połowy drogi, kiedy przygalopował goniec na spienionym koniu i przekazał Ryszardowi, że Filip, król Francji, wrócił do Mesyny i żąda natychmiastowej rozmowy. To skonsternowało angielskiego króla, ponieważ Filip August odpłynął dwa dni wcześniej do Zamorza w przypływie urażonej dumy, zły i chyba zazdrosny, ponieważ Sycylijczycy tłumnie powitali przybywającego w ekstrawaganckim stylu Ryszarda dwa dni po tym, jak pojawienie się króla francuskiego przeszło niezauważone. Jednak Filip, którego skłonność do choroby morskiej była ogólnie znana, ledwie kilka godzin po odpłynięciu trafił na gwałtowny sztorm i przywleczenie się z powrotem do Mesyny za-

jęło jego uszkodzonemu statkowi prawie dwa dni. Teraz niecierpliwie oczekiwał powrotu Plantageneta.

Ryszard zaklął pod nosem i odwrócił się do Henryka, który jechał u jego boku.

— Niech go szlag trafi! Czy nigdy nie uwolnię się od jego napadów złości? Myślałem, że już bezpiecznie odpłynął i przez chwilę będę miał spokój, lecz wrócił i znów jęczy, że nikt nie okazuje mu szacunku, jakiego żąda. Ten głupiec po prostu nie wie, że nie można żądać szacunku, trzeba na niego zapracować. Niech go piekło pochłonie.

Henryk milczał, wiedząc, że Ryszard jedynie daje upust złości i nie oczekuje reakcji z jego strony.

- Jakbym nie miał dość kłopotów z tym idiotą Tankredem, zaro zumiałym królem Sycylii! Oto świetny powód, żeby monarcha zaczął przeklinać swój los. Król Tankred! Tankred Moczymorda, Tankred Tuman, Tankred Złodziej! Niech Bóg przeklnie jego złodziejską du szę, każę wysuszyć jego flaki i zrobić z nich cięciwę mojej nowej arba-lety. - Spojrzał znów na Henryka. - Nie spocznę, dopóki nie policzę się z tym głupim ważniakiem i nie pokażę mu, na co sobie zasłużył. Ukradł mojej siostrze królestwo, wtrącił ją do więzienia, a teraz od mawia zwrócenia jej posagu, do którego nie ma najmniejszego prawa. Przysięgam na Boga, zastanawiałem się nad tym, jak go wybebeszyć, a teraz nie mogę, aż nie pocieszę mojego kapryśnego kuzyna Kapetyn-ga. Król Filip August, ba... Widziałem wrony, które zachowywały się bardziej po królewsku niż ten fircykowaty Francuz.

Kiedy sir Henryk zauważył, że syn wlepia w niego oczy, rozsądnie postanowił nie odwzajemniać jego spojrzenia. Tankred przechwycił tron dwa lata wcześniej, po śmierci króla Wilhelma II Dobrego, męża młodszej siostry Ryszarda, Joanny Angielskiej. Nawet przez chwilę nie

wyobrażając sobie, aby Ryszard mógł w jakichkolwiek okolicznościach przybyć na Sycylię, Tankred uwięził Joannę i skonfiskował jej pokaźne wiano. Kiedy tylko dowiedział się o niespodziewanym przybyciu jej brata, pospiesznie wypuścił Joannę kilka dni wcześniej, lecz ostentacyjnie zatrzymał sobie jej posag. Ryszard od wielu dni przygotowywał się do naprawienia tej sytuacji. Kilka godzin po zejściu na ląd wysłał elitarne angielskie i akwitańskie oddziały, aby zajęły kilka leżących dookoła samej Mesyny zasadniczych pozycji, które mogłyby posłużyć i przy obronie, i przy ataku. Poprzedniego dnia wykonał błyskawiczny

i niespodziewany ruch, a mianowicie zajął jako garnizon klasztor o silnej pozycji - w La Bagnara, leżącym po drugiej stronie Cieśniny Me-syńskiej - i bezpiecznie umieścił tam swoją siostrę Joannę pod strażą. Był bardzo blisko osiągnięcia swego celu i najmniej potrzebne mu teraz było dodatkowe utrudnienie w postaci ponownego pojawienia się nadąsanego Filipa Augusta.

Kiedy mury Mesyny zamajaczyły w oddali, myśliwi napotkali kontyngent angielskich żołnierzy Ryszarda, którzy kłócili się głośno i byli bardzo zdenerwowani. Wyglądało na to, że tego ranka konflikty w mieście przeobraziły się w otwarte akty wrogości między angielskim wojskiem a sycylijskimi kupcami. Sycylijczycy zwyczajowo nie przepadali za obcokrajowcami i nie kryli swojej niechęci. Pogardliwie nazywali Anglików “długimi ogonami", bez odrobiny subtelności sugerując, że wszyscy oni ukrywają pod ubraniami diable ogony. Lecz

wczesnym rankiem tego dnia jeden z angielskich zbrojnych pokłócił się z piekarzem o cenę i wagę bochna chleba, a otaczający go tłum zbuntował się przeciwko niemu i zadeptał go na śmierć, demonstrując swoją nienawiść. Konflikt szybko przemienił się w uliczne zamieszki, w wyniku których zabito ponad dwudziestu angielskich żołnierzy, a dodatkową obelgą było to, że wrzucono ich zwłoki do kanałów ściekowych.

Ryszard przywołał Henryka gestem i popędził konia w kierunku Mesyny, lecz na długo przed dotarciem do miasta zaczęli napotykać coraz większe grupy ich własnych andegaweńskich żołnierzy. Powiedzieli oni, że wypędzono z miasta Anglików, którzy nie zginęli w porannych zamieszkach, a wielkie bramy zamknięto, aby nie mogli do niego wrócić. Gryfoni - tak z kolei pogardliwie nazywali angielscy żołnierze miejscowych Sycylijczyków - stali teraz na murach miasta, obrzucając wyzwiskami i drwinami angielskich żołnierzy, którzy, jak mogła już dostrzec drużyna Ryszarda, kłębili się pod murami.

Widać było, że ta setka ludzi rwie się do zemsty i czeka tylko na przywódcę, który poprowadziłby ich do ataku. Oczywiście kiedy Ryszard podjechał do nich, zgromadzili się tłumnie wokół niego. Król wstał w strzemionach i wezwał ich do stanięcia na baczność, po czym poczekał, aż się uspokoją. Kiedy był pewien, że cała ich uwaga jest skierowana na niego, wyciągnął miecz i usiadł w siodle, podnosząc wysoko wspaniałą broń.

- Wszyscy znacie ten miecz - powiedział głosem na tyle cichym, że musieli wytężać uszy, aby go usłyszeć. - Czy myślicie, że skalał bym go, przyjmując obelgi od tych prostaków i pozwalając, aby jego ostrze stępiało od braku użytkowania? Nauczymy tych Gryfonów manier, chłopcy, bądźcie tego pewni, lecz musimy zrobić to moim sposobem... Łatwo wam, dzielne byki, ruszyć do walki, wrzeszcząc, z gołymi rękami, lecz ja muszę myśleć i działać jak król, patrzeć na to z punktu widzenia króla. Oto więc, co musimy zrobić.

Obrzucił wzrokiem tłum. Nikt się nie poruszył i nie powiedział ani słowa, a król znów wstał w strzemionach i przemówił, mocniejszym tym razem głosem.

- Na ulicach Mesyny leżą dziś martwi Anglicy. Czy to prawda?

Potężny ryk dobywający się ze stu gardeł potwierdził jego słowa, a on uciął ten odgłos machnięciem miecza.

- W takim razie pomścimy każdego z nich. Ich śmierć nie ujdzie jej sprawcom płazem. Mesyna i jej oporni mieszkańcy drogo zapłacą za każdego Anglika, który skonał dziś na jej ulicach, albo nie jestem Ryszardem, królem Anglii! Sprawiedliwości stanie się zadość! Przysię gam wam to.

Podniosła się głośna, chaotyczna wrzawa pełna aprobaty. Ryszard cierpliwie czekał, aż zgiełk ucichnie, i uniósł wysoko ramię, przyku-wając uwagę zgromadzenia.

-Tymczasem proszę o wasze zaufanie i zrozumienie. Stoję tutaj jako król Anglii, lecz to wy jesteście Anglią i jesteście tutaj, ponieważ przysięgliście

służyć jednemu celowi. Ziemia Święta czeka na wasze przybycie, jęcząc pod stopami hord niewiernych. Pomyślcie więc o tym. Naszym świętym obowiązkiem wobec Boga jest, aby każdy przybył na wojnę z Saracenami w dobrej kondycji, a każdy człowiek, jakiego stracimy po drodze, pomniejsza liczbę mieczy, które podniesiemy na chwałę Boga. Moglibyśmy dzisiaj przypuścić szturm na Me-synę, lecz jej bramy są zamknięte, a mury obstawione ludźmi. Nie mamy tu nic, czego moglibyśmy użyć przeciwko nim, ani jednej drabiny, nic. Natomiast oni powitaliby nas gradem strzał, włóczni, kamieni i wrzącego oleju. Stracilibyśmy zbyt wielu ludzi... nie mogę na to pozwolić. Lecz przysięgam wam teraz, że jutro sprawa będzie wy-I glądała inaczej. Dzisiaj porozmawiamy, lecz jeśli oni się nie opamięta-
i ją i nie przeproszą za to, co zrobili, rankiem znów będziemy tutaj, tym

i

!

257

razem odpowiednio przygotowani, i mieszkańcy Mesyny załkają nad dzisiejszym szaleństwem. Wtedy wypijemy gryfońską krew. - Znów poczekał, aż krzyki ucichną, po czym mówił dalej. - Musicie jednak wiedzieć, że tak naprawdę, jeśli da się tego uniknąć, nie chcę tu, na Sycylii, przelać już ani jednej kropli angielskiej krwi.

Ostatnie zrzędliwe odgłosy ucichły, kiedy dotarło do żołnierzy znaczenie tych słów. Ryszard mówił w zupełnej ciszy:

- Każdy człowiek, którego pozostawimy martwego na Sycylii, to jeden człowiek niepotrzebnie stracony dla naszego wielkiego, święte go przedsięwzięcia. Chcę, żebyście wszyscy, co do jednego, wrócili do swoich obozów i poczekali na wiadomość ode mnie. O świcie wyślę wam wieści, co się dzieje. Po drodze mówcie wszystkim, których spo tkacie, co powiedziałem, i zawracajcie ich. Ponad wszystko ufajcie mi i wierzcie moim słowom. A teraz idźcie i niech Bóg będzie z wami.

Ryszard patrzył, jak zawiedzeni żołnierze wycofują się niechętnie w stronę obozowisk. Dopiero kiedy zniknął ostatni z nich, król zwrócił się w stronę murów Mesyny z furią wypisaną na twarzy, lecz dla Andrzeja było równie jasne, że był zdecydowany utrzymać swoje emocje na wodzy. W końcu Ryszard odezwał się:

— Podejdę do bramy porozmawiać z kapitanem straży... jest ktoś taki. Nawet wśród tego motłochu ktoś musi pilnować głównej bramy.

Henryku, ty i Andrzej będziecie mi towarzyszyli, jak i Baldwin, lecz nie podejdziemy bezpośrednio. To byłoby kuszenie losu i zapraszanie jakiegoś bezmózgiego idioty do ataku. Chodźcie, zostawimy konie pod tą dużą brązową płachtą, gdzie nie dosięgną ich strzały, i idź my dalej pod osłoną straganów targowych. Czterech z nas wystarczy. Poseł i jego eskorta. Większa liczba ludzi mogłaby ich sprowokować, a teraz nie czas na to. Reszta zostanie tutaj z końmi i poczeka na nasz powrót.

Zeszli z koni pod ogromną płachtą i ruszyli w stronę bramy, ostrożnie klucząc pomiędzy stołami, wózkami i budami jarmarcznymi, świadomi, że w miarę zbliżania się do murów są coraz bardziej narażeni na atak. Nikt im jednak nie przeszkadzał, wkrótce więc stanęli przed bramą i podeszli blisko, dzięki czemu osłaniał ich wysoki łuk wystający znad nadproża.

Już po chwili stało się jednak jasne, że ani Ryszard, ani nikt inny nic tutaj nie wskóra. Wysoka, gładka bariera dębowych odrzwi po-

została zamknięta mimo jego wezwań i nikt nie odpowiadał na apele, aby otworzyć je i porozmawiać z nim. Król dosłownie mówił do ściany, wychodząc na bezsilnego głupca. Wciągnął głęboko powietrze przez nos i skinął oschle głową.

- Niech będzie. Nic tu nie zdziałamy, więc wracajmy. Henryku, Andrzeju, prowadźcie, ja pójdę za wami, a Baldwin będzie chronił nasze tyły.

- Tak, panie.

Andrzej zerknął na króla i się odwrócił. Kiedy weszli ponownie w labirynt bud jarmarcznych, poczuł pierwsze oznaki poczucia zagrożenia. Zbliżając się do bram, szli tą samą drogą, lecz tym razem coś się zmieniło. Chwycił mocniej miecz i szedł wyjątkowo ostrożnie, a jego oczy bez przerwy przyglądały się badawczo zmiennym deseniom światła i cienia grającym na otaczających ich straganach i zadaszeniach z materiału. Jego ojciec szedł z mieczem w garści równolegle do niego, po jego prawej, a Ryszard był niemal dokładnie za plecami Andrzeja, w odległości może jednego kroku. Andrzej nie musiał patrzeć, żeby wiedzieć, że za Ryszardem Baldwin idzie tyłem, szukając śladów zagrożenia za nimi. Złe przeczucia Andrzeja nasiliły się: coś było nie tak.

Otworzył usta, chcąc jakoś ostrzec innych, i zaczął odwracać ramię, kiedy jego uwagę przyciągnął drobny ruch po lewej. Natychmiast obrócił się, mocniej ściskając rękojeść miecza, lecz nie dostrzegł niczego szczególnego. Był to jedynie pusty stragan podobny do wszystkich innych poza tym, że jego tylna ściana była z czarnego materiału. Lecz kiedy jego oczy przyzwyczaiły się do tej czerni, zobaczył w mroku kolejne poruszenie i kiedy zrozumiał, na co patrzy - na człowieka ubranego od stóp do głów na czarno, który właśnie miał wystrzelić bełt ze swej kuszy - zareagował instynktownie. Krzyknął i machnął mieczem w bok tak szybko, jak mógł, chcąc ostrzec Ryszarda i odepchnąć go, lecz wiedział, że już za późno. Wtedy usłyszał donośny brzęk i poczuł

ogromny wstrząs, który uderzył go od przodu. W jego głowie rozbłysła wypełniona światłem wizja, chwilowe wrażenie, że leci w bok i zwija się wpół, a potem stracił zmysły.

Dużo później, kiedy wrzawa oraz ekscytacja przycichły i Andrzej w końcu mógł się nad tym zastanowić, usiłował prześledzić ciąg wydarzeń tamtego ranka. Wiedział, że gdyby w tym decydującym mo-

mencie stał choć o stopę dalej, nie byłby w stanie uratować królowi życia, a Ryszard Plantagenet, zginąłby tam, na usianej odpadkami ziemi opuszczonego targowiska.

Gdy Andrzej Saint Clair odzyskał w końcu przytomność, poczuł potworne cierpienie: jego prawa ręka i ramię płonęły przyprawiającym o obłęd bólem. Uniesiony miecz Andrzeja znalazł się dokładnie na trajektorii śmiercionośnego bełtu i stalowy pocisk uderzył w sam środek jego klingi - mniej więcej o dłoń ponad jelcem, co mocno odrzuciło całą broń w tył - lądując na klatce piersiowej i barku króla, który upadł na ziemię. Podczas tego gwałtownego ruchu Ryszard odruchowo wyciągnął rękę z mieczem, który mocno uderzył Andrzeja w tył głowy i ogłuszył go.

Siła uderzenia zniszczyła miecz Saint Claira: jego prosta klinga była wygięta i wypaczona tak, że nie dało się jej naprawić, a stalowy pocisk, wystrzelony z odległości nie większej niż sto stóp, przebił hartowane, grube na pół cala ostrze na wylot. Pełna siła pchniętego bełtem miecza uderzyła króla, który na jakiś czas stracił przytomność, i wbiła ogniwa

lekkiej tuniki kolczej - jedynej zbroi, jaką miał na sobie na polowaniu - w jego klatkę piersiową, pozostawiając siniaki o odpowiednim wzorze. Niestety wyglądało na to, że straszliwe uderzenie strzaskało prawą dłoń, palce i nadgarstek sir Andrzeja Saint Claira, być może nieodwracalnie.

W ciągu kilku chwil od ataku reszta drużyny biorącej udział w polowaniu otoczyła Ryszarda i jego eskortę, a zaraz potem miejsce ataku roiło się od angielskich żołnierzy. Kiedy wrócił Baldwin, niosąc na ramieniu nieprzytomnego niedoszłego zabójcę, Ryszard i Andrzej leżeli już na noszach i wieziono ich wozem do namiotów w obozie królewskim. Medycy natychmiast zajęli się Ryszardem i jego niezłomnym obrońcą.

Przeprowadzone przez Baldwina przesłuchanie trwało krótko, a ułatwiło je to, że więzień nie był żadnym bohaterem i źle znosił ból, szczególnie jeśli spokojnie i systematycznie zadawał go rosły andegaweński rycerz. Niedoszły królobójca natychmiast wszystko wyznał, zdradzając każdy szczegół tego, co zaszło. Okazało się, że jest lojalnym żołnierzem króla Tankreda. Usłyszawszy gdzieś, że Tankred toczy

z Ryszardem zaciekłą walkę, bez namysłu postanowił usunąć Ryszarda, jako że stanowił zagrożenie dla dobra jego króla.

Medycy stwierdzili ostatecznie, że żadna kość w dłoni czy ramieniu Saint Claira nie jest jednak złamana, lecz zgadzali się, że wszystkie doznały poważnego urazu i że mogą upłynąć tygodnie, a nawet miesiące, zanim sir Andrzej będzie mógł znów posługiwać się ramieniem. Każda

kość i ścięgno jego dłoni, nadgarstka, łokcia, a nawet barku zostały potężnie naciągnięte i nadwerężone. Medycy królewscy twierdzili zgodnie, że siniaki będą widowiskowe: cała kończyna już zaczęła robić się czarna. Jednogłośnie wyrokowali, że jedynym skutecznym lekarstwem jest czas - tyle czasu, ile będzie konieczne. Ujęli więc ramię rycerza w sztywny szkielet łubków, który unieruchomił stawy tak, że nie można było nimi poruszyć do momentu, kiedy sami medycy uznają, że nadszedł czas próby. Potem - ponieważ czuł dojmujący ból i sam król bardzo wiele mu zawdzięczał - przez całe trzy dni podawali mu duże dawki opiatów.

Kiedy Andrzej Saint Clair w końcu otworzył znów oczy i poczuł, że jest przy zdrowych zmysłach, przy łożu siedział jego ojciec, patrząc na niego niewidzącymi oczami. Andrzej spróbował usiąść, lecz odkrył, że nie może ruszyć ani jednym mięśniem. Jedynym skutkiem jego wysiłku było stęknięcie, które sprawiło, że Henryk wrócił myślami do chwili obecnej. Usiadł prosto i pochylił się, marszcząc czoło z troską.

- Andrzeju? Czy oprzytomniałeś? - zapytał z powątpiewaniem. - Słyszysz mnie?

Andrzej próbował się rozluźnić, usiłując uspokoić oddech i zastanawiając się, czy nad głosem będzie mu tak samo trudno zapanować jak nad umysłem i ciałem. W końcu powiedział:

- Ojcze? Co tu robisz? - Rozejrzał się i zauważył, że nie jest w komturii Zakonu. - Gdzie ja jestem?

- W prywatnych kwaterach króla Ryszarda, w jego izbie chorych.

- Jak długo tu jestem?

Sir Henryk wciągnął ogromny haust powietrza, a potem kiwnął głową.

- Dobrze - powiedział wymijająco. - Jesteś zdrów. Wiedzieliśmy, że tak będzie, lecz medykom króla zależało jedynie na przyniesieniu

ci ulgi w cierpieniu, więc podawali ci opiaty. Zdjęli jednak wczoraj łubki. Teraz jesteś tylko zabandażowany.

Andrzej policzył w myślach do pięciu, przyswajając tę wiadomość.

- A jak długo tu jestem?

- Cztery dni od kiedy zostałeś... ranny. Przez trzy dni byłeś nieprzytomny, przywiązany do specjalnej konstrukcji, zbudowanej dla ciebie pod kierownictwem Luciena d'Amboise, głównego medyka króla. Niezwykłe urządzenie. Dzięki niemu w ogóle nie leżałeś na ziemi, lecz byłeś zawieszony w powietrzu, na wyciągach. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

- Majaczyłem?

Andrzej nagle wystraszył się tego, co mógł powiedzieć podczas choroby, w głowie wirowały mu myśli o Zakonie Syjonu i jego tajemnicach, lecz Henryk uniósł brwi ze zdumieniem.

- Czy majaczyłeś? Bynajmniej. Przez większość czasu byłeś jak nieżywy... Przynajmniej kiedy byłem tutaj, a za pozwoleniem króla Ryszarda spędziłem tu znaczną część ostatnich kilku dni.

- Czy nadal jestem pod wpływem opiatów?

- Nie. Mistrz Lucien szacował, że obudzisz się w naturalny sposób...

- Sir Henryk rozejrzał się, nieco zaskoczony - mniej więcej teraz. Powiedział, że późnym rankiem, czyli właśnie teraz. Jak się czujesz?

- Nie mogę się ruszyć.

- Nie, nie możesz, ponieważ jesteś wciąż przywiązany, abyś nie wykonywał nieostrożnych ruchów. A poza tym jak się czujesz?

- Lepiej niż wcześniej. Pamiętam, że wymiotowałem... Potwornie bolało. Pamiętam, że nie potrafiłem jasno myśleć... że miałem dziwne wizje i słyszałem dziwne odgłosy. Teraz czuję się lepiej, a świadomość, że nie jestem sparaliżowany, sprawia mi ulgę. Poza tym czuję się dobrze. Czy możesz rozwiązać te liny?

-To nie liny, lecz skórzane pasy. Myślę jednak, że lepiej będzie, jeśli nie rozepniemy ich, dopóki mistrz Lucien nie uzna, że można to zrobić. - Sir Henryk umilkł na chwilę, a potem zapytał pełnym zdumienia głosem:

- Jak to zrobiłeś?

- Hmm? Co takiego?

-Tam, na targowisku. Jakim cudem byłeś tak szybki, by unieść miecz w ten sposób dokładnie tam, gdzie musiał się znajdować?

Andrzej odwrócił lekko głowę na poduszce w stronę ojca, myśląc, że żartuje sobie z niego, lecz na twarzy Henryka nie było ani śladu rozbawienia.

-Masz na myśli zablokowanie bełtu? To był przypadek... zbieg okoliczności. Poruszyłem się, chcąc krzyknąć ostrzegawczo i nakazać

Ryszardowi gestem, aby padł na ziemię, lecz ruszałem się za wolno... o wiele za wolno. Jak się miewa król?

Sir Henryk zmarszczył czoło i rzekł niemal szeptem:

- Jego Królewska Mość cieszy się świetnym zdrowiem, a cały świat uważa, że zawdzięcza to twojej wybitnej obronie jego królewskiego ciała podczas ataku.

Andrzej potrząsnął lekko głową.

- O nie. Zawdzięcza je Fortunie, rzymskiej bogini losu, ponieważ tylko dzięki szczęśliwemu przypadkowi byłem tam i ruszyłem się właśnie wtedy. Nie widziałem nadlatującego bełtu. Wystrzelono go z trzydziestu kroków, zbyt szybko, aby to dostrzec, i ledwo widziałem człowieka, który to zrobił... Co się z nim stało, czy został złapany i zabity?

- Złapany, lecz nie zabity. Był głupcem i działał sam, myśląc, że Tankred wynagrodzi go za to. Baldwin schwytał go, a Ryszard ułaskawił, dał mu pięć srebrnych monet, rzekomo w podziękowaniu za jego słabą celność, i wypuścił. Zarówno z punktu widzenia Sycylijczyków, jak i naszego Ryszard dobrze poradził sobie z całą sprawą, wybaczając temu człowiekowi i bagatelizując jego czyn. Lecz słuchaj no...

Andrzej czekał, a kiedy jego ojciec nie powiedział nic więcej, zachęcił go.

- Co, ojcze? Co chciałeś powiedzieć?

Sir Henryk wzruszył ramionami.

- Ja... chciałem powiedzieć coś, co wydawało się bezsensowne, lecz

myślę, że jednak należy to powiedzieć. Jesteś przekonany... - Zawa
hał się. - Tak, jesteś przekonany, że uratowałeś królowi życie przy
padkiem. Widzę to. Lecz nie zgadzam się z tym. Nie mógłbyś tego
zrobić, gdybyś nie był na to przygotowany, gdybyś nie znajdował się
w odpowiednim miejscu. Dokonałeś tego, ponieważ byłeś gotowy,
aby zareagować na to, co miało nastąpić. Wierzę w to tak bardzo,
jak ty wierzysz w swoje wyjaśnienie, lecz co nawet ważniejsze, Ry
szard w to wierzy, a wraz z nim wszyscy inni. Jeśli wstaniesz teraz

z łoża i oświadczysz, że całe to wydarzenie było przypadkiem, a twoje
działania nie zasługują na nagrodę, wyświadczysz sobie niedźwiedzią
przysługę, synu.
- Dlaczego? Wydaje mi się, że honorowo byłoby powiedzieć...
prawdę.
- Być może honorowo, lecz w tym wypadku niemądrze. Pomyśl o
tym, gdzie jesteśmy i co cię czeka. - Słowa te trafiły w samo sedno, choć
w sposób, jakiego sir Henryk nigdy nie mógłby zrozumieć. -Popatrz na
otaczających cię ludzi, Andrzeju, którzy biorą udział w tym naszym
przedsięwzięciu. Czy widzisz, by się kierowali honorem?
Szlachetnością, prawością? Nie wydaje mi się. Nas nauczono innej
miary honoru. - Zasępiony potrząsnął głową. - Słuchaj, mówię to jako
twój kochający ojciec i leży mi na sercu wyłącznie twoje dobro, nawet
jeśli wygląda na to, że gadam bzdury. Andrzeju, żaden z nas nie może
pozwolić sobie na odrzucenie jakiejkolwiek oferowanej nam korzyści.

Obydwaj jesteśmy tylko pojedynczymi duszami wśród niezliczonej armii, maszerującej do walki z inną armią, która, jak mówią, ma nad nami taką przewagę liczebną, jak ziarna piasku na pustyni nad kamieniami... Masz okazję, żeby poprawić swoją pozycję, być może szansę na to, aby pożyć dłużej niż twoi towarzysze i przetrwać tę nadchodzącą wojnę z honorem... choć to, jak zawsze, jest w rękach Boga. Uratowałeś królowi życie! Nie ma znaczenia, czy uważasz, że był to przypadek. To, że w ogóle się tam znajdowałeś, było przypadkiem. To, że Ryszard stał tam, gdzie stał w tej właśnie chwili, było przypadkiem. Sycylijski łucznik przez przypadek rozpoznał w idącym przez targowisko człowieku króla Anglii. Lecz fakt pozostaje faktem: kiedy pocisk tego człowieka zbliżył się do lwiego serca króla Anglii, uderzył i przebił na wylot klingę twego miecza. Gdyby twojego miecza tam nie było, ten bełt rozerwałby serce Ryszarda i rozprułby jego kręgosłup. Taka jest prawda! I ta prawda może ci się przysłużyć. Jako wybawiciel króla będziesz wyróżniał się spośród innych. Wieści o twojej szybkości i zręczności będą cię wyprzedzać i ostrzegać ludzi mniejszego formatu, żeby traktowali cię z szacunkiem. Lecz tylko jeśli zachowasz dla siebie swoją opinię na temat tego, co się wydarzyło. Nikogo nie obejdzie pospolity rycerz, który miał łut szczęścia i odrzucił go.

- No dobrze, niech więc tak będzie. Przekonałeś mnie. Nie będę więcej mówił o przypadkach. — Andrzej uśmiechnął się szeroko. - Co

zatem stanie się teraz? Czy jestem wzorem dla innych czy nie, wciąż

jestem najbardziej nikczemną istotą na świecie... nowicjuszem Zakonu templariuszy.

Jego ojciec uśmiechnął się.

- Być może tak, lecz nie potrwa to długo. Sądzę, że odtąd łatwiej będzie ci znieść trudy.

- Tak myślisz? Wyobrażam sobie, że brat Justyn, mistrz nowicjuszy, może być niewzruszony moją świeżo zdobytą sławą... Myślisz, że długo zostaniemy tutaj?

- No cóż, wczoraj byłbym gotów się założyć, że nie. Ryszard zdążył całkowicie zastraszyć Tankreda i jego motłoch i jestem pewien, że myśl o dłuższym pobycie w Mesynie, który wypełniałoby zawodzenie Filipa nad każdą wyimaginowaną zniewagą, nie jest dla niego zbyt zachęcająca. Lecz wszystko to zmieniło się dziś rano wraz z przybyciem ogromnie ważnych wieści. Barbarossa nie żyje, jego armia w rozsypce. Świat zatrząsł się w posadach. Wątpię, czy wyjedziemy stąd przed wiosną.

Andrzej zaniemówił. Fryderyk Barbarossa, który ponad trzydzieści lat był cesarzem Świętego Cesarstwa Rzymskiego, był potęgą wśród ludzi. Postarzał się już, lecz był prawie tak samo sprawny i gotów do walki jak trzydzieści pięć lat wcześniej, kiedy objął tron cesarski. W wieku ponad sześćdziesięciu lat miał wciąż dość władzy i wpływów, aby zebrać armię liczącą ponad sto tysięcy mieczy i osobiście poprowadzić ją drogą lądową przez Konstantynopol do Zamorza. Był pod każdym względem legendą, naprawdę wpływową osobistością.

- Barbarossa nie żyje? Jak to? Co się stało? Czy chcesz powiedzieć, że Saladyn pokonał go?

-Absolutnie nie. Barbarossa w ogóle nie dotarł do Ziemi Świętej. Podobno utonął gdzieś w Anatolii, kiedy przekraczał górską rzekę. Mówią, że w pełnej zbroi spadł z konia do lodowatej wody. Zbroja przytrzymała go pod wodą, a kiedy go wyciągnęli, już nie żył. Wiesz, był starym człowiekiem. Mówią, że to szok go zabił... Lodowata woda...

- Słodki Jezu!

Henryk mówił teraz pewniejszym głosem.

- Wieści te przywiózł dziś rano statek z Cypru, wypełniony po brzegi ludźmi Barbarossy, baronami i hrabiami, lordami i rycerzami.

Wszyscy oni wracali do domu. Podobno armia zaczęła się właśnie wtedy rozpadać. Nikt nie był dość silny, aby zebrać wszystkie siły i utrzymać je w ryzach. W ciągu tygodnia po śmierci cesarza armia praktycznie przestała istnieć. Było ich ponad sto tysięcy, a rozproszyli się na wietrze i zniknęli.

- A jego syn, Fryderyk Szwabski? Co stało się z nim? Chyba nie porzucił po prostu zwłok ojca i nie uciekł? W tej opowieści musi kryć się coś więcej.

Sir Henryk wzruszył ramionami.

- Wygląda na *to,* że nikt nie wie nic na pewno. Nie wiadomo nawet, czy jakakolwiek część armii pomaszerowała dalej, do Zamorza, lecz zdaje się, że nikt w to nie wierzy.

- Hmm. Nikt, kto jest na tym statku, nie powie nic innego. Jeśli Fryderyk, książę Szwabii, lub jakikolwiek inny dowódca pomaszeruje do Palestyny, ludzie ze statku i wszyscy, którzy uciekli do domu, wyjdą na tchórzy, nie uważasz?

Obydwaj milczeli przez chwilę, rozmyślając o znaczeniu tych wieści, aż Andrzej rzekł:

- To zmienia wszystko.

- Jak to wszystko?

- Z pewnością zmienia polityczny stan rzeczy, który przysparzał Ryszardowi, Filipowi i papieżowi tyle troski. Po śmierci Barbarossy zagrożenie, jakie przedstawia dla władzy papieskiej w Jerozolimie Kościół wschodni, znacznie maleje, co przełoży się bezpośrednio na większą swobodę dla nas i naszych armii.

- Nie rozumiem cię. Sytuacja w Zamorzu nie ulegnie zmianie. Konrad de Montferrat wciąż będzie skakał do gardła królowi Gwido-nowi, usiłując zająć jego miejsce.

-Tak, lecz jego zapał zdecydowanie osłabnie, kiedy usłyszy o śmierci swojego krewniaka cesarza. Dopóki mógł się podeprzeć groźbą władzy Barbarossy, puszył się jak paw. Sądzę, że bez niej będzie bardziej skłonny do zawarcia kompromisu. Uważam jednak za pewne, że kiedy do Palestyny dotrze wieść o tym, że Barbarossa nie żyje, a jego armia się rozproszyła, doda to Gwidonowi i jego sprzymierzeńcom odwagi, by utrzymać swoje pozycje i poczekać na przybycie Ryszarda. Dlatego też nie widzę błędu w twoim rozumowaniu. Prawdopodobnie przezimujemy

tutaj i wyruszymy ponownie na wiosnę.

Sir Henryk wstał.

- Chyba już pójdę. Zbyt dużo czasu poświęciłem ostatnio wła
snym sprawom, a król zapewne będzie chciał ze mną porozmawiać. Jeśli faktycznie zdecyduje, że zostajemy tu do wiosny, będę musiał się zabrać do budowania zimowych kwater dla całej cholernej armii. Słodki Jezu, w tym zakazanym miejscu będzie to ciężkie przedsięwzię cie... Zostań w łożu i wracaj do zdrowia. Bywaj, zobaczymy się jutro.

Minęło całe dziesięć dni, zanim obrażenia dłoni i nadgarstka An-
drzeja zagoiły się na tyle, aby mógł zacisnąć pięść, i nawet wtedy w uścisku tym nie było siły.

Piętnastego dnia po odniesieniu obrażeń w końcu zsunął stopy z łóżka, stanął chwiejnie, podpierając się laską, ale kiedy próbował się poruszyć, upadł jak kłoda. Potrzebował pomocy, aby wrócić do łóżka. Trzy dni później chodził już z łatwością, lecz musiał upłynąć kolejny tydzień, zanim jego dłoń stała się dość silna, aby mógł znów trzymać miecz. Dopiero wtedy uznano, że może zostać zwolniony spod opieki Luciena i wrócić pomiędzy swoich towarzyszy, którzy podczas jego nieobecności cały czas ćwiczyli. Rankiem w dniu, kiedy Andrzej został zwolniony z izby chorych, sam Ryszard pchnął drzwi pokoju, w którym młodzieniec śniadał wraz z dwoma innymi rycerzami, i wetknął głowę do środka.

- Masz tu - zwrócił się do Andrzeja - będziesz tego potrzebo

wał. - Zamaszystym ruchem cisnął mu długi miecz w pochwie.
Rycerz chwycił broń i zwrócił się w stronę drzwi, lecz Ryszard już za nimi zniknął. Spojrzawszy po kolei na obu towarzyszy, uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem.
- Straciłem mój poprzedni - powiedział, wyciągając z pochwy wspaniały miecz. Był to iście królewski dar. Broń nie była ani wy szukana, ani ostentacyjnie kunsztowna, lecz po prostu dopracowana w każdym detalu; nawet ciężka skóra pochwy była zdobiona i delikat nie wytłaczana, a jej wnętrze zrobiono z owczej skóry ostrzyżonej tak krótko, że pokrywał ją ledwie meszek. Przypomniał sobie poprzedni miecz, użyteczną, bezpretensjonalną broń, która służyła mu wiernie przez lata, i zdał sobie sprawę, że ten jest wart sto razy więcej. Był to miecz godzien króla, ofiarowany mu przez króla. Przyjmował go bez

najmniejszych wyrzutów sumienia, ponieważ wiedział, że dobrze go wykorzysta.
Andrzej wkrótce zatracił się w pilnym nadrabianiu zaległości względem innych nowicjuszy. Jego dni znów wypełniły zakonne rytuały i codzienne modlitwy właściwe regule Zakonu, a kiedy się nie modlił, całkowicie pochłaniało go doskonalenie rzemiosła wojennego i doprowadzanie ramienia, którym trzymał miecz, do pełnej sprawności. Prawie nie uświadamiał sobie upływu dni, tygodni i miesięcy i co ważniejsze, nie miał właściwie kontaktu ze światem poza murami komturii Zakonu. Boże Narodzenie i święto Trzech Króli rozpoznał

tylko dlatego, że liturgia w tych dniach miała wpływ na codzienną dyscyplinę nowicjuszy. Potem znów stracił poczucie czasu, aż do Wielkiego Postu - na początku marca 1191 - kiedy to normalne zajęcia nowicjuszy zostały zawieszone przez wzgląd na trzydniowy okres wzmożonej modlitwy i postu, nazywany rekolekcjami. W tym czasie od nowicjuszy nie oczekiwano niczego poza modlitwą i medytacją w pokutnej ciszy, w całości odbywaną na stojąco lub na klęczkach, poza kilkoma godzinami, podczas których zezwalano im spać.

Rankiem w dniu, kiedy zakończyli rekolekcje, zaraz po jutrzni i na długo zanim pierwsze oznaki przedświtu zaczęły rozświetlać niebo, brat Justyn wezwał do siebie Andrzeja.

Rycerz natychmiast stawił się przed mistrzem nowicjuszy, mając nadzieję, że wezwanie ma coś wspólnego z Zakonem Syjonu. Brat Justyn tylko skinął Andrzejowi głową i bez wstępów poinformował go, że otrzymał instrukcje, aby natychmiast wysłać go do sir Roberta de Sabie, który kwaterował w Mesynie.

- Czy powinienem iść tak, jak stoję, bracie, w tym, co mam na sobie?

Justyn zmarszczył czoło.

-Tak, oczywiście. Jak inaczej? Sir Robert wie, że jesteś nowicjuszem Zakonu i nie masz nic do ukrycia. Gdybyś został rozpoznany, doprowadziłoby to do niepożądanych pytań. Weź jednak konia ze stajni. De Sabie może mieć dla ciebie inne zadanie. Masz. - Wyciągnął dłoń, w której przez cały ten czas trzymał mały zwój. - Daj to stajennemu, a on znajdzie ci przyzwoitego wierzchowca. Jeśli ktokolwiek zapyta, gdzie

idziesz albo w jakiej sprawie, powiedz, że wysłałem

cię do twojego ojca. To właśnie jest napisane w zwoju. A teraz znikaj i bądź ostrożny, cokolwiek rozkaże ci sir Robert.

Było prawie południe, kiedy wolnemu na razie od obowiązków Henrykowi Saint Clairowi udało się w końcu wrócić do swoich kwater. Miłe zaskoczyło go, że w sieni czeka na niego syn, przysiadłszy na drewnianej ławie, na której cały czas siedział Tomasz, wierny sługa Henryka. Chronił on marszałka przed tymi, którzy marnowaliby jego czas. Henryk od razu zaprowadził Andrzeja do prywatnej komnaty i starannie zamknął drzwi.

- Co się stało, ojcze? Wyglądasz na zmartwionego.

- Bo jestem. Co tu robisz? Oczywiście cieszę się, że cię widzę, ale na pewno jesteś tu z jakiegoś poważnego powodu, skoro przyznano ci przepustkę, dzięki której możesz odwiedzić mnie na tym etapie ćwiczeń.

- Skąd możesz o tym wiedzieć? - zdziwił się Andrzej. — Szczegóły dotyczące naszego nowicjatu mają być tajemnicą.

-Tak, jak i wiele innych rzeczy. Usiądź. Mam wielu przyjaciół, synu, jak przystało na starzejącego się mężczyznę, i niektórzy z nich są templariuszami. Tak się złożyło, że kilka dni temu po wieczerzy wychyliłem z jednym z nich kufel piwa i rozmawialiśmy o wielu rzeczach, między innymi o ćwiczeniach najnowszej grupy nowicjuszy zakonnych. Oczywiście wiedział, że jesteś jednym z nich, i usiłował mnie pocieszyć, ponieważ nie mogłem się z tobą zobaczyć. - Przyjrzał

się synowi uważnie. - No już, wypluj to z siebie. Co cię tu sprowadza?
- Żydzi, ojcze. - Andrzej wypowiedział to słowo bez ogródek i rozmyślnie, aby sprawdzić, jaki wywrze efekt, lecz jakiejkolwiek spodziewał się reakcji ojca, nie było żadnej.
- Co z nimi?
- To oni mnie tu sprowadzają.
- Nonsens, synu.
- Nie, ojcze, obawiam się, że nie, przynajmniej nie w moim odczuciu. Pamiętasz, jak ostatnio rozmawialiśmy o Żydach i opinii króla na ich temat? - Nie czekał na odpowiedź ojca. — Przychodzę tu prosto od sir Roberta de Sabie, z jego polecenia. Posłał po mnie dziś rano

i zwolnił mnie z moich dzisiejszych obowiązków, aby przeze mnie przekazać ci, że ogromnie się martwi o twoje bezpieczeństwo.
- No cóż, choć jestem wdzięczny sir Robertowi za to, że troszczy się o moje bezpieczeństwo oraz zdrowie - wszedł mu w słowo Henryk -uważam, że to, co robię i jak się zachowuję, nie ma z nim nic wspólnego i nie powinno zaprzątać jego uwagi. Bądź tak dobry i przekaż mu tę wiadomość, oczywiście wraz z moimi wyrazami wdzięczności.
- Nie, ojcze, z całym szacunkiem, nie zrobię nic podobnego. Zachowujesz się jak tępak. Sir Roberta nie interesuje karcenie cię za niewłaściwe zachowanie. Boi się o ciebie, ponieważ naprawdę sądzi, że jest to w interesie naszych armii oraz przedsięwzięcia, w którym bierzemy udział. Mógł wysłać ci ostrzeżenie w inny sposób, lecz po-

stanowił porozumieć się z tobą za moim pośrednictwem z wielu powodów, choćby dlatego że on i ja się przyjaźnimy. Lecz sprawy, które go martwią, znacznie przerastają osobistą przyjaźń.

Sir Henryk zmarszczył lekko czoło.

- Jakie sprawy?

- Dyplomacja, ambicje, polityka i intrygi. William Marshall, marszałek Anglii i Humphrey, baron Sheffield.

-Wyjaśnij.

- Czy muszę, ojcze? Kiedy wyjaśniono mi to dziś rano, nie wymagało to długich rozmyślań. Ryszard jest królem Anglii, ale poza tym też księciem Akwitanii i Normandii oraz hrabią Andegawenii, Poitou, Bretanii i wielu innych terytoriów, z których żadne nie jest angielskie, a wszystkie wysłały swoich ludzi na misję wyzwolenia Zamorza. Z tytułu jesteś marszałkiem polnym króla, lecz w rzeczywistości sprawujesz ten urząd dla swojego pana lennego Ryszarda, księcia Akwitanii, i ucieleśniasz tożsamość i nadzieje każdego żołnierza armii Ryszarda i Filipa, który nie jest Anglikiem. Jeśli znajdziesz się w niełasce i zostaniesz zdymisjonowany, William Marshall zajmie twoje miejsce i cała armia dostanie się pod angielskie zwierzchnictwo. Nie można na to pozwolić.

- Rozumiem, że może to być powód do zmartwienia, lecz co z Humphreyem z Sheffield?

-Jestem zaskoczony, że o to pytasz. Znam tego człowieka, ojcze. Jest obleśną, flejtuchowatą świnią, pozbawioną honoru i niegodną mienić się

rycerzem, a co dopiero baronem. Sir Robert dowiedział się

ze źródła, które, jak twierdzi, jest bezspornie wiarygodne i dobrze poinformowane, że wasze drogi przecięły się... I że niewiele brakowało, a skrzyżowalibyście miecze.

Sir Henryk potrząsnął gwałtownie głową.

- To nieprawda. Nie lubię go, ale nie szukałem z nim zwady.

-Jesteś pewien, ojcze? Czy on zgodziłby się z tym? Sir Robert otrzymał informację, że tu, w Mesynie, w nieprzyjemny sposób zwróciłeś na siebie uwagę Humphreya w sprawie pewnego Żyda o imieniu Symeon. Podobno jest on tutaj dobrze znaną figurą, kupcem, lecz nie lichwiarzem. Zniknął jednak wraz z całą rodziną w nieodpowiednim momencie i od tamtej pory go nie widziano.

- W momencie nieodpowiednim dla kogo?

- Dla Sheffielda. Kogo innego by to obeszło? Humphrey fanatycznie i zaciekle nienawidzi Żydów. Jest to prawdopodobnie najważniejszy powód, który umożliwia mu podtrzymanie przyjaźni z Ryszardem, jeśli faktycznie jest to przyjaźń. Wydaje się, że obowiązkiem Humphreya... choć nikt tego publicznie nie przyznaje... jest dostarczanie Żydów na wieczorne przedstawienia rozrywkowe Ryszarda. Według informatora sir Roberta ten Symeon został naznaczony jako ofiara jednego z takich widowisk po głośnej wymianie zdań, jaką miał z jednym z towarzyszy Humphreya, dotyczącej jakiegoś długu. Lecz jak powiedziałem, zniknął wraz z całą rodziną. Twoje imię wypłynę

ło w związku z tym zniknięciem, mówiono coś o ostrzeżeniu przed nocną wizytą zbrojnych barona Sheffield. Humphrey uwierzył w tę pogłoskę i poszedł z nią do króla. Na szczęście dla nas wszystkich król był... zajęty i nie miał czasu go wysłuchać. Tymczasem kiedy sir Robert usłyszał o tej sprawie od swoich szpiegów, podjął się interwencji, dając wyjaśnienie twojego zachowania zupełnie przeczące opowieści usłyszanej przez barona Humphreya. Baron, który jest dłużnikiem sir Roberta i nie ma powodu, aby podejrzewać, że dowódca floty może cię w ogóle znać, uwierzył, więc nic więcej z tego nie wyniknie. Lecz sir Robert pragnie, żebyś wiedział, co się stało, i choć nie pozwolił by sobie na dyktowanie ci, jak masz się zachować, błaga cię, żebyś w przyszłości był chociaż bardziej ostrożny.

Sir Henryk siedział w milczeniu przez długą chwilę. W końcu podniósł oczy i ciężko westchnął.

- Niech tak będzie. Przyznaję, zachowałem się pochopnie, choć

wtedy tak mi się nie wydawało. W przyszłości będę... ostrożniejszy. Lecz czy rzeczywiście tylko strach o moją pozycję polityczną sprawił, że twój przyjaciel zachował się w taki sposób?

- Czy możesz w to wątpić, ojcze? Pomyśl, co to za sobą pociągało.

- No cóż, ma rację. Patrząc z tego punktu widzenia, moje obowiązki są znaczniejsze i bardziej skomplikowane, niż wcześniej sądziłem. Odtąd będę uważniejszy.

- Nie, ojcze. Jeśli łaska, chciałbym, żebyś w przyszłości w ogóle nie

angażował się w żadne sprawy związane z Żydami. Wszystko, co ich dotyczy, obfituje w zagrożenia graniczące z obłędem.

- Owszem, lecz tylko dlatego, że nasz król chce, żeby tak było.

- Nasz król i jego biskupi. Kościół to akceptuje.

- Synu, Kościół to propaguje. Lecz czy zwykli ludzie dobrej woli powinni chować głowy i też to akceptować, wyrażając milczącą zgodę na okropieństwa, które wzbudziłyby wstręt u miłosiernego Jezusa, w którego jesteśmy nauczeni wierzyć? - Potrząsnął głową stanowczo. - Nie proś mnie o to, Andrzeju. Kłóci się to zarówno z moją naturą, jak i poczuciem honoru, więc nie będziemy już o tym rozmawiać. Przekazałeś swoją wiadomość, a ja jej wysłuchałem. — Zawahał się, po czym ciągnął: - Powiedziałeś, że wiesz od twojego przyjaciela, iż król był zajęty i nie wysłuchał wieści Sheffielda, lecz czy wspomniał dlaczego? Kiedy to było?

- Nie wiem, ojcze. Nie przyszło mi do głowy, aby zapytać. Byłem zbyt zmartwiony implikacjami jego słów. Lecz kiedy wspominam teraz pośpiech, jaki zdradzał sir Robert, mam wyraźne wrażenie, że wszystko to stało się niedawno.

- Hmm. W ciągu ostatnich kilku dni. To musiało być wtedy. - Powstrzymał się i przechylił głowę w stronę syna. - Czy słyszałeś o spowiedzi Ryszarda? Nie, widzę, że nie. Zapewne wiele można skorzystać, prowadząc życie w odosobnieniu. - Zastanowił się przez chwilę. -Niecałe trzy tygodnie temu Ryszard postanowił, z powodów znanych tylko jemu i Bogu, przyznać się do tego, że jest homoseksualnym dewiantem.

Zamknął się wraz z całą gromadą biskupów w prywatnej kaplicy w Mesynie i tam, wśród kłębów kadzidła, dokonał pełnej, rzekomo publicznej spowiedzi, błagał o przebaczenie Boga i Kościoła oraz wznosił modły o siłę, aby oprzeć się pokusie i odtąd poprawić swoje lubieżne, bezbożne i nienaturalne zachowanie. Amen.

272

- Mój Boże! To nie żart, prawda? Naprawdę to zrobił?

- Tak. Na początku pomyślałem, że być może z tego powodu był zajęty i nie mógł się zająć donosem Sheffielda, ale przecież sprawa Sy-meona jest późniejsza. Mówiąc o tym, że Ryszard jest zajęty, de Sabie musiał więc opisywać wydarzenia kilku ostatnich dni, czyli przybycie Eleonory.

- Przybycie Eleonory? Księżnej Eleonory, matki króla? Jest tutaj, na Sycylii?

- Tak. Przyjechała przedwczoraj i od tamtej pory w Mesynie huczy jak w ulu. Ty i inni nowicjusze jesteście pewnie jedynymi ludźmi na Sycylii, którzy o tym nie wiedzą.

- Ale dlaczego? Co tutaj robi? Myślałem, że wróciła do Anglii.

- Nie, i tak się nie stanie. Znów mieszka w Akwitanii, którą zawsze kochała. Przyjechała tutaj tylko po to, aby wręczyć Ryszardowi dar.

- Dar. - Głos Andrzeja był bezbarwny, a twarz bez wyrazu, kiedy usiłował pojąć te słowa. - Jakiego rodzaju dar sprowadziłby ją aż na Sycylię, aby mogła wręczyć go osobiście?

- Dar, którego szukała dla niego, kiedy rozmawiałem z nią ostatnio.

Żona.

Słowa te wybrzmiały ciężko w zapadłej ciszy.

- Żona... - Andrzej rozmyślnie odezwał się ciszej, a ojciec dostosował swoją odpowiedź do jego tonu z czystej ostrożności, choć ciężkie drzwi za jego plecami były szczelnie zamknięte.

- Tak, z Nawarry, na południe od Pirenejów. Księżniczka Beren-garia. Eleonora udała się na dwór jej ojca i osobiście prosiła o jej rękę, z powodzeniem. Król Sancho będzie silnym sprzymierzeńcem dla Ryszarda. Ma lata doświadczenia w walkach z Maurami w Hiszpanii.

-Tak, ale... Ten król, Sancho, tak? Czy on nie wie o... skłonnościach Ryszarda? Co chcą przez to osiągnąć i jak reaguje na to Ryszard?

- Wygląda na to, że ku zaskoczeniu większości ludzi reaguje bardzo dobrze. Podejrzewam, że jest to kwestia właściwego momentu, biorąc pod uwagę, jak niedawno rozgrzeszono go i odpuszczono mu ohydne czyny z przeszłości. Teraz ma to już za sobą i jestem pewien, że czuje się odrodzony i przyjaźnie nastawiony względem małżeństwa i ojcostwa. Prawdę mówiąc jednak, ktoś nieżyczliwy mógłby się zastanawiać, czy nasz monarcha nie dowiedział się, powiedzmy miesiąc

temu lub wcześniej, że jego matka odwiedzi go w towarzystwie przyszłej panny młodej, i postanowił odpowiednio się przygotować.

- Tak, być może tak było. Nie zdziwiłoby mnie to. Lecz, na Boga, ojcze, co za pomysł! Znasz Ryszarda nawet lepiej niż ja. Czy mamy więc teraz wszyscy dać wiarę, jedynie dzięki słownemu błogosławieństwu i

odpuszczeniu udzielonemu przez kaplicę pełną biskupów, w publiczne pozory Ryszarda Plantageneta jako męża i ojca rodziny?

- Nie ma znaczenia, czy wierzysz w to, Andrzeju. Bądź pewien, że to się stanie. Anglia będzie miała królową, a być może z czasem i następcę tronu, a wszyscy ujrzą, że Ryszard jest mężczyzną. Nie można zaprzeczyć, że zapewnienie Anglii dziedzica jest nadrzędnym celem Ryszarda. Jeśli nie spłodzi syna, tron przejdzie w ręce jego beznadziejnego brata Jana. Nawet ja, choć spędziłem w Anglii mniej niż miesiąc i nie mam ochoty tam wracać, nawet ja wiem, że jest to perspektywa, której nikt nie chce brać pod uwagę.

- Bogowie! - Andrzej kręcił głową. — I to jest król, który nie wpuścił żadnej kobiety na swoją wieczerzę koronacyjną! A teraz ma dobrowolnie otaczać się kobietami. Eleonora, Joanna i ta, jak jej na imię, Berengoria? Matka, siostra i żona. Oszaleje przez nie.

- Ma na imię Berengaria, i z tego, co wiem, jest to spokojna osóbka, skromna i... spolegliwa.

- Spolegliwa? Mam nadzieję, że taka jest, bo będzie musiała taka być.

- Poza tym Eleonora wraca za kilka dni do domu... a właściwie najpierw jedzie do Rzymu, a potem do Rouen. Ryszard zadbał o to, nie tracąc czasu. A Joanna jest dość podatna na wpływy, jeśli odpowiednio się ją potraktuje. Nie mając przy sobie matki, nie będzie sprawiała kłopotu. Poza tym dotrzyma towarzystwa biednej pannie młodej, kiedy jej mąż wyjedzie na wojnę.

- Kiedy zatem ma odbyć się ślub?

-Ne pewno nie podczas postu. Lecz potem... kto wie? Wszyscy goście weselni już tu są, choć wątpię, czy Filip August się pojawi, a tłum świętoszkowatych biskupów już się ślini na myśl o przemowach, które wygłoszą, kiedy Ryszard Plantagenet wróci na właściwą drogę seksualnej ortodoksji. Niech nam Bóg dopomoże.

- Czy będziesz na ślubie?

- Oczywiście, nie mam wyboru. Lecz ty powinieneś być już wtedy templariuszem, więc nie będą oczekiwać twojej obecności.

Andrzej uśmiechnął się lekko.

- Może i nie, zobaczymy. Czy wiesz, jak Filip przyjmuje to wszyst-ko? Na pewno zbiło go z tropu, że jego kochanek ma wziąć ślub, wzgardziwszy jego siostrą, pomimo biskupstwa pełnego świętych przysiąg, że tak się nie stanie.

- Tak, nie jest szczęśliwy, jak można się spodziewać. Lecz Filip od dawna jest królem, więc jest pragmatykiem. Nauczy się to akceptować.

- Bez wątpienia... Tę fikcję na pewno też. -Andrzej wykrzywił usta w grymasie. - Niech tak będzie. Jak mówisz, żaden z nas nie może nic zrobić. Ale przyrzekasz, że będziesz ostrożniejszy w kontaktach z wrogami Żydów? — Odwzajemnił skinienie głowy ojca i wstał.

-Świetnie. Wrócę do sir Roberta i powiem mu o tym, po czym wrócę do komturii. Zegnaj, ojcze. Mam nadzieję, że cię znów wkrótce zobaczę. - Chciał objąć ojca, lecz Henryk chwycił go za ramiona i spojrzał mu w

oczy.

- Kiedy zakończysz nowicjat? Kiedy wstąpisz do Zakonu?

Andrzej uśmiechnął się.

- Naprawdę nie mam pojęcia, ojcze. Nie mówią nam takich rzeczy. Nie rozluźnią zasad nawet na tyle, aby powiedzieć nam, czy w ogóle wstąpimy do Zakonu. Lecz mogę ci przyrzec, że tak jak ślub króla, nie może się to wydarzyć podczas postu. Tymczasem gryzę się nieraz ślubami... - Kiedy patrzył Henrykowi w oczy, uśmiechnął się szerzej i zanim ojciec mógł wypowiedzieć pytanie cisnące mu się na usta, Andrzej dodał: - Ubóstwo i posłuszeństwo są proste. Stanowią część życia, jakie wybrałem, lecz martwi mnie ślub czystości, ponieważ nie wybrałem jej... - Dworował sobie, lecz jego żartobliwy humor zabar wił się rozczarowaniem, kiedy zauważył, że Henryk wziął jego słowa poważnie. Skrzywił się i ponownie ujął dłoń ojca obiema rękami. -To był żart, ojcze. Widzę teraz, że kiepskiej jakości, lecz chciałem, że byś się uśmiechnął. Teraz muszę już iść. Do zobaczenia, bądź zdrów. I pamiętaj, nie narażaj się na bezsensowne ryzyko w związku z Żyda mi. Tymczasem.

2

Dziesiątego kwietnia 1191, na którego w tym roku przypadał Wielki Czwartek, Henryk Saint Clair stał na pokładzie i gotów był uwierzyć, że być może będzie z niego jeszcze marynarz. Czyste niebo było ciemnobłękitne, morze gładkie i spokojne i odnosiło się wrażenie, że łagodny wiatr, na tyle silny, aby napiąć żagle, popycha przed sobą gigantyczną flotę króla Ryszarda jak stado owiec. Henryk stał na dziobie osobistego okrętu wojennego Ryszarda; po obydwu stronach rozciągał się szyk sześćdziesięciu czterech jednostek - najbliższe płynęły w odległości około pół mili od okrętu króla - który wyglądał tak, jakby wypełniał morze od horyzontu po horyzont. Mimo to Henryk wiedział, że jest to zaledwie mała część floty króla. Długa, lśniąca galera pod banderą króla Anglii, na której płynął, napędzana zarówno żaglami, jak i wiosłami, należała do grupy dziesięciu identycznych okrętów wojennych, morskiej dumy króla Ryszarda. Wszystkie zbudowano według drobiazgowych instrukcji stworzonych wspólnie przez samego Ryszarda i sir Roberta de Sabie, dowódcę floty.

Każdy z dziesięciu statków, które od początku przeznaczone były do walki, zbudowano tak, aby stanowił samowystarczalną jednostkę. Na pokładzie każdego znajdowało się trzynaście kotwic, trzy zapasowe stery, zapasowy żagiel i piętnastoosobowa załoga pod dowództwem kapitana, a także trzydzieści wioseł oraz trzy kompletne zestawy lin i takielunku. Każdy mieścił stu ciężko uzbrojonych ludzi i ich ekwipunek. Na dziobie każdego smukłego okrętu znajdował się ostro zakończony

szpikulec do taranowania wroga. Galery napędzane dwoma rzędami wioseł zbudowano tak, aby pływały nisko na wodzie, lecz aby miały też dość siły i odporności, żeby bez trudu radzić sobie na wzburzonym morzu. Głównym zadaniem tych szybkich, wszechstronnych, drapieżnych okrętów była obrona reszty ogromnej floty.

276

W poprzednim miesiącu, podczas pierwszego etapu ich długiej podróży z Dartmouth do Lizbony, tych dziesięć okrętów napotkało gwałtowny sztorm, który rozrzucił je po morzu i zatopił jeden z nich. Teraz pięć z pozostałej dziewiątki, w tym okręt króla, formowało ósmy, ostatni rząd floty dwustu dziewiętnastu załadowanych po brzegi jednostek transportujących całą armię Ryszarda do Zamorza. Pozostałe cztery krążyły swobodnie, utrzymując w porządku szeregi galer płynących przed nimi. Każdy rząd był węższy i składał się z coraz mniejszej liczby jednostek; w awangardzie płynęły tylko trzy ogromne, imponujące dromony, powolne i czasem niezgrabne, lecz solidne i godne zaufania — Henryk słyszał, jak Robert de Sabie opisuje je z wielkim szacunkiem słowem “żeglowne".

Ktoś powiedział Henrykowi, że gdyby można było wznieść się jak ptak nad ich formacją, przypominałaby ona gigantyczny trójkąt na powierzchni Morza Śródziemnego. Było to być może największe zgromadzenie okrętów wojennych od czasów wojny trojańskiej.

Słysząc za sobą uniesiony żartobliwie głos króla, Henryk z łatwością wyobraził sobie napięte, niepewne uśmiechy na twarzy Roberta de Sabie

i innych dowódców floty zgromadzonych dookoła monarchy na tylnym pokładzie. Cieszył się, że nie należy do tej grupy. Każdy jej członek wiedział, że choć wyglądało na to, iż tego dnia wszystko idzie gładko, nikt nie może przewidzieć, jak długo potrwa ten względny spokój. Ryszard prawie od dwóch tygodni zachowywał się jak szalejący niedźwiedź. Wszystko zaczęło się trzydziestego marca, kiedy Filip August miał napad złości, rzekomo oburzony możliwością przypadkowego spotkania twarzą w twarz z tą kobietą Berengarią, “tępą dziwką z Nawarry", jak ją nazwał, która “skompromitowała i wywłaszczyła jego siostrzyczkę Adelę". Fakt, że Berengarią nigdy nie spotkała jego siostry i nie miała absolutnie nic wspólnego z długoletnim upadkiem Adeli, nie miał znaczenia dla Filipa, który po prostu folgował sobie, dając upust rozdrażnieniu i zazdrości. Francuski król w ataku gniewu wezwał swoją wenecką flotę, czekającą z dala od brzegu, zebrał całe siły francuskie wraz ze sprzymierzeńcami i wprowadził je na pokład. Potem odpłynął do Ziemi Świętej, nie wspomniawszy o tym ani słowem nikomu spoza własnego kręgu, bez konsultacji ze swoim angielskim współdowódcą. Ryszard, równie zaskoczony jak inni, nie miał wyboru: musiał zare-

agować zgodnie z wymogami sytuacji, czyli porzucić wszystkie plany, nad którymi pracował, i wydać własne rozkazy, aby zebrać żołnierzy i jak najszybciej wprowadzić ich na pokład. Alternatywa — siedzenie z założonymi rękami i pozwolenie Filipowi na to, aby przybył do Za-morza we własnym tempie i na własnych warunkach, jako

wybawiciel Jerozolimy - była wprost nie do pomyślenia. Po śmierci niemieckiego cesarza Barbarossy mógł być tylko jeden wybawiciel Jerozolimy: Ryszard Plantagehet.

Dlatego też mobilizacja sił angielskiego króla przeobraziła się z nieporządnej w chaotyczną. Zaczęła się niespodziewanie i - pomimo całego doświadczenia Roberta de Sabie w tych kwestiach - była słabo zorganizowana. Przez kilka dni wydawało się, że nic nie idzie gładko i że niczyja praca nie zasługuje na pochwałę. Statki były ładowane i obsadzane załogą, a potem znów rozładowywane z powodu nierównego rozłożenia balastu lub niewłaściwego zaopatrzenia. W porcie w Mesynie oraz wszystkich małych zatoczkach ciągnących się wzdłuż wybrzeża przez wiele mil zapanował całkowity chaos. Kiedy rozwiązywano mnożące się problemy z ruchem, powstawały kolejne kłopoty.

W końcu jednak postawiono żagle rankiem w Wielki Czwartek. Unosząca się na wodzie flota prezentowała pełne splendoru widowisko dla oniemiałych z podziwu Sycylijczyków, którzy stali wzdłuż szczytu klifów i przyglądali się, jak odpływa. Bóg i wszyscy święci spoglądali przychylnym okiem na angielską armię w dzień jej wyjazdu i kiedy wszystkie dwieście dziewiętnaście statków Ryszarda zajęło właściwe pozycje w szyku, żeglowały one przez większą część dnia na południo-wy wschód według rozkazów opracowanych i rozprowadzonych przez sir Roberta de Sabie. Następnego dnia przypadał Wielki Piątek, a sir Robert przewidywał, że staną na kotwicy u wybrzeży Krety na czas, aby odprawić radosną mszę w niedzielę wielkanocną.

Tymczasem księżniczkę Berengarię, a także jej przyzwoitkę i przyszłą bratową, Joannę, byłą królową Sycylii, bezpiecznie umieszczono na jednej z trzech ogromnych dromon płynących w pierwszym szeregu. Na tym wielkim statku wieziono też większą część złota Ryszarda, przeznaczonego na wydatki wojenne i strzeżonego przez silny kontyngent osobistej straży króla. Ryszard, wiedząc, że jego narzeczona oraz siostra otrzymały wygodne kwatery, poczuł się uprawniony do ponownego cieszenia się wolnością w towarzystwie swoich przyjaciół

i wybranych kompanów w odległości dobrych trzech mil za paniami i bezpiecznie poza ich zasięgiem wzroku. Nic dziwnego - pomyślał cynicznie Henryk — że król był w żartobliwym nastroju.

- Sir Henryku! Jak zdobyłeś przywilej samotnego spędzania czasu tutaj i podziwiania cudów naszej floty?

Henryk rozpoznał głos mówiącego i obrócił się z uśmiechem do sir Roberta, nie zdejmując łokci z relingu. Dowódca floty opuścił grupę króla, wciąż rozprawiającą głośno na rufie, i przeszedł na dziób statku.

- Sir Robercie, witaj. Zasłużyłem na ten przywilej, jak go nazy wasz, na placu defiladowym w Mesynie. Kazałem całym oddziałom ciężko uzbrojonych, spoconych, niemytych ludzi ruszać się szybko podczas musztry, do upadłego, po czym spali jak kłody ku wielkiej uldze dowódców. Teraz, na morzu, nie mogę już tego robić, więc po zwolono mi odpoczywać przed podjęciem obowiązków na lądzie.

- Właśnie o tym myślałeś, kiedy nadszedłem?

Saint Clair uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Nie, naprawdę myślałem o tym, że gdyby życie marynarza zawsze wyglądało tak jak dziś, mógłbym się nim chyba zadowolić.

- Tak, bez wątpienia, sir Henryku, bez wątpienia. Gdyby tak było, nie mielibyśmy problemu ze znalezieniem załogantów. Lecz smutna prawda, którą marynarze i kupcy na próżno usiłują ukryć, jest taka, że na każdy dzień taki jak dzisiaj może przypaść dwadzieścia innych, kiedy wydaje się, że cały świat jest przechylony, zalany wirującą wodą morską i wymiocinami, targany zimnymi, wyjącymi wiatrami podobnymi do tych, które rozrzuciły nas jak suche liście w drodze do Lizbony w ostatnie Wniebowstąpienie Pańskie.

Henryk odwrócił się znów w stronę zachodzącego już słońca.

- Trzeba więc dziękować Bogu za dni podobne do tego.

- Tak, i to właśnie robię za każdym razem. Lecz nigdy nie ufam pogodzie, sir Henryku. Nawet kiedy wszędzie dookoła widzę błękitne, bezchmurne niebo. W ciągu kilku minut może się to zmienić, od uśmiechów do krzyków, szybciej niż nastrój kobiety.

Saint Clair uniósł brew.

- Na pewno nie myślisz tak teraz? Dzisiejszy dzień jest idealny.

- To prawda, i właśnie dlatego mu nie ufam. Dopiero początek kwietnia, sir Henryku. Ledwie skończyła się zima, a do lata jeszcze

wiele tygodni. Wierz mi, będę wdzięczny, jeśli ta pogoda utrzyma się przez noc. Jeśli zostanie z nami przez całe dwa dni, będę jeszcze bardziej

wdzięczny i głęboko zdumiony. A teraz wybacz mi, muszę się zająć swoimi obowiązkami.

Przyjmując znów rolę dowódcy floty królewskiej, de Sabie skłonił się uprzejmie i przywoławszy gestem sir Geoffreya Besanceau, kapitana statku królewskiego, podszedł z nim do znajdującego się na rufie stanowiska sternika, który pochylał się do przodu, aby zrównoważyć opór rumpla. Sir Henryk odprowadził wzrokiem tych dwóch prawdopodobnie najważniejszych ludzi w całej flocie, czując ulgę na myśl, iż jego obowiązki są o wiele mniej uciążliwe.

Na jednym ze statków widniejących w oddali ktoś krzyknął, a dźwięk ten poniósł się wyraźnie po wodzie, choć słowa były niezrozumiałe. Saint Clair zastanawiał się przez moment, czy to dlatego, że znajdował się za daleko, żeby je dosłyszeć, czy dlatego, że wypowiedziano je w języku, którego nie znał. To właśnie był jeden z najpoważniejszych problemów - brak jednoznacznych, jasnych i zwięzłych przekazów.

Przy każdej okazji uświadamiał królowi Ryszardowi i jego sprzymierzeńcom, że przewaga Arabów - Henryk zawsze myślał o nich najpierw jako o Arabach, dopiero potem jako o Saracenach, modnym obecnie określeniu tej grupy — ma dwa główne źródła. Po pierwsze byli liczni jak ziarna piasku na pustyni, ponieważ rekrutowali wojowników z ogromnych terenów rozciągających się od Arabii, Syrii i Mezopotamii oraz Persji, przez Palestynę i na zachód, przez deltę Nilu, wraz z Egiptem i sąsiadującymi z nim ziemiami na północy Afryki. Raporty o tym, że Saladyn wystawi ponad sto tysięcy ludzi, były na porządku

dziennym. Wyglądało na to, że siły te są niewyczerpane i potrafią wygenerować wciąż nowe rzesze wojowników.

Po drugie wszyscy mówili tym samym językiem, co ciągle zdumiewało Saint Claira. Nieważne, z jakiej części krain islamu pochodzili: wszyscy mówili po arabsku, a większość pisała też w tym języku. Regionalne różnice dotyczyły tylko języka mówionego i nie stawały one na przeszkodzie płynnej komunikacji. Henryk tracił czasem nadzieję, że kiedykolwiek uda mu się zwrócić uwagę frankońskich przywódców na ten niewiarygodny fakt. Z ich punktu widzenia Saraceni byli niewiernymi, a więc dzikusami, i nie zasługiwali na uwagę, jedynie na to,

aby walczyć z nimi i zniszczyć ich. Kogo obchodziło, że mówią jednym językiem? Jakie to mogło mieć znaczenie? Dla cywilizowanych, chrześcijańskich uszu ich mowa była bełkotem.

Ta pełna ignorancji i pychy obojętność doprowadzała Henryka Saint Claira do furii. Myślał często, że dla tych głupców nie ma chyba znaczenia, iż ich ludzie rzadko kiedy potrafią się porozumieć. Ta niemożność nie była jedynie spowodowana wyraźnymi różnicami, jak wtedy, kiedy Francuz nie potrafił dogadać się z Niemcami, Anglikami, Duńczykami czy mieszkańcami Italii. Sytuacja przedstawiała się o wiele poważniej i o wiele groźniej: paryżanin zupełnie nie rozumiał marynarza z Marsylii, a niewielu z Marsylii znało Oc, język Langwe-docji. Tak samo było w Anglii i każdym innym chrześcijańskim państwie: ludzie z różnych regionów tego samego kraju często nie rozumieli się nawzajem.

Henryk pozwolił myślom wrócić do dawno zmarłego przyjaciela Torąuila, duńskiego żołnierza zaciężnego. Choć żaden z nich nie rozumiał języka drugiego, przeżyli razem wiele przygód, zanim Torquil padł w końcu ofiarą przypadkowego bełtu wystrzelonego podczas drobnej utarczki u podnóża Alp. Duńczyk cechował się wielkim apetytem i był sławny ze swojego talentu do grzebania w odpadkach: mawiano, że potrafi znaleźć jedzenie w pustej trumnie. Jego największym dokonaniem było “schwytanie" młodego warchlaka, który “zabłąkał się" pod murami oblężonego Hawru podczas którejś z wojen między królem Henrykiem a jego zbuntowanymi synami. Matka właśnie karmiła warchlaka i mleko ciekło jeszcze z jego ryjka, kiedy Torquil go schwytał. Do dzisiaj zapach pieczonej świni przywodził Henrykowi na myśl tamtą noc i soczyste mięso, pierwsze, które on i jego towarzysze jedli od ponad miesiąca. Myśląc o tym teraz i przypominając sobie tamtą sytuację, Henryk poczuł pierwsze oznaki głodu i poszedł poszukać swojego tobołka, w którym schował osobiste zapasy: grubą, mocno przyprawioną kiełbasę, kilka kawałków koziego sera, dzban oliwek w zalewie i bochen świeżego jeszcze chleba. Zjadł sam na dziobie galery, patrząc na zachód słońca. Czuł, jak szybko po zniknięciu światła spada temperatura. Chwilę później, w gęstniejących ciemnościach, wypił nieco wody i owinięty kocem położył się na pokładzie, przy burcie statku, tak aby nie zagrodzić drogi innym i być osłoniętym od chłodu kwietniowego wieczora.

Łagodne falowanie morza ukołysało go, a kiedy obudził się - wciąż w ciemnościach - natychmiast poczuł, że zaszła jakaś zmiana. Ciszę, głęboką i głuchą, przerwały ciche głosy i ruchy: inni zaczęli się ruszać i rozbudzać. Potem cisza pogłębiła się jeszcze bardziej, zapanował absolutny bezruch. Ktoś wstawił płonącą latarnię w metalowy stojak na dziobie statku, nad głową Saint Claira. Paliła się idealnym płomieniem, złotym liściem najczystszego ognia otoczonym rozjarzonym nimbem, który nawet nie drgnął. Kiedy Henryk leżał, patrząc na płomień z rosnącym zdumieniem, zdał sobie sprawę, że pokrzepiające kołysanie także zniknęło. Gdzieś za nim, na pokładzie dla wioślarzy, rozległ się głośny łoskot, a potem stek przekleństw oraz inne, mniej rozpoznawalne odgłosy, coraz głośniejsze i bardziej zróżnicowane. W końcu usiadł, trąc oczy ręką, i rozejrzał się, czując w trzewiach nieopisaną obawę. Wiedziony pierwszym instynktem sprawdził, czy na niebie nie widać oznak złej pogody, lecz nie zobaczył na nim nic groźnego. Pokryty bladym różem i fioletem firmament wyglądał na bezchmurny, a kilka widocznych jeszcze gwiazd bladło szybko w świetle brzasku. Zrozumiał, że źródło światła znajduje się za nim. Stanął twarzą na wschód dokładnie w chwili, kiedy płonąca krawędź tarczy słońca wzniosła się ponad horyzont w oddali. Widok ten był pełen nieskazitelnego, zdumiewającego piękna, a Henryk przypomniał sobie, że jest Wielki Piątek, dzień, w którym Zbawiciel został ukrzyżowany, aby odkupić grzechy ludzkości. W tym momencie wydało mu się, że tego ranka wszystkie znaki dobrze wróżą rasie ludzkiej. Zaskoczony zobaczył, że

wzdłuż relingu stoją w dwóch rzędach ludzie i bez słowa spoglądają w dal. Zdziwiony spojrzał tam, gdzie oni, i rozdziawił usta.

Nieruchoma powierzchnia morza, niezmącona najmniejszą nawet zmarszczką, przypominała szkło, naznaczone wszędzie idealnymi kopiami statków. Nic nawet nie drgnęło; nawet przelatujący ptak morski nie zakłócił doskonałości tego obrazu. Wtedy na rufie statku ktoś zakaszlał i odgłos ten zakończył nabożną ciszę, w której pogrążyła się załoga.

Henryk złożył koc i wrzucił go do tobołka, umieścił go bezpiecznie pod relingiem i wrócił na rufę, gdzie kapitan Besanceau naradzał się z kilkoma oficerami. Kiedy zbliżał się do tylnego pokładu, dobosz okrętowy stanął na baczność i na mocno napiętej skórze bębna za-

czął wybijać miarowy rytm. Było to jakiegoś rodzaju wezwanie i Saint Clair domyślił się, że zapewne odpowiedzą na nie dowódcy pozostałych czterech galer tworzących ostatni rząd.

- Czy kiedykolwiek widziałeś coś podobnego?

Niezauważenie stanął za Henrykiem Montagnard, jeden z oficerów Saint Claira nadzorujący stu ludzi zakwaterowanych na galerze. Henryk uważał go za dziwnego, małomównego człowieka, który potrafił przez wiele dni nie powiedzieć ani jednego zbędnego słowa, a potem przełamać swoje milczenie płynną przemową, zdradzającą zróżnicowaną i skomplikowaną przeszłość. Najwyraźniej dzisiaj miało tak być.

- Masz na myśli taką pogodę? Nie, nigdy. To prawie niebywałe. Wiesz, co się dzieje?

- Jesteśmy unieruchomieni przez flautę.

- Tak, to widzę. Ale czy to się często zdarza? Jak długo to potrwa?

- Nie jest to rzadkie zjawisko. Doświadczyłem go już kiedyś na Zatoce Biskajskiej, kiedy usiłowaliśmy dopłynąć do La Rochelle: nagle wiatr ucichł i nie wiał przez dwa dni. To przerażające, niemal religijne doświadczenie, ponieważ następuje ni stąd, ni zowąd. Nigdy nie wiadomo, co jest jego przyczyną ani jak długo potrwa. To jednak dziwne, nieprawdaż? - Skinął głową w stronę dwóch kapitanów pogrążonych w dyskusji. — Nawet ich to martwi, a nie jest łatwo ich zmartwić. Wiesz, co o tym mówią, prawda?

- Nie, co mówią?

- Bóg wstrzymuje oddech. - Montagnard spojrzał na Henryka. - A co się dzieje, kiedy wstrzymujesz oddech? Musisz go znów wypuścić, i to raczej prędzej niż później. Nawet jeśli jesteś Bogiem. W zależności od tego, jak długo go wstrzymywałeś, podmuch, który wypuścisz, może być dość silny.

- Chcesz powiedzieć, że czeka nas sztorm?

- Niekoniecznie, ale jest taka możliwość. Tymczasem jako jedni /. niewielu we flocie możemy się w ogóle ruszać. Mamy wiosła. Większość musi po prostu siedzieć i czekać, aż wiatr znowu się pojawi. Przynajmniej księża powinni być zadowoleni.

- Dlaczego miałoby to ich ucieszyć?

- Rozejrzyj się. Jest Wielki Piątek, piękny dzień bez odrobiny wia-tru... Wspaniałe warunki, aby przypomnieć ludziom o tym, jacy są

słabi i narażeni na ryzyko w obliczu wszechmocy Boga. Zobaczysz, dzisiaj każdy statek w tej flocie będzie sławił Jezusa. Przed zachodem słońca z każdej strony będziesz słyszał hymny, wspomnij moje słowa.

Henryk uśmiechnął się i właśnie miał odpowiedzieć, kiedy zauważył poruszenie na wodzie. Z każdej z pozostałych czterech galer nadpływały łodzie wiosłowe. Chwilę później pierwsza zatrzymała się u ich burty, a jej pasażer, kapitan innej galery, wspiął się na pokład i dołączył do grupy otaczającej sir Roberta. Niedługo po nim pojawili się trzej kolejni ludzie, równi mu stopniem. Nie zostali na pokładzie zbyt długo: w ciągu pół godziny wszystkie cztery galery z ostatniego szeregu zaczęły się zbliżać jak psy pasterskie do unieruchomionych statków unoszących się na wodzie przed nimi, wiosłując wśród nich i udzielając porad oraz wsparcia towarzyszom, którzy mieli mniej szczęścia. Tylko galera Ryszarda, która była też - nieprzypadkowo - galerą dowódcy floty, pozostała na miejscu, samotnie pełniąc tylną straż. Kiedy wioślarze otrzymali rozkaz, aby wciągnąć wiosła na pokład i spocząć, Saint Clair szybko zdał sobie sprawę, że de Sabie woli zajmować tę samotną pozycję, która pozwalała mu uprzedzić jakiekolwiek wydarzenia na morzu, niż znajdować się wśród floty, co mogłoby być bardzo niekorzystne w razie nagłej zmiany warunków.

Ten Wielki Piątek stał się najdłuższym dniem w życiu Henryka,

ponieważ w jego miejscu odosobnienia, które zawężało się do maleńkiego pokładu, nie było do roboty absolutnie nic, co pozwoliłoby mu przestać myśleć o przymusowej bezczynności. Przespał się chwilę, lecz szybko zmęczył się nawet tym i był tak znudzony, że z radością powitał rozrywkę w postaci trzech płynących na statku biskupów, którzy godzinę po południu wyszli na pokład rufowy wraz z akolitami i zaczęli odprawiać nabożeństwo wielkopiątkowe. Okazało się, że nie wszyscy załoganci mogą jednocześnie uczestniczyć w obrzędzie, lecz część dowódców szybko opracowała plan, według którego ludzie mogli wychodzić na pokład w dwudziestoosobowych grupach, aby spędzić kwadrans na modłach, przyjmowaniu komunii świętej i zażywaniu świeżego powietrza przed powrotem do gęsto zaludnionych klitek będących ich jedynym zakwaterowaniem. Jakiś czas później, zgodnie z przewidywaniami Montagnarda, ze wszystkich stron zaczęły dobiegać głosy wzniesione w modlitwie i pieśniach. Niektóre dochodziły z konkretnych statków, a inne były jedynie eterycznymi wibracjami

niesionymi przez powietrze i drżącymi w oddali. Wraz z nadejściem trzeciej godziny po południu zapadła cisza, tak głęboka jak ta, która otaczała ich przez cały dzień. Jezus nie żył, a świat miał być pogrążony w duchowych ciemnościach aż do świtu trzeciego dnia, kiedy Jego zmartwychwstanie obwieściłoby powszechne zbawienie.

Sir Henryk Saint Clair zauważył mały podmuch wiatru, łaskoczący mu włosy na karku. Znów przysypiał, opierając się o reling na samym

dziobie, a uczucie to - pierwszy ruch powietrza od świtu - sprawiło, że natychmiast się ocknął. Usłyszał za plecami podniesione głosy i tupot stóp, ktoś odepchnął go i zajął jego miejsce. Człowiek ten wlepił wzrok w horyzont, po czym warknął “Cholera!", obrócił się na pięcie i pobiegł na rufę, wzywając krzykiem kapitana Besanceau. Henryk odprowadził go wzrokiem, lecz nie zobaczył nic poza lekkim zgrubieniem nad horyzontem, jakby ktoś użył węgla, aby nasmarować wzdłuż linii oddzielającej morze od nieba nierówną kreskę, i roztarł ją w kilku miejscach. Nagle bandera na maszcie statku przed nimi za-łopotała kilkakrotnie, po czym znów zwisła bezwładnie. Henryk poczuł, że serce bije mu mocniej, a w trzewiach pojawia się niewyraźna obawa. Wiedział, że na coś się zanosi, a coraz głośniejsze krzyki za jego plecami podsycały te odczucia.

Linia na horyzoncie rosła w oczach i wkrótce dało się w niej roz-poznać nadciągające chmury. Kolejny powiew wiatru szybko ucichł, zaraz po nim nastąpił silniejszy i dłuższy. Henryk przyglądał się, jak trzej majtkowie opuszczają żagiel, składają go starannie i przywiązują ciasno do drzewca, na którym wisiał, a potem z kolei solidnie uwią-zują drzewce do masztu. Chwilę później znów poczuł ucisk w dołku, kiedy zauważył, że dobosz zajmuje swoją pozycję na kadłubie statku, a wioślarze, po siedmiu z każdej strony, przygotowują się do pociągnięcia na jego sygnał. Wreszcie rozbrzmiał dźwięk bębna, a ludzie zabrali się do pracy. Ciągnęli miarowo, walcząc z bezwładem statku i ostrożnie wprowadzając go w ruch. Okręt szybko nabierał prędkości.

Henryk zauważył kątem oka ruch na pokładzie rufowym, a kiedy zerknął w tamtą stronę, zobaczył samego Ryszarda, olśniewającego w pełnej kolczudze i szkarłatnej opończy. Po lewej miał de Sablego. Dalej stał sir Geoffrey Besanceau o twarzy wykrzywionej grymasem, podrzucając sztylet w powietrze, łapiąc go i odwracając za każdym

razem, kiedy rękojeść opadała znów w jego otwartą dłoń. Ani razu nie spojrzał na sztylet, ponieważ całą uwagę poświęcał wpatrywaniu się w gęstniejący mrok.

Otworzyły się drzwi prowadzące do kwater żołnierzy i ludzie zwabieni odgłosami krzątaniny po tak spokojnym dniu zaczęli wychodzić na wąski pokład. Groziło to trudnościami z kierowaniem statkiem, rozkazano więc im wrócić do kwater. Henryk podszedł do króla, który przywitał się z nim serdecznie, lecz nie wyglądał na skorego do błahych rozmów, Saint Clair więc stał przy nim w milczeniu, aż zauważył go sir Robert de Sabie.

— Henryku - powiedział, wykrzywiając kącik ust w niewesołym uśmiechu - zanosi się na problemy. To nadciągający szybko front burzowy.

- Jak szybko?

Po ustach dowódcy floty znów przemknął ten sam uśmiech. -W najlepszym razie za pół godziny... w najgorszym, dwa razy szybciej.

— Co możemy zrobić?

- Nic, przyjacielu. Wysłaliśmy dziś po południu wiadomość do

wszystkich statków, aby były przygotowane na wszystko. Nikt nie jest ekspertem, kiedy wiatr mocno dmie, a morze zaczyna się burzyć i pie nić. Możemy tylko usiłować utrzymać nasz statek dziobem do grzbie tów fali i się modlić. Znajdź sobie bezpieczne miejsce przy spływni- kach na dziobie i przywiąż się tam mocno. Wciągać wiosła! - Ostatnie słowa, głośne i naglące, były skierowane do wioślarzy.

Pokład przechylił się gwałtownie i nieoczekiwanie, dziób uniósł się wysoko w powietrze, a de Sabie wyciągnął rękę, aby się czegoś chwycić, machając drugą do kapitana, kiedy okręt znów opadał. De Sabie ponownie przemówił do Saint Claira, tym razem nie patrząc na niego:

— Idź, Henryku, szybko, i zrób, co ci mówiłem, przywiąż się solid nie i mocno trzymaj. Panie, powinieneś zrobić to samo.

- Co, przywiązać się? Nie, obwiążę się w pasie liną i przymocuję ją do relingu, ale zostanę tu z tobą. - Ryszard spojrzał na Saint Claira. - Lecz ty, Henryku, musisz zrobić, jak każe ci Robert. Nie masz już tyle siły, ile w młodości, a potrzebuję cię w Zamorzu. Idź w bezpieczne miejsce. Nie chcę widzieć, jak fala zmywa cię z pokładu. Idź.

Henryk wrócił do miejsca, gdzie zostawił swój tobołek, i najpierw przywiązał go do siebie krótkim kawałkiem liny, a potem solidnie uwiązał samego siebie do relingu, w pobliżu jednego z otworów w burcie. Ledwo zdążył skończyć ostatni węzeł, gdy rozpętał się sztorm, i od tej chwili znajdował się w wyjącym, wypełnionym wiatrem i wodą piekle, nieświadom upływu czasu ani tego, czy był dzień czy noc. Widział, jak

raz po raz zmieniają się kolory gnanych wiatrem chmur, a raz poczuł, jak dotkliwie okłada go grad wielkości kamyków, który gromadził się w osłoniętych miejscach na pokładzie jak łachy pokruszonego lodu. Potem jego twarz chłostał deszcz, unoszony przez wyjący wiatr poziomymi strumieniami. Jakiś czas później zdał sobie sprawę, że temperatura gwałtownie spadła, zmrażając jego przemoczone ubrania, aż przypominały w dotyku szorstką deskę. Miał wrażenie, że stracił wtedy przytomność, i nie miał pojęcia, ile czasu mogło upłynąć, zanim się ocknął i poczuł, że każdy przechył statku rzuca go w tę i z powrotem i że za każdym razem uderza boleśnie głową o wewnętrzną stronę burty. Jego ubrania były wciąż lodowato zimne, lecz było już dość światła, aby mógł dostrzec, że na fałdach jego opończy leży gruba warstwa świeżego śniegu. Fala strachu podeszła mu do gardła, kiedy wyczuł, że coś leci w jego stronę, i znów stracił zmysły.

Ocknął się jakiś czas później, kiedy sztorm wciąż wył dookoła, a potem balansował na granicy świadomości, niejasno przeczuwając, że burza chyba słabnie. Obudził się ponownie, kiedy poczuł, że ktoś potrząsa lekko jego głową. Otworzył oczy i zobaczył, że jeden z zało-gantów klęczy nad nim i przygląda mu się uważnie.

- Ach, żyje - wymamrotał marynarz. - Ma otwartą i odbarwioną ranę na głowie, nie byłem pewien... No dobra, staruszku, odetnijmy te liny i zobaczmy, czy uda nam się postawić cię znów na nogi.

Była niedziela wielkanocna, późne popołudnie, i jeśli jacyś księża odprawiali mszę czy dziękowali za ocalenie, robili to na osobności i po

cichu, w kwaterach, które udało im się zawłaszczyć w następstwie katastrofy. Sir Henryk Saint Clair wiedział, że wciąż żyje, lecz nie zdecydował jeszcze, czy być wdzięcznym za przeżycie, czy żałować, że nie zginął wśród szalejącego sztormu, co uwolniłoby go od nękających go teraz bólów i cierpień.

287

Siedział, zapierając się nogami na zwoju liny. Co najmniej dwa żebra miał pęknięte lub złamane, a ból uniemożliwiał mu stanie, opierał się więc plecami o dwa mniejsze zwoje liny, ustawione na pierwszym. By nie myśleć o bólu, skoncentrował się na strzępkach informacji, które udało mu się dotychczas zebrać. Załogant, który znalazł go półżywego przy spływnikach, wiedział, kim jest Henryk, i wraz z kolegą zanieśli go na rufę, gdzie ktoś opatrzył mu rany. Henryk nie miał pojęcia, kto się nim opiekował, lecz człowiek ten obandażował mu żebra i ciasno przywiązał kawałek materiału do rany przecinającej jego prawą skroń. Potem znów wysłał podtrzymywanego przez dwóch majtków Henryka na dziób statku, gdzie spędził większą część poprzednich kilku dni. Przepadło dwudziestu jeden ludzi. Tego Henryk był pewien, ponieważ kiedy opatrywano mu rany, podsłuchał raport o ofiarach składany kapitanowi Besanceau. Zakładał, że ci, którzy zginęli, byli jego ludźmi, podobnie jak on nienawykłymi do przebywania na pokładzie szczurami lądowymi. Oznaczało to, że stracili jedną piątą przebywającej na statku obsady, zanim mieli okazję zadać wrogowi choć jeden cios. Myśl ta przygnębiła go. Odwrócił się w stronę opartego o burtę

mężczyzny, patrzącego w dal.

- Hej - mruknął Henryk, zwracając na siebie jego uwagę - co tam widzisz?

Mężczyzna przyjrzał mu się badawczo od stóp do głów, po czym znów spojrzał za burtę.

- Nic - warknął. - Pusty ocean. Ani śladu innego statku poza jednym wrakiem. Wlecze za sobą maszt. - Spojrzał na Henryka spod srogich, czarnych brwi. - Jak się czujesz? Mam nadzieję, że lepiej, niż wyglądasz. Jesteś obwiązany jak wędzona szynka. Kim właściwie jesteś?

- Nazywam się Saint Clair - wysapał Henryk, łapiąc powietrze.

-Mówią mi, że mam złamane kilka żeber, a ja... ach!... wierzę im. Podejdź no tutaj, żebym mógł cię widzieć, co?

Mężczyzna podszedł, kiwając głową ze współczuciem.

- Złamane żebra to nic przyjemnego. Sam złamałem dwa w zeszłym roku, na Cyprze. Pośliznąłem się na zatłuszczonej desce, niosąc worek, i spadłem na żerdź leżącą na ziemi. Miesiącami dochodziłem do siebie. Nazywają mnie Siny Kciuk. Jestem wioślarzem. - Uniósł

niemal fioletowy kciuk, a zanim Henryk zdążył zapytać, czy to przebarwienie to znamię czy ślad po dawnym urazie, zapytał: - Saint Clair, co? Marszałek polny? Ten Saint Clair?

- Tak, ten. Pomożesz mi się podnieść, żebym choć przez chwilę mógł coś zobaczyć? Nie dam rady sam się ruszyć.

- No, zobaczmy. - Siny Kciuk, ująwszy Henryka pod pachami,

podniósł go płynnym ruchem.

Henryk zaczerpnął powietrza i wlepił oczy w bezmiar wody. Jedynym, co dało się dostrzec, był wrak opisany przez Sinego Kciuka.

- Dzięki - powiedział w końcu. - Możesz mnie znów posadzić.

A co z królem, czy jest zdrów? - zapytał, kiedy znów siedział na swoim prowizorycznym siedzisku.

Wioślarz uniósł brew, jakby pytanie zdziwiło go.

- Oczywiście, że jest zdrów. Dlaczego miałoby być inaczej? Umiałby chodzić po wodzie. Przywiązał się do relingu na rufie i wraz ze sternikiem walczył z rumplem przez całą burzę. Nic dziwnego, że jego ludzie tak na niego patrzą. Ten człowiek jest jak bóg.

- Tak - pokiwał głową Henryk. - Potrafi być czasami wspaniały, o wiele bardziej niż zwykli ludzie... Co zrobimy teraz, czy wiesz?

Siny Kciuk uśmiechnął się i uniósł przebarwiony palec.

- Mówiłem ci, jestem wioślarzem. Mnie nikt nie pyta o radę. Mówią mi, dokąd płynąć, kiedy i jak szybko. Lepiej, żebym wracał.

Henryk powstrzymał go gestem.

- Gdybyś spotkał gdzieś sir Roberta de Sabie, proszę, prześlij mu wyrazy uszanowania, powiedz mu, gdzie jestem, i przekaż, że chciałbym porozmawiać z nim, kiedy znajdzie wolną chwilę.

Wioślarz przechylił głowę.

- Ja? Mam podejść do de Sablego i porozmawiać z nim, tak po prostu? Kazałby mnie wyrzucić za burtę.

- Nie, nie zrobiłby tego. Wspomnij moje imię, kiedy się do niego

zbliżysz, i powiedz mu, że cię do niego posłałem. Masz tu... - Zaczął szperać w poszukiwaniu swojej sakwy, lecz wioślarz machnął ręką.

- Nie chcę twoich pieniędzy. Przekażę mu, co powiedziałeś, a teraz żegnaj.

Henryk spróbował znaleźć jakąś wygodną pozycję na stertach twardych lin, zastanawiając się, ile statków mogło zatonąć, znikając

po prostu pod falami i zabierając ze sobą załogę oraz pasażerów. Oderwał go od tych złowrogich myśli głos de Sablego:

- No, panie Saint Clair. Jesteś ciężko ranny? Widziałem, jak ktoś opatruje ci rany na pokładzie rufowym, lecz nie miałem czasu, aby podejść i sprawdzić, co ci się stało.

- Nic mi nie jest, sir Robercie. A przynajmniej nic poważnego. Uderzyłem się w głowę i mam kilka pękniętych żeber... Cieszę się, że wyglądasz tak zdrowo. Słyszałem też, że król pełnił rolę sternika podczas sztormu.

- Cały czas. - Sir Robert splótł dłonie i zaczął pocierać nimi tak, jak często robił to Ryszard. Uśmiechał się szeroko i kręcił głową z podziwem. - Przetrwał tę burzę tak, jak mógłby to zrobić marynarz-weteran, którego Neptun nie jest już w stanie niczym zaskoczyć. To było naprawdę nadzwyczajne. Nie uwierzyłbym, gdybym tam nie był i nie widział tego na własne oczy. Król przywiązał się do ławki wioślarskiej i godzinami stał przy sterze wraz ze sternikiem. Gdyby tego nie zrobił, z pewnością bylibyśmy w jeszcze większych opałach. Myślałem, że

wszyscy jesteśmy już trupami, kiedy kwatery żołnierzy zaczęły się zapadać pod naporem fal... wiedziałeś o tym?

- Słyszałem, jak wspomniano o tym w raporcie. Dwudziestu jeden przepadło.

- Tak, fale zmyły ich z pokładu, kiedy nadbudówka, w której się znajdowali, nie wytrzymała i przechyliła się za burtę. Gwałtownie straciliśmy równowagę. Byliśmy wtedy najbliżej odwrócenia się burtą do fal. Uratowała nas tylko niespożyta siła Ryszarda połączona z wprawą sternika. Fala rzuciła mnie do spływników i leżałem tam, patrząc, jak walczą, aby znów ustawić dziób statku na kursie. - Rozejrzał się, a kiedy się upewnił, że nikt nie podsłuchuje, dodał: - Henryku, obaj powinniśmy paść dzisiaj na kolana i podziękować za naszego króla, a także wybaczyć mu wszystkie wady, które tak często w nim znajdujemy.

- Amen. - Sir Henryk pokiwał głową.

De Sabie podszedł do reliiigu na dziobie, spojrzał w stronę horyzontu i wydał z siebie krótkie parsknięcie, na poły chrząknięcie, na poły gorzki śmiech.

-Ta pogoda... Przyjacielu, to było coś niewyobrażalnego, coś z naszych koszmarów. Nigdy nie napotkałem niczego podobnego.

Ten sztorm potrafiłby sprawić, że nawet najbardziej żądny przygód i nieustraszony marynarz zostałby już na zawsze bezpiecznie w domu, na lądzie.

Henryk usłyszał za plecami skrzypienie sztywnych lin i miarowe

stęknięcia ludzi zgodnie ciągnących trzeszczące liny przez bloczek.

- Przygotowujemy się do nabrania prędkości - wyjaśnił de Sabie -przez podniesienie żagla, żebyśmy mogli udać się na poszukiwanie innych.

- Jakich innych? - spytał Henryk, przypominając sobie otaczające ich puste morze. — Czy wiesz, jak dużo ludzi i statków straciliśmy?

- Wszystkie, Henryku. - De Sabie wykonał szeroki gest w stronę horyzontu. - Wszystkie przepadły, rozrzucone przez wiatr jak prochy. Ponownie zebranie ich razem potrwa wiele dni.

Henryk wytrzeszczył oczy.

- Zebranie ich...? Chcesz powiedzieć, że je znajdziemy? Nie wszyst kie uległy zniszczeniu?

Teraz to na twarzy de Sablego pojawił się wyraz zdumienia.

- Zniszczeniu? Na Boga, nie, nie uległy zniszczeniu. Być może straciliśmy kilka w wyniku zderzeń i nieszczęśliwych wypadków, to naturalne w sztormowych warunkach. Jeden dryfuje niedaleko, jak widzisz, pozbawiony masztu i wywrócony dnem do góry, lecz inne zostały jedynie rozrzucone przez wiatr i fale. To okręty, Henryku, zbu dowane przez ludzi, którzy w równym stopniu znają morze, kochają je i nienawidzą go. Są zaprojektowane tak, aby przetrzymać sztormy równie wielkie i brutalne jak ten. Znajdą najbliższy ląd i zaczną się ponownie zbierać.

- Gdzie jest najbliższy ląd?

- Najbliższy stąd, gdzie jesteśmy teraz? - Sir Robert wzruszył ra-

mionami. - Będę mógł z łatwością odpowiedzieć ci, kiedy tylko odkryjemy, gdzie jesteśmy teraz. Zwiało nas z kursu, to pewne. Teraz musimy jeszcze spróbować odkryć, jak daleko i w jakim kierunku. — Uniósł rękę, aby uprzedzić kolejne pytanie Henryka. - Jesteśmy na Morzu Jońskim i kiedy dopadł nas sztorm, żeglowaliśmy na południowy wschód, z Sycylii na Kretę. To było dwa dni temu. Wybrzeże Afryki znajduje się teraz na pewno po naszej sterburcie, jednak nie wiemy jak daleko. Lecz według tych samych obliczeń wybrzeże Grecji i jej wyspy leżą przed nami, więc podążymy na południe i wschód tym

samym kursem do chwili, kiedy zobaczymy ląd. Jeśli nam się poszczęści, będzie *to* Kreta, lecz może być to też którakolwiek z wielu innych wysp, które dzieli od Krety najwyżej kilka dni żeglugi. - Zawahał się i na jego twarzy pojawił się niepewny półuśmiech. - Oczywiście możliwe, że zwiało nas wstecz i że następnym lądem, jaki ujrzymy, będzie Sycylia. Czas pokaże. Tymczasem wystawiliśmy na maszt najbardziej bystrookiego majtka. Wkrótce ujrzy ląd.

Sir Henryk pokiwał głową.

— Dziękuję ci. Nie ma nic gorszego niż brak informacji, na podstawie których można podjąć decyzję. A mówiąc o informacjach... czy wiesz, na którym statku był mój syn? Uznałem, że nie żyje, lecz poczułem ogromną ulgę, kiedy powiedziałeś mi, że niekoniecznie tak jest.

-To był jeden z czterech okrętów templariuszy, które znajdowały się

w drugim rzędzie, zaraz za trzema dromonami króla. Bóg raczy wiedzieć, gdzie są teraz. Muszę wrócić na stanowisko. Jest ci wygodnie? Mogę ci czegokolwiek dostarczyć?

Sir Henryk potrząsnął głową i uprzejmie podziękował dowódcy floty, po czym znów ostrożnie oparł się o liny i zamknął oczy, czując, jak chłód łagodnej bryzy mierzwi mu włosy i kołysze go do snu. Ostatnia świadoma myśl, która przemknęła mu przez głowę, zanim usnął, była taka, że król nie byłby zadowolony, gdyby cokolwiek przydarzyło się jego trzem wielkim dromonom, ponieważ znajdowały się na nich jego największe skarby: jego szkatuła, jego siostra i jego przyszła królowa.

Obserwator na maszcie zauważył pierwszy zabłąkany statek w kilka godzin po tym, jak ruszyli na poszukiwania. Dryfował on bez żagli na południe od nich i de Sabie natychmiast wydał rozkaz, aby go przechwycić. Był to pękaty statek towarowy, który nurzał się w wodzie jak stara maciora, lecz choć był niezgrabny, przetrwał sztorm w dobrym stanie i sam zmienił kurs, kiedy tylko załoga zauważyła nadciągającą w jego stronę galerę. Po godzinie znaleźli kolejny statek, potem jeszcze jeden, aż pod koniec dnia zebrali ponad dwadzieścia okrętów. Niektóre poradziły sobie całkiem nieźle, kilka jednak było w krytycznym stanie.

Następnego dnia ich szeregi urosły do ponad sześćdziesięciu okrętów. Trzy dni później na wschodnim kursie zauważono ląd i tego popołudnia dotarli na Kretę. Flota liczyła już wtedy ponad sto statków, w tym siedem z ośmiu pozostałych galer, a kiedy zbliżała się do

kotwi-cowiska u podnóża góry Ida, obserwatorzy na szczytach masztów co chwilę donosili o kolejnych statkach, nadpływających ze wszystkich stron. Lecz absolutnie nikt nie wiedział nic o miejscu pobytu trzech dromon.

Ryszard wyraził głębokie zmartwienie, a sir Henryk nie miał wątpliwości, że było ono szczere, lecz złapał się na cynicznej myśli, czy monarcha nie jest aby bardziej zatroskany stratą swojego złota niż losem żony i siostry. Tego samego wieczora Ryszard wysłał na poszukiwania wszystkie osiem odzyskanych galer: cztery z nich w kierunku przybrzeżnych wysp na północnym zachodzie i północy, a cztery na wschód, w stronę Cypru.

Sir Henryk z ulgą zszedł na ląd na Krecie - wreszcie mógł się położyć i rozciągnąć na porządnie uplecionym łożu, co bardzo przysłużyło się obolałym mięśniom jego klatki piersiowej. Leżał w łóżku trzy dni, dając swojemu ciału czas na powrót do formy - medyk Ryszarda nalegał - aż otrzymał od króla wiadomość, że następnego dnia odpływają na wyspę Rodos, gdzie wylądowało wiele z ich zaginionych statków.

Następnego dnia na Rodos czekała już na nich reszta floty. Kiedy ustalili, że zaginęło bezpowrotnie nie więcej niż siedem statków z dwustu dziewiętnastu, które wypłynęły z Marsylii - oczywiście nie licząc zaginionych dromonów - ponowne spotkanie stanowiło powód do skromnej uroczystości. Henryk Saint Clair stał znów na dziobie galery królewskiej, kiedy zbliżali się do prastarego portu na północnym krańcu wyspy, słynnym na cały świat dzięki swojej wielkiej latarni morskiej.

Gdy statek wpływał do osłoniętej zatoki, Henryk omiatał gorączkowo wzrokiem około stu statków, które czekały tam na nich, szukając czterech niedawno zbudowanych okrętów należących do Zakonu Świątyni, lecz z powodu braku dostrzegalnych insygniów nie był w stanie odróżnić ich od reszty jednostek. Henryk wiedział, że Andrzej jest gdzieś wśród tego lasu masztów, lecz nie miał pojęcia, jak mógłby załatwić spotkanie z nim. Był pewien, że zatrzymają się na Rodos przynajmniej na tydzień, a może dwa, ponieważ trzeba było po raz kolejny zaopatrzyć całą flotę w prowiant, a wiele statków odnio-

sło poważne uszkodzenia. Dlatego też na razie skoncentrował się na własnych obowiązkach, głównie na ustalaniu codziennego rozkładu musztry, która chroniłaby ogromną liczbę mężczyzn przed próżniactwem i pokusami, stanowiąc dla nich pożyteczne zajęcie.

Trzeba było jeszcze znaleźć pole do musztry, lub być może kilka, na tyle dużych, aby pomieściły ich zastępy, oraz leżących na tyle blisko zarówno głównego obozowiska armii, jak i portu, aby regularny ruch między tymi miejscami był względnie łatwy. Zawiadomił dowódców zajmujących się musztrą o naradzie i wysłał ich, aby w parach przecze-sali okolicę w poszukiwaniu odpowiednich miejsc.

Kiedy w końcu wyznaczono trzy obszary, zewsząd dał się słyszeć odgłos maszerujących stóp: tysiące piechurów z floty podążały na place w uporządkowanych oddziałach. Jeździe przydzielono inne miejsca i kazano im się meldować w innym czasie, ponieważ z nowo przybyłych

statków wciąż wyprowadzano na ląd wiele koni.

Dziesięć dni później, kiedy Ryszard przeprowadzał wraz z kilkoma angielskimi baronami inspekcję oddziałów jazdy w jednym z trzech obozów zorganizowanych dla niej przez Henryka, przygalopował goniec z wiadomością dla króla, że na wschodzie widać dwie z galer wysłanych w celu znalezienia księżniczki Berengarii, płynące pod żaglami i na wiosłach; można się było spodziewać, że wpłyną do portu za godzinę. Ryszard natychmiast porzucił inspekcję, nalegając, aby Henryk towarzyszył mu, w razie gdyby trzeba było podjąć jakąś natychmiastową decyzję.

Galery dopłynęły dopiero po dwóch godzinach, lecz kiedy tylko pierwszy statek zbliżył się dostatecznie blisko, kapitan zeskoczył z dziobu i podszedł prosto do króla czekającego wraz ze świtą. Zara-portował, że księżniczka Berengaria i królowa Joanna są bezpieczne, lecz ich statki - być może dlatego, że były największe w całej flocie -najbardziej ucierpiały z powodu wiatrów sztormowych, które zniosły je daleko na południe, tak że kiedy sztorm w końcu ustał, dromony wylądowały w okolicach Cypru. Wszystkie trzy do końca trzymały się razem, lecz kiedy zbliżały się do portu o nazwie Limassol, leżącego na południowym wybrzeżu wyspy, jedna z nich osiadła na mieliźnie, na tak zwanych skałach Afrodyty, i zatonęła. Zginęło wielu ludzi.

Dwa z wielkich statków pozostały nienaruszone, a ich cenny ładunek był bezpieczny, lecz pośpiech kapitana galery wiązał się z losem

trzeciego. Doniósł, że władcą Cypru jest niejaki Izaak Komnen, Bi-zantyjczyk, który nazywał siebie cesarzem, lecz zachował się bardziej jak herszt rozbójników. Ryszard przerwał mu machnięciem ręki.

- Poczekaj. Mów ze mną otwarcie, bo to ważne. Zapomnij o gład kich słówkach i retoryce... powiedz mi jak mężczyzna, co zrobił ten Komnen.

Kapitan odchrząknął.

- Zachował się podle, panie. Jego ludzie ograbili i sprofanowali zwłoki, które morze wyrzuciło na brzeg po zatonięciu statku, a kiedy fale zmalały i okazało się, że można dotrzeć do wraku z lądu, przewieziono rozbitków na brzeg i wzięto w niewolę, nie pomagając im ani nie zajmując się nimi. Potem miejscowi odkryli, że na pokładzie są skrzynie pełne złota i oszaleli, jednak zanim zdążyli zabrać je na brzeg, przybył cesarz Komnen wraz ze swoimi ludźmi i skonfiskował całość... — Głos kapitanowi zamarł w gardle.

- O co chodzi, człowieku? To jeszcze nie koniec, prawda? Co z damami, które były na innych statkach?

- Są zdrowe, panie, lecz...

- Nie skrzywdził ich więc?

- Nie, panie. Jednak najpierw nie chciał pozwolić im zejść na ląd. Zagroził im więzieniem, gdyby wylądowały u jego brzegów. Potem, kiedy przyszło mu do głowy, że być może na tych statkach też jest złoto,

zmienił zdanie, lecz wtedy obie damy zdążyły już podjąć decyzję, że na pokładzie są bezpieczniejsze niż gdziekolwiek indziej. Choć człowiek ten nazywa się cesarzem, nie ma armii, która zasługiwałaby na to miano, ani też nawet jednego statku. Lecz to nie wszystko, panie...

- Nie wszystko? - Twarz Ryszarda stawała się coraz bardziej ponura.

- To, co już mi powiedziałeś, wystarczy. Kiedy spotkam tego Komnena, będę mu miał wiele do powiedzenia, ponieważ w ogóle nie wygląda mi na chrześcijańskiego monarchę, a co dopiero na cesarza. O cóż jeszcze może chodzić?

- O twojego wicekanclerza, panie.

- O Nevingtona? Co z nim? Zginął?

- Tak, panie. Utonął w katastrofie statku i był jednym z tych, których morze wyniosło na brzeg.

- Pieczęć! Czy jest bezpieczna? - Na szyi wicekanclerza Anglii, lorda Nevingtona, zawsze wisiała na wstędze królewska pieczęć, ponie-

waż do jego obowiązków należało noszenie jej cały czas przy sobie, tak aby w razie konieczności podpisania i opieczętowania przez króla jakiegokolwiek oficjalnego dokumentu pieczęć była blisko, gotowa do użycia.

- Ci, którzy go znaleźli, zabrali ją, nie wiedząc, czym jest, lecz Komnen przechwycił ją i teraz nosi na szyi.

- Człowieku, powiedz, że dworujesz sobie ze mnie! — ryknął Ry-

szard. - Czy chcesz powiedzieć mi, że ten... ten pokryty brudem, garbaty

imbecyl ma teraz zarówno wielką pieczęć króla Anglii, jak i złoto, które przywiozłem, aby zapłacić moim ludziom?

Marynarz skinął jedynie głową.

- Zatem, na żywego Chrystusa, każę wygarbować mosznę tego su kinsyna i zrobić z niej sakwę, w której odtąd będzie się mieścić moja pieczęć! - Odwrócił się gwałtownie do Saint Claira. - Henryku, za cznij działać natychmiast, dzisiaj. Wyślij rozkazy, aby zwinięto obóz i znaleziono Roberta de Sabie. Chcę, żeby jutro wieczorem flota była załadowana. Płyniemy na Cypr, aby nauczyć tego zapchlonego cesa- rzyka, że kiedy postanowił okraść Ryszarda Plantageneta, wybrał sobie złą ofiarę. A ty... - Król wskazał palcem, a kapitan galery wyprostował ramiona, zbierając się w sobie. - Dobrze się spisałeś, wracając tutaj tak szybko i z tyloma wiadomościami. Będę cię jeszcze potrzebował. Nie pozwól swoim ludziom zejść na ląd dziś wieczorem, ponieważ chcę, żebyście znów odpłynęli jutro rano, przed resztą. Natychmiast wróć wraz ze swoim towarzyszem na Cypr i poprowadźcie cztery stat ki Zakonu Świątyni, które powierzę wam pod opiekę. Templariusze będą ochraniać moją siostrę i narzeczoną, dopóki nie przypłyniemy. Możesz też złożyć załodze przyrzeczenie w moim imieniu, że dostaną wolny czas na lądzie i pieniądze jako zadośćuczynienie za dodatkowe obowiązki, jakie na nich nakładam. - Spojrzał na małą grupkę towa rzyszących mu możnowładców i wezwał gestem pięknego, złotowło sego młodego rycerza. - D'Yquiem, jeśli łaska, przekaż moje wyra zy szacunku marszałkowi Zakonu i zapytaj go, czy byłby tak dobry

i poszukał mnie w moich kwaterach w ciągu godziny.

Młody rycerz zasalutował eleganckim gestem i odwrócił się, aby wypełnić zadanie, a Ryszard skinął krótko głową, odprawiając wszystkich machnięciem ręki, i odszedł w stronę budynku, który wybrał sobie na prywatną kwaterę.

3

J ean Pierre Tournedos urodził się w kupieckiej rodzinie, rozporządzającej miniflotą statków handlowych. Kiedy miał dwadzieścia sześć lat, został zaproszony do czasowego wstąpienia do Zakonu Świątyni, aby za odpowiednią cenę użył swojej wiedzy i niebywałych umiejętności do zaprojektowania i zbudowania prototypu statku, który pozwoliłby gwałtownie rozrastającemu się Zakonowi zmniejszyć zależność od baz lądowych. Wraz z grupką współpracowników Tournedos zaprojektował wielki statek, dostatecznie ładowny, aby przewozić zarówno ludzi, jak i ładunek, w tym żywy inwentarz. Był on pod pewnym względem wyjątkowy: jego załoga składała się z mnichów-wojowników, przyzwyczajonych do życia w warunkach pełnych pokutnej prostoty, w ścisku, którego normalni marynarze by nie znieśli. Mógł też służyć jako okręt wojenny, ponieważ wyposażony był w trzy rzędy wioseł, sprzęt do abordażu oraz pokryty metalem dziób do taranowania. Pewne modyfikacje umożliwiały mu funkcjonowanie od czasu do czasu jako statek klasztorny, choć koncepcja ta była wtedy równie przełomowa jak pomysł zakonów rycerskich dziewięćdziesiąt lat wcześniej.

Jako że przestrzeganie reguły było rzeczą największej wagi w życiu braci, w kadłubie, tuż pod pokładem dla wioślarzy, członkowie Zakonu mogli się spotykać na wspólnych modłach i nabożeństwach. Miejsce to było ciasne i zatłoczone, całkowicie pozbawione wygód, i tylko wzdłuż wąskiego przejścia prowadzącego przez środek dało się stać z wyprostowanymi plecami, lecz ludzie, którzy mieli tam przebywać, nie

zważali na cielesne wygody i chętnie ofiarowaliby ten brak komfortu Bogu na znak pokuty. Można się tam było dostać wyłącznie przez środkowe przejście. Bracia wchodzili nim, a potem czołgali się lub wspinali, aby zająć wyznaczone miejsca po obu stronach. Tam spali nocami, a podczas modlitw i czytań z reguły siedzieli, czasem

klęczeli. Takie przeznaczenie tej przestrzeni było niezwykłe w czasach, kiedy cenny był każdy cal miejsca na pokładzie, lecz uznano, że jest to konieczne dla duchowego i cielesnego dobrostanu niecodziennych załogantów.

Od tamtej pory zbudowano trzy statki bliźniacze, a teraz w przygotowaniu było pięć kolejnych. Razem statki te tworzyły oddział nazywany teraz przez templariuszy flotą śródziemnomorską, bazującą w Brindisi, mieście leżącym na zewnętrznej części obcasa italskiego buta. Miejscowość ta, jedna z pierwszych komturii Zakonu w Italii, wobec rosnącego zainteresowania transportem morskim, zaczęła ostatnio nabierać dlań coraz większego znaczenia, ponieważ była usytuowana niedaleko kilku stoczni, istniejących, według niektórych, od czasów rzymskich. Statki, które w nich budowano, były kosztowne i wysoko cenione.

Tournedos - obecnie dowódca floty - popłynął na południowy zachód z Brindisi do Mesyny, aby dołączyć do ogromnej floty zbieranej przez króla Anglii, Ryszarda, przed ekspedycją do Ziemi Świętej. W Mesynie powitał na pokładzie swojego statku wysokich rangą przedstawicieli

ostatnich oddziałów wspierających wysłanych przez Zakon do Zamorza. Byli wśród nich najwyżej postawieni templariusze w całym świecie chrześcijańskim. Niecierpliwie czekali na inspekcję statków, o których tyle słyszeli. Wprowadzili na pokład najnowsze oddziały posiłków, między innymi ostatni kontyngent rekrutów o niskich stopniach i nowicjuszy.

Tournedos stał na pokładzie rufowym swojego statku i rozglądał się dookoła. Tego ranka rzucili kotwicę po wpłynięciu do Limasso-lu wraz z przypływem. Surowe cypryjskie wzgórza nie wyglądały na miejsca, gdzie można znaleźć ciepło lub schronienie. Tournedos po raz kolejny doszedł do wniosku, że mimo swojego piękna Cypr zupełnie go nie nęci. Spojrzał, po prawej widać było dwa ogromne okręty, które miał odnaleźć i chronić. Unosiły się na wodzie ćwierć mili dalej. Do bliższego z nich szybko na wiosłach podpływała szalupa jego statku. Na jej rufie stał niezwykły młody człowiek, o którego istnieniu dowiedział się poprzedniego dnia.

Tournedos podrapał w zamyśleniu zarośnięty policzek i spojrzał na leżące daleko za nim kotwicowisko, do którego zbliżały się trzy nowe statki. Przyjrzał im się chyba *szósty* raz od czasu, kiedy otrzy-

mał ostrzeżenie o ich przybyciu, szukając znaków, które umożliwiłyby rozpoznanie ich. Chrześcijańskie statki, łatwo dające się odróżnić od płynących nisko w wodzie, smukłych galer muzułmańskich piratów, nadpłynęły ze wschodu, być może z samego Zamorza.

Zgodnie z tym, co słyszał Tournedos, tak zwany cesarz Cypru, Izaak Komnen, źle rozegrał i tak niewielką szansę na korzyść, tak że nad nim i jego ludźmi zawisło widmo katastrofy. Choć stała przed nim otworem możliwość zdobycia łask i uznania, kiedy po wielkim sztormie do jego portu trafili rozbitkowie szukający pomocy, Komnen postanowił znieważyć i obrazić przyszłą królową Anglii oraz jej towarzyszkę, byłą królową Sycylii, śmiertelnie ubliżając nieprzejednanemu człowiekowi, który był narzeczonym pierwszej i bratem drugiej. Ryszard, król Anglii, coraz bardziej znany jako Lwie Serce, był o wiele bliżej, niż mógł wyobrazić sobie niedoinformowany Izaak, który musiał teraz zapłacić za swoją głupotę i chciwość. Następnego dnia do Limassolu miała przypłynąć flota Ryszarda wraz z całą jego armią, a potem, po zejściu tej armii na ląd, życie mieszkańców Cypru, a szczególnie samozwańczego cesarza, miało się stać niezwykle interesujące.

Andrzej Saint Clair stał nerwowo na palcach, gotów skoczyć, kiedy tylko człowiek na dziobie jego łodzi da mu sygnał. Niedaleko - choć dzieląca go od niej przestrzeń zmieniała się co chwilę pod względem odległości, wysokości i nachylenia - dyndała stromo nachylona platforma, podwieszona na łańcuchach i wyposażona w drewniane kliny, które ułatwiały wspięcie się po niej. Andrzej przełknął ślinę, po raz kolejny zerkając w stronę sternika na rufie.

- Poczekaj - krzyknął olbrzym, wciąż trzymając mocno rumpel i nie przestając patrzeć na koniec wiszącej platformy. - Nie podniosą jej, dopóki nie wskoczysz. Czekaj no... Czekaj... Dobra... Teraz!

Andrzej skoczył; jego stopy wylądowały pewnie na rampie, a lewą ręką chwycił mocno łańcuch pełniący rolę poręczy. Wypuścił gwałtownie powietrze i odwrócił się do sternika, kiwając głową w podzięce. Kiedy znów spojrzał w górę, ogromny statek, największy, jaki Andrzej widział w życiu, zakołysał się w bok na fali, a Saint Clair poczuł, że zbiera mu się na wymioty. Zaczął podciągać się w górę stromej powierzchni, przed każdym krokiem upewniając się, że jego buty są

pewnie oparte na drewnianych stopniach, ponieważ drewniana rampa była mokra i śliska, a on był w pełnej kolczudze. W połowie drogi w górę ogromnej burty dromony znajdowała się płaska platforma na zawiasach. Stanął tam, aby się upewnić, czy będzie przyzwoicie wyglądał, kiedy wychynie na pokład okrętu. Damy są kapryśne i dają się zwieść pozorom, ostrzegał go Ryszard.

Kiedy doprowadzał swój strój do ładu, błąkała mu się po głowie uporczywa myśl o grzechu próżności i o tym, jak skandalicznie nie na miejscu są kontakty templariusza z kobietami. Wiedział, że kiedy nadejdzie czas złożenia ostatecznych ślubów, będzie musiał się oficjalnie wyrzec wszelkich relacji z kobietami. Jednak na razie zadowalał się myślą, że nie jest jeszcze templariuszem, że wciąż odpowiada przed swoim panem lennym, księciem Ryszardem, i jest mu winien posłuszeństwo oraz że będzie miał dość czasu na skruchę i wyrzeczenia. Rozluźnił więc ramiona i poprawił opończę. Szybko dotarł do otworu u szczytu rampy, gdzie czekała na niego grupa pięciu pięknie odzianych

dostojników. Trzej byli ubrani bardziej bogato niż reszta, a wszyscy patrzyli na niego tak, jakby znaleźli szczura pełznącego po pokładzie ich statku. Andrzej wiedział, że jednym z trzech najlepiej ubranych ludzi musi być sir Ryszard de Bruce, dowódca normański, który dowodził grupą trzech dromon. W zasięgu wzroku nie było żadnych kobiet. Instynktownie wybrał najwyższego i najbardziej wyniosłego członka grupy i stanął na baczność, salutując.

- Sir Ryszard de Bruce? Przynoszę pozdrowienia od króla Ryszarda i pisemne osobiste pozdrowienia dla jego narzeczonej, księżniczki Berengarii, oraz jego ukochanej siostry Joanny, królowej Sycylii. Nazywam się Andrzej Saint Clair, jestem rycerzem z Poitou, wasalem Ryszarda zarówno jako księcia Akwitanii, jak i hrabiego Poitou.

Kiedy uporano się z prezentacjami i uprzejmościami, de Bruce -jeden z tych zarozumiałych służbistów, którzy działali Saint Clairowi na nerwy - poinformował Andrzeja w krótkich, oficjalnych słowach, że damy udały się do swoich kwater na południowy posiłek i że poinformuje je o przybyciu posłańca. Tymczasem nakazał jednemu ze starszych dowódców, wskazując ręką, w której trzymał list od króla, aby zaprowadził Andrzeja do osłoniętego zakątka na pokładzie rufowym, gdzie Saint Clair mógł usiąść na kabestanie przed nadbudówką i ogarnąć się na osobności, czekając na wezwanie, aby dołączyć do

dam. Andrzej skinął oficjalnie głową i podążył za uśmiechającym się pogardliwie oficerem do wskazanego miejsca. Rozgniewał go obraźli-wy sposób, w jaki go przyjęto, i przypomniał sobie wieczorną rozmowę z Plantagenetem.

Ryszard wezwał Andrzeja na pokład rufowy galery, gdzie podobno nikt nie mógł ich podsłuchać. Siedział tam w samej koszuli, zapraco-wany. Wyjaśnił, że potrzebuje kogoś, komu nie przyszłoby do głowy, aby pomieszać mu szyki, do wykonania pewnego zadania.

- I wtedy przypomniałem sobie o tobie - powiedział - modlącym się w swej ubogiej celi na pokładzie jednego ze statków templariuszy. - Uśmiechnął się szeroko i podniósł głos. - Wiem, że ramię, dzięki któ remu posługujesz się mieczem, jest już zdrowe, lecz czy twoje kolana wciąż działają po tak długim klęczeniu na drewnianej podłodze?

Nie czekając na odpowiedź, wyjaśnił Andrzejowi, że wysyła go wraz z oddziałem templariuszy do Limassolu na Cyprze. Ryszard i reszta mieli trafić tam dzień później, podczas kolejnego przypływu.

- Właśnie w Limassolu wylądowały moje dromony wraz z całym ładunkiem: moją narzeczoną, siostrą i szkatułą, pieniędzmi, które ze-brałem, aby przeprowadzić tę wojnę. Wszystko to jest tam, na łasce tego obłąkanego cesarza.

- Cesarza, panie?

-Tak, jakiś pomniejszy, głupi władca Cypru, Bizantyjczyk, który nieprawnie objął tron, zagraża bezpieczeństwu moich kobiet i położył

swoje złodziejskie łapska na królewskiej pieczęci Anglii, nosząc ją na szyi jak błyskotkę. Płynę tam, aby się go pozbyć i wykopać jego śmierdzący tyłek z Cypru do morza. Muszę się spieszyć, a marszałek Zakonu, Etienne de Troyes, zgodził się użyczyć mi czterech szybkich statków, oczywiście dopiero, kiedy wspomniałem, że nasz skarbiec jest w niebezpieczeństwie i że jego utrata poważnie ukróci kampanię w Ziemi Świętej. Jeśli chodzi o templariuszy, związanych swoimi obowiązkami, będą oni chronić damy i trzymać się od nich z dala, przerażeni możliwością splamienia się. Andrzeju, cały czas muszę być nieufny. Wśród całego tego zamieszania nietrudno o zdrady i podwójne gry, potajemne sojusze. Wiem, że sam Filip byłby skłonny zapłacić każdą sumę komukolwiek, kto podjąłby się uniemożliwić zawarcie zeswatanego przez moją matkę małżeństwa między Anglią i Nawar-

rą, a jest on tylko jednym z wrogów, których mam wśród naszych przyjaciół. W tej kwestii nawet na marszałka Zakonu muszę patrzeć podejrzliwym okiem, ponieważ przysiągł lojalność papieżowi, a ten byłby zachwycony, gdyby Anglia nie miała dziedzica. To pozostawiłoby ją na łasce Francji, Filipa Kapetynga i jego oddanego sprzymierzeńca, Kościoła Apostolskiego. Rzym nie wybaczył mi jeszcze za grzech mojego ojca, zabicie Tomasza Becketa. Z kolei Filip nigdy nie wybaczy mi, że go odrzuciłem... Najpierw jego, a potem jego żałosną siostrę. - Westchnął. - Nie mogę wierzyć nikomu innemu. Ty mnie nie zawiedziesz. Nie leży to w twojej naturze. - Podniósł dwa złożone i

opieczętowane pakiety, które leżały po drugiej stronie stołu, i rzucił je po kolei Andrzejowi. - To dla Joanny i księżniczki Berengarii. Dla Joanny jest ten oznaczony piórem przy pieczęci. Chcę, żebyś natychmiast zabrał je na ich dromon i osobiście wręczył damom, do których są adresowane. Nie powierzaj nikomu tego zadania. Zrób to sam. Poproś w moim imieniu o audiencję z obiema damami, a potem zostań z nimi i poczekaj na odpowiedzi, ponieważ zadałem każdej z nich inne pytania i wyraźnie dałem do zrozumienia, że będę polegał na precyzji ich odpowiedzi. Nie znam dobrze księżniczki, lecz moja siostra Joanna nigdy nie była głupia, nawet jako płaska jak deska smarkula. Co więcej, jest bardziej podobna do swojej matki niż ktokolwiek z nas. Jeśli coś gnije blisko niej, Joanna na pewno zdążyła to już wywą-chać i poradzić sobie z tym. Będzie miała bezcenne dla mnie informacje i opinie. Przypomniałem sobie, że potrafisz czytać i pisać. To wielokrotnie zwiększa twoją wartość w tej sytuacji. Słuchaj uważnie wszystkiego, co Joanna ma do powiedzenia, a potem zanotuj wszystko, co uznasz za ważne.

Andrzej miał też zanieść list do sir Ryszarda de Bruce, którego król opisał jako “dobrego marynarza i zdolnego dowódcę, lecz chłodnego, nieprzyjaznego i pełnego pogardy". De Bruce miał złożyć Andrzejowi pełen raport i ocenę sytuacji na Cyprze, a także dostarczyć mu pieniądze, których Andrzej mógł potrzebować w celu przekupienia informatorów.

- Czekaj na mnie w Limassolu. Przekażesz mi na osobności wszyst-ko, czego się dowiedziałeś. To wszystko, Andrzeju. Czy dokładnie ro-zumiesz, czego wymagam?

Andrzej skinął głową.

- A teraz muszę się spotkać z biskupami, którzy bez wątpienia będą chcieli się pomodlić za bezpieczeństwo mojej przyszłej żony. - Prze rwał i na jego twarzy pojawił się diabelski uśmieszek. - Wyznam ci, choć oni nigdy się tego nie dowiedzą, że wczoraj w nocy myślałem o bezpieczeństwie mojej narzeczonej. Gdyby ją zgwałcono i oddano mi brzemienną, mogłoby mi to oszczędzić wielu nieprzyjemności, nie sądzisz? -Jego uśmiech przygasł. - Nie, wygląda na to, że nie. Bardzo dobrze, sir Andrzeju, do dzieła. Miej usta zamknięte, oczy otwarte i głowę na karku.

Andrzej oddał honory i odszedł, mężnie usiłując ukryć szok, jaki wywołały u niego cyniczne uwagi Ryszarda na temat jego przyszłej żony, i wmawiając sobie, że król nie mówił tego poważnie.

Kiedy w końcu wezwano Andrzeja, strażnik zaprowadził go do drzwi na rufie wielkiego statku, zapukał i odsunął się. Wyjrzał zza nich uzbrojony strażnik i przepuścił Andrzeja przez niskie drzwi, wciągając wydatny brzuch. Andrzej z zaskoczeniem zauważył, że komnata jest maleńka i ledwie może się wyprostować. Panowała też tam ciemność: jedynym źródłem naturalnego światła był luk, dzięki któremu siatka snopów jasnego światła malowała podłogę w szachownicę. W porów-naniu z nimi cienie sprawiały wrażenie tym ciemniejszych. Zauważył kilka dymiących lamp przytwierdzonych do belek statku, lecz nie roz-praszały one mroku. Raczej wyczuł ludzkie kształty, kobiece kształty, po

obu stronach: naliczył trzy w ciemnym rogu po prawej i dwa po lewej. Dwie damy siedziały przy stoliku, na którym zostały resztki prostego posiłku. Wywnioskował z ich póz, że patrzą na niego, więc skłonił się głęboko i przemówił do obydwu.

- Błagam o wybaczenie, moje panie, ponieważ nie wiem, która z was jest która, a oświetlenie jest tu bardzo słabe. Jestem Andrzej Saint Clair, rycerz z Poitou, i przynoszę wam pozdrowienia i listy od mojego pana lennego, króla Ryszarda, który przysłał mnie tu w po śpiechu z obietnicą, że zbliża się wraz z resztą swojej floty i że jutro będzie tutaj, aby porozmawiać z wami osobiście.

- No proszę! Ryszard znalazł sobie kogoś bystrego - powiedziała kobieta po jego prawej i coś w jej głosie, pewna doza dojrzałości, któ rej nie spodziewałby się u młodej księżniczki, pozwoliło mu uznać, że jest to Joanna z Plantagenetów.

Wlepił wzrok w ciemny kąt, w którym siedziała, i postanowił, że

woli podjąć ryzyko wyjścia na idiotę, niż stać bez słowa jak niezręczny chłystek. Uśmiechnął się szeroko i podniósł brew.

- Bystrego, pani? Czy wolno mi spytać, dlaczego tak mówisz?

- Bo tak sprytnie wybrnąłeś z konieczności zgadywania, która z nas jest która, żeby nas nie obrazić. Saint Clair, mówisz? Czy jesteś spokrewniony z sir Henrykiem, który był marszałkiem mojej matki?

- Tak, pani. To mój ojciec.

- Zatem znam cię, znałam cię, kiedy byłeś dzieckiem. Podejdź bliżej.

Andrzej zbliżył się, czując ulgę, że zgadł prawidłowo, a Joanna podniosła cieniuteńki, ciemny woal i ukazała twarz, która niemal jaśniała w ciemnościach. On też pamiętał ją z dzieciństwa, ponieważ była o kilka lat starsza od niego i wraz z przyjaciółkami przy każdej okazji bezlitośnie wykorzystywała go do swoich zabaw. W tamtych czasach nie uważał jej za urodziwą, lecz teraz widział, że jej uroda jest niezwykła, i do głowy przyszło mu słowo “siła".

Miała na sobie białą podwikę, która zakrywała jej włosy i podkreślała owal twarzy, a na niej odrzucony teraz za głowę woal, umocowany ozdobnym grzebieniem. Jej czoło, przepasane skrajem chusty, było szerokie, wysokie i gładkie — Andrzej wiedział, że ma ledwie trzydzieści lat i jest kilka lat młodsza od swojego brata Ryszarda -a bladozłote brwi i rzęsy okalały ciemnoniebieskie oczy. Miała wysokie, wystające kości policzkowe, prosty, mocny nos i szerokie, zmysłowe usta. Lecz w kącikach jej oczu oraz ust widniały maleńkie zmarszczki i Andrzej przypomniał sobie opinie, że była szczęśliwa w małżeństwie, choć starszy od niej mąż nie mógł dać jej syna. Teraz od kilku lat była wdową.

Wszystko to przebiegło mu przez głowę, kiedy gestem kazała mu się nachylić bliżej. Skinęła leciutko głową i zdawało się, że skóra na jej policzkach i pod oczami się wygładza.

- Pamiętam cię. Byłeś bardzo ładnym chłopczykiem i wyrosłeś na przystojnego mężczyznę.

Coś w tonie jej głosu wydało się Andrzejowi dziwne, lecz zlekce-

ważył to, a ona mówiła dalej:

- Nie poznałeś jeszcze mojej przyszłej siostry, prawda? Księżnicz
ko, oto sir Andrzej Saint Clair, jeden z... przyjaciół Ryszarda. - Znów
usłyszał ten dziwny ton, nutę czegoś, co przypominało pogardę, lecz

tym razem, kiedy odwracał się z uśmiechem do Berengarii, uderzyła go
insynuacja zawarta w tym zdaniu. Poczuł, że oblewa go rumieniec
wstydu, który sięga na jego kark. Znieruchomiał, uśmiech zamarł mu na
ustach, i wyprostował się gniewnie, tak urażony, że zapomniał o
rozwadze.

- Pani, krzywdzisz mnie - oznajmił z mocą, oburzony tym, że kto-
kolwiek mógł zaliczyć go do zniewieściałej grupy dandysów tłoczącej
się wokół króla. - Twój brat jest moim panem lennym, a ja jego wiernym
wasalem. Czasami zaszczyca mnie swoim zaufaniem i nie widzę nic
hańbiącego w tym, że uważa mnie za przyjaciela. Lecz nie jestem
jednym z jego... przyjaciół. - Nacisk położony na ostatnie słowo nie
pozostawiał wątpliwości co do tego, co miał na myśli, i zobaczył, że
Joanna cofa się gwałtownie, jakby reagując na nagłą groźbę. Dopiero
wtedy zdał sobie sprawę z tego, jak pochopnie i ostro zareagował na jej
komentarz, i przyszło mu do głowy, że być może to on źle zinterpretował
jej słowa, lecz było już za późno. Przygotował się na upomnienie, lecz
Joanna milczała przez chwilę i przyglądała mu się uważnie.

- Wybacz mi, sir Andrzeju - rzekła wreszcie.

Zaskoczony łagodnością jej odpowiedzi i wyrozumiałością, Andrzej

skłonił się głęboko, przykładając dłoń do piersi.

- Wszystko już zapomniane, pani.

Była królowa po raz kolejny spojrzała na niego w zamyśleniu, prze-
chylając lekko na bok głowę w czepcu, a potem przytaknęła.

- Niech tak będzie. Księżniczko, zacznijmy od nowa. Przedsta
wiam ci sir Andrzeja Saint Clair, rycerza z Akwitanii służącego mo
jemu bratu, człowieka, który bez wątpienia zasługuje na zaufanie
i szacunek... Sir Andrzeju, oto księżniczka Berengaria z Nawarry,
przyszła żona twojego pana lennego, mojego brata, księcia Ryszarda.
Nazywam go przy tobie księciem, ponieważ wydaje mi się, że jego ty
tuł króla Anglii może niewiele znaczyć dla ciebie osobiście... - Zawie
siła głos, a Andrzej skłonił się po raz kolejny, tym razem księżniczce,
i uśmiechnął się do Joanny.

- Przysięgam ci, pani, że gdyby twój brat był królem Akwitanii,
a nie księciem, być może tytuł ten brzmiałby wzniosłej, lecz nie wpły
nęłoby to na moje poczucie obowiązku ani nie zwiększyłoby odda
nia, które ofiarowuję mu dziś jako księciu. - Ponownie zwrócił się do
księżniczki i klęknął przed nią na prawym kolanie. - Pani, muszę teraz

prosić cię o przebaczenie za to, co właśnie powiedziałem. Tytuł króla
Anglii, który nosi twój przyszły mąż, może znaczyć niewiele dla mnie
jako ryce*rza z Akwitanii i Poitou, lecz z przyjemnością będę ślubował
osobistą wierność tobie, kiedy staniesz się królową Anglii i księżną
Akwitanii.

Teraz księżniczka Berengaria uniosła swój woal i odsłoniła twarz, aby mógł się jej przyjrzeć, a kiedy wykonywała ten gest, Andrzej dostrzegł - a potem spróbował zignorować - pełny, dojrzały kształt piersi, które uniosły się wraz z jej ramionami. Niemal czuł na sobie świdrują-cy wzrok Joanny, oceniający jego reakcję na ten widok, skoncentrował się więc z całej siły na tym, aby patrzeć na dłonie księżniczki, kiedy układała fałdy woalu dookoła głowy. Jednak jego umysł wypełniała jednocześnie myśl, że marnowanie tak szczodrze obdarzonej przez naturę piękności na mężczyznę pokroju Ryszarda Plantageneta musi być zarówno zbrodnią, jak i grzechem, ponieważ właśnie ta pełnia bujnego kobiecego ciała wzbudziłaby obrzydzenie u króla, który wiecznie otaczał się młodymi mężczyznami o twardych mięśniach i surowej urodzie. Zmieszała go i zaabsorbowała myśl, że być może sama Berengaria podejrzewa i po prostu przyjmuje to, co ją czeka w roli żony człowieka, który nie lubił ani nie pożądał kobiet.

Księżniczka skłoniła życzliwie głowę, uśmiechając się do niego. Zanim jednak przemówiła, odwróciła się do strażnika, który wciąż stał plecami do drzwi.

- Zostaw nas, jeśli łaska. Poczekaj na zewnątrz. - Spojrzała w przeciwległy kąt, w którym kuliły się trzy inne kobiety. - I wy, panie, możecie odejść. Wezwiemy was, jeśli będziemy czegoś potrzebować.

Strażnik zasalutował i przepuścił w drzwiach trzy damy dworu. Rycerz wciąż klęczał u stóp księżniczki, która znów uśmiechnęła się do niego, kiedy strażnik zamknął za sobą drzwi.

- Panie Saint Clair, witam cię tutaj z radością, jako przyjaciela i powiernika mojego narzeczonego, Ryszarda, i nie ma potrzeby, abyś cierpiał na kolanach. Wstań, panie. Czy wchodząc, nie wspomniałeś, że masz listy od króla?

Jej głos brzmiał z cudzoziemska, intonacja i sposób wymawiania samogłosek miały w sobie coś obcego. Andrzejowi przeszło przez myśl, że nigdy nie przebył Pirenejów, aby dotrzeć do królestwa jej ojca. Wiedział, że jej lud od stuleci toczy walki z muzułmańskimi

Maurami mieszkającymi na południu. Ten stan nieprzerwanej gotowości do starcia był jednym z powodów, dla których perspektywa sojuszu z królem Nawarry, Sancho VI, wydała się tak atrakcyjna matce Ryszarda, kiedy uzgadniała warunki tego małżeństwa.

- Tak, pani. Wybacz, mam je tutaj, w sakwie. - Wstał i pogrzebał w torbie zawieszonej u pasa, wyciągnął dwa małe zwoje i przyjrzał się im w słabym świetle. Podał odpowiednio zaadresowane listy kobie tom, które natychmiast rozpieczętowały je.

Z nieobecnym uśmiechem na ustach Berengaria machnęła ręką w kierunku części pokoju znajdującej się za Andrzejem.

- Spocznij, sir Andrzeju, kiedy będziemy je czytać. Za tobą stoi wygodne krzesło, na którym często siaduję... To nie potrwa długo.

Andrzej skinął posłusznie głową, a kiedy odwracał się, aby usiąść, zobaczył, że Joanna pospiesznie spogląda na swój list. Chciał się do niej uśmiechnąć, lecz nie zwracała już na niego uwagi, więc skierował wzrok

na Berengarię, zadowolony, że widzi ją wyraźnie, ponieważ jego oczy przyzwyczaiły się już w pełni do półmroku panującego w pokoju. Miał teraz okazję przyjrzeć jej się dokładnie, kiedy czytała list od Ryszarda, który wyglądał na długi i pełen ważnych kwestii.

Cóż może mieć do powiedzenia Ryszard Plantagenet, nawet na piśmie, co mogłoby wzbudzić ciekawość i przychylność kogoś takiego jak ty? - zastanawiał się, patrząc na cienki kosmyk czarnych włosów, rysujący się rozkosznie spiralną linią na tle jej kości policzkowej. Jakby wyczuwając wzrok Andrzeja, Berengaria uniosła z roztargnieniem rękę, nie odrywając oczu od czytanego listu, i ukryła niesforny loczek, wsuwając go z powrotem pod biały len.

Czarne włosy - pomyślał wtedy Andrzej, dostrzegając, jak wyraźnie rysują się jej brwi na tle bladej twarzy. Czarne włosy i oczy tak ciemne, że i one wyglądały na czarne jak atrament. Teraz jednak, kiedy czytała, oczy miała spuszczone i widział jedynie łagodny łuk długich, podwiniętych rzęs, które wyglądały tak, jakby kładły się wprost na jej nieskazitelnych policzkach.

Andrzej doszedł do wniosku, że wybranka Ryszarda jest piękna na sposób, jakiego nigdy jeszcze nie napotkał w swoich miłosnych wędrówkach po własnych ziemiach. Uznał, że jest pełna życia i niesie obietnicę ogromnej radości, a nieznana mu smagłość jej cery nadawała jej egzotyczny wygląd, który przywodził na myśl obce kraje

i cieplejszy klimat. Znał wiele kobiet o ciemnych włosach i oczach,

wyróżniała ją więc nie tylko jej karnacja. Kiedy się nad tym zastanowił, doszedł do wniosku, że właściwie zna jedynie cztery kobiety, które naprawdę mogły się mienić blondynkami, o płowych włosach i jasnobłękitnych oczach; jedną z nich była Eloise de Chamberg, zmarła w lesie na ziemiach jego ojca w dniu, który pośrednio doprowadził do tego, że Andrzej wstąpił do Zakonu Świątyni. Kiedy Berengaria poruszyła się znów i opuściła list, porzucił te myśli i poświęcił jej całą uwagę. Nawet nie zerknęła w jego stronę. Zauważył, że jej pełne czerwone usta są lekko zaciśnięte, a kąciki oczu delikatnie zmarszczone, kiedy patrzyła w jakąś widoczną tylko dla siebie dal. Delikatnie i z roztar-gnieniem drapała czubkiem palca materiał gorsetu sukni, tuż pod krą-głością piersi, nieświadomie znów zwracając uwagę Andrzeja na swoją obfitą kobiecość. Czy wiedziała, czy mogła wiedzieć, że jej przyszły mąż woli mężczyzn? A jeśli tak, czy mogła wmówić sobie, że potrafi go zmienić?

Andrzej naprawdę nie miał doświadczenia w takich sprawach i nie wydawał w tej sprawie moralnych osądów. Niektórych takich mężczyzn potrafił z łatwością zaakceptować jako przyjaciół i towarzyszy, bez zażenowania ignorując ich upodobania. Innych im podobnych -wydawało mu się, że ta grupa jest liczniejsza - zdecydowanie wolał unikać, ponieważ sądził, że wykazują o wiele mniej tolerancji względem innych, niż wymagają dla siebie. Jednak ogólnie rzecz biorąc, zadowalał się prowadzeniem własnego życia i niewtrącaniem się w cudze. Z własnych obserwacji wywnioskował ponad wszelką wątpliwość, że tacy

mężczyźni zwykli lgnąć do siebie i adorować się wzajemnie, a także że nie mają cierpliwości do kobiet i nie lubią ich. Widział ich także wystarczająco wielu już posuniętych w latach, wiedział więc, że z takich upodobań się nie wyrasta. Nie był to etap, przez który można przejść i zapomnieć o tym. Andrzej był przekonany, że ten stan - nie znał innego słowa — jest czymś stałym, niezmiennym elementem bytu, i podejrzewał, że miłość zwykłej kobiety, bez względu na jej żarliwość czy wierność, nie byłaby na tyle potężna, aby to zmienić. Nie wątpił, że Ryszard dopełni swego obowiązku i spłodzi z Berengaria potomka, lecz nie wątpił też w to, że kiedy król wykona już to zadanie, zostawi jej wychowanie dziecka, a sam uda się na harce ze swoimi przyjaciółmi. Andrzej wiedział, że tak wygląda los wielu kobiet.

308

Zmarszczył czoło, zdumiony pozorną beztroską Berengarii w obliczu czegoś tak niszczącego. Czy naprawdę mogła być błogo nieświadoma? Wnioskując z tego, co słyszał, przybyła tu niedawno, z domu, w którym była rozpieszczana. Myśl ta sprawiła, że w jego pamięci coś niepokojąco zamajaczyło, jakieś słabe wspomnienie pogłosek sprzed kilku lat, które łączyły Ryszarda z jej bratem, Sanchem. Odepchnął tę myśl i zaczął od nowa.

Przybyła tu niedawno i nie miała jeszcze tak bliskich kontaktów z obcymi, aby jej myśli dotyczące przyszłego małżeństwa zdążyły zostać skalane. Nikt nie śmiałby popełnić takiego nietaktu - nie wobec Ryszarda Plantageneta. Któż poza Joanną, działającą bezinteresownie

jako przyjaciółka, przyszła siostra i doradczyni, mógł jej powiedzieć? Poza tym ta kobieta miała zostać królową, wychowaną tak, aby nigdy nie zapominać o swoich obowiązkach, a obowiązkiem królowej było rodzić synów, tak jak obowiązkiem króla było płodzić ich. Ryszard publicznie zobowiązał się do porzucenia swoich pożądliwych, nienaturalnych gustów i spłodzenia dziedzica tronu angielskiego, a Andrzej, myśląc o sprawie w tym świetle, wierzył, że tak się stanie, gdyż darzył Ryszarda wielkim szacunkiem.

Skończywszy czytać, Joanna zwróciła się do Andrzeja:

- Mój brat mówi, że mam całkowicie ci zaufać i bez zastrzeżeń powierzyć wszelkie informacje... - Spojrzała przez stół na Berengarię. - Czy tobie powiedział to samo, Berry?

Księżniczka skinęła głową. Joanna przez chwilę przyglądała się Andrzejowi uważnie.

- Zastanawiam się, czy masz pojęcie, jak wielkie uznanie dla ciebie wyraża w ten sposób? Nigdy, przenigdy nie słyszałam, aby mój li rat mówił tak o kimkolwiek. Musisz być znamienitym i wyjątkowym młodym człowiekiem, sir Andrzeju... Mamy dużo do omówienia, więc zajmijmy się tym. Ryszard zadał mi kilka pytań na temat tego, co wydarzyło się tutaj po naszym przybyciu, i chce, żebyś wysłuchał moich odpowiedzi. Mogę jedynie przypuszczać, że o to samo poprosił Berengarię.

- Tak - potwierdziła księżniczka.

- Czy wolisz zatem porozmawiać z każdą z nas osobno, czy możemy

zrobić to razem, we trójkę?

- Jeśli nie masz żadnych zastrzeżeń, pani, razem byłoby chyba naj-

lepiej. Tutaj raczej nikt nam nie przeszkodzi ani nie będzie podsłuchi-wał. - Wskazał na otwarty luk nad ich głowami. - Pod warunkiem że będziemy mówić cicho. Ten luk wychodzi na pokład. Zachowujmy się tak, jakby siedział nad nim szpieg o wielkich uszach z ręką zwiniętą w trąbkę przy każdym z nich. Lady Joanno, czy zechcesz mówić pierwsza?

Siedzieli we trójkę i rozmawiali cicho, podczas gdy plamy słońca przesuwały się powoli po podłodze kabiny, a kiedy w końcu zniknęły w mroku, przerwali rozmowę, aż wniesiono i zapalono nowe s'wiece oraz lampy. Saint Clair miał wiele do przemyślenia po opuszczeniu dam i powrocie na własny statek, gdzie natychmiast zabrał się do notowania tego, o czym mówili. Kiedy tego wieczora udał się na spoczynek, był niemal wyczerpany i zasnął, myśląc o obu kobietach, widząc oczyma duszy ich odmienne typy urody i być może po raz pierwszy żałując, że jego pozycja templariusza wkrótce uniemożliwi mu jakąkolwiek szansę na spędzanie tak niewinnych, przyjemnych chwil w kobiecym, towarzystwie.

Galera Ryszarda przypłynęła dopiero późnym rankiem następnego dnia, a kiedy w końcu się pojawiła, towarzyszyły jej dwie kolejne, lecz na horyzoncie za nimi nie było ani śladu reszty floty. Andrzej wszedł do łodzi pozostawionej mu do dyspozycji przez Tournedosa i kiedy tylko statek królewski rzucił kotwicę, podpłynął do niego, lecz zanim zdążył tam

dotrzeć, uprzedziła go większa łódź płynąca ze strony jednego z trzech nieznanych statków, których przybycie zauważył poprzedniego dnia. Ostrzegł sternika szeptem, żeby nie zbliżał się do nieznajomych. Obca łódź była średniej wielkości barką o ośmioosobowej załodze wioślarzy, pomalowaną na czerwono i zielono. Na platformie rufowej mieściło się dziesięciu ludzi. Wszyscy byli w pełni uzbrojonymi rycerzami o nieznanych Andrzejowi znakach herbowych.

Saint Clair pałał teraz ciekawością, ponieważ kiedy patrzył, jak nieznani rycerze wspinają się na pokład królewskiej galery, sprawili na nim wrażenie sponiewieranych: tych kilka tarcz, które udało mu się dostrzec, wyglądało na szczególnie stare i sfatygowane, niemal nędzne, jakby służyły już bardzo długo. Kolczugi rycerzy też wyglądały jak wytarte, niemal wypolerowane, co zaintrygowało go. Godła ich oso-

bistych insygniów o spłowiałych i pozbawionych gustu kolorach także wydawały się wyblakłe. Patrzył, jak uzbrojeni rycerze tłoczą się na pokładzie galery, zajmując niemal każdy wolny fragment powierzchni, i dał znak swojemu sternikowi, aby oddalił się jeszcze bardziej i czekał. Kiedy tylko ostatni z rycerzy wdrapał się na pokład, ich barka odpłynęła od burty galery, zza drugiej burty wychynęła i powoli zbliżyła się o wiele mniejsza łódź. Czekała na kolejnego pasażera, tym razem opuszczającego okręt. Andrzej rozpoznał surową, wiecznie ponurą twarz jednego z najmniej lubianych rodaków, Etienne'a de Troyes, mistrza Zakonu w Poitou i najwyższego stopniem członka Zakonu Świątyni w tej

ekspedycji. De Troyes wszedł do łodzi, nie patrząc dookoła, usadowił się na rufie i naciągnął kaptur opończy na głowę, podczas gdy jego wioślarz mocnymi pociągnięciami wioseł odpływał od galery.

Grupa dziesięciu gości wróciła na swoją barkę niemal godzinę później. Ryszard odprowadził ich osobiście, stojąc na pokładzie i spoglądając w dół, dopóki nie odpłynęli. Andrzej wiedział, że król dostrzegł go, lecz czekał do chwili, kiedy Ryszard zerknął w jego stronę, wezwał go palcem i się odwrócił.

Sztorm minął już dawno, lecz morze dalej było wzburzone. Burta łódki uchyliła się właśnie wtedy, kiedy Andrzej się od niej odbijał, i nie doskoczył; wczepił się w wiszące sieci i ledwo uniknął wpadnięcia do morza. Wspiął się na pokład królewskiego statku mokry od kolan w dół, a kiedy - zostawiając za sobą mokre ślady - szedł na rufę, gdzie Ryszard dyktował coś jednemu z duchownych, chlupotało mu między palcami u nóg. Za królem kręciła się grupa dowódców, gapiów i pieczeniarzy, która przyglądała się z otwartą pogardą przemoczonemu rycerzowi. Andrzej zachował kamienną twarz i zignorował ich wszystkich; obecność króla zmusiła go do oparcia się pokusie, aby chwycić rękojeść miecza.

Kiedy Saint Clair podszedł, Ryszard uniósł kpiąco brew na widok mokrego śladu, lecz nie odezwał się ani słowem, jedynie kiwnął głową i poprosił gestem o jeszcze kilka chwil. Zakonnik odczytał królowi to, co napisał, cichym głosem - gdyby Andrzej był ciekawy, musiałby wytężyć słuch, aby go zrozumieć - a kiedy Ryszard wysłuchał całości, kiwnął

głową i odprawił go.

- Andrzeju, czy masz informacje, których potrzebuję?

— Tak, panie.

— Świetnie. — Podniósł głos na użytek tłumu stojącego za jego

ple

cami. - Zostawcie nas wszyscy, ponieważ już i tak macie o czym roz

mawiać, a niektórych czeka dużo pracy. Bądźcie jednak pewni, że jeśli

zobaczę was, zanim skończę rozmowę z sir Andrzejem, lepiej, żebyście

stali w takiej odległości, aby nie przyszło mi do głowy, że podsłuchu

jecie. Precz. Chwilę! - Zatrzymał ich, podnosząc dłoń. - Percy, masz

swoje rozkazy, przekaż je teraz swoim ludziom, aby wszystko było go

towe, kiedy podążająca za nami flota przybędzie. Wszyscy mają zostać

na pokładzie, dopóki nie wydam rozkazu, lecz kiedy już tak się stanie,

chcę, żeby lądowanie szło gładko. Neuville, do ciebie należy rozsta

wienie i strzeżenie mojego namiotu. Natychmiast wyprowadź swo

ich strażników z dromon, upewnij się, że są wspierani przez oddziały

łuczników i kuszników, a potem rozstaw siły na tamtym wzniesieniu

po prawej, nad plażami i główną bramą miasta. Być może tak zwany

cesarz tego żałosnego miejsca jest jeszcze tam, za bramami, więc się

upewnijcie, że nie sprawi nam kłopotu. Teraz *ty,* lordzie Richmond.

Za godzinę popłyń moją barką na drugą stronę zatoki i zadbaj, aby król

Gwidon bezpiecznie, niezbyt szybko trafił na pokład i został przewie

ziony na brzeg godzinę później, tak żeby nasz królewski obóz był już

gotowy i pewnie strzeżony, zanim król postawi stopę na lądzie. Neu-
ville, to oznacza, że od tej chwili masz trzy godziny. A teraz odejdźcie
wszyscy i zostawcie mnie, abym mógł się zająć sir Andrzejem.
Kiedy członkowie świty się rozproszyli - szeptali między sobą i
rzucali Andrzejowi spojrzenia na poły ciekawskie, na poły podejrzliwe,
a częściowo otwarcie wrogie - król przywołał go gestem i wskazał mu
krzesło.
— Chodź, siadaj i porozmawiajmy. Większość floty będzie opóź
niona co najmniej o dzień lub dwa. W tym stadzie jest zbyt dużo ran
nych kurcząt i starych kur. Lecz flotylla naszych najszybszych okrętów
wraz z częścią moich najlepszych oddziałów będzie tutaj przed zmro
kiem. - Rozejrzał się po leżącym przed nimi porcie. - Nie widzę płoną
cych budynków w mieście, wnioskuję więc, że moi strażnicy są wciąż
na pokładach dromon, a moje panie mają się dobrze i są zdrowe?
—Tak, panie, i cieszą się na myśl o chwili, kiedy znów do ciebie
dołączą.
—A czy ten bydlak Komnen groził im lub napastował je w jakikol-
wiek sposób?

- Nie, nie bezpośrednio. Lady Joanna ciągle zachowuje przytomność
umysłu i świetnie się zna na ludziach oraz na tym, co nimi powoduje. To
ona się poznała na Izaaku i kiedy zaczął zwracać się do niej z
pojednawczymi gestami oraz zaproszeniami do zejścia na ląd,
zdecydowała, że bezpieczniej i bardziej rozsądnie będzie utrzymać dy-

stans pomiędzy nim a wszystkim, co znajduje się na pokładach dwóch pozostałych dromon.

- I słusznie. Można jednak przypuszczać, że de Bruce sam doszedłby do tego wniosku, gdyby jej tam nie było. — Zawahał się, patrząc Andrzejowi w twarz. - Nie uważasz?

- Nie, panie, z całym szacunkiem, moim zdaniem nie. Dziś rano rozmawiałem długo z dowódcą i wyraźnie dał do zrozumienia, że nie pochwala kierunku obranego przez królową. Sądzi, że gdyby miał prawo przyjąć początkowe zaproszenie Komnena do rokowań, wiele można byłoby osiągnąć bez wrogości. Uważa, że stanowisko twojej siostry wadzi mu w jego sprawach i podważa jego autorytet.

- Hmm. Sądzisz, że ma rację? Mógł załatwić sprawy z Komnenem przyjaźnie?

- Nie, panie. Komnen zdążył już wzgardzić naszymi prośbami o pomoc, kiedy nadpłynęły nasze statki i starały się o pozwolenie, aby użyć jego portu. Zbezcześcił już wtedy naszych zmarłych i przechwycił skarb z wraku, który rozbił się na skałach. Zrobił się pojednawczy dopiero potem, kiedy przyszło mu do głowy, że na statkach, które uniknęły zniszczenia, może być więcej bogactw. Nie miał żadnych statków, które byłyby w stanie zaatakować nasze dromony, ani dostatecznie /.organizowanej armii, aby przeprowadzić atak z lądu. Nie miał więc wyboru, jak tylko spróbować przejąć nasze statki podstępem. Twoja siostra postąpiła słusznie. Gdyby tego nie zrobiła, trudno przewidzieć, co mogłoby się stać, lecz być może musielibyśmy teraz radzić sobie z

sytuacją, w której koronowane głowy byłby zakładnikami, a za skarbiec trzeba byłoby zapłacić okup.

- Tak, nie wątpię, że to prawda - rzucił ochryple Ryszard. - Opowiedz mi o tym Komnenie. Słyszałem tylko pogłoski i raporty. Zakładam, że zgromadziłeś dokładniejsze informacje?

- Tak, panie, tyle, ile udało mi się znaleźć. - Saint Clair rozsiadł się w krześle i zetknął czubki palców obu dłoni pod brodą, układając myśli w logiczny ciąg i ledwie czując, jak bardzo marzną mu stopy

w ciężkich, mokrych butach. — To dziwny człowiek, tego dowiedziałem się natychmiast. Oczywiście jest tyranem, a niektórzy mówią, że jest obłąkany. Jego poddani w większości czują do niego nie tylko antypatię, ale wręcz nienawiść. Traktuje ich brutalnie. Jest Bizantyj-czykiem, co wiedzieliśmy wcześniej, lecz wygląda na to, że jego pradziadem był cesarz Konstantynopola. Tak przynajmniej zarzeka się Izaak. Przybył tu z Konstantynopola około sześciu lat temu i niemal natychmiast znalazł sposób... zdaje się, że nikt dokładnie nie wie jaki... na wydarcie imperium kontroli nad całą wyspą. Najwyraźniej to ten wyczyn oraz jego domniemane więzy z rodziną cesarską pchnęły go do nazwania się cesarzem.

Choć wygląda na to, że wszyscy go nienawidzą, wciąż trzyma władzę żelazną ręką. Sami poddani mówią o jego chciwości i zdradzieckiej naturze, a jego okrucieństwu podobno trudno dać wiarę. De Bruce powiedział mi dziś rano, że słyszał od wielu mieszkańców Limasso-lu,

jakoby duża część najbardziej zamożnych rodzin uciekła z wyspy, kiedy sześć lat temu przejął władzę. Ci, którzy zostają, robią to jedynie dlatego, że nie mogą uciec. Są przywiązani do swoich ziem i żyją w rozpaczy z powodu grabieży ich własności.

- Wygląda na to, że ten człowiek to potwór - warknął Ryszard, nie pomyślawszy nawet, że równie dobrze mógłby słuchać opisu własnych metod ściągania podatków w celu zapewnienia środków na stoczenie walki w Zamorzu.

-To jeszcze nic — dodał Andrzej. — Rzekomo traktuje swoich dowódców i podwładnych tak brutalnie, że go nienawidzą. Przy każdej okazji batoży ich i karze grzywnami.

- Dlaczego więc go nie zabiją? To w ogóle nie ma sensu. Czy ten głupiec nie wie nic o przewodzeniu ludźmi? Jakie szaleństwo mogłoby doprowadzić jakiegokolwiek dowódcę do znęcania się nad tymi właśnie ludźmi, których najbardziej potrzebuje do utrzymania władzy? Ten człowiek, siedzący okrakiem na swoim wyspiarskim imperium, bez wątpienia jest obłąkany. Weź choćby tę bzdurę z dromonami. Czy naprawdę wydawało mu się, że nikt nie będzie szukał zaginionych skarbów? Czy myślał, że ci, którzy będą ich szukać, okażą się słabi i tępi? To szaleniec.

- Może tak, może nie — odpowiedział Saint Clair. - Ludzie opowiadają historię, w którą ogólnie wierzą, że wiele łat temu, kiedy był

podobno silnym i niezwykle sprawnym wojownikiem, udał się wraz z

bizantyjską armią na wojnę do Armenii, gdzie pojmano go i sprzedano jako niewolnika. Według tej opowieści, która wciąż krąży, mimo że sam Izaak rzadko o tym mówi, spędził wiele lat w obcych krajach skuty ciężkimi łańcuchami jak dzikie zwierzę, ponieważ był tak silny i niepokorny. To doświadczenie wykształciło u niego wściekłą, głęboką i trwałą nienawiść do ludzi z Zachodu, takich jak my... nazywa nas łacinnikami... ponieważ przez te wszystkie lata trzymaliśmy go w łańcuchach. - Przerwał na chwilę. - To może wyjaśniać, dlaczego tak nieprzyjaźnie zareagował na początku, kiedy odkrył, że dwa nieznane chrześcijańskie statki rzucają kotwice u jego brzegów i szukają pomocy.
- Tak, kiedy ujmujesz to w ten sposób, kusi mnie, żeby tak my śleć... lecz wciąż tak samo zależy mi na zgnieceniu tego łajdaka na papkę, tak jak postąpiłbym z pełzającym pająkiem. Co jeszcze wiesz? Jak cała ta sprawa się zaczęła?
Andrzej wzruszył ramionami.
- Z tego, czego się dowiedziałem, przypadkiem i całkiem zwyczaj nie. Sztorm ustał w końcu tutaj, na Cyprze, a silne wiatry gnały dro- mony przez całą drogę. De Bruce uważa, że stało się tak z powodu masy okrętów. Ogrom rozmiarów ich burt i ruf sprawił, że zadziałały jak żagle, łapiąc więcej wiatru niż inne statki, co z kolei spowodowało, że ich wielkie kadłuby popłynęły dalej i szybciej niż reszta floty. Tak czy owak, o świcie trzeciego dnia sztormu, kiedy wiatr i fale osłabły już nieco, lecz wciąż były potężne, załoga zobaczyła na horyzoncie wyspę. Wtedy dromony były już zbyt blisko lądu, a ta, która była naj

bliżej, trafiła na mielizny i płycizny nazywane przez wyspiarzy skałami Afrodyty. Kiedy się tam znalazła i osiadła na nich, fale i wiatr roztrza skały ją na kawałki, a dwa pozostałe statki nie mogły zrobić nic, aby jej pomóc. Siła fal przyboju wśród skał była tak wielka, że niewie lu członków załogi przeżyło i dotarło na brzeg. W ciągu następnych kilku dni miejscowi rybacy i wyspiarze schodzili na brzeg, jak mają w zwyczaju, aby uratować co się da. Lecz rybacy wkrótce znaleźli we wraku złoto, a wiadomość o tym szybko dotarła do Komnena. Po dobno na początku nie wiedział wiele poza tym, że fale wyniosły na brzeg i pomiędzy skały złote monety, lecz to wystarczyło, żeby przybył powęszyć. Zobaczył twoją pieczęć na szyi rybaka i skonfiskował ją, nie

wiedząc, czym jest. Potem jeden z jego ludzi zanurkował i zaraporto-wał, że we wraku leżącym na dnie znalazł kufry i skrzynie pełne złota. Wygląda na to, że wiele godzin potem dotarła do niego wiadomość, iż dwa kolejne, ogromne statki, które wiatr przygnał z zachodu, pojawiły się w okolicach Limassolu i proszą o pozwolenie na zawinięcie. Dla Izaaka zachód znaczył Latynów, i odmówił obcym statkom pozwolenia na wpłynięcie do portu. Przy tym uwięził wszystkich, którzy przeżyli katastrofę. Dopiero potem, kiedy przepytał miejscowych gapiów, zrozumiał, że dwa wielkie statki, które podobno odpłynęły, prawdopodobnie znajdowały się w pobliżu Limassolu, a w związku z tym zapewne mają na pokładzie więcej podobnych skarbów. Jeden z jego dowódców powiedział nam, że na początku chciał natychmiast popędzić

do Limassolu i skonfiskować oba statki. Nie śmiał jednak opuścić miejsca katastrofy, dopóki się nie upewnił, że odnaleziono cały skarb. Nie ufał nikomu i nie spodziewał się po swoich ludziach lojalności ani honoru, ponieważ sam nigdy im tego nie okazał. Dlatego też czekał, gardłując niecierpliwie, aż zebrano wszystkie monety, a wielu ludzi zauważyło jego niepokój. Kilka dni później wrócił do Limassolu, ale okazało się, że nie jest w stanie wykonać jakiegokolwiek ruchu względem dromon. Słyszał, że są ogromne, lecz ponieważ nigdy nie widział statku, który byłby o wiele większy niż łódź rybacka - zanim dotarł na miejsce katastrofy, dromona na mieliźnie roztrzaskała się w drzazgi - nie miał pojęcia, co naprawdę oznacza ogromny, dopóki nie zobaczył ich na własne oczy. Od razu zrozumiał, że nie ma sposobu, by zagrozić tym bestiom.

Ryszard przysłuchiwał się uważnie, marszcząc czoło, a Andrzej ciągnął:

- Kiedy przemyślał już wszystkie możliwości, zaczął się zachowywać pojednawczo, oferując przyjaźń, pomoc i gościnę swoim niespodziewanym gościom. Trzeba przyznać, że przynajmniej wysłał wcześniej wiadomość de Bruce'owi, iż nie jest w Limassolu, ponieważ zatrzymały go w głębi lądu pewne sprawy, które musiał załatwić w Nikozji. To być może zadziałałoby, gdyby nie jego ludzie, którzy powiedzieli nam wszystko, co wiedzieli. De Bruce wiedział dokładnie, kiedy Komnen wrócił z inspekcji wraku, a także co wydobyto ze statku i co się stało z rozbitkami oraz zwłokami tych, którzy nie przeżyli.

— Poczekaj. Mówisz, że sami ludzie Komnena powiedzieli to

wszystko de Bruce'owi? Dlaczego więc de Bruce miałby się nie zgadzać z decyzją Joanny? Musiał wiedzieć, że ona ma rację.

- Nie, panie, wiedział, że jest kobietą, która niewiele rozumie z realiów wojny i polityki...

- Na Boga, człowieku! Joanna przez lata była królową, i to na Sycylii! Wie więcej o polityce i jej prawach, niż de Bruce kiedykolwiek się nauczy.

Saint Clair kiwnął głową.

- Tak, to zapewne prawda. Lecz de Bruce, żeby oddać mu sprawiedliwość, wierzył, że układałby się z Komnenem z pozycji siły. Cypr nie ma żadnej godnej uwagi floty, a to, co nazywa się jego armią, jest w żałosnym stanie. To niewyszkolony motłoch bez poczucia dumy ani ducha. Choć może się to wydawać niewiarygodne, na całej wyspie nie ma ani jednego rycerza. Cesarz wygnał ich wszystkich, bojąc się, że mogą uknuć spisek przeciw niemu. Krótko mówiąc, de Bruce wierzył, że z łatwością uda mu się zaznaczyć swoją przewagę.

- Nie z pokładu statku. Musiałby najpierw wylądować.

-Tak, panie, i mógł to zrobić. Miał na pokładzie oddział twojej przybocznej straży, co najmniej dwie trzecie. Dwustu zdyscyplinowanych ludzi. Uważa, że z ich pomocą mógłby przejąć cały Cypr, ponieważ ludzie Izaaka opuściliby go.

Ryszard przechylił głowę z pełnym wątpliwości wyrazem twarzy.

- Możliwe... Lecz być może stałoby się inaczej. Zresztą to nieistot
nie. Joanna postawiła na swoim. Co stało się potem?
-To już właściwie wszystko, panie. Mam więcej wiadomości, niezbyt
ważkich, wyjdą na jaw w odpowiedziach na twoje pytania. Jak na razie
to już wszystko.
Zamyślony król podrapał się w brodę, po czym kiwnął głową zde-
cydowanie.
- Niech będzie. Dobrze się spisałeś. Teraz mogę podjąć decyzję.
Jeśli będę chciał, mogę w ciągu godziny przypuścić atak na tego nik
czemnego cesarza idiotę z pełnym przekonaniem. Teraz idź, znajdź
sobie coś do jedzenia i porozmawiamy później. Nie, poczekaj. Księż
niczka Berengaria... Jakie zrobiła na tobie wrażenie? Chodzi mi o jej
nastrój. Czy była...?
- Księżniczka miewa się dobrze, panie, jest zdrowa i w dobrym
nastroju. Będzie dziś niecierpliwie oczekiwała twojego przybycia.

-W rzeczy samej... Czy była... Co o niej sądzisz? Czyż nie przed-
stawia zachwycającego widoku?
- Widoku... Jest zachwycająca. Będzie piękną panną młodą i wspa-
niałą królową.
- Tak... Z pewnością tak będzie. Dziękuję ci, panie Saint Clair. Na
razie żegnaj.

4

Andrzej spodziewał się, że król od razu zaatakuje Izaaka Komnena. Ryszard jednak wykazał się rozsądkiem i cierpliwością: tego samego popołudnia wysłał Komnenowi list, zredagowany z pomocą grupy biskupów, który był zadziwiająco łagodny, biorąc pod uwagę, jak bardzo sprowokowano króla. Jeśli Izaak wypuści rozbitków z dromona wraz z wszystkimi ich dobrami, a także zwróci zabrane skarby Ryszarda, włącznie z nieprzydatną komukolwiek innemu pieczęcią Anglii, Ryszard nie przedsięweźmie żadnych kroków wobec Cypru czy jego cesarza, lecz popłynie wraz z całymi swoimi siłami do Palestyny. Podczas gdy list ten był w drodze, król Jerozolimy, Gwidon, został bez przeszkód przewieziony na brzeg i umieszczony w królewskim namiocie Ryszarda, rozbitym o milę na wschód od bram miasta, na silnie strzeżonym wzgórzu. Na horyzoncie pojawiły się pozostałe statki oraz ludzie z awangardy Ryszarda i zgodnie z przewidywaniami spodziewano się ich przybycia przed zapadnięciem zmroku. Lecz nawet zanim flota zakotwiczyła w przypisanych jej miejscach, przybyła odpowiedź Komnena, a kiedy niosący ją poseł wiosłował w stronę galery Ryszarda, sam Izaak pojawił się na plaży leżącej u stóp miasta. Paradował przed gromadą obdartych żołnierzy, którzy wznieśli przed bramami przenośne barykady. Przyglądając się z pokładu własnego statku, Andrzej - nie wiedząc, że król komunikuje się z Komnenem -uznał je za oznakę oporu i wyzwanie.

Tym właśnie były.

Odpowiedź Izaaka na pojednawczy list króla była tak bezceremonialna i oburzająco władcza, że doradcy Ryszarda, którzy ją przeczytali, kręcili tylko głowami, szepcząc o ewidentnym obłędzie tego człowieka. Izaak oświadczył, że nie wypuści jeńców i nie odda ani jednej monety. Według niego łacińscy intruzi zaszkodzili jego reputacji, najeżdżając

na jego terytorium i traktując go jak niegodnego szacunku, zasłużyli więc na jego gniew i konfiskatę mienia, którą na nich nałożył. Muszą teraz pogodzić się z upokorzeniem i stratami. Oznajmił, że oczekuje na raporty o ich natychmiastowym odpłynięciu, a także przypomniał im, że powinni być wdzięczni, iż w ogóle odpowiedział, ponieważ żaden cesarz nie zniżyłby się do kontaktów ze zwykłym królem.

Kilku ludzi opowiadało potem Andrzejowi, że Ryszard wysłuchał odczytywanej przez sekretarza odpowiedzi z otwartymi szeroko ze zdumienia oczami, a potem zaniósł się dzikim, szczekliwym śmiechem i rozkazał, aby na plaży, gdzie paradował Komnen, natychmiast wylądowało trzystu zbrojnych pod osłoną dwustu łuczników i kuszników.

Wylądowali w ciągu godziny. Choć obrońcy Izaaka postąpili odważnie do przodu, aby zetrzeć się z nimi, nigdy nie napotkali niczego tak przerażającego czy skutecznego jak ogromne salwy bełtów i strzał, których gradem obsypali ich ludzie Ryszarda ze statków stojących na kotwicy przy brzegu. Obrońcy, wśród nich sam Izaak, szybko się rozproszyli i pobiegli z powrotem między uliczki leżącego za nimi miasta,

ustępując pola oddziałom Ryszarda.

Przez cały ten wieczór i resztę nocy najważniejsze dla Ryszarda było wyprowadzenie na ląd rumaków bojowych. Niektóre spędziły ponad miesiąc na morzu i żaden nie był w odpowiednim stanie, aby go dosiąść, a co dopiero pojechać na nim do boju. Jednak na długo przed świtem rozniosła się wieść, że Ryszard potrzebuje dwudziestu wojowników, którzy pojechaliby z nim wzdłuż wybrzeża do oddalonego o pięć mil Kolossi, gdzie poprzedniego wieczora rzekomo dotarł Izaak wraz ze swoimi ludźmi.

Kiedy tylko Andrzej, który spędził większość nocy na pokładzie, czując niepokój i nie mogąc zasnąć, usłyszał, jak nocny strażnik stojący na nabrzeżu powiadamia o tym krzykiem jednego z ludzi na dziobie, udał się na poszukiwania dowódcy statku, domagając się - jako wasal Ryszarda - prawa do zareagowania na to wezwanie. Lecz Tour-nedos, który dopiero co wstał z koi, aby stawić czoło nowemu dniowi, potrząsnął głową, twierdząc, że jako dowódca floty nie jest w stanie się przychylić do tego rodzaju prośby rycerza. Wysłał go do najstarszego stopniem dowódcy Zakonu na pokładzie.

Andrzej nigdy jeszcze nie rozmawiał z owym człowiekiem, zna-

nym i lubianym rycerzem o imieniu Don Antonio del'Aquila, lecz od czasu wejścia na pokład wielokrotnie go widywał. Teraz znalazł go na długim pokładzie rufowym: opierał się o reling obok brata serwien-ta trzymającego ster i rozmawiał cicho z innym rycerzem o ciemnej

twarzy. Choć byli wyraźnie pochłonięci rozmową, rycerz wysłuchał prośby Saint Claira, aczkolwiek niecierpliwie, marszcząc brwi, niezadowolony, że ktoś mu przerywa. Nie odrywał oczu od człowieka, z którym rozmawiał. Potem jednak zwięźle odmówił pozwolenia, odprawiając Andrzeja tonem głosu.

Andrzej, zdumiony stanowczą odpowiedzią, zakwestionował prawo templariusza do udzielenia mu odmowy. Uparcie obstawał przy tym, że nie złożył jeszcze zakonnego ślubu posłuszeństwa, więc nie był zobowiązany do zaakceptowania czy wypełnienia jakiegokolwiek rozkazu, który nie był bezpośrednią komendą.

Del'Aquila, znany wśród templariuszy po prostu jako Aquila, właśnie miał wrócić do przerwanej rozmowy, wyciągając dłoń, aby chwycić rozmówcę poufale za ramię, lecz teraz zatrzymał się, wyprostował lekko, unosząc przepraszająco palec, i zwrócił się twarzą do rzucającego mu wyzwanie rycerza. Migoczące światło lampy zawieszonej na grodzi rzucało cienie na jego twarz, na której Andrzej spodziewał się ujrzeć gniew. Aąuila przyglądał mu się jednak przez długą chwilę z kamienną twarzą. Był dość młody, u szczytu swojej kondycji: Andrzej ocenił go na trzydzieści dwa, trzydzieści trzy lata. Miał gęstą, krótko przyciętą rudobrązową brodę, która sprawiała wrażenie czarnej w półmroku panującym przed świtem, a na głowie kaptur kolczy. Z przodu i z tyłu jego białej opończy widać było długoramienny czerwony krzyż templariuszy z Zamorza, lecz z przodu, w górnym lewym kwadrancie tego krzyża - pomiędzy sercem a ramieniem rycerza — znajdował się też

równoramienny czarny krzyż o rozszerzających się końcach. Był to rycerski krzyż, pierwotny emblemat Zakonu, zanim jego symbolem stał się wyrazisty, czerwony krzyż oznaczający krew Chrystusa. Bardzo niewielu ludzi nosiło oba te insygnia, a wszyscy oni byli rycerzami, którzy wyróżnili się - a zatem pośrednio i Zakon - w walce.

Aąuila wlepił wzrok zmrużonych oczu w Saint Claira, skubiąc delikatnie zębami górną wargę, potem nabrał głęboko powietrza i zwrócił się w stronę człowieka, z którym rozmawiał.

-Wybacz mi, signor Loranzo, lecz muszę się zająć tą... sprawą.

Jeśli zechcesz poczekać na mnie w moich kwaterach, wrócę, kiedy tylko będę mógł.

Mężczyzna skłonił się głęboko i odszedł, a Aquila kiwnął na Andrzeja palcem.

- Chodź. Przejdźmy się.

Kiedy Andrzej zrównał z nim krok, rycerz zapytał:

- Dlaczego chcesz jechać z Ryszardem?

- Książę jest moim panem len...

-

Wiem, panie Saint Clair, ale dlaczego chcesz z nim jechać?

Andrzej zamrugał zdziwiony, że Aquila zna jego nazwisko, lecz od powiedział:

- To mój obowiązek jako wasala.

- Nie, twoim obowiązkiem wasala jest wypełnić każdy jego rozkaz.

Tym razem nie wydał żadnych rozkazów. Wzywał ochotników. Pozwól, że zapytam jeszcze raz: dlaczego chcesz z nim jechać?

- Aby... - Andrzej pohamował się, świadom, że szuka kłamstwa, za którego pomocą mógłby uzasadnić swoje życzenie, po czym uśmiechnął się wbrew sobie i się poddał.

- Aby znów poczuć pod sobą konia.

- Po tak długim pobycie na morzu, tak? - Aąuila nie patrzył na niego i nie widział jego uśmiechu.

-Tak.

- Czy myślisz, że ty jeden tego chcesz?

- Nie...

- Właśnie. - Zawrócili, przeszli koło rumpla i kroczyli teraz powoli wzdłuż prawej krawędzi pokładu rufowego, świadomi, że strażnik stojący u steru przygląda się im i przysłuchuje. Jednak w najbardziej oddalonym od sternika miejscu Aąuila zatrzymał się i odwrócił, tak że stał niemal nos w nos z Andrzejem, chwycił go za nadgarstek, zmarszczył czoło, jakby warczał na niego z wściekłością, i dramatycznie ściszył głos.

- Nie ruszaj się. Nie odrywaj wzroku od mojej twarzy. Posłuchaj, co mam ci do powiedzenia. Słuchaj, ponieważ i nas słuchają! Przypuśćmy, że pozwoliłbym ci jechać z twoim panem. Ujechałbyś może pięć mil, na koniu, który być może okazałby się zdolny pokonać taką odległość po miesiącu na morzu. Może spotkałbyś tego cypryjskiego cesarza i jego bandę głupców i być może walczyłbyś z nimi. Lecz

równie dobrze mógłbyś jechać na mało sprawnym koniu po trudnym terenie i walczyć z ludźmi, których zdolności, choć śmiechu warte, mogą czasem być zabójcze. Przypuśćmy, że jeden z tych nieudolnych wojowników miałby dość szczęścia, aby powalić cię i przypadkiem zabić. - Przerwał, pozwalając, aby jego słowa wybrzmiały, i ani na chwilę nie przestając patrzeć Andrzejowi w oczy. — Widzisz więc - ciągnął przenikliwym szeptem. - Sir Andrzej Saint Clair zmarłby na nieznanym kawałku lądu, na zupełnym odludziu, nie osiągnąwszy niczego. Wszystko, przez co przeszedłeś w ciągu tego roku, poszłoby na marne, byłoby stratą czasu i energii. Nie tylko twojego, ale też wysiłków wszystkich, którzy pracowali z tobą przez ten czas, aby przygotować cię do zadania, które wyznaczono ci w Zamorzu. - Zamilkł, obserwując zmieszanie, a potem zrozumienie jawiące się w oczach Andrzeja. -My, dowódcy - powiedział głośniej — zdecydowaliśmy już, na długo zanim król Ryszard wystosował wezwanie do ochotników, że sprawy Zakonu jak zawsze muszą mieć pierwszeństwo przed sprawami zwykłego króla. Naszym zadaniem, obowiązkiem, któremu się poświęciliśmy, jest dotrzeć w dobrej kondycji do Ziemi Świętej oraz uzupełnić siłę i krew wojowników, przelaną przez nasz święty Zakon w walkach ostatnich lat. Nasze tamtejsze rezerwy zostały poważnie uszczuplone, ciągłość naszego istnienia jest zagrożona, więc nie możemy sobie pozwolić na stratę czy nawet ryzykowanie życia lub zdrowia choćby jednego człowieka, dopóki nie stawimy czoła Saladynowi i jego hordom. Los

samego chrześcijaństwa w kraju Chrystusa może zależeć od każdego żołnierza naszych sił, być może nawet od jednego z nas... A któż mógłby przewidzieć, kim będzie ten człowiek? Dlatego też zostajemy na naszych statkach, a po wylądowaniu trzymamy się w grupie, z dala od drobnych, wzniecanych z pychy potyczek, w których dobrzy ludzie mogą zginąć na próżno. Czy to jasne?

Andrzej zrozumiał z tego tyle, że znów niespodziewanie napotkał innego członka Zakonu Syjonu, który wiedział o tajemnym celu jego podróży do Zamorza. Paplanina o tym, że los samego chrześcijaństwa zależy od Zakonu, była przeznaczona dla nieproszonych uszu. Prawdziwa wiadomość, jaką otrzymał Andrzej, była taka, że jego troskliwi bracia w Syjonie nieustannie obserwują go i strzegą, nawet przed nim samym. Nabrał głęboko powietrza, podniósł głowę i kiwnął.

-Tak, bracie Aąuila. Rozumiem... całkowicie. Żałuję, że zwróciłem twoją uwagę na siebie w tak trywialnej sprawie. Wybacz mi.

- Nic się nie stało. Lecz odtąd pozostaniesz na pokładzie, jeśli król Ryszard nie wezwie cię bezpośrednio.

Andrzejowi udało się uśmiechnąć. Skłonił głowę.

- Będę służył królowi Ryszardowi tylko, jeśli wezwie mnie jako mój pan lenny, książę Akwitanii. W przeciwnym razie zostanę tutaj i nie będę głupio podejmował ryzyka. Nie składałem przysięgi wier ności królestwu Anglii.

Kiedy rozmawiali, Ryszard i jego drużyna szykowali się już do drogi

na zachód, w stronę miasta Kolossi. Andrzej nie czuł nawet odrobiny żalu, że zostaje na miejscu. Spędził resztę poranka, doglądając swojego oręża, a szczególnie kuszy, i oczyszczając ją z soli i rdzy, które nagromadziły się na niej w ciągu ostatnich miesięcy na morzu. To samo zrobił z zapasem bełtów i upewnił się, że zapasowe cięciwy są suche.

Po południowym posiłku skusiły go widoki oraz odgłosy dobiegające ze strzelnicy - kusznicy ustawili pale i tarcze strzelnicze - zszedł więc na ląd wraz z dwoma innymi rycerzami i ćwiczył przez godzinę, aż Ryszard i jego ludzie wrócili z wypadu, obładowani łupem. Opowieść o ich udanym ataku rozniosła się szybko i sprawiła wszystkim wielką radość. Kiedy rycerze znaleźli obóz Izaaka, nie napotkali ani jednego strażnika; wszyscy spali i nikomu nie przyszło do głowy, że wróg może podążyć za nimi tej nocy. Ryszard zaatakował natychmiast; przeciwnicy wyskoczyli z posłań w panice i uciekli w stronę wzgórz, nie usiłując walczyć czy się bronić. Izaak zniknął — zakładano, że uciekł wraz z tłumem, rzekomo zmierzającym w głąb wyspy, przez leżące na północy góry Troodos w stronę znajdującej się o siedemdziesiąt mil dalej Nikozji - a Ryszard był w świetnym nastroju. Była niedziela dwunastego maja, dzień świętego Pankracego roku 1191; dzień ten miał się okazać doniosły z kilku innych względów prócz pokonania nieszczęsnego Izaaka. Po pierwsze na horyzoncie znacznie przed czasem pojawiła się reszta floty.

Andrzej wysłuchał już kilku wersji wydarzeń tego poranka, kiedy dowiedział się o nadpływającej flocie. Właśnie wracał do swojej łódki na plaży, kiedy znajomy głos krzyknął jego imię i Andrzej ujrzał, jak

sam król dogania go galopem. Ryszard miał zarumienioną twarz i był z siebie zadowolony. Zeskoczył z siodła i objął Andrzeja ramieniem,

a potem pociągnął go mocno i bez wysiłku w dół, w geście podobnym do uchwytu zapaśniczego.

- Brakowało mi ciebie dziś rano - zaczął, zanim puścił Andrze ja. - Myślałem, że dołączysz do mnie, kiedy wzywałem ochotników, lecz zauważyłem, że nie byłeś jedynym templariuszem, którego twarzy nie było widać w tłumie. Żaden z was nie pojechał ze mną. Dlaczego? Czy Zakon chce dać mi coś do zrozumienia?

Andrzej uśmiechnął się smętnie, napinając prawe ramię, które -wiele miesięcy po zadanym ciosie - wciąż doskwierało mu czasami.

-1 tak, i nie, panie. Chciałem do ciebie dołączyć, lecz przypomniano mi, a także wszystkim innym, którzy prosili o pozwolenie, że moim głównym obowiązkiem podczas tej wyprawy jest umocnienie obecności naszego Zakonu w Zamorzu. Zwrócono mi uwagę, że niesławna i bezsensowna śmierć z rąk błazna na małym cypryjskim polu bitwy raczej nie przysłuży się Zakonowi, podczas gdy dzięki obecności w Ziemi Świętej mogę dokonać wielkich czynów w imię Boga.

- Ha! - Krótki śmiech Ryszarda potwierdził, że nawet polityka Za konu nie była w stanie tego dnia zepsuć jego dobrego humoru. - Pod czas gdy moja własna niesławna i bezsensowna śmierć w tym samym przedsięwzięciu nie miałaby żadnego wpływu na Zakon! Na Boga, ci ludzie są niewiarygodnie aroganccy. - Zawahał się. - Lecz wciąż jesteś

moim wasalem, prawda? Nie złożyłeś pod moją nieobecność żadnych ślubów? - Zobaczył, że Andrzej kręci głową, i uśmiechnął się jeszcze szerzej. -To wspaniale, ponieważ dzisiaj, zanim flota dotrze do portu i zanim Bóg będzie rościł sobie prawo do twojej lojalności, chcę, żebyś dokonał wielkich czynów dla mnie, chłopcze. - Rozejrzał się niemal ukradkiem, wciąż z uśmiechem, jak chłopiec obmyślający psotę, po czym pociągnął Andrzeja za rękaw, prowadząc go w bok, żeby mogli razem stanąć w osłoniętym kącie między dwiema drewnianymi szo pami. - Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił, samodzielnie i natychmiast, póki decyzja ta rozbrzmiewa jeszcze w moich myślach.

- Oczywiście, panie. O co chodzi?

Król spojrzał mu w oczy, jakby się zawahał, a potem ciągnął, mówiąc tak szybko, że niemal trudno było zrozumieć jego słowa.

- Chcę, żebyś zarekwirował łódź.

-Już tego dokonałem, panie. Jest tutaj, niedaleko.

- Dobrze. Weź ją i popłyń do dromon zakotwiczonych w zatoce. Staw się przed moją narzeczoną i zawiadom ją, że ona i ja pobierzemy się dzisiaj wieczorem, przed wieczerzą. Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, wyślę eskortę po nią i moją siostrę. Tymczasem ona ma się ubrać i przygotować. Będzie miała na to kilka godzin... co najmniej dwie, może trzy. W drodze powrotnej z Kolossi rozmawiałem już z ojcem Mikołajem, moim kapelanem. Poprowadzi on uroczystości ślubne i już teraz dokonuje koniecznych przygotowań do reszty obrzędu. Odbędzie

się on w kaplicy świętego Jerzego Pogromcy Smoka na zamku w Limassolu, który już jest nasz, a zebrani tam biskupi z kilku naszych włości... mamy tu biskupa Evreux, Bayonne, a także kilku arcybiskupów... oficjalnie ogłoszą Berengarię królową Anglii, umieszczając koronę na jej głowie, kiedy tylko będziemy mężem i żoną. Powiedz jej to wszystko. Uprzedź Joannę, aby się upewniła, że wszystko jest tak, jak ma być. Każ jej przyprowadzić wszystkie towarzyszące jej i Berengarii kobiety, aby uchronić królową przed tłumem ponurych duchownych... Pamiętaj też o poinformowaniu człowieka de Sablego, Coutreau, o tym, ile kobiet będzie płynęło na brzeg, ponieważ musi zapewnić im barkę, aby dopłynęły spokojnie, wraz z baldachimem, który po drodze zabezpieczy ich włosy i przybrania głowy od wiatru, a stroje od deszczu. Nie na wiele by mi się przydały, gdyby wyglądały jak przemoczone pisklęta wśród całych tych szeregów pawi, które się zbiorą, kiedy tylko rozniesie się wieść. - Przerwał nagle i znów chwycił Andrzeja za ramię. Saint Clair poczuł silny uścisk jego palców nawet przez kolczugę, którą nosił pod opończą. - Czy rozumiesz wszystko, co ci powiedziałem?

- Tak, panie. - Andrzej szybko powtórzył otrzymane instrukcje, wyliczając je zwięźle na użytek króla, cały czas myśląc jednak, że wszystko to stało się bardzo szybko i bez ostrzeżenia; zastanawiał się też dlaczego. Post skończył się już dawno, a następujący po nim naturalny dla zawierania małżeństw okres wielkanocny, pełen podtekstów związanych z odrodzeniem, odnową i płodnością, przeszedł bez echa z

powodu sztormu i rozproszenia floty. Okres narzeczeństwa można było wydłużać teraz w nieskończoność, co w ogóle nie wzbudziłoby zdziwienia, ponieważ kwestia nadciągającej kampanii w Zamorzu stawała się z każdym dniem coraz pilniejsza, a jej znaczenie przyćmiewało wszystko inne. Andrzej zastanawiał się, dlaczego więc Ryszardowi

było tak spieszno do wzięcia ślubu teraz. Poprzedniego dnia, po wizycie Andrzeja u księżniczki, nie padło na ten temat ani słowo. Przyszło mu do głowy, że być może nagłość tej decyzji wynika z tego, iż król, niesiony falą zwycięstwa nad tyranem rządzącym wyspą, chce to zrobić, zanim całkowicie zawiedzie go odwaga. Poszukawszy w twarzy Ryszarda śladów paniki czy desperacji, odkrył, że widzi oznaki obu emocji, choć były one stłumione i pod kontrola.

Ryszard, nieświadom tego, jak uważnie obserwuje go Andrzej, mówił dalej.

- Dobrze. Powiedz mojej pani, że będzie wspaniale. Tu, w Li-massolu, jest klasztor benedyktynów i słyszałem, że bracia ci pięknie śpiewają, więc będzie muzyka i światło, całe rzędy najświetniejszych białych świec i kłęby aromatycznego kadzidła. Powiedz jej to, żeby nie myślała, iż zostanie podstępem pozbawiona królewskich zaślubin.

Postaraj się, żeby wiedziała, iż tak nie będzie... Muzyka, światło i kadzidło, rozkosz dla wszystkich zmysłów... a potem oczywiście uczta weselna, woły, owce i świnie już obracają się na rożnach, kucharze już przygotowują ryby i drób... - Król przerwał i obejrzał się za siebie, a na

jego twarzy pojawił się nagle wyraz powątpiewania. - Przynajmniej tak mi się wydaje... Rozmawiałem z... - Odwrócił się szybko z powrotem do Andrzeja. - Niech będzie. Idź i zrób, co ci każę. Muszę zadbać o inne rzeczy i wydać polecenia innym. Szybko. Nie ma czasu do stracenia.

Zanim Andrzej zdążył zakończyć salut, Ryszard zniknął: wskoczył na siodło, zawrócił gwałtownie wierzchowca, spinając go ostrogami, i pogalopował w stronę tłumu zgromadzonego na plaży, rozpędzając ludzi i nie zważając na ich bezpieczeństwo. Andrzej udał się na poszukiwania swojej łodzi.

Tym razem nikt się nie spodziewał jego pojawienia się u burty dromony i kiedy kapitan łodzi zawołał ludzi na pokładzie, Andrzej musiał czekać w milczeniu, aż ktoś w końcu zrzucił mu drabinkę sznurową. Najwyraźniej nie uznano jego przybycia za dość ważne, aby opuścić ciężką rampę. Musiał stać niepewnie w chwiejącej się łodzi, którą władali wprawnie jego dwaj wioślarze, aż jednemu z nich udało się zahaczyć wiosło pomiędzy dwoma szczeblami wiszącej drabinki i nachylić ją tak, aby Andrzej był w stanie ją złapać. Chwycił obiema rękami sznury drabinki, a potem odchylił się, spoglądając w górę na

wypukłą burtę ogromnego okrętu i zastanawiając się, jak uda mu się wspiąć na górę w pełnej kolczudze.

- Dzięki — zawołał przez ramię do starszego wioślarza. — Jeśli nie utonę, niedługo wrócę.

Kiedy dotarł na pokład, był przynajmniej suchy i pocieszał się, że

tylko jego ludzie mogli zobaczyć, jak niezgrabnie gramoli się w górę. Był jednak wściekły, ponieważ musiał narazić się na ryzyko wpadnięcia do morza i nikt nie obserwował go z góry. Marynarz stojący na pokładzie otworzył furtkę, aby go wpuścić, a dwaj dowódcy pokładowi odwrócili się swobodnie i, jak pomyślał Andrzej, zuchwale, aby przyjrzeć się mu, kiedy podchodził. Jeden z nich - wyższy stopniem, jak można było wnioskować z szamerunku na jego tunice — otworzył usta, aby coś powiedzieć, lecz Andrzej uniósł gwałtownie ramię, tak że niemal uderzył go w nos.

- Stań na baczność, kiedy rozmawiasz z królewskim posłańcem, ty niewychowany prostaku - warknął. - Reprezentuję tutaj Ryszarda, króla Anglii, i mam wieści od niego dla jego narzeczonej i jego siostry Joanny, królowej Sycylii. Czy sam Ryszard musiałby też znosić waszą bezczelność i brak szacunku? Czy i on byłby zmuszony wciągnąć się własnymi rękami na pokład waszego statku? Bądź pewien, że poinformuję go o tym. I nie zapominaj, że ten statek nie jest i nigdy nie będzie twój. To statek króla. Statek króla Ryszarda. - Wyciągnął palec w stronę drugiego, młodszego dowódcy. - Ty! Tumanie! Zamknij swoją zaślinioną gębę i natychmiast sprowadź tutaj sir Ryszarda de Bruce. Już! - ryknął. Mężczyzna odwrócił się na pięcie i czmychnął przez drzwi w ścianie pod pokładem rufowym.

- Panie... Panie Sai...

- Milcz! Teraz nauczysz się, jakie to uczucie nosić mokre szmaty i ciągnąć za wiosło jak prosty marynarz, więc zrób, co możesz, aby się do

tego przygotować.

Kiedy dowódca patrzył na niego z trwogą, drzwi za jego plecami otworzyły się i pojawił się kapitan de Bruce, patrząc z ciekawością to na jednego, to na drugiego, z czego Andrzej wywnioskował, iż młodszy dowódca powiedział mu już, co się dzieje.

- Panie Saint Clair - powiedział, a między jego brwiami zarysowała się zmarszczka. - Nie spodziewałem się znów cię ujrzeć.

- Najwyraźniej. Twoja oswojona małpa też nie. Chcę, żeby temu

człowiekowi natychmiast odebrano stopień i obowiązki za lenistwo oraz brak szacunku, skrajną bezczelność wobec królewskiego posłańca, a także *lese majeste,* obrazę samego króla. - Uniósł szybko dłoń, aby uprzedzić protesty de Bruce'a. - Rób, co mówię, panie de Bruce. Ostrzegam cię, nie próbuj mnie przekonywać lub usprawiedliwiać zachowania tego człowieka. Zupełnie nie nadaje się na dowódcę, nawet statku, a gdyby służył pod moją komendą, kazałbym go wychłostać i zmusił do służby wśród szeregowców. Zadbaj więc o to, aby spełniono moje życzenie. Oczekuję, że stanie się to przed moim odjazdem, który powinien nastąpić w ciągu godziny, i zamierzam osobiście złożyć królowi Ryszardowi pełny raport z tego, co się stało.

- Nie mam takiej władzy na pokładzie tego statku, panie. Kapitan statku...

- Czy nie jesteś więc dowódcą tych dromon?

-Tak, ale...

- Żadnych ale, panie de Bruce. Albo dowodzisz, albo nie. Co mam przekazać Ryszardowi?

De Bruce przygarbił się nieco.

- No dobrze, wydam instrukcje kapitanowi... Ale ten człowiek jest zastępcą kapitana tego statku, Sir Andrzeju.

- Doprawdy, na Boga? Jakże upadli bohaterowie. Teraz, jeśli łaska, powiadom damy, że przybywam do nich z pilnymi wieściami od króla.

De Bruce wyprostował się i skinął głową.

- Oczywiście. Natychmiast. — Obrzucił lodowatym wzrokiem po tępionego dowódcę. — Ty, panie, poczekasz w moich kwaterach.

Rozmyślania Andrzeja o całej tej sytuacji przerwał de Bruce, który wrócił i oznajmił, że damy przyjmą go natychmiast.

Andrzej Saint Clair od początku dziwił się nagłości decyzji króla o ślubie, owszem, był jednak zupełnie nieprzygotowany na falę zażartego, płomiennego niedowierzania oraz protestu, którą jego wiadomości spowodowały wśród kobiet na pokładzie statku. Z rozdziawionymi ustami zaczynał dostrzegać, choć jeszcze nie pojmować, ogrom zbrodni, do której popełnienia został namówiony; według kobiet Ryszarda była to zbrodnia wobec nich samych. Fakt, że był jedynie niewinnym współudziału posłańcem, nie miał znaczenia: musiały wylądować na kimś swoje zbiorowe poczucie urazy, a on był pod ręką.

Potem jednak kobiety rzuciły się w wir szalonych przygotowań i szybko zapomniały o Andrzeju, który zorientował się, że stoi wśród

pełnego paniki harmidru, a otacza go kotłująca się lawina damskich ubrań, która zdawała się zajmować całą kabinę. Chwilę potem wyrzucono go za drzwi.

Choć czuł się lekko oszołomiony, zdobył wiadomość, której potrzebował najbardziej: barka de Sablego miała odebrać grupę dziewięciu kobiet. Księżniczka miała wziąć ze sobą wiekową opiekunkę, która niańczyła ją od niemowlęctwa, oraz dwie młodsze damy z Nawarry. Joannie miała towarzyszyć starsza towarzyszka i służąca, Maria, oraz trzy Sycylijki - dwie wdowy i jedna niezamężna - które były jej damami dworu, kiedy była królową.

Podążył w stronę furtki w burcie statku i dopiero kiedy dotarł na miejsce, zauważył, że wyciągnięto i opuszczono rampę. Ten widok przypomniał mu o drugiej sprawie, której nadał bieg. Odwrócił się do młodszego dowódcy, który przyglądał mu się nieufnie, stojąc na palcach.

- Wezwij tu sir Ryszarda.

-Tak jest, sir Andrzeju. - Odpowiedź była zwięzła jak na placu defiladowym.

Sir Ryszard de Bruce wyszedł ze swoich kwater chwilę później i podszedł prosto do Andrzeja z chłodnym wyrazem twarzy. Andrzej skinął mu szorstko głową.

- Co zrobiłeś z tamtym człowiekiem?

- Zamknąłem go w jego kabinie, sir Andrzeju.

- To nie wystarczy. Rozebrać go do tuniki, zakuć w kajdany i pu-

blicznie trzymać pod strażą tam, w tamtym kącie, aby czekał na werdykt króla. Nie zaszkodzi twojemu zadowolonemu z siebie głupcowi przez jakiś czas oglądać świat oczami tych, którzy mają mniej szczęścia niż on. Trzeba mu przypomnieć, że jako młodszy dowódca na pokładzie jednego ze statków króla zajmuje jedynie odrobinę wyższą pozycję niż opryszkowie, którymi dowodzi. Swoją drogą, jak on się nazywa?

- De Blois, sir Andrzeju.

Saint Clair uniósł brwi, lecz zaraz się uśmiechnął.

- Powiadasz? Jakiś czas temu jeden z jego krewnych robił wszystko, aby mnie zabić. Oczywiście nie udało mu się, lecz jego towarzystwo

było mi wyjątkowo niemiłe. To ciekawe, że ten człowiek to kolejny de Blois. Rodzinne podobieństwa, sir Ryszardzie... Rodzinne podobieństwa.

Tym razem Andrzej z łatwością wskoczył na pokład i usadowił się na rufie, kiedy wioślarze odpływali od okrętu. Tam dowiedział się kolejnej rzeczy o dziwnych zwyczajach marynarskiej braci. Zapytał sternika, czy wie, gdzie można znaleźć hrabiego Coutreau, zastępcę dowódcy floty, a sternik rozejrzał się wśród zebranych dookoła statków, po czym wskazał bez wahania na jeden z nowo przybyłych okrętów.

- Tam, panie - mruknął - na tamtym angielskim okręcie.

- Skąd możesz wiedzieć? - Andrzej był szczerze zdumiony, a rosły sternik uśmiechnął się i mrugnął.

- Ten sztandar, panie, ta flaga wysoko na szczycie masztu, wyżej niż

wszystkie inne, z trzema zielonymi trójkątami na białym polu i dwoma ogonami, to sztandar dowódcy floty. Podąża za nim ze statku na statek, tak aby reszta floty zawsze wiedziała, gdzie jest. Zielone trójkąty oznaczają zastępcę, więc samego dowódcy tam nie ma, trójkąty na jego sztandarze są niebieskie. Poza tym flaga jest taka sama.

Andrzej był pod wrażeniem.

- Mówisz, że tak jest — powiedział - ale czy zawsze?

- Zawsze, panie. Niezawodnie. Gdzie idzie dowódca floty, tam idzie jego flaga i wciągają ją na szczyt masztu. To bardzo rozsądne, panie, jak nad tym podumać. W kłopotach czy podczas wojny, kiedy ludzie chcą przewodnictwa czy rozkazów, szukają po masztach okrętu flagowego, tego, na którym widać flagę dowódcy. Tam jest ośrodek dowodzenia.

- Na niebiosa, to genialne! Kto na to wpadł?

Sternik opuścił głowę i znów mrugnął.

- Ktoś mądrzejszy niż ja, panie... i starszy o kilka lat. Nie myślę, żeby kiedykolwiek na morzu było inaczej. Jak mówię, to bardzo roz sądne, nieprawdaż, jak się nad tym zastanowić?

-Tak, masz rację. - Na twarzy Andrzeja powoli wykwitł uśmiech. - Tak samo rozsądne jak to, że mężczyźni nie zbliżają się do kobiet, kiedy szykuje się wesele... Zabierz mnie teraz prosto do dowódcy floty.

Kilku wysoko postawionych członków Zakonu Świątyni wzięło tego wieczora udział w królewskich zaślubinach, aby być świadkami ożenku i koronacji nowej królowej. Według wszelkich doniesień była to

uroczysta okazja: rzędy świec sprawiały, że powietrze w kaplicy stało się złote, a wszędzie unosiły się dymy kadzidła. Mnisi aż z pięciu zakonów połączyli się z tymi, którzy przybyli ze świata chrześcijańskiego, aby odśpiewać takie modły, jakich jeszcze nigdy nie słyszano na Cyprze. Wielki tłum obecnych tam biskupów, wystrojonych w najświetniejsze, wyszywane klejnotami szaty i otoczonych świtami wystawnie ubranych akolitów, zmienił całe widowisko w lśniącą feerię kolorów i materiałów, a jednak pannie młodej i jej towarzyszkom — pomimo całego kościelnego splendoru i tego, że poświęcano im niewiele uwagi — udało się olśnić każdego obecnego człowieka świeckiego, a bez wątpienia także wielu duchownych.

Andrzej i jego towarzysze nawet nie słyszeli śpiewów zebranych mnichów. Jak niemal wszyscy w porcie Limassol, którzy nie zajmowali się samą uroczystością weselną tego dnia i nocy, mieli pełne ręce roboty, ponieważ przybyła flota. Na wiele godzin przed wpłynięciem statków do portu każdemu przydzielono już obowiązki, a popołudnie i wieczór minęły im na katorżniczej harówce, trwającej do późna w nocy. Pracowali wraz z innymi, w ekipach lub grupach, choć templariusze tworzyli własne drużyny robocze i trzymali się z dala od innych. Każda grupa zajmowała się konkretnym zadaniem, przydzielonym jej przez urzędników odpowiedzialnych za rozmieszczenie nadpływających statków i ich ładunków.

Kiedy tej nocy zasypiały pierwsze kontyngenty ludzi pracujących w dokach, wszyscy - nieważne, czy byli miejscowymi pracownikami z

poboru czy wyznaczonymi na oślep żołnierzami i marynarzami - byli wyczerpani i nieprzytomni ze zmęczenia. Nerwy zaczynały puszczać, a w dokach przelano krew w niejednej bójce. Praca przy wyładunku trwała dalej, a nowe drużyny i grupy przejmowały od innych różne zadania.

Saint Clair wstał jak zwykle na poranne modły, lecz nie spał dużo w ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin, więc nie czuł się winny, kiedy znalazł sobie potem ukryty zakątek i ponownie ułożył się do snu, przez nikogo niezauważony, podczas gdy jego towarzysze wciąż zajmowali się przydzielonymi obowiązkami. Obudził się wypoczęty

godzinę przed południem i odkrył, że ogłoszono ten dzień dniem odpoczynku i świętowania, aby uczcić królewskie zaślubiny. Potem -zwabiony donośnymi głosami oraz smakowitym zapachem pieczonego mięsa - podszedł do burty i zobaczył kilkudziesięciu mężczyzn zgromadzonych na plaży, blisko statku, dookoła kilku ognisk. Na koźle stojącym na piasku ustawiono beczułkę piwa, a na jej widok, skąpanej w jasnym świetle słońca, zaschło mu w gardle i poczuł pragnienie. Poszedł do swoich kwater, niemal pustych o tej porze dnia, zdjął kolczugę i po raz pierwszy od wielu tygodni włożył zwykłą tunikę oraz nogawice. Szczęśliwy jak chłopiec, że nie ma na sobie zbroi, zszedł na brzeg i skierował się prosto w stronę ognisk. Nalał sobie dzban piwa, a potem ktoś odciął mu kawał mięsa z jednej z trzech tusz obracających się na rożnach. Andrzej wetknął go między dwie grube pajdy świeżego chleba i

poszedł poszukać miejsca, gdzie mógłby wygodnie usiąść. Przy jednym z ognisk znalazł kłodę, dostatecznie dużą, aby pomieścić dwóch ludzi, i usadowił się, aby zjeść i posłuchać.

Wszyscy dookoła rozmawiali o wczorajszej uczcie weselnej oraz przybyciu sił z Zamorza, trzech statków, na których pokładzie znajdował się król Gwidon wraz ze świtą wysoko postawionych dygnitarzy i stu sześćdziesięcioma rycerzami. Andrzej nie był specjalnie zainteresowany rozmowami o ślubie, ponieważ wiedział, że wkrótce dowie się o nim więcej, niż będzie miał ochotę wiedzieć, lecz temat gości z Zamorza bardzo go zaciekawił: poprzedniego dnia zobaczył kilku z tych rycerzy i był pod wrażeniem ich srogiego wyglądu. Nie przychodził mu do głowy żaden powód, dla którego Gwidon, prawowity król Jerozolimy, mógłby opuścić swój kraj w czasie wojny w towarzystwie tylu gotowych do walki rycerzy, chyba że został z niego usunięty. Andrzej dowiedział się jednak więcej o tej sytuacji, siedząc przy ognisku, niż mógłby się dowiedzieć w ciągu tygodnia gdziekolwiek indziej, ponieważ na jego szczęście ludzie siedzący dookoła byli członkami straży Ryszarda. Z racji swojej funkcji mieli oczywiście dostęp do bardziej wiarygodnych wiadomości niż wielu lepiej urodzonych członków świty króla, ponieważ strażnicy towarzyszyli mu przy wszystkich publicznych, uroczystych, a nawet na wpół prywatnych okazjach, dzięki czemu ich obecność przyjmowano zazwyczaj za pewnik, a ludzie, których mieli pilnować, ignorowali ich i niemal zapominali o ich obecności.

Pierwszą wiadomością, która dotarła do niego spośród wszystkiego, co słyszał, było to, że po wylądowaniu w Akce Filip, król Francji, postanowił poprzeć Konrada de Montferrat, a nie Gwidona de Lusignan w kwestii ich sporu o koronę Królestwa Jerozolimskiego. To naprawdę zdziwiło Andrzeja, ponieważ jego własne bractwo dało mu wiele miesięcy wcześniej do zrozumienia, że Konrad jest zarówno krewnym, jak i wasalem cesarza Barbarossy. Jeśli Filip otwarcie stawał teraz po stronie Konrada de Montferrat i przeciwstawiał się prawowitemu roszczeniu do tronu Królestwa Jerozolimskiego wysuwanemu przez Gwidona de Lusignan, oznaczało to, że rozmyślnie gra na nosie papieżowi... Co oznaczało, że wciąga Ryszarda, swojego nominalnego partnera i współdowódcę, w ten akt buntu. Andrzej wiedział, że to duży błąd ze strony Filipa, ponieważ Ryszard będzie zmuszony do dokonania wyboru i zobowiązania, które raczej nie przysłuży się nikomu.
Andrzej nie miał współczucia dla ciężkiego losu króla Gwidona, ponieważ de Lusignan w niczym nie przypominał bohaterskiego dowódcy, szczególnie jeśli porównało się jego historię z historią Ryszarda. Gwidon udowodnił wielokrotnie, z przygnębiającą monotonią, że jego niekonsekwencja nie ma granic i że nie jest w stanie nawet przez moment zajmować stanowiska, które byłoby wyłącznie jego własne, na które nie wpływałby sposób myślenia innych. Jednak mimo to i mimo że godne ubolewania zachowanie Gwidona w żaden sposób nie poprawiło jego sytuacji, jego roszczenia do korony były uzasadnione, choć zdecydowanie liche.

Osobą mającą niekwestionowane prawo do korony Królestwa Jerozolimskiego była żona Gwidona, Sybilla, siostra i jedyna żyjąca następczyni króla Baldwina IV Trędowatego. Nikt nie kwestionował prawa Sybilli do tronu po śmierci jedynego męskiego dziedzica jej brata, chorowitego siostrzeńca, który nie przeżył dzieciństwa, lecz wszyscy byli oburzeni tym, kogo wybrała sobie na małżonka. Wybrała na współwładcę swojego obecnego kochanka, Gwidona de Lusignan, i zmusiła wiekowego patriarchę Jerozolimy, aby koronował go nie tylko na księcia małżonka, ale na prawowitego króla. Jej baronowie wraz z całą szlachtą w królestwie byli zbulwersowani, ponieważ uważali Gwidona za intruza, intryganta i bezwstydnego oportunistę.

Nieznany nikomu Gwidon przybył do królestwa jakiś czas wcze-

śniej z Francji. Choć rzekomo wysoko urodzony, miał mroczną przeszłość pełną pogłosek; mimo to udało mu się wkraść się w łaski miejscowych baronów, aby namówić ich do nadania mu tytułu regenta na czas niepełnoletności młodego następcy tronu. Jego regencja raczej nie była udana, a podczas jedynej okazji, kiedy w miejscu zwanym Tubanią konieczna była demonstracja siły wobec Saracenów, prawie uciekł przed konfrontacją. Ta błazenada kosztowała go jego regencję, choć młody dziedzic zmarł wkrótce potem, co sprawiło, że odebranie mu tytułu straciło znaczenie, lecz Gwidon utracił też całą wiarygodność w oczach baronów królestwa.

Andrzej przełknął ostatni kęs jedzenia, wytarł zatłuszczone usta

grzbietem dłoni i upił głęboki łyk piwa, po czym odwrócił się, aby spojrzeć na siedzącego najbliżej człowieka, drobnego, gładko ogolonego mężczyznę o haczykowatym nosie i zapadniętych policzkach. Jego twarz sprawiała wrażenie, jakby brakowało w niej ust i zębów. Człowiek ten miał też niemal nazbyt szerokie ramiona. Usiadł cicho obok Andrzeja zaledwie chwilę wcześniej, a teraz pilnie wgryzał się w gruby plaster soczystej wieprzowiny. Na początku nie zwracał uwagi na nikogo, lecz kiedy Andrzej pozdrowił go, spojrzał na niego, mruknął i wepchnął przeżuwane mięso w policzek. Andrzej zauważył, że nie ma on przy sobie nic do picia.

- Dobry wieprzek - powiedział nieznajomy. - Jadłeś?

Mówił, ledwo otwierając usta, tak że jego akcent - Andrzej nie miał pojęcia, z jakiego regionu pochodził - miał nosowe brzmienie, lecz przynajmniej jego słowa były zrozumiałe. To ucieszyło Andrzeja, ponieważ to, że przy pierwszym podejściu znalazł wśród tych ogromnych zastępów kogoś, z kim mógł bez problemu porozmawiać, było wręcz nieprawdopodobne. Stłumił beknięcie i kiwnął głową.

- Nie, zjadłem chyba kozę, ale była smaczna. Kiedy ogłoszono dzień odpoczynku? Nie usłyszałem o tym, dopóki nie obudziłem się jakąś godzinę temu i nie poczułem zapachu pieczonego mięsa.

Jego sąsiad pociągnął nosem.

- Wczoraj o północy - powiedział.

- A co z ludźmi rozładowującymi statki?

- Co z nimi? Ktoś musi je rozładować. Wczoraj pracowałem całe

popołudnie, a potem, w nocy, musiałem stać na warcie. Widziałem tam też ciebie, w jednej z grup templariuszy, nie? Jesteś jednym z nich?

335

-Tak, nowicjuszem, w najniższym z niskich szeregów. Jeszcze nie templariuszem, ale pospolitym zerem też nie, więc nigdzie nie mogę nic zwojować. - Andrzej podniósł pusty dzban. - Przyniosę więcej piwa. Chcesz też taki dzban?

Mężczyzna rozejrzał się, jakby był zaskoczony odkryciem, że nie ma przy sobie napitku, i zabrał się do wstawania.

- Pójdę z tobą.

- Nie, przepadną nam miejsca. Zostań tutaj i dokończ jeść. Kiedy wrócił, jego towarzysz zdążył skończyć swój kawałek mięsa i patrzył ponuro w płonące przed nim ognisko. Andrzej podał mu dzban piwa i znów usiadł obok niego.

-To interesujące, że król Gwidon pojawił się tutaj, tak daleko od miejsca, w którym można by się go spodziewać, podczas gdy my mamy podążać mu na pomoc. Nie sądzisz?

-Interesujące? - Strażnik wzruszył ramionami. - Nie. Znaczy... pewnie tak, jak cię to obchodzi. Ale kogo to obchodzi? Poza tym nie jedziemy tam, żeby mu pomóc. Jedziemy, żeby wykopać Saracenów z kraju Boga, co nie? Odzyskać go dla Kościoła... - Potrząsnął głową. - Nie widzę powodów, by mu pomagać, jak o tym myślę... gdybym o tym myślał... Według mnie żaden z niego król. Znaczy, nasz chłopak, Ryszard, to jest dopiero król. Wygląda jak król, ubiera się jak król i

zachowuje jak król. Taki powinien być król... powinien być wojownikiem, zabijaką, wiesz, o co mi chodzi? Kimś, kto wie, co jest jego, i urwie ci głowę, jeśli choć spojrzysz na to z ukosa. To jest król. Te inne typy... Znaczy, spójrz na Filipa... Albo nie patrz. Ja wolę nie patrzeć. Czy jak patrzysz na niego, widzisz od razu króla? Nie wydaje mi się. Och, wszyscy wiemy, że nim jest... Mówi jak król i nosi piękne szaty, ale jest zbyt sztywny. Jest zbyt... Nie wiem, jaki jest, nie znam na to słowa, ale jak na mój gust czegoś ma w sobie dużo. Jest coś, co powinien w sobie mieć, ale tego nie ma. Jasne, każe cię zabić, gdy śpisz, albo zadźgać w ciemnej uliczce, jeśli mu się sprzeciwisz, ale nigdy nie wstanie i nie rzuci ci przekleństwa w twarz, żeby potem urwać ci głowę gołymi rękami, jak Ryszard... A z tego, co słyszałem, ten król Gwidon jest taki sam.

- Co słyszałeś? A tak właściwie jak masz na imię?

- Mika... Tak naprawdę Mikołaj, ale mówią na mnie Mika. A ty? - Andrzej powiedział mu, a on skinął głową. - Tak, no więc Andrzeju,

słyszałem, że ten Gwidon, ten król Jerozolimy, wygląda, że powinien być dobry w walce, ale nieczęsto zdarza mu się walczyć, jeśli wiesz, co mam na myśli. Niezbyt wielu jest pewnych jego przywództwa... To na niego zwalili całą winę za wielką bitwę pod Hattinem, gdzie wymordowali twoich i szpitalników, a wszystkich nas wykopali z Jerozolimy. Mówią, że samodzielnie przegrał całą bitwę, bo był skończonym durniem i nie potrafił się zdecydować, czy zatrzymać się i walczyć, czy

uciec i się schować... Tak czy owak, jeden z wielkich panów, których przywiózł ze sobą, rozmawiał przedwczoraj z królem, naszym królem, a ja stałem na straży, całkiem blisko nich. No więc ten człowiek, jakiś wielki baron z Jerozolimy, mówił, że to Gwidon zaczął dwa lata temu oblegać Akkę i że od tamtej pory trzyma tam ludzi Saladyna. -Przechylił głowę, patrząc z ukosa na Andrzeja. - Wiedziałeś, że został pojmany i trzymany w niewoli przez samego staruszka Saladyna? — Andrzej potrząsnął głową, zaciskając usta, a Mika skinął poważnie głową. - Tak było, ponad rok... Zauważ, że bycie więźniem-królem to pewnie co innego, niż być więźniem i zwykłym, spoconym strażnikiem, bo potem Saladyn wypuścił go, pod warunkiem że Gwidon obieca, iż nie będzie z nim już walczył. Gwidon obiecał, wyszedł, a potem od razu zaczął zbierać armię... No, przysięga złożona bezbożnemu poganinowi to żadna przysięga, co nie? Szczególnie jeśli jest złożona pod... no wiesz...

- Przymusem.

- Właśnie. W każdym razie trochę mu to zajęło, ale w końcu zebrał armię i rozpoczął oblężenie Akki... Słyszałeś o Akce, co nie? Wiesz, co to?

-Tak... i nie. Pamiętam jak przez mgłę, że coś o niej słyszałem, ale było to dawno i nie słuchałem zbyt uważnie. Nie miałem wtedy pojęcia, że kiedykolwiek tam pojadę. Opowiedz mi o niej. Dlaczego jest taka ważna?

- No, jest portem, co nie? To jedno z miejsc, które najechał i zajął Saladyn zaraz po Hattinie. Jedynym miejscem, którego nie udało mu

się wtedy zająć, byłTyr, inny port, bardziej na północ, a zająłby i jego, gdyby nie Konrad de Montferrat. Do wczoraj nawet nie wiedziałem, że istnieje, ale powiem ci, że od tamtej pory dużo słyszałem o tym skurczybyku. Jest Niemcem, jakimś baronem albo wielkim panem, jednym z ludzi Barbarossy, i pojawił się w Ziemi Świętej przez przy-

padek... No, nie tak naprawdę przez przypadek, ale nikt z tamtejszych nie wiedział, że przybywa, a on wpłynął prosto do portu wTyrze z flotą statków pełnych rycerzy i żołnierzy, właśnie tego dnia, kiedy dowódcy przygotowywali się do poddania miasta. Konrad położył temu kres, i to szybko, i efekt był taki, że Saladyn się wycofał... Nikt nie wie tak naprawdę dlaczego, ale zrobił to natychmiast. Zawrócił, pomaszerował na południe i zdobył Akkę... Jego armia wciąż ją zajmuje, choć od dwóch lat miasto jest oblężone, i to król Gwidon zaczął oblężenie.

Andrzej zmarszczył czoło.

- Poczekaj no... Rozumiem to wszystko, lecz co to ma wspólnego z faktem, że Konrad i Gwidon są wrogami?

- Nic, mój chłopcze... i wszystko. Widzę, dlaczego wciąż jesteś nowicjuszem. Konrad i Gwidon są jak koty walczące o tę samą mysz... Myszą jest Królestwo Jerozolimskie i nie dzieje się nic w Ziemi Świętej, co go nie dotyczy. Konrad wpłynął do Tyru przez przypadek i uratował go. Teraz jest panem tej ziemi. Gwidon wpłynął do Jerozolimy i pokrył jej królową... choć nie była wtedy jeszcze królową... i teraz jest królem Jerozolimy. Konrad jest zazdrosny. Królestwo jest większe niż jeden

pieprzony mały porcik, a Konrad chce mieć wszystko dla siebie. Zgodnie z tym, co ten wielki pan mówił wczoraj królowi, być może któregoś dnia będzie to miał... Widzisz, wykłóca się... i zdaje się, że wielu ludzi go popiera... że Gwidon jest królem tylko dlatego, że jego żona, ta Sybilla, była prawowitą królową. Sybilla zmarła w zeszłym roku... odeszła. Ergo, według Konrada i tych, którzy chcieliby widzieć go na tronie, Gwidon nie ma już prawa do korony.

- Ale Gwidon został legalnie koronowany na króla, czyż nie?

Strażnik spojrzał na Andrzeja spod uniesionych brwi.

- Nie wiem. Ktoś zapomniał zaprosić mnie na koronację.

- No cóż, tak było. Koronował go stary patriarcha Jerozolimy. Mika wydął wargi, co było o tyle imponujące, że prawie ich nie miał, a jego usta przypominały poziome rozcięcie. Mimo to, a może właśnie dlatego udało mu się wyrazić sceptycyzm, a kiedy Andrzej zapytał dlaczego, podniósł dłoń i pokręcił głową.

- Zadaj sobie jedno pytanie, chłopcze... Czy naprawdę myślisz, że Montferrata i jego kolesiów choć przez chwilę obejdzie to, co zrobił pięć lat temu jakiś trzęsący się ze starości biskup? Chodzi o królestwo, chłopcze. Czyny jednego biskupa, czy jest patriarchą czy nie, ani na

moment nie ostaną się w obliczu tak ważnej sprawy... - Przerwał i jego twarz zmarszczyła się w uśmiechu. - I mogę powiedzieć ci to z całą pewnością, ponieważ słyszałem, jak to samo, słowo w słowo, mówił wczoraj ten możny z Jerozolimy królowi Ryszardowi, gdy król

wspomniał o koronacji króla Gwidona... Widzisz, ich nie obchodzi, co jest legalne. Obchodzi ich tylko wsadzenie Konrada na tron i wyrzucenie Gwidona na pustynię. Od kiedy Konrad wylądował w Tyrze i usłyszał, co się stało pod Hattinem, usiłuje podkopać pozycję Gwidona i zająć jego miejsce. Nie ustaje ani na chwilę... Kiedy Gwidon został uwolniony przez Saladyna i udał się do Tyru, od razu poprosił Konrada o klucze do miasta, ponieważ był królem i to było jedyne, co zostało z jego królestwa. Oczywiście nie dostał ich. Konrad oskarżył go o to, że do niczego się nie nadaje i że jest tchórzem, a także powiedział Gwidonowi, że wraz z haniebną porażką pod Hattinem jego prawo od używania tytułu króla przepadło. Bezczelnie ogłosił się władcą królestwa i wyrzucił Gwidona z miasta. Nie miał oporów przed przejęciem korony w ten sposób. Wcześniej zmienił się już z zera w pana Tyru, więc przejęcie tronu nie było już specjalnie trudne. Zamiast odejść... zresztą nie miał dokąd pójść... Gwidon został po prostu pod Tyrem i poza murami zbierał armię, a Konrad nie zrobił nic, aby go zniechęcić... Co więcej, posyłał mu ludzi, ponieważ miał w mieście więcej gąb, niż potrafił wykarmić. Gwidon zebrał w końcu około siedmiuset ludzi. Większość z nich była templariuszami, a wielu trafiło do niego z Tyru, między innymi mistrz Zakonu, de Rid-coștam.

- Gerard de Ridefort.

-Tak, on... To miało wielkie znaczenie, ponieważ kiedy Gwidon zdobył wsparcie templariuszy, zaczęli napływać inni, żeby do niego dołączyć, i wkrótce miał pod bronią kilka tysięcy ludzi, którzy rwali się

do walki. W sierpniu pomaszerował z nimi na południe i rozpoczął oblężenie Akki. Konrad, bojąc się stracić przewagę nad Gwidonem, wkrótce poprowadził część swoich ludzi i dołączył z nimi do oblężenia. Jemu i Gwidonowi udało się przez jakiś czas współpracować, i żeby oddać Gwidonowi sprawiedliwość, spisał się naprawdę dobrze w jedynej znacznej potyczce, jaką mieli poza murami miasta z ludźmi Saladyna. Lecz armia szybko rozpadła się na odłamy, ludzie Gwidona przeciw ludziom Konrada, i tak było ponad rok...

339

- I? To nie koniec. Słyszę to w twoim głosie.

- Tak, to prawda... A potem pojawił się król Filip wraz ze swoją połową armii... Kilkakrotnie spotkał się z nimi obydwoma, porównał jednego z drugim i wybrał Konrada. To dlatego król Gwidon jest tutaj. Zdecydował, że nie może czekać na Ryszarda, ponieważ Filip rozpowiada wszystkim, iż król jest bardziej zainteresowany igraszkami z przyjaciółmi niż przybyciem do Ziemi Świętej. Zatem Gwidon zostawił Filipa i Konrada pod Akką i przypłynął tutaj ze swoimi najlepszymi rycerzami, mając nadzieję, że przekona Ryszarda, iż powinien pospieszyć do Akki i przywołać Filipa do porządku.

- Myślisz, że mu się uda?

- Przekonać króla? — Mika się skrzywił. — Doradcy króla być może powiedzą ci, że tak się stanie... Sądzę, że już mu się udało, ponieważ Ryszard wysłuchał go bardzo uważnie, a kiedy Gwidon skończył mówić, sprezentował mu nowe ubranie i zbroję... Stare ubrania Gwidona były

obdarte, a jego kolczuga zardzewiała i rozpadała się na kawałki. Dał mu też tysiąc pięćset funtów w srebrnych markach i różne inne skarby...

Służę królowi od wielu lat i nigdy nie widziałem, żeby zrobił coś takiego dla kogoś, kogo nie lubił lub komu nie zamierzał pomóc.

- Hmm. Biorąc pod uwagę twoje obeznanie i doświadczenie, jak sądzisz, co zrobi teraz?

Andrzej nie otrzymał odpowiedzi, ponieważ kiedy zadawał pytanie, do ogniska zamaszystym krokiem podszedł jeden z przyjaciół Miki, przynosząc wiadomość, która poderwała ich obydwu na nogi.

Powiedział im, że Izaak Komnen wysłał do Ryszarda posłów, prosząc o pokój i zażegnanie konfliktu, a Ryszard, jak zwykle pochopny, już się zgodził na zawieszenie broni i zobowiązał do spotkania z cesarzem przed bramami Limassolu wczesnym popołudniem. Król miał pojechać w pełnym rynsztunku, a Mika i inni mieli w pełnej zbroi paradnej towarzyszyć Ryszardowi.

Andrzej, nie chcąc przegapić konfrontacji między królem i Izaakiem Komnenem, wrócił na pokład statku, wziął kuszę - w razie gdyby przydarzyła się później okazja, aby potrenować - zawiesił ją wraz z kołczanem na ramieniu i ruszył piechotą w stronę miejsca spotkania na płaskowyżu, na zachód od bram miasta.

5

Andrzej przybył na miejsce w samą porę, żeby znaleźć sobie dobry punkt widokowy na szczycie wielkiego, samotnego głazu.

Izaak pojawił się pierwszy, jadąc na wspaniałym ogierze, przekonany zapewne, że przedstawia obraz imponującego przepychu. Andrzej aż uniósł brwi z podziwu. Lecz kiedy przybył Ryszard, siedząc na grzbiecie równie okazałego wierzchowca, zdobił go tak wspaniały złoty oręż i biżuteria, bajecznie kolorowe szaty oraz bezcenny ekwipunek, iż cypryjski cesarz zaniemówił z wrażenia. Izaak był tak stropiony, że wręcz płaszczył się przed angielskim królem.

Spotkanie trwało krótko. Izaak błagał z wielką pokorą o wybaczenie za swoje występki. Pokornie przekazał wszystkie zamki na Cyprze rycerzom Ryszarda, aby mogli w nich stacjonować, i obiecał, że zasili frankońską kampanię rycerzami, konnymi łucznikami i piechotą. Zaoferował rekompensatę w wysokości piętnastu tysięcy funtów w złocie za pieniądze, które skradł z wraku dromony, i zaproponował, że odda swoją jedyną córkę jako rękojmię jego przyszłego właściwego zachowania. Ryszard, który z jakiegoś powodu wciąż był skłonny do wspaniałomyślności, miłościwie przyjął kapitulację Izaaka, a potem wezwał kapitana własnej straży i nakazał natychmiast zwrócić wspaniały namiot zdobyty w porzuconym obozie cesarza w Kolossi. Dwaj władcy przypieczętowali rozejm pocałunkiem i Ryszard powrócił na zamek w Limassolu, a Izaak został, aby czuwać nad wzniesieniem jego wielkiego namiotu rycerskiego w miejscu, gdzie podpisali zawieszenie

broni. Andrzej ruszył w stronę strzelnicy dla łuczników, myśląc, że jak na człowieka o reputacji porywczego narwańca, Ryszard świetnie sobie poradził z cypryjskim cesarzem.

Zanim dotarł do toru strzelniczego, zatrzymał go jeden z rycerzy Ryszarda, młody elegant, który obcesowo rozkazał mu natychmiast

się stawić przed królem, po czym odwrócił się na pięcie, aby Andrzej sam wrócił do zamku. Urażony grubiańskimi manierami rycerza, Andrzej gwizdnął za nim głośno i przywołał go do porządku, zrugał za wyniosłe, obraźliwe zachowanie i zażądał informacji, gdzie król czeka na niego. Otrzymał odpowiedź, której się spodziewał - miał się stawić w kwaterach króla - lecz kiedy przebrzmiała, Saint Clair zdążył podejść już do wyniosłego młodego rycerza i znajdował się w zasięgu ręki od jego kostki. Chwycił ją pewnie, wyrwał stopę rycerza ze strzemienia, a potem otwartą dłonią drugiej ręki uderzył od spodu odkrytą podeszwę buta i mocno pchnął w górę. Zaskoczony rycerz zleciał z siodła i spadł z gruchotem na ziemię, zachłystując się i nie mogąc złapać oddechu.

Zanim zaczął dochodzić do siebie, Saint Clair stanął nad nim i delikatnie, lecz stanowczo przycisnął obcas buta do jego gardła, a czubkiem obnażonego sztyletu obrysował łagodnie nos rycerza.

- A zatem, panie - wymamrotał Andrzej cicho, lecz wyraźnie. -Jest dla mnie nader oczywiste, że ktoś powinien porozmawiać z tobą o dobrych manierach, zachowaniu oraz właściwym okazywaniu skromności i samodyscypliny. Jesteś młodym i głupim rycerzem, który patrzy

na człowieka takiego jak ja, ubranego w prostą tunikę i nogawice, i nie widzi nic godnego podziwu, nic, co wskazywałoby na to, że mogę być godzien kulturalnego zachowania lub choć odrobiny szacunku. - Czubek sztyletu stuknął ostrożnie, lecz dość mocno o grzbiet nosa. - A to dlatego, panie, że musisz się jeszcze wiele nauczyć i najwyraźniej masz w głowie mało miejsca, gdzie mogłoby się to pomieścić. - Andrzej wsadził czubek ostrza do nozdrza rycerza i pociągnął delikatnie w górę. - Słuchaj teraz uważnie, panie ignorancie, co mam ci do powiedzenia. Ja też jestem rycerzem i mam więcej doświadczenia i prawdopodobnie wyższą pozycję niż ty. To sprawia, że wychodzisz na jeszcze większego głupca, ponieważ nie zauważyłeś tego i trzeba ci było na to zwrócić uwagę. Nazywam się Andrzej Saint Clair. Zapamiętaj to. Jestem Andegaweńczykiem z Poitou, wasalem i lennikiem króla Ryszarda, który pięć lat temu osobiście pasował mnie na rycerza. Jeśli więc mój pan wezwie mnie w przyszłości i wyśle cię, abyś mnie odszukał, zwracaj się do mnie z szacunkiem. W przeciwnym razie zrobię z ciebie garbusa, przesuwając kopniakiem twój niewychowany tyłek pomiędzy łopatki. Czy mnie rozumiesz, mój śliczny? - Mocniej naciągnął sztyletem nozdrze rycerza. - Rozumiesz mnie?

Rycerz wyraźnie chciał skwapliwie przytaknąć, lecz nie mógł tego zrobić, nie rozcinając sobie samemu nosa, więc Andrzej przytrzymał go w miejscu jeszcze chwilę, po czym się odsunął, aby pozwolić mu wstać. - Czy zdajesz sobie sprawę, że nie zapytałem o twoje imię? To dla

tego, że mnie ono nie interesuje. To znaczy też, że nie będę o tym roz
powiadał. Niech cię to zadowoli i nie myśl nawet o tym, aby się mścić.
Czy wyrażam się jasno? Jeśli to zrobisz, sprawię ci wielkie kłopoty, tak
mi dopomóż Bóg! Teraz wracaj do króla i powiedz mu, że muszę się
ubrać, lecz będę w jego kwaterach w ciągu godziny. Idź!
- Co zrobiłeś młodemu Dorville'owi?
Od czasu przybycia Andrzeja do królewskich kwater minęła godzina.
Wnioskując z kilku zawoalowanych aluzji, które poczynił Ryszard -
choć ich nie rozwijał - Andrzej podejrzewał, że pytanie to może paść,
był więc w stanie zachować kamienną twarz.
- Dorville, panie? Nie znam nikogo o nazwisku Dondlle. Czy po-
winienem?
- Dobrze wiesz, o kim mówię. Rycerz, którego wysłałem, aby cię
wezwał.
- Ach, ten typ. Udzieliłem mu jedynie małej lekcji pokory, panie.
Nie powinna się zmarnować.
- Udzieliłeś lekcji pokory Dondlle'owi. Jak to zrobiłeś? Nawet nie
próbuj kłamać. Chcę usłyszeć prawdę.
- Zwróciłem mu po prostu uwagę, że moim zdaniem zasługuję na
więcej szacunku, niż mi okazywał, panie.
-A gdzie się dokładnie znajdował, kiedy zwracałeś mu na to uwagę?
- Leżał na plecach u moich stóp, panie. Miałem pod obcasem jego
jabłko Adama.
- Co podobało ci się najbardziej w tym, co robiłeś?

- Wyraz jego twarzy, kiedy zdał sobie sprawę ze swojego położenia.

- Hmm. A co podobało ci się w nim najmniej? -Jego

zapach, panie. Był zbyt... słodki, zbyt kobiecy.

- Sprawię, że go zmieni, i to z przyjemnością. Zdajesz sobie spra

wę, że nie jest jednym z nas?

- Jednym z nas? Nie rozumiem.

- I nic dziwnego. Jest jednym z ludzi Filipa, urodzonym i wycho-

wanym w Vexin za okupacji mojego ojca. Przypuszczam, że nienawidził mojego ojca, starego lwa, nawet bardziej niż ja. W każdym razie kiedy obrażony Filip wyjechał, zostawiono go tutaj, aby w razie potrzeby pełnił rolę posłańca i łącznika między nami a Francją. Jest zarozumiały i ma tendencję do zbytniego krytycyzmu. Uważa chyba, że wszystko, co robimy i posiadamy, nie spełnia norm, które narzuciłby on, gdyby miał szansę. Jest jednak bardzo młody. Czasami trudno mi go znieść, lecz miło się na niego patrzy. No dobrze, chcę, żebyś jutro rano zabrał damy na polowanie.

Andrzej stał nieruchomo. Słowa te wytrąciły go z równowagi i nie wiedział, co na nie odpowiedzieć, lecz w końcu odzyskał głos, jego umysł znów zaczął pracować i potrząsnął głową.

- Nie, panie, wybacz mi, lecz nie mogę tego zrobić... Jako nowicju-

szowi Zakonu nie wolno mi przestawać z kobietami. To jednoznacznie zakazane, jeden z najsurowszych wymogów. Nieprzestrzeganie go uniemożliwiłoby mi wstąpienie w szeregi Zakonu.

- Tak, możliwe. Lecz czy naprawdę by cię to zmartwiło? Mam dość zadań, abyś pracował dla mnie przez resztę życia, rzeknij tylko słowo.
- Nie, panie, to niemożliwe... Choć zdaję sobie sprawę, że nawet wypowiadanie takich słów jest niewybaczalne. Lecz nie mogę się teraz wycofać z mojego położenia, zachowując honor. Jestem już w to zaangażowany. Nie złożyłem jeszcze ślubów, lecz uznaje się za oczywiste, że jestem o krok od pełnego podjęcia moich obowiązków. Poza tym nie rozumiem, dlaczego teraz masz zastrzeżenia. To ty wpadłeś na pomysł, abym wstąpił do Zakonu.
- Tak, to prawda. Ale stało się to, zanim miałem szansę, aby przemyśleć sytuację... a ci przeklęci księża jeszcze żyli. Od tamtej pory wszystko się zmieniło, a teraz potrzebuję cię.
Andrzej pokręcił głową, lecz Ryszard podniósł władczo dłoń.
- Dość, nie mów nic więcej. Żartowałem tylko, choć nie do końca. Może w połowie. Może sprawdzałem... Nie spiesz się i przemyśl dokładnie tę sprawę. Masz jeszcze czas, zanim ktokolwiek będzie oczekiwał od ciebie złożenia oficjalnych ślubów, aby zmienić zdanie z dobrego i wystarczającego powodu. Tymczasem wciąż chcę, abyś zabrał rano damy na polowanie. Mogę załatwić ci specjalną dyspensę przez

mistrza Zakonu w Poitou, de Troyes'a, i tak zrobię. Nie masz wyboru, Andrzeju. To nie prośba, to rozkaz. Nie zniosę dłużej tego, że jestem bez przerwy otoczony kobietami... oszaleję od tego. Joanna zdecydowała, że życzy sobie pojechać na polowanie, a ja znam moją siostrę. Nie

przestanie mnie tym zanudzać, dopóki nie postawi na swoim, lecz chcę, żeby pojechała na polowanie i zabrała ze sobą moją małżonkę Berengarię. Słyszałem, że dobrze poluje... jeździ jak mężczyzna i zabija jak lis, tak jak Joanna. Sądzę, że sprawi ci to przyjemność, kiedy już pokonasz swoje mnisie opory... Zaproponowałem, że wyślę z nimi moich strażników, lecz Joanna nie chce o tym słyszeć. Chce kogoś, z kim może porozmawiać, kogoś na tyle rozumnego, jak to ujęła, aby potrafił iść i rozmawiać, nie potykając się o swój napletek. Przede wszystkim nie chce żadnych strażników. Chce po prostu polować, bez pompy, bez pełnego rynsztunku, nie zwracając niczyjej uwagi. Ubierze się w strój myśliwego, jak zawsze, i nikt, kto będzie na nią patrzył z większej odległości niż dziesięć kroków, nie będzie podejrzewał, że jest kobietą. Berengaria podobno zrobi to samo. Wiem od Joanny, że ma własny strój myśliwski. Joanna mówi, a ja się z nią zgadzam, że nie potrzebują wielkiej eskorty. Berengaria jednak jest moją żoną, królową Anglii, i nie mogę pozwolić jej pojechać za miasto bez opieki, na łasce bogów. Ktoś musi jej towarzyszyć, ktoś godny zaufania i odpowiedzialny. - Wzruszył ramionami. - Tak więc naturalnie wybrałem ciebie na opiekuna mojej żony.

Andrzej rozłożył ręce na znak protestu.

- Ale dlaczego ja, panie? Musi być...

- Joanna poprosiła właśnie o ciebie, Andrzeju, więc koniec dyskusji. Najwyraźniej zrobiłeś na niej wielkie wrażenie.

- To niemożliwe, panie. Spędziłem z nią i lady Berengaria niecałą

godzinę.
Król uśmiechnął się lekko, a dookoła jego oczu pojawiły się drobne zmarszczki.
- Mój młody przyjacielu, to aż nadto czasu, żeby kobiety zaczęły knuć intrygi i snuć plany. Poinformuję moją siostrę, że będziesz czekał na nią o świcie w stajniach. Będziesz tam, prawda?
- Oczywiście, panie, jeśli nalegasz.
- Świetnie, nalegam. Zjesz z nami też dzisiaj wieczerzę. I tak już czas, żebyś poznał króla Gwidona i jego rycerzy. Spodobają ci się. To

ludzie naszego pokroju, Andrzeju, honorowi, bezpośredni, którzy nie boją się mówić, co myślą. Poza tym twój ojciec będzie dzisiaj przy stole. Kilka dni temu wysłałem go do Famagusty na czele zbrojnych i wrócił dziś po południu. Na pewno będzie chciał się z tobą spotkać, więc będzie to przyjemny wieczór. Do zobaczenia przy stole.
Andrzej nie miał pojęcia, czy Ryszard widział go przy stole, w każdym razie nie rozmawiali. I tak było zbyt głośno, żeby rozmawiać, nie podnosząc głosu do krzyku, i zbyt wielu nowych ludzi, których trzeba było poznać. Andrzej polubił prawie wszystkich latyńskich rycerzy, których spotkał, i zapytał, czy ktokolwiek z nich zna lub wie cokolwiek o jego krewnym, templariuszu, sir Aleksandrze Sinclair. Trzej z nich pamiętali Aleca mniej lub bardziej wyraźnie, choć nie przypominali sobie, aby widzieli go po bitwie pod Hattinem. Andrzej przełknął rozczarowanie i wciąż pytał, już nie o Aleca Sinclaira, lecz o wszystko,

co przyszło mu do głowy w związku z Saladynem, Sara-cenami i ich sposobami toczenia wojny. Najadł się do syta - w końcu siedział przy królewskim stole - lecz nie pił wiele, ponieważ nie chciał przegapić ani słowa z rozmów toczących się dookoła niego. Fascynowali go ci ludzie i to, co mówili w odpowiedzi na jego pytania, ponieważ wszyscy byli weteranami pustynnych wojen i każdy z nich stawał już z wrogiem oko w oko.

Później, gdy już alkohol zaczął wszystkim szumieć w głowach, poszedł poszukać swojego ojca, lecz nie znalazł go. Andrzej domyślił się, że Henryk po prostu wymknął się do własnych kwater przekonany, że o tej porze nikt nie zauważy jego nieobecności. Doszedł do wniosku, że jego ojciec jest mądrym człowiekiem i warto pójść w jego ślady. Przypomniał sobie ponadto, że musi wcześnie wstać, aby towarzyszyć królowym na polowaniu, choć pomyślał, że wolałby się dobrowolnie oślepić, niż podjąć tego zobowiązania. Czuł, że jego towarzysze będą uprzykrzać mu z tego powodu życie, bez względu na to, jak nagłośniona będzie dyspensa udzielona przez Etienne'a de Troyes. Szybko uczył się, że kobiety są przekleństwem dla Zakonu. Nawet krótkie spotkanie z królowymi Joanną i Berengarią - zwykła rozmowa, zainicjowana na osobiste życzenie króla — zostało odnotowane i zapatrywano się na nie nieprzychylnie. Andrzej wiedział, że jutrzejszy wy-

pad też nie pozostanie niezauważony, lecz nie miał wyboru. Opuścił hulankę właśnie w momencie, kiedy dwaj rycerze zaczynali okrążać się

nawzajem z obnażonymi klingami na pospiesznie uprzątniętym kawałku podłogi.

Noc była piękna. Kiedy Andrzej przeszedł przez bramy miasta i udał się w stronę portu, odgłosy sali jadalnej były już daleko za nim. Potem jednak przed nim rozległy się inne donośne głosy i znów usłyszał brzęk stali o stal, bardziej natarczywy niż ten, który zostawił za sobą. Tam rycerze walczyli dla sportu, w zaplanowanym pojedynku; w innym wypadku nie mogliby wyciągnąć oręża w obecności króla. Ludzie przed nim nie mieli takich ograniczeń i najprawdopodobniej nie wiedzieli ani nie dbali o to, gdzie jest król. Z dobiegających go przekleństw wnioskował, że szybko poleje się krew. Wiedział też, że walczący są żołnierzami i że jeśli zbliży się do nich, będzie miał obowiązek - jako rycerz - zainterweniować. O tej porze konfrontacja z nieznajomymi, wściekłymi i pijanymi żołnierzami piechoty i usiłowanie powstrzymania ich byłoby szaleństwem.

Andrzej przystanął i zaczął nasłuchiwać, patrząc przed siebie, w ciemność. Był na tyle blisko, by słyszeć, co się dzieje, lecz zbyt daleko, aby coś widzieć lub być widzianym. Zawahał się chwilę, po czym się oddalił od odgłosów bójki. Szedł w stronę małego płaskowyżu, na którym wcześniej tego dnia Ryszard spotkał się z Izaakiem Kom-nenem. Kiedy rozpoznał to miejsce, w jego polu widzenia pojawił się strzelisty kształt cesarskiego namiotu, otoczonego i oświetlonego migoczącymi pochodniami strażników Ryszarda, którym nakazano zapewnić wygodę i bezpieczeństwo byłemu wrogowi.

Wiedząc, że straż na pewno zapyta go o hasło, jeśli będzie dalej szedł w tamtą stronę, znów się odwrócił i poszedł w stronę plaży. Akurat księżyc w pełni wychynął zza chmury, a jego światło zalało całą równinę. Andrzej kątem oka zauważył ruch gdzieś w okolicach namiotu Izaaka - zerknął w tamtą stronę, lecz nic nie zobaczył. Tymczasem jeden ze strażników Ryszarda ruszył na obchód, nie zatrzymując się ani na chwilę, i wkrótce zniknął za wzniesieniem.

Andrzej już miał ruszyć dalej, gdy ktoś wybiegł spośród cieni rzucanych przez stertę kamieni, przemykając chyłkiem w stronę Saint Claira i co kilka kroków oglądając się za siebie. Andrzej się nie poruszył, zastanawiając się, czego jest właśnie świadkiem.

Mężczyzna ewidentnie wyszedł z namiotu Izaaka Komnena. Równie jasne było to, że robił wszystko, aby królewska straż go nie zauważyła. Andrzej wnioskował, że biegnący musi być jednym z Cypryjczyków Izaaka, ponieważ nikt z armii Ryszarda nie śmiałby ryzykować obrazy króla, popełniając wobec cypryjskiego cesarza jakiś nierozważny czyn. Jednak z drugiej strony - co, jeśli jeden z własnych ludzi Ryszarda rzeczywiście postanowił pozbyć się Izaaka, sądząc, iż stanowi on większe zagrożenie niż w rzeczywistości? Myśl ta nie była znów tak dziwaczna. To samo przydarzyło się Ryszardowi na sycylijskim targu. Andrzejowi przemknęło przez myśl, że być może Izaak leży już martwy w swoim namiocie, zabity przez człowieka, który teraz biegł nieświadomie w jego stronę.

Księżyc znów schował się za chmurę. Andrzej szybko ruszył do przodu, chcąc go zatrzymać, ale usłyszał tylko zdumione sapnięcie, odgłos stali wyciąganej z pochwy i świst towarzyszący silnemu zamachowi mieczem. Nie miał czasu dobyć własnej broni i tylko refleks uratował mu życie. Kucnął, podkulił głowę do przewrotu do przodu, przeturlał się pod tnącym ostrzem i powalił przeciwnika kopniakiem. Obrócił się, kiedy poczuł, że mężczyzna pada, i zerwał się na nogi, wyciągając sztylet.

Jego przeciwnik wylądował umiejętnie, nie wypuścił broni i już znów się podnosił, podpierając się wyprostowaną ręką o ziemię i dla równowagi wyciągając drugą, w której trzymał miecz. Andrzej chciał się rzucić do przodu, aby kopnąć ramię, na którym podpierał się przeciwnik, lecz ten przypominał kota, był szybki i silny. Pchnął miecz koszącym ciosem, który przeciąłby wszystko na swojej drodze. Na szczęście Andrzej dostrzegł niebezpieczeństwo i zmienił kierunek, skacząc do tyłu, a nie do przodu; czubek ostrza przemknął obok jego prawego kolana w odległości dłoni. Znów rzucił się w przód, przerzucając sztylet do lewej ręki, i kiedy tylko jego lewa pięta dotknęła ziemi, skoczył, sięgając szyi przeciwnika wyprostowanymi rękami. Niemal mu się udało znów powalić tamtego na ziemię, lecz mężczyzna już odskakiwał w tył. Stopa Andrzeja zahaczyła o jego kostkę, tak że się zatoczył, a zanim zdążył odzyskać równowagę, Andrzej miał już w dłoni własny miecz.

Brzęk kling ich mieczy zwabił wreszcie strażników, a ich widok pobudził uciekającego do większego wysiłku. Przypuścił na Andrzeja

atak falą ciosów, które rycerz z ledwością odparował, a potem zbliżył się i uderzył go barkiem w klatkę piersiową. Saint Clair zatoczył się i padł na plecy, a miecz wypadł mu z ręki. Mężczyzna rzucił szybkie spojrzenie przez ramię, aby się upewnić, czy strażnicy są wciąż dostatecznie daleko, chwycił miecz obiema rękami, uniósł go nad głowę i skierował ostrze w dół niczym włócznię, przygotowując się do wbicia go - mimo kolczugi - w pierś Andrzeja. Kiedy jednak był całkowicie wyprostowany i zawahał się podczas celowania, żelazna rękojeść sztyletu Andrzeja, rzuconego z całej siły od dołu, trafiła go w szyję i zmiażdżyła jego jabłko Adama, przez co zwalił się z nóg jak ubity toporem wół.

Chwilę później przybiegli trzej strażnicy i kucnęli z bronią w garści dookoła dwóch leżących na wznak mężczyzn, a kiedy Andrzej usiłował wstać, jeden z nich podszedł i zbliżył ostrze miecza do jego szyi. Rycerz cofnął się i uniósł ręce.

- Nie mam broni. Nazywam się Saint Clair. Sir Andrzej Saint Clair z Poitou, wasal króla Ryszarda. Wśród was jest strażnik o imieniu Mika. Zna mnie. Czy pełni dziś z wami służbę?

- Tak - warknął jeden z nich, wlepiając w Andrzeja wojownicze spojrzenie. -1 co z tego?

- Zaprowadźcie mnie do niego. Lecz najpierw pozwólcie mi spojrzeć na tego człowieka.

Wstał powoli, a strażnicy podeszli bliżej, trzymając miecze w gotowości. Andrzej pochylił się nad leżącym uciekinierem i poszukał pulsu

pod żuchwą. Znalazł go - robił wrażenie silnego i miarowego -lecz wtedy znów wyszedł księżyc i Saint Clair ujrzał twarz człowieka, który usiłował go zabić i być może zabił Izaaka Komnena. Niezwykle zdumiony podniósł się na nogi i zmęczonym gestem nakazał strażnikom schować miecze.

- No już - powiedział. - Muszę natychmiast porozmawiać z Miką. Jeden z was może pilnować mnie z mieczem, jeśli potrzebujecie gwa rancji, że nie spróbuję uciec, lecz chcę, żeby pozostali dwaj bacznie strzegli tego człowieka. Podejrzewam, że zamordował cesarza Cypru, tego, którego macie strzec. Patrzyłem, jak mija wasze patrole, jakby was tam nie było, i nadszedł od strony namiotu. Zatrzymajcie go tu taj, pod strażą, dopóki się nie dowiemy, co robił. Jeśli spróbuje uciec, zwiążcie go. A teraz niech jeden z was zaprowadzi mnie do Miki.

Znaleźli go w otoczeniu innych strażników, pogrążonego w zażartej dyskusji, a Andrzej z zaskoczeniem zauważył, że Mika, którego wziął za pospolitego strażnika, ma wyższy stopień niż jego towarzysze i więcej władzy, ponieważ wszyscy oni wyraźnie oczekiwali od niego wskazówek. Saint Clair przerwał ich dysputę i odciągnął Mikę na bok, po czym zaczął opowiadać o swoich podejrzeniach co do więźnia. Lecz zabarwione gniewem niedowierzanie widoczne na twarzy strażnika szybko pozbawiło go pewności i przestał mówić niemal w pół słowa.

- Izaak żyje - powiedział strażnik. - Uciekł konno wraz ze wszyst kimi swoimi ludźmi, zmierzając galopem w stronę gór. Potrącił po

drodze dwóch strażników i zabił jednego z nich, jednego z moich naj lepszych ludzi. Moi chłopcy pilnowali swojego frontu, nie oczekiwali, że zostaną zaatakowani od tyłu... tym bardziej przez ludzi, których strzegli. Nie wiem, co się dzieje, ale ten cypryjski sukinkot zadławi się na śmierć własną żółcią, jeśli jeszcze kiedyś zobaczę go na oczy.

Andrzej wskazał za siebie kciukiem.

- Mam tam więźnia, francuskiego rycerza. Złapałem go, jak ucie kał od twoich strażników z tego namiotu. Teraz pilnuje go dwóch twoich ludzi i chcę, żebyś nie spuszczał z niego oka i zabrał go prosto do króla. Wiem, kim jest, lecz nie byłoby dobrze, gdyby uciekł. Znik nąłby w górach tak szybko i z taką łatwością jak Izaak, i być może nie udałoby się nam go znów złapać. Cokolwiek się tu dzieje, ten czło wiek jest do tego kluczem, więc Ryszard będzie chciał go przesłuchać. Czy przeszukaliście namiot? Jesteś pewien, że Izaak zniknął?

Pomruk Miki był pełen obrzydzenia.

- Tak, jestem pewien. Nie mieliśmy czasu na dokładną inspekcję, bo te skurczybyki uciekły ledwie chwilę, zanim pojawiłeś się tutaj. Nie ma tam ciał ani krwi, ale nie wiem, co tam jest, co zostawili po sobie. Wiem tylko, że zniknęli, i wnioskując z tego, jak szybko odje chali, już nie wrócą. Mówisz, że ten rycerz, którego schwytałeś, jest Francuzem?

-Tak, jednym z ludzi Filipa, został tutaj, aby pełnić rolę łącznika z Ryszardem.

-To lepiej, żebyśmy zaciągnęli go do Ryszarda jak najszybciej, i

niech jego oprawcy dowiedzą się, co robił.

Mika odwrócił się do jednego z podwładnych i zaczął wydawać

rozkazy, aby zebrać swoich ludzi. Tylko czterej zostali, aby chronić przepięknie zdobiony namiot - spodziewano się, że odzyskanie go ucieszy Ryszarda - przed grabieżcami.

Ryszard był wściekły. Słuchał ze zdumieniem, kiedy Andrzej opowiadał, jak zobaczył i zatrzymał francuskiego rycerza, i uniósł wysoko brwi, słysząc, że Dorville usiłował zabić Saint Claira. Dopiero wtedy zażądał, aby przyprowadzono do niego Francuza pod strażą. Przyglądając się i przysłuchując z odległego kąta komnaty audiencyjnej, Andrzej wyczuł, że król ma opory, aby źle myśleć o więźniu. Jednak w miarę jak postępowało przesłuchanie rycerza, stawało się jasne, że jego zadziorność i pogarda wystawiają cierpliwość monarchy — nawet w najlepszym wypadku krótkotrwałą - na ciężką próbę.

W końcu Ryszard stracił ją zupełnie.

- Na Boga, czy uważasz mnie za głupca, panie? — Ryknął po kolejnej drwiącej odpowiedzi na proste pytanie. - Chcesz się ze mnie śmiać? No cóż, zobaczysz, że nie lubię, kiedy śmieją się ze mnie py-szałkowate fircyki. - Strzelił palcami na kapitana straży. - Zabierz tego człowieka do lochów i znajdź odpowiedzi na pytania, które mu zadawałem. Sprawdź, czy rozgrzane do czerwoności żelazo lepiej rozwiąże mu język niż uprzejme pytania.

Dorville szybko zmienił nastawienie. Jedno spotkanie z rozgrzanym

żelaznym pogrzebaczem przyłożonym do ramienia wystarczyło, aby się pozbył wyniosłości, a sama groźba oszpecenia twarzy tym samym narzędziem zupełnie rozwiązała mu język. Jak sam Ryszard zwrócił potem uwagę Andrzejowi, można policzyć na jego rachunek to, że sądził, iż dobrze wypełnił swoje zadanie, oraz że nie można odczynić tego, co zrobił, więc - dość rozsądnie - nie dostrzegał konkretnych korzyści w znoszeniu oszpecenia czy tortur. W związku z tym, kiedy już udało mu się zebrać resztki zszarganej godności, zupełnie otwarcie mówił o swoim czynie, zdradzając nawet dumę z niego.

Wyznał, że poszedł do Izaaka pod osłoną nocy i powiedział mu, że Ryszard postąpił wobec niego nieuczciwie. Zamierzał wrócić tej nocy, po zaśnięciu poddanych cesarza, aby zaaresztować ich wszystkich oraz zakuć Izaaka w kajdany. Robiąc to, Dorville rozmyślnie zagrał na dobrze znanym lęku Izaaka przed łańcuchami, wiedząc, że na sam dźwięk słowa “kajdany" cesarz straci z oczu wszystko poza ucieczką. Dorville twierdził, że działał wyłącznie z własnej inicjatywy. Chciał

jedynie pomóc swojemu panu, królowi Filipowi Augustowi, w osiągnięciu jego celów w Zamorzu wraz z Konradem de Montferrat. Wplątując Ryszarda w czasochłonną walkę na Cyprze, a przez to opóźniając odpłynięcie angielskiej floty, Doralłe chciał zapewnić Filipowi więcej czasu. Powiedział, że działał bez wspólników, i stanowczo twierdził, że król Filip nie miał pojęcia o jego planach.

Ryszard wysłuchał tego wszystkiego, opierając podbródek na dłoni, a

łokieć na oparciu krzesła; kiedy Dorville skończył mówić, rozmyślał bez ruchu o tym, czego się dowiedział. W końcu wyprostował się i spojrzał na więźnia spod zmarszczonych brwi, a jego podbródek spoczywał teraz na jego piersi.

- A zatem - warknął w końcu złowrogo niskim głosem - odpłaciłeś mi za moją gościnność podwójną grą na rzecz swojego pana... i wplątałeś mnie w wojnę, której nie szukałem. Niech zatem będzie. Spędzisz tę wojnę w kajdanach, którymi straszyłeś Komnena. Myślę, że w podwójnym zestawie kajdan, w nagrodę za twoją uprzejmość i jako symbol mojej wdzięczności. — Uniósł podbródek i przyjrzał się reakcji Dorville'a, mrużąc oczy. — Sądzisz, że żartuję sobie z ciebie, mówiąc o wdzięczności, prawda? Nie żartuję. Gdybym nie był wdzięczny, już szedłbyś na egzekucję. W tej sytuacji postanowiłem być pobłażliwy i pozwolić ci pożyć jeszcze trochę. — Na jego twarzy pojawił się nieznaczny uśmiech. - Dałeś mi świetny powód do zarekwirowania ogiera tego Żyda. Jest zdecydowanie zbyt szpetny, aby posiadać tak wspaniałe zwierzę, którego pragnę od momentu, kiedy je ujrzałem.

- Panie? - odezwał się wysokim, drżącym głosem jeden z ludzi stojących obok Ryszarda.

Ryszard zerknął na niego.

- O co chodzi, Malbecąue?

- Panie, Izaak Komnen nie jest Żydem. Jest Bizantyjczykiem.

Twarz Ryszarda poczerwieniała z wściekłości.

- Nie jest Żydem? Izaak nie jest Żydem? Oszalałeś, panie Mal

becąue? Oczywiście, że jest Żydem. Czy spotkałeś kiedyś jakiegoś Iza
aka, który nim nie był? Jak ci nie wstyd choćby sugerować coś takiego.
Oczywiście, że jest Żydem. Zauważyłem to od razu. Ma to wypisane
na twarzy, począwszy od haczykowatego nosa, skończywszy na kręco
nych sztywnych włosach. Lecz to nie ma znaczenia. Kiedy tu przybył,

był uzurpatorem i przejął tron, a teraz ja przejmuję tron od niego. Ta
kraina jest płodna i wyżywi nasze armie. Podatki, które zbierał dawniej
Izaak, zasilą nasze wielkie przedsięwzięcie, a sama wyspa będzie
świetną bazą wypadową dla najazdów na Zamorze. Oto źródło mojej
wdzięczności i łaski, panie Dorville, ponieważ dzięki tobie mogę przejąć
wszystkie te bogactwa, a w żaden inny sposób nie mógłbym zrobić tego
legalnie. Przemyśl to więc, kiedy będziesz uwięziony. Myśl o
wszystkim, czego dostarczyłeś mnie oraz mojej armii i co umożliwi nam
popsucie szyków twojemu panu oraz pokonanie go tym bardziej
ostatecznie. - Strzelił palcami. - Zabrać go i trzymać z daleka ode mnie. I
pamiętajcie, kajdany na ręce i nogi, po dwa zestawy. Odma-szerować.
Kiedy więzień i jego eskorta wyszli z komnaty, Ryszard zwołał na-
radę wojenną ze wszystkimi swoimi doradcami i wyznaczył sir Hen-
rykowi, jako marszałkowi polnemu, zadanie wysłania do nich gońców z
rozkazami natychmiastowego stawienia się przed królem. Potem od-
wrócił się, aby porozmawiać z otaczającymi go notablami, a Andrzej
wykorzystał tę okazję i wymknął się cicho. Zanim jednak uszedł choćby
trzy kroki, zatrzymał się gwałtownie, ponieważ król zawołał go.

- Panie?

Ryszard podszedł doń i położywszy mu rękę na ramieniu, szepnął dyskretnie:

- Słyszałem, że jutro rano można się spodziewać obfitych opadów deszczu. Twierdzi tak jeden z moich myśliwych, a wiem, że rzadko myli się w tych kwestiach. Lepiej, żebyś zabrał ze sobą wóz i namioty.

- Panie? - Andrzej ledwo wierzył własnym uszom. - Czy chcesz powiedzieć, że mimo iż jesteśmy w stanie wojny, mam jechać na polowanie?

- Oczywiście. Nie sądzę, żebyśmy jutro rano mieli toczyć zażarte boje w lesie, w którym będziesz polował. Pozwól, że ci przypomnę, iż Izaak nie ma armii, i zgaduję, że ucieknie do Nikozji, choć może podążyć na wschód z nadzieją, że znajdzie część swoich statków w Famaguście. Wyślę tam rano kilka galer, które będą na niego czekać, jeśli się tam pojawi. Tak czy owak, nie będzie stanowił zagrożenia dla ciebie czy twoich podopiecznych... To przypomina mi, że mam tu jego córkę jako zakładniczkę, na co sam nalegał. Będę musiał się zastanowić, co z nią zrobić... - Myślał chwilę, po czym machnął nie-

cierpliwie ręką. - Nieważne. Pamiętaj, żeby zabrać ze sobą namioty i wóz do przewożenia ich oraz wszystko inne, co może ci się przydać, wliczając w to dodatkowych ludzi, służbę, w razie gdybyście musieli zostać tam dłużej, niż przewidujecie. Jeśli rzeczywiście będzie padać i kobiety przemokną, mogą cię naprawdę unieszczęśliwić. Wysusz je,

spraw, żeby było im ciepło i wygodnie, dobrze je nakarm... — Nastąpiła złowieszczo długa przerwa, lecz potem Ryszard dodał: - I zatrzymaj je tam tak długo, jak to możliwe.

Żołądek Andrzeja wykonał fikołka. Saint Clair czuł, że zanosi się na kłopoty.

- Zasłużysz na moją wdzięczność każdą kolejną godziną, jaką dla mnie zyskasz. Och, rozmawiałem też z zastępcą mistrza, de Troyes'em. Rozumie moje położenie i ponieważ nie jesteś jeszcze zaprzysiężonym bratem Zakonu, przystał na moje życzenia w tej sprawie, więc możesz jechać z czystym sumieniem. Oto znów nadchodzi twój ojciec, więc już cię odprawię. On i ja mamy wiele do omówienia, zanim pojawią się inni. Ciesz się, że nie bierzesz w tym udziału. Do zobaczenia. - Klepnął Andrzeja w ramię. Mijając się, ojciec i syn wymienili uśmiechy oraz pozdrowienia.

Chwilę później Andrzej był znów sam i coraz bardziej przybity, w miarę jak usiłował zanalizować dręczące go wątpliwości; pierwsza i najważniejsza z nich miała źródło w konflikcie między jego obowiązkami względem króla i Zakonu Syjonu. Myśl o Zakonie Świątyni nie nastręczała mu żadnych trudności, ponieważ członkostwo w tej organizacji było jedynie przykrywką ułatwiającą mu zrobienie tego, co musiał zrobić dla Zakonu Syjonu. Jednak miał poczucie winy wobec Ryszarda, swojego pana lennego - nigdy nie powinien on nawet podejrzewać, komu Andrzej jest naprawdę wierny.

Wtedy przyszło mu do głowy, że pozostaje jeszcze sprawa kobiet

króla, która w ostatnich dniach wypełniała go poczuciem głuchej, po-
brzmiewającej echem pustki oraz drgnieniami pokusy i wyczekiwania.
Nie miał z tego powodu poczucia winy, choć uważał, że powinien mieć,
ponieważ sądził, że obie kobiety są atrakcyjne, a jego wewnętrzny głos
syczał ostrzegawczo o nadużyciu zaufania.
Czyjego zaufania jednak nadużyłby, gdyby faktycznie posunął się
nieco dalej w kwestii spełnienia potrzeb - dotąd głównie bezkształtnych
— które ostatnio wirowały niespiesznie w najgłębszych zakątkach

jego umysłu? Gdyby poddał się swojemu pociągowi do księżniczki,
teraz królowej, Berengarii, czyje zaufanie by zdradził? Na pewno nie
zaufanie Ryszarda. Wątpił, czy król bardzo by się przejął, jeśli w ogóle. A
czy jego zachwyt byłby zdradą zaufania wobec Berengarii, odtrąconej i
ledwo tolerowanej przez swego nienaturalnego męża, z której drwił cały
świat? Zanim ją spotkał, słyszał, że nie jest piękna. Wspominając ich
spotkanie, był gotów przyznać, że kiedy zobaczył ją po raz pierwszy,
uznał, że ocena ta jest słuszna. Lecz potem zadziwiająco szybko
zauważył w niej pewne rzeczy — uśmiech, gładkość skóry, całkowity
brak skaz na jej twarzy - i nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy stała się
dla niego piękna, choć to trwało zaledwie kilka godzin.
To samo odnosiło się do królowej Joanny. Nie uważał za nadużycie
zaufania myśli o ochoczym obejmowaniu jej, ubranej lub nie. Była
wdową i królową, w wieku trzydziestu lat już być może nie najmłodszą,
z tego, co wiedział o kobietach - tak powiedziałby kilka dni wcześniej -

lecz na pewno jeszcze nie starą, i nie odpowiadała przed nikim za swoje czyny.

Nagle zdał sobie sprawę, że myśli, na które sobie pozwalał, pobudziły go, więc wyprostował się, potrząsając głową, jakby mógł się ich pozbyć, tak jak pies otrzepuje się z wody. Niezależnie od tego, jak niewielką wagę przykładał do tego wyróżnienia, miał zostać templariuszem, i należało wziąć pod uwagę względy, których nie mógł zignorować. Chodziło o jego honor. Wstąpienie do Zakonu wymagało od niego złożenia ślubów. Dwa z nich były podobne do tych, które złożył już, wstępując do Zakonu Syjonu: przysięga całkowitego posłuszeństwa mistrzowi oraz przełożonym, a także nieposiadania na własność żadnych dóbr doczesnych i dzielenia się wszystkim z braćmi zakonnymi. Jedynie trzeci ślub miał być dla niego zupełnie nowy, lecz właśnie ów ślub czystości przysparzał mu największych zmartwień. Z własnej woli nigdy nie zdecydowałby się na złożenie takiego przyrzeczenia. Lecz jeśli miał być do niego zmuszony, żyłby zgodnie z nim, co czyniło jego płonne spekulacje na temat dam króla czymś nie do pomyślenia. Ruszył w stronę portu i koi, z determinacją usiłując opróżnić umysł z takich myśli.

6

Owit następnego dnia wstał szary i zachmurzony - chmury pokrywały jednolicie całe niebo, od horyzontu po horyzont - lecz królowe były w stajniach o wyznaczonej godzinie. Każdej towarzyszył tylko jeden myśliwy i, tak jak obiecał Ryszard, obie miały na sobie stroje odpowiednie na czekający je dzień. Właściwie nie dało się ich odróżnić od otaczających je mężczyzn.

Andrzej przyglądał się cierpko, kiedy sprawdzały swoje siodła, nie nawiązując z nim kontaktu wzrokowego, i wbrew sobie poczuł podziw dla ich skupienia oraz kompetencji, z jaką sprawdzały sprzączki, wiązania i rzemienie strzemion. Nawet kobieca bujność Berengarii była tego ranka niewidoczna: zniknęła wraz ze zwyczajowymi oznakami kobiecości i flirtu, falbankami, woalami i drapowanymi sukniami, które nosiły, kiedy były zwykłymi kobietami. Tego ranka obie były bez wątpienia damami, córkami swoich ojców, władczymi i pewnymi siebie, urodzonymi, by polować. Czuły się zupełnie swobodnie w ciężkich butach do kolan, skórzanych bryczesach i tunikach, a także prostych, ciemnych opończach do jazdy konnej z grubej, woskowanej wełny, które całkowicie je zakrywały. Każda miała kołczan pełen strzał i krótki, ciężki łuk do polowań przewieszony na ukos przez przykryte opończą plecy, a myśliwi, którzy im towarzyszyli, mieli za zadanie nieść włócznie i resztę broni. Wyglądało na to, że obie zupełnie nie zwracają uwagi na milczących służących.

Czterokołowy wóz, zarekwirowany poprzedniego wieczora przez

Andrzeja zgodnie z instrukcjami króla i zaprzężony w dwa krzepkie konie robocze, stał na drodze prowadzącej do stajni. Wóz, przykryty łukowatą osłoną z pięknie wygarbowanej skóry, naciągniętej mocno na obręcze wstawione w jego boki, był wyładowany ciasno zwiniętymi namiotami ze skóry i ciężkiego, wielowarstwowego materiału

oraz dużymi tobołkami, którym Andrzej jeszcze się nie przyjrzał, lecz zakładał, że w wielu z nich są dodatkowe koce. W wozie stało też kilka skrzyń; choć nie miał pojęcia, co mogą zawierać, domyślał się, że mogą tam być rzeczy osobiste kobiet, które zabrano w razie potrzeby.

Siedziało tam też trzech służących Joanny. Najstarszym z nich był jej wieloletni ochmistrz, ponury Sycylijczyk Ianni, a Andrzej przeczuwał, że to na pewno jemu przyszło do głowy, żeby zabrać te skrzynie. Obok stał drugi, większy wóz, zaprzężony w cztery konie i obsadzony przez załogę rzeźników pod wodzą starszego kucharza. Wóz ten i ci, którzy na nim jechali, mieli się zająć tym, co zostanie schwytane podczas polowania, czyszczeniem, skórowaniem i oprawianiem mięsa, a nawet gotowaniem, gdyby trzeba było nakarmić drużynę.

Myśliwi mieli dojechać do odległych niespełna o trzy mile bram prowadzących do połaci lasu, która była ogrodzona i zarezerwowana do osobistego użytku Izaaka. Potem mogli albo jechać, albo iść na piechotę, w zależności od warunków i dostępnej zwierzyny, którą mogły być małe zwierzęta, takie jak zające oraz sarny, większa zwierzyna płowa, ale też dziki, a nawet niedźwiedzie. Andrzej podszedł do Sylwestra, dowódcy

polowania; stał on samotnie i dokonywał ostatnich oględzin, przyglądając się wszystkim po kolei i nie zapominając nawet o jednym szczególe z listy, którą po wielu latach nadzorowania takich wypadów miał wyrytą w pamięci.

- Gotowy? - zapytał Andrzej, a myśliwy kiwnął tylko głową. - Niech będzie. Jedźmy. Myślisz, że będzie padało?

Sylwester ruszył w stronę szerokiej bramy stajni, a Andrzej za nim, myśląc, że człowiek ten zasłużył na reputację milczka, lecz kiedy dotarli do otwartej bramy, Sylwester oparł się dłonią o ścianę i pochylił do przodu, spoglądając w ołowianoszare niebo.

- Problem z podobnymi chmurami - powiedział niskim głosem - jest taki, że nie zawsze wiadomo, co zrobią. Pokrywa chmur jest jed nolita, więc raczej słońce się nie przebije... na pewno nie przed po łudniem. Ale jest wysoko, więc nie napada na nas w ciągu godziny. Wszystko zależy od tego, co zrobi wiatr. Jeśli postanowi dmuchać we właściwą stronę, być może całe popołudnie będziemy polować w słońcu. Jeśli będzie dmuchać w drugą stronę, możemy wszyscy uto nąć, próbując wrócić do domu. - Zerknął na Andrzeja. - Wiem tyle co ty. Ale to twoje polowanie.

Andrzej wydał z siebie pomruk i obejrzał się przez ramię, chcąc sprawdzić, czy nikt nie podszedł do nich od tyłu, aby posłuchać, o czym rozmawiają.

- No cóż, od początku nie można było zrezygnować z tego polo-

wania. Król obstawał przy tym, że nie chce, aby damy plątały mu się dziś pod nogami, więc jedźmy.

- Panie Saint Clair, czy masz zamiar odwołać nasz dzisiejszy wypad? - Chłodny i władczy głos Joanny zadźwięczał wyraźnie z głębi stajni.

Andrzej odwrócił się spokojnie, zmuszając się do szerokiego uśmiechu.

- Nie, pani, sprawdzaliśmy jedynie, jaka jest pogoda. Wszyscy jesteśmy gotowi, a pogoda jest w rękach Boga, jak powinno być, więc na koń, jeśli łaska, i w drogę.

Chwilę później kopyta koni głównej drużyny, składającej się z Joanny, Berengarii, ich dwóch myśliwych oraz Andrzeja i Sylwestra, zastukały o brukowaną powierzchnię drogi wiodącej do bram miasta. Za nimi jechała - obecna bardziej ze względu na etykietę i pozory niż z konieczności obrony kogokolwiek - ich eskorta wojskowa, dwu-nastoosobowy oddział uzbrojonych pikinierów prowadzonych przez dowódcę i chorążego, niosącego osobisty sztandar Ryszarda ze stojącym lwem. Procesję zamykały dwa wozy ze służbą i rzeźnikami. Kiedy podążali w stronę bram, Andrzej bez przerwy rozglądał się dookoła, szukając śladów działań wojskowych, lecz choć tu i tam widział zajętych czymś żołnierzy, nie poczuł atmosfery wyczekiwania, która wskazywałaby na wielkie przygotowania do wojny lub chociaż bitwy. Doszedł do wniosku, że jeśli zanosi się na jakiekolwiek znaczniejsze wydarzenia, na pewno stanie się to dopiero później.

Późnym rankiem polowanie było już na zaawansowanym etapie, a talent myśliwski obu kobiet zrobił wrażenie na Andrzeju. Kiedy skradali się po lesie zaledwie kilka chwil po rozpoczęciu łowów, sunąc wolno i cicho przez zamglony, mokry od rosy zagajnik, Joanna nagle zamarła, nakazując towarzyszom ciszę machnięciem ręki. Andrzej, kucający za nią po prawej, odwrócił lekko głowę, aby zerknąć na Sylwestra, który znieruchomiał w pół kroku. Jego wyraz twarzy jasno mówił, że myśliwy nie ma pojęcia, co Joanna wyczuła czy znalazła. Lecz niemal jednocześnie, w całkowitej ciszy, wspaniały jeleń

poderwał się na nogi w niskiej kępie krzaków, gdzie wcześniej skubał trawę, i zaczął nasłuchiwać z głową przechyloną na północ - w przeciwnym kierunku niż ten, gdzie znajdowali się myśliwi - i ciałem gotowym do ucieczki. Od stojącej na czele Joanny dzieliło go mniej niż czterdzieści kroków. Usiłując zachować bezruch, Andrzej zaczął słyszeć bicie własnego serca, a potem poczuł łaskotanie w nozdrzu, początki kichnięcia.

Zdał sobie sprawę, że Joanna zbliża się ze strzałą umieszczoną na cięciwie łuku, podtrzymując drzewce palcem wskazującym, a teraz, nieskończenie powoli i cierpliwie, zaczęła unosić łuk do strzału. Zdawało się, że trwa to wiecznie, a jeleń stał w miejscu z głową odwróconą w drugą stronę, prezentując jej trzy czwarte profilu, i unosił nos, węsząc w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak niebezpieczeństwa. Zerkając znów na Sylwestra, Andrzej zauważył, że myśliwy marszczy lekko brwi i

patrzy w dół, w stronę stóp Joanny. Podążył wzrokiem za spojrzeniem Sylwestra i zobaczył, że Joanna także zatrzymała się w pół kroku. Uniosła już łuk, lecz miała problem z zachowaniem równowagi, a jej prawa stopa była tam, gdzie powinna być lewa, tak że nie była w stanie naciągnąć cięciwy. Lecz kiedy właśnie uświadomił sobie, że Joanna nie będzie w stanie oddać tego strzału, ona zrobiła coś, co w tamtej chwili Andrzej uznałby za niemożliwe: wyprostowała się płynnym ruchem i zrobiła krok w przód na lewą stopę, wypychając łuczysko wyprostowaną lewą ręką i gładko odciągając cięciwę, aż dotknęła jej policzka. Jeleń drgnął i zerwał się do skoku w przeciwnym kierunku do tego, z którego dobiegł odgłos, lecz strzała już dosięgała celu. Uderzyła pewnie w klatkę piersiową zwierzęcia, za barkiem, i wbiła się w serce jelenia, który padł na miejscu. Andrzej nie potrafił się pozbierać choćby na tyle, aby pogratulować Joannie. Po prostu gapił się na nią z otwartymi ustami, a ona odwzajemniła jego spojrzenie, unosząc kpiąco brwi, jakby chciała zapytać: “A widzisz?"

Jakąś godzinę później był świadkiem kolejnego pokazu podobnej wirtuozerii, tym razem w wykonaniu Berengarii, kiedy wielki zając niespodziewanie wybiegł z ukrycia. Właśnie tropili dzika, więc nie wiedzieli, że zając tam jest, lecz nagle pojawił się przed nimi, skacząc na mocnych tylnych nogach i zwinnie uciekając zygzakiem w poprzek przeciwnego krańca polanki, na którą weszli. Księżniczka dostrzegła go pierwsza i obróciła się z łatwością w jego stronę, z gotowym już

do strzału łukiem. Mierząc do tego ruchomego celu, oceniła czas i kierunek jego susów, a kiedy Andrzej zdążył się zorientować, co się dzieje, uznał też, że już się spóźniła. Lecz ona gładko puściła strzałę, która trafiła zająca w pół skoku, przeszywając go na wylot i sprawiając, że potoczył się na ziemię. Jeszcze mgnienie oka, a schroniłby się w wysokiej trawie na skraju lasu.

Wkrótce potem, przed południem, Sylwester zaproponował postój na posiłek. Zgubili trop dzika na kamiennej nawierzchni i z przyjemnością zatrzymali się, aby poczęstować się chlebem, owocami i zimnym mięsem z koszy, które przygotowali dla nich kucharze. Wysokie ciemne chmury wciąż przykrywały niebo, a Sylwester zapytał kobiety, czy chcą polować dalej, czy też mają dość i są gotowe wracać. Nie było dyskusji. Joanna stwierdziła, że nie opuszczą tego miejsca, dopóki nie znajdą jakiejś dobrej dzikiej świni, którą będą mogli zabrać ze sobą. Spojrzała pytająco na Berengarię, a księżniczka skinęła głową, skoncentrowana na trzymanym oburącz zimnym pieczonym bażancie. Andrzej przyglądał się i przysłuchiwał wszystkiemu, zadowalając się milczeniem, niezwykle zdziwiony tym, ile przyjemności sprawiał mu ten wypad.

Zaczęło padać, kiedy już mieli wznowić polowanie. Na początku była to lekka mżawka i wszyscy uznali, że szybko minie, lecz opady stawały się coraz silniejsze. Znajdowali się głęboko w lesie, na pagór-kowatym terenie, a ryk ulewy na okapie leśnym nad ich głowami był ogłuszający. Listowie jedynie przechwytywało krople deszczu i odbijało je, tak że zamiast normalnie spadać na poszycie leśne, zbierały się na

szerokich powierzchniach liści, a potem przelewały z liścia na liść, nabierając impetu i objętości, aż w końcu opadały nieprzerwanymi strumieniami, które przenikały nawet nawoskowaną, sztywną wełnę ich opończ mających chronić ich przed podłą pogodą. W pewnej chwili Andrzej nachylił się do Sylwestra i wrzasnął mu do ucha:

- Czy to ty powiedziałeś Ryszardowi, że spodziewasz się dużych opadów deszczu?

Myśliwy zwinął dłoń w trąbkę dookoła ust, próbując przekrzyczeć hałas deszczu:

- Tak, ale nie miałem na myśli niczego podobnego. Od lat nie wi działem gorszej pogody. Około pół mili przed nami, u szczytu stoku pokrytego kamieniami, jest jaskinia w klifie. Znalazłem ją kilka tygo-

360

dni temu, za pierwszym razem, kiedy przyjechałem tu na polowanie. Ciężko się do niej dostać, ale jest duża i sucha, a jeśli nie mieszkają tam niedźwiedzie, będziemy mogli rozpalić ognisko.

- Ognisko? Jest tam drewno?

- Prawdopodobnie. Zależy, kto był tam ostatnio. Miejscowi chronią się tam od wieków i większość z nich uzupełnia przed wyjściem zapas drewna na opał. Kiedy znalazłem to miejsce, była tam cała sterta. - Wzruszył ramionami. - Oczywiście są ludzie, co zużyją całe drewno, które tam jest, i nie przyniosą w zamian ani patyka. Chcesz spróbować?

- Prowadź! Sądzisz, że jest dość duża?

- Och, jest duża, o wiele większa, niż wygląda z zewnątrz, ponieważ

wejście jest naprawdę małe... ledwie trzy kroki szerokości... w porównaniu z wnętrzem, które jest z dziesięć razy szersze. Jest też głęboka i ma wysokie sklepienie. Są tam trzy połączone pieczary, jedna za drugą jak korale na sznurku. Przednia jest największa. W tylnej za dnia jest trochę światła, rodzaj łuny, która bije gdzieś z góry jak gasnący promień światła... a środkowa jest zawsze ciemna.

Andrzej uśmiechnął się do myśliwego.

-Jak gasnący promień światła... To mi się podoba. Miejmy nadzieję, że dziś nie ma tam niedźwiedzi.

Zbliżyli się do wylotu jaskini, stąpając ostrożnie po zdradliwym osypisku pokrywającym zbocze, a kiedy byli już gotowi, ze strzałami umieszczonymi na cięciwie, Sylwester wrzucił do ciemnej jaskini kilka kamieni. Po każdym przerywał na chwilę, nasłuchując ewentualnych dźwięków oznaczających, że jaskinia była zamieszkana. Nic się z niej nie wyłoniło i żaden odgłos nie zakłócił cichej ciemności zalegającej za wylotem. W końcu sam Sylwester przekroczył powoli wejście, niosąc na poziomie pasa ciężką, gotową do strzału arbaletę. Potem zatrzymał się, obramowany przez wylot jaskini i oświetlony płynącym zza jego pleców światłem, prowokując zwierzę, które mogło być wewnątrz, do ataku. Został tam przez moment, a potem wyprostował się i zniknął w ciemnościach.

Chwilę później - upewniwszy się, że w najdalszych zakamarkach trzech połączonych jaskiń, które sięgały co najmniej na sześćdziesiąt kroków w głąb klifu, nie czają się żadne zwierzęta — dwaj mężczyźni

stali znów obok siebie, tym razem wyglądając na zacinający deszcz.

361

che drewno na opał, a inni pracowali cierpliwie krzemieniem, stalą oraz drobnymi kawałkami kory i trawy, aby rozpalić ogień. Kobiety udały się do najdalszej jaskini, tej, która była słabo oświetlona, gdzie Sylwester pokazał im pęknięcie w dnie jaskini nad podziemnym strumieniem, tworzące naturalną, przyjemną latrynę. Potem zostawił je same.

- Wiesz, jak daleko są wozy? - zapytał go Andrzej.

Sylwester wskazał w prawo, w stronę zbocza.

- Pół mili w tamtą stronę, prosto przez krzaki i nad urwistym parowem. Płynie tamtędy strumień, ale ciężko tam będzie dotrzeć w tym deszczu. - Machnął ręką w lewo, w stronę, z której przyszli. -Ale jeśli wrócisz się w tę stronę, jest tam łatwa ścieżka... przekroczyliśmy ją w pewnej chwili, może pamiętasz... która zawraca mniej więcej do miejsca, gdzie pewnie teraz będą. Półtorej mili, może dwie.

- Łatwa ścieżka? Dość łatwa, aby pokonały ją wozy, gdybyśmy po nie posłali?

- Tak, przynajmniej do podnóża tego zbocza, lecz jeśli potem byś czegoś potrzebował, musiałbyś targać to na górę na plecach.

- Od tego są zbrojni, kiedy nie walczą. Myślę, że powinniśmy po nich posłać.

Sylwester spojrzał na niego.

- A dlaczego chciałbyś to zrobić?

Andrzej spojrzał mu prosto w oczy.

- Ponieważ nie wygląda na to, żeby deszcz słabł, a są z nami dwie damy. Dotąd żadna z nich ani razu się na nic nie poskarżyła, lecz wkrótce ich godny podziwu spokój może prysnąć. Deszcz może wkrótce zelżeć, lecz gdyby tak się nie stało, powinniśmy być przygotowani na każdą ewentualność. Lady Joanna może zechcieć zostać tutaj, dopóki nie zabije świni. Może się okazać, że spędzimy tu noc.
- Król nie byłby z tego zadowolony - mruknął Sylwester, lecz Andrzej potrząsnął głową.
- Nie wiem, przyjacielu, sądzę, że możesz się mylić. Ty sam poddałeś wczoraj ten pomysł Ryszardowi, mówiąc mu, że dziś może być ulewa, i dlatego wzięliśmy ze sobą wóz z namiotami i kocami. To królowi przecież przyszło do głowy, że być może pogoda utrudni nam powrót, i kazał mi koniecznie wziąć wszystko, co konieczne do zapewnienia

daniom ochrony przed wilgocią, ciepła i wygody. Ufa nam obydwu bezgranicznie pod tym względem. Mamy dość ludzi, aby ich strzec, i wzięliśmy też kucharza, aby wszystkich nakarmić. Będę ci więc zobowiązany, jeśli wyślesz swojego najlepszego człowieka, aby znalazł wozy wraz z eskortą i jak najszybciej przyprowadził je tutaj. Poinformuję królowe, co się dzieje. Przy okazji, czy w ostatniej jaskini, tej z latryną, jest wentylacja? Czy można tam rozpalić ognisko i nie udusić się?
Sylwester wzruszył ramionami.
- Nie wiem. Nigdy o tym nie myślałem. Używałem paleniska w pierwszej jaskini.

— Hmm. No cóż, niedługo się dowiemy. W sklepieniu tej jaskini musi być jakiś komin. Jeśli dostaje się tam światło, tą samą drogą na pewno może wydostać się powietrze.

Do popołudnia deszcz wcale nie osłabł, lecz temperatura spadła tak bardzo, że pogoda raczej przypominała zimowy dzień w Anglii niż cokolwiek, czego można się spodziewać na Cyprze. Potem zerwał się wiatr; najpierw narastał stopniowo, następnie przekształcił się w wichurę, a jeszcze później w wyjącą, zabójczą nawałnicę, jakiej jeszcze nigdy nie widzieli i która w lesie u stóp ich klifu ciskała drzewami wyrwanymi z korzeniami. Inne, starsze i lepiej ukorzenione drzewa, rozszarpywał wiatr, który rozrywał słabsze odgałęzienia i przeobrażał ogromne konary w latające pociski. Nikt z przejętej lękiem grupy nie potrafił i nie próbował wyjaśnić, czym spowodowane było to zjawisko, lecz wszyscy byli zbyt przemoczeni, zmęczeni i nieszczęśliwi, aby rzeczywiście o to dbać. Kiedy oglądanie katastrofy znudziło ich, skupili całą energię na suszeniu swoich ubrań i rozgrzewaniu się.

Wozy przybyły i zostały rozładowane na długo, zanim zerwał się wiatr. Każdy sprawny mężczyzna zajął się wnoszeniem ładunku na zdradliwe zbocze przemieszczających się łupków i kamieni oraz chowaniem go w przedniej jaskini, w której buzowało teraz prawdziwe, wielkie ognisko. Kiedy wszystko już trafiło bezpiecznie do środka, Andrzej wysłał ludzi z powrotem, tym razem aby znaleźli osłonięte miejsce, odpowiednie do schowania wozów i koni, oraz zebrali drewno opałowe, dzięki któremu mogliby ochronić się przez narastającym

chłodem. Wraz z Sylwestrem poszedł z nimi, zostawiając z damami

tylko jednego starszego mężczyznę z ekipy kucharza, aby usługiwał im, gdyby czegoś potrzebowały. Wciąż jeszcze zbierali drewno, kiedy ostre, lodowato zimne uderzenie porywistego wiatru poderwało jednego z mężczyzn w powietrze i rzuciło nim o skaliste zbocze. Człowiek wylądował nieprzytomny, ze złamaną ręką i krwawiącą raną na głowie, którą uderzył o kamień.

Kontynuowanie polowania czy nawet podróż powrotna do Limas-solu nie wchodziły w tych warunkach w grę. Saint Clair zagnał ludzi do przygotowywania noclegu w jaskini. Dwunastu zbrojnych otrzymało zadanie zbudowania w poprzek wąskiego wylotu do jaskini nachylonej ściany z kamieni i gruzu, aby zmniejszyć siłę uderzeń wiatru wdzierających się przez wejście. Co prawda ściana kończyła się o pół wzrostu mężczyzny od najwyższego punktu wejścia, lecz była dość wysoka i mocna, aby ograniczyć wycie wiatru do znośnego poziomu. Wewnątrz, w przedniej jaskini, liczącej co najmniej trzydzieści kroków wzdłuż i niemal tyle samo wszerz, cztery skórzane namioty stały w szerokim kręgu dookoła paleniska. Te miejsca do spania ustawiono tak, żeby były osłonięte przed podmuchami wiatru, który od czasu do czasu wciąż hulał po jaskini. Wbicie śledzi w kamienne podłoże było niemożliwe, lecz tak czy owak udało się solidnie rozstawić namioty, umocowując odciągi za pomocą ciężkich kamieni. Tymczasem kucharz i jego załoga piekli udziec sarni na rożnie umieszczonym nad drugim

ogniskiem.

Sylwester zarządził też rozpalenie małych ognisk w środkowej i tylnej jaskini. Zgodnie z jego oczekiwaniami to drugie płonęło żwawym płomieniem i nie kopciło, natomiast to, które rozpalono w centralnej komorze, trzeba było natychmiast wygasić, zanim unoszący się z niego dym wypędził wszystkich na łaskę żywiołów. Udowodniwszy, że tylna jaskinia jest i ciepła, i ma dostęp świeżego powietrza, zaoferował królowym wybór: mogły spać tam, we dwie, lub wraz z resztą w głównej jaskini, w jednym z czterech namiotów. Nie był zdziwiony, kiedy wybrały pierwszą opcję, ponieważ Ianni już ciężko pracował nad robieniem posłań i siedzisk przy ogniu ze stert namiotów i koców oraz ogólnym przystosowywaniem pieczary na użytek kobiet. Posunął się nawet do tego, że zapalił pod ścianami grube świece w stojących świecznikach oraz zrobił z przenośnych trójnogów podstawy pod dzbany ciepłej wody przeznaczonej do ablucji.

Andrzej skłonił się królowym i zawiadomił je, że przyśle im gorące jedzenie, kiedy tylko będzie ono gotowe, a kiedy odwrócił się, aby odejść, Berengaria zawołała go i podziękowała mu — choć nie wiedział za co. Jej uprzejmość zaskoczyła go, ponieważ w ciągu całego dnia zamienili może dziesięć słów, lecz przyjął podziękowanie z lekkim ukłonem i odwzajemnił je. Potem jego zdziwienie jeszcze wzrosło, kiedy Joanna poprosiła go, aby na chwilę usiadł, ponieważ chciała powiedzieć mu kilka rzeczy i miała kilka pytań.

Ktoś przysunął cztery sięgające kolan głazy do ogniska rozpalonego

blisko tylnej ściany pieczary, tam gdzie dym unosił się szybko i bez przeszkód do góry; dwa z czterech głazów przerobiono na siedziska przez proste ułożenie na nich prowizorycznych poduszek. Andrzej pomyślał, że były chyba zrobione ze złożonych skórzanych namiotów, a kiedy na nie patrzył, podszedł jeden z ludzi Ianniego z trzecim naręczem tej samej podściółki, którą położył na kolejnym głazie i ugniatał ją, aż osiągnęła właściwy kształt. Andrzej kiwnął mężczyźnie głową w podzięce i podszedł do głazu, patrząc pytająco na królową Joannę, która otwarcie odwzajemniła jego spojrzenie, a potem usiadła naprzeciwko niego, zakładając jedną obutą, odzianą w skórę nogę na drugą i splatając palce na kolanie.

Ten prosty ruch sprawił, że Andrzej poczuł jakieś uderzenie pod żebrami i zaparło mu dech w piersiach. Przez cały dzień przyglądał się obydwu damom i wydawało mu się, że przyzwyczaił się do tego, że są przebrane za mężczyzn, lecz cały dzień miały też na sobie ciężkie wełniane opończe, a wszyscy, włącznie z nim samym, koncentrowali się na innych sprawach, co znacznie odwracało uwagę od ich wyglądu. Teraz jednak zdjęły opończe i skórzane kirysy, które nosiły podczas polowania, i znalazły czas na uczesanie włosów, lecz nie miały jeszcze okazji, aby zupełnie się przebrać, więc miały na sobie tylko lekkie, sięgające kolan tuniki, bardzo podobne do opończ, oraz skórzane bryczesy, szokująco odsłaniające kształt ich nóg i bioder. Kiedy więc Joanna Plantagenet uniosła swoje uzbrojone kolano i oplotła je w taki sposób, Andrzej natychmiast uświadomił sobie kształt jej ciała.

Odwracając szybko wzrok, jeszcze pogorszył sytuację, ponieważ szła właśnie w jego stronę podobnie ubrana - choć natychmiast przyszło mu do głowy słowo “rozebrana" - królowa Berengaria, pochylając się lekko do przodu, co podkreślało kształt i pełnię jej piersi.

365

Zamknął odruchowo oczy, czując, jak ciepły rumieniec wkrada się na jego twarz, lecz kiedy znów je otworzył, wyglądało na to, że żadna z kobiet nie zauważyła niczego dziwnego.

- Zrobiłeś dziś na mnie wielkie wrażenie, panie Saint Clair - powiedziała wyraźnie Joanna. - Otrzymałeś niełatwe zadanie, którym równie dobrze mógł zostać obarczony ktoś inny. Wiem to, ponieważ to ja, z własnych, egoistycznych powodów, poprosiłam, abyś je otrzymał. Lecz wywiązałeś się z niego znakomicie, z wielką cierpliwością i bez jednej skargi, choć okazało się ono o wiele niebezpieczniejsze i długotrwałe, niż mogliśmy się spodziewać. Wspaniale wypełniłeś swój obowiązek. Mój brat szybko o tym usłyszy. Moja siostra sądzi to samo i potwierdzi moje słowa. Dziękujemy ci za wszystko, co zrobiłeś dziś dla nas.

- Jak mówisz, pani, był to mój obowiązek, lecz był on też przyjemny. Czy mogę... czy mogę zapytać, dlaczego poprosiłaś o mnie?

Joanna zerknęła na Berengarię, a potem znów na Saint Claira, przechylając lekko głowę. Między jej brwiami widać było maleńką zmarszczkę irytacji, a może zmieszania.

- Ponieważ myślałam, że masz rozum, panie, i potrafisz rozsądnie

rozmawiać, dlaczego więc miałbyś podważać tę opinię, zadając teraz tak głupie pytanie? - Kiedy zobaczyła, że Andrzej dalej nic nie rozumie, zmarszczyła brwi jeszcze bardziej. - Myślę... Z pewnością nie umknęło twojej uwadze, sir Andrzeju, że większość twoich towarzyszy rycerzy niemal traci umiejętność mówienia, kiedy wyczerpią się już tematy musztry, szkoleń, zabijania i rzemiosła wojennego. Wiem od brata, że płynnie czytasz i piszesz. Czy to prawda?

- Tak, pani.

- A zatem choćby to odróżnia cię od tych, którzy podobno są tobie równi. Od lat jestem świadoma tego przerażającego faktu, lecz niedawno słyszałam, jak wspomina o tym biskup Karol de Beaulieu, i ponownie mną to wstrząsnęło. Na dwustu przypadkowo wybranych żołnierzy ani jeden nie potrafi pisać i czytać. I nawet się tym nie przejmują! Co więcej, szydzą z tych, którzy potrafią, a z oczywistych powodów są to głównie klerycy... muszą oni pisać i czytać, aby wypełniać swoje obowiązki. Tak więc przez tę uporczywą głupotę pogłębia się przepaść między klerykami a rycerzami. To, że jesteś piśmienny, panie Saint Clair, wyróżnia cię spośród tłumu twoich towarzyszy i zwiększa

szansę, że być może będziesz potrafił mówić o innych rzeczach niż wojna, na tematy, które mogłyby sprawić przyjemność kobietom takim jak my. Dlatego poprosiłam właśnie o ciebie.

- Rozumiem. - Andrzej kiwnął głową. - Rozumiem też, dlaczego moje pytanie zirytowało cię. Wybacz mi, pani, nie myślałem jasno.

Mówiąc zupełnie szczerze, nigdy nie przyszło mi do głowy, że ktoś mógłby uznać umiejętność czytania i pisania za coś godnego podziwu. Nadużywałem jej tak długo, że ostatnio staram się trzymać ją w tajemnicy. - Przerwał na chwilę. - Powiedziałaś, że chcesz mi coś powiedzieć i że masz kilka pytań. Jestem do twojej dyspozycji.

-Ach, gdybyż tak było... - Z wyrazu jej twarzy nie można było wywnioskować, o czym myśli, a Andrzej przez chwilę zmagał się z sensem tego komentarza, tak że przegapił jej kolejną uwagę. Uświadomił sobie, że coś powiedziała, dopiero kiedy uzmysłowił sobie, że jej głos uniósł się pytająco i że patrzy na niego, wyraźnie oczekując odpowiedzi. Szybko zebrał myśli.

- Wybacz mi, pani, lecz rozproszyłem się na moment i nie dosłyszałem, co powiedziałaś.

- Zastanawiałam się, czy Ryszard może się martwić, że nie wróciliśmy na noc do Limassolu. Zapytałam cię, czy pomyślałeś o tym, aby wysłać do niego gońca z wieścią, że jesteśmy zdrowi, lecz zostaniemy tu, aż burza ucichnie.

-Ach. Nie, nie wysłałem nikogo. - Podniósł z ziemi gałązkę i wrzucił ją do ognia. - Twój brat jest dość mądry, aby zauważyć, że warunki są podłe, i wywnioskować, że znajdziemy jakieś miejsce, w którym przeczekamy burzę.

- Tak - zgodziła się Joanna. - Lecz...

- Poza tym - zagapiony w ogień Andrzej nie zwrócił uwagi, że znów zaczęła mówić — każdy, kto sam stawiłby czoło takiej pogodzie i tak

dzikiemu otoczeniu, poważnie narażałby się na śmierć czy zranienie, na to, że wiatr zwieje go z klifu lub zabije go przewracające się drzewo. Gdybym wysłał kogoś, a on odniósłby jakieś obrażenia, stracilibyśmy jedynie cennego człowieka i musielibyśmy odszukać go czy znaleźć jego ciało. Być może teraz nikt w Limassolu nie wie, gdzie jesteśmy, lecz wyruszymy jutro do domu, zanim oni zorganizują ekipę poszukiwawczą, więc napotkamy ją po drodze.

Joanna kiwnęła głową, przyjmując jego sposób myślenia, i przez

jakiś czas rozmawiali o błahostkach, aż od strony wejścia do jaskini rozległo się chrząknięcie jednego z ludzi kucharza, który ogłosił, że jadło jest gotowe i za chwilę zostanie podane. Andrzej wstał szybko, zostawił kobiety, aby przygotowały się do posiłku, i wrócił do głównej pieczary, dołączając do Sylwestra i innych myśliwych.

Mieli za sobą długi i męczący dzień, a kiedy napełnili żołądki, zdawało się, że nikt nie ma ochoty oddalać się za bardzo od ognia, choć kilku śmiałków wyszło za potrzebą na zewnątrz. Rozmowa tocząca się dookoła ogniska była w najlepszym razie zdawkowa, a wkrótce tu i tam widać było opadające głowy. Niebawem rozległy się pierwsze przeciągłe odgłosy chrapania, a kiedy Andrzej złapał się na tym, że przysypia w cieple ogniska, podniósł się z trudem na nogi, wziął sobie ogromne naręcze pościeli i wrócił do pieczary kobiet.

Zakaszlał, dając im znać, że stoi przed ich kwaterą, po czym powiedział im, że będzie pełnił tam straż, śpiąc w poprzek drzwi, aby mieć

pewność, że nikomu z zewnętrznej jaskini nie zachce się wędrować w środku nocy. Wiedział, że szanse na to są bardzo niewielkie, lecz zrobił sobie na ziemi posłanie z podwójnej warstwy złożonych skórzanych namiotów, położył obok miecz w pochwie, hełm i rękawice kolcze, a potem owinął się dokładnie kocami i położył w skórzanym stroju myśliwskim. Chwilę później dobiegły go odgłosy dorzucania do ognia w jaskini kobiet i krótkiej, odbytej szeptem rozmowy. Z jaskini wyłonił się niosący świecę Ianni, który przestąpił ostrożnie Andrzeja, szepcząc po drodze życzenia dobrej nocy.

Andrzej leżał przez jakiś czas, słuchając szmeru rozmowy dwóch królowych. Nie rozumiał ani słowa, choć tak naprawdę nie starał się nic wyłowić, i zastanawiał się, co robią i jak wyglądają, przygotowując się do spoczynku. Te fantazje jednak nie przeszkodziły mu szybko zasnąć.

Obudził się na fali paniki, otoczony migoczącym złotym światłem, usiłując usiąść i sięgnąć po swój miecz. Nie wiedział, gdzie jest, wiedział jedynie, że kiedy spał, czyjaś dłoń przykryła jego usta i nos. Jednak zanim udało mu się usiąść lub krzyknąć, dłoń ta zacisnęła się na jego nozdrzach i pociągnęła do tyłu, usłyszał też ostry syk, nakazujący mu milczenie. Głos należał do kobiety, a Andrzej nagle przypomniał

sobie, gdzie jest. Jego wzrok wyostrzył się, więc zauważył twarz blisko swojej i natychmiast znieruchomiał. Joanna miała szeroko otwarte oczy, jakby była przestraszona. Rozluźnił się, a ona od razu puściła go i odsunęła się, kładąc dłoń między piersiami i robiąc głęboki, drżący

wdech.

- Pani - powiedział, siadając teraz szybko. Mówił jednak cicho i odwrócił głowę, aby spojrzeć w ciągnące się za nim przejs'cie. - O co chodzi? Co się stało?

Machnęła ręką i potrząsnęła głową. Siedziała na piętach, wlepiając w niego wytrzeszczone oczy, a jej dłoń wciąż trzepotała z obawą na piersi. Zauważył, że ma na sobie właściwe kobiece ubrania, choć przeznaczone na noc. Były one obszerne i maskowały jej figurę, a jednak natychmiast uświadomił sobie, że jej gładkie, kobiece ciało znajduje się blisko, na tyle blisko, że mógłby go dotknąć, gdyby wyciągnął rękę. Kiedy o tym myślał, jej palce przestały się trząść, uniosła nieruchomą dłoń w jego stronę i znów nabrała powietrza.

- Wystraszyłeś mnie, panie. Nie spodziewałam się, że obudzisz się tak gwałtownie... czy hałaśliwie. Przez moment myślałam, że wszyscy przybiegną, aby sprawdzić, czy ktoś nas nie morduje w naszych łóż kach.

Saint Clair zmienił pozycję i usadowił się wygodniej, a ponieważ koce opadły z jego ramion, poczuł nocny chłód. Czuł się już całkowicie przytomny, lecz potarł kąciki oczu palcami, oczyszczając je z resztek snu.

- Nic się nie stało, sir Andrzeju. Po prostu nie mogłam zasnąć. Nie chciałam przeszkadzać Berengarii, więc pomyślałam, że sprawdzę, czy byłbyś tak dobry i porozmawiał ze mną jakiś czas. Rozpaliłam ponow nie ogień...

Saint Clair był zdumiony, lecz pochlebiło mu to. Wygrzebał się z koców i podszedł do ogniska. Przez chwilę obydwoje starali się przezwyciężyć skrępowanie. Berengaria się nie poruszyła, więc wyglądało na to, że nie zrobili zbyt dużo hałasu, lecz mimo to Saint Clair wstał, wziął świecę i poszedł cicho do środkowej jaskini. Nie spotkał nikogo i nie słyszał niczego poza wiatrem wyjącym na zewnątrz, więc wkrótce wrócił do Joanny i usiadł koło niej przy ognisku.

Rozmawiali przyciszonymi głosami ponad godzinę, co sprawiło Andrzejowi wielką przyjemność. Joanna zaczęła, pytając go o opinię

o Gwidonie de Lusignan, zarówno jako władcy, jak i mężczyźnie, a kiedy skończył, odpowiedziała tym samym; jej poglądy znacznie się różniły od tych, które słyszał od innych. Powiedziała, że jako kobiecie Gwidon podoba się jej, ponieważ ma bardzo wiele cech, których kobiety szukają u mężczyzn: jest wysoki, a jego silną, lecz proporcjonalną sylwetkę można porównać z sylwetką jej brata, choć Gwidon nie jest tak umięśniony. Zauważyła, że król ma wspaniałe, równe i białe zęby, bez szpar, widocznych przerw czy dziur. Powiedziała też, że utrzymuje swoje ciemne włosy oraz brodę w czystości i przycina je, co było na tyle niezwykłe, że zasługiwało na uwagę. Skórę miał opaloną i przyjemną dla oka, a grzbiety jego palców, dłonie i nadgarstki pokryte były zauważalną, lecz drobną ilością delikatnych, ciemnych, kręconych włosów, które ona, jak wiele innych kobiet, uważała za atrakcyjne, a nawet pociągające. Powiedziała Andrzejowi, że Gwidon wiele

wycierpiał w ciągu ostatnich kilku lat, lecz mimo to jego ubrania - choć wypłowiałe i podniszczone - były czyste i utrzymywane w dobrym stanie. Ryszard oczywiście zapewnił mu nowe ubrania, strój odpowiedni dla jego tytułu, a jednak stan jego starego odzienia mówił sam za siebie. Człowiek ten był skrupulatny i przykładał dużą wagę do pozorów. Stwierdziła, że mimo wszystko jej pociąg do niego jako do mężczyzny jest powierzchowny.

- Gdybym odniosła wrażenie, że jest w nim coś więcej, gdyby na prawdę, do głębi, podobał mi się jako człowiek, nigdy nie poświęciła bym tyle czasu na tak dokładne przyjrzenie się mu. Lecz im dokładniej go obserwowałam, tym mniej znajdowałam powodów, aby go lubić. Jest słaby. Ponieważ wychowałam się z Ryszardem, a potem przez lata byłam żoną mojego drogiego męża Wilhelma, rozumiem i rozpoznaję siłę. Rozpoznaję też z wielką łatwością jej brak. Nasz szlachetny król Gwidon w głębi duszy nie jest godny zaufania. Oczywiście to z tego powodu zyskał reputację, którą ten Niemiec, Montferrat, a także Fi lip August usiłują wykorzystać przeciwko niemu... Lecz jak na razie jest prawowitym królem, co dla drogiego mi brata jest, łagodnie mó wiąc... niewygodne.

Mówiąc, patrzyła w ogień, lecz teraz odwróciła głowę i spojrzała Andrzejowi prosto w oczy.

— Czy rozumiesz, dlaczego to mówię? Czy rozmawiałeś z kimkol wiek o politycznej wymowie całej tej sprawy?

- Masz na myśli politykę religijną? Tak, lecz nie potrafię przekonać sam siebie, że jest ona tak ważna, jak sądzą chyba wszyscy inni.

- Co? - Joanna spojrzała na niego ze zdumieniem. - Nie wierzę własnym uszom. Nie uważasz jej za ważną? Czy nie wierzysz zatem w Boga?

Saint Clair roześmiał się.

- Oczywiście, że wierzę, lecz stawka w sprzeczce między de Lusignanem a de Montferratem nie ma nic wspólnego z Bogiem. To walka między dwiema grupami ludzi... trzeba przyznać, bardzo wielkimi grupami ludzi... z których wszyscy utrzymują, że czczą tego samego Boga. Lecz jedna grupa nazywa się Kościołem prawosławnym i przewodzi jej patriarcha Konstantynopola, a druga nazywa się Kościołem rzymskokatolickim i przewodzi jej papież. Każda przysięga, powołując się na niebiosa, że ma jedyny, właściwy i bezsprzeczny sposób na osiągnięcie zbawienia. Obie pragną rządzić ziemią, na której mieszkał Jezus, ponieważ uważają ją za świętą, i obie wierzą, że dzięki kontrolowaniu jej mogą zgromadzić dobra doczesne. Czy uważasz mnie za cynika, pani?

Wcześniej przyglądała mu się zmrużonymi oczami, lecz teraz zaśmiała się i potrząsnęła głową z podziwem.

- Nie - powiedziała przeciągle — nie za cynika. Lecz sądzę, że jesteś bardzo niebezpieczny.

- Jak to, pani? Jestem tylko prostym rycerzem.

- Tak, lecz jesteś prostym rycerzem, który ma własne myśli i własny

sposób patrzenia na rzeczy, których większość ludzi nie jest świadoma. To, panie rycerzu, sprawia, że jesteś bardzo niebezpieczny dla ludzi, którzy woleliby, abyś zachowywał się zgodnie z ich oczekiwaniami. Jak sądzisz, co powinien zrobić w tym wypadku mój brat?

- Wydaje mi się, że już podjął decyzję. Uznał roszczenia Gwidona do tronu, a także ofiarował mu wsparcie. Nie potrafię rzec, czy zrobiłby to tak chętnie, gdyby Filip nie udzielił poparcia de Montferratowi, lecz kości zostały rzucone. To stanowi dla mnie zagadkę, ponieważ nie sądziłem, że Filip ma w sobie dość odwagi czy buntu, aby wprost sprzeciwić się życzeniom papieża lub podważyć jego autorytet.

- Być może masz rację lub zbliżyłeś się do niej. Być może zawarł jakieś porozumienie z Kościołem w Konstantynopolu. Byłabym bardzo zdziwiona, gdybym miała się dowiedzieć, że wyznawcy prawosła-

wia knują mniej niż wyznawcy katolicyzmu. - Przez chwilę milczała, a potem dodała: - Dlaczego się uśmiechasz? Czy powiedziałam coś zabawnego?

Uśmiech Saint Claira poszerzył się jeszcze bardziej.

- Nie, pani. Bawi mnie to, że jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby mężczyzna powiedział to, co właśnie usłyszałem z twoich ust. Na ogół zbyt boją się Kościoła i jego władzy, aby ośmielać się mówić takie rzeczy. Zupełnie się z tobą zgadzam, lecz zaskoczyło mnie, że wyraziłaś tę opinię.

- Hmm. Spędź ze mną więcej czasu, sir Andrzeju. Wkrótce sprawię,

że będziesz rzęził na ziemi i chwytał się za brzuch ze śmiechu. Jedną z najsmutniejszych rzeczy w byciu kobietą jest to, że nie powinnyśmy myśleć, a nawet mieć zdolności myślenia. Nawet mój brat Ryszard wyraża tę opinię... jest to jedno z niewielu męskich wyobrażeń o kobietach, które w pełni podziela z resztą mężczyzn. Lecz oba Kościoły, wschodni i zachodni, rządzone są przez mężczyzn i dla mężczyzn, więc co może zrobić zwykła kobieta poza posiadaniem własnych opinii i wyrażaniem ich w miarę możliwości?

Andrzej pokiwał głową.

- No cóż, cokolwiek spowodowało, że Filip stanął po stronie Kon rada, wprowadziło silny podział pomiędzy wyznaniami, Ryszard więc jednoznacznie popiera teraz Gwidona. Choć śmiem twierdzić, że on stwierdziłby, że to Gwidon popiera jego...

Zanim Joanna zdążyła odpowiedzieć, przerwało im głośne chrap-nięcie dobiegające z łóżka za ich plecami. Oboje odwrócili się i zobaczyli, że Berengaria - która miała mocno zamknięte oczy i wydawała senne mlaśnięcia - odwróciła się twarzą do nich i znów pogrążyła we śnie. Rozpuszczone włosy prawie całkowicie zasłaniały górną część jej twarzy, a ponad skrajem koca wyraźnie widać było nagą szyję.

- Czy myślisz, że ten podział wciąż będzie aktualny, kiedy przy-będziemy do Zamorza? - Joanna znów patrzyła na Andrzeja, a on wzruszył ramionami.

- Myślę, pani, że dużo będzie zależało od Saladyna i sytuacji, jaką

zastaniemy na miejscu. Jeśli Saraceni zaatakują nas ostro i szybko, być może nasze siły zleją się w jedną skuteczną całość. Lecz jeśli Saladyn zacznie podejrzewać, jakie nękają nas niesnaski... a nie został sułtanem całego świata islamskiego, będąc ślepym głupcem... wstrzyma

swoje armie i pozwoli nam wyniszczyć się od środka. A pozostawieni samym sobie zrobilibyśmy to. Chrześcijanie wystąpiliby przeciw chrześcijanom, prawosławni przeciw katolikom. Doszłoby do drobnych sprzeczek, wybuchów zawiści, korupcji, zachłannego polityko-wania. Módlmy się, aby się o tym nigdy nie dowiedział.

- Ja się pomodlę, ponieważ sama tam będę, nie wątp w to. Być może nawet pomodlę się za ciebie, choć nie jestem bardzo pobożna. Chyba jestem zbyt podobna do ciebie, ponieważ mam własne zdanie i wolę myśleć samodzielnie. To drażni zaskakująco wielu ludzi. - Za wahała się, a potem dodała z nieznacznym uśmiechem: — Jeśli o mnie chodzi, może to denerwować nawet Boga. W każdym razie być może pomodlę się za ciebie.

Saint Clair uśmiechnął się lekko.

- Byłbym za to wdzięczny, pani.

- Och, nie mów tak, sir Andrzeju. Przez chwilę brałam pod uwagę uwiedzenie cię... a za to naprawdę byłbyś mi wdzięczny. Zdecydowałam jednak, że cię lubię, więc postanowiłam pozostawić cię twojemu przeznaczeniu, które już i tak może być dość skomplikowane, aby cię zaskakiwać, nawet bez moich przyczynków do twojego wyuzdania.

-Ja... - Rozdziawił usta i otworzył szeroko oczy, a ona uśmiechnęła się do niego leniwie, ciesząc się grą uczuć i reakcji, nad którą nie potrafił zapanować i której nie potrafił zrozumieć. Przez kilka chwil sądził, że źle ją usłyszał, aż wyraz jej twarzy powiedział mu co innego. Przyłożyła dłoń do ust, aby stłumić wybuch śmiechu. Kiedy wyglądało na to, że Andrzej opanował się i przezwyciężył chęć powiedzenia czegoś, bojąc się, że wyjdzie na głupca, znów przemówiła, cicho i łagodnie.

- Nie zapytasz mnie więc, co mam na myśli, mówiąc o pozosta wieniu cię twojemu trudnemu przeznaczeniu?

Zmarszczył czoło i niemal niedostrzegalnie potrząsnął głową.

- Nie, pani, chyba nie.

- Jesteś zatem świadom, że masz przeznaczenie?

- Każdy ma swoje przeznaczenie, pani.

- Nie, sir Andrzeju, wcale nie. Zdecydowanie nie. Wszyscy... większość... mają być może jakiś los, który ich czeka, lecz bardzo, bardzo niewielu ma przeznaczenie. Przeznaczenie zmienia drogi ludów i imperiów, Andrzeju. Wierzę, że masz takie przeznaczenie. Myślę,

że zdanie to podziela też, na swój pokrętny sposób, mój ukochany brat.

- Wybacz mi, pani, lecz nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Wiem. Dlatego tak mi się podobasz.

Spojrzenie Joanny było tak otwarte, tak wyzywające, że Saint Clair nie był w stanie go odwzajemnić, więc odwrócił od niej oczy, myśląc gorączkowo, nieświadom, że patrzy teraz na Berengarię.

- Uważasz, że jest piękna, prawda?

Ponieważ Andrzej nieświadomie przyglądał się śpiącej twarzy Be-rengarii, znaczenie pytania Joanny dotarło do niego dopiero po kilku sekundach, lecz wtedy zesztywniał i wyprostował ramiona.

- Chyba źle cię usłyszałem, pani.

- Nie jestem twoją panią, Andrzeju. Mogłabym położyć się z tobą i cieszyć się tym, i ty też, lecz nigdy nie mogłabym być twoją panią. Lecz Berengaria mogłaby, i zapewne tak się stanie, choć w tajemnicy i po cichu.

W ciszy, która nastąpiła, Saint Clair słyszał głośne bicie własnego serca, a kiedy Joanna znów się odezwała, wydawało mu się, że w jej głosie pobrzmiewa rozbawienie.

- Czy chciałbyś spółkować z królową, sir Andrzeju? No, panie, czas już zacisnąć zęby i pozbyć się rumieńca. Rzeknij tylko słowo, a możesz trafić do łoża z nami obiema. Wszyscy troje bylibyśmy zadowoleni, a życie mogłoby gładko płynąć dalej.

Andrzej nie próbował nawet odpowiedzieć, ponieważ bał się - choć zupełnie nie był tego pewien - że królowa Sycylii oszalała, a ryk jego własnego pulsu ogłuszał go. Siedział nieruchomo, nie patrząc na nią, a ona pochyliła się do przodu, chwyciła go za nadgarstek i pociągnęła.

-Andrzeju, spójrz na mnie. Spójrz na mnie i posłuchaj mnie! Spójrz na mnie!

Niezwykle powoli przeniósł na nią wzrok i zobaczył, że marszczy czoło.

- Słodki Jezu — powiedziała bardziej do siebie niż do niego. — Je
steś nawet bardziej niewinny, niż przypuszczałam. Nie nadajesz się,
aby wypuszczać cię w świat samego, bez opieki. Andrzeju, posłuchaj
mnie, a jeśli nigdy w życiu nie słyszałeś niczego o kobietach, wysłu
chaj tego. - Ścisnęła jego nadgarstek obiema rękami, tym razem na
tyle mocno, że sprawiła mu ból, a on drgnął i spojrzał prosto na nią. -

Posłuchaj, co ma ci do powiedzenia kobieta, która nie chce cię zwodzić,
i królowa, która nie musi kłamać. Berengaria jest twoja, i ja też, choć dla
mnie nie byłoby w tym nic poza przyjemnością. Lecz między tobą a
Berengaria chodzi o znacznie więcej. Masz spłodzić jej syna, następcę
Ryszarda.
Już zrywał się na równe nogi, lecz ona zerwała się wcześniej i po-
pchnęła go, aby znów usiadł.
- Słuchaj, głupcze! Czy myślisz, że żartowałabym w takiej spra
wie? To prawda. Ryszard zaplanował to i zaaranżował z wielką troską,
i ani ty, ani nikt inny nie może zrobić nic, co by to zmieniło. Jeśli
będzie trzeba, w pełni wykorzysta swoje uprawnienia pana lennego
i bezpośrednio rozkaże ci wypełnić to zadanie, a jeśli mu odmówisz,
stosownie się z tobą rozprawi. Wierz mi, wiem, co mówię, a ty znasz
mojego brata dość dobrze, aby wiedzieć, że nie pozwoli pokrzyżować
sobie szyków w żadnej sprawie, na której zależy mu tak jak na tej.
Ryszard nie boi się papieży, biskupów czy paplających duchownych
i żaden inny żyjący monarcha nie może go do niczego zmusić i spra

wić, by zmienił zdanie.

Pohamowała się, widząc wyraz jego twarzy, a potem machnęła dłonią, jakby odpędzając takie myśli, i mówiła dalej łagodniejszym tonem.

- Lecz sprawa ta nie jest ani trochę tak ponura, jak to brzmi w moich ustach, wierz mi. Nie byłaby też wcale nieprzyjemna, szczególnie jeśli chodzi o moją siostrę Berengarię. Ryszard zabrał ją do swojego łoża w noc poślubną, czego świadkami byli wszyscy, od których wymagano pełnienia tej roli, lecz nie próbował się do niej zbliżyć. Żadna z niej dziewica... nikt nie oczekiwał, że tak będzie... lecz jest dziewicą dla swojego męża, ponieważ Ryszard jest popularny wśród mężczyzn, co oznacza, że przynajmniej oficjalnie królowa nie będzie wśród nich popularna do końca życia.

- Toż to skandaliczne! Została sprowadzona na Sycylię, aby wyjść za niego, przez jego matkę. Jak Eleonora mogła nie wiedzieć o swoim synu i jego nawykach?

Joanna spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Kto powiedział, że nie wie? Ja?

- Nie, ale...

- Żadnych ale, sir Andrzeju. Moja matka nie jest głupia i wie

o swoich synach wszystko... a jeśli o to chodzi, o córkach też. Wiedziała, co robi.

- Jak więc mogła zrobić coś takiego tej młodej kobiecie?

Naiwność tego pytania spowodowała, że w głosie Joanny pojawiła się ostra nuta.

- Mogła to zrobić, ponieważ ta młoda kobieta jest córką swego ojca i musi być posłuszna jego życzeniom, w tej sprawie jak i w każ dej innej. Jej ojcem jest król Nawarry, a synem Eleonory król Anglii i władca wielkiego państwa, którego częścią jest Gaskonia. Swatając Ryszarda z Berengarią, moja matka zaaranżowała idealne przymierze. To jeden z tych błyskotliwych przykładów logiki i politycznej ini cjatywy, dzięki którym moja matka słynie ze swojego zmysłu poli tycznego. Ryszard ma w Gaskonii niekończące się kłopoty, lecz brak mu czasu, aby się nimi zająć. Cały ten region to gniazdo zdradliwych bandytów. Nazywają samych siebie panami lennymi i rycerzami, lecz są po prostu łotrami, którzy wcale nie kochają Akwitanii, a jeszcze mniej mojego brata czy jego ród. Na wschód od Gaskonii leży Tuluza, wróg zarówno Gaskonii, jak i Ryszarda. Wrogość pomiędzy Tuluzą a Gaskonia jest jedyną rzeczą, która powstrzymuje wybuch otwartego buntu przeciwko władzy Ryszarda. Lecz nasza dalekowzroczna mat ka znalazła sposób na zlikwidowanie tego zagrożenia. W dniu ślubu z Berengarią Ryszard podarował jej wszystkie swoje ziemie w Gaskonii. Południowa granica Gaskonii stanowi północną granicę terytoriów, którymi rządzi ojciec Berengarii, Sancho Szósty. To rozsądny i solidny człowiek, silny król mający potężną, doświadczoną armię, która od lat toczy w Granadzie, na południe od niego, kampanię przeciwko muzułmańskim Maurom. Teraz, kiedy jego córka posiada Gaskonię,

Sancho sprawi, że Gaskonia i Nawarra zjednoczą się przeciwko Tu
luzie, poskramiając w imieniu swojej córki gaskońskich bandytów
i chroniąc andegaweńską Akwitanię przed jakimkolwiek zagrożeniem
ze strony jej wschodnich sąsiadów. Musisz przyznać, że wszystko to
jest logiczne, czyż nie?
Saint Clair kiwnął głową.
-Tak, to godne podziwu, lecz to nie...
- Oczywiście, że tak, sir Andrzeju. Królewski obowiązek i odpo
wiedzialność usprawiedliwiają wszystko, co konieczne dla dobrobytu
królestwa. Berengarią zawsze to akceptowała. Poza tym jest... spolegli-

wa. Takiego słowa użyła moja matka, opisując umiejętność Berengarii
zaakceptowania wszystkiego, co zrobi jej Ryszard... lub, dokładniej
mówiąc, czego jej nie zrobi. Moja matka zawsze wiedziała to, co wie
niewielu mężczyzn, że każda kobieta, nieważne jak lekceważona lub
krzywdzona, potrafi... jeśli tego chce... prawie wszędzie znaleźć dla
siebie ukojenie. Mimo wszystko mój brat nie jest jednak całkowicie
pozbawiony sumienia. Zanim położyli się do łoża w noc poślubną,
powiedział jej, jak będzie wyglądać ich życie, i oświadczył jej, że nie
będzie się sprzeciwiał, jeśli będzie zaspokajać swoje potrzeby z kimś, na
czyjej dyskrecji można polegać. - Joanna zrobiła dramatyczną pauzę. -
Potem posunął się jeszcze dalej. Powiedział, że jeśli Berengaria zajdzie
w ciążę, on usynowi dziecko. Wybrał ciebie do tego zadania.
- Co? Wybrał mnie...? Nie! Nie, to niemożliwe. To nie do pomy-

ślenia. Nie wierzę w to.

- Dlaczego, na Boga? Dlaczego, Andrzeju? Znasz mojego brata. Wiesz, kim jest. Dlaczego miałoby ci być trudno w to uwierzyć? Wywnioskowałam to wiele tygodni temu ze sposobu, w jaki przy każdej okazji wystawiał cię przy nas na widoczną pozycję.

- Lecz... Lecz... To haniebne, pani! Sugerować, że król kiedykolwiek wziąłby pod uwagę to, żeby kto inny, a co dopiero ja, spłodził jego syna! Jak możesz nawet sugerować coś takiego, choć znasz go lepiej niż ja, kiedy cały świat wie, że jest w pełni zdolny do tego, aby wypełnić własny obowiązek? Czy muszę ci przypominać, że twój brat już spłodził syna?

- Ach! Słynny mały Filip, oczywiście! - Joanna wyprostowała się i spojrzała w ogień z niezgłębionym wyrazem twarzy. - Mały książę z nieprawego łoża. Zmora króla Francji... Nie, panie, nie musisz przypominać mi o tej bajce. To dziecko istnieje, lecz jest synem Ryszarda Plantageneta w tym samym stopniu co ja. Jest iluzją na użytek zwykłych ludzi. Lecz myślałam, że nawet mimo twojego braku obycia udało ci się przejrzeć tak prosty podstęp.

- Wyjaśnij to, jeśli łaska.

- Dobrze. Zaledwie chwilę temu pytałeś mnie, jak to możliwe, że mimo iż znam mojego brata lepiej niż ty, mogę sugerować, że byłby zdolny do czegoś takiego. No cóż, mogę sugerować coś takiego bez wahania właśnie dlatego, że znam mojego brata lepiej, niż ty kiedykolwiek go poznasz. Zdecydował się w tym wypadku na ciebie, po-

nieważ z powodzeniem zrobił już kiedyś to samo w kwestii dziecka z Cognac, młodego Filipa Plantageneta. Proszę cię, pomyśl o tym przez chwilę. - Zaczęła odliczać na palcach. - Pomyśl o obowiązkach związanych z tytułem króla, Andrzeju. Pierwszym i najważniejszym z nich jest spłodzenie potomka, aby podtrzymać dynastię i zagwarantować bezpieczeństwo królestwu oraz ludziom. Ci ludzie są królestwem, w każdym wypadku, a król jest uzależniony od ich dobrej woli. Król, któremu nie udaje się spłodzić potomka, jest nie do przyjęcia, dlatego też tyle królewskich małżeństw trwa tak krótko. To królowa ponosi winę za porażkę, jeśli rodzą się córki. Kiedy w ogóle nie pojawiają się dzieci, królową uznaje się za niepłodną i odprawia. Sam król nigdy nie ponosi winy, chyba że można udowodnić jego dewiację, na tyle poważną, iż nie może on spłodzić następcy. Weź pod uwagę, że taka myśl musi być przerażająca dla człowieka o naturze i ambicjach mojego brata. - Joanna pozwoliła wybrzmieć tym słowom, po czym ciągnęła: -Jestem pewna, że już wiesz, iż Ryszard musi być dla innych wzorem. Nieustraszonym i niepokonanym w walce, gotowym w mgnieniu oka, aby śmiać się i pić lub mocować się i walczyć z kimkolwiek. Pokazuje całemu światu serdeczną, uśmiechniętą twarz, kiedy gra przyjaznego króla Anglii. Lecz to król Anglii, który unika towarzystwa kobiet, otacza się urodziwymi, zniewieściałymi młodzieńcami i od chłopięctwa współżył z królem Francji. We Francji ich igraszki i nieustanne, zazdrosne sprzeczki już dawno stały się tematem wyświechtanych żartów, i istniało zagrożenie,

że dowiedzą się o tym zwykli ludzie w Akwitanii, Andegawenii i na innych ziemiach. Oczywiście księża położyli temu kres. Ryszard może nie dbać o to, co myślą zwykli ludzie, lecz Kościół był mądrzejszy. Wymyślono więc fortel, aby oszukać mieszkańców nie tylko ziem Ryszarda we Francji, ale też Anglików, jego przyszłych poddanych. Angielscy panowie lenni wymagają od swojego króla bohaterstwa zarówno w alkowie, jak i na polu bitwy, a to pierwsze, w podstawowym, prymitywnym znaczeniu, pociąga za sobą uwodzenie kobiet i spółkowanie z nimi. Słyszałam, że klasy niższe, szczególnie w Anglii, nie rozumieją prawdziwego męskiego braterstwa, o którym marzy Ryszard i za którym się opowiada, ani zakazanej miłości pomiędzy szlachetnymi wojownikami, w której znajdowali przyjemność tacy ludzie, jak Aleksander czy Cezar. Aby więc uspokoić gadające po próżnicy języki, pewni ludzie, nazwijmy

ich doradcami, rozmyślnie zaplanowali Ryszardowi przygodę z młodą kobietą w Cognac, regionie na tyle odległym od jego zwykłych miejsc, że świetnie nadawało się do tego celu, której rezultatem były szeroko omawiane narodziny zdrowego chłopca.

- Lecz on tego dokonał.

Joanna niemal się uśmiechnęła.

- Naprawdę? Nie, mój drogi Andrzeju, muszę cię rozczarować. Na tura ciągnie wilka do lasu. Tak samo jest z moim bratem. Jak sądzisz, dlaczego przygoda ta została zorganizowana tak daleko od domu?

Gdyby Ryszard chciał się położyć z dziewoją, musiałby jedynie strzelić palcami, gdziekolwiek by się znajdował, aby aż w nadmiarze pojawiły się dyszące z żądzy kobiety. Lecz wydarzyło się to inaczej. Pewni ludzie zadali sobie wiele trudu, aby znaleźć odpowiednią kobietę z dobrej rodziny, młodą, ubogą wdowę, i zawarli z nią pewną umowę. Książę miał być widywany z nią w miejscach publicznych i wystarczająco długo obdarzać ją względami, aby ludzie zaczęli gadać. Plotkarze by liby bardzo zajęci, lecz dama ta otrzymałaby sowite wynagrodzenie za każdy ambaras, który mógłby ją spotkać. Kiedy nie spędzałaby czasu na prywatnych igraszkach z księciem, zabawiałby ją... choć w tajem nicy... młody rycerz o nieskazitelnym rodowodzie i niezwykle pięknej powierzchowności. Po niezawodnym zajściu damy w ciążę młody ry cerz mógł odejść, zadowolony i znacznie bogatszy, a ojcem dziecka ogłoszony byłby książę Ryszard. W zamian za to Ryszard nagrodził by ją darami w postaci posiadłości, ziem i złota, chętnie usynowiłby dziecko i mianowałby je dziedzicem swojego majątku. Dla wszystkich zainteresowanych plan ten świetnie zadziałał. Kobieta ta, zadowolo na z siebie matrona uznanego dziedzica, jest teraz bogata i niezależna, a Ryszard ma żywy symbol swej męskości, seksualności i miłości do kobiet, którym może popisywać się przed ludźmi, kiedy tylko zechce.

-Ale co z prawdziwym ojcem? Czy Ryszard nie obawia się, że może on kiedyś wrócić i rozpowiedzieć o wszystkim? Joanna znów się uśmiechnęła.

- Czy zrobiłbyś to na jego miejscu? Co osiągnąłby w ten sposób,

poza utratą wszystkiego, w tym swojej głowy? Poza tym ten biedny człowiek zginął pod Hattinem.

Saint Clair pogrążył się w myślach, skubiąc delikatnie wewnętrzną stronę wargi. W końcu podniósł wzrok na Joannę.

- Wierzę twoim słowom, pani. To, co mówisz, brzmi logicznie.

-Znów zamilkł, po czym wyprostował się raptownie. - Jednak nawet jeśli to wszystko okazałoby się prawdą, nie rozumiem jeszcze, dlaczego król miałby wciągać mnie w swój plan ponownego dokonania czegoś takiego.

- No, sir Andrzeju, jesteś zbyt skromny, nie pasuje to do ciebie. Spójrz na to z punktu widzenia mojego brata. Idealnie spełniasz jego potrzeby w tej kwestii. Jesteś młody, pełen wigoru i poświęcenia, honorowy i związany z nim lojalnością i obowiązkiem, a poza tym pochodzisz ze świetnego rodu, a twoi przodkowie są bez zarzutu. Ryszard byłby szczęśliwy, mogąc pozwolić, by syn prastarego rodu Saint Clair przyjął jego dziedzictwo i nazwisko, mając nieskażoną krew. Bóg jeden wie, że jego własna napawa go wstrętem.

Saint Clair zagapił się na nią szeroko otwartymi, zaskoczonymi oczami.

- Co masz na myśli?

- Właśnie to, co powiedziałam. Ryszard mówił wielokrotnie, a raz przy mnie, że jego własna krew, święta, królewska krew, zmieszana z obojga naszych rodziców, zepsuła i splugawiła całe jego życie. Co

takiego dokładnie powiedział? Niech pomyślę... Ach tak, powiedział: “Krew płynąca w moich żyłach jest mieszanką uwarzoną, ugotowaną i wyplutą w piekle, tym samym trującym, złym plugastwem, które ożywia mojego brata Jana, niech zgnije żywcem. Lepiej, żeby wymarła wraz ze mną, gdziekolwiek i kiedykolwiek to się stanie, i żeby świeża, nieskażona krew rządziła Anglią po mojej śmierci".

Długo czekała na odpowiedź. Coś - jakiś kamyk czy wypełniony żywicą sęk drewna - eksplodował w głębi ogniska, rozpryskując się na małe kawałki, lecz wydawało się, że Saint Clair nie jest tego świadom. W końcu, jakby bojąc się, że Andrzej już się nie odezwie, Joanna zachęciła go.

- A zatem? Co o tym myślisz?

Nabrał głęboko powietrza i spojrzał na nią.

- Sądzę, że to nie do wiary, a jednak aż zbyt wiarygodne. A tak że... Przede wszystkim uważam, że to przerażające. - Przerwał i ścisnął skronie rękami, zamykając mocno oczy, a potem opuścił dłonie. - Mówiąc najprościej, trudno mi to wszystko pojąć, pani. Czy naprawdę mam wierzyć... Czy naprawdę chcesz mi powiedzieć, że je-

śli postanowię zbliżyć się do królowej, legnie ze mną, i ani ona, ani król nie będą czuć gniewu?

— Chcę powiedzieć jeszcze więcej, przyjacielu. Jeśli spłodzisz z nią syna, zostanie uznany przy narodzinach i w odpowiednim momencie koronowany na króla Anglii. Tyle mogę ci przyrzec.

Saint Clair przełknął.

-A jeśli... zrobię to, tę rzecz, jak sugerujesz... czy będę miał też dostęp do ciebie?

Obdarzyła go otwartym, poważnym spojrzeniem, w którym nie było śladu rozbawienia.

— Oczywiście. Czy tego nie powiedziałam? Spadnie na mnie rola twojej przyzwoitki, starszej towarzyszki królowej, siostry przez mał żeństwo oraz damy dworu, towarzyszącej jej bezustannie. Jestem wdową, więc ludzie uważają mnie za wysuszoną, pozbawioną sił ży ciowych. Lecz ja mam trzydzieści cztery lata i jestem u szczytu kobie cości. Nie potrzebuję dozgonnej miłości, nie dla mnie pełen energii, nieszczęśliwie zakochany, dyszący z utęsknieniem młody człowiek, który pochlebiałby mi, udając, że mdleje u mych stóp, lecz mam wiel ką potrzebę prostej, cielesnej przyjemności. Spraw, że na mojej twarzy pojawi się uśmiech, a będę twoją najbliższą przyjaciółką, przyjacielu, bo komuż mogłoby się przyśnić, że zbliżysz się do królowej Anglii, kiedy będzie ona dzielić alkowę z królową Sycylii? Będziesz żył jak sam sułtan, we własnych haremie, a twoimi ochoczymi odaliskami będą dwie królowe.

- Czy... twierdzisz, że Berengaria wie o tym?

-Tak. Nie podjęła ostatecznej decyzji i sądzi, że nic jeszcze nie wiesz, lecz już jest... przychylnie wobec ciebie nastawiona, a kiedy przygląda ci się, jej wzrok jest zamyślony.

Cisza przedłużyła się po raz kolejny, kiedy Andrzej usiłował zacho-

wać kamienny wyraz twarzy, a także stłumić wzbierające w nim nudności, spowodowane nie perspektywą posiadania dwóch królewskich kochanek, lecz tym, jak bezdusznym i całkowitym lekceważeniem jego honoru wykazali się Ryszard Plantagenet i Joanna. Świadom, że będzie musiał mówić i zachowywać się niezwykle ostrożnie, wciąż siedział w milczeniu, licząc własne uderzenia serca, a kiedy doliczył do dwudziestu, wyprostował się i odchrząknął.

- Cóż, pani - powiedział. — Muszę... muszę się zastanowić. Miałem

inne, zupełnie inne plany względem mojego losu podczas nadchodzącej kampanii. Mam wstąpić w szeregi templariuszy... a przynajmniej miałem, do teraz. Teraz nie wiem, co mam zrobić w tej sprawie poza tym, że prześpię się z tym i zdecyduję, co muszę zrobić najpierw. Jak bowiem osiągniemy ten... ten stan, który opisujesz? To nie może się zacząć, dopóki jestem nowicjuszem w Zakonie. Będę musiał się uwolnić... szczęściem nie złożyłem jeszcze ślubów... i wrócić do służenia twojemu bratu. Sądzę, że potem rzeczy będą mogły potoczyć się łatwiej.

- Tak, to prawda. - Głos Joanny był zaledwie odrobinę głośniejszy od szeptu, kiedy nachyliła się w jego stronę, przyciągnęła jego twarz do swoich spragnionych ust i pocałowała go.

Andrzeja przebiegł dreszcz i nagle zaczął drżeć z niepohamowanego pożądania, którego do tej chwili nie był świadom. Już zaczął przysuwać się do niej, kiedy w środkowej jaskini ktoś zakaszlał i parsknął głośno, a oni odskoczyli od siebie wystraszeni. Andrzej poderwał się na równe

nogi, wyciągnął miecz i poszedł do sąsiedniej pieczary, gdzie usłyszał dźwięk moczu rozpryskującego się o ścianę: jeden ze zbrojnych załatwiał się niemal przez sen. Za wejściem do pierwszej jaskini noc była cicha, a wycie wiatru w końcu ustało.

Wrócił do tylnej jaskini, życzył Joannie dobrej nocy i poszedł do własnego legowiska, wściekając się na siebie i zastanawiając, czy to, że nie posiadł jej od razu, kiedy miał okazję, robiło z niego tak wielkiego głupca, jak mu się wydawało. Lecz kiedy tylko sformułował to pytanie, zdał sobie sprawę, że za sprawą szoku, którego doznał, postąpił właściwie i pomimo najgorszych zamiarów ochronił swój honor.

Przygnębiony położył się znów w swoim prowizorycznym łóżku i zamyślił nad perfidią książąt, pewien, że nie będzie w stanie zasnąć. Potem w jego myślach pojawiła się niczym błysk światła odbity w odległym jeziorze dobrze znana mu twarz, sprawiając, że serce zabiło mu mocniej. Od razu się uśmiechnął, mimo wszystko rozbawiony tym, jak absurd często zmienia się w rzeczywistość. Wiedział, gdzie musi się teraz udać, i znów się uśmiechnął. Po chwili zaczął chrapać.

7

Ach, jesteś, Saint Clair. Gdzieżeś się, do diabła, podziewał? - dobiegł od strony otwartych drzwi męski głos.

Andrzej wstał i odwrócił się, aby stanąć twarzą w twarz ze zjawą, która człapała w jego stronę, lecz nie patrzyła na niego. Brat Justyn, mistrz nowicjuszy, zerkał zmrużonymi oczami na trzymany w dłoni pergamin, lecz potem przeszedł z rozświetlonego słońcem korytarza do mrocznego pokoju, w którym czekał na niego Andrzej, i na moment stracił wzrok. Pomachał pergaminem z frustracją i rozejrzał się, aż dostrzegł Andrzeja stojącego po drugiej stronie korytarza wejściowego. Po obu stronach Saint Claira dwaj skrybowie, którzy mieli pilnie przepisywać dokumenty, nasłuchiwali gorliwie, łowiąc niuanse tonu i akcentu, ponieważ wiedzieli, że coś się święci. Andrzej wtargnął do środka jakiś czas wcześniej i zażądał, aby ich dwaj towarzysze udali się osobno na poszukiwania mistrza nowicjuszy i migiem sprowadzili go z powrotem. Ci spróbowali się sprzeciwić, mówiąc, że nie mają czasu na takie rzeczy, lecz Saint Clair wpadł w furię i wyciągnął miecz, a oni czmychnęli wypełnić jego polecenie. Żaden z nich jeszcze nie wrócił, lecz pojawił się Justyn, który najwyraźniej wiedział już, że Saint Clair czeka na niego.

Wzrok Justyna szybko przyzwyczajał się do ciemności, ponieważ brat głosem ociekającym sarkazmem zwrócił się do skrybów:

- Do pracy, bracia - rzekł. - Boża praca nigdy się nie kończy, a waszej nie wolno przerywać. Saint Clair, za mną.

Andrzej podążył za drażliwym mnichem wzdłuż wąskiego korytarza prowadzącego do komnaty o kamiennych ścianach, którą Justyn zajął na własny użytek. Mistrz pchnął drzwi, wkroczył do środka i wskazał kciukiem wysoki taboret stojący przy długim stole roboczym, ciągnącym się pod wysokimi oknami.

- Siadaj.

Justyn podszedł do drugiego końca stołu i wziął do ręki trzy małe, ciasno zwinięte listy. Mówiąc, łamał ich pieczęcie i przeglądał zawartość.

- Twój kuzyn pojawił się w Akce, cały i podobno zdrowy, choć wygląda na to, że niektórzy z jego braci templariuszy nie zgadzają się z tą opinią. Dostaliśmy wiadomość dwa dni temu, dzięki kurierowi ze statku handlowego płynącego na Maltę. Moi ludzie szukają cię od przedwczorajszego wieczora, więc wiem, że nie było cię w zamku, na statku w porcie ani nawet w Limassolu. Część znanych mi ludzi nazwałaby to dezercją, a w najlepszym razie wskazuje na brak poczucia odpowiedzialności. Gdzie byłeś?

- Byłem odpowiedzialny. Zajmowałem się sprawami króla.

Brat Justyn ostrożnie odłożył listy i wyprostował się, po raz pierwszy patrząc prosto na Saint Claira. Jego uwagę natychmiast przykuła jakaś nowa nuta, która pojawiła się w głosie Andrzeja. Justyn mówił teraz wolno, spokojnym, wyważonym tonem.

- Od kiedy to jakakolwiek sprawa króla ma pierwszeństwo wobec

spraw naszego Zakonu?

- Nigdy wcześniej się tak nie stało, bracie. Teraz też nie. Dlatego tu jestem.

Brat Justyn wyciągnął z rękawa kawałek szmaty nieokreślonego koloru i starł nią okruchy z brudnej białej szaty opinającej jego brzuch. Potem, wyraźnie potrzebując więcej czasu do namysłu, wytarł nią kąciki ust. Gest ten podkreślił jego bulwiasty, plamisty nos i wydatną dolną wargę. Wcisnął szmatę z powrotem na miejsce i pokiwał ciężko głową.

- Wciąż nie powiedziałeś mi, gdzie byłeś, a jako mistrz nowicjuszy muszę wiedzieć.

- Polowałem na terenach myśliwskich Izaaka Komnena, około dziesięciu mil od miasta. Wczoraj dopadła nas burza i musieliśmy spędzić noc w jaskini. Wróciliśmy dziś, wkrótce po świcie.

Justyn przyglądał mu się dziwnie.

- Sprawy króla sprawiły, że polowałeś bez niego? To dziwne. Widziałem króla wczoraj wieczorem, tutaj na zamku.

- Nie wątpię. Nie było go z nami. Kazał mi towarzyszyć i służyć jego żonie Berengarii oraz siostrze Joannie. Obie świetnie polują, lepiej niż niejeden znany mi mężczyzna.

Brat Justyn zadrżał nagle i rozejrzał się, pocierając ręką ramię.

- Zimno tu - wymamrotał. - Powinienem rozpalić ogień. Bez względu na to, jak gorąco jest na zewnątrz, stare kamienne mury sprawiają, że w tych wielkich komnatach jest chłodno. Chwilę temu wy-

raźnie poczułem, że temperatura znów spadła... - Uniósł wzrok, aby spojrzeć na sklepienie krzyżowe nad sobą. - Wiem, że masz mi wiele do powiedzenia, sir Andrzeju, lecz najpierw muszę poprosić, żebyś wyjaśnił jedną drobną kwestię. Czy mam wierzyć, że spędziłeś noc w jaskini z królową Berengarią i królową Joanną? Sam na sam z dwiema kobietami, z wyjątkiem kilku myśliwych?

- Raczej nie sam na sam, bracie Justynie. Poza królowymi było tam dwadzieścia sześć osób.

- Dwadzieścia sześć. Ile z nich było kobietami?

- Królowe były jedynymi kobietami i nawet one miały na sobie męski strój.

- Rozumiem. Czy ta... ekspedycja ma cokolwiek wspólnego z tym, że mnie szukałeś?

- Wszystko.

- Zatem wyraźnie masz mi dużo do powiedzenia. Jednak zanim to zrobisz i póki nie straciłem jeszcze głosu, czy chcesz mnie o cokolwiek zapytać?

- Tak, bracie. Gdzie się podziewał mój kuzyn przez cały ten czas?

- W więzieniu, w rękach Saracenów. Był pod Hattinem i udało mu się uciec, lecz wkrótce znów został pojmany.

- Dlaczego więc nie wiedzieliśmy o tym wcześniej? Znaliśmy na-zwiska większości z tych, których zabito i pojmano, czyż nie?

-Tak, lecz wygląda na to, że twój kuzyn zmienił nazwisko... co więcej, całą swą tożsamość. Wiedział, że Saladyn zabił wszystkich

templariuszy i szpitalników schwytanych pod Hattinem, więc ukrył swoją przynależność do Zakonu. Pojmano go na długo po zakończeniu bitwy, a on zdążył się pozbyć wszystkiego, co świadczyłoby o tym, że ma coś wspólnego z templariuszami. Przyjął nawet nazwisko oraz tożsamość swojego rodaka i najbliższego przyjaciela, którego znał od dzieciństwa, niejakiego Lachlana de Moraya. On też był rycerzem i zginął pod Hattinem, lecz nie należał do żadnego zakonu rycerskiego.

- Zatem Alec wyparł się Zakonu Świątyni?

- Tak, dla większego dobra Zakonu Syjonu.

- Skąd to wiadomo?

- Ponieważ wiadomość, którą otrzymaliśmy, była zaadresowana do mnie, a nie do Zakonu Świątyni. Nie napisał *je.)* templariusz.

- Rozumiem... Domyślam się zatem, że nie będę mógł dowiedzieć się niczego na temat tego większego dobra, które on dostrzegał.

- Tego nie powiedziałem. Właściwie to dowiesz się wszystkiego na ten temat, a także na temat zadania sir Aleksandra i jego obowiązków względem bractwa. Lecz najpierw chcę usłyszeć o troskach, które cię tu sprowadziły. Nigdy wcześniej nie przyszedłeś prosto do mnie, więc dlaczego zrobiłeś to teraz? Wyznaję, że jestem wielce ciekaw.

Wtedy Saint Clair opowiedział mu absolutnie wszystko, nie pomijając niczego, więc przez kolejną godzinę Justyn siedział zasłuchany, spijając każde słowo z ust Andrzeja. Kiedy ten w końcu umilkł, przez długą chwilę żaden z nich się nie odezwał. W końcu to Justyn przerwał ciszę.

- Hmmf - burknął, a potem znów na chwilę zamilkł. — Dlaczego więc jesteś tutaj? Dlaczego po prostu nie przyjąłeś tej propozycji? Jak dotąd nie złożyłeś ślubów i nie podjąłeś żadnych obowiązków, które mogłyby cię przed tym powstrzymać. Wielu ludzi zrobiłoby wszystko, żeby zyskać to, co tobie proponowano. Nie odrzuciłeś tego honoru, prawda?

Andrzej zmarszczył czoło.

- Nie, nie odrzuciłem. Jeszcze nie, ale...

- Dlaczego więc mówisz mi o tym, na Boga? Dlaczego się w ogóle wahasz?

- Sam użyłeś słowa, które mnie powstrzymuje.

- Tak? - Teraz to Justyn zmarszczył brwi. - Co to za słowo?

- Honor, bracie. To ideał i konkret, który wysoko cenię, szczególnie dlatego że ostatnio wygląda na to, iż wyszedł z użycia i nie cieszy się popularnością.

-Aaach... Honor, rozumiem. Tak, poczucie honoru potrafi być niewygodne.

Saint Clair potrząsnął głową.

- Nie zgadzam się, bracie Justynie. Sądzę, że poczucie honoru nig dy nie jest niewygodne, a jego brak w jakiejkolwiek sytuacji odstręcza mnie. W tym, co ci opisałem, nie widzę ani śladu poczucia honoru.

386

—Czy chcesz mi powiedzieć, że dlatego nie będziesz miał z tym nic wspólnego?

—Tak, panie.

—Stawiasz więc innym wysokie wymagania.

—Nie, to nieprawda. Swoje wymagania stawiam wyłącznie sobie. Nie oczekuję, że ktokolwiek usłucha moich nakazów. Należą one do mnie tak samo jak mój honor.

Justyn zacisnął usta i kiwnął głową.

— Dobrze. Niech będzie. Nie spodziewałem się po tobie niczego

innego i masz moje pełne poparcie. Lecz powiedz mi, dlaczego nie poszedłeś z tym prosto do de Sablego? Ma na względzie twoje dobro i zajmuje w bractwie wyższy stopień niż ja. Ma też większe wpływy, jeśli chodzi o takie sprawy.

Saint Clair potrząsnął głową, kiedy tylko usłyszał nazwisko de Sablego.

—Nie śmiałem. Sir Robert to dobry człowiek, znam go dobrze i sądzę, że mi ufa, lecz blisko przyjaźni się z Ryszardem, i to od lat. Łączy ich nawet krew, są krewnymi. Po prostu nie miałem odwagi podjąć takiego ryzyka. To zbyt niebezpieczne... Nie sądziłem, że zdradzi mnie przed Ryszardem. Wiem, że nigdy by tego nie zrobił, lecz nieumyślnie mógłby zdradzić siebie i przynieść samemu sobie zgubę przez jakiś wyraz dezaprobaty. On również ma ogromne poczucie honoru i bardzo go strzeże, więc byłoby mu trudno ukryć odrazę dla sposobu, w jaki Ryszard traktuje królową. Nie wybaczyłbym sobie, gdyby zginął przez coś, co niepotrzebnie mu powiedziałem.

—Hmm. Chyba masz rację, to zbyt niebezpieczne. Być może nigdy nie będziemy pewni, czy miałeś rację, lecz mamy inne rozwiązania i sądzę, że podjąłeś słuszną decyzję... Co się stało?

Andrzej marszczył brwi.

— Nie jesteś zaskoczony tym, co ci powiedziałem.

— Czy powinienem być? Masz na myśli to, że powinienem być zszokowany i oburzony sprzedaj nością, cielesnością oraz chuciami tych mężczyzn i kobiet? Dlaczego tak sądzisz? Wstąpiłem do brac

twa w wieku osiemnastu lat, tak jak ty, bracie Andrzeju, i od tamtej pory niezmordowanie oddaję się nauce, aby awansować w szeregach naszego Zakonu i znaleźć prawdziwą drogę *do* Boga. Większość tego, czego się nauczyłem, oparta była na przepaści, która powstała mię-

dzy Bogiem a ludźmi, kiedy nasza prastara droga zaginęła wraz ze zniszczeniem Jerozolimy w czasach rzymskich oraz śmiercią Jezusa i jego brata, Jakuba. Potem, jak mówi nasza tradycja, ludzie zaczęli wędrować po dziczy. Na próżno poszukiwali drogi do Boga, podążając błędnymi śladami tych, którzy byli tak samo śmiertelni, słabi i głupi jak ich zwolennicy, bez względu na to, jak wspaniałe nadawali sobie imiona i tytuły. Jeśli odbierze się człowiekowi jego pobożność, zostaje wyłącznie słaba, krucha, samolubna natura ludzka. Nie jestem zatem zaskoczony. Moim zadaniem jest znaleźć sposób, by wykorzystać to, co mi powiedziałeś, aby przysłużyć się celom naszego bractwa. Dlatego też cieszę się, że przyszedłeś najpierw do mnie, ponieważ musimy szukać teraz pomocy w samym Zakonie Świątyni, a de Sabie jeszcze do niego nie należy. Odtąd musimy zatrzymać cię tutaj, poza zasięgiem Ryszarda, lecz będzie to w najlepszym wypadku tymczasowe odroczenie, ponieważ może cię jeszcze szukać jako twój pan lenny. Miejmy nadzieję, że w najbliższych dniach całą jego uwagę pochłoną te bzdury z Izaakiem Komnenem, lecz jedynym naprawdę skutecznym sposobem na utrzymanie cię poza jego zasięgiem jest oficjalne wprowadzenie cię w szeregi templariuszy. Dlatego też wezwę część braci, aby jak najszybciej

się zebrali.

- Chcesz wcielić tylko mnie, bez innych nowicjuszy? Jak można tego dokonać?

- Na skutek zrodzonego z konieczności pośpiechu i podstępu. Nie tylko można tego dokonać, można to zrobić szybko. Mamy powód. Potrzebujemy jedynie dostatecznej liczby rycerzy, aby przeprowadzić ceremonię.

Saint Clair się skrzywił.

- Powód. Czy uratowanie mnie ze szponów króla w kwestii eskapady, o której nie możemy mówić, jest wystarczającym powodem? Jak wyjaśnisz to innym?

- Z łatwością. Przede wszystkim król nie ma z tym nic wspólnego. Od początku miej jasność w tej sprawie i nie zapominaj o tym. Powiedziałem ci, że wygląda na to, iż twój kuzyn jest cały i zdrowy, lecz że niektórzy z jego towarzyszy mogliby się z tym nie zgodzić. Sir Aleksander nie po raz pierwszy irytuje innych templariuszy, czasem kwestionując ich zasady, a czasem pogardzając nimi. Twój kuzyn zawsze był drażliwy i bezwzględnie prawy, lecz rzadko się mylił. Choć

dobrze to o nim świadczyło, nie przysporzyło mu sympatii mniej bezkompromisowych kompanów. Po powrocie z niewoli u Saracenów sypał gradem zarzutów o niekompetencję i zepsucie wśród szeregów Zakonu oraz innymi koncepcjami, które nie podobały się ludziom, a kiedy zakwestionowali to, co mówił... jak rozumiem, bardzo obcesowo... znów

zniknął na pustyni. Inni mieszkający tam templariusze twierdzą teraz, że Saladyn uwiódł go i skłonił do mówienia takich rzeczy swoimi bezbożnymi opiniami. Chcą, aby usunięto go z Zakonu, poddano ekskomunice i wygnano.

- Słodki Jezu! Czy mogą to zrobić?

- Tak, jeśli dostrzegą taką potrzebę. To chrześcijańscy mnisi, ludzie Boga, uprawnieni do bezlitosnego karania występków i zaniedbania obowiązku. Nie oszukuj się, mogą to zrobić.

- Jak długo jest na wolności? Czy zapłacono za niego okup?

- Nie. Według tego, co czytałem, wypuszczono go w zamian za więźniów. Tak czy inaczej ma wiadomości, których nasze bractwo bardzo potrzebuje. To po nie wysłano go wiele lat temu i całe lata upłynęły też od czasu, kiedy członkowie Rady mieli z nim bezpośredni kontakt. Aleksander Sinclair nigdy nikomu nie zaufał pochopnie. Teraz jest ktoś, kogo możemy do niego wysłać, ktoś z Zakonu Świątyni, komu instynktownie zaufa. Przyjaźniliście się kiedyś, więc łatwiej zaufa tobie niż nieznajomemu. Dlatego też to ty otrzymasz awans i zadanie sprowadzenia go z powrotem do Zakonu, gdzie jego towarzysze templariusze będą mogli go przesłuchać. Taki przynajmniej będzie oficjalny powód, dla którego zostaniesz wcielony do Zakonu i szybko wysłany do Akki. Wymagania Zakonu i twój obowiązek, aby je wypełnić. Będą się one wiązały ze specjalną dyspensą oraz szybkim wcieleniem i awansem opartym na twoich rodzinnych koneksjach oraz twojej niegdysiejszej przyjaźni z Aleksandrem Sinclairem. Oczywiście

dopiero czas pokaże, czy uda ci się przekonać go, aby wrócił i został osądzony. Jednak twój prawdziwy cel nie będzie miał nic wspólnego z Zakonem Świątyni *per se*. Twoim faktycznym zadaniem będzie sprawienie, aby odnowił kontakt z Radą bractwa, a także odzyskanie i przekazanie informacji, które zdobył dla nas Aleksander.

- Co to za informacje?

Justyn wyszczerzył zęby: chytry grymas wykrzywił jego nieurodzi-we rysy.

3«<)

- Gdybym potrafił odpowiedzieć na to pytanie, panie Saint Clair, nie trzeba byłoby tak się spieszyć z wysyłaniem cię do Akki, nieprawdaż?

- Hmm. A co ze ślubami... kiedy je złożę?

- Dwa z nich już złożyłeś, z bardzo niewielkimi różnicami. Po prostu je powtórzysz. To ja przeprowadzę cię przez tę część, więc będziesz jedynie odpowiadał na moje słowa. Większość ludzi, którzy tam będą, jest niepiśmienna. Nikt, kto nie należy do naszego bractwa, nie zauważy, że dwa pierwsze śluby sformułowano inaczej.

- Nie martwię się tymi dwoma. To ten trzeci mnie martwi.

Brat Justyn uniósł brwi.

- Ślub czystości? Przecież podjąłeś już decyzję w tej sprawie, kiedy wzgardziłeś dwiema królowymi. Wkrótce, już za kilka tygodni, będziesz w Akce i wierz mi, że wśród córek wyznawców Allaha znajdziesz niewiele zagrożeń dla swojej czystości. Poza tym oczywiście dojdą do tego zachęty do zachowania czystości zawarte w samej regule Zakonu

Świątyni... Nie, przyjmiesz śluby w czasie ceremonii dopuszczenia, a potem możesz już o nich nie myśleć. Rytuał będzie odprawiał de Troyes, jako najstarszy stopniem członek Zakonu przebywający na Cyprze.

- De Troyes? Przecież nie jest członkiem bractwa.

- Nie, dzięki Bogu nie jest. W tej sytuacji potrzebujemy jednak właśnie jego rzetelności i wiarygodności. Nawet Ryszard Plantage-net nie śmie zakwestionować czynów człowieka pełniącego na Cyprze obowiązki mistrza Zakonu. De Troyes jest *un sanglier du Tempie,* knurem Świątyni, którego nie interesuje życie poza Zakonem, jego hierarchią i rytuałami. Dlatego też będzie przewodził twojemu dopuszczeniu, ponieważ kiedy wyjaśnię mu sytuację, natychmiast zrozumie konieczność odesłania cię, abyś mógł usunąć bardzo realne niebezpieczeństwo, które zdaje się grozić jego ukochanemu Zakonowi w postaci twojego kuzyna.

- Skąd możesz być pewien, że uwierzy we wszystko, co mu powiesz, i nie zakwestionuje tego? Opieramy się wyłącznie na domysłach.

- Na domysłach i wyobraźni, bracie Andrzeju. Nigdy nie lekceważ wyobraźni. Ludzie tacy jak de Troyes jej nie mają. Prowadzą jałowe życie, ograniczone codziennymi błahostkami monotonnej egzystencji. Żyją w świecie pozbawionym kolorów, więc kiedy spotykają ko-

goś takiego jak ty lub ja, kogoś, kto potrafi przekonująco mówić oraz z rozmachem nakreślać i opisywać obrazy, łatwo wystrychnąć ich na dudka. Kiedy skończę rozmawiać z Etienne'em de Troyes, będzie wie-

rzył, że twój kuzyn jest większym zagrożeniem dla Świątyni niż sam Saladyn, i tak bardzo będzie chciał wyprawić cię do Akki, że będzie żałował czasu na wprowadzenie cię w szeregi Zakonu. Potem, kiedy wciąż będzie ogarnięty entuzjazmem, wyślę go do króla Ryszarda z wiadomością o twoim awansie i wyjeździe. Saint Clair pochylił głowę.

- Najwyraźniej wierzysz w to, co mówisz, byłbym więc grubiani-nem, gdybym wciąż wyrażał powątpiewanie. Kiedy to nastąpi?

- Kiedy tylko uda mi się to załatwić. Dziś jest piętnasty maja. Zanim wyznaczę dokładną datę, będę musiał omówić to z innymi członkami bractwa, lecz stanie się to zaraz potem, jeśli uda mi się zebrać dostatecznie duże gremium.

- Więc kiedy?

-Jutro. Prawie na pewno będziemy mogli kontynuować sprawę jutro w nocy.

Andrzej kiwnął głową. Inicjacje zawsze się odbywały w nocy.

- Czy będę mógł przed wyjazdem odwiedzić ojca?

- Nie, ponieważ nie wolno ci opuścić tego miejsca, dopóki nie staniesz się zaprzysiężonym templariuszem. Lecz sir Henryk może odwiedzić cię tutaj, jeśli znajdzie czas. Jeśli rytuał odbędzie się jutro w nocy, następnego ranka wyjedziesz, więc lepiej, żebyś wysłał do niego wiadomość, aby zobaczył się z tobą jutro. Pamiętaj, ostrzeż go, żeby nie wspominał nic królowi. - Przerwał na chwilę. - A właściwie nie przejmuj się tym. Sam się tym zajmę. Czy coś jeszcze cię trapi? Wyglądasz na... zmartwionego.

Saint Clair wzruszył ramionami.

- Chyba sama ceremonia. Wyniesienie. Nie mam pojęcia, czego się spodziewać. Czy to skomplikowany rytuał? — Na jego twarzy wyraźnie widać było ulgę, kiedy zobaczył, że mistrz nowicjuszy siada wygodniej na taborecie i wyszczerza do niego zęby.

-To tajemna ceremonia, panie Saint Clair. Wiesz o tym. Lecz żadne z niej wyniesienie. Uwierz mi, jeśli łaska, że możesz być spokojny. Nie ma w niej nic skomplikowanego czy znaczącego. -Justyn wstał, podszedł do szafy stojącej pod ścianą i wyciągnął z niej

flaszkę oraz dwa rogowe kubki. Napełnił je złotym płynem z butelki, zatkał ją i wstawiwszy z powrotem do szafy, zaniósł kubki do stołu.

- Miód pitny - powiedział, podając kubek Andrzejowi. - Bóg stworzył go dla takich chwil.

Wypili pierwszy łyk z uznaniem, a Justyn znów usiadł.

- Przede wszystkim pamiętaj, skąd wzięła się ta ceremonia. Na początku było dziewięciu założycieli, jedynych w Jerozolimie członków Zakonu Odrodzenia w Syjonie w tamtym czasie. Własnymi siłami wypełnili zadanie, które otrzymali... odkopanie skarbów Zakonu... osiągając odrodzenie, od którego wziął on swą nazwę. Potem stał się on po prostu Zakonem Syjonu, choć w przeciwieństwie do odrodzenia jego praca jeszcze długo się nie dopełni. — Upił kolejny łyk. - Oczywiście kiedy wrócili ze swoimi znaleziskami do Europy, wszyscy na wyższych szczeblach hierarchii kościelnej byli przerażeni

i pod wrażeniem. Desperacko pragnąc udobruchać braci i sprawić, aby utrzymali oni w sekrecie to, co znaleźli, hierarchowie obsypywali pochwałami i wyrazami uznania ludzi, którzy nazywali się Ubogimi Rycerzami Chrystusa, choć wszyscy znali ich jako Rycerzy ze Wzgórza Świątynnego. Wkrótce zaczęli napływać rekruci, chcąc dołączyć do zakonu nowego rycerstwa, jak nazywał go święty Bernard. Tak oto narodził się Zakon Świątyni. Lecz żaden z rekrutów gromadzących się tłumnie na Wzgórzu Świątynnym nie należał do Zakonu Syjonu, a sekret pierwszych dziewięciu braci był szeroko znany, choć nikt nie wiedział, co za sobą pociąga. Tak oto... wyłącznie w obronie własnej i żeby chronić bractwo... Hugon de Payns wymyślił wraz ze swoimi ośmioma przyjaciółmi nowy rytuał, który zaspokoiłby ludzi doma gających się dopuszczenia i poczucia tajemnicy oraz ezoterycznych obrządków. Ustalili, że wszystkie inicjacje będą się odbywały nocą, w ciemnościach, i z niczego stworzyli nowe ceremonie, które od tamtej pory ugruntowały swoją pozycję i obchodzi się je niemal na bożnie. Po dziewięćdziesięciu latach wydają się doniosłe, lecz zaczęły swe życie jako błahostki i takie pozostają. - Zawahał się. - Pamiętaj jednak, że te słowa nie oznaczają pogardy i lekceważenia dla wszyst kich moich braci templariuszy. Może i nie są piśmienni, może nie znają się na manierach, lecz wielu z nich, w tym nawet knury Świą tyni, poświęca się całkowicie poszukiwaniom świętości, aczkolwiek

w chrześcijańskim sensie tego słowa. To wielce godne podziwu, nawet w

oczach tych z nas, którzy widzą ich błąd z naszej prastarej, uprzywilejowanej perspektywy. Uważamy ich za zagubionych, lecz nie możemy twierdzić, że są głupcami, ponieważ niewątpliwie są szczerzy, a ich błąd pochłonął cały świat. Ty, bracie, miałeś dość szczęścia, aby zostać członkiem Zakonu Syjonu, i musiałeś pilnie pracować i uczyć się, aby pokonać każdy krok na drodze, która doprowadziła cię do twej obecnej pozycji. W Świątyni nie znajdziesz tej pracy ani niczego, co ją przypomina. Obrządki, których doświadczysz, są w dużym stopniu pozbawione znaczenia, a jedyna praca konieczna do zdobywania kolejnych stopni związana jest z armią. To ćwiczenia i walka. Jesteś już biegły w tych dziedzinach, więc wierz mi, nie musisz się obawiać rytuałów inicjacji. Wchodząc do komnaty kapituły, aby wziąć udział w ceremonii, zdałeś już każdy sprawdzian, a to, że zostaniesz przyjęty, jest pewne. Rytuał jest jedynie potwierdzeniem na użytek kongregacji zakonnej. Od czasu do czasu będziesz mógł uczestniczyć w innych obrządkach, lecz one też będą stanowiły tajemnicę znaną tylko naszym braciom.

Uniósł kubek jak do toastu, Andrzej odwzajemnił jego gest, a potem obaj wychylili resztę słodkiego, palącego gardło płynu. Justyn czknął głośno i wstał.

-Teraz muszę zacząć organizować to wszystko. Wyślę jakiegoś brata do twojego ojca z zaproszeniem na jutrzejsze popołudnie oraz ostrzeżeniem, żeby nikomu, włącznie z królem, o niczym nie wspominał. Myślisz, że poczuje się do tego zobowiązany?

- Na pewno, bracie Justynie. Na pewno.

Następnego popołudnia Andrzej już od godziny ćwiczył ciężko na zamkowym placu musztry, okładając pałaszem pionowy bal, aż poczuł, że chyba już nigdy nie będzie w stanie podnieść ramion, kiedy podszedł do niego brat służebny z wiadomością, iż brat Justyn chce go natychmiast widzieć.

Andrzej znalazł mistrza nowicjuszy nad długim stołem roboczym ustawionym w jego komnacie. Kiedy tylko na niego spojrzał, wiedział, że coś się stało.

- O co chodzi? Czy de Troyes sprzeciwił się twojemu pomysłowi?

Spojrzenie, które rzucił mu Justyn, wyrażało zarówno gniew, jak i zdziwienie.

- O czym ty mówisz? Nie, de Troyes niczemu się nie sprzeciwił. Jak na razie wszystko w tej sprawie idzie gładko. Lecz twój ojciec cię nie odwiedzi.

- Dlaczego nie? Powiedział, że będzie tutaj po południu.

- Tak, lecz to było, zanim w mieście wybuchł obłęd.

- Jaki obłęd? Co się dzieje?

- Nie wiesz? No cóż, to nic niezwykłego. Po prostu twój pan lenny przypomniał sobie znowu, że nienawidzi Żydów, więc wywraca całe miasto na nice, szukając ich wszędzie tam, gdzie można ich znaleźć.

- Kogo szukając, Żydów? W Limassolu ich nie ma.

- Żydzi są wszędzie, panie Saint Clair, jeśli zechcesz się dostatecznie

uważnie przyjrzeć, lecz te prześladowania to zbrodnia w oczach Boga. To ostatnie szaleństwo spowodowane było czymś, co stało się przed południem, lecz nie wiem dokładnie, o co chodziło. Wiem tylko, że wieści o tym rozwścieczyły Ryszarda, więc kazał aresztować każdego Żyda na Cyprze. A ponieważ sądzi, że Izaak Komnen jest Żydem, zebrał na plaży pomiędzy miastem a portem całą swoją armię i przygotowuje się do ścigania go. To naprawdę obłęd. W każdym razie twój ojciec z racji swojego stanowiska jest w to wszystko mocno zaangażowany, lecz znalazł czas, aby wysłać tu wiadomość do ciebie i życzyć ci powodzenia, w razie gdybyście nie zobaczyli się przed twoim wyjazdem do Akki.

- Skąd wiedział, że jadę do Akki?

- Powiedział mu to mój człowiek, tłumacząc, dlaczego chcesz się z nim widzieć.

- Dlaczego więc jesteś tak zły z tego powodu?

- Zły? Nie jestem zły. Jestem tylko sfrustrowany, ponieważ nie mogę znaleźć pewnych ludzi, których chciałem widzieć na twojej ceremonii. Może się ona odbyć, więc bądź gotów godzinę po zmroku, lecz będzie brakowało pięciu, może sześciu ludzi. No cóż, porozmawiamy po wszystkim. Jutro odpłyniesz do Akki na szybkiej galerze, jednym z najlepszych okrętów Zakonu, wioząc wiadomości dla tamtejszego najwyższego stopniem dostojnika Zakonu. Stanowisko to zajmuje teraz, jak sądzę, sam marszałek, rycerz z Langwedocji i twój imiennik. To Andrzej Lallieres z Bordeaux. Czy to nazwisko jest ci znajome?

-Nie.

- Jest jednym z nas, jego wyniesienie nastąpiło tego samego dnia co moje. Przygotuj się na dzisiejszy wieczór. Wezwą cię dwaj rycerze.

- Co mam na siebie włożyć?

- To, co masz na sobie teraz, twoją tunikę dziewicy. Odbiorą ci ją, a po inicjacji otrzymasz oficjalny strój. Teraz zostaw mnie, abym mógł poczynić konieczne przygotowania.

Andrzej niemal nie mógł uwierzyć, jak powoli upłynęła reszta dnia, lecz kiedy tylko nad miastem zapadły ciemności, zaczęło się niecierpliwe oczekiwanie.

Osiem godzin później, o s'wicie siedemnastego maja, stał na nabrzeżu w porcie pomiędzy dwoma rycerzami, ubranymi w starsze i mniej bogate odzienie niż jego. Andrzej miał na sobie przysługującą pełnoprawnym Rycerzom Świątyni śnieżnobiałą opończę z czerwonym krzyżem, zupełnie nieużywaną. Przykrywała ona kolczugę, równie nową i sztywną jak ciężkie buty *do* kolan, które chroniły jego stopy i nogi. Kaptur kolczy przykrywający jego głowę robił wrażenie ciasnego, lecz hełm, który Andrzej nałożył na niego, był solidny i wygodny. U pasa wisiał jego miecz, dar od Ryszarda, a za nim stał osobisty giermek, brat przydzielony mu tego ranka na czas trwania misji, którego głównym zadaniem było utrzymywanie sir Andrzeja i jego zbroi, ekwipunku oraz oręża w doskonałym stanie i bezustannej gotowości do walki. Andrzej przeciągnął się i napiął ramiona, niena-wykłe do ciasnej kolczugi. Nie miał na sobie pełnej kolczugi od chwili wstąpienia do nowicjatu i

przyglądając się nadpływającej łodzi, którą po niego wysłano, zastanawiał się, ile czasu upłynie, zanim znów się do tego przyzwyczai. Łódź uderzyła o nabrzeże u jego stóp, a Andrzej odwrócił się do swoich towarzyszy i pożegnał ich. Jego giermek podawał załodze łodzi dwie skrzynie z dobytkiem Andrzeja, a potem podążył za nimi. Brat Justyn - wyjątkowo dostojny w czystej białej opończy i lśniącej kol-
czudze — życzył Andrzejowi powodzenia, a drugi rycerz, sam Etienne de Troyes, zawiesił na jego szyi sztywną skórzaną tubę z listami, a potem stanął na baczność, aby oficjalnie zasalutować, i życzył nowo utytułowanemu rycerzowi sukcesów podczas misji w Ziemi Świętej. Odepchnięto łódź od nabrzeża i popłynęła ona w stronę galery, która miała zawieźć Andrzeja Saint Claira i jego listy do Zamorza.

8

j\.ńiii...

Andrzej Saint Clair zwrócił oczy w stronę miejsca, skąd niósł się daleki, piskliwy krzyk jastrzębia, wiszącego niewiarygodnie wysoko ponad nim. Ptak wyglądał jak plamka szybująca po nieskazitelnie błękitnym porannym niebie. Odchylając głowę do tyłu, Andrzej przyglądał się, jak jastrząb dryfuje bezgłośnie na unoszących go na poduszce powietrza prądach. Kiedy tak patrzył, wstrzymując oddech, czarny kształt się zmienił, a potem zanurkował szerokim łukiem w dół, aż skrzydła znów zaczęły bić, z łatwością wznosząc ptaka z powrotem na poprzednią wysokość.

- Jak sądzisz, jaki jest duży? - odezwał się głos za jego plecami, a Andrzej potrząsnął głową.

- Trudno rzec - odpowiedział. - Nie ma tam nic, z czym można go porównać, nawet innego ptaka. Może mieć skrzydła tak szerokie jak twoje rozpostarte ramiona lub być dwa razy mniejszy, jeśli jest o połowę bliżej, niż nam się wydaje.

- Czy sądzisz, że jest tu z myśliwym?

- Wątpię. - Saint Clair wciąż patrzył na fruwającego daleko ptaka. — Większość sokolników zdejmuje kaptury jastrzębiom dopiero wtedy, kiedy zauważą zwierzynę, i wypuszczają je na samo polowanie. To dzikie zwierzęta, które uciekną z powrotem w dzicz, jeśli da im się okazję, bez względu na to, jak dobrze są wytrenowane. Dlatego sokolnicy strzegą ich tak zazdrośnie. Nie lubią, kiedy ich cenni zabójcy zbyt

długo latają wolno.
- Skoro o ptakach mowa, już prawie południe i wygląda na to, że wystrychnięto nas na dudków.
Saint Clair oderwał wzrok od jastrzębia i wstał w strzemionach, wyciągając ramiona wysoko nad głowę i powoli licząc na głos do

dwudziestu. Potem zgiął łokcie, opuścił ramiona równolegle do ziemi i kilka razy wykręcił tułów to w jedną, to w drugą stronę, za każdym razem odciągając łokieć jak najdalej i stękając cicho z wysiłku. Następnie zatoczył głową kilka kręgów. Dopiero potem chwycił lejce i odpowiedział na komentarz swojego towarzysza.
Był trzydziesty maja 1191 roku, a Andrzej przebywał w Akce od dziesięciu dni, podczas których rozpytywał o miejsce pobytu swojego kuzyna, Aleksandra Sinclaira, tłumacząc, kim jest, i oferując pokaźną nagrodę temu, komu uda się zorganizować spotkanie. Nie miał oporów przed takim postępowaniem i nie bał się, że ktokolwiek może zakwestionować jego prawo do zachowywania się tak, jak uważał za stosowne. List od Etienne'a de Troyes, który miał przy sobie, zwięźle wyjaśnił dostojnikom Zakonu dowodzącym oblężeniem Akki, że Saint Clair wypełnia w Zamorzu specjalną misję dla Zakonu. Mieli z nim współpracować i udzielić każdej pomocy, o jaką poprosi. Teraz Andrzej uśmiechnął się lekko i odezwał przez ramię:
- Nie zostaliśmy wystrychnięci na dudków, Harry. Jeśli już, to ja, lecz nie ty. Jesteś tutaj na moje zaproszenie, aby dotrzymać mi towarzystwa, i

nie ma w tym nic głupiego. Chyba że uważasz się za głupca z powodu przyjęcia tego zaproszenia. Być może nasz gość spóźnia się z powodu jakichś nieprzewidzianych wydarzeń. Od czasu do czasu zdarza się to każdemu. - Wciąż miał uśmiech na twarzy, kiedy odwrócił konia, aby spojrzeć na człowieka stojącego za nim, lecz sir Harry Douglas nie miał ochoty odwzajemniać uśmiechu. Siedział ze zmarszczonymi brwiami: nie pochwalał tej — jego zdaniem samowolnej - ekspedycji, która niepotrzebnie wystawiała ich na niebezpieczeństwo.

Obozowali w oazie nazywanej przez nich Jappir, odległej jedynie o godzinę jazdy od linii oblężenia otaczających Akkę. Opuścili towarzyszy na długo przed świtem, nie mówiąc nikomu ani o tym, że wyjeżdżają, ani gdzie jadą. Pojechali w głąb lądu i teraz znajdowali się w sercu terytorium wroga, ponad trzy staje od miejsca, z którego wyruszyli, a przed ich oczami rozciągał się krajobraz, którego Harry nie potrafiłby sobie wyobrazić, dopóki go nie zobaczył. Otaczał ich ocean skał, rozległa równina gładko zaokrąglonych głazów wszelkich rozmiarów i kształtów: niektóre były wielkości domów i zamków, inne -w porównaniu z nimi małe jak kamyki - miały rozmiary zaledwie

wozów na siano czy wiejskich chatek. Za każdym z nich mogła się kryć cała grupa ludzi, a Harry i Andrzej nie mieli oczu dookoła głowy. Harry z trudem opierał się pokusie, aby bez przerwy zmuszać swojego konia do ruchu, co umożliwiałoby mu nieustanne przyglądanie się horyzontowi.

Douglas szturchnął konia kolanem i objechał powoli grupę ogromnych kamieni na maleńkim szczycie wzgórza, które było najwyższym punktem w promieniu wielu mil. Wydawało się, że grupa ta składa się najwyżej z sześciu głazów, lecz zajmowała sam środek szczytu, a kamienie leżały w niej tak ciasno, jakby jakiś olbrzym zebrał je w jednym miejscu. Widać je było z odległości wielu mil. Najwyższy z nich, stożkowaty, wyrzeźbiony przez piasek monolit, był ponad dwa razy wyższy od człowieka na koniu.

- Śmiej się, Saint Clair - powiedział cicho, badając wzrokiem horyzont - ale wcale mi się to nie podoba. Przyjeżdżanie tutaj było z twojej strony szaleństwem, a towarzyszenie ci jeszcze większym. Lubię twoje towarzystwo i ucieszny z ciebie czasem skurczybyk, ale to jest obłęd. Gdzieś tam mogą się czaić zastępy wszarzy, obserwując nas zza każdego kamienia w zasięgu wzroku, a nawet mierząc do nas, tak że nie zobaczylibyśmy ich przed śmiercią. Na Boga, ruszmy się. W ten sposób nawet otoczeni z każdej strony będziemy mogli choć się łudzić, że jesteśmy w stanie uciec pomiędzy kamieniami i się urato wać.

Andrzej potrząsnął łagodnie głową.

- Nie wątpię, że możesz mieć rację, przyjacielu. Bóg jeden wie, że twoja zdolność do utrzymania swej delikatnej tchórzliwej skóry w całości jest legendarna. Sądzę jednak, że popełnilibyśmy błąd, odjeżdżając tak szybko. Jak powiedziałem, człowiek, z którym mamy się tu spotkać, może mieć całkiem dobry powód dla swojego spóźnienia.

- Nazywasz to spóźnieniem? Spóźniony to on był kilka godzin temu.

- Godzinę, Harry, najwyżej godzinę, nie więcej. Przyjechaliśmy za wcześnie.

- No cóż, cieszę się przynajmniej, że nie nazwałeś go Sinclairem.

Andrzej zerknął na niego szybko.

- Co to ma znaczyć?

- To może być ktokolwiek. Może być nawet muzułmańskim bandytą, który ma nadzieję schwytać cię dla okupu. Nie mamy dowodu, że to ten, kogo szukasz.

- Nie. Nie mamy też dowodu, że to nie on. Więc poczekamy, i jeśli Bóg da, zobaczymy. — Pociągnął lejce i skierował konia w stronę szczytu wzgórza, a Harry dołączył do niego, patrząc na upiorną monotonię niezliczonych kamieni, którymi usiana była ta dziwna połać pustyni. Saint Clair znów wygiął plecy, uniósł zgięte ramiona na wysokość barków, a potem wypchnął je do tyłu. — Panie Douglas — rzekł - mam zamiar rozprostować nogi. Tobie radzę to samo. Lecz przedtem wymyśl jakiś inny temat do rozmowy... coś przyjemnego.

Douglas nie rzekł nic, lecz obaj zeszli z wierzchowców i poluzowali popręgi, aby ich konie mogły na chwilę odpocząć.

- Czy nikt was nie ostrzegał, abyście nigdy nie tracili czujności? - usłyszeli czyjś głos za plecami, tak blisko, że mówiący nie musiał krzyczeć.

Odwrócili się tak szybko, szukając na oślep oręża, że ich konsternacja

mogłaby rozbawić kogoś, kto by się im przyglądał. Harry Douglas zareagował szybciej niż Saint Clair. Wyciągnął miecz z pochwy, kończąc obrót, i zdążył go na wpół unieść do ataku, zanim dotarło do niego, co widzi. Andrzej stał w mniej pewnej pozycji, słysząc słowa nieznajomego, i zanim się odwrócił, musiał szybko przestąpić z nogi na nogę, lecz kiedy tylko chwycił rękojeść miecza, zorientował się w sytuacji i natychmiast wyprostował. Nie puścił oręża - wiele lat wcześniej wbito mu do głowy, jak naiwne jest takie zachowanie - lecz rozglądając się za innymi ludźmi, poczuł, że napięcie opuszcza go równie szybko, jak wcześniej go opanowało. Innych ludzi nie było. Człowiek stojący przed nimi był sam.

- Kim jesteś? - zapytał Harry.

Nieznajomy odwzajemnił jego spojrzenie.

- A kim mam być? Kogo spodziewaliście się tutaj ujrzeć, tak dale ko na pustyni i o tej godzinie? Jestem Aleksander Sinclair.

Nie musiał mówić nic więcej. Andrzej poczuł przypływ ulgi, nie dlatego, że wcześniej wątpił w tożsamość tego człowieka, lecz że wątpił, czy uda mu się rozpoznać kuzyna po tylu latach. W każdym razie jego głosu nie dało się pomylić z innym. Jednak zanim Andrzej mógł rzec choć słowo, nieznajomy spojrzał na niego.

-A to młody Andrzej, poznaję cię. Pamiętam twoje oczy i ten mały garb na twoim nosie. Gdybyś o tym nie wspomniał w tej wiadomości, którą mi wysłałeś, nie odpowiedziałbym ci. Niewiele mam ostatnio do

czynienia z innymi.

Andrzej się uśmiechnął. Od przyjazdu do Zamorza słyszał niewiele dobrego o tym człowieku i zaczął podejrzewać, że jego kuzyn być może naprawdę odwrócił się od wszystkiego, co kiedyś znał. Jednak teraz Andrzej czuł w głębi serca, że Alec Sinclair się nie zmienił. Był wysoki i szczupły, miał ciemne oczy, wychudzoną twarz, długie nogi i szerokie, silne ramiona. Krótko przycinał swoją szpakowatą brodę; wraz ze skrajem ciasno dopasowanego kaptura kolczego, który nosił pod hełmem, podkreślała ona głęboko wyryte bruzdy na jego twarzy. Nosił pełny strój templariusza wysokiej rangi. Z przodu i z tyłu białej opończy widniał długi czerwony krzyż, w którego górnym kwadran-cie, na sercu Aleca, wyhaftowany był czarny krzyż o równych ramionach. Jego kolczuga wyglądała na wypolerowaną, a Andrzej wiedział już, że jest to efekt lat spędzonych na suchej pustyni, gdzie niesiony wiatrem piasek codziennie szorował i wygładzał metal. Na plecach templariusza wisiał długi miecz. Andrzej na pierwszy rzut oka zauważył, że nogawice Sinclaira też wyglądają jakoś inaczej - sięgały kostek, a nie łydek, i rozszerzały się od kolan w dół, tak że przykrywały ciężkie buty do konnej jazdy o grubych podeszwach.

- Cieszę się zatem, że wysłałem wiadomość w takiej formie - od powiedział, wciąż się uśmiechając - lecz nie była zbyt subtelna. Po myślałem po prostu, że być może pamiętasz ten incydent. Dobrze cię widzieć, kuzynie. Zbyt wiele lat upłynęło. Poznaj mojego najbliższego tu przyjaciela, twojego rodaka, Harry'ego Douglasa. Harry, oto mój

kuzyn, Aleksander Sinclair.

Wyciągnął dłoń. Alec uścisnął ją mocno, a w jego zadziwiająco by-
strych oczach o ciepłym wyrazie, które Andrzej pamiętał tak dobrze,
widać było uśmiech. Andrzej chwycił dłoń kuzyna obiema rękami. Poza
chwilowym zaskoczeniem na twarzy Alec nie zareagował, lecz
odwzajemnił się tajemnym uściskiem bractwa. Potem zwrócił się do
Harry'ego i przywitał go, tym razem samemu inicjując uścisk, który
pozostał bez odpowiedzi.

- Witaj, sir Harry - powiedział. — Czy wiesz, o czym rozmawiam
z twoim przyjacielem? - Kiedy Harry potrząsnął głową, Sinclair za-

śmiał się krótko. Dźwięk ten rozległ się głęboko w jego gardle, a Alec
szybko go stłumił.

- Ten garb na jego nochalu - powiedział. - To ja mu to zrobi
łem pewnego letniego popołudnia, kiedy był jeszcze na tyle młody, że
mógł tylko zacząć krwawić. Odwróciłem się szybko, żeby zobaczyć,
co robi, a on stał tuż za moimi plecami. Koniec mojej włóczni, którą
trzymałem pod pachą, walnął go z boku i trafił w nos. Było to zdecy
dowane ulepszenie, ponieważ nawet jako chłopiec był zbyt urodziwy,
lecz co najmniej godzinę targało mną poczucie winy. - Zrobił drama
tyczną pauzę. - No cóż, miałem wrażenie, że trwało to godzinę. Lecz
szczerze mówiąc, mogło trwać krócej. - Przerwał i spojrzał na nich,
a jego twarz spoważniała. — Bez wątpienia słyszeliście o tym, jak się
zmieniłem od chwili, kiedy wróciłem z niewoli u niewiernych?

Mówił do nich obu, lecz patrzył na Andrzeja, który szczerze od-
wzajemnił to spojrzenie i pokiwał głową.
-Tak, słyszeliśmy jakieś żarty, lecz jak widzisz, nie zniechęciło nas
to.
- No, a gdybym ja wiedział na pewno, że to ty mnie szukasz, nie
wyznaczyłbym spotkania tak daleko na pustyni. Nauczyłem się jed
nak, że ostatnio bardzo niewielu ludziom można ufać, a właściwie
nigdy zbytnio nikomu nie ufałem. Twoja wiadomość była tak sformu
łowana, że pomyślałem, że możesz być tym, za kogo się podajesz, lecz
nie słyszałem o tobie nic od czasu naszego poprzedniego spotkania,
od ponad dwunastu lat. Mogłeś opowiedzieć tę historię komuś, komu
potem przyszło do głowy, aby użyć jej do wywabienia mnie z ukrycia.
Możliwe było też, że ktoś używał cię przeciwko mnie. Ale oto jesteś
we własnej osobie, panie templariuszu, i widzę, że wciąż jesteś tym
chłopcem, którego znałem i lubiłem. Jak się miewa twoja szanowna
matka? Nigdy nie przestałem być jej wdzięczny za to, że wtedy mnie
przygarnęła.
- Zmarła kilka lat temu, lecz wspominała cię z sympatią. Często
mówiła o tobie, nawet lata po twoim wyjeździe. Lecz mój ojciec ma się
dobrze i choć się postarzał, przybywa do Zamorza z Ryszardem jako
jego marszałek polny. — Nagle Andrzej zapytał: — Dlaczego kto-
kolwiek chciałby wywabić cię z ukrycia, Alec? A jeśli o to chodzi,
dlaczego w ogóle się ukrywasz?
- Och, to długa historia. To nie czas ani nie miejsce na opowiada-

nie jej. Przykro mi słyszeć o twojej matce. Czy dlatego wkładałeś tyle wysiłku w znalezienie mnie? Czy ma to coś wspólnego z... rodzinnymi sprawami? -Tak.

- I zaprzyjaźnionymi z nami ludźmi, jak sądzę?

- Och tak, jak najbardziej. Mam ci wiele do powiedzenia. Lecz najpierw musisz powiedzieć mi, jakim sposobem tak cicho się do nas podkradłeś.

- Cicho? Robiliście tyle hałasu, że mógłbym podjechać do was z całym oddziałem, a wy byście nie usłyszeli.

- Przez kilka chwil być może faktycznie hałasowaliśmy, lecz gdzie byłeś wcześniej? Skąd się wziąłeś?

Alec Sinclair się uśmiechnął.

- Chowałem się, przyglądałem się wam i nasłuchiwałem. Jak po dejrzewasz, byłem blisko, lecz chyba wybaczysz mi, jeśli nie powiem ci dokładnie gdzie. Powiem ci jednak, że wybrałem to miejsce właśnie dlatego, że pozwalało mi ono na obserwowanie was z ukrycia.

Jego kuzyn pomyślał nad tym chwilę, rozglądając się z namysłem, i kiwnął głową.

- Rozumiem. Gdybym miał taki sekret, też bym go nie wyjawiał.

- Jeśli mówimy o sekretach - zainterweniował Harry Douglas -wiem, że macie do omówienia wiele rzeczy, poufnych spraw rodzinnych, które mnie nie dotyczą, więc zostawię was samych. Skoro przybyłeś, jestem gotów uwierzyć, że nie obserwują nas wszarze szykujący się do ataku.

Rozsiodłam nasze wierzchowce i nakarmię je, a potem przejdę się wśród kamieni i spróbuję znaleźć twojego konia, sir Aleksandrze, bo chyba nie przyszedłeś tutaj na piechotę w pełnej zbroi. Jeśli się zgubię, gwizdnę głośno, więc byłbym wdzięczny, gdyby każdy z was nadstawiał ucha. Gdzie mam szukać twojego konia?

Sinclair uniósł ramię, powolnym i wyszukanym gestem wskazując prosto na północ, a Harry kiwnął głową i ruszył, prowadząc dwa konie, ale Sinclair zatrzymał go jeszcze.

- Wiem, że jesteś w królestwie od jakiegoś czasu, lecz wątpię, żebyś kiedyś był właśnie tutaj. Bądź ostrożny, idąc między tymi głazami. Miej oczy otwarte, pilnuj się i nie wkładaj gołych rąk do żadnych dziur. To miejsce to raj dla żmij.

- Dzięki. Obiecuję trzymać ręce przy sobie.

- Wygląda na dobrego człowieka - rzekł Alec Sinclair, kiedy Harry zniknął za głazem. - Ale też jest Szkotem, więc nie powinno mnie to dziwić, choć nie mówi jak Szkot.

- Jest dobrym człowiekiem, w każdym znaczeniu tego słowa - od powiedział cicho Andrzej — a także człowiekiem zupełnie niezależ nym, co jest o wiele ważniejsze i zdaje się, że tutaj to nietypowa cecha. Bracia zakonni czują przed nim respekt, co krępuje Harry'ego, więc raczej unika ludzi. Z tego, co słyszałem, zawsze był spokojny, lecz teraz jest jednym z najbardziej znamienitych rycerzy w całym Zamorzu.

Sir Aleksander wskazał dwa niewielkie kamienie, po czym sięgnął za

ramię i wyciągnął zza pleców wielki miecz.

- Czy możemy porozmawiać, siedząc? Stoję od wielu godzin.

Wybaczysz mi, mam nadzieję, że sięgam po miecz, ale nie mogę siedzieć, jak mi to wisi na plecach. - Ostrożnie oparł długą klingę o kamień.

- Twój oręż robi wrażenie. Chyba nigdy jeszcze nie widziałem nic podobnego.

- Więc nigdy nie byłeś w Szkocji. Dwuręczny pałasz. Są tam powszechne.

- Ta klinga ma chyba ponad pięć stóp długości.

- Z pewnością jest dość długa, aby pozbyć się kłopotów, kiedy wywiniesz nim nad głową.

Andrzej zaśmiał się i znów spojrzał na imponującą klingę. Oszacował, że przy jelcu ma ona szerokość dłoni.

- Rozmawialiśmy o twoim przyjacielu. Powiedziałeś, że czuje się skrępowany. Dlaczego? - zapytał Alec.

Andrzej skrzyżował ramiona na piersi.

- No cóż, jest mnichem, a część z nich traktuje niewygody wręcz religijnie. Lecz gdybym miał poważnie zgadywać, jaki naprawdę jest powód, powiedziałbym, że czuje się winny, ponieważ ominęła go katastrofa pod Hattinem. Na kilka dni przed bitwą był w oazie La Safouri wraz z resztą armii, lecz wysłano go z wieściami do garnizonu w Aszkelonie na dzień przed tym, jak de Chatillon i jego kolesie namówili króla Gwidona do opuszczenia oazy i marszu na Tyberiadę. Większość jego przyjaciół zginęła.

- Czy myślisz, że czuje się winny, bo przeżył? Będę musiał z nim porozmawiać. Byłem tam tego dnia i, wierz mi, Harry nie powinien

łajać samego siebie za to, że miał szczęście i był gdzie indziej. Jak zatem trafił do Akki?

- Udało mu się wydostać z Aszkelonu tuż przed jego upadkiem i spędził kolejny miesiąc, zaznajamiając się z Palestyną, czasem z grzbietu konia, częściej na piechotę. Harry był zazwyczaj w samym centrum walk. Odniósł kilka ran, lecz przeżył i ludzie zaczęli gadać, że jest niezniszczalny. Ponieważ nie było żadnego dowódcy, który zaplanowałby działanie czy przejął dowodzenie, ludzie skupili się dookoła Harry'ego, wbrew jemu samemu zmuszając go, aby nimi dowodził. W końcu zaprowadził zmęczoną i obdartą małą armię z powrotem do Tyru.

- Czy wiesz, kiedy to się stało?

- Nie, lecz Harry może ci powiedzieć. Musiało się to zdarzyć co najmniej pół roku po Hattinie.

- Tak, co najmniej. Zatem dotarł do Tyru. Skoro dotarł tam po tak długiej nieobecności, na pewno fetowano jego powrót.

- Słyszałem, że próbowano, ponieważ ludzie, którzy z nim byli, wychwalali go przy każdej okazji, a Bóg jeden wie, że Frankowie potrzebowali wtedy bohaterów... przede wszystkim zdobywców, lecz jeśli ich brakowało, także buntowników. Szczególnie w Tyrze.

Alec Sinclair kiwnął głową. Tyr pozostał jedynym miastem w całej Ziemi Świętej, które wciąż było w rękach chrześcijan, jedynym miej-

scem, które nie poddało się Saracenom, a po bitwie pod Hattinem wypełnił się po brzegi niedobitkami chrześcijańskiej armii. Konrad de Montferrat, niemiecki baron, który w ostatniej chwili wyrwał miasto z łap Saladyna, rządził nim z żelazną dyscypliną. Podporządkował sobie nawet resztki znajdujących się tam templariuszy, co samo w sobie było miarą upadku Zakonu po Hattinie.

- Kiedy Harry przybył do miasta, było tam mniej niż stu templariuszy, zarówno rycerzy, jak i braci służebnych, a wśród ludzi, których przyprowadził, było zaledwie trzech kolejnych. Lecz Gerard de Ride-fort już tam był.

- Jak rozumiem, nie całkiem zachwycony tą sytuacją.

- Podobno nie.

De Ridefort - choleryczny i w najlepszym razie nietolerancyjny -został w Tyrze doprowadzony do stanu kipiącej gniewem bezsilności. Wyjątkowo źle znosił sytuację, w której musiał się podporządkować de

Montferratowi, a co za tym szło, posłusznie wypełniać rozkazy Niemca pod karą wydalenia z miasta wraz z rycerzami. Mistrz nie wątpił, że Konrad natychmiast wyrzuciłby jego samego i jego towarzyszy, gdyby tylko zauważył jakiekolwiek oznaki niesubordynacji czy sprzeciwu, i powiedział to templariuszom. Nie ukrywał też, że przyprawiała go o mdłości sytuacja, w której on - ucieleśnienie Zakonu Świątyni - nie mógł zrobić nic, aby zmienić stan rzeczy, ponieważ podczas bitwy pod Hattinem i po niej stracił wszystkich dowódców, nie wspominając nawet

o czterech piątych swoich sił. Mógł jedynie się przyglądać i czekać bezsilnie, zgrzytając zębami.

De Montferrat przybył do Królestwa Jerozolimskiego niedawno; jako Niemiec wierny był Świętemu Cesarstwu Rzymskiemu. Idealnym zakonem rycerskim dla Montferrata był zakon krzyżacki, co oznaczało, że inne zakony, mianowicie templariusze i szpitalnicy, były podrzędne. Wierzył, że jeśli upłynie dość dużo czasu, samo Królestwo Jerozolimskie równie dobrze może stać się Królestwem Niemieckim czy Krzyżackim. Tymczasem był zdecydowany, że papieskie chrześcijaństwo, znane teraz jako katolicyzm - zachłannie ambitne i politycznie nie do przyjęcia - powinno zostać wyrzucone z Jerozolimy i zmuszone do powrotu do Rzymu wraz z jego rycerzami i frankońskimi wyznawcami. Potem ani templariusze, ani szpitalnicy, nierozłącznie związani z Kościołem Apostolskim, nie powinni mieć pozwolenia na działanie w Zamorzu.

- Śmierć Barbarossy musiała być szokiem dla Konrada - powiedział zamyślony Sinclair, a jego kuzyn kiwnął głową.

- Tak, i to bardzo nieprzyjemnym.

- Pomyśl o tym z jego punktu widzenia. Oto siedzi sobie spokojnie na tronie, który sam zbudował, czekając na przybycie swojego krewnego cesarza wraz z armią pięciuset tysięcy ludzi, dostateczną siłą, aby mógł zagrać na nosie każdemu, od Saladyna po Ryszarda Plantageneta i Filipa Augusta. Musi czuć się wszechmocny, niepokonany... A potem nadjeżdża ze stukotem końskich kopyt wycieńczony posłaniec, niosąc

wiadomość, że jego świat się rozpadł: cesarz nie żyje, wielka armia cesarska się rozproszyła, a jego nadzieje i obietnice rozwiały się jak dym na wietrze. - Alec potrząsnął głową ze zdumieniem. - Nie wiem, jak ja poradziłbym sobie z tak radykalną odmianą. Ale przecież nie jestem Konradem de Montferrat. A jednak tak szyb-

ko upadek z wysokości na dno... A kiedy tylko spadł na dno, spotkał go kolejny cios. Saladyn wypuścił de Lusignana. Niewiarygodny zbieg okoliczności.

-Tak, to prawda, niewiarygodny. Wątpię, aby był to zbieg okoliczności, Alec, bez względu na to, co mówią ludzie. Saladyn nie jest głupcem. Wypuścił de Lusignana pod przysięgą, że Gwidon nie chwyci już za broń przeciw muzułmanom. Wszyscy to wiedzą i dlatego się z niego śmieją, uważając go za głupca, który nie wie, że żadnego chrześcijanina nie zobowiązuje przysięga złożona niewiernemu pod przymusem. Lecz Saladyn walczy z nami od lat i wiele razy miał kontakt z naszymi najwyższymi dowódcami i dostojnikami. Czy naprawdę sądzisz, że jest tak głupi, aby nie zauważyć szyderczej pogardy, jaką żywi do niego i jego ludzi każdy Frank? Pamiętaj, mówimy o człowieku, który zespolił cały świat islamski, od Syrii do Egiptu, w jedną całość, łącząc ze sobą dwa kalifaty i wystawiając być może największą armię kiedykolwiek zebraną przez jednego człowieka, większą niż armie Kserksesa i Dariusza, nawet od armii Aleksandra. Czy nie sądzisz, że więcej sensu ma założenie, iż dostrzegając w osobie de Montferrata

zagrożenie dla swojej dominacji, sułtan mógł uznać wypuszczenie Gwidona za korzystne, wiedząc z całą pewnością, że król natychmiast złamie przysięgę i pomaszeruje do Tyru, aby zażądać od Konrada zwrotu tronu?

Alec Sinclair uśmiechnął się, patrząc w dal.

- Tak, to jak najbardziej ma sens, zawsze tak sądziłem. Plan świetnie zadziałał, nieprawdaż? Już po kilku dniach Gwidon i Konrad skakali sobie do gardeł.

- Lecz nie na długo. Wiatr się zmienił, a dym z ogniska, które Saladyn sam rozpalił, buchnął mu w twarz, kiedy Konrad wyrzucił Gwidona z Tyru, a de Lusignan pomaszerował na południe, aby rozpocząć oblężenie Akki. Wziął ze sobą templariuszy pod wodzą de Rideforta i tutaj kończy się opowieść Harry'ego.

- Kończy się? - Sinclair oparł kostkę o kolano drugiej nogi i objął ją rękami, odchylając się do tyłu. - Jak to możliwe? Harry jest wciąż z nami.

-To prawda, ale słuchaj dalej. De Ridefort w typowy dla siebie sposób uznał, że nadanie Harry'emu wysokiego miejsca w hierarchii Zakonu przyniesie jemu samemu wielką, natychmiastową korzyść.

Harry był popularny wśród braci i równie dobrze znany i lubiany przez innych żołnierzy, więc Ridefortowi przyszło do głowy, że powinien zająć jedno z kluczowych stanowisk, wakujące po bitwie pod Hattinem. Zawiadomił Harry'ego o swojej decyzji, a Douglas uprzejmie, lecz

stanowczo ją odrzucił. Powiedział, że nie pragnie takiego wyróżnienia, a kiedy de Ridefort nie chciał przyjąć jego odmowy, Harry tak samo uparcie obstawał przy swoim. Powiedział de Ridefortowi, że jest mnichem i wstąpił do Zakonu po to, aby być po prostu mnichem, stosować się do reguły zakonnej i szukać zbawienia w życiu poświęconym modlitwie i wypełnianiu obowiązków.

- Oczywiście Harry postawił na swoim.

- Tak. De Ridefort nie posiadał się z wściekłości, lecz był bezsilny. Nie miał wyboru w obliczu prostoty postawy Harry'ego oraz wobec badawczego spojrzenia otoczenia, które sam na siebie skierował, nie myśląc nawet, że jego propozycja może zostać odrzucona. Tak oto chyba po raz pierwszy w swojej karierze templariusza pogodził się z tym, czego nie mógł zmienić. Lecz wyraźnie dał do zrozumienia, że uważa, iż sir Harry Douglas złamał ślub posłuszeństwa...

- I słusznie.

- ...Być może, to kwestia dyskusyjna... A także uznał go za winnego zaniedbania dobra Zakonu oraz całkowicie niewartego szacunku, którym obdarza go tylu zagubionych ludzi.

- To ostre słowa, lecz w jego stylu. Był mściwym człowiekiem.

- Mściwym? Być może. Nie znałem go, lecz od czasu, kiedy tu przybyłem, słyszałem chyba więcej o nim niż o kimkolwiek innym. Przypisywano mu wiele negatywnych cech... mówiono, że był nieubłagany, ponury, nietolerancyjny, drażliwy, nieustępliwy... lecz sądzę teraz, iż wszystkie one były naturalną konsekwencją jego skrajnego

przekonania. Był inspirującym przywódcą ze skłonnością do popadania w skrajności, a jego największą pasją było oddanie swojej religii, które przerastało nawet jego lojalność względem Zakonu. Nie cierpiał głupoty i nie tolerował zagrożeń dla tego, co naprawdę uważał za królestwo Boże na ziemi, lecz pod tym względem prawość de Rideforta była bezgraniczna.

Aleksander Sinclair popatrzył na kuzyna spokojnym wzrokiem; na jego twarzy nie było widać emocji. W końcu powoli pokiwał głową.

- Tak... No cóż, jak mówiłeś, nie znałeś go. — Mówił tonem tak

obojętnym jak jego wyraz twarzy, aż Andrzej zastanawiał się, czy właśnie został skarcony. Alec mówił dalej: -Jak więc śmierć mistrza wpłynęła na twojego przyjaciela? Musiał się zmienić, skoro uwolnił się już od dezaprobaty de Rideforta?

- Nie, Harry się nie zmienił. Przez wiele miesięcy żył w odosobnieniu w bractwie zakonnym, ponieważ wielu od początku traktowało go lekceważąco, bojąc się postąpić inaczej, żeby nie ściągnąć na siebie niezadowolenia de Rideforta, a kiedy zabito mistrza w październiku, Harry odkrył, że woli żyć sam i zadowala go własne towarzystwo. Widział, kto unikał go wcześniej, i nie życzył sobie wznowienia kontaktów z tymi ludźmi tylko dlatego, że nie bali się już de Rideforta. Potem, kiedy przyjechałem, zaprzyjaźniliśmy się.

- Jak dawno przyjechałeś?

- Dziesięć dni temu.

- Hmm. Wiesz, słyszałem o śmierci de Rideforta bezpośrednio po tym wydarzeniu. Byłem wtedy w niewoli, lecz wiadomość o śmierci mistrza Zakonu rozniosła się po całym świecie Saracenów i wszędzie świętowano. Wiem, że został ścięty, ale nigdy się nie dowiedziałem, jak go pojmano. Dawno już nie żył, kiedy mnie wypuszczono, i miałem wtedy inne sprawy na głowie.

- No cóż, stało się to tak, jak można się było tego spodziewać, w samym środku walk. - Andrzej wstał i podszedł do opartego o kamień miecza kuzyna. - Czy mogę? - Kiedy Alec skinął głową, chwycił miecz, wyciągnął przed siebie długie, lśniące ostrze i przyglądając się mu, mówił dalej: - Tego dnia doszło do potyczki, brutalnej, lecz nie na tyle znaczącej, aby nazwać ją bitwą, ponieważ rozpętała się zupełnie nagle pod murami Akki. Było to spontaniczne starcie, a nie strategiczna konfrontacja. Co dziwne, było to jedyne starcie, o którym słyszałem opinie, że Gwidon wspaniale dowodził i się odznaczył. - Odszedł na bok, powoli kołysząc mieczem i sprawdzając, jak jest wyważony. - Co jeszcze dziwniejsze, Konrad też był tam tego dnia i udało im się skutecznie współpracować. Było to czwartego października tysiąc sto osiemdziesiątego dziewiątego roku, a pamiętam tę datę tylko dlatego, że tego dnia zmarł Gerard de Ridefort. - Saint Clair uśmiechnął się smętnie i odłożył miecz na miejsce. - Piękna broń -powiedział, siadając, i ciągnął: — Typowe dla de Rideforta zachowanie... bezpośredni, frontalny atak na ogromną, nie, wręcz przytłacza-

jącą koncentrację jazdy wroga. Była to trzecia okazja w jego karierze mistrza Zakonu, kiedy postąpił wbrew zdrowemu rozsądkowi, ślepo wierząc, że Bóg ochroni jego i jego prawość. Zaangażował swoje siły w samobójczy atak. Jak i przy dwóch poprzednich okazjach, wróg po prostu rozdzielił formacje, które rozstąpiły się przed atakiem i nie ustąpiły pola, zadowalając się zabijaniem szarżujących zakonników i zmieceniem reszty dzięki samej przewadze liczebnej. A de Ridefort znów przeżył, jak zawsze, i wzięto go do niewoli. Lecz tym razem Sa-raceni natychmiast go stracili.

- *Sic transit gloria mundi.*

- Coś w tym rodzaju. Nie lubiłeś go, prawda?

- De Rideforta? - Alec Sinclair zacisnął usta z niesmakiem. - Nie lubiłem, nie ufałem mu, nie mogłem go ścierpieć. Straciłem zbyt wielu dobrych przyjaciół przez jego bezmyślny, zadufany w sobie upór i bigoterię. Możesz nazywać to inspiracją, ja nazywam to tyranią i upor-czywą głupotą. Ten człowiek był idealnym przykładem knura zakon-nego. Nie miał w głowie ani jednej myśli, która nie byłaby związana z Zakonem, jego nakazami, dogmatami i potrzebami. To bardzo wąska ścieżka przez życie. - Uderzył się w uda dłońmi. - Jesteś tu więc z polecenia Rady. Kiedy i gdzie odbyło się twoje wyniesienie?

- Jak i twoje, w dniu moich osiemnastych urodzin, na Zgromadzeniu w Tours, w domu jednego z członków Rady.

- Kiedy postanowiłeś wstąpić do Zakonu?

Andrzej machnął ręką.

- Nigdy... Nie do końca. Decyzję tę podjął za mnie król Ryszard.

- Sam Ryszard Lwie Serce? Jestem pod wrażeniem.

- Niepotrzebnie. Jest moim panem lennym. To także długa historia na inną okazję. Co teraz ważniejsze, mam dla ciebie wiadomości... jak sądzę, mnóstwo informacji i poleceń. Są w moich jukach, więc dam ci je, kiedy wróci Harry.

- Czy masz jakieś pojęcie, czego dotyczą?

- I tak, i nie. To wiadomości od Rady. Kiedy przyjechałem, otrzymałem mnóstwo wiadomości, część dla komtura Królestwa Jerozo-limskiego od jego przełożonych z Zakonu we Francji, lecz większość dla ciebie. Z zewnątrz wszystkie wyglądały podobnie, więc musiałem uważać, aby ich nie pomylić. Twoje jednak były opisane po arabsku. Spędziłem dużo czasu na szczegółowych lekcjach tego języka.

- Mówisz po arabsku?

Zdumienie w głosie Sinclaira wynagrodziło Andrzejowi czas, wysiłek i poświęcenie, jakie włożył w naukę. Pozwolił sobie na mały uśmiech.

- Ledwie. Rozumiem o wiele więcej, niż potrafię powiedzieć, lecz trochę mówię... podobno okropnie.

- Uczyłeś się tam?

- Tak, u wielu znakomitych nauczycieli... głównie w Poitiers, kilku w Marsylii.

Alec Sinclair natychmiast zaczął mówić w innym języku.

- Powiedz mi więc, czego się nauczyłeś.

- Wielu rzeczy. Oczywiście przede wszystkim o Koranie, słowach Allaha, bez których nic w świecie arabskim nie ma sensu. Następnie dużo o tym, jak zróżnicowane i skomplikowane jest muzułmańskie społeczeństwo, o różnych jego elementach. Potrafię też mówić z przekonaniem i z obu punktów widzenia o różnicach między szyitami i sunnitami.

- To zadziwiające. - Słuchając, Sinclair uśmiechał się szeroko, lecz teraz mówił niskim, poważnym głosem. - Kuzynie, przyrzekam, to chyba najgorsza arabska wymowa, jaką słyszałem u kogokolwiek, nawet wśród *ferenghi* z Zakonu. Dlaczego wysłano cię, aby mnie odszukać? Właśnie ciebie, a nie kogoś innego?

- Ponieważ członkowie Rady wiedzą, że jesteśmy kuzynami i się znamy. Ponieważ od bardzo dawna nie było wieści od ciebie i poważnie brano pod uwagę to, że być może nie żyjesz. Rozumiem, że powierzono ci jakąś niezwykle ważną dla bractwa sprawę, którą zajmowałeś się przez lata, aż do wybuchu wojny i twojego zniknięcia. Moim zadaniem było odnalezienie cię, wejście w posiadanie informacji, które zebrałeś, i przekazanie ich Radzie.

- Jeżeli chcieli od ciebie tylko tego, nie musiałeś uczyć się arabskiego. Co wiesz o informacjach, które zbierałem?

- Tak naprawdę to nic. Zupełnie nic.

Sinclair przyjrzał mu się uważnie, a potem odwrócił wzrok. -A zatem czegoś tu brakuje... czegoś, czego żaden z nas nie wie. Jak duże są listy,

które mi przywiozłeś? Czy są ciężkie? Masywne?

- Biorąc pod uwagę, że to tylko listy, są ciężkie. Znajdują się w dwóch dużych sakwach. Obie są pełne.

- Aha. A co miałeś z nimi zrobić, w razie gdyby się okazało, że nie żyję?

- Przeczytać je i spróbować dokończyć twoje zadanie.

- Musiałbyś w takim razie zaczynać od samego początku, a ja pracuję nad tym od lat. Nawet znając arabski, nic byś nie zdziałał.

- Może i nie, lecz miałem... mam nazwiska trzech ludzi, z którymi się w przeszłości zadawałeś. Miałem się z nimi skontaktować i spróbować odtworzyć twoje działania, mając nadzieję na znalezienie raportów, które być może zostawiłeś... w ukryciu.

- Hmm. - Ten dźwięk brzmiał lekceważąco, może pogardliwie, lecz Sinclair podjął decyzję. - No dobrze, lepiej, żebyśmy odebrali te twoje sakwy i rozjechali się każdy w swoją stronę. Wygląda na to, że mam dużo do przeczytania, i sądzę, że im szybciej zabiorę się do tego, tym lepiej. Czy możesz zagwizdać do swojego przyjaciela? Pojadę z wami tak daleko, jak będę mógł, lecz zostawię was, zanim zbliżymy się do obozu w Akce, ponieważ nie chcę, aby mnie dostrzeżono. Kiedy przeczytam wszystko i zrozumiem, czego ode mnie oczekują, odeślę ci listy, abyś też je przeczytał. Jeśli masz ryzykować, że zostaniesz zabity wraz ze mną, chyba powinieneś rozumieć, co zamierzamy zrobić. I tak zakładam, że obu nam wyznaczono jakieś zadania, choć spekulowanie

na ich temat nic nam nie da. Wyślę ci też wskazówki dotyczące tego, gdzie odbędzie się nasze następne spotkanie. Obiecuję, że następnym razem nie będzie tam tak trudno dotrzeć. Teraz wezwij Harry'ego.

Przez kolejną milę lub dwie mężczyźni rozmawiali o błahostkach, aż zapadła swobodna cisza i przez jakiś czas nie było słychać nic poza stukotem kopyt i skrzypieniem skórzanych siodeł. Saint Clair zorientował się, że myśli o braku metalicznego brzęku uzd. Żaden z rycerzy nie używał metalowych uzd - była to jedna z pierwszych rzeczy, jakie zauważył po przyjeździe. Dźwięki niosły się daleko w pustynnym powietrzu i na wczesnym etapie podboju wielu rycerzy zginęło niepotrzebnie z powodu brzęczącej uzdy. Jego przyjaciel Douglas wyrwał go z zamyślenia, chrząkając i wznawiając rozmowę.

- Czy mogę zadać ci pytanie, sir Aleksandrze? Pytanie, którego nie mam prawa zadać?

Alec spojrzał z rozbawieniem na Harry'ego.

- Chcesz powiedzieć... bezczelne pytanie. Możesz zapytać, ale brzmi to złowróżbnie i oficjalnie, więc mogę postanowić, że nie chcę odpowiedzieć. Słucham.

- Jedna z pierwszych rzeczy, jakie nam dziś powiedziałeś, o tym, że nie wiedziałeś, czy spotkać się z nami czy nie, była... No cóż, właściwie to rzekłeś kilka rzeczy, które od tamtej pory mnie niepokoją, lecz zacząłeś od stwierdzenia, że niewielu ludzi w dzisiejszych czasach jest godnych zaufania. Myślałeś też, że opowiastka Andrzeja o jego nosie

mogła być narzędziem do wywabienia cię z ukrycia.

- To prawda. Jak brzmi zatem twoje pytanie?

Harry uniósł ręce z irytacją.

- Jesteś mnichem, jak ja, jak Andrzej. Wszyscy trzej jesteśmy templariuszami, co oznacza, że poza biegłością w walce z wrogiem nie mamy wielu rzeczy, które mogłyby wzbudzić troskę czy zazdrość naszych towarzyszy, równie ubogich jak my, ponieważ przyjęli te same śluby. Czy chciałeś przez to powiedzieć, że twoi towarzysze templariusze źle ci życzą? A jeśli nie oni, to kto? Zaraz, zaraz... - Pohamował się i zaczął od początku. - Chcę zapytać cię o to, dlaczego tak poważany rycerz jak *ty,* weteran walczący tutaj od lat, miałby tak bardzo bać się swoich, że czuje potrzebę samotnego życia i chowania się. Oto moje pytanie.

- Nie ma na nie krótkiej odpowiedzi, Harry - powiedział w końcu Sinclair. — To prawda, są tacy templariusze, którzy nawet jeśli nie życzą mi źle, to na pewno nie życzą mi dobrze. Lecz nie wszyscy w tej armii są pozbawionymi ambicji mnichami, którzy przysięgli ubóstwo, i wierz lub nie, mam świetne i uzasadnione powody, by żyć w ukryciu. Jeśli się nad tym zastanowisz, ten tryb życia nie różni się aż tak od tego, który wybraliśmy, Harry. Żyję sam, więc okazuje się, że przez większość czasu jestem wolny od pokus. Żyję też bardzo skromnie, żywiąc się tym, co uda mi się złapać, przehandlować lub czasem wyhodować, mam mnóstwo czasu na modły i kontemplowanie padołu łez, w którym żyjemy. Właściwie żyję bardziej jak pustelnik niż mnich. — Sinclair

zamilkł. - Wiele z tych problemów, które nękały mnie niedawno, wynikało z tego, że pojmali mnie Saraceni. Być może słyszeliście już o tym... a właściwie sam o tym wspomniałem, prawda?

- Tak. - Andrzej pokiwał głową.

- No cóż, ujmując to najprościej, oto źródło moich kłopotów.

-Twoja niewola? - zapytał Andrzej. - Wybacz mi, lecz chyba źle cię rozumiem. Jak to, że byłeś uwięziony, może powodować, że teraz masz kłopoty? Nawróciłeś się na islam? - Na wpół żartował, lecz mimo to przybrał zaniepokojony wyraz twarzy, a Alec się uśmiechnął.

- Nie, niezupełnie. Lecz stało się coś niemal równie nagannego. Pewne aspekty mojej niewoli cieszyły mnie.

Andrzej zerknął z ukosa na Harry'ego, jakby chcąc się upewnić, czy dobrze usłyszał.

- Niewola cieszyła cię?

- Pewne jej strony.

- Jakie?

- Po pierwsze ludzie, zwykli saraceńscy wieśniacy, kobiety, dzieci, starcy. Kiedykolwiek nam, Frankom, zdarza się o nich myśleć... a rzadko to robimy, ponieważ cała nasza uwaga skupia się na mężczyznach, wojownikach... myślimy o nich jako o nomadach, wędrowcach, którzy nie mają stałego miejsca zamieszkania. Lecz nie wszyscy oni są nomadami. Wioska, w której mnie trzymano, była na swój sposób zamożna, a plemię mieszkało tam od czasów dziada miejscowego emira,

hodując dość kóz i uprawiając dość zboża, aby utrzymać się przy życiu i mieć mały nadmiar na handel. Lecz ich wioska została zbudowana w pobliżu podziemnego źródła i mieli wiele palm daktylowych, co dawało im bogactwo i poczucie trwałości. Kiedy już przyzwyczaiłem się do tego, że tam jestem i nie mogę uciec, okazało się, że zaczynam ich lubić. Rozumiałem ich język, choć nikt o tym nie wiedział, i bardzo pomogło mi to w zrozumieniu tego, kim są i jak żyją. Byłem więźniem, więc oczywiście zagnali mnie do pracy, głównie niewolniczej. W tej wiosce każdy się czymś zajmuje, ponieważ nie ma miejsca na próżniaków. Na początku pilnie mi się przyglądali, byli podejrzliwi, wrogo nastawieni i zapewne bali się, że pewnej nocy oszaleję i zabiję ich wszystkich, kiedy będą spali, a wszyscy ich mężczyźni będą na wojnie. Lecz kiedy zauważyli, że dobrze pracuję i nie stanowię dla nikogo zagrożenia, zaczęli wyświadczać mi małe przysługi... dawali mi dodatkową miskę zupy lub podwójną porcję chleba czy humusu. Jeden ze starców, któremu raz z własnej woli pomogłem nieść jakiś ciężar, wystrugał dla mnie drewniany podgłówek. Kiedy zatem uznałem, że nadeszła odpowiednia chwila, pozwoliłem sobie “nauczyć się" ich języka, bardzo ostrożnie powtarzając na głos pojedyncze słowa,

dokładając wszelkich starań, aby sprawić, żeby brzmiały one prawidłowo, lecz z lekka obco. Przypominam sobie, że miałem dość duże poczucie winy, ponieważ byli zachwyceni moimi wysiłkami, a szczególnie tym, że w ogóle próbowałem się nauczyć ich języka. Bardzo mi

pomagali i po kilku miesiącach byłem w stanie z nimi rozmawiać. Na początku musiałem uważać, aby się nie zdradzić, “ucząc się" zbyt szybko, lecz to zdyscyplinowanie okazało się korzystne i już niedługo potrafiłem trajkotać na większość tematów, choć utrzymywałem, że nie wiem zupełnie nic o Koranie. Byłem przecież *ferenghi,* cudzoziemcem i chrześcijaninem. Potem w końcu uwolniono mnie i wróciłem tutaj, do Akki. Wtedy po raz pierwszy wpadłem w tarapaty. Teraz to Harry zapytał:

- Jak? Dlaczego? Co zrobiłeś?

- Niewiele. Zawsze byłem małomówny, więc słuchałem rozmów innych i nie zgadzałem się z niektórymi opiniami... właściwie to z większością... więc mówiłem o tym głośno. Każde moje słowo było powtarzane i przekręcane nie do poznania, a potem rzucane mi w twarz jako oskarżenie. Mówili, że wróg sprowadził mnie na złą drogę, że jestem zwolennikiem Saracenów, że nie można mi już ufać i należy umieścić mnie w odosobnieniu, z dala od przyzwoitych chrześcijan, aby nie wpłynęły na nich moje heretyckie poglądy.

- Heretyckie? Czy użyto tego słowa?

Sinclair mruknął z niesmakiem.

- Oczywiście. Lecz głupiec, który go użył, nie wiedział nawet, co to znaczy. Wiedział jedynie, że kiedyś wymówił je przy nim jakiś gniewny ksiądz, który bardzo chciał kogoś przestraszyć, i zrobiło to na nim wrażenie. Czy potrafisz czytać, Harry? Pisać?

Harry się skrzywił.

- Tak, potrafię napisać moje imię i potrafię je też przeczytać. Lecz niewiele więcej.

- Zatem jesteś w lepszej sytuacji niż znakomita większość twoich towarzyszy. Wiem, że Andrzej potrafi czytać i pisać, bo potrafił to już wtedy, kiedy go poznałem, a miał wtedy ledwie dziesięć lat. Lecz z tego powodu wyróżnia się jak na kogoś, kto nie jest duchownym. Większość rycerzy nie potrafi czytać. - Przerwał na chwilę. Kiedy znów się odezwał, jego głos nabrał oratorskiego rytmu, tak że mówił coraz głośniej i bardziej wymownie, aż zaczął deklamować.

- Rycerzom nie jest potrzebna umiejętność czytania lub pisania. Nie mają czasu na takie rzeczy. Kształceni są jedynie w rzemiośle wojennym i przez resztę życia nie uczą się niczego innego. A jednak są zbyt głupi, aby zdać sobie sprawę z przerażającego ogromu własnej ignorancji. Chcąc sprawiać wrażenie mądrych, cytują i przeinaczają słowa ludzi wyższych rangą, a niestety... o wiele za często... także równych sobie tumanów. Wypełniają powietrze pustotą wojowniczej ignorancji, błędnie cytowanej przez głupców i nieuków. Oto jedyny sposób, w jaki większość żołnierzy tej armii przyczynia się do naszej egzystencji. Mamy wierzyć, że stoją nad nimi ludzie szlachetniejsi... ludzie mający wpływ na opinie, kształtujący przekonania wojskowych. Jednak smutna prawda jest taka, że większość z nich to też rycerze, którzy nie są ani trochę lepiej poinformowani czy wykształceni niż ich podwładni. - Zrobił dramatyczną pauzę, a potem ciągnął znacznie cichszym,

śmiertelnie poważnym głosem: - A w końcu mamy niewiarygodnie potężny kler. Księży, duchownych, tak zwanych ludzi Boga. Sądzę, że są oni w większym stopniu niż reszta prawdziwymi złoczyńcami naszych czasów. Ich ignorancja jest innego typu. Są wrogo nastawieni do świata, stosują ucisk i tyranię, a także zżera ich zarozumialstwo. Aż nazbyt często są tak samo zaślepieni i nietolerancyjni jak najbardziej niedouczeni z ich parafian.

Harry Douglas przyglądał się Sinclairowi wytrzeszczonymi, pełnymi podziwu oczami. W końcu odzyskał mowę i wykrztusił: - Powiedziałeś im to? Powiedziałeś to księżom? Po ustach Aleca przemknął nieznaczny uśmieszek. -Nie, nie powiedziałem nic takiego. Uważasz mnie za głupca? Uczyniłem jedynie na głos uwagę, że żyjąc przez lata z wrogami, ani razu nie widziałem, żeby którykolwiek z nich jadł ludzkie mięso, spół-kował nienaturalnie lub ze zwierzętami czy świadomie zadawał się z demonami, aby za pomocą magii sprowadzić klęski na chrześcijan. Powiedziałem, że Saraceni są zaskakująco podobni do nas. Kochają swoje dzieci i szanują starszych, wypełniają obowiązki wspólnoty, płacą podatki rządzącym oraz dobrowolnie opuszczają rodziny i jadą na wojnę, kiedy się ich wzywa. Potem obstawałem przy swoim i odmówiłem zmiany zeznań. - Wzruszył ramionami. - To wystarczyło, aby ich rozwścieczyć i abym został usunięty z towarzystwa moich podobno cywilizowanych kamratów, więc niemal trzy miesiące temu odszedłem.

- Czy chciałbyś' teraz wrócić z nami?

Kolejne wzruszenie ramion.

- Nie, chyba nie. Jestem sam już niemal dłużej, niż przebywałem w obozie po powrocie, i wolę tę sytuację... A poza tym nie zawsze jestem całkiem sam. Mam przyjaciół, którzy czasem mnie odwiedza ją. - Rozejrzał się. - Patrzcie, wyszliśmy. Zawsze mnie zadziwia, jak szybko zmienia się krajobraz.

Wyjechali nagle z pola głazów i znajdowali się na otwartej przestrzeni piaszczystej pustyni, gdzieniegdzie usianej wyschniętymi, od dawna obumarłymi krzewami. Największy kamyk w polu widzenia ledwo osiągał wielkość ludzkiego kciuka. Około mili przed nimi powierzchnia piasku zaczynała się wznosić i formować wydmy, lecz tam, gdzie stali, mieli pod nogami jedynie gołą ziemię i piaszczystą glinę. Za ich plecami widać było niemal zwartą ścianę głazów. Regularna i prosta linia rozgraniczająca te dwa krajobrazy robiła wrażenie wytworu ludzkich rąk. Saint Clair nagle poczuł się nieosłonięty i wystawiony na ciosy na tej otwartej przestrzeni. Mimowolnie wyprostował się w siodle, opuszczając dłoń na rękojeść miecza i wyciągając nogę tak, aby dotknęła tarczy zawieszonej u łęku siodła. W tej samej chwili jadący za nim Harry Douglas zrobił to samo, a Alec Sinclair uśmiechnął się pod nosem i zerknął przed siebie, tam gdzie oddalone wydmy przybierały wygląd chmury leżącej nisko nad horyzontem, a potem pociągnął lejce i zagnał swojego wierzchowca do galopu.

Harry spiął ostrogami swojego konia, aby nadążyć, a kiedy zrównał

się z Sinclairem - Andrzej jechał za nim - krzyknął:

- Dlaczego tak bardzo nie lubisz biskupów i księży? Sam nie mam o nich wysokiego mniemania, ale ty chyba naprawdę ich nienawi dzisz.

Sinclair ledwie zerknął na Harry'ego i odkrzyknął:

- Krzywdzisz mnie! Nie mówiłem nic o biskupach i księżach. Mó wiłem o ludziach Boga. To o wiele bardziej skomplikowane niż bisku pi i księża.

Harry ściągnął niespodziewanie lejce i siedział ze zmarszczonym czołem do chwili, kiedy dwaj pozostali powściągnęli swoje wierz- chowce i wrócili do niego.

- Co za różnica? - zapytał, kiedy się zbliżyli.

Sinclair nie zadał sobie trudu, aby jeszcze raz zawrócić swojego

konia, więc siedzieli w trójkącie, a głowy ich koni spotykały się po- środku.

- Czy widziałeś kiedyś mrowisko, Harry? - zapytał Sinclair. - Takie, które zostało zniszczone? To scena pełna chaosu, wszędzie biegają tysiące mrówek, usiłując uratować to, co jest dla nich ważne.

- Tak, wiem, o czym mówisz.

- Ludzie są jak mrówki. Są stadnymi stworzeniami i potrzebują pewnych rzeczy, a dla zdobycia innych zrobią absolutnie wszystko. Jedną z najważniejszych jest poczucie porządku i celu. To część natury ludzkiej. Odnosi się do wszystkiego, co robimy, a najbardziej do kwestii

wiary w Boga. Może i Bóg jest wszechwiedzący i wszechmocny, lecz na ziemi Jego sprawami zajmują się ludzie... zawsze tak było. Na początku był Bóg, a kiedy pierwszy człowiek zdał sobie sprawę z Jego istnienia, pojawił się pierwszy ksiądz, aby objaśnić mu Najwyższego. Być może za pierwszym razem ksiądz przypadkowo wyciągnął dłoń, lecz od tamtej pory wszyscy księża utrzymują się przy życiu dzięki hojności zwykłych ludzi. W naszych domach we Francji i Anglii na myśl o ludziach Boga przychodzi nam raczej do głowy papież i jego arcybiskupi, biskupi oraz księża. Niewielu z nas zastanawia się nad tym, że na Wschodzie, w Konstantynopolu, jest inny Kościół, również chrześcijański, i choć różni się od tego w Rzymie, to prowadzą go księża podobni do rzymskich. Katolicyzm i prawosławie mają pod praktycznie wszystkimi względami tego samego Boga, lecz w innych dziedzinach są całkowicie różne, ponieważ ludzie, którzy zarządzają tymi dwoma Kościołami, mają inne rytuały i inaczej interpretują wolę oraz życzenia Boga. Mamy zatem chrześcijańskich przyjaciół i domniemanych sprzymierzeńców, którzy czczą jednego Boga i zabijają się nawzajem za różnice w tym, co obie strony uważają za prawdę według ludzi Boga, u których szukają przewodnictwa. Ich zadaniem jest nawrócenie świata na ich własne wierzenia.

Spojrzał na swoich słuchaczy.

- To tyle, jeśli chodzi o chrześcijaństwo i jego rzekomą jedność. Lecz spójrzcie też na islam. Czy jest inny? Nie, nie w tym sensie, o którym mówię, ponieważ i nim kierują ludzie Boga. Nazywają sa

mych siebie imamami, mułłami i nadają sobie wiele innych tytułów, lecz pod każdym znanym nam względem są księżmi, ponieważ zabie gają o to, aby kontrolować umysły i zachowanie swoich pobratym-

ców, oraz utrzymują się dzięki dobrej woli i bogactwu zwykłych ludzi. Nawet oni od początku sprzyjali rozbieżności, walcząc o władzę. Kiedy tylko ogłoszono śmierć proroka Mahometa, jego zwolennicy zaczęli się wykłócać o to, kto obejmie po nim władzę i kontrolę nad islamem. Zważcie na słowo kontrola. Zadziwiające, jak często pojawia się w kontaktach z ludźmi Boga. Tak oto dziś mamy szyitów i sunni-tów, skaczących sobie nawzajem do gardeł przy każdej okazji. Obie strony są przekonane... ponieważ nalegają na to ich ludzie Boga... że Allah jest wielki, a Mahomet jest Jego prorokiem, lecz ci drudzy, nieważne, czy to sunnici czy szyici, zbezcześcili wolę Boga i stali się wrogami, których należy przekląć i na chwałę Boga zrównać z ziemią. Szyici i sunnici, katolicy i prawosławni. W całej czwórce zakorzeniona jest bigoteria, zazdrość oraz skłonność do powodowanego strachem przelewania krwi, i cała czwórka chyli głowy u stóp ludzi Boga. Czy chcielibyście usłyszeć więcej o moich poglądach, czy powiedziałem już dość, aby sprowokować was do samodzielnego myślenia? — Spojrzał najpierw na jednego, potem na drugiego. - Dość? Świetnie. Być może spotkamy się jeszcze we trzech, być może nie, lecz jeśli kiedyś tak się stanie, prosiłbym, abyście nie kierowali ponownie moich myśli w stronę ludzi Boga. Jedźmy dalej. Do końca podróży jeszcze daleko.

Następnego dnia - znalazłszy Aleca Sinclaira i wypełniwszy pierwszą część zadania - Andrzej namówił swojego nowego przyjaciela Har-ry'ego, aby oprowadził go po umocnieniach oblężniczych. Były one ogromne, ich rozmiary znacznie przekraczały wyobrażenia Andrzeja. Podczas pierwszego tygodnia w Zamorzu koncentrował się na szukaniu zaginionego kuzyna, nie miał więc naprawdę czasu, aby się rozejrzeć i zanalizować panujące warunki. Teraz jednak był pełen respektu dla rozmachu działań.

Oblężenie Akki trwało już dwa lata, a szturm dawno stracił cały początkowy impet. Teraz miasto opanowała nieubłagana rutyna i przedłużające się okresy nudy, cechujące wszystkie statyczne typy działań wojennych, od czasu do czasu jedynie przerywane krótkimi, przerażającymi starciami. Zasięg umocnień oblężniczych był tak ogromny, że Andrzej miał wielką trudność z pojęciem złożoności strategii obu

stron. Sama Akka, teraz opanowana przez zaciekły garnizon saraceń-skich wojowników, była jednym z najstarszych portów w Palestynie. Wiele wieków wcześniej przeżyła etap rozkwitu dzięki Fenicjanom, a potem rozwinęła się w wielojęzyczną, niezwykle zamożną społeczność, która przyciągała kupców i floty handlowe z całego świata. Zanim w roku 1187 przejął tam władzę Saladyn, była też jednym z najbardziej osławionych miejsc uciech na świecie.

Pod panowaniem muzułmanów wszystko się zmieniło. Miejsca uciech zniknęły z dnia na dzień, z chrześcijańskich kościołów usunięto

krzyże i dzwony, a meczety odnowiono i ponownie otwarto. Saraceńska armia natomiast od razu zajęła się wzmacnianiem murów i fortyfikacji miasta. Prace te trwały już od czterech lat.

Kiedy dwa lata później przybyła pierwsza frankońska armia pod komendą Gwidona de Lusignana, sprawy ponownie nabrały tempa. Chrześcijańska flota, złożona głównie z genueńskich i pizańskich okrętów wojennych, przy których niewielkie arabskie statki i galery wydawały się maleńkie, natychmiast przejęła kontrolę nad wodami oblewającymi miasto i ustanowiła morską blokadę. Gwidonowi i jego małej armii pozostało zablokowanie go od strony lądu, choć łatwiej było to opisać, niż zrobić.

Akka, miasto o planie przypominającym trójkąt, zbudowana była na przylądku w kształcie haka, a jej północno-południowa oś odchylała się lekko na północny wschód i południowy zachód, tak że morze graniczyło z miastem od zachodu i południa. Miasto szczyciło się zarówno wewnętrznym, jak i zewnętrznym portem; tego pierwszego strzegł ogromny łańcuch, którym można było zablokować drogę wpływającym statkom. Od strony lądu miasto chroniła para wysokich równoległych murów, wzmocnionych barbakanami i wieżami, które stały na tyle blisko siebie, aby można było wziąć każdego atakującego w straszliwy ogień krzyżowy pocisków. Mury te zbudowali templariusze i szpitalnicy, wszechobecni w mieście w latach poprzedzających bitwę pod Hattinem. W pierwszych dniach oblężenia frankońscy napastnicy uświadomili sobie, jak dobrze zbudowano te mury, i szybko się nauczyli,

że szaleństwem jest usiłowanie wiązania sił nieprzyjaciela przez bezpośredni atak. Wystawili natomiast machiny oblężnicze oraz katapulty i skoncentrowali całą największą siłę rażenia na fragmencie, który uznali za najsilniejszy, lecz najtrudniejszy do obrony: wysunię-

ty róg murów na północnym wschodzie, kontrolowany przez wysoką wieżę zwaną Przeklętą Wieżą. Organizując oblężenie, byli jednak świadomi, że ich tyły wystawione są na atak, gdyby sułtan zdecydował się poprowadzić swoje armie na pomoc Akce.

Douglas wyjaśnił Saint Clairowi, że właśnie wtedy powstał pomysł okopu i ponad rok Frankowie pracowali nad szerokim, ufortyfikowanym rowem obronnym, który ciągnął się na dwie mile w głąb lądu i odcinał miasto od pomocy ze strony lądu. Wkrótce zaczęła stopniowo przybywać armia Saladyna, lecz nie była w stanie stanąć do walki z oblegającymi miasto, bezpiecznie okopanymi Frankami, którzy atakowali Akkę z jednej strony, a z drugiej bronili się przed Saladynem. Lecz ten ustawił własną blokadę po lądowej stronie okopu Franków, obstawiając znacznymi siłami trzymilowy odcinek, co skutecznie ograniczyło większość frankońskich starań w kwestii transportu zapasów. Jedynie czasami udawało im się sprowadzić je drogą morską, ponieważ niewielki fragment ich okopu przecinał plażę, a skoncentrowane tam siły Saracenów bez przerwy czujnie wypatrywały prób szmuglowania zasobów na ląd. Od czasu do czasu udawało się dostarczyć oblegającym pożywienie i inne środki, lecz zawsze zbyt mało i

zbyt rzadko. Harry twierdził jednak, że w ciągu ostatnich miesięcy ze wszystkich krain świata chrześcijańskiego napływały coraz większe posiłki, aby wesprzeć okupujących. Chrześcijanie wiedzieli, że garnizon w mieście przymiera głodem i długo już nie wytrzyma.

Dwudziestego kwietnia 1191 roku wylądował w Akce król Fran-cji, Filip August, i przejął dowodzenie nad oblężeniem z rąk swojego siostrzeńca, księcia Henryka z Szampanii. Szybko ustanowił centrum francuskiego dowodzenia pod Przeklętą Wieżą i zasilił własnymi machinami oblężniczymi znaczną koncentrację katapult, trebuszów oraz innych maszyn miotających, które były już na miejscu. Umocnił też własną artylerię redutami z żelaza i kamienia.

Tego dnia Andrzej i Harry wspięli się na najwyższy punkt skierowanego ku miastu obronnego szańca i przyglądali się, jak francuskie katapulty bezlitośnie ciskają głazami wielkości konia w stronę ścian Przeklętej Wieży. Harry wyjaśnił, że wieża otrzymała ten przydomek, ponieważ legenda głosi, iż wybito tam trzydzieści srebrników, które otrzymał Judasz Iskariota. Lecz uwagę Saint Claira przykuło coś innego: dziwne urządzenie w kształcie długiego, przeciętego na pół

walca, który został ułożony na ziemi i przystawiony jednym końcem do ściany górującej nad nim wieży.

- Co to takiego? - zapytał, wskazując palcem.

Harry zmrużył oczy. Kiedy zrozumiał, co Andrzej ma na myśli, mruknął:

- Ach, to. Nazywają to kotem.

- Oczywiście jest to jakaś machina oblężnicza, ale jaką pełni funk-

cję?

- Nie wiesz, co to jest kot? Nie widziałeś wcześniej ani jednego? W

takiej czy innej formie istnieją od czasów rzymskich.

Andrzej potrząsnął głową.

- Słyszałem o nich, lecz nigdy nie widziałem żadnego na własne

oczy. To moje pierwsze oblężenie.

- No cóż, działa jak stara formacja żółwia, używana przez Rzymian

do obrony przed strzałami. To opancerzona połowa walca na kołach.

Możesz dostrzec je przy dolnej krawędzi, jeśli dokładnie się przyjrzysz.

Górna powierzchnia zrobiona jest z gładkiego metalu, na tyle silnego,

żeby wytrzymać wszystko, co się na niego zrzuci, nawet ogień grecki,

galaretowatą miksturę smoły i nafty, która klei się do wszystkiego i

płonie żywiej niż jakakolwiek inna substancja. Pod tą osłoną znajdują się

drużyny saperów, którzy ustawiają kota na miejscu, tuż pod ścianą, a

potem podkopują mury.

- Czy to działa?

Harry wzruszył ramionami.

- Teoretycznie tak, kilkakrotnie widziałem, że używano tej machiny

z powodzeniem, lecz nie tutaj. Nasi kopią od miesięcy, zaczęli na długo

przed przyjazdem Filipa, i jak dotąd bez powodzenia.

- Hmm. - Saint Clair odwrócił się i spojrzał w prawo, na królewski

sztandar Francji zwisający smętnie nad namiotem Filipa. Dookoła

namiotu panował bezruch i nic nie wskazywało na to, że król jest na miejscu, choć świadczyła o tym obecność jego sztandaru. — To mi przypomina, że Gwidon de Lusignan przybył na Cypr na kilka dni przed moim wyjazdem. Miał ze sobą znaczną liczbę rycerzy i szlachciców, lecz był bardzo niezadowolony z powodu Filipa.

- Nie dziwię się.

- Naprawdę? Powiedz mi więc dlaczego. Jego rycerze mówili mi, że Filip postanowił wesprzeć Konrada, a nie jego, w kwestii tronu je-

rozolimskiego. Wiem, że wiadomość ta zdenerwowała Ryszarda i jego stronników, ale miałem wtedy dużo na głowie... właśnie wstępowałem do Zakonu... i nie miałem czasu ani okazji dokładnie zbadać sprawy. Co o niej wiesz?

- Niewiele. Byłem tutaj, kiedy wszystko to się zaczęło, lecz nie je stem blisko z żadnym z głównych graczy, więc mam mało informacji, które wykraczają poza zwykłą paplaninę w barakach oraz opinie kilku rycerzy, których szanuję. Wiesz chyba, że Gwidon wysuwał roszczenia do tronu na podstawie swojego małżeństwa z Sybillą? No cóż, kiedy Sybilla zmarła, wraz z nią rozwiały się nadzieje Gwidona na tytuł kró lewski. Och, trzyma się go tak kurczowo, jakby nie miał nic innego... a właściwie chyba nie ma. Lecz prawda jest taka, że Gwidon nie może już tak naprawdę nazywać się królem, ponieważ kolejna w linii do tronu jest siostra Sybilli, Izabela, a ona od sześciu lat jest żoną człowie ka, któremu mogłaby już całkiem legalnie nadać tytuł króla, gdyby

chciała: Onufrego seniora Toronu. Czy to imię jest ci znane? - Saint Clair potrząsnął głową. - To pasierb Renalda de Chatillon.

-Aha! To imię rozpoznaję. Ten, którego ściął Saladyn i którego nazywano Piratem Zakonu?

- Właśnie on. Saladyn osobiście ściął mu głowę. Miał po temu od dawna powody. Ten człowiek przynosił hańbę wszystkiemu, co ma reprezentować Zakon.

- A jego pasierb ma zostać królem Jerozolimy?

- O nie. Uchowaj Boże. On jest jeszcze gorszy niż Renald. To beznadziejny tchórz, który już kilka razy okrył się hańbą, a na dodatek zupełnie nie kryje się ze swoim homoseksualizmem, co w praktycznie każdym innym przypadku można byłoby zignorować, lecz zwraca uwagę, jeśli mówimy o mężu panującej królowej.

- Och... — Andrzej postanowił nie wypowiadać myśli, które przyszły mu do głowy w związku z innym mężczyzną poślubionym królowej, i zadowolił się pytaniem:

- I ten człowiek jest mężem Izabeli?

- Nie, od niedawna już nim nie jest. Zajął się tym Konrad de Montferrat. Nie wiem, jak tego dokonał ani ile go to kosztowało... musiał sięgnąć naprawdę głęboko do swojego skarbca... lecz sprawił, że unieważniono małżeństwo. Ponieważ chodziło o koronowane głowy, w grę musiały wchodzić znaczne i wymyślne łapówki, choć nie moż-

na się nie zastanawiać, gdzie Konrad znalazł dość przekupnych księży i

biskupów dla osiągnięcia swojego celu. - Poczekał, żeby sprawdzić, czy Andrzej zareaguje na jego sarkazm, lecz tak się nie stało. - Bez względu na koszt załatwiono sprawę szybko i skutecznie. Wybryki i publiczne złe prowadzenie się Onufrego były na tyle znane, że nikt nie był zaskoczony, kiedy w końcu wezwano go do wytłumaczenia się z nich i anulowano jego małżeństwo. Onufry de Toron nie jest już mężem królowej jerozolimskiej, a stanie się nim Konrad de Montfer-rat, tak szybko, jak tylko uda się to załatwić.

- Ach! Domyślam się, że Gwidon dowiedział się o tym, zanim wy jechał szukać Ryszarda?

Douglas kiwnął głową.

- Właśnie to było powodem jego wyjazdu. Wieści o tym dotarły tu zaraz po południu w piątek, a wczesnym rankiem w sobotę Gwidona i jego świty już nie było. Podążyli w stronę wybrzeża i pewnie znaleźli tam galerę, która mogła ich zabrać.

- Znaleźli trzy galery i nie tracili czasu po drodze na Cypr. Czy wiesz, jak teraz potoczy się sprawa rychłego małżeństwa?

- Skąd mam wiedzieć? Jestem mnichem, Andrzeju, templariuszem, tak jak ty. Możni i królowie nie naradzają się ze mną.

- No dobrze, a co mówią twoi kompani? To pikantny temat, który świetnie nadaje się do plotek. Na pewno coś słyszałeś.

- Nic poza tym, że uroczystości jeszcze nie było. Para nie mogła ustalić odpowiadającej obojgu daty w związku ze swoimi podróżami i obowiązkami... wygląda na to, że obydwoje muszą być na miejscu, aby

ślub mógł się odbyć.

- Nie, to nieprawda. Nie wtedy, kiedy Kościół zaangażowany jest w sprawę. Można przeprowadzić ślub *per procura,* jeśli odprawiający nabożeństwo księża mają dość władzy. A patriarcha Jerozolimy, który odprawiałby tę mszę, mógłby to zrobić. Będę musiał się dowiedzieć więcej na ten temat, ponieważ sprawa wygląda na pilniejszą, niż pomyślałbym miesiąc temu. - Znów się rozejrzał, a potem chwycił przyjaciela za ramię. — Dziękuję, Harry, że mnie tutaj przyprowadziłeś, lecz teraz muszę wracać do obozu. Muszę porozmawiać z kilkoma osobami.

— Nie wspomniał, że jedną z nich był dowódca templariuszy, nie dodał też, że jego obecne upoważnienia były dostatecznie imponujące, aby zapewnić mu jego współpracę.

423

W ciągu następnego tygodnia Andrzej nie otrzymał żadnej wiadomości od kuzyna, lecz był zajęty drobnymi potyczkami, które zmuszały jego i jego towarzyszy do patrolowania murów miasta. Pewnego ranka, tuż po jutrzni, szedł do obozowego refektarza na śniadanie składające się z wody, orzechów i zboża, kiedy ktoś chwycił go za ramię. Odwróciwszy się, Andrzej zobaczył swojego k^yna. Otworzył usta, lecz Sinclair przerwał mu gestem.

- Musimy porozmawiać, i to teraz, sam na sam, więc chodź ze mną i znajdźmy ci konia. Mam dość jedzenia dla nas obu. Im szybciej stąd znikniemy, tym lepiej.

Andrzej poszedł za nim bez słowa. Kilku otaczających ich ludzi

rzuciło jego kuzynowi złowrogie spojrzenia i nawet usiłując nie zwracać uwagi i idąc ze spuszczonymi głowami, nie byli w stanie uciec niepostrzeżenie. Ktoś zagwizdał drwiąco i podniesionym głosem obwieścił wszystkim obecność przyjaciela Saracenów. Obrzucono ich stekiem wyzwisk. Andrzej odruchowo sięgnął do rękojeści miecza, lecz Sinclair chwycił go za łokieć i kazał mu iść dalej, nie patrzeć na nikogo i nic nie mówić. Wtedy jakiś krzepki typ rozmyślnie wszedł im w drogę i wpakował się prosto w Sinclaira, uderzając go ramieniem. Andrzej zesztywniał, lecz zanim zdążył zainterweniować, Alec odepchnął go i przyjął na siebie atak. Uderzenie w ramię ledwo nim zachwiało. Odskoczył, unosząc uspokajająco dłonie, jakby kolizja nastąpiła z jego winy.

- Wybacz mi, bracie - powiedział, nie opuszczając dłoni.

Mężczyzna zamrugał ze zdziwienia i jego twarz spochmurniała.

- Nie nazywaj mnie bratem, niewierny zdrajco — warknął.

Przykucnął i zbliżył się do Sinclaira, rozkładając ramiona jak zapaśnik. Zupełnie się nie spodziewał, jak szybki okaże się jego przeciwnik. Alec błyskawicznie chwycił gbura za przód opończy i pociągnął mocno do siebie, wysuwając głowę do przodu, aż napastnik uderzył nosem o płaski, stalowy brzeg hełmu Sinclaira. Ten puścił przeciwnika, który odchylił się z bólu, unosząc dłonie do zmasakrowanej twarzy. Wtedy Sinclair znów zrobił szybki krok w tył i uniósł kolano do piersi, a potem obrócił się nieco, aby zadać straszliwego kopniaka, przed którym nawet kolczuga nie była w stanie ochronić przeciwnika. Wbił obcas buta w

tułów mężczyzny, poniżej jego klatki piersiowej.

Andrzej stał nieruchomo, gapiąc się na błyskawicznie wymierzane

cięgi, lecz gdy rozejrzał się czujnie dookoła, ujrzał, że wszyscy są równie zszokowani brutalną bójką. Wszyscy byli templariuszami i zakonnikami, a przemoc wobec brata była czymś niewyobrażalnym. Obelgi to co innego - coś najwyraźniej możliwego do zaakceptowania - lecz fizyczna przemoc między braćmi była pogwałceniem reguły Zakonu i zagrażała nieśmiertelnej duszy. Mimo to sir Aleksander Sinclair został sprowokowany i zaatakowany. Zareagował w obronie własnej, a to, że poradził sobie z sytuacją szybko, skutecznie i stanowczo, nie przeszło niezauważone.

Tym razem nikt im nie przeszkadzał, kiedy odchodzili w stronę stajni. Nie odezwali się do siebie, dopóki nie wyprowadzili konia Ale-ca oraz wierzchowca dla Andrzeja i nie wjechali prowadzącą na ukos trasą pomiędzy wydmy leżące na południowy wschód od umocnień oblężniczych. Trzymali się na tyle blisko własnych okopów, aby mieć pewność, że nie natkną się na saraceński patrol, lecz na tyle daleko, aby nie napotkać swoich.

- Dlaczego oni wszyscy tak cię nie lubią?

Alec się rozglądał, badając otoczenie.

- Powinno wystarczyć - mruknął i zajął się rozpakowywaniem jadła i napitku. Wykopał stopą sporą dziurę w wydmie, aby móc usiąść w niej wygodnie i oprzeć się plecami o zbocze, a Andrzej poszedł w jego ślady.

Alec podszedł do juków, wyciągnął z nich kilka tobołków, po czym wrócił i na chuście rozłożonej między ich siedziskami postawił świeży chleb, plastry zimnego mięsa, które wyglądało na kozie lub jagnięce, zawiniątko pełne soli, mały słoik oliwek w oliwie z przyprawami i flaszkę wody.

- Nie lubią mnie, ponieważ się boją - powiedział w końcu. - Boją się tego, co mogłem robić, czego mogłem się nauczyć, co mogę wiedzieć, a nawet czego mogę nie wiedzieć. Nie brakuje im powodów do strachu.

- Ale są mnichami, Alec, ludźmi Boga. - Zasłużył sobie tym na szybkie, pełne sceptycyzmu spojrzenie i zaczerwienił się, przypomniawszy sobie ich wcześniejszą dyskusję. - No, wiesz, co mam na myśli. Powinni być mądrzejsi i nie wątpić w brata jedynie na podstawie pogłosek.

Alec popatrzył na niego zdumiony.

- To pierwsza naprawdę głupia rzecz, jaką powiedziałeś od chwili

przyjazdu, kuzynie. Jak mogliby być mądrzejsi? Nie mają możliwości zdobycia wiedzy i nikt nie chce ich niczego nauczyć. Ci ludzie są mnichami jedynie z nazwy, Andrzeju. Wiesz to. I daleko im do tych, których nazywam ludźmi Boga. Dlatego też przestrzeganie kodeksu zakonnego sprowadza się u nich do brania udziału w modlitwach o każdej porze dnia i nocy oraz niekończącego się mamrotania *Pater noster* pomiędzy modlitwami. Większość z nich uważa, że ich zbawienie zależy od zabijania muzułmanów i zmawiania stu pięćdziesięciu *Pater*

noster dziennie, choć żaden z nich nie potrafi liczyć... Jak ktoś, kto nie potrafi liczyć, może pilnować, czy powtórzył modlitwę sto pięćdziesiąt razy? Tak naprawdę nie może, więc po prostu nie przestaje, ponieważ woli powtórzyć ją kilka razy za dużo i zachować świętość, niż zaryzykować zmówienie zbyt niewielu i zgrzeszenie. To prości, ciemni, pozbawieni wyobraźni ludzie, Andrzeju. Wierzą w to, w co każe im się wierzyć, zachowują się tak, jak każe im się zachowywać, i wszyscy są całkowicie oraz nieodwołalnie przekonani, że żaden z nich nie jest w stanie zrodzić ani jednej wartościowej myśli. Sądzą, że myśli i opinie, a także plany i rozporządzenia spływają z góry, z nieznanych im wyżyn. Słuchają więc nakazów i zachowują się zgodnie z nimi, ponieważ żaden z nich nigdy nie odważyłby się zakwestionować słów przełożonego. Słyszeli, że jestem niesforny, a moje opinie są sprzeczne z punktem widzenia Zakonu. Wiedzą, iż oznacza to, że powinienem zostać ukarany, lecz zauważyli, iż tak się jeszcze nie stało, więc są skonsternowani. A to rodzi strach i panikę.

- Więc obrażają cię, aby nikt nie pomyślał, że się z tobą zgadzają?

- Mniej więcej.

- Opowiedz mi zatem o muzułmanach. Która z twoich opinii na ich temat tak denerwuje wszystkich?

Alec Sinclair kiwnął głową, a potem zajął się jedzeniem, dokładnie przeżuwając. Nie odzywał się, dopóki się nie najadł i nie popił posiłku wodą. Andrzej, który skończył w tej samej chwili, odchylił się w swoim piaszczystym dołku i splótł palce na brzuchu.

- To było smaczne. Dziękuję. To co, powiesz mi?

- Oczywiście. Uważam, że muzułmanie są ludźmi, tak jak my, mają te same potrzeby, pragnienia i obowiązki, choć inaczej je interpretują.

- Już mówiłeś. Lecz ten pogląd nie wydaje się wystarczająco rady-

kalny, aby spowodować tyle niepokoju, ile widzę na twarzach twoich braci, kiedy na ciebie patrzą. Sinclair znów kiwnął głową.

- Pomyśl zatem o jego konsekwencjach.

- Nie rozumiem. O konsekwencjach czego?

- Mojego poglądu. Przestań myśleć o nim jako o swobodnej opinii na temat zwykłych ludzi i popatrz na niego z punktu widzenia, który ci zaraz nakreślę. To sprawi, że łatwiej będzie ci zrozumieć. Jestem tu od ponad dekady... Prawdę mówiąc, prawie dwadzieścia lat. - Zdjął hełm i poluzował troczki podtrzymujące kaptur kolczy. Zsunął go, mocno podrapał pokrytą krótkimi włosami skórę czaszki, usadowił się wygodniej na piasku, odchylił do tyłu i założył ręce za głowę. - No! Znacznie lepiej. A teraz wróćmy do historii. Tak jak ty, byłem bratem średniego szczebla. Oznaczało to, że w pewnych konkretnych dziedzinach poznałem wiedzę Zakonu już dość dobrze, aby wykorzystać to jako podstawę do dalszych wniosków. Jak i ty przed wyjazdem nauczyłem się języka Saracenów od ludzi o ogromnej wiedzy. Wszyscy oni byli Arabami i mieli wiele wspólnego z najwyższymi w hierarchii i najbardziej uczonymi członkami Rady naszego bractwa. Już wtedy mogłem sam pojechać do Zamorza, lecz to oznaczałoby działanie w

pojedynkę, bez wsparcia, tysiące mil od domu. Rada uznała, że o wiele prościej będzie, jeśli wstąpię do Zakonu Świątyni, w którym od dawna działała już sieć naszych pracujących w tajemnicy braci. Wstąpiłem zatem do Zakonu, przyjechałem tutaj i od tamtej pory aż do chwili pojmania po Hattinie zajmowałem się moim podstawowym zadaniem... Czy nazwa Masjaf coś ci mówi?

-Nie.

- To tam bractwo wysłało mnie na początku, po moim przyjeździe do Zamorza. Podróżowałem z oddziałem templariuszy przydzielonych do garnizonu w Saficie, tym, który templariusze nazywają Chateau Blanc. Leży on w Syrii, na północny wschód od Tyru. Miałem rozkazy, aby zająć tam pozycję, a potem dzięki pośrednikowi w mieście Masjaf skontaktować się z Raszidem al-Din Sinanem.

- Sinan? Znam to nazwisko. Czy to nie...?

- Starzec z Gór. Tak, to on. Imam sekty zwanej asasynami.

- Na Boga! Dlaczego miałbyś się z nim kontaktować? W jakim celu?

-W kilku celach. Pewne rzeczy interesują zarówno imama, jak i nasz prastary Zakon, a szczególnie te, które ludziom takim jak ty i ja wydawałyby się starożytnymi, niemożliwymi do rozszyfrowania tajemnicami. Raszid al-Din Sinan szczyci się tym, że jest mistykiem i jasnowidzem, a także ascetą. Podobno jest też pobożny i absolutnie bezwzględny, a jego reputacja przeraża nawet Saladyna, który już dwukrotnie powinien był zginąć z rąk jakiegoś asasyna i żyje nadal tylko

dzięki niezwykłemu szczęściu i ślepemu losowi. Nie wiem, jak Sinan i bractwo nawiązali kontakt, lecz trwa on już od ponad czterdziestu lat.

- I rozkazano ci skontaktować się z nim...

— Tak. Jakiś czas wcześniej zmarł Jakub de Saint Germain, który ponad dwadzieścia lat był głównym pośrednikiem pomiędzy imamem a bractwem, a ja go zastąpiłem. Sinan spodziewał się mnie, więc nie miałem problemów ze znalezieniem go, szczególnie dzięki pomocy Zakonu.

- Nie rozumiem.

- To nadstaw uszu, chłopcze, bo wyraźnie masz duże braki. Asa-syni są przerażającą grupą i trzymają całe Zamorze w niewoli strachu. Lecz czterdzieści lat temu, chcąc zwiększyć swą władzę i wpływy na nowym terytorium, przeliczyli się z siłami i zamordowali króla Rajmunda Drugiego hrabiego Trypolisu. W akcie zemsty poszczuto ich templariuszami, prowadzącymi operacje z Chateau Rouge i Chateau Blanc, którzy zaczęli siać spustoszenie wśród miejscowych, aż Sinan musiał błagać o zawieszenie broni. Od tamtej pory asasyni co roku płacą Zakonowi pokaźną daninę w zamian za swobodę w prowadzeniu własnych spraw.

—Ale przecież są muzułmanami... jak Zakon może się układać z wrogami?

—Ponieważ oni nie są wrogami. Zle to interpretujesz. Są szyitami. Szyici mają perskie korzenie. Są śmiertelnymi wrogami Saladyna i jego sunnickich popleczników, lecz wrogość, jaką mogą żywić do nas, jest

jedynie przypadkowa. Sam Raszid urodził się w Basrze, w Iraku, lecz przybył do Syrii jako *dai,* imam, na krótko przed zabójstwem Rajmunda. Mógł to być jeden z jego pierwszych ruchów, mający podkreślić jego dominację, lecz jeśli tak, był to błąd, który wiele go kosztował. Niedługo potem wszedł w kontakt z Zakonem.

428

Kiedy się nad tym zastanowisz, ujrzysz, że te ruchy mają ze sobą wiele wspólnego. Oba są zamkniętymi stowarzyszeniami o ezoterycznych rytuałach przeprowadzanych w tajemnicy, z dala od zwykłych ludzi. Oba są także ascetyczne, w każdym znaczeniu tego słowa. Poza tym oba są w pewien sposób oddane s'mierci, wzniosłym ideom, gotowe z radością oddać za nie życie na polu walki. Każdy potrafi bez trudności zrozumieć cele drugiego.

Zapadła cisza, a kiedy Andrzej uznał, że jego kuzyn nie ma już nic do dodania, zachęcił go:

- Czy to z powodu zadawania się z asasynami twoi bracia nie ufają ci?

- Nie, na rany Chrystusa! Nie mają o tym nawet pojęcia. Współpraca ta była moją osobistą, potajemną relacją, która nie sprawiała mi szczególnej przyjemności. Zakończyła się, kiedy pojmali mnie ludzie Saladyna. Od tamtej pory nie rozmawiałem ze Starcem, choć teraz... jak zobaczysz, kiedy przeczytasz moje rozkazy... będę musiał to zrobić. Chciałem dać ci do zrozumienia, ile się nauczyłem... i jak mało naprawdę wiem. Prawda jest taka, że kiedy byłem jeńcem muzułmanów,

zyskałem bliskiego, być może najlepszego przyjaciela. Był moim porywaczem, tym, który mnie pojmał, choć rzeczywistość nie jest ani trochę tak prosta i nieskomplikowana. Nazywa się Ibn al-Faruch i jest emirem należącym do osobistej straży Saladyna. - Uśmiechnął się, widząc zdumienie wypisane na twarzy kuzyna. - To długa historia, ale myślę, że możesz jej wysłuchać, jeśli masz czas.

Andrzej się rozejrzał.

- Wygląda na to, że nie mam żadnych pilnych spraw, które mogły by mi przeszkodzić.

I tak ponad godzinę Andrzej siedział zasłuchany w opowieść Sinclaira o bitwie pod Hattinem i utracie przyjaciela, Lachlana de Mo-raya, o spotkaniu z rannym Saracenem i późniejszym pojmaniu przez grupę, która przybyła w poszukiwaniu swojego zaginionego przywódcy, al-Farucha. Potem Sinclair opisywał swoje życie wśród Saracenów, a także podziw oraz respekt, których ostatecznie wbrew sobie nabrał wobec wroga i jego zwyczajów.

- Mają o tyle więcej niż my - zakończył Alec. — Posiadają wszystko to, co my, lecz wydaje mi się, że w większym stopniu i chyba bardziej to cenią. Oczywiście mieszkają w nieprzyjaznej krainie, a wielu z nich

spędza większość życia pod namiotem, a nie pod dachem. Lecz nawet to pozwala im żyć w dużej mierze w czystości. Kiedykolwiek zechcą, zbierają swoje namioty i przenoszą je na nowe miejsce, podczas gdy u nas wieśniacy budują nędzną chałupę w jednym miejscu, a potem zostają

tam przez lata, żyjąc we własnym smrodzie i dzieląc domostwo ze świniami oraz bydłem. A kiedy wierni proroka zechcą stawiać piękne budynki, wydaje się, że wznoszą je ze światła i powietrza, a podtrzymują je jedynie wdzięczne, wijące się, leciutkie linie z kamienia i marmuru. Zupełnie nie przypominają one naszych ciemnych, wilgotnych, pozbawionych okien stert ciężkiego kamienia. I są czyści, Andrzeju. Słowa proroka Mahometa nałożyły na nich brzemię, obowiązek oczyszczania się co najmniej co tydzień, a także przed wszystkimi świętami. Nie uważają schludności za grzech, podczas gdy my unikamy jej jak zarazy. W naszym chrześcijańskim świecie schludność jest postrzegana jako grzeszne zepsucie, jakaś diabelska pokusa, która doprowadzi bezpośrednio do cudzołóstwa i cielesnej rozpusty. Jednak od czasu, kiedy odzyskałem wolność i wróciłem do cywilizowanego towarzystwa moich braci, nabrałem przekonania, że wstrętny odór brudnych, niemytych ciał oraz śmierdzące, nieprane odzienie na pewno silnie przemawiają przeciwko jakiejkolwiek pokusie, aby dobrowolnie grzeszyć z kimś, kto rozsiewa takie zapachy.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - rzekł po chwili Andrzej, sam zdziwiony swoimi słowami. - Wiem, że nasi towarzysze templariusze nie pochwaliliby mnie za to, gdyby o tym wiedzieli, ale lubię się kąpać, choć ostatnio to ukrywam. Nabrałem tego zwyczaju w południowej Prowansji, kiedy przebywałem z moimi arabskimi nauczycielami w willi należącej do jednego z wysoko postawionych członków Rady Zakonu Syjonu. Wszyscy nauczyciele byli muzułmanami... jestem pewien, że

twoi także... lecz ponieważ w wierzeniach naszego bractwa nie ma nic chrześcijańskiego, nie było żadnego konfliktu w kwestii rytuału, który mógłby przeszkodzić im w prowadzeniu własnego trybu życia zgodnie z Koranem. - Uśmiechnął się na wspomnienie dalekiej przeszłości. - Najstarszy z nich, uczony człowiek, którego wkrótce zacząłem poważać za jego mądrość, zaprotestował przeciwko zapachowi, jaki roztaczałem, kiedy przybyłem, aby zacząć nauki. Zwrócił mi uwagę, że ponieważ należę do bractwa i tylko z nazwy i konieczności jestem chrześcijaninem, mogę pozwolić sobie na cywilizowane zacho-

wanie, kiedy przebywam w domu należącym do bractwa. Oznaczało to, że mogę się kąpać bez groźby represji, a moi przyjaciele nie będą musieli zatykać nosów i znosić mojego smrodu.

Alec słuchał uważnie, drapiąc się leniwie w czubek nosa.

- Ten nauczyciel. Mówisz, że był najstarszy z nich wszystkich? Czy nie nazywał się przypadkiem Szarif al-Kalanisi? To mało prawdopodobne...

-Tak! Skąd mogłeś...?

- Ponieważ uczył i mnie, w tym samym miejscu, w prowansalskiej Willi Opatrzności, domu Gilberta, pana na Saint Omer, wnuka brata Godfryda de Saint Omer, jednego z dziewięciu założycieli Zakonu Świątyni. Al-Kalanisi musi mieć teraz prawie siedemdziesiąt lat, ponieważ kiedy go znałem, miał ponad pięćdziesiąt. Jakiż mały jest ten świat, nieprawdaż? Wybacz mi mój entuzjazm, ale przeżyłem to samo.

Czy potem zachęcał cię do codziennych kąpieli?

- Tak, a ja zrobiłem, jak mi kazał, więc podczas sześciu miesięcy nauki arabskiego tak przyzwyczaiłem się do przyjemności kąpieli, że powrót do chrześcijańskiego smrodu i brudu był dla mnie prawie nie do zniesienia. Nie mogłem uwierzyć, jak strasznie wszyscy śmierdzą. Czasami trudno było mi nabrać powietrza przy moich towarzyszach, więc szybko nauczyłem się unikać ich towarzystwa, a Szarif al-Kalanisi, niech go Bóg błogosławi, nauczył mnie, jak utrzymywać ciało w dającej się znieść czystości. Jak wiesz, przy pewnych okazjach kąpiel chrześcijanina uznaje się za chwalebną, a wręcz obowiązkową... na przykład przy Wielkanocy czy dniach upamiętniających najważniejszych świętych... tak że w sumie może się wykąpać raz na każdą porę roku. Lecz nawet gdyby myli swe ciała, bardzo niewielu oczyści swoje ubrania. To ten mały sekret, przekazany mi przez Szarifa, umożliwił mi branie kąpieli zawsze, kiedy udawało mi się to zorganizować, pod warunkiem że miałem zestaw odpowiednio śmierdzących, zaplamio-nych potem ubrań, które nosiłem przy innych nowicjuszach. Lecz kiedy byłem sam, wkładałem ubrania, które pachniały tak świeżo i czysto jak górskie powietrze w chłodny poranek. - Skinął głową

stanowczo. - Jedyny grzech, jaki może przyjść do głowy zdrowemu na umyśle człowiekowi w związku z czystością, to hipokryzja i ignorancja. Powiedz mi, w czym jeszcze twoim zdaniem są lepsi?

- Lepsi od nas? Jesteś pewien, że chcesz tego słuchać?

- Należymy do Bractwa Syjonu, stanowimy odrębną całość. Chcę wiedzieć, w czym jeszcze twoim zdaniem Saraceni przewyższają chrześcijan.

- No cóż, mógłbym zacząć od honoru, prawdziwego honoru, mającego w sobie stałość, wartość i znaczenie, które trudno znaleźć dziś wśród chrześcijan. Saraceni mają go pod dostatkiem, podczas gdy wśród Franków, od królów po giermków, honor to jedynie dźwięk wypowiadany przez łotrów, aby wystrychnąć na dudka głupców. Ponadto jest jeszcze prawość, blisko związana z honorem, ponieważ jedno nie może istnieć bez drugiego. Potem mogę wspomnieć jeszcze o lojalności wobec ideałów, zobowiązań, umów i dobrych, naprawdę dobrych, zamiarów. Nie wspomnę o wojskowych cnotach, ponieważ są one w większości uproszczonymi rytuałami odgrywanymi przez bezmyślnych głupców: męstwo, odwaga, wierność, miłosierdzie i współczucie, choć samo wymienianie dwóch ostatnich cech z nazwy wydaje się nieprzyzwoite. Lecz ludzie po obu stronach mogą albo trzymać się wszystkich tych cech, albo porzucać je w ogniu walki i nikt się nie zorientuje. Nie, myślę, że poprzestanę na honorze, prawości i lojalności. Saraceni posiadają je w większym stopniu niż frankońscy

chrześcijanie.

Saint Clair kiwnął głową.

- Powiedz mi zatem coś jeszcze, ponieważ łamię sobie nad tym głowę. Mówisz, że odkryłeś te rzeczy, i to niechętnie, dopiero kiedy Saraceni trzymali cię w niewoli, a przecież miałeś kontakt z islamem i synami proroka od chwili, kiedy tu przyjechałeś. Dlaczego wcześniej sobie tego nie uświadomiłeś? Musiałeś już wcześniej mieć przeczucie, że tak się sprawy mają.

- Otóż nie. Mój kontakt z islamem przed porwaniem nie miał nic wspólnego z Saracenami. Kontaktowałem się z asasynami, a oni są pochodzącymi z Persji szyitami. Co więcej, kontaktowałem się osobiście z samym Raszidem al-Din Sinanem, Starcem z Gór, a on nie jest ujmujący. Asasyni, jak wszyscy fanatycy, są nakierowani wyłącznie na jeden cel i nie mają poczucia humoru, są bezlitośni i niezdolni do współczucia. Bardzo przypominają swoich odpowiedników, templariuszy. W ciągu tych wszystkich lat, kiedy kontaktowałem się ze Starcem i jego sługusami, obchodziłem się z nimi ostrożnie i oczekiwałem szczerości w naszych umowach oraz precyzji w kontaktach. Nigdy nie

wątpiłem w ich lojalność względem przywódcy oraz porozumień, które z nami zawierał, lecz nigdy nie odnosiłem do nich pojęć honoru i prawości w moim rozumieniu tych słów. Być może mieli własne odmiany tych cnót, lecz ja ich nie rozpoznawałem. Dopiero kiedy trafiłem między Saracenów i poznałem Ibn al-Farucha, łuski opadły mi z

oczu.

- A kiedy wróciłeś, broniłeś ich, kiedy ktoś ich oczerniał.

- Kiedy tylko słyszałem, że ktoś ich niesprawiedliwie oczernia, tak.

- Hmm. Nic dziwnego zatem, że ludzie krzywo na ciebie patrzą. I mówisz, że nie miałeś kontaktów z asasynami ani ich przywódcą od czasu, kiedy cztery lata temu cię pojmano?

- Żadnych.

- Czy wiedzą chociaż, że wciąż żyjesz?

- Wiedzą, ponieważ zawiadomiłem ich o tym w zeszłym tygodniu. Dlatego nie miałeś ode mnie wiadomości. Rozkazy, które przywiozłeś, jasno dawały do zrozumienia, że mam odnowić kontakt z nimi, więc od razu się do tego zabrałem. Lecz mój główny kontakt zmienił miejsce pobytu dwa lata temu i kiedy dowiedziałem się już, gdzie pojechał... a nie było to łatwe... musiałem przez trzy dni namawiać go i tłumaczyć się, zanim zgodził się w ogóle na spotkanie. Po prostu nie wierzył, że to naprawdę ja. Był pewien, że zginąłem pod Hattinem, ponieważ zdobyli imiona wszystkich frankońskich rycerzy, którzy przeżyli bitwę i za których płacono potem okup, i oczywiście mojego nie było na liście. Musiałem go przekonać, że kiedy porwał mnie al--Faruch, zmieniłem nazwisko i z sir Aleksandra de Sinclair, templariusza, zmieniłem się w zwykłego sir Lachlana de Moray, rycerza ze Szkocji, ponieważ Saladyn mordował templariuszy, więc jako jednego z nich nie czekała mnie świetlana przyszłość.

- Czy Starzec wciąż żyje?

- Żyje, ma się dobrze i jest jak zawsze złośliwy. Mam się z nim spotkać pojutrze. Przebywał w al-Kaf, Orlim Gnieździe, jego ulubionej, nieosiągalnej twierdzy w górach na północy, lecz jest już w drodze powrotnej i będzie tutaj jutro wieczorem.

- Co mu powiesz? I czy wciąż płaci on daninę Zakonowi?

Alec wyprostował się i przeciągnął z całej siły.

- Nie mam pojęcia, co mu powiedzieć. On powie mi, co będzie chciał usłyszeć. Raszid al-Din Sinan nie jest dobrym towarzyszem do

błahych rozmów. Tak, wciąż płaci daninę Zakonowi. Lecz zanim powiem ci więcej...

Uniósł lekko palec, bezgłośnie nakazując Andrzejowi milczenie.

Usłyszeli w oddali odgłos podobny do huku pola bitwy, który niósł się wyraźnie w pustynnym powietrzu. Zerwali się na równe nogi, zaczęli wytrząsać piasek z ubrań i rozglądać się za swoimi czekającymi cierpliwie końmi.

- Zabierz ze sobą rozkazy - powiedział Sinclair. - Są w moich ju kach. Przeczytaj je dziś. Spotkamy się jutro, w tym samym miejscu i o tym samym czasie. Znów przywiozę jedzenie. Lecz wtedy będziesz już wiedział, jak przedstawia się sytuacja, i będziesz mógł zrozumieć, co zamierzam zrobić, kiedy ci to wyjaśnię. A teraz zobaczmy, o co tyle krzyku.

Hałas stawał się coraz większy, w miarę jak zbliżali się do tylnych linii umocnień, aż w końcu trafili do miejsca, skąd zobaczyli, że cała

armia stoi zwrócona na północny wschód i krzyczy, podczas gdy uzbrojeni jeźdźcy tu i tam wznosili wiwaty. Porzucono wszelkie pozory dyscypliny.

- Co tam się dzieje? - krzyknął Andrzej. - Widzisz coś?

Alec Sinclair stał w strzemionach i patrzył w dal, osłaniając oczy ręką. Stał tak bez ruchu przez długą chwilę.

- Ryszard, król Anglii - powiedział, odwracając się do kuzyna. - W końcu nadjeżdża. Widzę z przodu jego ogromny sztandar. Angielskie zastępy rozciągają się wzdłuż całego horyzontu. Wielu mówiło już, że nigdy się nie pojawią, ale oto są. Musieli wylądować w Tyrze, stamtąd ruszyć piechotą, wczoraj wcześnie rozbić obóz i rozpocząć ostatni odcinek marszu na długo przed świtem, ponieważ słońce wstało niecałe dwie godziny temu. Powiedziałeś mi, że jest ich ponad sto tysięcy. Naprawdę?

Andrzej się obruszył.

- Oczywiście. Kiedy połączysz francuskie kontyngenty Filipa i jego sprzymierzeńców... Burgundii, Flandrii i Bretanii... z Anglikami i Andegaweńczykami Ryszarda, według mojego ojca daje to sumę prawie stu czterdziestu tysięcy. Z orężem i amunicją, końmi, żywym inwentarzem oraz służbą. Flota, która ich przewiozła, liczyła ponad dwieście dwadzieścia wielkich okrętów i na żadnym z nich nie było już wolnej przestrzeni.

— Świetnie. Zatem sprawy powinny niedługo nabrać tempa, kiedy

armia już się zadomowi i zdąży pokazać swą siłę. Drapieżcy zapragną krwi. Akka nie obroni się już długo, a kiedy padnie, legenda o niezwyciężoności Saladyna się rozwieje.

Alec znów spojrzał na gorączkową krzątaninę w okopie, po czym schylił się i wyciągnął z juków sakwy z rozkazami.

— Masz i pamiętaj, żeby dzisiaj je przeczytać, bez względu na to, jaki obłęd ogarnie wszystkich z okazji przybycia Ryszarda. To najważniejsze. Przemyśl wszystko. Jutro, przed moim spotkaniem z Raszidem al-Dinem, dokładniej omówimy sprawę. Jak na razie mam instrukcje, aby porozmawiać z twoim przyjacielem sir Robertem de Sabie, jeśli jest tutaj z główną częścią sił, najlepiej sam. Jeśli go znajdę, przekażę mu pozdrowienia od ciebie.

Andrzej umieścił sakwy w jukach i zawrócił wierzchowca do stajni. Wiedział, że od tygodni, a może nawet miesięcy trwają przygotowania do przyjęcia ogromnego napływu ludzi i sprzętu, a na terenach rozciągających się na południowym zachodzie od miejsca, gdzie teraz stał, przygotowano istne miasto przecinających się alejek, między którymi znajdowały się obozy dla kontyngentów piechoty, jazdy, saperów, inżynierów i innych ludzi tworzących tę wielką armię. Postanowił, że spędzi to popołudnie, nie wchodząc nikomu w drogę. Wieczorem przeczyta listy Aleca, a następny dzień potoczy się bez jego pomocy. Kiedy spinał konia ostrogami, zastanawiał się, o czym myślą dowódcy garnizonu w Akce, patrząc, jak zbliżająca się chmura dymu, wzbijana przez armię Ryszarda, przesłania niebo.

9

Kiedy opanowano już pierwszy chaotyczny etap przyjazdów i rozmieszczania żołnierzy w obozach, co zajęło cały dzień i trwało jeszcze długo po zmroku, noc minęła względnie spokojnie. W końcu zamieszanie ustało, a przenikliwe, natarczywe krzyki dowódców ustawiających żołnierzy w szyku powoli ucichły, gdy przyjmowano ostatnie jednostki nadciągających sił i odprowadzano je do miejsc, gdzie miały rozbić obóz na co najmniej kilka kolejnych tygodni.

Andrzej Saint Clair zatkał uszy czystym białym woskiem i spędził ponad cztery godziny - z czego dwie przy świetle świecy - czytając raz i drugi listy, które przywiózł swojemu kuzynowi zza morza. Miał teraz wrażenie, że rozumie większość zadań wyznaczonych Alecowi i jemu samemu, lecz tego, czego jeszcze miał się nauczyć, mógł się dowiedzieć jedynie od kuzyna, i niecierpliwie oczekiwał kontynuacji ich przerwanej rozmowy. Znalazł sposób na opuszczenie jutrzni, zgodnie z prawdą przypuszczając, że wydarzenia poprzedniego dnia i nocy spowodowały ogólny spadek entuzjazmu do modlitw o północy i na godzinę przed pierwszymi oznakami świtu, podążył do stajni, aby wybrać sobie wierzchowca. Potem ruszył na pustynię, kierując się bladym światłem ostatnich widocznych na niebie gwiazd, aż dotarł na miejsce spotkania. Konia uwiązał do żelaznego kołka namiotowego i wsunął mu na głowę torbę z garścią owsa, po czym ponownie wykopał sobie siedzisko w piachu.

Długo po świcie stało się jasne, że coś zatrzymało Aleca. Andrzej

postanowił zaczekać kolejne pół godziny. Sama myśl o szukaniu kuzyna była bezsensowna, ponieważ nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie miałby zacząć poszukiwania, i nawet się nie domyślał, jakie zmiany zaszły w ogólnym rozkładzie obozu wraz z przybyciem do niego w ciągu jednej nocy stu tysięcy ludzi. Nie miał jednak ochoty siedzieć

dłużej samotnie w miejscu, ponieważ słońce prażyło coraz mocniej, a nie przyszło mu do głowy, aby wziąć ze sobą coś, co ochroniłoby go przed promieniami. Sądził, że szybko zakończą spotkanie i wrócą do swoich spraw.

Wygładził ręką piasek i wetknął w środek rękojeść sztyletu, tworząc zegar słoneczny. Potem usiadł, aby patrzeć, jak cień skrada się powoli w stronę wykreślonej przez niego linii wyznaczającej połowę godziny. Kiedy cień i linia się przecięły, wstał, schował sztylet i narzucił siodło na grzbiet konia. Właśnie zaciskał popręgi, kiedy usłyszał, że ktoś się zbliża. Podniósł oczy i ujrzał poważną twarz Aleca.

- No, witaj, panie rycerzu o ponurej twarzy. Nie spieszyłeś się z przyjazdem. Gdzie się podziewałeś? - Wciąż gmerał pod kłębem ko nia, zaciskając pasy, lecz kiedy nie usłyszał odpowiedzi, wyprostował się i spojrzał na Sinclaira. - Alec? Na Boga, człowieku, co się stało? Wyglądasz, jakbyś stracił wszystko, co ci drogie. Czy chodzi o de Sablego?

Sinclair potrząsnął głową, ale dziwnym ruchem, jakby był odrętwiały. Przerzucił nogę nad tylnym łękiem i zsunął się na ziemię. Jego

oczy miały tępe spojrzenie.

- De Sabie ma się dobrze. Rozstałem się z nim niedawno. Chodź, usiądź. - Minął kuzyna, idąc na sztywnych nogach, i usiadł w zagłębieniu, gdzie wcześniej czekał na niego Andrzej, który poczuł teraz w trzewiach przypływ strachu. Poklepał konia i usiadł obok Sinclaira na piasku.

—Alec, powiedz mi co cię trapi. Szukałeś de Sablego wczoraj, więc dlaczego musiałeś spotkać się z nim dzisiaj?

—Nie mogłem go wczoraj znaleźć. Miał zbyt dużo na głowie. Przypomniałem sobie, jak mówiłeś, że wstąpił do Zakonu, więc zostawiłem w komturii wiadomość, że go szukam. Posłał po mnie dziś rano i byłem z nim od tamtej pory. - Alec wyprostował się i nabrawszy głęboko powietrza, przyciągnął młodzieńca do siebie i objął go.

-Andrzeju... Twój... twój ojciec nie żyje.

Te zdławione i prawie niezrozumiałe słowa dotarły do Andrzeja i nie wywołały żadnego efektu. Usłyszał je i być może maleńka część jego umysłu zrozumiała ich znaczenie, lecz nie wpłynęło ono na niego w żaden sposób. Wyraźnie czuł, jak niewygodna jest pozycja, w jakiej się znajduje, a ogniwa kolczugi pokrywającej ramię kuzyna wbijały

mu się boleśnie w skórę twarzy. Był nawet lekko zawstydzony intymnością niespodziewanego uścisku, myśląc, że gdyby ktokolwiek ich zobaczył, byliby skompromitowani, lecz słowa, które usłyszał, nie miały dla niego znaczenia. Jego ojciec nie żył. Andrzej wiedział, że na pewno

jest to ważne, lecz z twarzą przyciśniętą do ubrania i zbroi kuzyna zdał sobie sprawę, że Alec Sinclair pachnie tak samo jak jego ojciec, tym samym ukochanym, niemożliwym do pomylenia z innym zapachem, i w tej chwili, w mgnieniu oka, bariery opadły i Andrzej usłyszał słowa Aleca.

Alec patrzył na niego poważnym wzrokiem, a w jego szeroko otwartych oczach widać było troskę, kiedy opowiadał mu, jak sir Henryk trafił w zasadzkę i został zgładzony. Właśnie wracał w towarzystwie dwóch niższych rangą dowódców z zajazdu do swoich kwater w Fa-maguście, gdzie opracowywali szczegóły grupy uderzeniowej złożonej z piechoty i jazdy, którą następnego dnia Gwidon de Lusignan miał poprowadzić przeciwko siłom Izaaka Komnena. Napastników nie zidentyfikowano, nie mówiąc już o schwytaniu, lecz wiele dowodów świadczyło o tym, że byli członkami jednej z wielu dobrze zorganizowanych grup zbrojnych, prowadzących operacje z pogórza leżącego na północy od miasta.

Sir Henryk Saint Clair w pełni wywiązał się ze wszystkich obowiązków względem swojego pana lennego, któremu tak wiernie służył przez całe życie. Alec powiedział, że Henryk i towarzyszący mu oficerowie otrzymali podczas pochówku pełne honory wojskowe. Na pogrzebie obecny był sam król wraz ze świtą składającą się z baronów i możnowładców z podległych mu terenów z całego świata chrześcijańskiego; był tam między innymi sir Robert de Sabie. Arcybiskup Auxonne wzniósł modły za dusze bohaterów, a sam Ryszard pochlebnie wyrażał się o swoim marszałku polnym, wspominając, że wiele z tego,

co wiedział o rzemiośle wojennym, nauczył się od sir Henryka.
W chwilach przytomności umysłu, które nastąpiły w ciągu kilku kolejnych dni, Andrzej był świadom, że w przyszłości być może wszystko to stanie się powodem do dumy i zadowolenia, lecz na razie, dopóki czuł w sobie przepastną pustkę, nie miało to dla niego znaczenia.
Kiedy wrócili do obozu, niepokojący się o kuzyna Alec de Sin-

clair zaczął szukać dla niego możliwie najlepszej opieki medycznej, ponieważ Andrzej zapadł w głęboką melancholię, z której nie potrafił się otrząsnąć. Jak wielu Franków mieszkających — czasami od wielu pokoleń - w Zamorzu, postanowił skorzystać z usług znanego muzułmańskiego medyka, którego poznał kilka lat wcześniej, choć nie mówił nikomu, w jakich okolicznościach. Prawda była taka, że Saif ad-Din Ildirim, rzekomo kuzyn jednego z najbardziej zaufanych popleczników Saladyna, był w rzeczywistości szyitą i sprzymierzeńcem asasynów.
Ildirim ułożył dla Andrzeja dietę składającą się z płynów i mocnych opiatów, która miała utrzymać go przez większość czasu w łóżku, pogrążonego we śnie. Powiedział, że reakcja sir Andrzeja na śmierć ojca nie ma logicznego wyjaśnienia, lecz widział podobne przypadki wśród ludzi jego wyznania i był pewien, że sen i odpoczynek dobrze mu zrobią.
Okazało się, że miał rację.
Ildirim przestał podawać Andrzejowi opiaty rankiem czwartego dnia po pojawieniu się dziwnych symptomów, a pacjent obudził się

następnego dnia o zwykłej porze, przed świtem, nie przypominając sobie, że był chory. Kiedy Alec przepytał go, okazało się, że pamięta, jak kuzyn przekazał mu wieści, był zgaszony i smutny, lecz zachowywał się jak każdy inny młody człowiek po utracie ukochanego rodzica.

Później tego samego dnia Andrzej odszukał kuzyna w jego nowej kwaterze, leżącej koło wielkiego, obwieszonego proporcami namiotu templariuszy, który na polu bitwy pełnił rolę ruchomej komturii, choć jeszcze tydzień wcześniej sir Aleksander de Sinclair odmówiłby zamieszkania tak blisko serca dowództwa Zakonu. Powód tej radykalnej odmiany był prosty: osobisty namiot sir Roberta de Sabie stał teraz obok namiotu templariuszy. Namiot de Sablego - niemal tak wymyślny jak jego imponujący sąsiad - został wzniesiony kilka dni wcześniej, kiedy sir Robert oficjalnie podał się do dymisji jako dowódca floty Ryszarda i objął urząd Wielkiego Mistrza Elekta Zakonu Świątyni Salomona. Alec odszukał de Sablego, kiedy tylko usłyszał o jego przyjeździe, i natychmiast, bez żadnych zastrzeżeń zaoferował mu swoje usługi, ponieważ dwaj rycerze znali się od z górą dwudziestu lat. Co więcej, wyniesiono ich do bractwa Syjonu podczas tej samej ceremonii, która odbyła się w pewną ciepłą sierpniową noc blisko prastarego miasta Carcassonne. De Sabie objął Sinclaira z entuzja-

zmem i natychmiast wcielił go do swojego osobistego sztabu. Od tego momentu popularność Aleca wyraźnie wzrosła.

Kiedy Andrzej przybył do kwater kuzyna, zastał go przy pilnej pracy:

Alec marszczył czoło nad listem, który właśnie pisał. Andrzej siedział cicho, aż jego kuzyn skończył i odchylił się w krześle.

- Wygląda na to, że wiele ci zawdzięczam, kuzynie. Słyszałem, że w tych stronach nie ma lepszego czy bardziej znanego medyka niż Saif ad-Din Ildirim.

Alec machnął ręką.

- Bzdury. Nic mi nie zawdzięczasz. Nie mam tutaj żadnej rodziny poza tobą, a egoizm każe mi troszczyć się o ciebie, ponieważ jesteś ledwie dzieckiem. Ildirim jest moim starym przyjacielem i chętnie wyświadczył mi tę przysługę. Jak się teraz czujesz? Czy opiaty, którymi cię żywił, nie przyniosły niepożądanych efektów?

Andrzej się uśmiechnął.

- Nie. Choć zdaje się, że przypominam sobie sny, które chętnie bym teraz dokładniej przeanalizował. - Jego twarz spoważniała. - Pozwól, że zapytam cię ponownie, Alec, ostatni raz, abym miał satysfakcję, że pamięć dobrze mi służy. Czy mój ojciec naprawdę został zaatakowany nocą, kiedy wracał do swojej kwatery z zajazdu, w którym wieczerzał z dwoma przyjaciółmi?

- Z dwoma towarzyszami. Obaj byli jego podwładnymi. Nieznani napastnicy zabili wszystkich trzech. Musimy uznać, że napastników było wielu, ponieważ w innym razie nie zdołaliby zamordować całej trójki. Być może w długiej walce wiek twojego ojca stanąłby mu na przeszkodzie, lecz byli z nim dwaj oficerowie na służbie, dwaj doświadczeni weterani, świetni wojownicy. Oni nie poddaliby się bez

walki. Ergo wielu napastników i najprawdopodobniej zasadzka. Nie wiadomo, ilu ich było i kto to taki.

- Wiesz, kiedy to się stało? Jak długo po moim wyjeździe z Cypru?

- Hmm. De Sabie mówił, że o to zapytasz. Trzy dni po twoim wyjeździe z Limassolu. W dniu twojego wyjazdu, przed świtem, zawieziono twojego ojca do Famagusty. Przybył tam tego samego wieczora. Był w Famaguście od dwóch dni, kiedy to się zdarzyło.

- Byłem wtedy wciąż na morzu... Sam król był na pogrzebie i mówił o moim ojcu?

- Tak. Pojechał do Famagusty na pochówek wraz z kilkoma innymi osobami, między innymi z arcybiskupem.

- No cóż, obecność króla sprawiłaby ojcu przyjemność. Dziękuję ci, kuzynie, za tę uprzejmość. - Nabrał głośno powietrza i wyprostował się. - Tak naprawdę przychodzę dziś do ciebie, ponieważ mamy pewne sprawy do omówienia. Nie udało nam się w końcu porozmawiać o listach, które mi dałeś, a spędziłem nad nimi całą noc. Dziś też przez godzinę sprawdzałem, co pamiętam, i jestem teraz gotów wrócić do tych spraw. Pamiętam, że miałeś się spotkać z imamem Raszidem w dniu, w którym nadeszły wieści o śmierci mojego ojca. Czy spotkanie się udało?

- Nie odbyło się. Kiedy tylko usłyszałem, co przytrafiło się twemu ojcu, wysłałem wiadomość, że nie będę mógł się stawić tego dnia na spotkanie z Raszidem al-Dinem, i poprosiłem o wyznaczenie innego terminu. Zgodził się, choć tak naprawdę nie miał wyboru. Spotkanie jest

wciąż przed nami, a czas nas nie nagli.

- Rozumiem. Żałuję, że moje osobiste nieszczęścia przeszkodziły ci w wypełnianiu obowiązków. Przyjmij moje przeprosiny za kłopoty, na jakie cię naraziłem. Nie było to celowe.

- Co? - Alec zagapił się na swojego poważnego kuzyna z szerokim uśmiechem. — Dworujesz sobie ze mnie? Chcesz, abym uwierzył, że nie wiesz zupełnie nic o tym, co się tu dzieje od kilku dni? Andrzeju, kocham cię z całego serca, ale zbyt wiele ode mnie oczekujesz. — Przerwał i uśmiech zniknął z jego twarzy. — Ty naprawdę nie wiesz, co się dzieje, prawda? Andrzeju, to, że nie spotkałem się z Raszidem al-Dinem, nie miało nic wspólnego z tobą. Nie spotkałbym się z nim, nawet gdybyś cieszył się wspaniałym zdrowiem... Pamiętasz zaćmienie? Nie? Zupełnie nic? No cóż, było to po południu następnego dnia po twojej... niedyspozycji. W środku zażartej potyczki między wielkim oddziałem jazdy wroga a naszym, równie dużym, Bóg nałożył zasłonę na tarczę Słońca. Trwało to trzy godziny i wzbudziło w naszych żołnierzach nabożny lęk. My, członkowie bractwa, wiedzieliśmy oczywiście, co się dzieje, ponieważ nasi mędrcy potrafią przewidywać takie zdarzenia, a Saraceni nie byli zaskoczeni, lecz nasi zwykli żołnierze i serwienci nie wiedzieli nic i wpadli w panikę przekonani, że sam Bóg chowa przed nimi swoje światło. Od tamtej pory balansujemy na krawędzi przepaści. Akka jest o krok od upadku, kuzynie.

Od ponad miesiąca powszechnie to wiadomo. Ludzka wytrzymałość ma

swoje granice, a potem nagle się kończy. Garnizon w Akce już od wielu miesięcy cudem utrzymuje się przy życiu, wbrew wszelkim przeciwnościom. Każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie, wie, że oblężenie praktycznie już się zakończyło. Od czasu zaćmienia, czyli od czterech dni, Ryszard negocjuje z wysłannikami Saladyna, i nikt się nie spodziewa, żeby obecny stan miał się utrzymać. Może ci się wydawać, że chorowałeś przez jakiś czas, lecz to był jedynie mały kłopot. Ryszard natomiast choruje niezwykle ciężko. Medycy nazywają jego przypadłość gnilcem i tłumaczą ją na wiele szumnych sposobów, lecz prawda jest taka, że nie mają pojęcia, co się z nim dzieje. Włosy wypadają mu całymi pękami, jego dziąsła gniją, a zęby są tak słabe, że można rozchwierutać je palcem. Jest w strasznym stanie. A jednak podczas całej swej choroby toczył rozmowy z Saladynem, szukając rozwiązania tej wojny. Targują się, jak tylko mogą, a żaden z nich nie chce tak naprawdę oddać niczego wrogowi. Przynajmniej dopóki negocjują, nikt nie ginie. Jaki sens miałaby w tym czasie rozmowa z al--Dinem? Gadalibyśmy po próżnicy. Dlatego też obaj postanowiliśmy poczekać, co stanie się w Akce.

- Jak sądzisz, co się stanie?

- Kiedy miasto padnie, wspomnij moje słowa, sytuacja wróci do stanu sprzed wojny. Szpitalnicy wrócą do szpitala, templariusze znów obejmą w posiadanie swój zamek, a urzędnicy króla wrócą do pracy w piwnicach królewskich.

- A co z Saladynem? Nie proś mnie, abym uwierzył, że zaoferuje siebie jako rękojmię właściwego zachowania swoich ludzi.

- Saladyn zrobi to, co zawsze robią wodzowie... wynegocjuje honorowe wyjście z sytuacji dla siebie oraz swoich najbliższych popleczników i zostawi sługusów na łaskę losu... a przynajmniej tych, którzy nie będą potrafili sami sobie poradzić.

- Jesteś dość surowy, nie sądzisz? Nic, co słyszałem o Saladynie, nie wskazuje na to, że porzuciłby po prostu mieszkańców Akki po tym, jak tak długo bohatersko bronili miasta.

Sinclair wzruszył ramionami.

- Może to zrobi, a może nie. Dużo będzie zależało od żądań Ry

szarda. Jeśli się zaprze, Saladyn nie będzie miał wyboru: będzie mu siał mu ustąpić. Nie jest to bohaterskie zachowanie, lecz na wojnie

przegrani często umierają. Popatrz, co zdarzyło się nam pod Hatti-nem.

- Hmm. Zapewne masz rację, czas pokaże, co postanowili wodzowie. Czy byłby to dobry moment na dalszą rozmowę o tym, co było w listach, które dałeś mi do przeczytania?

- Tak, kuzynie. Nie ma na co czekać, ponieważ kiedy przybyłeś, przygotowywałem się do następnego koniecznego kroku. Powiedz szczerze, jak naprawdę się czujesz?

Andrzej niemal się uśmiechnął.

- Na tyle dobrze, żebym poradził sobie z czymkolwiek, co wymyślisz. Czułem się dziś przez chwilę słabo, lecz teraz mam się tak jak zawsze.

- Dobrze. - Alec wstał. - Pójdź ze mną. Zatrzymamy się w stajni i

stamtąd... - Zatrzymał się i obrzucił Andrzeja spojrzeniem od stóp do głów. - Myślę, że mam wszystko, czego będziesz potrzebował. Lecz najpierw konie i jadło z kuchni polowej. Wybierz dwa dobre, krzepkie wierzchowce, a ja wezmę jedzenie.

- I napitek. Nie zapomnij o wodzie.

- Udam, że tego nie słyszałem. Weź konie. Dołączę do ciebie za chwilę.

- Jak długo nas nie będzie? Czy nie powinniśmy kogoś zawiadomić?

- Tak, de Sablego. Powiedziałem mu, gdzie jadę. Wyślę mu z kuchni wiadomość, że wziąłem cię ze sobą.

— Już tu kiedyś byłem. Tą drogą jechałem z Harrym na kamienną pustynię przed pierwszym spotkaniem z tobą.

- Zgadza się, kuzynie. To ta sama trasa i jedziemy do tego samego miejsca. W każdej chwili powinniśmy ujrzeć skraj kamienistego pola.

- Dlaczego mielibyśmy tam jechać, Alec?

- Ponieważ mam po temu powód, który i ty zrozumiesz, kiedy już ci go wyjaśnię. Czy pamiętasz, jak byłeś wtedy zaintrygowany tym, że udało mi się zbliżyć do was całkiem bezgłośnie?

- Tak, pamiętam to dobrze. Według ciebie robiliśmy tyle hałasu, że nie usłyszelibyśmy twojego nadejścia. Powiedziałeś też, że stałeś tam od wielu godzin.

- Tak? Naprawdę? To było...

- Nieostrożne, ponieważ dało mi to do myślenia. Jestem gotów się

założyć, że masz tam niedaleko jakąś kryjówkę. Chwilę temu obejrzałeś mnie od stóp do głów i powiedziałeś, że masz wszystko, czego będę potrzebował, lecz nie zatrzymaliśmy się od tamtej pory, a twoje juki wyglądają na puste. Jedynym twoim bagażem jest jadło i napitek. Dlatego też czegokolwiek mogę potrzebować, musi być tam, dokąd jedziemy. Ponadto, choć to miejsce może ci odpowiadać z wielu powodów, byłoby jeszcze lepiej, gdybyś miał wygodną kryjówkę, z której mógłbyś śledzić ludzi przybywających na spotkanie z tobą.

Alec Sinclair uśmiechnął się szeroko.

- Dobra robota, chłopcze. Wkrótce będziemy na miejscu i sam ją zobaczysz.

Jechali w ciszy, aż pojawił się szczyt wysokiego monolitu stojącego pośrodku wzniesienia, na którym spotkali się po raz pierwszy. Alec zatrzymał się w cieniu dużej grupy kamieni i skierował się w jej stronę, tak że wydawało się, iż jego koń na pewno wejdzie prosto w ścianę głazu. Lecz wtedy zszedł z konia i poprowadził zwierzę prosto w lewo i w dół, idąc wzdłuż stromej krawędzi czegoś, co wyglądało jak wielka dziura w ziemi.

Andrzej, który szedł tuż za nim, stwierdził, że faktycznie była to dziura. Jej krawędzie były wygładzone latami używania przez ludzi podążających wąską, lecz możliwą do przejścia ścieżką, która wiła się ciasną spiralą w dół i znikała w głębi. Szedł ostrożnie za Sinclairem i wkrótce dotarł do naturalnego atrium, holu wyrzeźbionego w skale przez wiatr lub wodę, który znajdował się pod gołym niebem. Byli może

dziesięć kroków pod powierzchnią ziemi, a fragment błękitnego nieba nad ich głowami miał niemal kolisty kształt. Za Andrzejem kryło się w cieniu wejście do jaskini, która, jak się okazało, była pierwszą w ciągu jaskiń kończącym się w wielkiej, wysokiej, dobrze oświetlonej przestrzeni o suchej, piaszczystej podłodze. Palenisko pośrodku sprawiało wrażenie używanego od wieków, a cała przestrzeń poprzecinana była promieniami światła wpadającymi bezpośrednio do środka, jakby przez okna.

- Niesamowita, prawda? - Alec Sinclair położył juki koło paleniska i zaprowadził konia do przeciwległego krańca jaskini, gdzie zabrał

się do rozsiodłania go. - Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, czułem to co ty. Zaparło mi dech w piersiach i odebrało mowę. Kiedy o tym myślę, wciąż mam dreszcze, lecz ostatnio przyzwyczaiłem się do niej, i dopiero ktoś, kto tak jak ty widzi ją po raz pierwszy, przypomina mi, jaka jest wspaniała.

- Jakim cudem ją znalazłeś?

- Nie znalazłem jej. Trzeba mi było ją pokazać, jak i tobie. Mnie pokazał ją Ibrahim, mój główny łącznik ze Starcem. — Zdjął siodło z grzbietu swojego wierzchowca i położył je na ziemi koło ogniska. — Chodź, zobacz to.

Andrzej wspiął się za nim na wysoką pochyłość i przecisnął ramiona przez dziurę w sklepieniu. Była większa, niż się wydawało, więc było dość miejsca, aby obaj stanęli tam obok siebie.

- Musisz być cicho, kiedy się wspinasz - powiedział Alec - lecz wysiłek jest tego wart, nieprawdaż?

Andrzej nie był w stanie odpowiedzieć: mógł jedynie gapić się w zadziwieniu. Jego głowa wystawała przez otwór w ziemi niemal całkiem otoczony podstawami głazów stojących na szczycie wzniesienia, gdzie czekał z Harrym Douglasem na przyjazd Sinclaira. Dokładnie widział całe otoczenie, patrząc prosto między głazami.

- Byłeś tutaj przez cały czas. Słyszałeś każde słowo.

- Każdą sylabę. Byłem pod wrażeniem tego, jak miłosiernie tłumaczyłeś moje spóźnienie.

Andrzej wrócił do konia, rozsiodłał go, zataszczył siodło i derkę do paleniska, a potem podszedł do stojącej pod ścianą wysokiej drewnianej skrzyni.

- Co tam jest?

- Suszone łajno. Trochę wielbłądziego, lecz głównie końskie. Zbieramy je na opał. To jedyny dostępny nam rodzaj... wielbłądzie i końskie łajno. Jakieś dziesięć mil stąd jest złoże antracytu... twardego, lśniącego, dającego wiele ciepła węgla... i kiedy czas pozwala, transportujemy opał stamtąd. Lecz najczęściej palimy łajnem.

- A tam? - Andrzej stał teraz przed dwoma wielkimi drewnianymi kuframi z ozdobnymi zamknięciami, a kiedy mówił, Alec już się pochylał, aby je otworzyć.

- Ubrania na wiele okazji. To nasz kolejny priorytet. Zdejmij zbroję, czas przyjąć barwy ochronne. - Odchylił wieko jednej ze skrzyń,

ukazując stertę jaskrawo ubarwionych ubrań. - Będzie z ciebie przystojny muzułmanin. Czy nosiłeś już kiedyś saraceńskie szaty?

- Tylko dwa razy, w domu, bardzo krótko... możesz sobie wyobrazić, jakie komentarze mogłoby to wywołać. Wiem mniej więcej, co i jak należy włożyć.

- Świetnie, zaczynajmy więc. Szybko, rozbieraj się, a ja pomogę ci ubrać się w nowe szaty. Ibrahim na pewno wkrótce tu będzie.

- Ibrahim już tu jest, Almania.

Wypowiedziane po arabsku słowa rozległy się blisko ucha Andrzeja, który odwrócił się tak szybko, że niemal upadł na nierówną podłogę.

-Jak...? — wysapał, sięgając dłonią po sztylet. Nie dokończył, ponieważ przy jego żuchwie mignęły kręcone czarne włosy pokrywające grzbiet śniadej dłoni i poczuł na delikatnej skórze szyi silny nacisk ostrza. Był pewien, że krawędź klingi jest bardzo ostra. Odchylił głowę, ustępując pod naporem ostrza, aż skóra jego szyi się napięła, i znieruchomiał, wlepiając oczy w twarz człowieka, który zbliżył się tak cicho, a teraz zerkał na niego z ukosa, uśmiechając się sardonicznie i rzucając mu wyzwanie, aby się ruszył.

Nieznajomy miał na głowie wysoki, ostro zakończony hełm ze lśniącej stali, wyposażony w przyłbicę z drobnej siatki, która osłaniała jego twarz, nie przeszkadzając mu widzieć wszystko. Unosił podbródek niemal tak wysoko jak Andrzej i odchylał ciało lekko do tyłu, aby zrównoważyć napięcie wyciągniętego ramienia, które zmuszało An-

drzeja do stania na palcach. Pomiędzy wiszącymi ogniwami przyłbicy widać było ciemnobrązową twarz, na której zmarszczki i cienie sprawiały wrażenie czarnych, a pod krzaczastymi brwiami lśniły równie ciemne oczy. Zarost nieznajomego był tak czarny, że można było odnieść wrażenie, iż ma granatowy odcień, a choć napastnik miał teraz zamknięte usta, Andrzej dojrzał wcześniej błysk jego białych zębów. Wiedział, że ten wysoki i szczupły człowiek o szerokich ramionach jest niebezpieczny. Nie widział wiele poniżej linii jego ramion, lecz domyślał się, że jest on ubrany od stóp do głów w luźne, czarne szaty.

- Ibrahim! Muszę przyznać, że idzie ci coraz lepiej. Tym razem ledwie usłyszałem, że wchodzisz. - Arabski Sinclaira był nieskazitelny i nie słychać było w nim zaskoczenia.

- W ogóle mnie nie słyszałeś, Almania. - Choć człowiek trzymają-

cy sztylet mówił do Aleca, nie spuszczał wzroku z Andrzeja. - Byłem już tutaj, kiedy wymieniłeś moje imię. Kim jest ten *ferenghP*.

- To mój kuzyn, Andrzej Saint Clair. - Spojrzał na Andrzeja i wró cił do ich języka. - Andrzeju, poznaj Ibrahima al-Kusaja, mojego łącz nika z siłami Raszida al-Din Sinana. - Zwrócił się do Ibrahima, znów po arabsku. - To do Andrzeja wezwałem Saifa ad-Dina.

Alec nie wspomniał o sztylecie przyciśniętym do szyi Andrzeja, a ten zobaczył, że Ibrahim mruży oczy.

- To ten, który stracił ojca?

- Ten sam.

Ibrahim sapnął przez nos i opuścił sztylet. Zrobił krok w tył i schował oręż.

- To nieszczęście, którego nikt nie powinien znosić, lecz wola Allaha jest taka, że znosi je każdy. Straciłem ojca prawie dwa miesiące temu, niech Allah zlituje się nad jego duszą, i żal dopiero zaczął mnie opuszczać. - Odwrócił się do Sinclaira. - Lecz przyznaj szczerze, Almania, że nie słyszałeś mnie.

Andrzej wykorzystał okazję, aby dokładniej przyjrzeć się asasy-nowi. Był rzeczywiście cały odziany w czerń, lecz na długiej szacie wierzchniej Ibrahim miał jeszcze na sobie sięgającą kolan tunikę kol-czą, piękniejszą od wszystkich, jakie Andrzej widział w życiu. Na nią włożył kirys ze lśniącej stali, który pasował do hełmu, a u jego pasa wisiał wspaniały bułat o długiej klindze.

Wciąż patrzył wyzywająco na Sinclaira, lecz Alec tylko pochylił lekko głowę, odrzucając tę kwestię jako pozbawioną znaczenia.

-Właściwie nie nasłuchiwałem, ponieważ nie miałem potrzeby słyszeć, że się zbliżasz, przyjacielu. Prawdę mówiąc, wywąchałem twoją obecność w chwili, kiedy weszliśmy do głównej jaskini. Być może pamiętasz, że mówiłem ci już, iż cynamon w dużych ilościach ma bardzo łatwy do rozpoznania zapach. Jesteś do niego przyzwyczajony, więc nie wiesz, jak mocno nim pachniesz, lecz w twoim zawodzie może się to kiedyś źle dla ciebie skończyć.

Ibrahim przestał słuchać - widocznie temat ten już go nudził -i mierzył Andrzeja wzrokiem od stóp do głów. Skinął głową i uniósł dłoń.

- Pomogę mu się ubrać po męsku. - Zwrócił się do Aleca. - Powiedz mu, żeby zdjął odzienie.

- Sam mu to powiedz. Mówi w twoim języku.

Ibrahim wyprostował się ze zdumienia.

- Mówisz po arabsku?

- Słabo - odpowiedział w tym samym języku Andrzej. - Uczyłem się go nawet, zanim tu przyjechałem, ponieważ moi bracia, sprzymierzeńcy twojego imama, Raszida al-Dina, uznali, że rozsądnie będzie, żebym wcześnie zaczął się uczyć twojego języka. Uczyło mnie wielu najświetniejszych uczonych, którzy żyją dziś wśród nich i dzielą się z nimi wiedzą.

- Niech będzie. A teraz do pracy. Rozbierz się, jeśli łaska.

Andrzej zdjął zbroję i szaty, a Ibrahim udzielił mu pełnych instrukcji na temat noszenia muzułmańskich strojów, pokazując mu, jak włożyć i właściwie dopasować każdą sztukę ubioru, aby osiągnąć efekt swobody, wygody i nieskrępowanych ruchów. Na końcu pokazał templariuszowi, jak przywdziać powiewne nakrycie głowy zwane kufiją i jak umocować ją przez naciągnięcie podtrzymującej opaski, a potem krytycznym wzrokiem przyjrzał się swojemu dziełu i skinął głową z zadowoleniem.

- Tak powinna zwisać - mruknął. — Rozumiesz?

- Teraz tak, lecz nie wiem, czy w przyszłości będę rozumiał. - Andrzej nie potrafiłby wytłumaczyć, dlaczego postanowił nie zdradzać się z tym, że zna już ten sposób ubierania się, i dlaczego wciąż udaje

niewiedzę.

- Będę pomagał ci od teraz do momentu, kiedy spotkamy się z ludźmi, z którymi mamy się spotkać. Powinieneś już wtedy nauczyć się wkładać swoje ubrania. To nietrudne. Nasze dzieci to potrafią. — Zerknął na przyglądającego się im Sinclaira. - Pójdź, Almania, powinniśmy już być w drodze.

Kiedy siodłali konie, Andrzej odezwał się do Aleca po francusku:

- Co to za imię, którym się do ciebie zwraca? Almania?

- To nazwa germańskiego plemienia, Alemanów. Myśli, że oznacza ona Anglików, i nazywa mnie tak od lat. Usiłowałem wyprowadzić go z błędu, ale nie słucha, więc po prostu się na to zgadzam. Podobno w arabskim nie ma słowa na Szkocję ani Szkotów.

- Dokąd teraz idziemy? - zapytał Andrzej, gdy Ibrahim wyprowadzał ich z jaskiń.

- Musimy załatwić kilka spraw, dostarczyć wiadomości pewnym

zainteresowanym stronom, a szczególnie jednej. Tak naprawdę nie ma powodu, żebyś jechał z nami, lecz sądzę, że nadszedł czas, abyś pokazał się ludziom, z którymi musimy pracować. Być może będzie wśród nich sam Starzec, ponieważ to do niego ostatecznie zmierzamy, lecz do ostatniej chwili nie będziemy wiedzieć, czy zgodzi się przyjąć ciebie. Niech będzie to dla ciebie podróż zapoznawcza, na której poznasz tych ludzi, zobaczysz, gdzie mieszkają, i zorientujesz się, jak z nami postępują.

Kiedy tylko wyruszyli, Ibrahim wyprzedził ich i zniknął pomiędzy głazami, lecz teraz zauważyli, że wraca w ich stronę. Zatrzymał się jakieś sto kroków przed nimi i czekał, aż się z nim zrównają. Alec mówił dalej:

- Powinno cię to zainteresować, ponieważ nie będzie to przypo minało niczego innego, co możesz tu napotkać. Na sam nasz widok chętnie poderżnęliby nam gardła, lecz nie mają odwagi, bo są świado mi, że chroni nas imam, Raszid al-Din. Nie wiedzą, dlaczego tak jest, lecz akceptują to, a ponieważ nie jesteśmy sunnitami, lecz należymy do Ludzi Księgi, tolerują nas, bez względu na to, czy rozumieją przy czyny naszej obecności tutaj. Wiedzą też... nie mam pojęcia skąd... że choć wyglądamy na templariuszy, różnimy się od innych zakonników, z którymi się kontaktują. Niektórych rzeczy po prostu nie można wie dzieć ani zrozumieć, i to jedna z nich.

Pomachał Ibrahimowi, kiedy zaczęli się do niego zbliżać, lecz wciąż mówił po francusku do Andrzeja:

- Zauważysz zatem, że większość z nich jest uprzejma, choć nie do końca przyjacielska, lecz nigdy, przenigdy nie zapominaj, kim oni są, Andrzeju, i niech nie przyjdzie ci do głowy ufać im. To haszyszynowie. Asasyni. Może i nasze bractwa mają wspólne tajemnice, lecz my, jako bracia, nie mamy z nimi nic wspólnego. Pamiętaj, strzeż się ich. - Przeszedł gładko na arabski, ponieważ zauważył, że Ibrahim prostuje ramiona na dźwięk nazwy “haszyszynowie". - Wybacz mi, Ibrahimie, przyjacielu, za mój brak uprzejmości i rozmowę w języku *ferenghi,*

lecz mojemu kuzynowi wciąż łatwiej słuchać i poznawać nowe rzeczy w naszym języku niż w twoim. Opowiadałem mu o historii twoje go bractwa i o sukcesach, które odnosi od ponad czterdziestu lat, od chwili przybycia Raszida al-Dina do Syrii. Przyszło mi jednak właśnie do głowy, że ty o wiele bardziej się nadajesz, aby mówić o zamiarach

i ambicjach twojego bractwa, a mój kuzyn odniósłby wielką korzyść, gdyby mógł usłyszeć, jak opowiadasz o tym we własnym języku. Czy zaszczycisz nas obu, przekazując mu tę wiedzę z własnej perspektywy?

Okazało się, że mimo uporczywie niezadowolonego wyglądu Ibra-him zareagował na propozycję z wielkim entuzjazmem. Mówił przez dwie godziny bez przerwy i zaskoczył słuchaczy elokwencją. Był dobrze poinformowany, miał jasno sprecyzowane opinie i wierzenia, poparte analitycznymi, nawet filozoficznymi spostrzeżeniami na temat tego, co jemu i innym szyitom udało się osiągnąć w ich kampanii przeciwko sunnickiemu kalifatowi, uosabianemu teraz przez samego Salady-na, który domagał się eksterminacji bractwa asasynów. Powiedział im, że w akcie zemsty już trzy razy wyznaczono Saladyna jako ofiarę ich ataków, a przy pierwszych dwóch okazjach udało mu się uciec dzięki zwykłemu ślepemu trafowi. Lecz trzecia próba, przeprowadzona osobiście przez Ibrahima według szczegółowych instrukcji Raszida al--Dina, była udana. Wtedy sułtan znalazł po przebudzeniu ciepłe podpłomyki i sztylet asasyna na swojej poduszce. Przesłanie było jednoznaczne: Saladyn nigdzie nie był bezpieczny,

nawet we własnym namiocie strzeżonym przez jego osobistą straż, wśród zastępów jego armii.

Od tamtej pory Saladyn nabrał zwyczaju spania w bezpiecznym drewnianym namiocie wykonanym na zamówienie, który brał wszędzie ze sobą, i nigdy więcej nie wezwał do działań przeciwko Raszido-wi al-Dinowi i jego ludziom.

Na długo zanim Ibrahim skończył, zostawili daleko w tyle pole głazów i otaczającą je równinę i wkroczyli na górzystą powierzchnię północnego regionu. Późnym popołudniem, kiedy cienie zaczęły się pogłębiać, dotarli do położonej wysoko w górach wioski, która - według komentarza rzuconego kątem ust przez Sinclaira - była duża i nadzwyczaj zamożna. Podejrzewał on, że dostatek ten pochodził wy-łącznie z aktów rozboju. Ibrahim oficjalnie przedstawił Andrzeja star-szyźnie, a potem wszyscy zasiedli do wieczerzy. Podczas posiłku mężczyźni rozmawiali całkiem otwarcie i nie wykazywali żadnych oznak wrogości wobec siedzących wśród nich obcych, lecz Alec powiedział później Andrzejowi, że zauważył różnice między nimi a ludźmi żyjącymi w wiosce rządzonej przez jego przyjaciela i niegdysiejszego porywacza Ibn al-Farucha. Zauważył, że podczas spotkania nie było ani

trochę żartów czy śmiechu. Wszystko było śmiertelnie nudne oraz poważne, naznaczone trudami życiowymi i tragedią.

Trzej goście spali na dworze, chroniąc się przed nocnym chłodem pod

kocami, a wkrótce po świcie wstali i podążyli dalej, znów na północ.
Zgodnie z obietnicą, przed wyjazdem Ibrahim przyjrzał się Andrzejowi i doprowadził go do porządku, tu ciągnąc, tam upychając materiał i tłumacząc cierpliwie, co chce przez to osiągnąć. Kiedy nastał następny świt, zdążyli załatwić już swoją sprawę z Raszidem al-Dinem, Starcem z Gór, a Andrzej i Alec ruszyli do domu, nie dbając o to, co jakiś przypadkowy obserwator może pomyśleć na temat szczegółów ich stroju.
Poprzedniego wieczora, tuż przed zapadnięciem zmroku, Andrzej zetknął się z samym Raszidem al-Dinem, choć nie poznał tego wielkiego człowieka, jeśli “wielki" było właściwym słowem. Andrzej towarzyszył kuzynowi na miejsce spotkania podczas zachodu słońca rozpalającego niebo lśniącym złotem, połyskującymi brązami i oranżami. Kiedy jeden ze strażników uniósł rękę, zabraniając mu wejść, odjechał na stronę, aby poczekać na zewnątrz. Spodziewali się tego; Alec wyjaśnił wcześniej Andrzejowi, że kiedy poinformuje al-Dina o tym, kim jest jego kuzyn i dlaczego przybył, ten może go wezwać do środka, lecz niekoniecznie. Nie można przewidzieć, jak zareaguje imam, ponieważ w takich sprawach Raszid al-Din lubił robić wrażenie człowieka kapryśnego, o zmiennych nastrojach.
Andrzej stał obok drzwi, o kilka kroków od straży, a jego uwagę przyciągnęło drobne zamieszanie przy wejściu. Kiedy tylko słońce schowało się za szczytami leżącymi za nim - byli wysoko w górach, w stojącej na szczycie wzniesienia twierdzy zwanej Orlim Gniazdem

-zrobiło się zimno i Andrzej otulił się opończą. Słysząc za sobą gwałtowne ruchy, po których nastąpiła zupełna cisza, odwrócił się powoli i zobaczył, że przypatruje mu się jakiś człowiek. Wiedział, że nie może to być nikt inny, jak tylko Raszid al-Din.

Po części ta pewność spowodowana była tym, że natychmiast dostrzegł napięcie wśród strażników: ich pozy były pełne szacunku przemieszanego z lękiem i obawą. Andrzej uświadomił sobie, że niczym cień spowija Starca z Gór aura bezruchu. Jak większość asasynów, ubrany był od stóp do głów na czarno, lecz on wręcz emanował czernią, a Andrzejowi przyszło do głowy, że bije od niego także lodowaty chłód.

Zdał sobie sprawę, że nie wie, jak się zachować. Poczuł, że nerwowe napięcie zbiera się u nasady jego szyi, i pomyślał dziko, że może powinien się ukłonić, lecz natychmiast odrzucił tę myśl i zmusił się do utrzymania nieruchomej, wyprostowanej pozycji. Jeśli nie miał zostać wezwany, lecz tylko oglądany jak jakiś nieruchomy obiekt, anonimowy więzień czy niewolnik, nie sprawi nikomu satysfakcji uległym zachowaniem, wyprostował więc ramiona i odwzajemnił kamiennym wzrokiem zimne, bazyliszkowe spojrzenie, które wbił weń mężczyzna. Jego twarz była płaska i dość nijaka, niemal całkowicie zasłonięta ciężką, bujną brodą o sztywnych, szpakowatych włosach. Przy skrzydełkach nosa zaczynały się szerokie, siwe pasma, które spotykały się pod podbródkiem. Widoczne pod krzaczastymi siwymi brwiami szkliste, matowe oczy patrzyły na niego pustym wzrokiem. Były bez wyrazu,

niepdgadnione, zupełnie pozbawione ludzkich odczuć czy ciepła. Przypominały Andrzejowi oczy węży. Stanowczo odwzajemniał ich spojrzenie, nie mrugając nawet i wyliczając w myślach odczucia, jakie wzbudził w nim ten człowiek, nie odzywając się słowem i nie dając nawet najmniejszego znaku, że go rozpoznaje.

Przede wszystkim dostrzegł arogancję, wyraźnie widoczną w sposobie, w jaki al-Din unosił głowę, a nawet w tym, jak luźne końce czarnego turbana otaczały jego twarz, jakby ułożył je w ten sposób ktoś, kto chciał osiągnąć konkretny efekt. W skrzywieniu warg i martwej ospałości worków zwisających pod jego nieustępliwymi oczami widać było też nietolerancję. Andrzej wiedział, że jest tam też duma, choć nie potrafił wykryć żadnych jawnych oznak, a także ogromna próżność - bez wątpienia ukrywana i wypierana, lecz mimo to widoczna pod fasadą pokory - oraz drwiąca pogarda dla innych. W tej właśnie chwili Andrzej zdecydował, że nie lubi Raszida al-Din Sina-na i że nie ma ochoty mieć z nim konszachtów pod żadnym pretekstem, nawet jeśli chodziło o Radę Zakonu Syjonu. Kiedy przyszło mu to do głowy, mężczyzna odwrócił się powoli i wrócił dumnym krokiem do wnętrza, a strażnicy zamknęli za nim drzwi z czcią i wyraźną ulgą.

Alec wyszedł z domu spotkań jakąś godzinę później i marszcząc brwi, odszukał Andrzeja, który grzał się przy ognisku rozpalonym przez

strażników na dziedzińcu. Jego pierwsze pytanie, które zadał po francusku, dotyczyło Raszida al-Dina.

- Wyszedł na zewnątrz, aby przyjrzeć ci się, kiedy powiedziałem mu, kim jesteś. Widziałeś go?

- Jak mogłem go nie zobaczyć? Stał mniej niż pięć kroków dalej i gapił się na mnie.

- Co o nim sądzisz?

Andrzej rozejrzał się. Na dziedzińcu znajdowało się ponad dwudziestu ludzi, a około dziesięciu było przy ogniu.

- Czy któryś z nich mówi po francusku?

- Nic mi o tym nie wiadomo. To bardzo mało prawdopodobne.

- Na pewno nie mniej prawdopodobne niż to, że my mówimy po arabsku?

Uśmiech, który posłał mu w odpowiedzi Alec, potrząsając głową, był nikły i krótki.

- To coś innego, kuzynie, wierz mi. Ty i ja nauczyliśmy się tego języka, aby móc rozmawiać z nimi dla naszych własnych celów. Ci ludzie nie mają takiej motywacji. Większość z nich jest prosta i niewykształcona, rzadko opuszcza te góry, a przede wszystkim to fanatycy. Nienawidzą nas i wszystkiego, co reprezentujemy. Uważają nas za bezbożnych niewiernych, skazanych na wieczne potępienie za to, że nie przyjęliśmy Allaha i jego proroka. Dlaczego mieliby chcieć kalać się używaniem naszego ohydnego języka? Zaręczam, ci ludzie nie mówią po francusku i nie rozumieją tej mowy.

- Powiem ci zatem, co sądzę o Starcu z Gór. Myślę, że to idealny przykład twoich ludzi Boga. To zapaleniec, ale też fanatyk na skalę

Nerona czy Tyberiusza, zżerany miłością własną, przekonany, że ludzie mogą mieć nadzieję na zbawienie tylko dzięki jego osobistemu orędownictwu, więc zrobi wszystko, co w jego mocy, aby wzniecić wojnę dla własnych celów. Jest przekonany o własnej wyższości, nieto-lerancyjny i pełen nienawiści. Propaguje bigoterię i rzeź w imię Boga. Trawi go pragnienie, aby doprowadzić innych do oszalałej walki za ich bogów i jego własne ambicje. Znienawidziłem go od pierwszej chwili i na samą myśl o konieczności pertraktowania z nim w jakimkolwiek celu chce mi się wymiotować. Poza tym sądzę, że robi wrażenie, na swój nieludzki sposób.

Alec uniósł brew.

- No cóż, wyraźnie zrobił na tobie wrażenie. Ciekawe, co on po myślał o tobie.

Andrzej bezskutecznie spróbował ukryć uśmiech.

- Wierzę w pierwsze wrażenia, kuzynie, rzadko wprowadzają mnie one w błąd. Jeśli chodzi o to, co on pomyślał o mnie, w ogóle mnie to nie obchodzi. O czym rozmawialiście?

Alec milczał przez moment, jakby zastanawiał się, czy zakwestio-nować opinię Andrzeja, lecz wzruszył ramionami i odpowiedział peł-nym niesmaku głosem:

- Na więcej tematów, niż zamierzałem. Na samym początku do-wiedziałem się, że wdepnąłem w trudną sytuację, o której istnieniu nawet nie miałem pojęcia. Nie zrobiłem tego, co należy zrobić, jak wie

każdy głupiec: nie porównałem mojej wiedzy z rzeczywistością przed ruszeniem do akcji, przez co postawiłem się w niekorzystnym położeniu. Oczywiście porażka ta przeszkodziła mi. Niech to diabli! Wciąż jestem zły, lecz prawda jest taka, że nie mogę winić nikogo poza sobą samym.

- Co się stało? Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- O Konradzie i templariuszach, de Montferracie i de Rideforcie.

Chciałem zdystansować ich od siebie nawzajem dla własnych celów, ponieważ jeden z nich już nie żyje, lecz kiedy tylko o tym wspomniałem, Sinan się zirytował, a ja zrozumiałem, że coś przegapiłem. Oczywiście opowiedział mi o całej sprawie, która całkowicie mnie zaskoczyła. Nie ma znaczenia, że kiedy to się stało, byłem jeszcze w niewoli, ponieważ przede wszystkim kupczę informacjami i nie powinienem popełniać takich błędów.

- Wciąż nie wiem, o czym mówisz.

-Wiem. Wiem... Lecz nie chcę teraz o tym rozmawiać. Jestem głodny i czuję zapach pieczonego mięsa koziego. Znajdźmy sobie coś do jedzenia i miejsce, w którym będziemy mogli usiąść, zjeść i porozmawiać na osobności. Wtedy opowiem ci wszystko o tej klęsce.

Jakiś czas później dwaj Frankowie, pokrzepieni pieczoną kozą i świeżym chlebem, popitym zimną wodą z pobliskiego strumyka, usiedli obok siebie przy dogasającym ognisku i dołożyli do niego. Nikt nie zwracał na nich uwagi i w końcu Alec wyprostował plecy, strząsnął okruszki z szaty i zaczął mówić.

- Dowiedziałem się, że na wiele miesięcy, zanim wyszedłem z nie-

woli, Konrad poważnie pomieszał Raszidowi szyki. Raszid jest wciąż tak zły z tego powodu, że nie pozwala nawet wypowiadać przy sobie imienia Konrada, więc wyszedłem na głupca. Podobno jeden ze statków Sinana, wyładowany różnymi skarbami, był zmuszony prosić o azyl w Tyrze podczas gwałtownego zimowego sztormu na początku tego roku. Dowiedziałem się, że w takich sytuacjach obowiązuje protokół i że prawa dotyczące udzielania azylu odwiedzającym statkom przez porty są prawie tak rygorystyczne jak w wypadku udzielania azylu grzesznikom przez kościoły, lecz z wielu przyczyn Konrad zawiesił wtedy te prawa. Jakiś czas wcześniej z własnych powodów postanowił on zignorować wezwanie do broni wysłane przez Ryszarda, króla Anglii, wszystkim rycerzom i wojownikom w Zamorzu. Wszyscy to wiedzieliśmy, lecz jakoś nie zwracaliśmy na ten fakt tyle uwagi, na ile on zasługiwał, ponieważ Konrad jest Niemcem, krewnym Barbarossy, i nowo mianowanym, choć jeszcze niepewnym na tym stanowisku hrabią Tyru. Na długo przedtem templariusze opuścili Tyr, aby przystąpić do oblężenia Akki wraz z de Lusignanem, i zabrali ze sobą swoje skrzynie złota, co oznaczało, że Konrad stracił największe i najbardziej dostępne źródło dochodów. Wtedy zabiegał też o dobrą opinię Filipa Augusta, co nie było tanim przedsięwzięciem. Wiedział jednak, że królowie Anglii i Francji się nie znoszą, i postanowił obrócić to na swoją korzyść. Najważniejsze jednak w tej sytuacji było to, że Konrad stał na skraju bankructwa, a arabski statek w porcie był wypełniony po brzegi dobrami

i ładunkiem o wielkiej wartości. Zarekwirował więc okręt i zabił jego kapitana. Kiedy Raszid al-Din dowiedział się o tym, wysłał do Konrada posłańców, tłumacząc mu, kim jest - szyickim księciem - i żądając zwrotu statku wraz z ładunkiem oraz załogą na podstawie starej zasady głoszącej, że wróg mojego wroga jest moim przyjacielem. Konrad odmówił i nagadał ostro do słuchu kurierom. Rzecz jasna Sinan niczego nie odzyskał. Dla asasynów była to wielka strata i zrobiliby wszystko, aby mieć pewność, że wieści o ich porażce nigdy nie dotrą do Saladyna i nie dostarczą mu powodów do radości. Kiedy wyszedłem na wolność, dawno już zapomniano o historii zatrzymanego statku w obliczu innych wydarzeń. Lecz mimo to powinienem był o niej wiedzieć. Z lenistwa nie sprawdziłem sytuacji dość dokładnie.

- Lecz co mógłbyś odkryć i skąd wiedziałbyś, gdzie szukać?

- Szukałbym tam, gdzie powinienem był szukać przed zrobieniem czegokolwiek innego: wśród naszych przebywających tutaj braci Za konu Syjonu, tych kilku, którzy zajmują się takimi sprawami. Gdy bym to zrobił, dowiedziałbym się wszystkiego o tym incydencie.

-A zatem... Jeśli dobrze rozumiem, pomijając szkodę dla twojej dumy, zadanie, którego wykonanie ci nakazano, nie ucierpiało. Czy tak?

- Och, tak. Konrad już jest trupem. Po prostu jeszcze o tym nie wie. Nikt nie może zrobić sobie śmiertelnego wroga z Raszida al-Din Sinana i przeżyć. Konrada obłożono fatwą. Wydano na niego wyrok, wysłano już morderców. Pozostaje jedynie ustalić sposób i moment zabicia go.

- Zatem wypełniłeś swój obowiązek. Osiągnąłeś swój cel i nawet nie kiwnąłeś palcem. Ostatnio to się rzadko zdarza.

Sinclair przechylił głowę i przyjrzał się kuzynowi spokojnym wzrokiem.

- Tak - powiedział. - To chyba prawda, poza tym że nie możemy narzucić daty tego wydarzenia, co może być niekorzystne. - Przerwał na chwilę. - Nigdy w końcu nie porozmawialiśmy o tym aspekcie moich rozkazów. Co czułeś, kiedy odkryłeś, jakie wydano mi polecenia? Czy masz coś do powiedzenia? Czy jest coś, czego wolałbyś nie robić?

- No cóż - powiedział zamyślonym tonem Andrzej - przyznaję, że przeraziło mnie, iż otrzymałeś rozkaz, i to od naszej Rady, zorganizowania likwidacji... nie, nazwijmy to po imieniu: morderstwa. Nie zostałem ani rycerzem, ani mnichem po to, aby otrzymywać takie zadania. Lecz potem przemyślałem to... wierz mi> kuzynie, rozmyślałem nad tym przy wielu okazjach... i zrozumiałem sprawę z innych punktów widzenia niż ten, który powodował moją odrazę. Oczywiście stało się to na długo, zanim wyczułem, jakiego rodzaju człowiekiem jest al-Din. Stawka jest o wiele większa niż życie jednego człowieka. Rozumiem to. Tak naprawdę chodzi o utrzymanie chrześcijaństwa w Ziemi Świętej... i nawet jeśli zastępy Ryszarda wygrają z Saladynem i wesprą chrześcijaństwo, sama forma tej religii, jej istota, będzie przedmiotem sporów pomiędzy rywalizującymi ze sobą odłamami katolików i wyznawców prawosławia. Walczyć będą tak zaciekle, jak sunnici i szyici walczą o rzeczywistą drogę dla islamu. Ponieważ nie jestem chrześci-

janinem, nie powinno mnie to interesować i tak nie jest, poza tym że nasz prastary Zakon potrzebuje zasłony dymnej w postaci katolicyzmu, a szczególnie Zakonu Świątyni, aby móc kontynuować swoją świętą pracę. Jako wierny brat Zakonu i adept jego tajemnej wiedzy wierzę w znaczenie tej pracy i przysiągłem zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby dopomóc w jej ukończeniu. Tysiącletnia zasłona kłamstw zostałaby wtedy zdjęta z oczu ludzkości, co pozwoliłoby jej zobaczyć i zrozumieć prawdziwą drogę do królestwa Bożego, proponowaną przez Jezusa i jego towarzyszy ze Zgromadzenia Jerozolimskiego. W tym celu będę się zadawał z asasynami i kimkolwiek innym, kto jest w stanie pomóc nam osiągnąć nasze cele. To z kolei oznacza, że mogę zmusić się do akceptowania, jeśli nie do wykonania, morderstwa hrabiego Tyru, ponieważ od czasu śmierci cesarza Barbarossy Konrad de Montferrat jest największym zagrożeniem dla naszej sprawy w Zamorzu. Jeśli poślubi Izabelę, zastąpi Zakon Świątyni zakonem krzyżackim, osłabiając zachodnich rycerzy, zarówno templariuszy, jak i szpitalników, oraz pozbawi ich jakiegokolwiek głosu w przyszłych dziejach królestwa. Wysiedlając templariuszy, zakłóci działanie naszego Zakonu i przerwie, być może na kolejne milenium, postęp naszej świętej misji. A oczywiście stanie się królem Jerozolimy, kiedy tylko poślubi Izabelę.

- Zatem nie możemy zrobić nic, jak tylko się modlić, że padnie ofiarą fatwy, zanim poślubi królową — mruknął Sinclair.

- Być może. Lecz tak jak mówisz, kuzynie, nie mamy nad tym

kontroli. A Raszid al-Din nie ma interesu w tym, aby pomagać nam w naszych dążeniach, nieprawdaż? - Poczekał, aż Sinclair kiwnie głową, a potem dodał: - Lecz odpowiedz mi na takie pytanie: czy to prawda, że asasyni uważają rytualne morderstwa wysokich urzędników w miejscach publicznych za wspaniałą metodę szerzenia paniki?

- To prawda.

- A czy prawdą jest, że dla Konrada będzie bardzo korzystne jak najszybsze skonsumowanie małżeństwa z Izabelą?

- Tak. Co sugerujesz?

- Jeszcze nic. Czy w dniu tych zaślubin odbędzie się wielka ceremonia?

- Królewskich zaślubin? Oczywiście.

- A zatem powiedz mi, dlaczego nie miałbyś pójść do Raszida

al-Dina i nie poinformować go o tym, co porabia Konrad i o jego oszałamiająco ambitnym planie zjednoczenia całego chrześcijaństwa pod swoją władzą jako króla jerozolimskiego? A kiedy już tam będziesz, dlaczegóż nie miałbyś zaoferować imamowi, że będziesz go stale powiadamiał o ruchach Konrada i tym, jak kształtują się plany jego zaślubin? Mając te informacje, Raszid mógłby w odpowiednim momencie wysłać swoich ludzi, aby zabili Konrada podczas jego przygotowań do poślubienia królowej i przejęcia korony jerozolimskiej. Oto byłaby prawdziwa deklaracja potęgi bractwa asasynów, a poza tym idealnie pasowałoby to do naszych planów.

- Idealnie? Co masz na myśli?

- No cóż, jeśli te zaślubiny się nie odbędą, będziemy zadowoleni i nie będziemy się musieli tym martwić.

- Lecz w tym wypadku Raszid al-Din i tak zabije Konrada.

- Prawdopodobnie tak, lecz przynajmniej w tych okolicznościach będzie to jego decyzja, a nie nasza.

Alec patrzył na kuzyna z podziwem.

- Panie Saint Clair, to fortel godny papieża. Genialny i nieskomplikowany. Idealny! - Uderzył się dłońmi po kolanach i zerwał na nogi, górując nad Andrzejem.

- Gdzie idziesz?

- "Wracam do jaskini lwa. Mam zamiar poprosić, aby spotkał się ze mną teraz, natychmiast, ponieważ mam z nim do omówienia niezwykle ważne kwestie. Wie, że wyjeżdżamy jutro rano, i z ciekawości nie pozwoli nam wyruszyć, dopóki nie wyciśnie z nas wszystkiego, co wiemy. Poczekaj tu na mnie. To nie powinno potrwać zbyt długo.

Wrócił po niespełna półgodzinie, a podchodząc, rzucił Andrzejowi sztylet.

-Jest twój, choć Starzec dał go mnie w dowód swojego wielkiego szacunku. Nie wspomniałem o tym, że tak naprawdę żywi ten szacunek do ciebie. Ciesz się z tej broni, bo z pewnością na nią zasłużyłeś. Rękojeść jest z kamienia o nazwie lapis-lazuli, a części z metalu są mosiężne, nie złote, lecz mógłbyś oprawić nim wielbłąda, a ostrze nawet by się nie stępiło. To broń godna szejka, synu. Noś ją z dumą. Na pewno

jesteś zmęczony, a jutro rano wcześnie wyruszamy, więc znajdźmy nasze posłania.

- Już, już, ale co powiedział, kiedy opisałeś mu swój plan?

- Nic, ani słowa, lecz ten godny pogardy stary sodomita ni mniej, ni więcej, tylko się do mnie uśmiechnął... jeden z najbardziej przerażających widoków w moim życiu. Słuchał uważnie, a kiedy skończyłem, wstał i osobiście przyniósł mi sztylet, podając mi go własnoręcznie. Spodobał mu się twój plan, kuzynie. Teraz my pociągamy za sznurki. Zasłużyliśmy na sen sprawiedliwego. Chodź.

- Chętnie, ale nie mogę tego przyjąć. - Andrzej wyciągnął złoto--niebieską rękojeść w stronę Sinclaira, lecz Alec skrzyżował ręce na piersi, wpychając dłonie pod pachy. Andrzej zmarszczył brwi.

- No już, jest twój i jak mówisz, to broń godna szejka. Dlaczego nie chcesz jej wziąć?

- Ponieważ nie jest moja. Zasłużyłeś na nią swoim genialnym pomysłem. Ja tylko przekazałem przynętę Starcowi. Poza tym mam sztylet, który sobie cenię. Spójrz. - Sięgnął do pasa i wyciągnął zawieszoną na krzyżu broń, znacznie piękniejszą niż ta, którą dostał od Raszida al-Dina. Był to cudownie zdobiony sztylet o zakrzywionej klindze, którego rękojeść i złocona pochwa zdobione były srebrnym filigranem i wysadzane wypolerowanymi cennymi kamieniami mieniącymi się czerwienią, zielenią i błękitem.

- Nigdy przedtem go nie widziałem.

- Trzymam go w ukryciu, ponieważ w innym razie musiałbym się go zrzec. Sam jego wygląd kpi z wszystkich ślubów ubóstwa i wzbudziłby chciwość każdego, kto spojrzałby na niego. Lecz nie trzymam go ze względu na wartość materialną, ponieważ dla mnie jej nie ma. Należał kiedyś do młodego człowieka o imieniu Aruf, brata żony Ibn al-Farucha. Znalazłem zwłoki Arufa na pustyni po Hattinie i zabrałem jego sztylet. Potem spotkałem al-Farucha, a on rozpoznał tę broń. Kiedy stałem się jego więźniem, odebrał mi ją. Potem, kiedy zaprzyjaźniliśmy się i uwolnił mnie, oddał mi sztylet na pamiątkę czasu, który spędziliśmy razem. Zatrzymałem go na cześć tej niespodziewanej przyjaźni. Zachowaj więc swój sztylet, a ja zachowam mój, i będziemy kryć je przed wzrokiem zachłannych i chciwych ludzi.

10

Kiik a dni po powrocie do służby kuzynów rozdzielono. Wiedzieli, że potrwa to podczas rozwijającej się ofensywy.

Królowie Ryszard i Filip leżeli złożeni szkorbutem, którą żołnierze nazywali gnilcem. Ryszard był w znacznie gorszym stanie niż Filip, który - być może dlatego, że choć raz widział, iż wygląda lepiej i bardziej atrakcyjnie niż jego angielski rywal — o dziwo zwalczył chorobę i gorączkowo przygotowywał swoją armię do ataku na Akkę, aby położyć kres oblężeniu raz na zawsze i bez niczyjej pomocy. Znaczna część floty Ryszarda wciąż tkwiła w Tyrze, nie mogąc odpłynąć z powodu niebezpiecznego wiatru zwanego Arsufem, a wraz z nią znajdowała się tam ponad połowa armii angielskiego króla. Póki jego przeciwnik był chory, a posiłki nie przybywały z Tyru, Filip chciał wykorzystać swoją przewagę i zdobyć choć odrobinę chwały w Akce, walczył więc sam, uderzając nieugięcie w kamień węgielny fortyfikacji miasta, Przeklętą Wieżę. Tymczasem krążyły plotki - wydawało się, że cała kampania w Zamorzu opiera się na plotkach - że Ryszard nie wstał jeszcze z łoża, lecz wciąż prowadzi bezowocne negocjacje z posłami Saladyna w sprawie warunków poddania Akki.

Jednak według raportu, który Andrzej przekazał Alecowi z rąk Ibrahima pod sam koniec czerwca, Saladyn miał własne plany, wskutek czego chętnie grał na zwłokę, tygodniami nadzorując bezcelową bieganinę posłów obu stron. Jak się okazało, sułtan spodziewał się, że lada dzień przybędzie flota z Kairu oraz armia nadciągająca podobno

drogą lądową z Bagdadu, pewien, że pojawienie się którejkolwiek z tych sił wystarczy, aby odeprzeć ataki Filipa na mury Akki i pokonać jego armię. Alec natychmiast doniósł o tym swojemu przełożonemu, sir Robertowi de Sabie, wielkiemu mistrzowi elektowi Zakonu Świątyni, lecz ten odrzucił informację jako w ogólnym rozrachunku nieistotną.

460

Tej nocy, po pierwszej od ponad tygodnia wspólnej kolacji z kuzynem, Alec przekazał tę wiadomość Andrzejowi, kiedy siedzieli na wale obronnym piętrzącym się nad okopem i patrzyli w dal na spokojną pustkę pustyni.

Przynieśli ze sobą arbalety w nadziei, że znajdą coś, do czego będą mogli postrzelać, lecz teren, na którym zaledwie kilka godzin temu tłoczyła się saraceńska jazda, był teraz pusty i wyludniony. Kusze leżały bezczynnie na piasku u ich stóp.

Saint Clair, dotknięty tym, co powiedział jego kuzyn, spojrzał na niego z ukosa.

- To, że wiemy, co knuje Saladyn, jest nieistotne? To szaleństwo.

- Otóż nie. Ja też na początku tak zareagowałem, lecz sir Robert powiedział mi, że już o tym wiedzą i zdążyli poczynić stosowne plany. Powiedział, że tymczasem ma ważniejszą sprawę na głowie.

- Mianowicie?

- Cypr.

- Nie rozumiem.

- Ryszard chce sprzedać Cypr templariuszom.

- Sprzedać...? A to co znowu? Cypr to miejsce, wyspa. Nie można sprzedać miejsca!

- Oczywiście, że można, jeśli jest się jej właścicielem i można otrzymać za nią godziwą cenę. Jak być może pamiętasz, Ryszard zawłaszczył Cypr po zdetronizowaniu tego głupca Komnena i przejęciu władzy nad jego tak zwanym cesarstwem. Teraz zmienił zdanie. Nie chce już wyspy i ma zamiar sprzedać ją odpowiedniemu kupcowi... Zakonowi Świątyni.

- A dlaczego, na litość boską, myśli, że templariusze będą zainteresowani tak niedorzecznym pomysłem?

Alec Sinclair wytrzeszczył oczy i komicznie zacisnął usta.

- Być może sądzi, że pożądają oni takiego miejsca. Od wielu lat bli sko przyjaźni się z nowym mistrzem Zakonu i wie od niego, że Zakon bardzo pragnie stabilnej, solidnej bazy dla swoich działań, oddalonej od ingerencji królów oraz papieża, leżącej na tyle blisko Ziemi Świętej, aby mogli w przyszłości toczyć z niej kampanie i bitwy. Wreszcie, jego skarbiec jest pusty, a Ryszard wie, że Zakon chętnie zapłaci wysoką cenę za takie właśnie miejsce, które on może im zaoferować.

- Czy negocjacje już się toczą?

- Nie, już się zakończyły. Umowa została zawarta.

- Rozumiem. No cóż, zapewne ma to jakiś sens. Czy możesz mi powiedzieć, jaka była cena?

- Tak. Lecz ty nie możesz powiedzieć nikomu innemu. Zgoda?

Andrzej pokiwał głową.

- Sto tysięcy saraceńskich złotych monet. Czterdzieści tysięcy na początku, jako zadatek, i roczne opłaty po dziesięć tysięcy przez sześć lat, kiedy templariusze już się tam osiedlą.

Andrzej gwizdnął cicho.

- Ryszard zrobił dobry interes... Czterdzieści tysięcy złotych monet to godny podziwu dochód z inwestycji, która ma mniej niż trzy miesiące i nic go nie kosztowała. Ile czasu zajmie Zakonowi osiedlenie się na wyspie, jak mówisz?

- Wygląda na to, że niewiele. Są gotowi się przeprowadzić, nie tracąc czasu. Mam natychmiast popłynąć na wyspę, aby znaleźć miejsce na kwaterę i złożyć raport de Sablemu. Wyjeżdżam pojutrze.

- Naprawdę, na Boga? Skąd zaczniesz? Odwiedzisz Famagustę? Jeśli tak, chciałbym, żebyś znalazł grób mojego ojca i zadbał o niego w moim imieniu. Zrobisz to?

- No, kuzynku, nawet nie musisz o to pytać. Oczywiście. Nawet jeśli nie trafię tam podczas moich podróży, i tak tam pojadę. Bądź o to spokojny. A co z tobą? Co ostatnio porabiasz?

Andrzej uśmiechnął się szeroko.

-Wojuję, cóż innego mogę robić? Od kiedy cię znalazłem, straciłem moją wyjątkową pozycję. Dopóki mogłem twierdzić, że jestem oficjalnym poszukiwaczem sir Aleksandra Sinclaira, chodziłem własnymi drogami. Teraz, kiedy już się odnalazłeś i jesteś bezpieczny, znów stałem się zwykłym rycerzem... Teraz jestem zwykłym templariuszem,

odpowiedzialnym za czterdziestoosobowy oddział serwientów z Ande-gawenii. Oznacza *to,* że wolno mi teraz wstawać na modlitwy w nocy, a ponadto jako dowódca oddziału mam prawo do przeprowadzania codziennych patroli sektora terytorium wroga, który jest niedaleko, a miejscami nawet otacza południowo-wschodni róg naszych terenów. Lecz nie mam czasu na nudę. Chłopcy Saladyna atakują nas każdego dnia, chcąc dokonać wyłomu w okopie, i czasem ledwo udaje nam się odeprzeć ich ataki.

Sinclair przechylił głowę.

- Powiedziałeś: chłopcy Saladyna... Tak o nich myślisz? Bez złości?

- Bez złości? Zapewne tak, jeśli w ogóle o nich myślę. Po prostu myślę, że gdzieś tam są, jak muchy i skorpiony, stanowią część tego krajobrazu. Z pewnością nie czuję do nich nienawiści jako do niewiernych czy drapieżnego, żłopiącego krew pomiotu Szatana. Z tego, co sam widziałem, i z tego, co mi powiedziałeś, wnioskuję, że są podobni do nas, choć ich wierzenia różnią się od naszych. Też są ludźmi i mają własne problemy, które moglibyśmy poznać, gdybyśmy tylko je dostrzegli. Dlaczego pytasz?

Alec mruknął i wstał.

- Nie wiem. Może miałem nadzieję, że właśnie tak powiesz. Szczególnie to o braku nienawiści. Tutaj zbyt łatwo jest nienawi dzić i po obu stronach zbyt wielu ludzi to robi. - Zacisnął mocniej pas i przeciągnął się, stając na palcach. -Jaka jest różnica między Jezu

sem a Mahometem, kuzynku, możesz mi powiedzieć?

Saint Clair znów się uśmiechnął.

- Nie, nie mogę, lecz mam przeczucie, że ty mi to powiesz.

- To dla mnie zbyt wielka zagadka. Choć nie jestem tak naprawdę chrześcijaninem, poparłbym Jezusa jako człowieka, ponieważ wydaje mi się, że różnica między nimi dwoma jest zakorzeniona we władzy i sposobie, w jaki szukali jej jako ludzie. Jezus nigdy tego nie robił. Po prostu żył tak, jak uważał za stosowne, a dopiero potem ludzie zrobili z niego Syna Bożego. A Mahomet? Mahomet od początku zajmował się władzą, chciał kontrolować umysły i czyny ludzi w imię Boga. Być może Allah udzielił mu prawdziwej, boskiej inspiracji, lecz tego nie jestem w stanie rozstrzygnąć. Mogę jedynie powiedzieć, że jako obserwator ludzi nie ufam śmiertelnikom twierdzącym, że mają osobisty kontakt z Bogiem, który wymaga od nich, aby powiedzieli innym, co myśleć i jak się zachować. Jest dla mnie pouczające, że żaden z tych ludzi, czy jest sułtanem, emirem, kalifem, papieżem, kardynałem, patriarchą, arcybiskupem czy biskupem, nigdy nie wygląda na ubogiego. Do diabła, wciąż jestem głodny. Uwierzysz?

- To niemożliwe. Jedliśmy ledwie godzinę temu. To podniecenie związane z rychłą wycieczką na Cypr sprawia, że czujesz się głodny.

- Może masz rację, kuzynie, lecz mimo to mógłbym coś przekąsić. Przejdźmy się i rozprostujmy nogi.

Już prawie dotarli do miejsca, z którego wyruszyli, kiedy Alec za-

trzymał się, podał swoją kuszę Andrzejowi, po czym wbił kciuki pod boki, poniżej krawędzi kirysu, i wygiął plecy do tyłu, aż jego łopatki niemal się zetknęły.

- Jutro pierwszy dzień lipca - stęknął, kiedy skończył. - Spodziewam się, że nie będzie to nudny miesiąc i pod moją nieobecność wiele się wydarzy. Prawie odechciewa mi się jechać.

- Wiesz, kiedy wrócisz?

- Nie. Wypełnienie zadania może zająć mi miesiąc. Nie ma powodu do pośpiechu. Lepiej solidnie się przygotować i za pierwszym razem podjąć właściwe decyzje, niż spartaczyć zadanie i patrzeć, jak ktoś inny musi sprzątać po tobie i naprawiać twoje błędy, nieprawdaż?

- Zdecydowanie.

Alec Sinclair spojrzał w niebo, wyciągnął rękę po swoją arbaletę i oparł ją o ramię.

- Dbaj o siebie, kiedy mnie nie będzie, kuzynie, i spróbuj nie dać się zabić. Kiedy tylko wrócę, odszukam cię, i nie chcę cię znaleźć u szpitalników. To nasi rywale, wiesz, i są bardzo zadowoleni z siebie, kiedy którykolwiek z nas musi się oddać pod ich opiekę. Bóg jeden wie, że cieszymy się, iż są z nami, lecz potrafią być czasami irytująco wyniośli. Bądź zdrów, kuzynie.

Mężczyźni objęli się niezdarnie, ponieważ przeszkadzały im zbroje, i udali się każdy w swoją stronę: Sinclair wrócił do kwatery, która sąsiadowała z namiotami de Sablego i templariuszy, a Saint Clair do swojej, znajdującej się w szeregach namiotów jego oddziału.

Ósmego lipca - sześć dni po wyjeździe Sinclaira na Cypr - ośmiu ludzi Andrzeja zostało zabitych w potyczce ze zdeterminowaną bandą saraceńskich żołnierzy. Ludzie ci przez całą noc bezgłośnie wypełniali wąski odcinek okopu grubymi wiązkami długiego, przypominającego patyki sitowia, przywiezionego z bardzo daleka, ponieważ w okolicach Akki nie rosło nic podobnego. Skończyli przed świtem i leżeli za okopem, ukrywając się pod opończami koloru piasku aż do zmiany warty. Wtedy, w najmniej spodziewanym momencie, zaatakowali jak dżinny: wyskoczywszy z ukrycia, zaszarżowali pieszo, całą chmarą. Przekroczyli sklecony przez siebie wąski most, a za nimi spieszyli ich towarzysze, przeprowadzając konie.

Fortel niemal się udał. Zaskoczyliby swoich wrogów całkowicie, gdyby nie dwa szczegóły, które pomieszały im szyki. Młody Turko-pol, jeden z lekkozbrojnych miejscowych rekrutów wytrenowanych do walki z saraceńską jazdą, nie mógł zasnąć, ponieważ dręczyły go skurcze żołądka. Poszedł się przejść w poprzedzających świt ciemnościach, potknął się i padł na kolana tuż obok miejsca, w którym most z sitowia sięgał skraju okopu po jego stronie. Ledwo wierząc własnym oczom, natychmiast podniósł alarm, przyciągając uwagę szpitalników jadących konno na patrol na południe.

Saraceni zaatakowali, kiedy tylko rozległ się alarm, lecz szpitalnicy byli na tyle blisko mostu, że dotarli tam przed nimi i zapobiegli całkowitej penetracji frankońskiego obozu. Mimo to wtargnięcie szybko

rozrosło się do rozmiarów znacznej potyczki, która przyniosła obu stronom duże straty. Saint Clair podążał wraz ze swoim czterdziestoosobowym oddziałem na północ, kiedy szpitalnicy wyruszali na południe, lecz usłyszał narastający zgiełk i zawrócił swoich ludzi, i przypuścił na wroga gwałtowną szarżę. Potem przypomniał sobie, że kiedy przybył na miejsce, naliczył po swojej stronie okopu ponad stu Saracenów. Część z nich jechała konno, lecz piechoty było o wiele więcej, a saraceńscy strzelcy wyborowi dodawali swoje pociski krótkiego zasięgu do gradu strzał i bełtów wystrzeliwanych w stronę Franków z przeciwnej strony okopu.

Saint Clair zobaczył, jak w chwilę po ich przybyciu ginie jego oficer sztabowy, mimo zbroi przebity na wylot ciężkim bełtem, a siła uderzenia odrzuca go w tył. Zanim Andrzej zdążył zareagować, tuż przed nim polegli kolejni dwaj ludzie z jego oddziału: ich konie upadły łbami do przodu, a oni przelecieli nad nimi i uderzyli o ziemię. Ktoś rzucił w jego stronę długą, lekką lancę, którą Andrzej odbił, a potem przeszył długim mieczem rzucającego. Od przodu atakowali go dwaj konni w zielonych szatach męczenników, a ponieważ nie pozostało mu nic innego, wstał w strzemionach i poderwał swojego ogromnego wierzchowca na tylne nogi. Wielkie, podkute stalą kopyta zadawały zabójcze kopniaki drobniejszym wierzchowcom atakujących. Lecz kiedy koń Andrzeja stał dęba, podbiegł do niego pieszy żołnierz i zadał ogromnemu zwierzęciu cios w serce długą włócznią. Koń się przewrócił, a Saint Clair ledwie uniknął zmiażdżenia: wyrwał stopy ze strzemion, odepchnął się zręcznie

jedną ręką od ciężkiego

465

siodła i odskoczył do tyłu, jakby nie miał na sobie ważącej ponad dziewięćdziesiąt funtów kolczugi i zbroi. Kiedy jego pięty uderzyły o ziemię, padł na plecy, wykręcając się gwałtownie na bok, i ledwo udało mu się utrzymać miecz w ręce, kiedy ogromny ciężar martwego ciała jego konia zderzył się z ziemią obok niego.

Odturlał się desperacko, wiedząc, że jego niedoszli zabójcy stoją nad nim, lecz tylko jeden z nich kontynuował atak. Andrzej rąbnął mieczem na oślep i odparował silny cios, od którego zdrętwiało mu ramię, a potem patrzył, jak bułat unosi się ponownie, aby go dobić, kreśląc lśniący łuk. Lecz zanim broń dosięgła szczytu łuku, nastąpił zamazany błysk i odgłos bełta wbijającego się w mięso, a trzymający bułat człowiek zniknął, znajdując męczeńską śmierć, po którą tu przybył.

Saint Clair leżał nieruchomo, dysząc, niemal szlochając, i patrzył w niebo, nie mogąc się ruszyć. Dookoła niego rozbrzmiewała kakofonia bitwy: jęki i stęknięcia, przekleństwa i koszmarne krzyki, które zawsze towarzyszyły szczękowi broni oraz innym odgłosom walki, lecz na razie leżał sam, łapiąc oddech i zastanawiając się, czy da radę wstać, kiedy nadejdzie pora. Napiął mięśnie, uniósł lekko głowę i rozejrzał się, choć widok po prawej stronie zasłaniały mu zwłoki konia. Stęk-nął i usiadł z trudem, a potem wstał chwiejnie, przebierając palcami po rękojeści miecza. U jego stóp leżał saraceński buzdygan; Andrzej podniósł go lewą ręką, ważąc w dłoni, aż poczuł, jak wyważona jest broń - giętka i

sprężysta, lecz wyposażona w przyjemnie ciężką, nabijaną strasznymi ćwiekami głowicę. Wyczuł poruszenie po prawej i odwróciwszy się, ujrzał, biegnących w jego stronę dwóch brodatych wyznawców Allaha. O dziwo widok ten rozradował go. Andrzej nabrał głęboko powietrza i kiedy przygotowywał się na starcie z nimi, poczuł na twarzy uśmiech. Mężczyzna po prawej wygrał wyścig, uniósł bułat wysoko obiema rękami i krzyknął triumfalnie imię Allaha, wymierzając cios w głowę niewiernego, lecz Andrzej zablokował jego klingę, unosząc własną, a potem powalił go buzdyganem trzymanym w drugiej ręce. Potem odwrócił się i opadł na kolano, pozwalając drugiemu mężczyźnie wbiec prosto na jego wyciągnięty miecz i nadziać się na niego. Kiedy poczuł, że ciężar przeciwnika spoczywa już na jego broni, wstał i naparł do przodu, zaciekle przekręcając klingę, a potem wyszar-

pując ją, zanim ciało ofiary zdążyło zamknąć się dookoła oręża i uwięzić je.

Usłyszał za plecami odgłos trąbki i narastający tętent kopyt: nadciągały posiłki, z imionami Ryszarda oraz świętego Jerzego na ustach. Saraceni rzucili się do ucieczki, biegnąc do prowizorycznego mostu, dzięki któremu niemal dokonali wyłomu we frankońskich szykach. Obejrzał się na zwłoki swojego rumaka i pobiegł co sił w nogach, aby chwycić arbaletę i kołczan pełen bełtów z wieńca siodła, lecz zwierzę przygniotło kuszę i Andrzej nie mógł jej wyciągnąć. Kiedy ruszył w stronę okopu, było już po wszystkim. Niedobitki Saracenów wycofały

się poza zasięg nawet najsilniejszych arbalet, a ktoś z czoła formacji szpitalników już podpalał most ogniem greckim. Przyglądając się kłębom lepkiego dymu i płomieniom buchającym z okopu, Saint Clair poczuł nagle niewymowne zmęczenie: strach oraz ożywienie spowodowane bitwą ustąpiły, więc teraz, całkowicie pozbawiony energii i napięcia, miał ochotę położyć się tam, gdzie stał, i odpocząć na piasku. Ruszył jednak na poszukiwania swojego nowego zastępcy, kogo-kolwiek mianowano na to stanowisko po śmierci oficera sztabowego. Znalazł go łatwo; był to człowiek o przezwisku *Le Sanglier,* Dzik, który tak czy owak dostałby awans w pierwszej kolejności. Andrzej wy-znaczył mu zadanie sporządzenia oficjalnej listy oddziału. To wtedy odkrył, że zginęło ośmiu ludzi, a dziesięciu odniosło rany.

Andrzej przyjął ten bilans bez komentarza, a potem poszedł z ponurą miną wybrać nowego wierzchowca spośród pięciu, które przeżyły utratę jeźdźców. Wgramolił się na siodło, zaskoczony przenikliwym bólem w prawym boku i widokiem ciemnych słupów dymu rysujących się na tle nieba daleko na południe od Akki, jakby za morzem. Kazał Dzikowi zebrać innych i przygotować się do wyruszenia na patrol, który mieli odbyć tego dnia, a potem zawrócił konia i pogalopował w stronę grupki angielskich rycerzy spoglądających na dym na horyzoncie.

- Co płonie? - zapytał, podjeżdżając.

Jeden z rycerzy skinął szorstko głową, rozpoznając go, a Andrzejowi przypomniało się, że spotkali się wcześniej w namiocie Ryszarda.

- Wygląda na to, że Hajfa. - Anglik sprawiał wrażenie zupełnie

niezainteresowanego. Wzruszył ramionami. - Nie przychodzi mi do

głowy nic innego. Dym widać po drugiej stronie zatoki, a po drodze nic nie ma, chyba że Saladyn pali na morzu całą swoją flotę.

- Czy atakowaliśmy Hajfę?

- Na Boga, w żadnym wypadku. Mamy dość roboty z obaleniem Akki.

- Kto więc miałby palić Hajfę? To może być tylko Saladyn, lecz dlaczego miałby niszczyć miasto, które trzyma w garści?

Angielski rycerz wydął wargi i wzruszył pogardliwie ramionami.

- Skąd możemy wiedzieć, co chodzi po głowie takiemu człowiekowi? Może chce ustrzec ją przed nami. Spalenie jej z pewnością odniosłoby ten skutek, czyż nie?

- Możesz mieć rację, Deniston - zgodził się Saint Clair. - Akka musi być bliższa upadku, niż nam się wydaje. Saladyn na pewno myśli, że gdy padnie Akka, ruszymy na Hajfę. Leży blisko i jest portem o głębokiej wodzie i bezpiecznych kotwicowiskach, na których nie ma wraków. To oznacza, że musi wiedzieć, iż Akka wkrótce padnie... może dzisiaj, może jutro.

- Och, doprawdy. Skąd mógłby to wiedzieć? Trzymamy to miejsce w większej izolacji niż klasztor cystersów. Nic się tu nie dostaje ani nie wydostaje stąd, nawet informacje... szczególnie informacje. O to właśnie chodzi w oblężeniach.

Saint Clair uśmiechnął się szeroko.

- Powiedz mi, panie Deniston, czy potrafisz pływać?

- Pływać? W wodzie?

-Tak, jak ryba. Arabowie potrafią. Pływacy co noc przypływają i wypływają z Akki. Wierz mi.

- Sam sobie wierz - warknął z obrażoną miną Anglik, zerkając na swoich towarzyszy, aby się upewnić, czy widzą, jak radzi sobie z tym francuskim głupcem. - Nigdy nie słyszałem większej bzdury. Przypływają i wypływają, dobre sobie. Ha!

Saint Clair nie mógł przyznać, że zapewnił go o tym szyicki asasyn, więc wzruszył tylko ramionami, wciąż się uśmiechając, i dodał:

- Wlatują także i wylatują.

- Wlatują? Wlatują?! - Anglik znów zwrócił się do swoich towarzyszy. - Ten człowiek jest szalony.

- Nie ludzie, Deniston, ptaki. Gołębie. Mieszkańcy wysyłają w obu kierunkach gołębie niosące wiadomości. Zapewniano mnie, że

to pobożne, muzułmańskie gołębie, które latają prosto od meczetu do meczetu, od minaretu do minaretu. - Uniósł ostrzegawczo palec.

-Pamiętaj o tym i strzeż się. Żegnaj. - Odwrócił się i spiął konia ostrogami, zanim angielscy rycerze zdążyli wymyślić jakąś odpowiedź.

Podążył prosto do miejsca, w którym czekały na niego niedobitki jego oddziału. Kiedy się zbliżył, Dzik zasalutował mu.

- Wszyscy obecni, panie. Dwudziestu dwóch gotowych do służby. Dziesięcioma zajmują się szpitalnicy. Jeden z nich pewnie umrze,

trzech ma zostać pod ich opieką, a sześciu wróci dziś na służbę, kiedy zostaną opatrzeni.

Andrzej kiwnął głową, myśląc intensywnie. Ściśle rzecz biorąc, jego oddział, zmniejszony o prawie połowę, nie był w stanie przeprowadzić wyznaczonego mu na ten dzień patrolu, ponieważ zasady dotyczące ich liczebności były bardzo wyraźne. Wszystkie konne ekspedycje musiały być na tyle duże, aby zniechęcać potencjalnych napastników. Czterdziestoosobowy oddział działał odstraszająco, a dwudziestoosobowy niekoniecznie.

- Wrócimy do naszych kwater i przegrupujemy się. Ponieśliśmy duże straty i jest nas zbyt mało, abyśmy mogli wyjechać, nie narażając wierzchowców. Zdążyłeś się już chyba zorientować, że są cenniejsze niż my. Każdy stracony koń zmniejsza nasze szanse na zwycięstwo. Zajmij się tym, jeśli łaska, i wyślij do mnie chorążego. Złożę raport u dowództwa i poproszę o uzupełnienie naszych sił. Będę też potrzebował listy zmarłych, choć nie natychmiast, chyba że już jest gotowa.

- Mam ją w głowie, panie, lecz jeszcze nie jest zapisana.

- No dobrze, dopilnuj, żebym otrzymał kopię listy, kiedy będzie już gotowa... zanim pójdziesz na służbę.

Dzik zasalutował, a Andrzej podążył w stronę odległej siedziby polowej dowódców.

Dookoła namiotu templariuszy, w którym znajdowała się tymczasowa siedziba komturii, panował wielki hałas i ruch, a rycerze - nie wszyscy z nich byli templariuszami - biegali tam i z powrotem. Saint

Clair wiedział, że potyczka, w której walczyli jego ludzie, choć okupiona dużymi stratami i zażarta, była pomniejszym starciem. Nie mogła spowodować aż tyle zamieszania. Jakakolwiek była jego przyczyna, musiał poczekać w kolejce, zanim mógł porozmawiać z najstarszym stopniem dowódcą Zakonu na służbie. Człowiek ten pochodził z Poi-

tou i nazywał się Angouleme; wysłuchał raportu Andrzeja i jego prośby o uzupełnienie oddziału, zapisał coś i spojrzał na mówiącego.

— Dosyć ma dzień swojej biedy, jak mówi Pismo Święte. Wygląda na to, że *ty* i szpitalnicy dobrze się spisaliście. Drogo was to kosztowało, lecz słyszałem już, że twoi ludzie zgładzili pięciu na każdego z tych, których straciłeś. Jednak strata połowy oddziału w jednej akcji wystarczy, abyście zasłużyli na odpoczynek przez resztę dnia. Okazuje się, że losy Filipa toczą się dziś niewiele lepiej niż twoje. Idź i każ swoim ludziom odmeldować się, lecz na wszelki wypadek trzymaj ich blisko. Inny oddział przeprowadzi patrol za was.

Andrzej zasalutował i już miał odejść, lecz potem zawahał się i odwrócił.

—Wybacz mi, lecz czy powiedziałeś, że król Filip jest teraz na polu walki?

—Tak, znów uderza w Przeklętą Wieżę. Inżynierowie donieśli, że podkopano się pod nią i powinna paść w każdej chwili, więc rozpoczął kolejną ofensywę, aby odwrócić uwagę wroga. Słyszałem jednak, że ponosi wielkie straty. Następny.

Przed namiotem czekał na Saint Claira chorąży, więc Andrzej wysłał go z powrotem do ich oddziału z wiadomością dla Dzika, że ma zluzować ludzi na resztę dnia. Potem pojechał poszukać miejsca, z którego mógłby obejrzeć francuską szarżę na Przeklętą Wieżę. Okazało się jednak, że przerwano już działania bojowe, mimo - a może właśnie z tego powodu - że zawalił się wielki fragment ściany wieży, szeroki na jakieś trzydzieści stóp, tworząc sterty gruzu, po których gorączkowo roili się obrońcy. Z punktu widzenia Saint Claira wyglądali zupełnie jak kolonia mrówek w poważnie uszkodzonym mrowisku. Patrzył, jak Filip wraca do swojego namiotu, co było widać nawet z odległości ponad mili dzięki jego osobistemu sztandarowi, na którym tak wyraźnie widniały królewskie lilie Francji.

Andrzej, nieco rozczarowany, że przegapił akcję, przebiegł spojrzeniem po rozciągającej się przed nim panoramie, aż jego wzrok spoczął na namiocie Ryszarda, króla Anglii, ozdobionym jego własnym oryginalnym herbem. Król podobno wciąż chorował, cierpiąc z powodu zaognionych czyraków, wypadających włosów, obluźnionych zębów i gnijących dziąseł, lecz rzekomo cały czas był pochłonięty próbami omawiania warunków poddania się garnizonu w Akce. Andrzej po-

ciągnął nosem na samą myśl. W obozie wrzało od sprzecznych plotek, lecz najważniejsza z nich dotyczyła Ryszarda i jego stosunku do tej kapitulacji. Podobno uporczywie odmawiał negocjowania z Saracenami, lecz tylko narzucał swoją wolę: żądał bezwarunkowego poddania się i

natychmiastowego zwrotu wszystkich frankońskich jeńców oraz każdej własności, między innymi Świętego Krzyża, ale też miast i fortec, które chrześcijanie stracili po Hattinie.

Jeśli Ryszard faktycznie zajmował takie stanowisko — a znając go, Andrzej był gotów uwierzyć, że tak - było to czyste szaleństwo, ponieważ Saladyn nie miał możliwości zachowania ani swojej pozycji, ani godności. Sułtan popełniłby polityczne, religijne i społeczne samobójstwo, przystając na tak wygórowane wymagania, i nawet Saint Clair, choć żółtodziób, dostrzegał ich głupotę. Człowiek pokroju Saladyna wolałby umrzeć, niż żyć w hańbie podobnej do tej, którą próbował narzucić mu Ryszard. Warunki króla były nie do przyjęcia.

Kiedy ta myśl przyszła Saint Clairowi do głowy, poczuł, że ma całkowitą rację i że Ryszard dokładnie wie, co zamierza osiągnąć w tej sprawie. Był królem-wojownikiem, światłem nadziei świata chrześcijańskiego, monarchą o lwim sercu, paladynem Anglii i żołnierzem Kościoła rzymskiego — nigdy nie zgodziłby się na wynegocjowany pokój. Osobowość Ryszarda wymagała całkowitego zwycięstwa. Aby zapłacić za wojnę, doprowadził swoje nowe królestwo do bankructwa i zamierzał pochwycić każdy możliwy strzęp chwały, a przyjęcie kapitulacji zastraszonego niewiernego dostarczyłoby mu jej niewiele. Dlatego też robił wszystko, co w jego mocy, aby zmusić sułtana do zaangażowania całych swoich sił w totalną wojnę, której zwycięstwa Ryszard był pewien.

Tyle zatem, jeśli chodzi o honor i zobowiązania Ryszarda wobec jego

poddanych - pomyślał gorzko Andrzej, pewien teraz, że jego diagnoza jest właściwa. Przy oślepiającym świetle królewskiej potrzeby osobistej chwały i uznania bledło znaczenie praw, istnień i oczekiwań jego pobratymców i podopiecznych, a Ryszard miał dostateczną władzę, aby zrobić wszystko, co było konieczne do osiągnięcia własnych celów. Będzie stawiał czoło Saladynowi aż do śmierci ostatniego człowieka po obu stronach.

Kątem oka zauważył, że na tle wysokiego namiotu królewskiego mignęło coś niezwykłego, niemożliwego jednak do rozpoznania z tak

daleka: jakaś jasna plama w kobiecym, żółtym kolorze. Berengaria? A może Joanna? Pomyślał o obu kobietach, przypominając sobie poważne spojrzenie ich oczu, i uśmiechnął się pod nosem, choć nerwowo, zastanawiając się, co pomyślały na temat jego nagłego i niewyjaśnionego wyjazdu z Limassolu.

Przyszło mu do głowy - nie po raz pierwszy - że brak wiadomości od kogokolwiek z obozu Ryszarda jest dziwny. Od tamtego dnia rozmawiał wyłącznie z de Sablem, i to krótko, na ogólne tematy. De Sabie był zdecydowanie zbyt zajęty swoimi licznymi obowiązkami, aby mieć czas na błahą paplaninę o tym, czy jego przyjaciel, król, jest niezadowolony z jednego ze swoich pomniejszych sługusów. Prawdą było też, że od przybycia króla do Zamorza sam Andrzej nie spróbował się z nim skontaktować. Niektórzy mogliby to nazwać zaniedbaniem, lecz cichy głosik w głębi duszy Andrzeja szeptał mu buntowniczo o lojalności i

obowiązkach. Sir Henryk Saint Clair porzucił wszystko, aby przerwać swój zasłużony stan spoczynku i znów zacząć służyć królowi w dalekim kraju, usiłując nauczyć się nowych umiejętności i wypełniania nowych zadań w wieku, w którym większość jego rówieśników już nie żyła. Coś w duszy Andrzeja mówiło mu nieustępliwie, że to na Ryszardzie spoczywa obowiązek osobistego doniesienia o śmierci lojalnego weterana jego synowi. Andrzej wiedział, że zanim to nastąpi, nie skontaktuje się z królem. Postanowienie to zaskoczyło go, ponieważ nie wyartykułował wcześniej tej myśli. Na myśl o kobietach, żonie i siostrze króla, skrzywił się żałośnie - na wpół ze smutkiem, na wpół z uśmiechem - i choć cieszył się, że wyplątał się z całej sytuacji, uczucie to podszyte było żalem.

Pociągnął mocno lejce i popędził konia z powrotem do swojego oddziału, gdzie przez kolejne kilka dni usiłował stłumić niejasne i pogmatwane poczucie winy dotyczące Ryszarda i lojalności za pomocą bezlitosnego musztrowania swoich ludzi.

Lecz cztery dni później - dwunastego lipca - miasto padło i wyglądało na to, że cała sytuacja uległa zmianie. Morale całej armii wzrosło: nagle wszyscy znów poczuli entuzjazm i gorliwie szukali konkretnych zajęć, aby móc potem mówić o tym, jak przyczynili się do upadku Akki. Andrzej nie chciał brać w tym udziału, lecz i tak znalazł się w centrum wydarzeń. Awansowano go na dowódcę specjalnie utworzonego

oddziału liczącego sto koni, którego zadaniem było utrzymanie po-

rządku po kapitulacji. Dzień po poddaniu się Akki obserwował wraz ze swoimi nowymi towarzyszami broni wymarsz pokonanych Arabów z miasta, którego bronili przez tyle miesięcy.

Ewakuacji wroga przyglądał się ogromny tłum: przyszli wszyscy żołnierze frankońskich armii, którzy nie byli tego dnia na służbie. Lecz tych, którzy spodziewali się ujrzeć obdartą, posępną procesję szurających stopami niewiernych, spotkało rozczarowanie. Wrogowie przekroczyli bramy długą kolumną, idąc z wysoko podniesionymi głowami i taką godnością, że ich wygląd odebrał przyglądającym się Frankom jakąkolwiek ochotę na wiwaty czy nawet drwiny. Patrzyli w całkowitej, zabarwionej szacunkiem ciszy, i ani jednemu nie przyszło do głowy obrazić odchodzących przeciwników.

Patrząc na ten wymarsz, Andrzej Saint Clair wiedział, że jego kuzyn Alec byłby dumny, że ci ludzie tak właśnie przyjmują porażkę i nie okazują zwycięzcom żalu czy uległości. Kiedy minął ich ostatni, a za nimi zostali już tylko zakładnicy i więźniowie Ryszarda, oficer zawiadujący oddziałem Andrzeja dał umówiony sygnał, na co jeźdźcy zajęli miejsce za Arabami w dwudziestu pięciu czteroosobowych szeregach. Towarzyszyli Arabom do linii oblężenia, a potem zostawili ich, aby sami podążyli na pustynię czy gdziekolwiek indziej.

- Czy ktoś ma pojęcie, dlaczego siedzimy tu w słońcu jak głupcy?

Pytanie to rozległo się ze strony stojącego przed Andrzejem potrójnego szeregu rycerzy. Andrzej, który siedział na czele własnego oddziału, dwie długości konia przed pierwszym rzędem, wyraźnie je usłyszał, lecz

nie spróbował na nie odpowiedzieć ani nawet się zastanawiać nad odpowiedzią. Koncentrował się na bardziej osobistym problemie. Jakieś stworzenie pełzało pod jego prawym ramieniem, a Andrzej prawie nie mógł znieść tego swędzenia. Nie miał pojęcia, co to jest, wesz czy chrząszcz, i w ogóle go to nie obchodziło. Poświęcał całą uwagę temu, że nie jest w stanie się podrapać, złapać stworzenia czy w jakikolwiek sposób przeszkodzić mu w jego spacerze, ponieważ oddzielone było ono od jego palców kilkoma warstwami śmierdzącego odzienia, barchanową podszewką, kolczugą i kirysem. Andrzej nie kąpał się od pięciu tygodni i sam nie mógł znieść swojego zapachu.

473

Doprowadziło do tego pięć tygodni niekończących się pustynnych patroli, ścisłego racjonowania wody i irytującej nudy spowodowanej gonieniem za widmowymi oddziałami, które atakowały czasami o zmroku i świcie, powodowały straty w ludziach i znikały wśród wydm. Złapanie napastników było niemożliwe, widywano ich rzadko. Ludzie za jego plecami - jego własny Czerwony Oddział - mieli dość tego trybu życia tak samo jak on.

Po długiej chwili ciszy ktoś, kto też stał przed Andrzejem, odpowiedział na to retoryczne pytanie:

- Ponieważ jesteśmy głupcami, bracie. Nie powinieneś być tym zaskoczony. To nasze powołanie, przecież wiesz. Po to właśnie złożyliśmy śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa... aby siedzieć tu w pustynnym słońcu bez grosza przy duszy, gotować się we własnym pocie

i być posłusznymi kaprysom jakiegoś bezlitosnego, obłąkanego drania, którego zadaniem jest wymyślanie sposobów na poddawanie próbie naszych nieśmiertelnych dusz. Dlatego jesteś tu wraz z nami... jesteś templariuszem.

- Milczeć! - usłyszał Andrzej. - Nie będę tolerował takich słów w szeregach. Nie masz wstydu? Pamiętaj, kim jesteś i jakie masz obowiązki. Jeszcze jedno takie słowo od kogokolwiek i każę zamurować winnego na kilka dni, aby mógł przemyśleć obelgi, którymi obrzuca Boga i nasz święty Zakon.

Mówił Etienne de Troyes i nikt ze słuchających nie wątpił, że absolutnie pozbawiony poczucia humoru marszałek spełni swoją groźbę. Dyscyplina i kary wymierzane przez Zakon miały chronić umysłową czystość braci i zapewnić im zbawienie. Były pomyślane jako przeszkody wobec grzeszenia, a ich okrucieństwo miało zniechęcać do krnąbrności. Kara, o której mówił de Troyes, nie była rzadkością: dosłownie zamurowywano nieposłusznych braci w ciasnej, pozbawionej światła przestrzeni, na tydzień lub dłużej. Dostawali tylko miskę wody i rozmyślali nad tym, jak wrócić na swoją pozycję i osiągnąć zbawienie.

Zgromadzeni rycerze znów pogrążyli się w ciszy i bezruchu. Jeden z koni parsknął i zaczął przebierać kopytami, inne wierzchowce poszły w jego ślady. Koń stojący tuż przed Saint Clairem uniósł ogon, a Andrzej przyglądał się obojętnie, jak opada spod niego sterta nawozu i paruje przez chwilę w słońcu. Pochylił się lekko do przodu, aby

spojrzeć w lewo, na odziane w czerń szeregi szpitalników stojących na drugim końcu frankońskiego szyku, i zaczął się zastanawiać, czy wiedzą choć trochę więcej niż jego ludzie na temat tego, dlaczego tu są.

Wyprowadził swój oddział przed świtem na podstawie rozkazu, który nakazywał im wyruszyć, lecz nie podawał ani celu marszu, ani jego przyczyny, co samo w sobie było niezwykłe. Zatrzymali się dopiero po dotarciu do tego odludnego miejsca, gdzie uformowali szyki bojowe. Szpitalnicy zajmowali lewą flankę stojącego nisko na zboczu wzgórza zwanego Tel Ajadida, które wyznaczało wschodnią granicę terenów chrześcijan, a templariusze jak zwykle stali na prawej. Te dwie grupy łączyły różne kontyngenty, tworzące front o szerokości ponad pół mili. Droga do Nazaretu, ciągnąca się na południowy wschód od szyku, była niemal niewidoczna w blasku stojącego w zenicie słońca, a po jej lewej wznosiło się kolejne wzgórze, Tel Keisan. Nie było na nim widać ruchu, lecz templariusze wiedzieli, że był to teren wroga, kontrolowany przez pozornie niewyczerpane zastępy odzianych w czerń afrykańskich Beduinów Saladyna.

Z tyłu rozległ się dźwięk trąbki, a potem tętent kopyt: przybył goniec z wiadomością, że od strony Akki zbliża się król Ryszard wraz z wielkim zastępem żołnierzy. Wszyscy obecni, ponad tysiąc dwustu konnych, odwrócili się w siodłach, aby zobaczyć przybycie Lwiego Serca. Spodziewano się, że wielki zastęp żołnierzy to piechota, która została w Akce.

Było jednak inaczej. Przybyła duża część piechoty, lecz w roli straż-

ników wielkiej kolumny saraceńskich jeńców, którzy związani linami każdy z osobna i z innymi, szli wśród wydm jak wielki wąż. Na czele węża jechał w pełni chwały Ryszard na grzbiecie wspaniałego złocistego ogiera, którego wziął, a właściwie ukradł Izaakowi Komnenowi. Król jak zwykle prezentował się wspaniale: na swą najpiękniejszą, zdobioną złotem zbroję włożył mieniące się karmazynem, złotem i purpurą szaty. Za nim tłoczyła się jego osobista świta, trzydziestu pyszałków i fanfaronów wszelkiego rodzaju. Wśród nich jak zawsze znajdowało się wielu znanych rycerzy i wojowników, których męstwa nie można było podawać w wątpliwość, nie ryzykując utraty zdrowia i życia. Jechali jakieś pięćdziesiąt kroków przed główną grupą straży przedniej, dość daleko, aby ochronić się przed pyłem, poza tym, który sami wzbijali. Za nimi jechał cały oddział straży królewskiej w dwunastoosobo-

wych rzędach, prowadzony przez oddział doboszy, którzy narzucali miarowe, niezbyt forsowne tempo. Dalej szli obstawieni wielką liczbą straży jeńcy o związanych kostkach, tak że mogli się poruszać, szurając nogami, lecz nie byli w stanie stawiać pełnych kroków.

Patrząc na zbliżającą się grupę, Andrzej poczuł w trzewiach coś dziwnego i nieokreślonego; zerknął szybko w stronę stoków Tel Ke-isan, nie wiedząc, co spodziewał się tam ujrzeć, lecz świadom, że czuje się nieswojo. Wzgórze wyglądało jednak na puste, co jeszcze pogłębiło jego niepokój, ponieważ wiedział, że w rzeczywistości jest inaczej: wróg tam był. Po prostu nie ujawnił się jeszcze. Andrzej odwrócił się i spojrzał na

nadciągającą kolumnę, usiłując oszacować liczbę jeńców. W pierwszym szeregu szło dziesięciu ludzi i po dwóch strażników z każdej strony, czyli czternaście osób, a za pierwszym rzędem naliczył kolejne dziesięć, zanim ciągły ruch i kłęby dymu udaremniły jego wysiłki. Wszystko spowijał gęsty tuman, wzbijany przez wiele szurających stóp, a idące szeregi niknęły w nieprzezroczystej chmurze, dopóki nie dało się ich dojrzeć. Złe przeczucia Saint Claira przybrały na sile.

Odwrócił głowę i odezwał się do rycerza siedzącego po jego prawej, dowódcy Błękitnego Oddziału, małomównego, ponurego Anglika, którego prawdziwego imienia Andrzej nie znał, ponieważ wszyscy zwracali się do niego - nawet w rozmowie z nim samym - Nos. Przezwisko to było uzasadnione, ponieważ kiedy tylko zadawano mu pytanie, nawet po francusku, najczęściej odpowiadał po angielsku: “Mam to w nosie". W dodatku jego własny nos był widowiskowo zniekształcony: wiele lat wcześniej został połamany i pokrzywiony strasznym ciosem pałką, który powinien był roztrzaskać mu czaszkę, lecz chybił.

- Co się dzieje, Nosie? I nie mów, że masz to w nosie. Od pięciu tygodni bez przerwy jestem na patrolu i wróciłem dopiero wczoraj wieczorem, więc nie mam pojęcia, co się dzieje. Dlaczego przyprowadzili jeńców aż tutaj? Ryszard musi mieć w tym jakiś cel. Słyszałeś jakieś plotki? Jakiekolwiek?

Nos spojrzał na niego i kiwnął głową.

-To jeńcy z Akki... Jest ich prawie trzy tysiące, pojmano ich po

upadku miasta i zatrzymano jako zakładników pod uwolnienie naszych ludzi i zwrot Świętego Krzyża. - Wzruszył ramionami i rozłożył

ręce. - To pewnie o to chodzi. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Saladyn był ostatnio bardzo cicho, nie wysilał się zbytnio, żeby spełnić swoje obietnice. Lecz teraz na pewno zmierza na spotkanie z nami, żeby wymienić więźniów.

- Dlaczego zatem nie ma po nim śladu? Dlaczego jesteśmy tu sami?

- Mam to w nosie. Lepiej zapytaj o to Ryszarda. Zauważyłem, że królowie i sułtani chadzają własnymi drogami. Nie pytają mnie o rady, a ja ich im nie udzielam.

Przez kolejne pół godziny Andrzej patrzył, jak kolumna podąża w stronę przednich szeregów, i zwrócił uwagę na to, że nawet weterani dwóch zakonów rycerskich dołączyli do ogólnego chóru uznania i entuzjazmu, który witał angielskiego króla. Ryszard, po którym zupełnie nie było widać śladów niedawnych zmagań ze szkorbutem, uśmiechał się i machał do swoich żołnierzy. Kiedy dotarł na miejsce, wyciągnął swój zdobny miecz o złotej rękojeści i potrząsnął nim nad głową, a szereg stojący przed nim rozstąpił się, aby przepuścić jego i jego drużynę. Widok ten wzbudził poruszenie wśród oddziałów tworzących linię bojową, ponieważ więźniowie, choć wciąż pod strażą, teoretycznie byli już na wolności i pod wodzą Ryszarda zbliżali się do terenów wroga. Lecz nic się nie stało. Mimo pojawienia się więźniów na stokach Tel Keisan nie zaszła żadna widoczna zmiana, a Andrzej złapał się na tym,

że zastanawia się, jak daleko wolno będzie pójść więźniom, zanim zostaną zatrzymani.

Odpowiedź na jego niewypowiedziane pytanie nastąpiła niemal natychmiast. Ryszard - który znajdował się teraz około stu kroków od Andrzeja - uniósł wysoko rękę i zatoczył nią krąg w powietrzu, a potem powiódł swoją drużynę na bok, aby zrobić miejsce oddziałom idących za jego plecami strażników na wypełnienie najwidoczniej ustalonych wcześniej rozkazów. Strażnicy zatrzymali się na płaskiej połaci ziemi mniej więcej w pół drogi między stojącymi naprzeciw siebie wzgórzami, po czym się rozdzielili i odwrócili, otaczając więźniów. Tymczasem inni strażnicy zaczęli ustawiać jeńców w szyki i bloki, zaganiając ich i popychając, a potem licząc głowy, aż przedni szereg liczył stu ludzi, a było ich dziesięć, co dawało razem tysiąc ludzi. Każdy z nich oddalony był od swojego sąsiada o dwa kroki z każdej strony. Słońce prażyło straszliwie, nigdzie nie było widać ani śladu

schronienia, a zebrana armia czekała na stojąco lub siedząco i pociła się, uważając, aby nie dotknąć gołą skórą zbroi. Tu i tam wśród frankońskich szeregów pojedynczy ludzie chwiali się i padali, pokonani dręczącym żarem.

Saint Clair pomyślał, że gotowy blok jeńców robi wrażenie, lecz wciąż się zastanawiał, dlaczego Ryszard zadawał sobie tyle trudu, ponieważ w reszcie kolumny wciąż znajdowało się ponad dwa razy więcej ludzi. Cisza i bezruch panowały do chwili, kiedy dowódcy zaczęli

zaganiać kolejnych więźniów do stworzenia drugiego bloku, również liczącego tysiąc ludzi. Andrzej usłyszał, że za nim ktoś z jego własnego oddziału zaczyna coś mamrotać, lecz odwrócił się w siodle i warknął do żołnierza, że ma się zamknąć, uważając, żeby nie przyglądać się zbyt uważnie i nie zauważyć tak naprawdę, kto to był. Potem nikt się już nie odezwał, a czas wlókł się powoli, z każdą chwilą zwiększając ich cierpienie. Andrzej uświadomił sobie, że naprzeciwko nie widać było ani śladu Saladyna czy innych Saracenów.

Jakiś czas później, kiedy wszystkich więźniów ustawiono w formacje, dowódca wysłał wiadomość do króla. Ryszard kiwnął głową i wyprostował się w siodle. Uniósł wysoko swój długi, pięknie ubarwiony miecz i wywinął nim, nadając kolejny sygnał. Oddział doboszy wystąpił natychmiast do przodu i zaczął wybijać miarowy rytm. Kiedy rytm przybierał na sile, poczwórne kolumny kuszników podbiegły z tyłu i zajęły pozycję za więźniami. Andrzej pracował ze swoim ojcem nad składem formacji, wiedział więc, że w każdej kolumnie jest dwustu kuszników. Kiedy zaczął rozumieć, co może się stać za chwilę, poczuł, że sztywnieją mu ramiona, lecz nawet kiedy zobaczył, jak pierwsze bełty wbijają się bezgłośnie w plecy związanych i bezbronnych jeńców, nie dowierzał własnym oczom.

Więźniowie padali całymi grupami jak zboże pod kosą żniwiarza. Po pierwszych kilku chwilach napięcia i niepewności więźniowie z przednich rzędów uświadomili sobie, co się dzieje za nimi. Panika wybuchła i rozprzestrzeniła się jak ogień przy silnym wietrze, a

więźniowie próbowali uciekać. Było to jednak niemożliwe, ponieważ mieli skute nogi, więc mogli jedynie zatoczyć się niezdarnie i upaść, wznosząc krzykiem prośby o pomoc do Allaha.

Na lewo od masakry siedział na koniu otoczony świtą Ryszard Lwie Serce i przyglądał się obojętnym wzrokiem, jakby patrzył na okadza-

nie kolonii pszczół przed zebraniem miodu. Potem któryś z templariuszy, stojący po prawej Saint Claira i przyglądający się rozlewowi krwi, zaczął miarowo uderzać mieczem o tarczę, dwa razy rękojeścią, a potem raz płazem miecza, tworząc potrójny rytm towarzyszący skandowanym przez niego słowom: “Za nasz Krzyż... Za nasz Krzyż... Za nasz Krzyż..." Sąsiedzi szybko zaczęli naśladować monotonną intonację, aż można było odnieść wrażenie, że podjęli ją wszyscy templariusze, choć prawda była inna. Tego dnia Andrzej Saint Clair nie był jedynym templariuszem, którego twarz spochmurniała z konsternacji i niedowierzania, lecz stanowili oni mniejszość. Kiedy inkantacja stała się w końcu tak głośna, że zrozumiał ją przyglądający się król, Ryszard znów uniósł miecz wysoko, tym razem trzymając go za klingę: złota rękojeść stała się symbolem Krzyża czczonego przez chrześcijańskie szeregi, a monotonne skandowanie stało się jeszcze głośniejsze, kiedy zabijano ostatnich muzułmańskich jeńców.

Kiedy już było po wszystkim i ostatni jeniec nie żył, Ryszard znów dał sygnał, a kusznicy przegrupowali się i potruchtali z powrotem na swoje pozycje. Potem cała armia odwróciła się i wróciła do Akki,

pozostawiając za sobą dość ludzkich zwłok, aby wykarmić wszystkie sępy w promieniu wielu mil. Andrzej jechał z armią, nie rozglądając się i nie próbując z nikim rozmawiać, na wskroś przerażony nie tylko ogromem grzechu, którego był świadkiem, lecz też tym, że popełnił go ten sam człowiek, który kilka lat wcześniej zareagował z pamiętną zgrozą i oburzeniem na wieść, że Saladyn zamordował stu więźniów po saraceńskim zwycięstwie pod Hattinem. Lecz kiedy z każdej strony zaczęły rozlegać się odgłosy rozradowania, Andrzej nie mógł dłużej ignorować tego, co działo się dookoła. Patrzył martwym wzrokiem na rozsądnych, poważnych rycerzy, którzy zataczali się jak pijacy, pogrążeni w euforii spowodowanej zabiciem tylu niewiernych na chwałę Boga.

- Dwa tysiące siedmiuset mężczyzn, Alec. Tylu ich było... Dwa tysiące siedmiuset... Prawdę mówiąc, nawet więcej... Zarżnięto ich jak zwierzęta i zostawiono tam, aby puchli i gnili w pustynnym słońcu. - Hmm. - Twarz Aleca Sinclaira i jego głos były pozbawione wyrazu. - No cóż, jak już ich zarżnięto, nie można zostawić ich tu nigdzie

indziej, kuzynie, na pewno nie w ciągu dnia. Tutaj nie ma nic poza pustynnym słońcem, w którym puchnie się i gnije. Nie próbuję lekceważyć tego, co mówisz. Po prostu zdrowy umysł nie potrafi przyjąć takich potworności... Co robiłeś, kiedy to się działo?

- Nic. Nie zrobiłem nic. Byłem... Nie wiem, jaki byłem ani nawet co myślałem. Byłem odrętwiały, przerażony, nie dowierzałem. Lecz ze

wstydem przyznaję, że nie zrobiłem nic, aby to powstrzymać.
Sinclair wykrzywił twarz w czymś, co przypominało gorzki uśmiech.
- Co mówisz, kuzynie? Bałeś się wyjść z szeregu i potępić króla Anglii za to, że jest rzeźnikiem, tylko dlatego że otaczało go kilka ty sięcy jego fanatycznych żołnierzy, którzy z wielką uciechą mordowali tysiące innych? No, no, człowieku, to straszne.
Siedzieli przy pustym palenisku o kilkanaście kroków od namiotu Andrzeja. Miejsce to nie dawało im ani trochę prywatności, a dookoła bez przerwy kręcili się rycerze i bracia służebni, załatwiając najróżniej-sze sprawy.
- Kiedy wczoraj wieczorem zszedłem ze statku z Cypru, była to pierwsza rzecz, o której usłyszałem, a ponieważ statek natychmiast ruszył z powrotem, pojutrze wiadomość ta dotrze na Cypr. Słyszałem, jak biskup Bayonne instruuje kapitana statku na temat szerzenia tej wspaniałej wieści po powrocie na wyspę.
- Co powiedział?
- Że dokonując egzekucji więźniów trzymanych jako zakładników, Ryszard odniósł wielkie moralne zwycięstwo nad Saladynem. Że pokazał niewiernemu jego miejsce, a także wymierzył mu surową i słuszną karę za próbę złamania obietnicy dotyczącej zwrotu Świętego Krzyża. Wiem też, że wszyscy, którzy słuchali biskupa, uważali, że było to wspaniałe zwycięstwo i bardzo potrzebna lekcja moralności.
- To było morderstwo, Alec... morderstwo na niewyobrażalną skalę. Jeśli faktycznie istnieje piekło pełne ognia i siarki, jak wierzą chrze-

ścijanie, Ryszard Lwie Serce zapewnił sobie wczoraj wyjątkowe miejsce w jego głębinach, ponieważ żadna chrześcijańska doktryna, nieważne jak zniekształcona chrześcijańską logiką, nie mogłaby usprawiedliwić tego, co zrobił. On, który publicznie i pobożnie przysięgał na miłosiernego Jezusa zwrócić Ziemię Świętą ludowi Zbawiciela.

480

Alec Sinclair kiwnął głową.

- Czyżby twój pan lenny nie był tak szlachetny, jak chce, żeby uważano?

-Nie, nie jest...

- Mamy teraz do omówienia inne ważne sprawy, lecz nie tutaj. Dookoła jest zbyt dużo ciekawskich uszu. Weź swoją arbaletę i coś, do czego będziesz mógł strzelać. Znajdziemy sobie miejsce, w którym będziemy mogli poćwiczyć i nikt nas nie podsłucha.

Jakiś czas później, pół mili od zatłoczonego obozu, Andrzej wbił w ziemię u podnóża wydmy grot długiej włóczni. W odległości stopy od końca włóczni przywiązał w poprzek drzewca swój sztylet i przykrył to starą derką, aż całość przypominała rozmiarem i kształtem wysokiego, chudego mężczyznę. Wrażenia dopełniał zardzewiały, rozcięty hełm nasadzony na zakończenie włóczni. Kiedy Andrzej był już zadowolony z wyglądu swojego celu i pewien, że z oddali da się rozpoznać jego przeznaczenie, wsiadł z powrotem na konia i odjechał wraz z Sinclairem na odległość dobrych stu dwudziestu kroków. Zsiedli z koni, rozsiodłali je i założyli im torby z obrokiem. Dopiero zatroszczywszy się o swoje

wierzchowce, sięgnęli po kusze i podeszli do linii strzału, którą Alec wyznaczył piętą na piasku.

Tak naprawdę nie wzięli ze sobą arbalet, z tego prostego powodu, że broń ta była zbyt potężna na swobodne ćwiczenia, ponieważ bełt wystrzelony z tak niewielkiej odległości zniknąłby w piasku daleko za celem i przepadłby. Zamiast nich wzięli lżejsze kusze, których użycie wymagało mniej siły, a więcej umiejętności. Andrzej wystrzelił pierwszy, przyglądając się krytycznie trajektorii bełtu, a kiedy nie doleciał on do celu, ustawił się w nieco innej pozycji i strzelił ponownie. Mruknął z satysfakcją, kiedy zobaczył, że strzała trafia tym razem w cel i odbija się od drzewca włóczni.

Jego kuzyn uznał strzał, po czym zajął pozycję i zrobił to samo, poza tym że jego druga strzała odbiła się w lewo w przeciwieństwie do strzały Andrzeja.

- No dobrze — powiedział Andrzej, trzymając broń pod pachą — ustaliliśmy sytuację. Obaj trafiliśmy do celu i zdaje się, że nikt nas nie obserwuje, a nawet jeśli tak jest, nikt nie mógłby podejść na tyle blisko, aby nas podsłuchać. Czy możemy teraz porozmawiać?

- Możemy.

Sinclair odwrócił się ze spuszczoną głową i podszedł do swojego siodła, leżącego na zboczu małego wzgórka piasku. Postawił obutą stopę na tylnym łęku siodła, położył strzemię kuszy na palcach stopy i wsparł skrzyżowane ręce na kolbie. Andrzej poszedł cicho w ślady kuzyna,

przyglądając się mu jedynie i czekając, ponieważ wiedział, że jego kolejne słowa nie będą błahe ani nieprzemyślane.

-Wyczułem... - Alec przerwał, ważąc słowa. - Wyczułem dzisiaj w tobie odmianę, kuzynie. Mam wrażenie, że od dzisiaj coś w tobie jest inne niż wcześniej, lub może ściślej, czegoś jest w tobie więcej niż wcześniej.

Andrzej czekał w milczeniu. Widział, że Alec ma problem z wyrażeniem myśli, ponieważ wysławiał się o wiele dokładniej i staranniej niż zwykle.

- Być może jestem w Zamorzu już zbyt długo - ciągnął Alec po chwili namysłu. - Przyzwyczaiłem się do samotnego, pustelniczego życia z dala od innych, od chrześcijan... jeśli wiesz, co chcę powiedzieć... i modlenia się tak, jak mnie nauczono. W rezultacie oczywiście nie zetknąłem się ze zmianami, które każdy, kto przybył z tobą zza morza, zdaje się uważać za powszechne. Nie z tymi zmianami, które można wskazać palcem i jasno zidentyfikować. Chyba tak naprawdę mówię raczej o moralnych różnicach, zmianach w postrzeganiu i akceptowaniu świata.Teraz, kiedy jestem już ich świadom, widzę, że większość z nich musiała zajść po moim wyjeździe ze Szkocji, a na pewno od kiedy opuściłem świat chrześcijański, aby tu przybyć. Sądzę, że to przede wszystkim zmiany w nastawieniu do świata i postrzeganiu go: ludzie inaczej patrzą na świat i inaczej go widzą. - Znów przerwał i potrząsnął głową. - Najwyraźniej nie masz pojęcia, o czym gadam, i nie dziwię ci się. - Westchnął, ściskając palcami grzbiet nosa. - Spróbuję inaczej. Mówię o prawdach, których

nauczył nas po wyniesieniu Zakon Syjonu, prawdach niezmienionych od czasu, kiedy nasi przodkowie uciekli z Jerozolimy ponad tysiąc sto lat temu przed gniewem Rzymu i fałszywą, bezbożną prawdą, którą chcieli im narzucić Rzymianie. I oto wróciliśmy, ty i ja, do naszej prastarej ojczyzny, i wciąż radzimy sobie z gniewem Rzymu i nową rzymską wersją prawdy. Jak i reszta braci przysięgliśmy, że będziemy robić pewne rzeczy, zachowywać pewne zwyczaje i przestrzegać pewnych prastarych praw, które umożliwią nam wypełnianie naszych obowiązków i zadań z honorem. Te

przysięgi, prawa i obietnice nie zmieniły się od najwcześniejszych dni naszego Zakonu. Lecz popatrz na nasz rzekomy wzór, Kościół katolicki. Tam nic nie jest niezmienne, Andrzeju. Absolutnie nic. Wszystko, każdy obowiązek, każde prawo, każdy element ich kredo, jest zmienne i możliwe do negocjowania zgodnie z wolą tego, kto akurat dzierży władzę. Wystarczy spojrzeć dziewięćdziesiąt lat wstecz, na początki Zakonu Świątyni. Do tamtej chwili przez tysiąc lat sama myśl o księżach i mnichach zabijających innych ludzi była rzeczą wyklętą. Lecz potem... i trzeba przyznać, że stało się tak dzięki sugestii naszego własnego bractwa... księża dostrzegli sposób na wprowadzenie w życie wielkiej zmiany, oczywiście z ogromną korzyścią dla nich, którą dało się osiągnąć za pomocą jedynie drobnego przewartościowania priorytetów i przemieszczenia pewnych kryteriów, aby podporządkowały się one woli Boga zinterpretowanej przez Jego księży. Wydaje mi się oczywiste, że

nic w Kościele katolickim nie jest pewne... Czy nadążasz już za mną?

Saint Clair kiwnął głową.

-Tak, bez problemu, lecz nie mam pojęcia, gdzie mnie prowadzisz.

Po poważnej twarzy Sinclaira przemknął lekki uśmiech.

- Ja też nie mam pojęcia, lecz myślę, iż nadszedł czas, abyśmy obaj znaleźli sobie nowe miejsce. Sposób, w jaki opisałeś swoją pełną od razy reakcję na to, jak Ryszard postąpił z muzułmańskimi jeńcami, sprawił, że ujrzałem wszystko wyraźnie.

Saint Clair odpowiedział cichym i spokojnym głosem:

- Odraza to zbyt słabe słowo na opisanie tego, co czułem. Żadne słowa nie mogłyby wyrazić nawet części tego, co chcę powiedzieć. Ta świadomość jest we mnie i wiem, że kiedyś znajdzie ujście, oczyszczając mnie i rozgrzeszając. Taką przynajmniej mam nadzieję. Lecz niech między nami nie będzie żadnych nieporozumień ani kłamstw. Ryszard nie postąpił w żaden sposób ze swoimi muzułmańskimi jeńcami. On wyciął ich w pień na poczekaniu, a ich krew jeszcze nie zakrzepła w miejscu mordu. Zabił tysiące ludzi tylko po to, aby wyładować swój gniew i pokazać Saladynowi, że stracił do niego cierpliwość.

- Jest twoim panem lennym, kuzynie.

- Nie, nie jest nim. Stracił zwierzchność w chwili, kiedy zgodnie z jego własnym planem zostałem templariuszem. Wiesz to, ponieważ

sam musiałeś opuścić swojego pana lennego z tego samego powodu. To Ryszard wpadł na pomysł, abym wstąpił do Zakonu, a kiedy to

sugerował, wiedział, że w efekcie przestanę mu służyć i nie będę mu winien wierności. I tak się stało: Ryszard Lwie Serce nie może już niczego ode mnie wymagać. Lecz zachował się dwulicowo, nawet kiedy nakłaniał mojego ojca, aby przyłączył się do jego wielkiego przedsięwzięcia... i to nie dlatego, że go potrzebował. Sir Henryk Saint Clair nie miał żadnych wielkich, niebywałych umiejętności, których Ryszard nie mógłby znaleźć gdzie indziej. Nie, prawda jest taka, że Ryszardowi przyszło do głowy, lub ktoś poddał mu myśl, że sir Henryk Saint Clair powinien iść z nim na wojnę. Dzięki temu nie musiałby się martwić, że ulubiony zausznik jego ojca, Anglik William Marshall, zostanie mu narzucony jako marszałek polny. A kiedy ta myśl pojawiła się już w jego głowie, stała się jego wolą, a mój ojciec nie był w stanie się sprzeciwić...

Sinclair musiał zauważyć zmianę w jego wyrazie twarzy.

- Co? O co chodzi?

Andrzej uniósł dłoń, aby powstrzymać pytania.

- Zrozumiałem po prostu, że kiedy Ryszard przybył wraz z de Sablem do domu mojego ojca, aby namówić go na towarzyszenie mu, zdążył już obrać sposób działania. Robert de Sabie był już wyznaczony na wielkiego mistrza Zakonu, a Ryszard o tym wiedział. Mogłoby się tak naprawdę okazać, że w jakiś sposób otrzymał tę nominację dzięki Ryszardowi. Ani trochę by mnie to nie zaskoczyło. Lecz nawet gdyby tak było... Jeśli Ryszard wiedział, że jego przyjaciel Robert ma zostać wielkim mistrzem, musiał też pomyśleć, zgodnie ze swoją naturą, że będzie w stanie go kontrolować, wykorzystując jego wdzięczność

i poczucie obowiązku... A to z kolei znaczyłoby, że musiał pomyśleć, iż cały Zakon trafi mniej lub bardziej bezwiednie w jego ręce. Jeśli tak, bardzo się przeliczył, ponieważ Robert de Sabie nie da się nacią gnąć nikomu, czy mowa o papieżu, królu czy cesarzu. Jest wielkim mistrzem Zakonu niecałe trzy miesiące i już wyraźnie widać, że jest całkiem niezależny. Lecz należy także do naszego prastarego bractwa, jest lojalny, szczery i całkowicie godny zaufania, a tego Ryszard nigdy nawet się nie domyśli. Nigdy nie będzie wiedział, komu tak naprawdę winien jest lojalność jego drogi przyjaciel. Lecz nam to w żaden spo sób nie pomoże. - Usiadł na leżącym u jego stóp siodle. - A zatem -

powiedział, podnosząc oczy na Sinclaira - dokąd teraz pójdziemy, ty i ja?

Alec Sinclair położył kuszę na ziemi i usiadł na własnym siodle.

- Nie mam pojęcia, więc będę wdzięczny za jakiekolwiek propo- zycje.

- Hmm... No cóż, mówię za siebie, ale nie mam ochoty zbliżać się do Ryszarda i jego armii. Być może mógłbym na jakiś czas odsunąć się od centrum wydarzeń, lecz wątpię, czy nawet to mnie zadowoli. Tak naprawdę chciałbym być za morzem, w moim domu w Poitou, lecz to oczywiście niemożliwe. Mam więc zamiar rzucić się w wir obowiązków tutaj i służyć Świątyni jakkolwiek, jak uzna to za stosowne.

- A jeśli znów zaczniemy walczyć? Co wtedy zrobisz?

Andrzej spojrzał zaskoczony.

- Będę walczył. Co innego miałbym robić?

- Nie widzisz w tym sprzeczności?

- W walce? Jak miałbym widzieć w tym sprzeczność? Jestem ryce
rzem. Całe życie uczyłem się walczyć, jak i ty.

-Tak, możliwe, kuzynie, lecz ja miałem dziesięć lat więcej, aby
rozważyć pewne prawdy.

- Jakie prawdy?

Alec Sinclair uśmiechnął się drwiąco.

- Po prostu wydaje mi się dziwne, że w jednej chwili zabicie trzech
tysięcy muzułmanów wzbudza w tobie słuszny gniew, lecz zaraz potem
beztrosko mówisz o zabijaniu kolejnych. Dla mnie to sprzeczność.

- Nie, Alec. Wczorajsze wydarzenie było potworne, było to zwykłe
morderstwo. Ofiary związano linami i zabito. Ja natomiast mówię o
czystej walce twarzą w twarz.

- W najlepszym razie zdarza się niezbyt często. Częściej toczy się ją z
daleka, za pomocą takich rzeczy. - Alec wskazał głową kusze, które ze
sobą przynieśli, a Andrzej wzruszył ramionami.

- Może i tak, lecz obie strony mają szansę na zwycięstwo i ujście z
życiem, nawet jeśli nie w pełni zdrowia.

- A mimo to wielu ginie, aby potem puchnąć i gnić w pustynnym
słońcu...

Saint Clair zmrużył oczy.

- Kpisz ze mnie. Dlaczego?

- Wcale nie kpię z ciebie, kuzynie. Kwestionuję jedynie to, w co,

zdaje się, wierzysz, ponieważ ja wierzę, że w głębi duszy wcale w to nie wierzysz.

Andrzej wycelował palec w twarz kuzyna.

- Nawet w twojej porośniętej lasami ojczyźnie to byłoby niezro zumiałe i pogmatwane. - Sięgnął za siebie po juki i wyciągnął z nich pakunek. - Stepówka - powiedział. - Bardzo podobna do naszej par- dwy, choć jeszcze mniejsza. Wczoraj wieczorem przekupiłem kucha rza i nabyłem cztery za horrendalną cenę. Gdybym wiedział, że dziś tu będziesz, spróbowałbym kupić osiem. Masz, skosztuj. Jest nawet trochę soli w tym jedwabnym zawiniątku.

Przez chwilę jedli w pełnej zadowolenia ciszy, aż Alec zapytał:

- Co sądzisz na temat Filipa Augusta? Czy kiedykolwiek zmyje z siebie hańbę rezygnacji z walki?

Andrzej potrząsnął głową.

- Filip nie będzie uważał tego, jak postąpił, za hańbę, a nikt tego nie zakwestionuje. Wstał z łoża i dzielnie walczył przeciw Przeklę tej Wieży, aby obalić Akkę, co przyjęto z uznaniem, a kilka dni po jego ostatnim wysiłku Akka padła. Od tego momentu mógł zgodnie z prawdą twierdzić, że jego atak się udał, a jego zadanie było zakoń czone. Może dowieść, że to Ryszard spowodował problemy sojuszu, przechwytując łupy z Akki... w tym przejęte ziemie... i odmawiając dzielenia się nimi z kimkolwiek, jakby to on był odpowiedzialny za dwuletnie oblężenie i ostateczny upadek Akki. Obraził nie tylko

Filipa, ale nawet arcyksięcia Austrii, ostatniego i najpotężniejszego wasala Barbarossy w Ziemi Świętej. Nie wspominając nawet o tym, że zraził do siebie całą szlachtę Zamorza: jej ziemie skonfiskowano w następstwie bitwy pod Hattinem i odzyskała je tylko po to, aby znów zajął je ten pyszałek z Anglii. Filip będzie utrzymywał, że aro gancja i chciwość Ryszarda spowodowały, iż dalsza obecność Francji w Zamorzu stała się niemożliwa do utrzymania, szczególnie biorąc pod uwagę przedłużającą się i szeroko omawianą chorobę Filipa, w wyniku której stracił włosy i zęby. Weź pod uwagę, że tylko on odpłynął, niemal sam. Nie zebrał się po prostu i nie uciekł. Zostawił swoją armię, aby nadal walczyła pod wodzą księcia Burgundii, i nikt nie może się uskarżać, że źle wybrał zastępcę... Nie, Filip będzie trak towany jak bohater przez każdego, kto usłyszy o jego wyczynach, nie mając wątpliwej przyjemności spotkania czy obserwowania go.

Sinclair kiwnął głową w zamyśleniu.

- A rzeczywista przyczyna? Dlaczego naprawdę wyjechał, Andrze- ju? Chcę znać twoją opinię.

- Z powodu chciwości i polityki. Sądzę, że zaczął planować swój wyjazd w dniu, w którym książę Flandrii zginął pod murami Akki na początku czerwca.

- Książę Flandrii? Czy masz na myśli Jakuba d'Avesnes? Czy tak się nazywał?

- Nie, d'Avesnes to rycerz z Hainaut, jeden z wasali księcia. On żyje i

ma się dobrze. Chodziło mi o samego księcia Flandrii... chyba nigdy nie słyszałem jego imienia, a jeśli tak, to zapomniałem. Cieszył się świetną reputacją, był niesamowicie silny i ujmujący, a ci, którzy go raz spotkali, zapamiętali go na zawsze.

- Co miał wspólnego z Filipem, poza tym że byli sąsiadami i sprzymierzeńcami?

- Z pozoru nic, lecz jego niespodziewana śmierć nabiera ogromnego znaczenia dla Filipa, kiedy się pamięta, że książę zmarł bez dziedzica. Wśród jego ziem znajdują się Artois i Vermandois, a tam, skąd pochodzę, ogólnie wiadomo, że Filip pragnie tych terytoriów oraz także samej Flandrii wraz z Alzacją, także należących do księcia, od chwili, kiedy prawie dwadzieścia lat temu zasiadł na tronie Francji. To, że wszystkie te ziemie były pozbawione księcia i stanowiły przedmiot sporu, podczas gdy on tkwił tutaj, musiało go bardzo dręczyć. Dlatego też sądzę, że zaczął przygotowywać się do powrotu w chwili, kiedy zabito księcia... między innymi przeprowadzając swój bohaterski, bardzo chwalony atak na Przeklętą Wieżę. Moim zdaniem zaplanował i przeprowadził całą sprawę na tyle dobrze, aby przybyć do domu w tym samym czasie co wieści o nieszczęśliwej śmierci księcia, a francuska Korona szybko zajmie księstwo Flandrii i zaprowadzi porządek na północnej granicy Francji. Filip może i nie jest najwspanialszym żołnierzem świata, lecz zalicza się do najsprawniejszych władców.

A skoro już o tym mowa, nawet nie zapytałem cię o twoje obowiązki na Cyprze. Wiązały się z zarządzaniem, czyż nie?

- Tak, w pewnej mierze. Miałem wyszukać odpowiednią siedzi
bę dla ludzi, których wyślemy tam, aby rozpoczęli nasze działania na
wyspie.
487
- Zakładam, że kiedy mówisz: nasze, masz na myśli Zakon Świąty-
ni... czy bractwo bierze w tym udział?
- O, nie - zaprzeczył stanowczo Sinclair. - De Sabie i ja jesteśmy na
razie jedynymi zaangażowanymi członkami bractwa i nie sądzę, aby
miało się to zmienić.
- Czy znalazłeś odpowiednie miejsce?
- Tak, oczywiście w jednym z zamków Komnena, leżącym blisko
Nikozji. Wczoraj popłynęła tam pierwsza grupa zasiedlająca, złożona z
dwudziestu rycerzy i kompanii serwientów. Minęliśmy się z nimi na
morzu, lecz nie widzieliśmy ich. Może i dobrze.
- Dlaczego?
- Ponieważ już zaczęły się spory, a ja nie mam ochoty brać w nich
udziału. De Sabie też nie, lecz nie ma wyboru. Jest wielkim mistrzem i to
on umożliwił tę sprzedaż dzięki swojej przyjaźni z Ryszardem. Lecz
kapitularz udzielił mu ścisłych instrukcji co do następnych kroków. Nie
powiedzieli mu dokładnie, co ma robić, lecz konkretne wskazówki już
wywołały zamieszanie.
- Nie nadążam. Myślałem, że wielki mistrz sprawuje całkowitą
władzę nad Zakonem. Czy chcesz mi teraz powiedzieć, że to nieprawda?
Skąd wiesz?

- Wiem, bo de Sabie powiedział mi to podczas naszej dzisiejszej rozmowy, po moim powrocie. Wysocy rangą bracia wyrazili głęboką troskę spowodowaną ostatnimi wydarzeniami, a on zgodził się na to, aby w tym jednym wypadku zdać się na ich opinię. Zakon nigdy wcześniej nie miał pewnej, samowystarczalnej bazy, a bracia bardzo nie chcą popełnić błędu na początku tak ważnego wkroczenia na niezbadane obszary, ponieważ wynikające z niego możliwości mogą okazać się ogromne.

- Jak to?

- Pomyśl o tym, Andrzeju. Pomyśl, co to za sobą pociąga.

Andrzej wzruszył ramieniem, jakby chcąc okazać brak zainteresowania.

- Nie muszę o tym myśleć. Już mi mówiłeś. Swobodna, samowy starczalna baza dla ich działań, leżąca na tyle blisko Zamorza, aby służyć jako solidny, wszechstronny punkt wypadowy dla przyszłych przedsięwzięć, i na tyle daleko od świata chrześcijańskiego, aby nie węszyli tam wścibscy królowie i księża. Rozumiem, dlaczego to inte resujące dla Zakonu. Każdy by zrozumiał.

- Ach, mylisz się. Widzisz, o co mi chodzi? W ogóle nie zrozumia łeś znaczenia tej sprawy.

Andrzej zmarszczył lekko brwi, a potem pochylił głowę ulegle.

- No dobrze, oświeć mnie. Czego dokładnie nie zrozumiałem?

- Skali, kuzynie. Widzisz, ty i ja, zwykli ludzie, myślimy na ludzką skalę. Lecz Zakon widzi tutaj większą szansę... nie chce jedynie założyć

bazy do działań, lecz całkowicie niezależne państwo! Samodzielny kraj na wyspie, łatwy do obronienia i rządzenia, którego zwierzchnikiem byłby tylko Zakon. Taką ma wizję i zamierza zrealizować swoje marzenie.

- Na Boga! To faktycznie wielki plan, jak na cenę stu tysięcy złotych monet.

- Pamiętaj, na razie tylko czterdziestu tysięcy. Resztę zapłacą w przyszłości.

-Tak, lecz mimo to... to niemal niewyobrażalne. Czy Robert de Sabie byłby władcą?

- Tak, do chwili, kiedy przestanie być wielkim mistrzem. Lecz są dzę, że Robert popełnił błąd na samym początku, kiedy przystał na dzielenie się swoją władzą, nieważne na jak krótko, nawet w kwestii tak wielkiego planu. Sądzę, że robiąc to, skazał całe przedsięwzięcie na klęskę, ponieważ już teraz zbyt wielu przeciętnych ludzi, którzy nie powinni mieć głosu w takich sprawach, wyraża odmienne opinie i dzieli się na różne obozy. Mamy teraz powstające niemal z dnia na dzień odłamy, które darzą się otwartą zawiścią i już kłócą się o pie niądze. Poza tym... i zdaje się, że tylko ja jestem tego świadom... sam Zakon nie ma żadnego szacunku do Cypryjczyków, z którymi musi dzielić wyspę. Nikt nie myśli o dzieleniu się. Już mówi się o nałożeniu na nich ogromnych podatków i podporządkowaniu ich Zakonowi, lecz nikt nie powiedział ani słowa o podjęciu jakichkolwiek wysił ków w celu zaprzyjaźnienia się z nimi czy zdobycia ich poparcia, czy

lojalności, a miejsce to znajduje się w posiadaniu Zakonu zaledwie od kilkunastu dni. Daję głowę, to przedsięwzięcie skazane na klęskę, wspomnij moje słowa. - Przerwał, podążając wzrokiem za spojrzeniem kuzyna. - Ktoś nadjeżdża, i nie jest to jeden z naszych.

Alec wstał, osłonił ręką oczy przed słońcem i szybko dojrzał sylwetkę mężczyzny na ośle, który zbliżał się do nich wzdłuż grzbietu wydmy leżącej po lewej. Mruknął i uniósł wysoko dłoń.

- To Omar - powiedział. Opuścił dłoń, a nadjeżdżający mężczyzna, który zbliżył się tak, że Andrzej rozpoznał w nim znajomego starego Araba, wiążącego koniec z końcem dzięki pracy nosiwody, zatrzymał się i siedział nieruchomo przez chwilę. Potem Alec znów uniósł rękę, a starzec pociągnął za lejce osła, zawrócił go i podążył tam, skąd przyszedł.

- O co chodziło? - zapytał Andrzej.

- Wezwanie. Mam spotkać się z Ibrahimem dziś wieczorem na naszym polu kamieni. Chce mi coś przekazać, zapewne wiadomość dla de Sablego. Chcesz pojechać ze mną?

- Oczywiście. Ale nie rozumiem, co się stało przed chwilą. Skąd stary Omar wiedział, gdzie cię szukać, i jak mógł rozpoznać cię z tak daleka?

- Kiedy się nad tym zastanowić, jest niewiele miejsc, gdzie mógłbym przebywać. Poznał mnie po ubraniu.

- Bądź poważny, ty kłamliwy szkocki poganinie, i powiedz prawdę -

zakrzyknął Andrzej, ponieważ Alec był ubrany tak samo jak on i każdy inny templariusz, w białą opończę z czerwonym krzyżem walczących rycerzy.

Sinclair uśmiechnął się szeroko.

- Poznał mnie, kiedy po raz pierwszy uniosłem rękę. Nikt inny normalnie nie powitałby go w taki sposób. Jeśli ktoś chce czegoś od niego, macha do niego lub wzywa go gestem. Potem, kiedy opuściłem dłoń, policzył do dziesięciu, a ja znów uniosłem rękę, potwierdza jąc, że zrozumiałem wiadomość, czyli to, że Ibrahim będzie czekał na mnie dziś wieczorem, a najdalej do jutra w południe, jeśli dziś napo tkam trudności.

- A w jaki sposób zrozumiałeś jego wiadomość? Wytłumacz mi.

Alec wydął wargi, wzruszając lekko ramionami.

- Pilność sprawy wywnioskowałem z tego, że Omar przybył tu, aby mnie znaleźć. Gdyby sprawa nie była pilna, poczekałby po pro stu, aż zobaczylibyśmy się w obozie. To, co miał na sobie, oznaczało, że Ibrahim chce przekazać mi coś od swoich ludzi. Omar ma dwie chusty, jedną czarną, drugą białą. Kiedy przychodzi do mnie z głową okrytą czarną chustą, zawiadamia mnie jedynie, że muszę spotkać się z Ibrahimem wtedy, kiedy będzie mi wygodnie. Kiedy owija czarną chustę białą opaską, wymaga to szybszej odpowiedzi. Natomiast biała

chusta oznacza, że spotkanie jest pilne, a czarna opaska na niej mówi mi, że Ibrahim ma mi do przekazania jakąś wiadomość. Tak naprawdę to

bardzo proste. Kod wymyślono lata temu. Słyszałem, że używano go już za czasów pierwszych templariuszy i Hugona de Payns. - Spojrzał w niebo, szacując wysokość słońca. - Lepiej, żebyśmy wrócili do obozu. Będę musiał się spotkać na moment z de Sablem, aby poinformować go o naszym wyjeździe i o tym, że może się spodziewać wiadomości od Raszida al-Dina. Tymczasem ty możesz wziąć dla nas nowe konie, kazać je osiodłać i znaleźć dla nich trochę owsa... porcję na trzy dni, w razie gdybyśmy napotkali jakieś trudności. My także będziemy potrzebowali trzydniowych racji.

- A co z ubraniami? Zbroja czy strój miejscowych?

Alec wykonał muzułmańskie pozdrowienie, dotykając piersi i czoła.

-Jednym z najważniejszych odkryć dokonanych przez pierwsze siły, które przybyły tutaj ze świata chrześcijańskiego dawno temu, przed naszym narodzeniem, było to, że miejscowi wiedzą lepiej, co najlepiej nosić na pustyni. Będziemy podróżować jako tubylcy i nikt nam nie przeszkodzi. Kiedy będziesz gotów, przynieś wszystko do namiotu i każ swojemu zastępcy przejąć twoje obowiązki. Spotkajmy się tam. Lepiej nie obnosić się z przygotowaniami przed moimi towarzyszami. — Znów zerknął na niebo. - Powiedzmy, za godzinę.

Andrzej kiwnął głową.

- Dobrze, lecz nie zapominaj, że musisz powiedzieć mi, co znalazłeś na Cyprze.

- Ty o tym nie zapomnisz, więc jakże ja mógłbym zapomnieć? Po drodze będziemy mieli mnóstwo czasu. - Spięli konie ostrogami i ruszyli

w stronę obozu, nie zadając sobie nawet trudu zabrania swojego prowizorycznego celu.

Ostatni etap życia Andrzeja Saint Claira jako templariusza rozpoczął się w chwili, kiedy zupełnie nieświadomy tego, co go czekało, wsadził stopę w strzemię i przerzucił nogę nad grzbietem konia. Jak miał jednak tysiąckrotnie usłyszeć w przyszłości, człowiek nie może znać szczegółów swojego przeznaczenia, a to, co było mu pisane, pozna dopiero, kiedy to nastąpi. To, co było mu pisane, już się stało, lecz on nie został o tym jeszcze poinformowany. To zadanie - przekazanie

informacji i wiedzy - spadło na jego przyjaciela i kuzyna, Aleksandra Sinclaira.

Kiedy opuścili obóz i wyruszyli na pustynię, zbliżała się czwarta po południu. Od upadku Akki minęło sześć tygodni, a Saladyn już dawno wycofał się wraz ze swoimi siłami na południe, w stronę Jerozolimy i miast leżących na wybrzeżu, przez co podróże w okolicach Akki stały się o wiele bezpieczniejsze. Mimo to przez pierwsze kilka mil jechali w milczeniu, od czasu do czasu badając wzrokiem horyzont, aby się upewnić, czy nikt ich nie obserwuje ani nie śledzi. Potem, po dwóch godzinach jazdy, kiedy słońce kończyło już podróż po niebie, pokonali najwyższe wydmy i ujrzeli na horyzoncie chropowatą krawędź znaczącą skraj pola głazów, które otaczało cel ich podróży.

- Wiesz - Saint Clair przerwał ciszę, która ciągnęła się od ich wy jazdu - myślałem o tym miejscu od czasu, kiedy po raz pierwszy je

zobaczyłem, ponieważ coś mi przypominało i właśnie zdałem sobie sprawę co.

Alec spojrzał na niego pytająco.

- To miejsce coś ci przypominało? Masz na myśli to wśród wydm czy skały, które leżą przed nami?

- Przepraszam, chodziło mi o tamte głazy. Pole kamieni.

-Tak myślałem. No cóż, to zaskakujące, ponieważ ja nigdy nie widziałem żadnego miejsca, które byłoby do niego podobne, a jestem tu dziesięć lat dłużej niż ty. Cóż ono może ci przypominać?

- Inne miejsce... pole kamieni.

- Opowiedz mi o nim. Gdzie się znajduje?

- We Francji, na południe od Paryża, trochę na wschód od głównej drogi do Orleanu. Miejsce to nazywa się Fontainebleau i nie pamiętam, jak tam trafiłem, lecz pewnego dnia znalazłem się we wspaniałym lesie, który rozciągał się na wiele staj w każdą stronę. W samym jego środku, tak jak tutaj, odkryłem pole gigantycznych kamieni podobnych do tych, gładkich, zaokrąglonych głazów, których rozmiary przechodziły ludzką wyobraźnię. Wszędzie głazy, w porównaniu z którymi żałosny rodzaj ludzki wydawał się bardzo mały, górujące nad otoczeniem w ciszy. Po prostu stały tam, aby napawać patrzącego pełnym szacunku podziwem...

-Tak jak tutaj.

-Tak, lecz było tam też zupełnie inaczej, ponieważ pole we Fran-

cji otoczone jest lasem, więc jak okiem sięgnąć kamienie konkurują z

drzewami, aby było je widać, choć w większości wypadków wygrywają. Nie ma tam ścieżek ani łatwego sposobu poruszania się między kamieniami, wyłączając może kilka szlaków zwierzyny, pozostawionych przez biegające tamtędy od setek lat jelenie. Jednak w najciemniejszych, największych, najgęstszych zagajnikach można znaleźć polanki, a na jednej z tych polanek jest jaskinia... Pieczara bardzo podobna do twojej, ponieważ ją też tworzy sterta wielkich kamieni, które miejscowa pogoda żłobiła od tysięcy lat. Jest głęboka i sucha, całkowicie osłonięta przed wiatrem i deszczem. Bardzo podobna do twojej, choć całkiem inna.

Sinclair milczał przez chwilę po tym monologu, a potem ściągnął lejce swojego konia i spojrzał zamyślonym wzrokiem na Andrzeja.

- Ustaliliśmy, że Szarif al-Kalanisi uczył cię arabskiego, jak i mnie. Lecz powiedz mi, czego jeszcze cię nauczył? Czy zapoznał cię z myślą filozoficzną?

- Tak. Pytasz mnie o to z konkretnego powodu, czy jedynie udało ci się zgadnąć?

- Nie zgadywałem, kuzynie. Opisałeś właśnie takie lustrzane podobieństwo, które zafascynowałoby al-Kalanisiego. Jak sądzisz, o co zapytałby cię, wiedząc, że zobaczyłeś to podobieństwo i dostrzegłeś paradoks?

- Nie jestem pewien, czy dostrzegłem jakikolwiek paradoks, kuzynie.

- Bzdury, oczywiście, że dostrzegłeś. Dwa identyczne pola kamieni,

całkowicie różniące się pod względem otoczenia: jedno na suchej pustyni, drugie w lesie pełnym drzew o białej korze i bladozielonych liściach. W jednym, na bezmiarze martwego piasku, nie ma ani śladu życia, a drugie tętni siłami natury tłoczącej się wśród pojedynczych kamieni jak nasiona mchu pomiędzy stertami żwiru. A ty *jesteś* jedynym ogniwem łączącym te dwa miejsca. Gdzieś tutaj ukrywa się jakaś wiadomość. Jak sądzisz, co al-Kalanisi pomyślałby o takiej zagadce?

Saint Clair spojrzał z ukosa na kuzyna, przechylając głowę.

- Nie mam pojęcia. Pozwól mi się chwilę zastanowić.

Przez chwilę wlekli się w milczeniu, miarowym krokiem, w stronę majaczącego przed nimi rzędu głazów, który znaczył skraj pola ka-

mieni. Jednak przed samą granicą, zanim weszli na pole, Andrzej powściągnął konia, a jego kuzyn zatrzymał się przy nim.

- Przyszła mi do głowy zdumiewająca myśl - powiedział Saint Clair. - Coś, o czym nigdy bym nie pomyślał, gdybyśmy tu dzisiaj nie przybyli i gdybyś mnie nie sprowokował. Jak mówisz, kuzynie, dwa pola kamieni, zupełnie inne od siebie, lecz identyczne. To z mojej młodości wywołuje wspomnienia i sprawia, że rozbrzmiewają we mnie echa, dość głośne, aby sprawić ból. Sprawia wrażenie pełnego żyznej zieleni, bujnego i dającego nadzieję. To drugie, obce miejsce, które nie wywołuje we mnie żadnych wspomnień, żadnego echa, to miejsce szarości i matowych, surowych brązów, wyschnięte i martwe, pełne nieruchomych kamieni oraz skurczonych, uwiędłych pozostałości

czegoś, co kiedyś mogło być wartymi realizacji marzeniami. Z jednej strony moje lata chłopięce, spędzone w zielonej, przyjemnej krainie, pełnej obietnic i bujności. Wszędzie, gdzie spojrzę, coś rośnie, lecz te rośliny to drzewa o bladych, słabych liściach. Żadnych kwiatów, żad nych jadalnych roślin, tylko drzewa... ich korzenie były sękate, suche i powykręcane. Otaczały i dusiły wyłącznie kamienie, głazy, których wytrwałość stawia czoło wszystkim naciskom. Z drugiej strony wiek męski, spędzony na surowej, suchej pustyni, gdzie... podobnie jak we Francji... głazów jest mnóstwo, lecz nie są przysłonięte roślinnością. Ich powierzchnię wygładził wiatr i wypolerował piasek. Brak kwiatów oraz roślin jadalnych i ani jedno powykręcane drzewo nie próbuje uwięzić ani jednego głazu swoimi korzeniami. Dwie pozornie podob ne, rzekome prawdy. Lecz tylko jedna jest autentyczna.

Upłynęła długa chwila ciszy, zanim Alec zadał pytanie.

- Która?

Andrzej odwrócił lekko głowę, aby spojrzeć mu w oczy.

- Ty mi powiedz, kuzynie, ponieważ nie mam pojęcia.

Obaj roześmiali się i pogonili konie, jadąc znów w niekrępującej ciszy. Potem Alec znów ją przerwał:

- Wciąż musimy postanowić, co zrobimy. Według planu Ryszarda wymaszerujemy w ciągu tygodnia na południe, podążając starą drogą wzdłuż wybrzeża, aby zaatakować Saladyna, zająć Jerozolimę i osta tecznie pokonać Saracenów. Zadecydował już, jaki będzie układ linii bojowej: wspierani przez Turkopoli templariusze na przedzie, potem

kontyngenty rodaków Ryszarda, jego Bretończycy, Andegaweńczy-

cy i mieszkańcy Poitou. Następnie Normanowie i Anglicy, strzegący sztandaru bojowego, a tylną straż tworzyć będą Francuzi wraz ze szpi-talnikami i miejscowymi siłami z Zamorza. Zanim to wszystko się zacznie, musimy postanowić, jak postąpimy.

-To, co mówisz, nie ma sensu, kuzynie. Templariusze stworzą straż przednią, więc tam będziemy.

Przez chwilę jechali w ciszy, aż Alec wybuchnął:

- Niech to diabli, nie ma innego sposobu na powiedzenie ci tego. Nie da się tego powiedzieć tak, aby nie skończyło się to sprzeczką! Kiedy byłem na Cyprze, zgodnie z daną ci obietnicą pojechałem do Famagusty, na grób twojego ojca. Znalazłem go bez trudu i modliłem się tam za spokój duszy Henryka, a kiedy wróciłem do Limassolu, usłyszałem niewiarygodną historię, którą zacząłem badać. Mieszka tam Żyd o nazwisku Aaron bar Melel. Znasz go?

- Nie, nie znam żadnego Żyda, a na pewno nie w Limassolu. Czy powinienem?

-Tak. Jego nazwisko podał mi zausznik, agent Raszida al-Dina, który od lat mieszka w Limassolu i pracuje jako szpieg. Zapytał mnie o moje nazwisko i o to, czym różni się od nazwiska Saint Clair, które było mu znajome. Kiedy wyjaśniłem mu, że marszałek polny był moim wujem, bardzo był podekscytowany i opowiedział mi swoją wersję historii, która przydarzyła się twojemu ojcu. Kiedy nie chciałem wierzyć jego słowom,

kazał mi znaleźć tego Aarona, więc następnego dnia udałem się na poszukiwania. Nietrudno było go znaleźć... Pamiętasz, jak mówiłeś mi o wymierzonej przeciw Żydom czystce, do której doszło na kilka dni przed twoim wyjazdem z Limassolu?

- Tak, pamiętam. Kosztowała mnie ostatnią wizytę ojca.

-Tak. No cóż, ten Aaron był jednym z poszukiwanych Żydów, wraz z całą swoją rodziną, żoną, synem i córką. Poznałem jego żonę i widziałem piękną córkę. Jego syna zabito podczas czystki. Miał czternaście lat. Lecz Aaron z żoną Leą i córką został uratowany i ukryty przez frankońskiego rycerza. Żyd wymienił go z nazwiska, mówiąc, że był to sir Henryk Saint Clair, marszałek polny króla Anglii. Według Aarona, uratował ich przed wybuchem zamieszek, lecz nie mam pojęcia... ponieważ sam Aaron nie wiedział... skąd twój ojciec zawczasu dowiedział się o tym, co ma się wydarzyć. Nie wiem też, co stało się z chłopcem, lecz sir Henryk przemycił rodzinę z Limassolu do wioski

rybackiej, która leżała na dalszym odcinku wybrzeża. Zostali tam, aż dowiedzieli się, że Ryszard wyjechał, aby przybyć tutaj. Wtedy wrócili do domu, do Limassolu, aby opłakiwać syna i odbudować swoje życie. Lecz kiedy rodzina zniknęła, ktoś doniósł Ryszardowi na twojego ojca. Ktoś musiał widzieć, jak Henryk im pomagał, lub zdradził go jeden z ludzi, których zatrudnił. Ktokolwiek opowiedział o tym Ryszardowi, wbił ostrze głęboko, a potem je przekręcił. Był to czyn pełen absolutnej złej woli, dokonany w starannie wybranym momencie, zapewne kiedy

był pijany... mam na myśli Ryszarda. Wiadomość o zdradzie twojego ojca na pewno wpędziła go w furię. Twój ojciec pojechał już wtedy do Famagusty, więc Ryszard wysłał tam swoich zbirów, aby zajęli się nim. Mieli sprawić, aby ich napaść wyglądała na przypadkowy atak zbrojnych. Wszyscy uwierzyli, że tej nocy właśnie to przydarzyło się twojemu ojcu i jego dwóm towarzyszom. Lecz podchmieleni zabójcy rozmawiali o tym po powrocie do Limassolu, a mój szyicki towarzysz podsłuchał ich. Byli wtedy w jego gospodzie. Karczmarze szybko uczą się trzymać język za zębami, a ponieważ znał Henryka tylko ze słyszenia... w końcu człowiek ten był marszałkiem polnym króla Ryszarda... nie wspomniał o tym nikomu, dopóki nie zaczęliśmy rozmawiać o moim nazwisku, kiedy to powiedział mi wszystko, co wiedział.

Przerwał i poczekał na odpowiedź Andrzeja, lecz młodzieniec tylko jechał przed siebie, jakby spał w siodle, a jego ciało dostosowywało się naturalnie do kroku konia. Widząc, że kuzyn ma otwarte oczy, Sinclair założył, że słucha jego słów, i mówił dalej:

- Zasięgnąłem języka, lecz nie dowiedziałem się niczego o ludziach, o których wspomniał mój zausznik, Sulejman. Miałem nie podawać jego imienia, ale nie szkodzi. Oczywiście wszyscy oni odpłynęli wraz z Ryszardem, więc kiedy wylądowałem na Cyprze, od wielu tygodni byli już tutaj, w Zamorzu. - Wzruszył ramionami. - Co oznacza, że nie możemy się dowiedzieć, kim byli. Dookoła Ryszarda ciągle pałęta się około stu chamskich tępaków, którzy tylko czekają na rozkazy. Nie

udało mi się nawet ustalić, czy Ryszard wysłał ich rozmyślnie, czy sami postanowili spełnić jego źle wyrażone życzenia, tak jak zbiry jego ojca postąpiły w wypadku Tomasza Becketa. Nie jest to nieprawdopodobne, ponieważ zdaje się, że ten incydent należy do ulubionych wspomnień Ryszarda o ojcu. Często o nim mówi, kiedy tylko chce

pokazać, że sprzeciwianie się człowiekowi z jego rodu jest niewskazane, więc równie dobrze mordercy mogli działać samodzielnie, spodziewając się, że spotka się to z zadowoleniem i wdzięcznością króla. W każdym razie nie ma teraz wątpliwości, że Ryszard wie, co zrobił i czego jest winien. Dlatego od czasu, kiedy tu przyjechał, nie skontaktował się z tobą. Wątpię, czy potrafiłby spojrzeć ci w oczy.

Ten komentarz wywołał spokojną, rzeczową odpowiedź Saint Claira.

- Och, potrafiłby spojrzeć mi w oczy, Alec. Nie wątp w to. Ryszard Lwie Serce potrafiłby spojrzeć mi w oczy, uśmiechać się do mnie i przyjąć mnie życzliwie, gdy krew mojego ojca kapałaby z jego dłoni. Jego miłość własna jest tak monstrualna, że potrafi przekonać samego siebie, iż nie jest w stanie popełnić błędu. Wiesz, kiedyś naprawdę go kochałem... niemal tak bardzo jak ojca. Pasował mnie na rycerza i naprawdę go podziwiałem jako paladyna. Lecz potem stopniowo zacząłem dostrzegać, jaki jest naprawdę. Cała miłość, podziw i szacunek, cała lojalność i poczucie obowiązku, które uważałem przez tyle lat za zaszczyt, zaczęły się stawać dla mnie coraz bardziej gorzkie. Upadałem na duchu, kiedy wychodziło na jaw coraz więcej dowodów jego perfidii i

bezgranicznego egoizmu. Kulminacją tego wszystkiego był potworny sposób, w jaki zgładził saraceńskich więźniów. Po tym wydarzeniu i cierpieniu, jakie we mnie wzbudziło, nawet wiadomość, że zamordował mojego ojca, swojego najwierniejszego sługę, nie może wywołać u mnie emocji. Wierzę, że tak było, lecz zupełnie mnie to nie zaskakuje i myślę, że gdybym się nad tym zastanowił, doszedłbym nawet do wniosku, że spodziewałem się tego. - Andrzej spojrzał prosto na kuzyna. - Opłakałem już śmierć ojca i udało mi się zaakceptować to, że został zamordowany. Wiadomość, że został zamordowany przez swojego mściwego, niewdzięcznego przyjaciela, nie robi różnicy. Morderstwo to morderstwo. - W końcu Andrzej niemal się uśmiechnął i rzekł: - Lecz rozumiem już, co próbowałeś powiedzieć, mówiąc, że musimy postanowić, co zrobimy. Masz jakiś pomysł?

- Tak, kilka. Jedź przodem, podążę za tobą.

Dotarli do środkowej części kamiennego pola, w pobliże szczytu, który znaczył dach jaskini, a Saint Clair skręcił w lewo, podążając na wpół ukrytą ścieżką do otworu odpływowego prowadzącego do tajnego wejścia. Alec jechał za nim, mówiąc do jego pleców.

- Pierwszy i najbardziej oczywisty wybór, jakiego obaj możemy dokonać, to zniknięcie na pustyni i zamieszkanie z naszymi szyickimi sprzymierzeńcami. To nie powinno być trudne, ponieważ może nam w tym pomóc sam wielki mistrz. Musiałby jedynie uznać, że potrzebuje naszych usług jako szpiegów działających poza obozem. Nie musiałby

nawet kłamać, ponieważ nikt nie zapytałby go o Zakon, wobec którego jesteśmy lojalni. Pozwoliłby po prostu innym uznać, że wypełniamy obowiązki względem Zakonu Świątyni. Nikomu nawet nie przyszłoby do głowy, aby kwestionować jego decyzję, ponieważ obaj mówimy płynnie po arabsku i potrafimy zadawać się z Saracenami, nie zdradzając się z naszą prawdziwą tożsamością.

- Tak, lecz gdybyśmy to zrobili, musielibyśmy żyć między ludźmi Sinana. Nie wydaje mi się, abym mógł żyć w ten sposób, Alec. Czy potrafisz wyobrazić sobie spędzenie swoich dni z Raszidem al-Dinem, z jego wlepionym w ciebie przez cały czas wrogim, ponurym spojrzeniem, z ciągłą świadomością, że nawet wtedy, kiedy jesteś poza jego zasięgiem, setka lub tuzin szpiegów donosi mu o wszystkim, co robisz i mówisz? Nie, wybacz, kuzynie, lecz ta propozycja mi się nie podoba. O czym jeszcze myślałeś?

Andrzej zsunął się z siodła, a Alec dołączył do niego, trzymając konia za uździenicę.

- No cóż - powiedział Sinclair - możemy zdezerterować, udać się po prostu na pustynię i podążyć na południe w poszukiwaniu mojego przyjaciela, Ibn al-Farucha.

Andrzej odwrócił się do niego, unosząc z pogardą brwi.

- O, to wspaniały, pełen zalet pomysł. Jestem zaskoczony, że udało ci się wpaść na niego tak szybko po tym, jak poprzedni nie znalazł uznania. Sugerujesz, że powinniśmy oddać się w jego ręce jako więź niowie i ryzykować, że zostaniemy natychmiast zamordowani w ze

mście za to, co zrobiliśmy jego braciom? To oszałamiający koncept.
- Mówię poważnie. Nie groziłoby nam niebezpieczeństwo. Jako emir mój przyjaciel może nas ochronić i udzielić azylu wśród swoich ludzi. Myślę, że spodobałoby ci się to. Ma córkę, Fatamę, która niedługo będzie miała piętnaście lat i jest zjawiskowo piękna. Na pewno polubilibyście się.
- Alec, złożyłem śluby, pamiętasz?
- Wśród Saracenów też możesz praktykować ascezę, jeśli tego so-

bie życzysz, kuzynie. Emir ma brata o imieniu Jusuf, z którym łączą go bardzo bliskie więzy i który jest pobożnym, uczonym człowiekiem, obdarzonym wielkim poczuciem humoru i współczuciem. Jest mułłą, lecz niepodobnym do wszystkich innych. Jego też byś polubił. Co więc powiesz, poszukamy al-Farucha?
Saint Clair gapił się na niego szeroko otwartymi oczami.
- Wygłupiasz się, prawda? Powiedz mi, Alec, że żartujesz.
Alec wzruszył ramionami.
- No dobrze, żartuję. Pomyślałem, że nie zaszkodzi ci czasem uśmiechnąć się i pozwolić sobie na przyjemne myśli. Głupcy potrafią być bardzo zabawni... Pomyślałem też, że gdybyś potrafił pośmiać się chwilę, nie przejmowałbyś się tak wszystkimi tymi ślubami, karami, poczuciem winy i konsekwencjami. Wydaje mi się, że straciłeś z oczu drobny fakt, iż nie jesteśmy chrześcijanami, a niedobrze stracić to z oczu, kuzynie. Zaczynasz mówić jak dręczony kazaniami księży i

poczuciem winy grzesznik, podczas gdy tak naprawdę jesteś uprzywilejowanym, oświeconym bratem Zakonu Syjonu. Dość poczucia winy, kuzynku. To zły pomysł.

- W ogóle nie myślałem o poczuciu winy, Alec. Znacznie bardziej martwiłem się o honor i o to, że znika on tutaj jak wilgoć z płaskiego kamienia leżącego w słońcu.

- Ach, honor! To złota moneta, często złocona przez ludzi, którzy chcą ją ulepszyć. Opowiedz mi o honorze, Andrzeju. Opowiedz mi o tym, ile widzieliśmy go tutaj, i... O, popatrz. — Alec pogrzebał w sakwie i wyciągnął złotą monetę, uniósł ją tak, aby Andrzej ją zobaczył, a potem zaczął podrzucać ją w powietrze.

- To złota moneta wybita przez mincarza sułtana. Założę się o nią, że nie będziesz w stanie podać mi tu i teraz imion dwudziestu szczerych, prawdziwie honorowych ludzi z naszej armii. Wśród tak wielu ludzi na pewno jest ich o wiele więcej niż dwudziestu, lecz musisz podać mi imiona dobrych ludzi, których znasz osobiście. Zaczynaj. A myśląc o nich, patrz pod nogi.

Odwrócił się i zaczął schodzić ścieżką prowadzącą wzdłuż wnętrza dziury, a zamyślony głęboko Andrzej poszedł za nim, ostrożnie prowadząc za sobą konia.

- Twoja moneta jest bezpieczna - powiedział, kiedy dotarli bezpiecznie na dno. — Dobrze się zastanowiłem i przyszły mi do głowy

imiona siedmiu ludzi... ośmiu, jeśli wliczę Roberta de Sabie, a dlaczego

miałbym tego nie zrobić? A zatem potrafię wymienić ośmiu, których znam, a trzej z nich to serwienci Zakonu Świątyni, szczerzy i honorowi, lecz pozbawieni władzy czy pozycji. Napawa mnie to wstydem.

- Przecież to nie twoja wina. Masz własny honor, tak jak każdy z tych, których wymieniłeś. To wspaniała cecha honoru, kuzynie. Żyje w nas i każdemu stawia własne wymagania, a każdy z nas jest zmuszony do życia w jego granicach. Och, mogę mówić o honorze Świątyni, o honorze jego zastępów, o honorze Zakonu, lecz to czyste bzdury. Rzeczy nie mogą mieć honoru. Jedynie ludzie mają honor, a każdy człowiek dźwiga swój własny. Wszystko to sprowadza się do sumienia i tego, jakich wyborów dokonuje się w najtrudniejszych sytuacjach, kiedy każdy musi narysować własną linię na piasku i stanąć za nią. Twoja miara może być inna niż moja, kuzynie, lecz w świecie, w którym nikt nie może mówić kłamstw sobie ani Bogu, twój honor jest tylko twój, jest twoją tożsamością i duszą, a mój jest tylko mój.

- No dobrze - powiedział Andrzej, nabierając głęboko powietrza. - Jaka jest twoja kolejna propozycja?

- Proponuję, abyśmy weszli do jaskini i przywitali się z Ibrahi-mem. Na pewno już czeka. Poza tym nie mam innych propozycji.

- Ja mam, lecz tylko jedną.

- Mianowicie?

- Abyśmy wrócili do Akki i pomaszerowali na południe do Jerozo-limy wraz z armią. Wydaje mi się, że to najrozsądniejsze, co możemy zrobić, a po drodze będziemy mieli czas i okazję, aby omówić nasz

dylemat z bratem Justynem... który teraz, kiedy przyjęto już jego nowicjuszy do Zakonu, ma inne zadania... a także z mistrzem de Sabie. Chciałem zapytać cię o to wcześniej. Czy masz pojęcie, ilu członków naszego bractwa jest w Zamorzu?

- Nie, lecz musi być ich więcej niż tylko nas dwóch.

-Tak jest. Zdecydowanie więcej. Zgaduję, że co najmniej czterdziestu, lecz z tego, co widzę, rzadko się spotykają. W Zamorzu nie organizuje się Zgromadzeń. Sądzę, że to niedobrze, ponieważ ciężar innych spraw nie powinien wpływać na ogólne dobro bractwa. Zasugeruję więc wielkiemu mistrzowi, aby zastanowił się nad utworzeniem w Zakonie specjalnej kapituły i dopilnował, aby jej spotkania

odbywały się w tajemnicy przed resztą wspólnoty. Czy to by cię zadowoliło? Osiągnięcie tego celu nie powinno być trudne, a dzięki temu mielibyśmy na czym się skoncentrować przez resztę tej kampanii i zajmowalibyśmy się naszymi prawdziwymi obowiązkami, nie rozpraszając się drobiazgami. Co sądzisz o tym pomyśle?

Alec skinął głową.

- Podoba mi się. Wracamy do Akki, rozmawiamy z wielkim mistrzem, maszerujemy do Jerozolimy z armią Ryszarda, lecz po drodze wracamy do bractwa. To świetny pomysł. Wiedziałem, że masz głowę na karku, kuzynie, lecz właśnie to udowodniłeś. A teraz przywitajmy się z szacownym Ibrahimem i odbierzmy od niego komunikaty.

Ibrahima nie było jednak w jaskini. Był tam wcześniej i czekał na nich

przez jakiś czas, lecz potem odszedł, zostawiając list na rzucającym się w oczy, stojącym pośrodku jaskini płaskim kamieniu. Obciążył list klatką z gołębiem, na której leżała skórzana tuba z dokumentami. W liście wyjaśniał, że był w jaskini cały dzień i nie może dłużej czekać. Dodał, że dokumenty w tubie są dla frankońskiego *fidai,* czyli dowódcy; haszyszynowie nazywali tym imieniem najwyższego stopniem miejscowego przedstawiciela Zakonu Syjonu, obecnie Roberta de Sabie. Poprosił Aleca o włożenie paciorka do maleńkiego walca przyczepionego do nogi gołębia i wypuszczenie ptaka, aby mógł wrócić do domu. Andrzej przyglądał się uważnie, gdy Alec wyłuskiwał drobniutki, jaskrawoczerwony paciorek z wyściółki swojej sakwy i wkładał go do metalowej tubki.

-Tylko ja używam czerwonych paciorków. Mam ich całą torbę i zawsze noszę kilka przy sobie. Kiedy tylko Ibrahim go zobaczy, będzie wiedział, że jego wiadomość dotarła do mnie bez przeszkód i wszystko jest w porządku. - Wyszli z jaskini. Alec wypuścił gołębia, patrzył, jak odlatuje, a potem odwrócił się do kuzyna. - Teraz do Akki, a jutro, jak Bóg da, ruszymy z Ryszardem na południe, do Jerozolimy, i z błogosławieństwem Roberta de Sabie odbudujemy po drodze siłę naszego bractwa w Zamorzu. Prowadź, kuzynie.

11

JN astępnego dnia Andrzej miał powód, aby przypomnieć sobie spostrzeżenia swojego kuzyna na temat czystości i ascezy, ponieważ zanim armia zwinęła obóz i wymaszerowała na południe, stanął niemal twarzą w twarz z siostrą Ryszarda, Joanną z Plantagenetów. Wielka armia zerwała się na nogi na długo przed świtem, kiedy dzwony i trąbki heroldów królewskich wypędziły wszystkich z posłań, aby zaczęli przygotowania do dnia, który miał się okazać długi i nużący. Była niedziela, dwudziesty czwarty dzień sierpnia roku 1191, dzień świętego Bartłomieja. Tego dnia jutrznia nie odbyła się z powodu przygotowań do wymarszu, lecz mimo to przed świtem księża i biskupi odprawiali wszędzie mszę. Z każdej strony słychać było śpiewane modlitwy, które nakładały się na siebie nawzajem, tworząc dźwięk podobny do szumu wielkiego ula.

Andrzej chodził z gołą głową wśród grup wiernych, szukając Ale-ca. Udawało mu się sprawiać wrażenie pobożnego i skupionego, lecz zręcznie unikał zatrzymywania się. W pewnym momencie trafił w miejsce, gdzie światło pochodni było jaśniejsze niż gdziekolwiek indziej, i zdał sobie sprawę, że wyraźniej czuje zapach kadzidła, a stroje celebransów - mszę odprawiało aż trzech biskupów - są zdecydowanie bardziej wystawne od tych, które widział wcześniej. Po lewej zauważył wielu ludzi w czystych, jaśniejących bielą płaszczach z czerwonymi krzyżami, a wśród nich rozpoznał sir Roberta de Sabie, którego wyróżniała wspaniała opończa wielkiego mistrza, uszyta z grubej, białej

wełny i ozdobiona z przodu i z tyłu czarnym, równoramiennym krzyżem. Przy nim stał Alec, a Andrzej ruszył w ich stronę, lecz zatrzymał się nagle, zauważywszy, że po drugiej ręce de Sablego stoi Ryszard, a po jego lewej królowe, Berengaria i Joanna, za którymi tłoczyły się ich dworki.

502

Nikt z królewskiej grupy go nie zauważył, lecz gdy nagle zamarł, Joanna odwróciła się i spojrzała prosto na niego. Andrzej nie miał czasu nawet pochylić głowy, więc tylko opuścił wzrok, mając nadzieję, że z tak daleka nie odróżni jego twarzy od innych. Policzył do pięciu, a gdy uniósł znów oczy, królowa wciąż na niego patrzyła, a jej gładkie czoło znaczyła drobna zmarszczka. Ponownie opuścił wolno wzrok, jeszcze raz policzył do pięciu, a potem do dziesięciu, recytując w myślach litanię powodów, dla jakich nie powinna go rozpoznać. Nigdy nie widziała go w pełnym stroju templariusza, a ostatnio był gładko ogolony i miał długie, zaniedbane włosy, jak przystało na nowicjusza; teraz jego włosy były krótko przycięte i nosił gęstą brodę. Uznał, że jest mało prawdopodobne, aby go pamiętała, lecz wyraźnie zobaczyła w nim coś znajomego, nawet jeśli nie była całkiem pewna, na kogo patrzy. Po raz kolejny podniósł wolno wzrok i poczuł ogromny przypływ ulgi, widząc, że Joanna nie patrzy już na niego, choć wciąż marszczyła brwi, przyglądając się otaczającym go twarzom. Wtedy wlepił w nią wzrok, starając się siłą woli sprawić, aby odwróciła oczy, i wkrótce tak się stało, a królowa zwróciła się znów w stronę ołtarza. Postanowił, że najlepiej będzie

odejść, zająć miejsce na skraju tłumu i porozmawiać z kuzynem przy innej okazji.

Nie odszedł jednak od razu. Pewien, że nie został rozpoznany i że Joanna nie będzie w stanie ponownie wyłowić go z tłumu, ostrożnie wdrapał się na pobliski kamień i do woli przyglądał się królowym. Wyglądało na to, że żadna z nich nie ucierpiała ani trochę z powodu zgrzebnego życia w obozie wojskowym. Zwłaszcza Berengaria wyglądała znakomicie: emanowała majestatem, opanowaniem i zadowoleniem. Nic nie wskazywało na to, że jest żoną człowieka, na temat którego całkowitego braku zainteresowania kobietami żartowano i toczono publiczne rozmowy. Kiedy Andrzej patrzył na nią teraz, zauważając wypieki na jej twarzy, wydało mu się, że widzi, jak królowa zerka z ukosa na przystojnego, młodego strażnika stojącego czujnie u jej boku, może krok przed nią. Przyjrzał się strażnikowi uważniej, zwracając uwagę na jego solidną, wyprostowaną sylwetkę, wysoko podniesioną głowę i wyzywającą gorliwość, z jaką jego postawa głosiła poświęcenie służbie w straży królowej.

Rozbawiony, choć nie zaskoczony Andrzej przeniósł wzrok na Joannę, która rzucała się w oczy tak, jakby była sama, choć otaczał

ją tłum. Nie po raz pierwszy pomyślał, że Joanna z Plantagenetów jest niezwykłą i pociągającą kobietą. Widać było wyraźnie, że i jej nie brakuje fizycznej bliskości i względów, choć mimo prób nie potrafił wyczuć, kto spośród tłumu - jeśli w ogóle się w nim znajdował - cieszył

się jej łaskami. Okazało się, że ze zdumiewającą łatwością potrafi uśmiechnąć się do swoich myśli oraz zaakceptować i odrzucić fakt, że mógł cieszyć się tymi wdziękami. Obrzucając ostatnim, przeciągłym spojrzeniem jej szczupłą, wyprostowaną sylwetkę, wydatne piersi oraz suknię ciasno opinającą talię i biodra, zwrócił myśli ku ascezie i czystości i postanowił wrócić do swojego oddziału.

Zajęty myślami o sprawach cielesnych prawie zapomniał o jeszcze jednym spojrzeniu, którego chciał uniknąć, i zanim zszedł z kamienia, na którym przycupnął, poczuł na sobie wzrok króla. Nigdy się nie dowiedział, czy lodowaty chłód w złowrogim spojrzeniu Ryszarda był wyrazem królewskiej urazy czy efektem własnej świadomości Andrzeja, że pokrzyżował królowi szyki i rozczarował go - przed czym zawsze ostrzegał go ojciec - w sprawie Berengarii. Świadom, że odległość między nimi daje mu pewne bezpieczeństwo, Andrzej odważnie wytrzymał przez długą chwilę spojrzenie króla. Czuł jednak jednocześnie przypływ głębokiego lęku, spowodowanego dręczącymi go wątpliwościami co do swoich obowiązków względem człowieka, który kiedyś był jego bohaterem, pomimo tego, co wiedział o nim teraz.

Ryszard pierwszy przerwał kontakt wzrokowy, a Andrzej wrócił do swoich towarzyszy z okropnym poczuciem, że został nieodwołalnie odrzucony, na dobre i na złe.

Kiedy tylko msze się zakończyły, z szaleńczą intensywnością zwijano obóz: położono na ziemi i złożono w identyczny sposób tysiące namiotów, a potem załadowano je do wozów. Już wiele tygodni wcze-

śniej, po kapitulacji miasta, rozmontowano ogromne machiny ob-lężnicze i ułożono je na platformach transportowych, a od kilku dni armia saperów i inżynierów zajęta była przesuwaniem ich na właściwe pozycje, przygotowując je do marszu na południe. Poprzedniego dnia ruszyli z nimi w drogę, tak że byli już o kilka mil przed armią, która miała iść za nimi. W porcie w Akce też wiele się działo: barki załado-wywano po brzegi artykułami żywnościowymi oraz bronią i przygo-towywano do podróży wzdłuż wybrzeża, trasą równoległą do marszu armii, która miała podążać starożytną przybrzeżną drogą, zbudowa-

ną przez rzymskie legiony jeszcze w czasach republiki. Lecz w końcu wszystko załadowano, ustawiono żołnierzy w szykach, rozmontowano ostatnie struktury obozowe i zasypano latryny. Potem, przy akom-paniamencie donośnego, spiżowego dźwięku trąbek, pierwsze szeregi zastępów zajęły pozycję i ruszyły w drogę do Jerozolimy.

Po dwóch dniach wolnego i pozbawionego niespodzianek marszu, podczas których przebyli niecałe dziesięć mil, maszerując w chłodne poranki i unikając popołudniowego słońca, Andrzej w końcu napotkał swojego kuzyna. Postanowił trzymać się z daleka od niego podczas marszu i pozwolić mu odszukać się, kiedy znajdzie chwilę czasu, ponieważ istniało ciągłe niebezpieczeństwo natknięcia się na Ryszarda w okolicach namiotów templariuszy i de Sablego, a Andrzej nie miał ochoty kusić losu. Nie był pewien, jak zareaguje na spotkanie twarzą w twarz z mordercą swojego ojca, niezależnie od tego, czy był on królem

czy nie. Dlatego też to Alec go znalazł, kiedy Andrzej siedział sam na ziemi obok swojego namiotu. Nie było przy nim ani jednego członka jego oddziału, a najbliżsi sąsiedzi siedzieli niemal dwadzieścia stóp dalej, co zapewniało mu odosobnienie pośrodku armii liczącej dziesiątki tysięcy ludzi.

—Przyniosłem wino - powiedział Alec zamiast powitania, rzucając pełen bukłak w pośpiesznie wyciągnięte dłonie Andrzeja, a potem rozejrzał się z zaskoczeniem. - Gdzie jest twój oddział? Zgubiłeś go?

—Nie, straciłem do nich cierpliwość. Są gdzieś tam, ćwiczą. Powiedziałem mojemu zastępcy, Dzikowi, aby kazał im ustawić cele i do wieczerzy ćwiczyć strzelanie z kuszy. Nie mieli musztry od prawie dwóch tygodni, a mnie się wydaje, że od miesiąca nie miałem chwili dla siebie, w której nie ogłuszałyby mnie ich głosy. Jak sądzisz, dlaczego żołnierze nie potrafią cicho mówić? W każdym razie dziękuję za wino. Nie zapytam nawet, skąd je ukradłeś, lecz wypiję za twoje zdrowie. - Wyciągnął korek, uniósł bukłak do ust i napił się do syta, a potem podał wino kuzynowi. - No cóż - powiedział w końcu - jesteśmy sami, więc powiedz mi, ponieważ masz dostęp do informacji z pierwszej ręki, gdzie idziemy i w jakim celu?

—Idziemy do Arsuf. Słyszałeś o nim kiedyś?

—Nie. A ty?

SOS

- Kiedyś tam pojechałem. To prastary port leżący około sześćdziesięciu pięciu mil na południe od Akki. Powiedziałem prastary,

ponieważ zbudowali go Grecy, którzy nazwali to miejsce Apollonia. Miasto jest otoczone murem, niezbyt wielkie, lecz łatwe do obrony, a od strony lądu stoi w nim zrujnowana obecnie forteca z piaskowca. To jedno z miejsc, które ludzie Saladyna zajęli po bitwie pod Hatti-nem. Teraz Ryszard zamierza je odzyskać i użyć jako bazy dla ataku na JafFę, inny, większy port sześć mil na południe od Arsuf. Kiedy jego barki z zapasami będą już mogły bezpiecznie lądować w tych portach, Ryszard może ruszyć w głąb lądu, w pięćdziesięciomilowy marsz na Jerozolimę.

- Hmm. A gdzie jest armia Saladyna? Instynkt podpowiada mi, że być może chroni Jerozolimę, lecz nawet się jeszcze do niej nie zbliżyliśmy, więc po co mieliby się kłopotać?

- Są tutaj. Jak mówisz, Jerozolima nie jest teraz zagrożona. Saladyn znajduje się nad nami, wśród tych wzgórz leżących z przodu, niemal w zasięgu wzroku. Będzie się przyglądał naszemu marszowi do momentu, kiedy uzna, że nadeszła właściwa chwila na atak.

- O jakich wzgórzach mówisz? Z jednym wyjątkiem nie wyglądają na zbyt wysokie.

- Nie są. To wysokie nazywa się Góra Karmel.

- O, tę nazwę znam. Góra Karmel... Czy leży blisko naszego celu?

- Tak, bardzo blisko.

- I sądzisz, że Saladyn zaatakuje nas stamtąd, z wysoka?

- Absolutnie tak, lecz nie będzie czekał, aż dotrzemy do Karmelu. Kiedy tylko wejdziemy na pogórze, gdzie droga wznosi się i opada od grzbietu do grzbietu, uderzy nas wszystkim, co ma. Jego atak będzie miał

szeroki zasięg: małe grupki zatwardziałych wojowników wypadną spośród wzgórz niezależnie od siebie wzdłuż całej linii naszych sił i uderzą, w co się da. Przeprowadzą atak, uczynią tyle szkód i spustoszenia, ile będą w stanie, a potem wycofają się i uciekną, zanim zbierzemy cokolwiek na kształt kontrataku.

- Czy nie możemy zrobić nic, aby ich powstrzymać?

-Tak, możemy dać nogę i pomaszerować z powrotem do Akki, lecz nawet to nie gwarantuje nam, że nie puszczą się za nami w pościg. Równie dobrze możemy więc iść dalej.

- Mam nadzieję, że szybciej niż dotychczas?

- Nie. - Alec potrząsnął głową i niemal się uśmiechnął. - W takich chwilach łapię się na tym, że podziwiam Ryszarda... jako przywódcę, stratega. Myślę, że jest w tym genialny: jest powściągliwy, spokojny, rozsądny i najwyraźniej myśli perspektywicznie. Jego decyzja o wolnym marszu w wygodnych warunkach jest bez zarzutu. Maszerując chłodnymi porankami i odpoczywając długimi, gorącymi popołudniami, zachowujemy spokój i elastyczność. Jeśli Ryszard będzie nadal stosował taką taktykę, zdobędzie przewagę nad Saladynem. Wiem, że pokonywanie czterech mil dziennie wydaje się śmiertelnie powolnym marszem dla ludzi takich jak my, przyzwyczajonych do jeżdżenia wszędzie konno, lecz wiesz równie dobrze jak ja, że prędkość poruszania się armii jest uzależniona od tempa jej najwolniejszych jednostek... w naszym wypadku machin oblężniczych. Sądzę, że będziemy mieli

szczęście, jeśli uda nam się utrzymać z nimi prędkość czterech mil dziennie. Gdyby nie to, że drogę tę zbudowali Rzymianie i mniej więcej o nią dbano, równie dobrze moglibyśmy się poruszać dwa razy wolniej. Jednak nie możemy po prostu zostawić ich przy drodze, ponieważ groziłoby to tym, że ktoś użyłby ich kiedyś przeciwko nam. Zatem będziemy przeć dalej i opierać się pokusie zaatakowania wroga.

- Od kiedy atakowanie wroga stało się czymś godnym potępienia?

Alec spojrzał prosto na kuzyna, a jego głos i spojrzenie były całkiem poważne.

- Od chwili, kiedy cztery lata temu Gerard de Ridefort doprowadził do zagłady templariuszy pod Hattinem. Od chwili, kiedy ledwie miesiąc wcześniej stracił dziewięćdziesięciu templariuszy i grupę szpitalników, prowadząc atak w dół zbocza na tysiące saraceńskich jeźdźców u źródła Cresson. Od chwili, kiedy dwa tysiące frankońskich piechurów spotkało śmierć w tym samym dniu co jazda de Rideforta pod Hattinem. Za każdym razem, kiedy przypuszczamy atak na tego wroga, spotyka nas porażka, ponieważ ludzie Saladyna dokładnie wiedzą, jak zneutralizować przewagę, którą daje chrześcijanom ich jazda. Wraz z de Ridefortem zmarła jego taktyka. Teraz nie zobaczysz już absurdalnych szarż przeciw ruchliwym, zwinnym oddziałom konnych łuczników. - Przerwał nagle, przechylając głowę. - Słuchaj. Co to

było? - Dźwięk powtórzył się: kilka wygranych na trąbce nut. - Niech to diabli, tak myślałem. Wzywają oficerów. Muszę iść.

Wstał z trudem i rzucił bukłak Andrzejowi.

- Zatrzymaj to. Przyda ci się. Jutro upłynie podobnie jak dzisiaj, lecz pojutrze rano zaczniemy się wspinać na pogórze, a wtedy te insekty zaczną sfruwać ze wzgórz, więc niech twoi ludzie będą gotowi. Jeden z członków sztabu zaproponował, aby kusznicy maszerowali z uzbrojonymi, gotowymi do strzału kuszami, lecz zlekceważono jego sugestię. Osobiście uważam, że miał rację, i gdybym był na twoim miejscu, kazałbym swoim ludziom przygotować się na wszystko zaraz po wkroczeniu między wzgórza, choć jak mówiłem, to stanie się dopiero pojutrze. Postaram się spotkać przedtem z tobą. - Kiedy to mówił, w oddali ponownie rozległ się dźwięk trąbki, a Alec pozdrowił Andrzeja, przyciskając pięść do piersi. - Tymczasem nie wychylaj się. Otacza nas zatrzęsienie Saracenów.

Prognozy Aleca okazały się trafne. Następnego dnia przemierzyli cztery mile, nie widząc ani śladu Saracenów, potem rozbili obóz niedaleko pogórza otaczającego Górę Karmel, a kiedy o świcie zaczęli się wspinać na zbocza pierwszych wzgórz, rozpoczęły się ataki. Trwały one przez cały dzień, aż do nocy, tworząc atmosferę napięcia i niepokoju, która nie pozwoliła nikomu spać, ponieważ nigdy nie można się było spodziewać, gdzie nastąpi kolejny atak. Wróg schodził ze wzgórz zaskakująco cicho - szczególnie w nocy - małymi, lekko uzbrojonymi, zwrotnymi grupkami trzydziestu, czterdziestu łuczników dosiadających żylastych, pewnie trzymających się na nogach jemeńskich koni. Robili tak mało hałasu, że rzadko był czas na przygotowanie się przed atakiem; pojawiali się

znikąd, wzbudzając chaos i przerażenie u oddziałów, w które uderzali. Szarżowali bezwzględnie, mordując, a potem wycofywali się, zanim obrońcy mieli jakąkolwiek szansę na zebranie szyków i kontratak.

Lecz wkrótce stało się oczywiste, że ataki wcale nie są tak przypadkowe, jak się na początku wydawało. Wkrótce po początkowych napadach pierwszego dnia kampanii - ponieważ okazało się, że jest to właśnie zorganizowana kampania - zaczął się pojawiać pewien schemat. Kiedy potwierdził się podczas następnych dni, wzbudził

u Franków wielką konsternację, szczególnie wśród dowódców: Ryszard i jego coraz bardziej sfrustrowani sprzymierzeńcy zaczęli w pełni uświadamiać sobie, że w obecnym stanie rzeczy właściwie nie zdołają przeciwdziałać ani nawet umknąć Saracenom.

Plan był prosty, a jego wykonanie niezwykle skuteczne. Śmierć każdego frankońskiego rycerza czy żołnierza była przypadkową, miłą niespodzianką. Głównym celem każdego nalotu były wielkie angielskie, flamandzkie i niemieckie rumaki bojowe, na których frankońscy rycerze jechali do boju. Frankowie byli oburzeni tym, że Saraceni obrali sobie za cel ich bezbronne zwierzęta, a biskupi i arcybiskupi doprowadzili się do stanu histerii, potrząsając kropidłami i obrzucając klątwami oraz groźbami wiecznego potępienia tych podłych niewiernych, którzy zniżali się do tak godnych pogardy nizin niegodziwości. Lecz - jak zwrócił uwagę Andrzejowi Sinclair podczas ich kolejnego spotkania - zachowanie Saracenów było po prostu praktyczne i godne podziwu.

Powiedział, że będąc na ich miejscu, chciałby być na tyle mądry, aby wpaść na to samo. Pół godziny wcześniej Saint Clair został trafiony strzałą - odbiła się od mankietu jego rękawicy i spowodowała li tylko chwilowo odrętwienie ręki - i nie spodziewał się, że usłyszy cokolwiek podobnego z ust kogoś, kto walczył po jego stronie. Natychmiast wyraził swoje myśli.

- Wiem, że podziwiasz naszych wrogów, kuzynie, lecz czy musisz im kibicować? Co, na Boga, jest godne podziwu w zabijaniu setek koni?

- Wszystko, jeśli spełnia to twoje potrzeby. Pokaż mi swój nadgarstek. Możesz chwycić miecz?

- Mogę chwycić wszystko, co muszę chwytać. Z moim nadgarstkiem i ręką wszystko jest w porządku. Tu chodzi o moje oburzenie.

- Fe! Myślisz o tym jak jeździec, Andrzeju, a i tak masz słabość do ładnych koni. Saraceni czuliby się tak samo, gdybyśmy atakowali ich wierzchowce. Lecz spójrz na to z praktycznego punktu widzenia. Nasi rycerze krzyżują Saracenom szyki... dziś nawet bardziej niż cztery lata temu podczas bitwy pod Hattinem... ponieważ nasze zbroje i kolczugi są mocniejsze i cięższe. Jak widać na przykładzie twojej rękawicy, ich strzały z reguły nie potrafią ich już przebić, a w porównaniu z naszymi wierzchowcami, wspaniałymi rumakami i końmi jucznymi, ich konie sprawiają wrażenie żałosnych i śmiesznych. Każdy z naszych wierz-

chowców jest cztery, pięć razy większy od ich koni i same w sobie stanowią one oręż: przez całe życie szkoli się je, aby kopały podkutymi

stalą kopytami wszystko, co zbliży się na niebezpieczną odległość. Dlatego też kiedy ustawimy się w szyku, kolano przy kolanie, nikt nie może stawić nam czoła. To nasza mocna strona, która właściwie użyta, jest dla nich nie do pokonania, a przynajmniej tak było dotychczas... Lecz obawiam się, że w końcu dostrzegli, iż nasze największe źródło siły jest też naszą największą słabością. Przywiezione zza morza konie są niezastąpione. Tutaj cena każdego z nich wynosi jego dziesięciokrotny ciężar w złocie, ponieważ taki byłby koszt sprowadzenia nowego konia w zastępstwie. Każdy, który ginie, oznacza, że jeden rycerz zostaje bez wierzchowca i nie może właściwie funkcjonować, ponieważ nikt, kto ma na sobie frankońską zbroję i kolczugę, nie jest w stanie walczyć na piechotę. Prawdę mówiąc, chodzenie w zbroi w skwarze pustynnego słońca jest niemożliwe. Dlatego postępowanie Saracenów jest logiczne. Zabijając nasze konie, mogą pokonać nas na polu bitwy, ponieważ nie będziemy w stanie walczyć.

Andrzej siedział sztywno podczas wykładu Sinclaira. Teraz milczał z lekko rozchylonymi ustami, a jego znękany wzrok zdradzał, że zrozumiał implikacje słów Aleca.

- Spokojnie, kuzynie - powiedział Alec. - Perspektywa nie jest tak beznadziejna, jak, zdaje się, myślisz... Kiedy widzieliśmy się ostatnio, zostawiłem ci ponad pół bukłaka wina. Wypiłeś wszystko?

Andrzej potrząsnął głową, jakby budził się z lekkiego snu. -Wino?

Nie, wciąż je mam. Nieczęsto piję sam. Chcesz trochę?

- Och, nie. Zastanawiałem się jedynie, czy będziesz je trzymał, aż

wyparuje w pustynnym upale... Oczywiście, że chcę trochę. Gdzie je masz?

- Poczekaj. - Andrzej poszedł do namiotu i wyłonił się po chwili, niosąc bukłak.

Rzucił go Sinclairowi, który uniósł go i zważył w ręce, a potem spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Nie wypiłeś ani kropli.

- Nie, i bądź za to wdzięczny, ponieważ gdybym wypił, nie moglibyśmy się nim teraz cieszyć. - Usiadł i patrzył, jak Sinclair pije, nie roniąc ani kropli. - Powiedziałeś, że perspektywa nie jest tak beznadziejna, jak się wydaje. Co miałeś na myśli?

Sinclair wytarł usta grzbietem dłoni i rzucił mu bukłak.

- Wiemy już, co knują. To miałem na myśli. Sama ta wiedza jest częścią naszej linii obrony. Od jutra nie znajdą już łatwych celów rozproszonych po naszych obozach. Jeśli zechcą zaryzykować atak na konie, będą musieli się przedostać do obstawionych strażą miejsc. Niewielu z nich ujdzie z życiem. Kiedy rozbijemy jutro obóz, wszyscy będą już znali nowe ustalenia i wprowadzone zostaną warty. Wybraliśmy już zwiadowców, którzy jutro rano wyruszą w trzyosobowych grupach przed innymi, aby znaleźć stosowne pozycje.

- Ile koni straciliśmy od początku tej kampanii?

- To zależy od tego, z kim rozmawiasz. De Troyes sądzi, że około tysiąca, lecz jest czarnowidzem. Myślę, że przesadza. Sądzę, że tak

naprawdę zginęło około pięciuset... może kilkadziesiąt więcej, może mniej.

- Zatem pięć do sześciu setek. To wielkie stado koni... i wielki zapas jedzenia, biorąc pod uwagę braki świeżej żywności, choć w tym upale mięso szybko się psuje.

- Och, zjadane jest dostatecznie szybko. Niektórzy rycerze zaczęli je sprzedawać, co niemal z dnia na dzień groziło wybuchem zamieszek, lecz Ryszard wydał proklamację, że każdy rycerz, który odda swoją koninę własnym ludziom, otrzyma za darmo zastępczego konia.

- Słodki Jezu! Musiało go to sporo kosztować.

- Niewątpliwie, lecz położyło kres targom, które mogły się rozwinąć w nieprzyjemną sytuację. W każdym razie pod warunkiem, że uda nam się utrzymać nasze pozostałe wierzchowce przy życiu, nie brakuje nam koniny.

- No cóż, paszy i wody jest coraz więcej, zauważyłem, że otaczające nas tereny zmieniają się, a roślinność staje się coraz bujniejsza i bardziej zielona.

-Tak, a kiedy obejdziemy zbocze Góry Karmel i wejdziemy na równinę Szaron, stanie się jeszcze bardziej zielono, a wody będzie mnóstwo. To tereny bagienne, pełne zwierzyny łownej i wielkich drapieżników. Są tam lwy wielkie jak konie i lamparty rozmiarów człowieka. To piękne miejsce. Byłem tam wkrótce po moim przyjeździe tutaj, na długo przed Hattinem, kiedy królestwo kwitło, i czułem się jak w raju. To wtedy widziałem Arsuf.

- I widziałeś lwy?

511

Alec, słysząc podziw w głosie kuzyna, roześmiał się.

-Tak, widziałem, a jednego będę pamiętał do śmierci, wielkiego samca w kwiecie wieku, z wielką, czarną grzywą, która falowała na wietrze, kiedy szedł. Zanim go zobaczyłem, usłyszałem jego ryk i na ten dźwięk serce podeszło mi do gardła. Widziałem tam cudowne stwory, których większość ludzi nigdy nie zobaczy. Wielkie ptaki, które nie potrafią fruwać, lecz biegają szybciej od koni, i piękne, podobne do kotów stworzenia, które biegają szybciej od tych ptaków i podobno są najszybszymi zwierzętami na świecie, i dziwne, odrażające bestie zwane hienami, co jedzą ścierwo i przemykają się chyłkiem po nocy jak czające się demony, lecz mają tak potężne szczęki, że potrafią ugryźć twarz dorosłego człowieka i skruszyć jego czaszkę niczym jajko. Gwarantuję ci, że je zobaczysz, ponieważ roją się wszędzie, nawet za dnia, a dopóki trwa wojna i dookoła zalegają zwłoki ludzi i koni, dopóty te stworzenia będą miały się świetnie.

Kilku starszych oficerów Andrzeja zgromadziło się dookoła kuzynów, słuchając chciwie, z rozjarzonymi oczami. Andrzej obejrzał się na najrosiejszego z nich i uśmiechnął szeroko.

- Słyszałeś, Dziku? Bagna i mnóstwo wody. Trudno uwierzyć w istnienie tego miejsca, czyż nie?

- Może i trudno uwierzyć, ale to prawda - potwierdził Alec. - Ale nie myślcie, że moglibyście się kąpać w tamtejszej wodzie. Wiecie, co to

krokodyl?

Andrzej potrząsnął głową, lecz Dzik podniósł dłoń.

- Ja chyba tak. Czy to nie jest jakaś ogromna jaszczurka?

-Właśnie tak. Gigantyczny jaszczur, który może osiągnąć długość dwóch dorosłych mężczyzn, ma zęby długości twojego palca i tak długie jak twoje ramię szczęki, co potrafią przepołowić człowieka. Nie wiem, czy to prawda, lecz słyszałem, że te bestie nie potrafią się wypróżniać jak inne zwierzęta, więc po posiłku... czy zjadły człowieka czy zwierzę... leżą sparaliżowane na brzegu, aż go strawią, a potem inne gady wpełzają im do pysków i wyjadają resztki. Zatem człowiek pożarty przez taką bestię jest dwukrotnie jedzony przez gady. Trzymajcie się z dala od wody, przyjaciele.

- Dość, kuzynie, przez twoje opowieści moi oficerowie nie będą mogli dziś zasnąć. Chodź, odprowadzę cię do namiotu.

512

Kolejne pięć dni upłynęło na powolnym, miarowym marszu. Napady na konie prawie ustały, a ludzie niemal się przyzwyczaili, że wszędzie dookoła widać było połacie otwartej wody i dziwne, egzotyczne stworzenia. W armii panowało wysokie morale i pełna dyscyplina, a każdego dnia narastała nieokreślona atmosfera wyczekiwania, podsycana nieprzerwanym potokiem pogłosek i plotek: Saladyn szykuje się do zaatakowania ich podczas marszu; Saladyn skupia swoje siły w lesie otaczającym Arsuf, cel ich marszu, a kiedy się zbliżą, podpali las; Saladyn zebrał w całym imperium łuczników oraz niezliczone wozy pełne

strzał i zamierza zmieść siły frankońskie z powierzchni ziemi za pomocą niekończącego się gradu pocisków, którego ten pod Hattinem był zaledwie przedsmakiem. Niezależnie od tego, czy pogłoski te miały się sprawdzić, żołnierze nie mogli wątpić w to, co widzieli na własne oczy - wszędzie dookoła widać było saraceńskich jeźdźców. Znajdowali się poza zasięgiem strzał, lecz niedaleko, i nie robili wrażenia zniechęconych rozmiarami frankońskiej armii.

Tego dnia rozbito obóz na wybrzeżu, sześć mil na północ od Arsuf, blisko ujścia rzeki. Za obozem, od strony lądu, znajdowało się ogromne i niemożliwe do przebycia bagno, wszyscy więc osiedlili się z większym poczuciem bezpieczeństwa niż zazwyczaj, a Andrzej postanowił poszukać kuzyna, ryzykując spotkanie z Ryszardem.

Po królu nie było ani śladu, lecz znalazł Aleca, który siedział przy składanym stole i czytał jakiś dokument w świetle świec. Sinclair podniósł oczy, a na jego twarzy pojawił się szeroki, powitalny uśmiech. Poderwał się i dał znak urzędnikowi siedzącemu przy sąsiednim stole, aby schował pergaminowy dokument. Po chwili byli już na świeżym powietrzu, a kiedy oddalali się szybkim krokiem od dwóch wielkich pawilonów stanowiących centrum głównego obozu, Andrzej zachichotał.

— Moi oficerowie słuchali uważnie każdego twojego słowa, kuzynie, kiedy opowiadałeś o legendarnym krokodylu, i miałem zamiar przy następnym spotkaniu zapytać cię, gdzie usłyszałeś takie bajki. Lecz potem zobaczyłem te stwory na własne oczy. Wątpię, czy kie

dykolwiek widziałem coś równie złowrogiego jak te potwory sunące po błotnistym brzegu i wślizgujące się do wody. Są absolutnie odrażające!

- Tak, są brzydkie i przerażające. - Alec zawahał się, rozglądając się

dookoła, a potem wskazał w lewo. - Chodźmy tam. Niemal przegapiłem to miejsce, lecz jest tam oboźny, który ma u mnie wielki dług. Dostarczyłem mu dziś trzy wielkie, świeże, zastrzelone tego ranka przy drodze antylopy, a przypomniało mi się, że być może ma wśród swoich zapasów niepotrzebny bukłak wina.

Znaleźli oboźnego bez trudu, podążając po prostu za zapachem chleba, którego wielkie ilości pieczono w wielu przenośnych glinianych piecach, załadowywanych i rozładowywanych każdego dnia marszu. Okazało się, że ma on nie tylko wolny bukłak wina, ale nawet kubki, stół i dwa krzesła, stojące w małym namiocie zarezerwowanym na jego własny użytek, a kiedy tylko kuzyni usiedli, pojawił się ponownie, niosąc półmisek świeżo upieczonego chleba i plastrów zimnego mięsa. Kiedy skończyli jeść, Sinclair beknął cicho i otarł usta dłonią.

- Właśnie tego mi było trzeba - mruknął. - A co z tobą? Dlaczego postanowiłeś mnie dzisiaj poszukać?

- Ponieważ nie miałem nic innego do roboty i miałem na to ochotę. Dlaczego pytasz?

- Z ciekawości. — Sinclair znów wytarł usta, tym razem dokładniej. - Kiedy się pojawiłeś, właśnie miałem iść cię szukać. Dokument, który

czytałem, to mój raport z tego, co powiedziano wcześniej na radzie oficerów. Mam dla ciebie zadanie, jeśli zechcesz się go podjąć. Nie mogę ci tego rozkazać. — Zawahał się i wzruszył ramionami. — No cóż, może i mógłbym, ale nie miałoby to sensu, ponieważ nie byłbyś zobowiązany się tym zająć.

- O co chodzi? Czy zadanie jest wykonalne?

- Masz na myśli to, czy zginiesz, wykonując je? Kuzynie, od śmierci twojego ojca jesteś całą moją rodziną. Nie chcę cię stracić. Zadanie musi wykonać ktoś, kto zna arabski i potrafi się przemieszczać wśród wrogów, nie dając się nakryć i zidentyfikować jako jeden z nas. Mamy wielu ludzi, którzy mogliby się go podjąć, głównie Arabów, lecz żadnemu z nich nie chciałbym powierzać misji o tak... delikatnej naturze. Zamierzałem sam to zrobić, lecz de Sabie dowiedział się i zabronił mi. Wygląda na to, że będzie miał jutro dla mnie inne zadanie.

- Mianowicie?

- Mam dowodzić częścią templariuszy.

- Dobrze. Świetnie. Ten człowiek wykazuje nawet więcej zdrowe go rozsądku, niżbym się spodziewał. Powiedz, czego ode mnie ocze kujesz.

-Jesteśmy sześć mil od Arsuf. Chcę, żebyś przeprowadził zwiad i upewnił się, że ludzie Saladyna nie zajęli miasta przed nami. Saint Clair zmarszczył brwi.

- Dlaczego miałoby to mieć teraz znaczenie? Przebyliśmy całą tę

drogę, aby zaatakować miasto. Chcesz mi powiedzieć, że nikt nie przewidział, iż może być okupowane? Nie wierzę.

-1 słusznie, bo nie to chcę powiedzieć. Chodzi o to, że być może stan rzeczy będzie się znacznie różnił od naszych oczekiwań. Od trzech dni zaszły ogromne zmiany w rozmieszczeniu zastępów wroga i wygląda na to, że ich kulminacja nastąpiła dzisiaj, podczas serii manewrów, których nawet nie próbowali ukrywać. Ryszard jest teraz przekonany, że mają zamiar jutro stanąć z nami twarzą w twarz i spróbują sprowokować nas do walki na ich warunkach. Saladyn bardzo potrzebuje zwycięstwa dla odzyskania wiarygodności, a niektórzy mówią, że od czasu... i z powodu... kapitulacji Akki trudno mu utrzymać dyscyplinę w swoich zastępach. Ryszard sądzi zatem, że zaszliśmy tak daleko, jak Saladyn mógł nam pozwolić, nie walcząc z nami. Z tego powodu rozbiliśmy tutaj obóz: na tyłach mamy bagno i nie zostaniemy stamtąd zaatakowani. Dlatego też obecność saraceńskiej jazdy stała się tak widoczna. Według Ryszarda będą napierać na nas coraz bardziej, bez litości, aż staniemy do walki, nie mając najmniejszej ochoty brać udziału w gierkach Saladyna. Bez wątpienia ma nadzieję, że sprowokuje nas do popełnienia takiego szaleństwa, jakie wielokrotnie zdarzyło się de Ridefortowi, kiedy na próżno atakował podobne do dryfującego dymu, ruchliwe oddziały. Ale sam zobaczysz, Ryszard się na to nie nabierze. Nie da się sprowokować. Zamierza odtąd postępować bardzo ostrożnie.

- Rozumiem. Na jakiej zatem zasadzie opiera się ta wielka ostrożność Ryszarda?

- Zdyscyplinowany marsz w zwartym szyku i brak reakcji na prowokacje wroga, aż sam Ryszard uzna, że nadszedł właściwy moment. Kolejność marszu od razu się zmieni, podzielimy się na pięć armii.
- W jaki sposób?
- Templariusze wciąż tworzą straż przednią, więc dla nas zmiany

będą niewielkie. Dołączy do nas armia Turkopoli, która wcześniej zajmowała pozycję w centrum, co może nam tylko pomóc.
Andrzej pokiwał głową, ponieważ Turkopole byli wspaniałymi wojownikami, wychowanymi na miejscu i wyszkolonymi w lekkim, zwrotnym sposobie walki, którego używała saraceńska jazda.
- A za nami?
- Wasale Ryszarda z Akwitanii, Poitou i Andegawenii, a także jego bretońscy rekruci. Ich dowódcą będzie Gwidon.
- Gwidon de Lusignan?
- Ten sam. Podobno nabiera talentu taktycznego. Za nimi, w środku, będą Normanowie i Anglicy z głównym sztandarem. Tylną straż tworzą Francuzi wspierani przez szpitalników oraz zbieranina syryjskich baronów i ich rekrutów. Dowodzi tam Henryk z Szampanii i jest z nim Jakub d'Avesnes, więc straży *tylne]* nie będzie brakowało siły.
- To tylko cztery armie. Powiedziałeś, że ma być pięć.
- Tak, piąta będzie mała, lecz bardzo widoczna. Sam Ryszard i Bur-gundia, wspierana przez starannie wyselekcjonowaną kadrę wybitnych rycerzy z różnych jednostek. Będą jeździć tam i z powrotem

wzdłuż całej linii marszu, pokazując się i dodając żołnierzom sił oraz wsparcia.

- Jeśli to wszystko prawda, dlaczego ktoś ma jechać do Arsuf?

- Ponieważ przeszliśmy sześćdziesiąt dwie mile i tylko sześć dzieli nas od celu, a jeśli będziemy zmuszeni walczyć co krok po drodze, jak podejrzewa Ryszard, dotarcie do Arsuf nabierze wielkiego znaczenia, a ostatnią rzeczą, jakiej nam trzeba, jest odkrycie, że miasto jest silnie ufortyfikowane i nie możemy się do niego dostać. Dlatego musimy wysłać tam kogoś, kto oceniłby sytuację i złożył nam raport. Jeśli miasto już zostało opanowane i ufortyfikowane, zaakceptujemy to i nie będziemy robić z tego tajemnicy. Jeśli jednak nie, być może wyślemy specjalną grupę, która będzie miała je zająć do naszego przybycia i bronić go przed Saladynem.

- Kiedy mam wyjechać?

- Właściwie to natychmiast, nocując po drodze. Powinieneś zabrać ze sobą jakiegoś godnego zaufania towarzysza. Znasz kogoś takiego?

- Ciebie, ale *ty* nie możesz pojechać. Jeśli chodzi o innych, nie mówią po arabsku i nie mogą uchodzić za nikogo poza tym, kim są, czyli

Frankami. Będę musiał jechać sam. Ale jestem już dużym chłopcem i nie pierwszy raz będę spał sam na kocu pod gwiazdami.

- Lepiej, żeby i tak jeden z nich pojechał z tobą, przynajmniej na pierwszy etap podróży, ponieważ powinieneś przekształcić się w Sara-cena, zanim znajdziesz się wśród nich, a nie powinieneś z kolei

jechać przez ten motłoch w stroju wyznawcy Allaha. Załadujesz więc arabski strój, oręż i inne potrzebne rzeczy na konia jucznego i przebierzesz się, kiedy już znajdziesz się bezpiecznie poza zasięgiem wzroku. Masz wszystko, czego potrzebujesz?

- Nie, nie tutaj. Mam saraceński strój, lecz oręż i zbroję zostawiłem wraz z twoim w jaskini między kamieniami.

- Hmm. Zobacz się z Konradem, zbrojmistrzem. Da ci wszystko, czego sobie zażyczysz, z łupów.

- Dobrze, lecz jeśli mam wziąć konia jucznego, nikt nie musi jechać ze mną. Wezmę arabskiego muła. Wtedy będę mógł wziąć swoją zbroję, bo powiem ci szczerze, nie mam ochoty ryzykować galopowania jutro z powrotem do obozu, być może w środku potyczki, w stroju muzułmańskiego wojownika.

Alec się skrzywił.

- Masz rację. No dobrze, weź muła i nieś własny strój. Jeśli ktoś cię przyłapie, i tak będziesz miał kłopoty, więc nie zrobi to różnicy.

- Przyjemna myśl... dziękuję. Kiedy mam wrócić?

-Jutro po południu. To da ci czas na spokojne i dokładne przyjrzenie się miastu, a potem, jeśli nie zostało jeszcze zajęte, będziesz mógł zostać na miejscu i się upewnić, czy wróg się nie szykuje do zajęcia go porankiem. Oczywiście jeśli się okaże, że już jest okupowane, masz tylko ocenić siłę garnizonu i jak najszybciej wrócić. Droga powrotna będzie krótsza i mogę cię zapewnić, że znajdziesz nas bez trudu. Dotarcie do nas może być zupełnie inną kwestią, lecz znaleźć nas

powinno być bardzo łatwo.

- Rozumiem, co masz na myśli. Zatem powinienem się zbierać.

- A jeśli chodzi o uchodzenie za kogoś innego, pamiętaj, żeby zabrać jednego z arabskich koni, a nie frankońskiego rumaka.

- Jestem ci niezmiernie wdzięczny, kuzynie. Gdyby nie przyszło ci to do głowy, mógłbym pojechać między Saracenów, nie podejrzewając, że się zdradziłem. Spij dobrze, a jeśli jutro zostaniesz zmuszony do walki, uważaj na siebie. Tymczasem.

517

Andrzej pochylił się do przodu, niemal stając w strzemionach i bezgłośnie popędzając swojego konia w stronę ostatniego, najbardziej stromego fragmentu wzniesienia. Jego cierpliwy muł wspinał się za nim. Droga wznosiła się nieprzerwanie od ponad mili i prowadziła w stronę grzbietu, który leżał teraz niecałe sto kroków przed nimi. Andrzej obrzucił wzrokiem grzbiet, szukając oznak ruchu. Grzbiet skarpy był nagi i tworzył kształt trzech czwartych okręgu, przypominając krawędź nadtłuczonej miski. Rysował się wyraźnie na tle nieba i był pozbawiony roślinności, a Andrzej zastanawiał się przez chwilę, jak mógł powstać, ponieważ leżąca poniżej dolina, w której się znajdował, rzeczywiście przypominała wielką miskę. Saint Clair siedział wysoko na lewym krańcu wyrwy, a za plecami, milę niżej od niego, morze rozciągało się daleko na północ i południe, zanikając we mgle. Andrzej nie miał zamiaru się wspinać na szczyt i dotarł tak wysoko tylko dlatego, że kierowało nim samo ukształtowanie terenu. Interesowało go teraz tylko

przejście z wąskiego grzbietu o urwistych zboczach, gdzie teraz się znajdował, na nachyloną łąkę po lewej. Zamierzał jechać równolegle do grzbietu i poniżej, lecz daleko ponad kimkolwiek, kto mógłby się znajdować na niższych poziomach wzgórz.

Miasto Arsuf leżało ponad dwie mile za nim, a kiedy dotarł tam tuż po świcie, okazało się, że jest opuszczone, a on i jego koń są jedynymi żywymi stworzeniami w zasięgu wzroku czy głosu. Prastara forteca o ścianach z piaskowca nie miała dachu, a Andrzej na pierwszy rzut oka zauważył, że nie próbowano jej zabezpieczyć ani przywrócić jej dawnej funkcji. Mimo to został tam cztery godziny, posłuszny rozkazom, a nawet pojechał do lasu leżącego za miastem. Choć wiedział, że puszcza ciągnie się całymi milami, przypomniał sobie pogłoski o zasadzce i zagładzie pomiędzy drzewami. Przejechał ponad milę wyraźną ścieżką, po czym doszedł do wniosku, że nic tam nie ma, a plotki były jednak tylko plotkami. Kiedy zbliżało się południe, wrócił pod mury miasta i stało się jasne, że gdyby Saladyn miał jakiekolwiek plany względem obsadzenia fortu swoimi ludźmi, najprawdopodobniej spóźnił się, ponieważ nawet w swoim normalnym tempie, wynoszącym mniej niż milę na godzinę, chrześcijańska armia będzie na miejscu najpóźniej wczesnym popołudniem. Oczywiście pod warunkiem, że w ogóle uda jej się tam dotrzeć.

Pewny, że zrobił wszystko, czego od niego oczekiwano, Andrzej

dosiadł konia i ruszył na północ, prowadząc swojego jucznego muła w

stronę zbliżającej się armii. Kiedy dotarł do najbliższego miejsca, w którym zbocze wznosiło się w kierunku grzbietu, skierował wierzchowca w prawo, schodząc ze ścieżki, i zaczął się wspinać.

Kiedy od szczytu dzieliła go tylko odległość niewiele większa niż jego wzrost, ściągnął lejce, pochylił się w siodle i gładził szyję konia, aż oddech zwierzęcia zwolnił do normalnego rytmu. Zszedł z siodła i przeprowadził zwierzęta po kolei po pasie ziemi, który, jak się okazało, był bardzo wąski, stromy i zdradliwy: poniżej znajdował się głęboki wąwóz, który otaczał grzbiet. Potem ponownie dosiadł konia i skierował się w stronę występu zasłaniającego mu leżącą poniżej dolinę. Przed nim stok opadał łagodnie przez kolejne sto kroków, a potem znów wznosił się w stronę kolejnego, niższego grzbietu, za którym Andrzej nie widział nic poza niebem. Szturchnął konia łagodnie, aby zbliżył się do drugiego grzbietu, i tym razem, kiedy do niego podchodził, usłyszał dziwny, niemożliwy do rozpoznania dźwięk, który rozlegał się w oddali, raz ciszej, raz głośniej. Zaciekawiony natarczywiej pognał konia. Oczom Andrzeja ukazał się widok, który zaparł mu dech w piersiach i sprawił, że zagapił się z otwartymi ustami na rozgrywającą się poniżej scenę, nie dbając o to, że zostanie dostrzeżony.

Na dnie doliny toczyła się bitwa, lecz już na pierwszy rzut oka, kiedy usiłował pojąć jej zasięg, dostrzegł, że jest w niej jakaś fundamentalna nieprawidłowość. Przyzwyczajenie się do nowego punktu widzenia zajęło mu chwilę, ponieważ patrzył teraz w dół z wysokości, która sprawiała wrażenie ogromnej, i wszystko wyglądało inaczej. Jednak po

kilku chwilach dotarło do niego, co jest nie tak, i w mgnieniu oka zrozumiał sytuację. Z narastającym niedowierzaniem i rozczarowaniem pojął, że po raz pierwszy w swoim życiu wojownik Ryszard Lwie Serce popełnił błąd.

Było jasne, że manewry muzułmańskich żołnierzy, które dostrzegł tego ranka - ruchy setek konnych wysoko na zalesionych zboczach wzgórz - stanowiły znaczny element ataku Saladyna, a także, że pierwsza szarża nastąpiła właśnie stamtąd.

Saint Clair stał teraz bezpośrednio nad obróconymi plecami do morza frankońskimi żołnierzami i patrzył, jak bardzo są stłoczeni i z jaką zajadłością atakują ich od góry siły Saladyna, strzelając w gęsty tłum z łuków i kusz tak szybko, jak tylko się dało. Ludzie w dolinie

stali tak blisko siebie, że napastnicy stojący powyżej nie musieli nawet celować. Każdy pocisk, nawet niestarannie wystrzelony, trafiał w cel, a uniesione tarcze frankońskich rycerzy tworzyły coś na kształt ochronnego dachu.

Po prawej Saint Claira prosta, wąska rzymska droga ciągnęła się w stronę leżących za bagnem terenów, na których armia Ryszarda spędziła noc. Andrzej widział, że droga jest przejezdna i nie widać na niej ani śladu pułapki czy zasadzki, która mogłaby powstrzymać Franków od wycofania się w tym kierunku. Jednak z drugiej strony, na południu, droga znikała w tunelu drzew około pół mili od miejsca, w którym zatrzymali się Frankowie, i leżące na niej ciała - ludzkie i końskie -

świadczyły o tym, że to stamtąd zaatakowali muzułmanie, wypadając z tunelu i pędząc w dół przez las rosnący ponad drogą.

Z punktu widzenia Andrzeja wszystko robiło wrażenie niewielkiego, lecz on wiedział, że frankońskie szeregi są największą zebraną tam cudzoziemską armią od czasów rzymskich, otoczoną z trzech stron znacznie liczniejszymi od niej zastępami. Frankońscy żołnierze byli tak ściśnięci, że niektóre kontyngenty nabrały wyglądu jednolitych kolorowych plam. Najbardziej zwracała uwagę upstrzona czerwienią biała masa templariuszy - wciąż tworzyli oni straż przednią i znajdowali się teraz po prawej stronie szyku — oraz zwarta, czarna plama szeregów szpitalników z tylnej straży, obecnie stojących po lewej. Między nimi widać było błękit i złoto francuskich rycerzy, lecz to zakony rycerskie wyróżniały się najbardziej.

Od początku marszu z Akki do Jerozolimy Ryszard twierdził uparcie, że nie popełni tych samych błędów, które skazały jego poprzedników na klęskę w walce z Saladynem. Żywił do kurdyjskiego sułtana ogromny szacunek i nie lekceważył go. Z punktu widzenia Ryszarda największą słabością frankońskich armii w ostatnich latach była skłonność do atakowania wroga bez namysłu. Nad przerażającym kosztem ataku zastanawiano się dopiero po fakcie. Ryszard nie miał złudzeń co do tej taktyki i tego, skąd się wzięła, a mianowicie uporczywej, głupiej arogancji templariuszy i szpitalników. Nie byli oni po prostu w stanie uwierzyć, że kiedykolwiek może zaistnieć sytuacja, w której powinni się zawahać przed zaciekłą walką: cały czas modlili się przecież do Boga,

który tak pewnie stał po ich stronie. To, że wróg dokładnie wiedział, jak sprowokować takie szarże, a potem jak unikać ich i czynić

spustoszenia wśród samobójczych chrześcijan, kiedy ci ich mijali, nie miało znaczenia dla dowódców zakonów. Gonili za chwałą — przede wszystkim swoją, a przy okazji także Boga.

Ryszard postanowił ukrócić ten zapał i krótko trzymał swoich podwładnych. Przez całe życie walczył z bezwzględnymi, zdeterminowanymi, ambitnymi wrogami i żadnego z nich nie szanował bardziej niż Saladyna. Dlatego też nalegał na to, aby armia maszerowała powoli oraz miarowo po opuszczeniu Akki, i trzymał swoich rycerzy pod stałą kontrolą, ustawiwszy ich w zwartych, obronnych formacjach, które, jak uważał, będą odporne na ataki muzułmanów.

Jednak teraz wyglądało na to, że król ustawił ich zbyt blisko siebie, ponieważ konni nie mieli miejsca na manewry ani nawet na to, aby się przegrupować. Otoczona z każdej strony własnymi oddziałami piechoty, bezustannie atakowana ze wzgórz salwami pocisków jazda -która w dodatku miała za plecami tylko morze - nie mogła zrobić nic innego, jak tylko siedzieć w gęsto zbitym tłumie i czekać na zagładę. Rycerze mieli na sobie najwspanialsze zbroje na świecie, czyniące ich prawie niezniszczalnymi, lecz w uzbrojeniu zawsze są słabe punkty.

Następnie na oczach Saint Claira rozwinął się kolejny etap potyczki: zwarty oddział odzianych w czerń pustynnych nomadów zwanych Beduinami - szybko ocenił, że było ich co najmniej pół tysiąca - wy-

chynął z kryjówki w lesie i przypuścił straszliwy atak na ciasno zbite siły szpitalników, stojących na lewym krańcu frankońskiego szyku. Saint Clair patrzył z niedowierzaniem, jak szpitalnicy tłoczą się jeszcze bardziej, choć wydawało się to niemożliwe, a defensywne szyki piechoty stojące przed nimi chwieją się i zaczynają ustępować.

- Atakujcie! Wyrwijcie się stamtąd albo jesteście trupami! - wrzeszczał do nękanych ludzi, którzy nie słyszeli go ani nie widzeli, i choć miotał przekleństwa i wezwania, pojął, że nic nie zdziała. Grunt pod rzeź był gotowy. Front Beduinów dotarł do najbardziej wysuniętych szeregów tylnej straży, a potem jeźdźcy zatrzymali konie i zeskoczyli z nich, aby zaatakować zwartą grupą tych, których z jakiegoś powodu uznali za najsłabszą część zastępów wroga. Saint Clair potrafił wyobrazić sobie ich ciemne, dzikie twarze, kiedy mknęli przed siebie, wymachując przerażającymi bułatami. Spośród saraceńskich wojowników Beduinów Frankowie bali się najbardziej.

Andrzej, który nawet nie wiedział, kiedy zszedł z konia, zaczął

zszarpywać z siebie arabskie szaty, aż został tylko w białej, wełnianej przepasce na biodra noszonej przez templariuszy. Podszedł do muła powoli, aby go nie wystraszyć, i włożył strój templariusza wraz z białą opończą ozdobioną czerwonym krzyżem. Teraz, kiedy postanowił zginąć wraz ze swoimi towarzyszami, poruszał się szybko, nie chcąc tracić czasu choćby na zerknięcie na to, co dzieje się poniżej. Zajęty paskami i wiązaniami kolczugi oraz kirysu przegapił pierwsze główne

momenty dalszego rozwoju sytuacji i dopiero kiedy się wyprostował, aby wsunąć przez głowę pas do noszenia miecza, zobaczył, że cos' się zmieniło. To obudziło jego czujność; wepchnął muzułmańskie szaty i oręż do skórzanych juków niesionych przez muła, szybko podszedł do konia i wspiął się na siodło. Wlepiając wzrok w rozgrywającą się poniżej scenę, zobaczył przemianę, która wprawiła go w osłupienie.

Cokolwiek się stało, wyraźnie widać było, że zaczęło się to od szpi-talników, którzy złamali szyk i przebili się przez obronne szeregi własnej piechoty, aby zaatakować Beduinów, walczących teraz głównie pieszo. Lecz przełom nie skończył się na szpitalnikach, ponieważ na oczach zaabsorbowanego Saint Claira frankońska jazda wyłamała się ze swoich szeregów, tworząc niemożliwą do pokonania, przemożną falę - Andrzej nie potrafił znaleźć na to, co się działo, innego słowa - która wezbrała aż do prawej strony szyku, tak że templariusze ruszyli do ataku prosto na wroga. Wnioskując ze sposobu, w jaki Sa-raceni cofnęli się przed szturmem, wyraźnie nie byli przygotowani na taki kontratak.

Nawet z odległości, z jakiej patrzył Saint Clair, było jasne, że sytuacja zmieniła się niespodziewanie i całkowicie.

Szyki Saracenów, jeszcze przed chwilą tak wyraźnie triumfujących i pewnych siebie, teraz chwiały się i kotłowały w zamęcie. Wróg nie był w stanie utrzymać pozycji w obliczu tego, co musiało wydawać mu się prawdziwą eksplozją ciężkiej jazdy. Saint Clair nie wiedział, co stało się z szeregami piechoty oddzielającej rycerzy od Saracenów, czy została stratowana podczas ataku, czy udało jej się wśliznąć pomiędzy

jeźdźców, lecz frankońskie siły nacierały nieustannie. Potem oddział, który zaatakował tylną straż, po prostu rozproszył się, a Beduini zaczęli uciekać na wszystkie strony przed ogromnymi wierzchowcami szpi-talników, lecz ci nie pozwolili im zbiec. Strach i frustracja, które czuli od tylu godzin, znalazły ujście w postaci szału żądzy krwi oraz rzezi. Mordowali przeciwników tysiącami, podczas gdy obłęd rozprzestrze-

niał się na południe, na prawą stronę szyku. Saraceni uciekali, zdjęci całkowitą paniką, a sułtan nie był w stanie ich zatrzymać ani nawet podjąć próby ponownego zebrania swoich sił.

Teraz Saint Clair słyszał, że z dołu dobiegają inne dźwięki, i wiedział, że patrzy z lotu ptaka na największy pogrom w historii wojen w Królestwie Jerozolimskim. Jeźdźcy zbierali się w grupy, goniąc uciekających Saracenów w stronę skraju lasu leżącego na południu, lecz zanim udało im się wjechać między drzewa, szeregi jadące na czele zostały zatrzymane i zaczęły się kotłować w miejscu, już rozpoczynając przegrupowanie. Andrzej dowiedział się potem, że to sam Ryszard powstrzymał pogoń, pamiętając o lekcjach, których zdążyły go nauczyć zbyt gorliwe pościgi za umykającym wrogiem. Miał też usłyszeć wiele relacji o bohaterstwie, jakim wykazał się król podczas najcięższych walk, które nastąpiły po złamaniu szyków; wierzył we wszystkie bez wyjątku. Na razie jednak siedział sam w siodle na wzgórzu i patrzył, jak armia przegrupowuje się wzdłuż drogi, aż zdał sobie sprawę, że

żołnierze zaraz wznowią marsz na południe, w stronę Arsuf. Wtedy, czując nietypową dla siebie rados'ć ze zwycięstwa, spiął konia ostrogami i ruszył w dół, aby dołączyć do swoich towarzyszy.

Pół godziny później sfrustrowany i coraz bardziej niecierpliwy Andrzej wciąż znajdował się daleko powyżej wlokącej się armii: zmierzał w złym kierunku i nie mógł nic na to poradzić. Odkrył, jak prawdziwe jest najstarsze porzekadło tych, którzy wspinają się na góry - zejść z wysokiego wzniesienia jest o wiele trudniej, niż na nie wejść. Spadek wzgórza sprawiał, że Andrzej musiał podążać na północ. Droga na południe była po prostu zbyt niebezpieczna. Zwierzęta zaryły się kopytami i stały nieruchomo na sztywnych nogach, wzbraniając się przed zbliżeniem do urwistego zbocza. Choć Andrzej nie nawykł do zauważania takich detali, szybko dostrzegł, że każda część tego stoku zauważalnie opada w prawo. Zacisnął więc zęby i skoncentrował się na bardzo ostrożnym posuwaniu się do przodu. Zmuszał się do analizowania wszystkiego, co działo się poniżej, nie chcąc pozwolić sobie na to, aby jeszcze bardziej wezbrał w nim bezcelowy gniew. Ktoś, najprawdopodobniej sam Ryszard, najwidoczniej podjął de-

cyzję, aby główna część armii dalej szła na południe, do Arsuf. Saint

Clair przyznał w myślach, że to właściwy wybór, ponieważ oczywiste było, że obecna pozycja armii - długi, zatłoczony i ciasny pas zbocza pomiędzy drogą a morzem - jest niemożliwa do utrzymania. Andrzej nie dziwił się, że po napięciu, którego tam zaznali, chcieli jak najszybciej

opuścić to miejsce: niemal cała armia, przegrupowana i podzielona na wyraźne formacje, maszerowała miarowo i o wiele szybciej niż po wyruszeniu z Akki, pewna, że Saraceni nieprędko wrócą.

Odcinek drogi poprzedzający granicę z lasem był zatłoczony, a na największej połaci ziemi między drogą a morzem dowódcy oddziałów i oficerowie formowali kolejne jednostki, które dołączały do marszu, zajmując miejsce za mijającymi je szeregami, w miarę jak tworzyła się dla nich wolna przestrzeń. Andrzej widział, że cały proces przebiega sprawnie, a ewakuacja postępuje gładko, lecz najbardziej znaczącą i niezwykłą rzeczą, która rzuciła mu się w oczy, kiedy się zbliżał do pola bitwy, była liczba ofiar, szczególnie wśród Saracenów.

Wyglądało na to, że wszędzie w zasięgu wzroku leżą tysiące martwych i rannych muzułmanów. Kiedy Andrzej przyglądał się im, dostrzegając, że padali całymi grupami, w jego myślach pojawiło się wspomnienie z dzieciństwa: pole przed domem jego ojca w Poitou, widziane pewnego popołudnia podczas żniw, kiedy wszyscy przerwali pracę, aby zjeść południowy posiłek, a rzędy żyta - już skoszone, lecz jeszcze nie zebrane i nie powiązane w snopy - tworzyły wyraźne wzory na ściernisku. Wśród ofiar dostrzegł bardzo niewielu Franków, co go zaskoczyło, ponieważ znajdował się teraz ponad najbardziej wysuniętą w lewo częścią szyku, tylną pozycją zajmowaną przez szpitalników, a czerń i biel ich strojów była z góry wyraźnie widoczna. Wyglądało jednak na to, że na każdego chrześcijanina leżącego na polu przypadało dziesięciu lub więcej muzułmanów.

Dotarł do miejsca, gdzie - o dziwo - rzeźba terenu się zmieniła, co pozwoliło mu na chwilę zawrócić wierzchowca i podążyć na południe, w stronę pola bitwy. Wtedy całkiem niespodziewanie znalazł się w zasięgu głosu ciągnącej się poniżej drogi, na której świeccy bracia Zakonu szpitalników pilnie zajmowali się tym, na czym znali się najlepiej: opatrywaniem ran. Kilku odzianych w czerń rycerzy-mnichów jeździło tam i z powrotem, nadzorując wysiłki wielkich, zorganizowanych grup piechoty, które oddzielały żywych od martwych i chrześcijan od muzułmanów, zanosząc rannych Franków na pustą przestrzeń koło

drogi, a muzułmanów nieco dalej, blisko brzegu morza. Andrzej dostrzegł tam kolejnych szpitalników, którzy zajmowali się niewiernymi tak samo, jak ich bracia zajmowali się ich towarzyszami broni.

-Ty tam! Templariuszu! Stój.

Saint Clair ściągnął lejce i zobaczył, że mówiący, a właściwie krzyczący, to szpitalnik, któremu towarzyszyła para kuszników mierzących do Andrzeja z ciężkich arbalet. Puścił lejce i uniósł dłonie nad głowę.

- Zejdź. Powoli.

Andrzej opuścił dłonie i nakłonił swojego konia, aby ruszył do przodu i w bok, a potem ostrożnie zszedł najłatwiejszą drogą. Wyraźnie czuł wycelowane w siebie arbalety. Rycerz uważał go zapewne za dezertera lub tchórza, który schronił się w wysokich rejonach wzgórz, chcąc uniknąć śmierci, więc nie miałby oporów przed wydaniem rozkazu do bezlitosnego zastrzelenia go. W końcu Andrzej dotarł do drogi i

stanął oko w oko ze szpitalnikiem.

- Kim jesteś i co tam robiłeś? Uważnie dobieraj słowa.

Andrzej nie próbował się uśmiechać lub zachowywać ujmująco.

- Nazywam się Andrzej Saint Clair i próbowałem wrócić do mojej jednostki. Nasz wielki mistrz, de Sabie, wysłał mnie wczoraj wieczorem na zwiad do Arsuf, abym się upewnił, czy nie jest okupowane. Wysłał mnie, ponieważ znam arabski i potrafię się przebrać za muzułmanina. Szaty i oręż, które miałem tam na sobie, są tutaj, w torbach niesionych przez muła. Możesz sprawdzić, jeśli chcesz.

- Czy Arsuf jest okupowane?

- Nie, lecz teraz nie ma to znaczenia. Ludzie Saladyna przestaną uciekać dopiero wtedy, kiedy znajdą się daleko na południe od Arsuf.

- Hmm. - Szpitalnik wskazał muła ruchem głowy. - Pokaż mi, co jest w torbach.

Chwilę później przyglądał się ze zmarszczonymi brwiami okrągłej saraceńskiej tarczy.

-Tak. No cóż, chyba powinienem ci uwierzyć, Saint Clair, lecz muszę wysłać cię do mojego przełożonego, sir Pierre'a Saint Juliena. Gdybyś był na moim miejscu, musiałbyś zrobić to samo.

- To prawda. Gdzie mam go szukać?

Szpitalnik odwrócił się do człowieka po swojej prawej, który już dawno opuścił arbaletę.

- Zaprowadź go do Saint Juliena. - Znów zerknął na Andrze-

ja. - Niech Bóg będzie z tobą, Saint Clair, i powodzenia. - Uniósł rękę i zawrócił, krzycząc już na pracujących niedaleko ludzi.

Saint Julien przyjął Andrzeja jeszcze szybciej niż jego podwładny. Kiedy sprawdzał pospiesznie zawartość jego toreb, minęła ich grupa ludzi niosących pięciu rannych szpitalników na prowizorycznych noszach.

- Ilu straciliście? - zapytał Andrzej.

Saint Julien się skrzywił.

- Mniej, niżbym się spodziewał. Nasz wielki mistrz pojechał wykłócać się z królem Ryszardem, błagając go, aby nas wypuścił, lecz Ryszard odmówił. Szarża nastąpiła w końcu dlatego, że dwaj czy trzej nasi rycerze po prostu nie wytrzymali i ruszyli... A cała reszta za nimi. To się po prostu stało, a potem wszyscy się przyłączyli. Nie wiem, co się działo w innych oddziałach, lecz zdziwiłbym się, gdybyśmy stracili więcej niż pół setki ludzi... zarówno rycerzy, jak i piechoty.

- Zatem na każdego, którego straciliście, przypada pewnie dziesięć ofiar wroga.

- Och, więcej, bo kiedy złamaliśmy szyk, ludzie wpadli w szał. Nie okazywali łaski i nie mieli litości. Siekli wszystko, co się przed nimi ruszało. Ach! Coś tam znaleźli. Szczęść Boże, panie templariuszu.

Andrzej jechał dalej bez przeszkód, cały czas się dziwiąc, jak wielu martwych i rannych muzułmanów leżało dookoła: w wielu miejscach widać było *stosy* zwłok wysokości wyprostowanego człowieka. Ludzie, których zadaniem było uprzątnięcie po rzezi, nie mieli mu nic do

powiedzenia i bardzo niewiele sobie nawzajem. Zdążyli już popaść w apatię i mieli tępy wzrok; zaniemówili z przerażenia spowodowanego swoją potworną, monotonną pracą oraz stanem zmasakrowanych, pozbawionych kończyn ciał, którymi musieli się zajmować, otoczeni jękami i fetorem dręczonych niewymownym cierpieniem ludzi. Od czasu do czasu Andrzej mijał martwego człowieka, który różnił się od innych dzięki szatom i insygniom, lecz uderzyła go głównie jed-nostajność całej sytuacji i żałosny brak godności stert zwłok. Widział tyle bezgłowych ciał i tyle odciętych głów, ramion i nóg, że pomyślał, iż może nigdy już nie będzie w stanie usiąść w siodle i chwycić za miecz. Wśród poległych znajdowali się żywi: widział, jak niektórzy z nich się ruszają, a także słyszał ich jęki i krzyki. Gdzieś niemal poza zasię-giem jego słuchu ktoś wył szaleńczo z bólu.

526

Przemierzył już wtedy niemal całą linię bojową; ekipy porządkujące nie dotarły jeszcze tak daleko. Wcześniej była to prawa strona szyku, zajmowana przez templariuszy i wspierających ich Turkopoli. Saint Clair nie zdawał sobie wcześniej sprawy, jak bardzo ci drudzy przy-pominali wroga, ponieważ nie mieli jednolitego ekwipunku, i patrząc na porozrzucane ciała, wielokrotnie nie potrafił odróżnić jednych od drugich. Lecz wtedy, właśnie kiedy już miał się odwrócić, zauważył ruch: coś jaskrawożółtego mignęło przed linią drzew.

Była to flaga saraceńskiego oddziału, odpowiednik sztandarów niesionych przez każdą frankońską dywizję, lecz podczas gdy każda

miała własny sztandar, wszystkie saraceńskie flagi były żółte. Wielkie proporce o ogonach przypominających jaskółcze zwisały z długich, giętkich żerdzi i różniły się od siebie godłami. Sztandar znów się poruszył, nie dlatego że zawiał wiatr, lecz tak, jakby ktoś ruszał się przy nim. Kiedy flaga się rozwinęła, oczom Saint Claira ukazało się godło: kilka czarnych półksiężyców zwróconych w prawo.

Andrzej poczuł, że jego żołądek wywraca fikołka, kiedy przypomniał sobie, jak pewnego wieczora wiele miesięcy wcześniej Alec opisał mu sztandar swojego przyjaciela Ibn al-Farucha. “Pamiętaj -powiedział - jeśli okaże się, że wróg ma nad tobą przewagę liczebną lub grozi ci porażka, nie szukaj śmierci, ponieważ śmierć nic nie daje, chyba że zapomnienie dla głupców. Szukaj życia. Znajdź oddział z proporcem o pięciu półksiężycach i oddaj się w ręce jego przywódcy. To al-Faruch. Powiedz mu, że mnie znasz, że jesteś moim kuzynem, a znajdzie ci wygodny łańcuch".

Sinclair mówił o pięciu czarnych półksiężycach zwróconych w prawo. Andrzej widział proporzec zbyt krótko, aby policzyć półksiężyce. Zawrócił konia i skierował go pod górę.

Wśród zwłok koni Arabów i chrześcijan leżały na widoku ciała trzech templariuszy. Ich odziane w białe opończe z czerwonymi krzyżami ciała splatały się i były otoczone zwłokami Saracenów. Podjechał bliżej, przyglądając się ciałom rycerzy, szukając znajomych twarzy. Poczuł, jak włosy jeżą mu się na głowie, kiedy ujrzał, że człowiek leżący na wierzchu nie zginął od saraceńskiego bułata, lecz od ciosu w szyję

zadanego długim, prostym mieczem chrześcijanina. Klinga wciąż tkwiła w ranie i widać było, jak przebiła na wylot kaptur kolczy przykrywający głowę martwego rycerza. Po głowie Andrzeja kołatało

się jedno jedyne pytanie: dlaczego podczas bitwy na śmierć i życie z Saracenami jakiś chrześcijański rycerz miałby zadać swojemu bratu tak celowy i zabójczy cios.

Rycerz padł na kolana i zmarł na miejscu. Krew zaplamiła przód jego opończy i leżących pod nim mężczyzn, a kąt, pod jakim skierowany ku górze miecz tkwił w szyi, nie pozwolił mu upaść do przodu. Z bijącym szybko sercem Andrzej zszedł z konia i podszedł pospiesznie do klęczącego rycerza, odciągnął jego głowę do tyłu i przyjrzał się martwej twarzy. Nie znał jej. Andrzej popchnął rycerza mocno, tak że ten przewrócił się w bok i sturlał z leżących pod spodem ciał.

Następny człowiek spoczywał twarzą w dół na innym, przykrywając jego głowę i ramiona, lecz to ten pod spodem zadał śmiertelny cios, ponieważ ciężar odsuwającego się ciała, które odepchnął Andrzej, wyrwał mu miecz z ręki. Saint Clair schylił się, chwycił drugiego rycerza za otwory na ramiona jego kirysu i odwrócił go, aby ujrzeć, że i on jest mu obcy. Zabiły go trzy bełry, wystające na kilka cali z jego piersi.

Andrzej odwrócił się w stronę trzeciego rycerza i wydał z siebie kwilący, dziecinny okrzyk, a potem padł na kolana, gapiąc się z wykrzywioną twarzą i wyciągniętymi rękami na swojego martwego kuzyna Aleca.

Nie wiedział, jak długo tam klęczał, oniemiały, kołysząc się powoli

w pełnym udręki niedowierzaniu i patrząc, jak krew wzbiera powoli i sączy się ze strasznej dziury w zbroi nad sercem jego kuzyna.

Dopiero potem, bardzo, bardzo powoli dotarło do niego, że martwi nie krwawią.

Kiedy uświadomił to sobie, znów zaskomlił i chwycił twarz Aleca w dłonie, a wtedy Alec otworzył oczy.

- Kuzynie - wyszeptał - skąd się wziąłeś?

Andrzej siedział tylko w miejscu, pochylony do przodu, patrząc Sinclairowi w twarz, która była blada i głęboko poryta wyraźnymi, sinawymi bruzdami. Wiedział, że powinien się odezwać, odpowiedzieć w jakiś sposób kuzynowi, lecz język stanął mu kołkiem.

- Gdzie jest al-Faruch?

Pytanie było tak dziwne, że Saint Clair natychmiast oprzytomniał, a jego palce zacisnęły się na podbródku kuzyna.

- Co powiedziałeś? Gdzie jest kto?

- Ibn al-Faruch. Był tu ledwie przed chwilą. Dokąd poszedł?

Andrzej usiadł na piętach, lecz dalej pochylał się do przodu, patrząc z bliska na kuzyna i wciąż obejmując dłonią jego twarz.

— Alec, o czym ty mówisz? Al-Farucha tutaj nie ma.

- Oczywiście, że jest. Czyj to sztandar, jeśli nie jego?

Andrzej uniósł głowę, podążając za wzrokiem Sinclaira, i ujrzał żółty proporzec z pięcioma czarnymi półksiężycami i jaskółczym ogonem.

- Szybko, Andrzeju, podnieś mnie, szybko. Podnieś mnie.

Naglący ton Aleca zmusił Andrzeja do momentalnej reakcji: wstał

natychmiast, klęknął za kuzynem i chwycił go pod pachy, trzymając *ostrożnie*.

— W porządku? Czy sprawiam ci ból?

-Tak, ale niewielki. Chyba leżę na al-Faruchu, a jeśli tak, może mieć problemy z oddychaniem, więc unieś mnie i połóż z boku. Potem się nim zajmij... - Alec przerwał, łapiąc z trudem oddech, lecz mówił dalej. - Teraz ostrożnie, kuzynku. Podnieś mnie i przesuń w lewo. Zdołasz to zrobić?

— Tak, poradzę sobie - odparł Saint Clair, lecz kiedy zaczął się prostować, z gardła rannego rycerza wyrwał się krzyk protestu. Andrzej zamarł ze zgiętymi kolanami. Odniósł wrażenie, że Alec z każdą chwilą staje się coraz cięższy.

- Alec - syknął przez zęby - Alec, słyszysz mnie?

Odpowiedź nie nadeszła, a Andrzej się domyślił, że Alec zemdlał z bólu. Znów napiął mięśnie, nabrał głęboko powietrza i wypuścił je głośno, ponownie nabrał tchu, napełniając płuca do granic, i wyprostował się szybko, unosząc Aleca tak wysoko, jak potrafił, a potem bardzo ostrożnie zrobił dwa kroki do tyłu.

Delikatnie ułożył nieprzytomnego kuzyna na płasko i poprzecinał sztyletem paski oraz wiązania, które podtrzymywały rozłupaną zbroję. Obchodził się obcesowo z kuzynem, wdzięczny, że ten nic nie czuje, obracając go we wszystkie strony i zrywając z niego kolczugę, ubrania, przeszywanicę i wiązania, aż zobaczył nagą skórę i krew cieknącą powoli z rany na klatce piersiowej Aleca. Oręż, który przebił zbroję,

musiał być masywny i ostry—Andrzej zgadywał, że dokonał tego silny cios czekanem, ponieważ zarówno kirys, jak i kolczuga były przebite na wylot, a pojedyncze ogniwa i kawałki metalu wbiły się w ranę. Andrzej modlił się, aby rana nie była śmiertelna, lecz podejrzewał,

że kilka żeber zostało zmiażdżonych, a nie mógł ocenić, jakie jeszcze obrażenia odniósł jego kuzyn.

Kiedy poczuł, że nie może już nic zdziałać, podniósł się i zerknął na północ, szukając wyróżniających się czarno-białych szat szpitalni-ków, lecz żaden z nich nie pojawił się jeszcze w zasięgu wzroku, więc znów ukląkł przy kuzynie i dostrzegł, że ten zdążył oprzytomnieć. Kiedy tylko Andrzej dostatecznie się zbliżył, Alec chwycił mocno jego przedramię.

- Słodki Jezu, to bolało, kuzynie. Zemdlałem? Na pewno tak...

Miałem rację? Al-Faruch leżał pode mną?

Andrzej potrząsnął głową.

- Nie wiem, Alec. Nie miałem czasu spojrzeć. Leżałeś na kimś, na Saracenie, lecz jak mam poznać, kim był?

- Po amulecie wiszącym na jego szyi na srebrnym łańcuchu. Ciężkie srebro... Amulet jest zielony... To ulubiony kolor proroka... Czy ma amulet? Idź, zobacz.

Andrzej odsunął się i spojrzał na człowieka, który leżał pod Sin-clairem, lecz musiał poszukać, zanim znalazł cokolwiek dookoła jego szyi.

- Tak - mruknął. - Rzeźbiony amulet z bladozielonego kamienia

z łańcuchem z ciężkiego srebra.

-To nefryt, kuzynie, nefryt... Czy żyje?

- Nie, kuzynie. Sprawdziłem dokładnie i nie znalazłem pulsu.

Twój przyjaciel nie żyje. Co tu się stało?

Przez chwilę Alec wyglądał tak, jakby miał się roześmiać, lecz potem zaparło mu dech i stęknął. Oddychał z wyraźnym trudem, zmagając się z bólem ran. Andrzej poczuł, jak uścisk jego dłoni staje się na chwilę mocniejszy, a potem słabnie: wciąż był silny, lecz nie było w nim już paniki.

- Zobaczyłem go tutaj, kiedy złamaliśmy szyk. Ledwo wierzyłem własnym oczom. - Przerwał, oddychając ciężko, a Andrzej czekał, nie usiłując go popędzać. - Stał tuż przede mną. Krwawił z rany na czole. Jego koń, Duch Wiatru, leżał przy nim martwy... Miał przy sobie już tylko pół tuzina swojej straży przybocznej, a kiedy go zobaczyłem, je den z naszych ruszył, aby go zabić, lecz był nieostrożny i jakiś strażnik cisnął w niego bułatem, który uciął mu głowę... Potem ujrzałem, jak dwaj czy trzej nasi rycerze zbliżają się do al-Farucha, aby go zgładzić.

Nie miał na sobie żadnych insygniów emira, lecz w jego posturze za-wsze było cos', co odróżniało go od in...

Atak kaszlu zaczął się niespodziewanie i przez chwilę Andrzej obej-mował Sinclaira, którym wstrząsały konwulsje bólu. Usta Aleca nagle wypełniły się gęstą krwią. W końcu, kiedy atak minął, Andrzej położył kuzyna na ziemi.

- Poczekaj tutaj. Szpitalnicy są blisko. Pójdę znaleźć jednego z nich i przyprowadzę go.

Lecz kiedy spróbował odejść, odkrył, że Alec wciąż trzyma go mocno za nadgarstek i nie chce puścić. Kuzyn splunął krwią i znów się odezwał, wciąż silnym, lecz rzężącym głosem.

- Nie martw się o szpitalników, kuzynie. Nie pomogą mi. Już po mnie. Teraz słuchaj. Posłuchaj mnie... Czy mnie wysłuchasz? - Andrzej skinął głową bez słowa, a Sinclair mówił dalej. - Może ludzie będą o mnie mówić... o tym, co zrobiłem... i zapewne sprawią, żeby robiło to wrażenie haniebnego... I może takie było. Po prostu nie wiem. Na pewno nie zamierzałem tego zrobić... nie wiedziałem, że potrafię zrobić coś takiego. Ale widziałem, że al-Faruch zaraz zginie... Nie wiem, co mnie napadło, lecz on nagle padł na kolana, bez miecza, a ja zeskoczyłem z konia i stanąłem nad nim, chcąc go chyba obronić... może wziąć do niewoli... Wiem, że myślałem, iż może uda mi się odwdzięczyć mu za jego dobroć... Lecz nikt nie chciał brać jeńców. Wszyscy pałali żądzą krwi. Usiłowałem ich odepchnąć, naszych własnych rycerzy, aby wziąć go do niewoli, lecz wtedy jeden z naszych zaatakował mnie i nagle walczyłem o swoje życie z własnymi ludźmi. Dwaj zaatakowali mnie jednocześnie, a jeden z nich uderzył mnie mocno czekanem. Drugiego zabiłem mieczem. A potem pojawiłeś się ty... Mówisz, że al-Faruch nie żyje?

- Tak, kuzynie.

- Przynieś mi jego amulet, co?

Kiedy miał go już w dłoni, spojrzał na niego i stęknął, krzywiąc się z bólu, i wyciągnął go w stronę Andrzeja, który wziął go, ważąc w ręce bez słowa.

- Zrób coś dla mnie, kuzynie - wyszeptał ochryple Alec. - Kiedy będzie już po wszystkim, znajdziesz jakiś sposób na to, aby odesłać go bratu al-Farucha? - Znów nabrał z sykiem powietrza. - Słodki Jezu, boli. Na szczęście nie za bardzo... Nazywa się Jusuf. Jusuf al-Faruch...

S31

mieszka w wiosce blisko Nazaretu. - Przerwał i wstrzymał oddech na długą chwilę. — Miejsca, z którego według naszych braci chrześcijan pochodził Jezus... Jest tam oaza... gdzie rosną świetne... świetne daktyle.

- Wiem, pamiętam, jak mi o tym mówiłeś. Brat al-Farucha jest mułłą, prawda? - Andrzej patrzył na amulet, a Alec nie odpowiedział od razu. - Alec? Jusuf jest... - Lecz otwarte oczy Aleca były nierucho me i patrzyły na niego niewidzącym spojrzeniem.

- Bracie? Czy wszystko w porządku? Czy mogę ci pomóc?

Wydawało się, było to zaledwie kilka chwil później, lecz kiedy Andrzej podniósł wzrok na odzianego w czerń szpitalnika, który stał nad nim, domyślił się, że minęło wiele czasu, a on tego nie zauważył. Spojrzał jeszcze raz na Sinclaira, którego wyraz twarzy się nie zmienił, a potem wyciągnął rękę do szpitalnika.

- Możesz pomóc mi wstać, jeśli łaska. Chyba cały zdrętwiałem, ponieważ straciłem poczucie czasu. - Kiedy stał już na nogach, kiwnął głową szpitalnikowi w podzięce i wskazał nieruchomą postać leżącą

na ziemi. - To był mój krewny i najbliższy przyjaciel. Był moim ku
zynem, synem najstarszego brata mojego ojca. Chciałbym pogrzebać
go z dala od innych. Może tam, nad morzem, aby jego duch mógł
spoglądać w stronę domu. Masz łopatę?
Wypełnienie zadania, które Andrzej sam sobie narzucił, wymagało kilku
godzin katorżniczej pracy i odbycia dwóch tras, lecz teraz stał, opierając
się o długi trzonek łopaty, na ubitym piasku kilka kroków nad linią
najwyższego poziomu morza, wyżłobioną przez uderzające od lat o
brzeg pływy Morza Śródziemnego. U jego stóp znajdował się
pracowicie wykopany, głęboki grób, na tyle szeroki, aby pomieścić
dwóch ludzi obok siebie, a za nim leżały ciała sir Aleksandra de
Sinclaira i jego przyjaciela, emira Ibn al-Farucha. Andrzej podszedł do
zwłok, chwycił Sinclaira pod pachy i umieścił go przy jednym skraju
grobu, a al-Farucha przy drugim. Kiedy leżeli na miejscu, Andrzej
wyprostował się i przemówił do nich, wyjaśniając, że bardzo chciałby
potraktować ich z większą godnością, lecz że sposób, w jaki był zmu-
szony samotnie złożyć ich w ziemi, nie splami ani ich honoru, ani jego
własnego. Potem pożegnał ich w imieniu Boga, w którego obaj

wierzyli, choć pod innymi imionami, a następnie zbliżył się najpierw do
Sinclaira, a potem do al-Farucha, i sturlał ich do otwartego grobu.
Ponowne wypełnienie grobu zajęło mu mniej niż godzinę. Ubił i udeptał
ziemię, omiótł ją i rozrzucił po niej kamienie, aby w miarę możliwości
ukryć to, że pod spodem znajduje się grób, i to świeżo wykopany.

W końcu, kiedy wykonał zadanie, a słońce chyliło się ku zachodowi, usiadł ze skrzyżowanymi nogami u stóp grobu i przyciągnął do siebie kawałek żółtego materiału, który leżał na piasku. Był to ozdobiony pięcioma półksiężycami proporzec, który zwrócił jego uwagę wcześniej tego popołudnia, a na nim leżały trzy przedmioty. Pierwszym był nefrytowy amulet, który obiecał odesłać Jusufowi al-Faru-chowi. Drugim - wspaniały sztylet podarowany Sinclairowi przez Ibn al-Farucha, a trzecim sztylet samego emira, który Andrzej znalazł u jego pasa w okolicach krzyża. Wiedział, że tam go znajdzie, ponieważ kilka miesięcy temu powiedział mu o tym Alec. Teraz - trzymając po jednym sztylecie w każdej ręce — pochylił się do przodu i przemówił swobodnym tonem, jakby dwaj martwi mężczyźni u jego stóp słyszeli go całkiem wyraźnie.

— Ktoś kiedyś przeczytał mi lekcję ze Starego Testamentu, która brzmiała: “Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich". Zawsze podobała mi się ta myśl, lecz teraz zastanawiam się, czy miłość ta byłaby jeszcze większa, gdyby ów przyjaciel był wrogiem. Tak czy inaczej, panie Sinclair, to właśnie zro-biłeś i twój honor od tego nie ucierpi. Ani twój, emirze al-Faruchu, od tego, że miłowano cię w ten sposób. A jak mawiałeś tak często, kuzynie, honor to wszystko, co mamy. To jedyna cecha, która różni nas od zwierząt, a szczególnie od zwierząt, które udają ludzi... Lecz kto ustanowi miarę honoru, skoro wszyscy ludzie podobni tobie, ludzie naprawdę honorowi, odeszli? To kolejne pytanie, które postawiłeś i na

które zarazem odpowiedziałeś. Zastanawiam się, czy rozmawiałeś o tym z emirem? Oczywiście odpowiedź jest niezmienna. Sami ustalamy tę miarę, każdy dla siebie, i *wszyscy* musimy trwać wiernie przy tym, co nas wyróżnia. Żałuję, że nigdy cię nie poznałem, emirze al-Faruchu. Mój kuzyn wiele mi o tobie opowiadał i przedstawiał cię jako człowieka o najsurowszych zasadach honoru. To sprawia, że jesteś niemal wyjątkowy wśród ludzi po obu stronach przepaści, któ-

ra nas dzieli. Jesteś muzułmaninem, Arabem, Saracenem, czcicielem jedynego, prawdziwego Boga, którego nazywasz Allahem. Oto twój dom, a Jerozolima jest Świętym Miastem twojego proroka, Mahometa, który wstąpił do Nieba ze Skały. Wierząc w to, wierzyłeś także, że walka w jej obronie jest dla ciebie przywilejem, i walczyłeś z wielkim, niesłabnącym honorem. Twój przyjaciel czci tego samego Boga, jedynego, prawdziwego, którego my nazywamy po prostu Bogiem. Lecz jego przodkowie, jak i moi, pochodzili z tego samego miejsca... ze Świętego Miasta, Jerozolimy. Nie byli chrześcijanami, lecz żydami. Nazywali swojego Boga Jehową, a Jego dom, Jego świątynia, stała w Jerozolimie, pod miejscem, gdzie teraz stoi Kopuła na Skale. Obaj zginęliście na polu bitwy, walcząc ze sobą nawzajem o posiadanie tego świętego miejsca. I po co? Dla honoru? Czyjego honoru? Na pewno nie honoru Boga, Allaha czy Jehowy, ponieważ sama myśl o tym jest bluźnierstwem. Bóg nie potrzebuje człowieka, a honor jest ludzkim atrybutem. Dla czyjego zatem honoru toczone są bitwy? Cóż honoro-

wego jest w mordowaniu ludzi za posiadanie świętego miejsca? Mogę wam obu na to odpowiedzieć. Na tej wojnie nie ma honoru. Nie ma honoru wśród królów i książąt, papieży i patriarchów, kalifów i wezyrów, czy wśród noszących jakiekolwiek inne tytuły. Wszyscy oni są ludźmi i wszyscy są sprzedajni, chciwi, prostaccy i kieruje nimi nikczemne pragnienie władzy. Nam przypada zadanie walczyć za ich pragnienia i, biedni głupcy, robimy to chętnie, raz po raz, odpowiadając na wezwanie do służby, ustawiając się w szeregu, aby ponieść śmierć, której nie zauważą ci, co nas na nią wysyłają. No cóż, przyjaciele, pochowałem was razem, ponieważ zginęliście razem, i teraz zostawię was tutaj razem. Otrzymałem wczoraj ostrzeżenie, kuzynie, aby mieć się na baczności. Chciałem porozmawiać o tym z tobą wczoraj wieczorem, lecz wysłałeś mnie do Arsuf. Opowiedziałbym ci o tym dziś wieczorem, lecz mnie odumarłeś. Zatem opowiem ci o tym teraz i pozwolę ci dalej myśleć o honorze. Wygląda na to, że kilka dni temu rozpoznał mnie jeden z morderców mojego ojca. Znajdowałem się blisko niego oraz jego przyjaciół, a on uznał — błędnie — że szukam dowodów przeciwko nim. Nigdy wcześniej nie widziałem człowieka, który mi to powiedział, lecz widać miał własne problemy z tymi ludźmi, kimkolwiek są. Nie chciał podać mi imion, lecz powiedział jedynie, że mam strzec się zbirów Ryszarda, jak ich nazwał, i mieć się na

baczności, ponieważ postanowili mnie zabić, abym milczał. Krótko mówiąc, kuzynie, nie zachęca mnie to do powrotu do walki i umierania,

zabijania dobrych ludzi, takich jak emir, ani dla osobistych ambicji Ryszarda, ani z jego poduszczenia, więc nie wiem, gdzie pójdę teraz, lecz na pewno podejmę się dostarczenia Jusufowi amuletu emira. A zatem żegnajcie. Zostawiam was tutaj, owiniętych całunem waszego honoru... Będę cię opłakiwał, kuzynie, i będę cieszył się z tego, że cię znałem, lecz jeszcze nie teraz. Nie teraz. Jest na to o wiele za wcześnie. Lecz będę płakał nad tobą, nad moim ojcem i nad wszystkimi tymi naiwnymi głupcami, którzy giną dookoła. Niech Bóg się zmiłuje nad ich duszami. Zegnajcie.

Sir Andrzej Saint Clair zawinął dwa sztylety oraz amulet emira w żółty proporzec al-Farucha i wstał, wpychając zawiniątko za pazuchę. Owijając się opończą, aby ochronić się przed wieczornym chłodem, podszedł do swojego konia, który pasł się spokojnie w towarzystwie muła. Światła migotały wśród drzew, tam gdzie szpitalnicy przez całe popołudnie budowali szpitale polowe, a dookoła nie brakowało ludzi. Rozmawiali ze sobą swobodnie, ponieważ najgorsze już minęło.

Chwycił dwie pary lejc i powoli poprowadził swoją klacz rasy arabskiej oraz muła pod górkę, do starej rzymskiej drogi, gdzie dosiadł konia i zwrócił się na północ.

- Jedziesz na północ, bracie. Arsuf leży na południe stąd.

Andrzej odwrócił się i spojrzał na człowieka, który odezwał się do niego z ciemności zalegających pod pobliskim drzewem. Ubrany był od stóp do głów na czarno. Andrzej uśmiechnął się do niego.

— Jesteś rycerzem?

- Nie, bracie, jestem tylko prostym bratem zakonu szpitalników. Walczę, aby utrzymać ludzi przy życiu.

—I oby ci się powodziło, bracie. Zmierzam na północ, z powrotem w stronę Akki.

—Z powrotem do Akki? Nie będziesz walczył w Jerozolimie?

- Nie, bracie, ani w Jerozolimie, ani za Jerozolimę. Skończyłem z walczeniem. Mam zamiar pojechać na poszukiwanie pola kamieni, na którym będę medytował i obcował z moim Bogiem. A potem, kiedy On i ja lepiej się poznamy, kto wie? Być może nawet zamiesz kam wśród niewiernych. Nie może to być groźniejsze niż życie, które pędzę tutaj, wśród wiernych fanatyków Boga... — Przerwał i uśmiech-

W

nął się na widok wyrazu twarzy wysokiego mnicha, widocznego teraz wyraźnie w świetle wschodzącego księżyca. Saint Clair ulitował się nad nim. - Wybacz mi, bracie - powiedział. - To był długi dzień, a mnie w kolejnych latach czeka długa droga. Zegnaj, i niech cię Bóg błogosławi. Spiął ostrogami konia i oddalił się kłusem, ciągnąc za sobą muła, a mnich gapił się za jego wysoką, odzianą w biel postacią z krwi-stoczerwonym krzyżem na ramionach, aż zniknęła mu z oczu wśród drzew rosnących przy drodze.

Podziękowania

W roku 2005, włas'nie kiedy zaczynałem poważnie poszukiwać materiałów do tej opowieści, moje bliskie przyjaciółki sprezentowały mi dwie książki: Sharan Newman przysłała mi francuską publikację pod tytułem *Les sites templiers de France* (“Siedziby templariuszy we Francji") autorstwa Jeana Luca Aubarbiera i Michela Beneta, wydaną przez Editions Ouest-France, a od Diany Gabaldon dostałem prawdziwą perłę zatytułowaną *Arab Historians ofthe Crusades* (“Arabscy kronikarze krucjat"), napisaną przez Francesca Gabrielego. Książka ta ukazała się w 1993 roku nakładem wydawnictwa Barnes & Noble jako wznowienie klasycznej włoskiej kompilacji arabskich komentarzy i spostrzeżeń na temat krucjat “z drugiej strony" wydanej w 1957 roku. Obie książki okazały się bezcenne: pozwoliły mi na wyobrażenie sobie powiązań i niuansów, które bez nich być może nigdy nie przyszłyby mi do głowy. Chcę więc wyrazić wdzięczność obu ofiarodawczyniom.

Opublikowano już naprawdę zdumiewającą liczbę książek, artykułów, referatów i rozpraw na temat templariuszy, a główny problem z ich selekcją jest związany z natychmiastowym rozróżnieniem, które z nich zawierają ścisłe historyczne informacje, godne zaufania, a które są całkowicie spekulatywne. Czasem bardzo łatwo je wyłuskać, lecz przy kilku okazjach okazało się, że dryfuję w zupełnie niespodziewanym kierunku. Oczywiście jestem autorem literatury pięknej, więc takie niezwiązane bezpośrednio z tematem wędrówki mogą stanowić nieodłączną część podróży. W mojej opowieści występują zapożyczenia z kilku z nich. Jednak ogólnie rzecz biorąc, postanowiłem polegać na poważanych źródłach i ograniczyłem swoje późniejsze lektury do prac o potwierdzonej proweniencji. Myślałem też o załączeniu bibliografii, lecz potem uznałem, że o wiele prościej będzie wspomnieć

o szes'ciu wspaniałych książkach, z których korzystałem najczęściej, głównie po to, aby trzymać w ryzach swoją opowieść. Oto one:

- *The Knights Templar* , Stephen Howarth, 1982 r., wznowiona przez Barnes & Noble w 1993 r.

- *Bibie and Sword: England and Palestine from the Bronze Age to Balfour,* Barbara Tuchman, New York University Press, 1956 r., wznowiona w 1984 r. przez Ballantine Books

- *The New Knighthood: A History ofthe Order ofthe Tempie,* Malcolm Barber, Cambridge University Press, 1994 r. [wydanie polskie: *Templariusze,* tłum. Robert Sudoł, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1999 r.]

- *The Templars,* Pierś Paul Read, Phoenix Press, 2001 [wydanie polskie: *Templariusze,* tłum. Zbigniew Gieniewski, Zysk i S-ka, 2006 r.]

- *Warriors of God: Richard the Lionheart and Saladin in the Third Crusade,* James Reston Jr, Anchor Books, 2001 r.

- *The Templars: Knights ofGod,* Edward Burman, Destiny Books, 1986 r.

Znów, jak zawsze, zdaję sobie sprawę z długu wdzięczności, jaki mam wobec pracowników Penguin Group. Są niezmiennie niezawodni i solidni - co nie zawsze oznacza to samo — i nawet kiedy smagają biczem moje opieszałe ramiona, udaje im się to zrobić na tyle subtelnie, z taką finezją i polotem, że mój ból blednie w obliczu podziwu, jaki żywię dla różowej bibułki, którą przykrywają metalowe kolce... Wśród nich jest

dwoje ludzi niedoścignionych w tym, co robią: Catherine Marjo-ribanks, moja redaktor, i Shaun Oakey, mój niesamowity korektor... obydwoje są wspaniali. Dziękuję wszystkim.